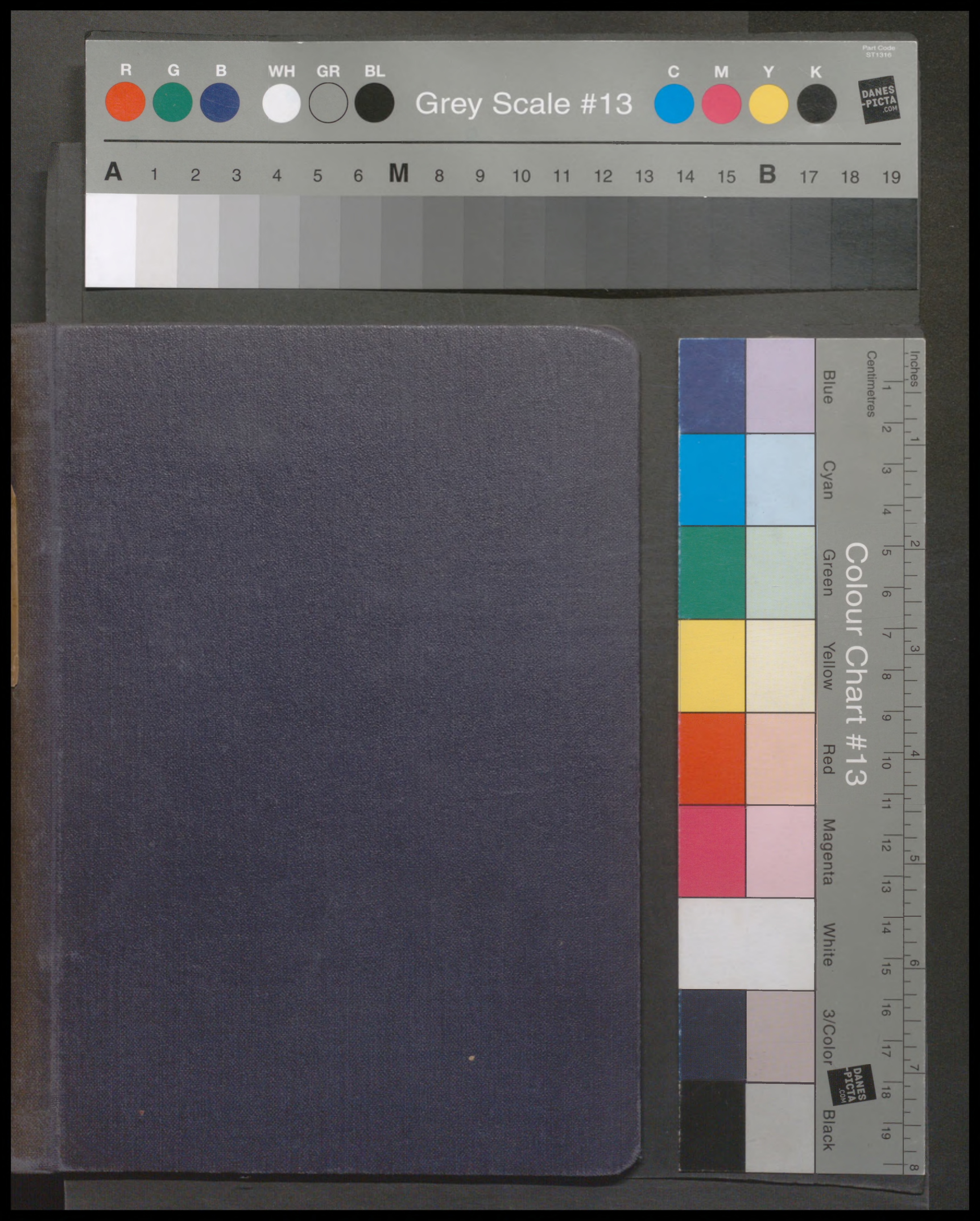
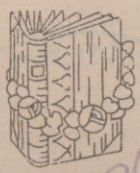

R
G
B
WH
GR
BL
Grey Scale #13
C
M
Y
K
Part Code
ST1316
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

Julian Ochorowicz.

Psychologia-Pedagogika-Etyka

PRZYCZYNKI

do usiłowań naszego odrodzenia narodowego.



T. Jaśkiewicz

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI M. ARCTA.
1917

15(301)

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiego
46876/2

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska 11.

Geprüft und freigegeben Presseverwaltung Warschau, den. 5. V.
T. № 5426. Dr № 22.

PRZEDMOWA.

Książka niniejsza jest zbiorem prac różnoczasowych, połączonych jedną myślą przewodnią:

„od psychologii, przez pedagogikę, do etyki!"

Od psychologii, nie książkowej lecz życiowej — do etyki, nie oderwanej, lecz praktycznej.

Można ją więc uważać za dzieło pedagogiczne, w najszerszem znaczeniu tego wyrazu; nie ma w niej bowiem ani jednego rozdziału, któryby nie miał na celu wydoskonalenia lub przynajmniej oświetlenia tej czy owej strony wychowania lub nauczania.

Można ją uważać za rodzaj przewodnika dla samouków, bo nie ma w niej ani jednej karty, nie łączącej się z tem lub owem zadaniem ewolucyi indywidualnej, kształcenia się i poprawy jednostek.

Ale przedewszystkiem, można i trzeba uważać ją za program narodowy/ pojęty zasadniczo, a nie, jak to

zwykle bywało, formalistycznie/ program reformy i wzmocnienia naszego moralnego stanu posiadania — bo nie ma w niej ani jednej myśli, któraby nie była natchniona chęcią przyjścia w pomoc naszemu odrodzeniu narodowemu.

Tak, w mojej własnej ocenie, przedstawia się to dzieło, będące wyrazem półwiekowej pracy/ dotychczas nieuwydatnionej z powodu rozproszenia artykułów, i braku, niemożliwych przedtem a niezbędnych dopełnień.

Dziś, gdy te dopełnienia mogłem szeroko uskutecznić a całość należycie uporządkować/ przypuszczam, że czytelnik przypisze moim zamiarom — jeżeli nie sposobowi ich spełnienia — przynajmniej część tej doniosłości, jaką ja im przypisuję.

Doniosłości teoretycznej.

Nie łudzę się, żeby te rady moje osiągnęły skutek szybki. Przebiegając książkę uważnie, w tym porządku w jakim jest ułożona, czytelnik zrozumie dlaczego na to nie liczę, a jednak możliwie spieszyłem się z wydaniem dzieła.

Rozdzielam je także na serye, podobnie jak „Psychologię i Medycynę"/ a nadto zmniejszam nieco format, celem większej poręczności tomów i ułatwienia rozprzedaży.

Wydaję zaś „Psychologię, Pedagogikę i Etykę", *przed* trzecim tomem „Psychologii i Medycyny", jako ze względu na okoliczności pilniejszą i ważniejszą dla celów ogólnych.

Serya 2-ga, jeśli nie zajdą niezwykłe przeszkody, ukaże się jeszcze w r. b. Obejmie ona d. c. zagadnień wychowawczych, oraz kwestye dotyczące reformy nauczania i wogóle naszych stosunków kulturalnych.

Gdyby choć setna część ulepszeń proponowanych, choćby w pewnej jedynie mierze, lecz w najbliższym okresie naszego samodzielnego bytu, weszła w życie — byłbym sowicie wynagrodzony za trudy podjęte.

Wychowawcom, nadsyłającym mi swoje uwagi krytyczne, zgóry wyrażam wdzięczność za pomoc w dalszych ulepszeniach dzieła. Ci zaś których ja krytykuję, niech raczą zrozumieć, że tu i owdzie użyta forma docinkowa jest tylko wyrazem temperamentu pisarskiego i wielkiej miłości przedmiotu, nie zaś wynikiem jakichkolwiek uprzedzeń osobistych.

Niechaj i moi krytycy trzymają się tej samej zasady, wypowiadając swoje uwagi bez ogródek — oczyści to duszną atmosferę naszego pedagogicznego zastoju i ogólnikowych a mało pożytecznych dyskusyj.

Chciałbym jeszcze dać kilka wyjaśnień, dotyczących nowego znaku pisarskiego.

Uczułem jego potrzebę w tych wypadkach, w których: bądź to treściwość, bądź jasność, wymagały przestanków pośrednich między przecinkiem a średnikiem/ a także tam, gdzie, jak w zdaniach dodatkowych, nawias lub kreska pozioma, byłyby zbyt stanowczem odgraniczeniem zdania wtrąconego.

W obu tych wypadkach używam kreski ukośnej: /.

Miała ona być krótszą; mianowicie takiej tylko długości jak wysokość małych liter, i wtedy wyglądałaby zgrabniej, nie rażąc nieprzywykłego do tej nowości oka; zanim jednak sama jej zasada znajdzie jakiekolwiek uznanie/ zresztą wątpliwe, ponieważ u nas i o treściwość i o jasność szczególne starania są rzadkie/ poprzestałem na takiej kresce ukośnej, jakiej używają Linotypy czyli maszyny drukarskie do pisania ułamków.

Sposób jej użycia wyjaśnią następujące przykłady:

1⁰ *Kreska pochyła, jako znak przestankowy, pośredni między przecinkiem a średnikiem.*

Gdy się wylicza różne przedmioty w jednym, gładko idącym ciągu, wtedy wystarcza przecinek. Np.

„Do związku mocarstw centralnych należą: Niemcy, Austro-Węgry, Turcya i Bulgarya".

Gdy zamiast pojedynczych wyrazów wylicza się w jednym ciągu całe zdania, trzeba niekiedy, dla uniknienia zamieszania, użyć obok przecinków także i średników/ albo nawet kresek poziomych, zastępujących zwykle zdania domyślne. Np.

„Rosya ma w tej wojnie przewagę materyału ludzkiego; Niemcy — organizacyi i wodzów; Anglia — kapitału i, przynajmniej co do liczby wielkich statków, swej floty etc."

Nareszcie tam gdzie się zjawia potrzeba jeszcze subtelniejszych różnic przestankowania/ a mianowicie przestanku nieco większego niż przecinek a nieco mniejszego niż średnik/ stosuję kreskę pochyłą. Np.

„Rosya, Francya, Belgia i Anglia wystąpiły do walki odrazu/ Włochy i Rumunia przyłączyły się następnie..."

Gdyby przeciwieństwo było jeszcze większe, użyłbym kreski poziomiej. Np.

„Rosya, Francya, Belgia i Anglia wystąpiły do walki odrazu/ Włochy i Rumunia później — Ameryka dopiero grozi..."

I tak samo w stosunkach pojęciowych. Np.

„Najbardziej abstrakcyjnemi formami myślenia są: myślenie *matematyczne*, 1⁰ liczbami, jak w arytmetyce, 2⁰ znakami ogólniejszymi, jak w algebrze i wogóle w matematyce wyższej/ oraz myślenie *filozoficzne*, posiłkujące się wyrazami".

Gdybyśmy po wyrazach: „matematyce wyższej" użyli średnika, przedział byłby za wielki — byłby za mały, gdybyśmy użyli przecinka. Ten ostatni mieszałby przestanki b. krótkie (po wyrazach: „licz-

bami" i „ogólniejszymi") z dłuższym, jak po wyrazie „wyższej", a średnik byłby znów przestankiem zbyt stanowczym przed łącznikiem „oraz".

Są to niewątpliwie subtelności. Kto ich nie odczuwa, ten nowego znaku używać nie będzie; ale ponieważ są tacy, którzy odczuwają jeszcze większe subtelności — niechże mają choć jeden znak dodatkowy do dyspozycyi.

2⁰ *Jako złagodzona forma nawiasu.*

W tym wypadku/ podobnie jak przy nawiasie/ muszą być użyte dwie kreski, obejmujące dany wyraz lub zdanie. Np. gdybym napisał:

„Zanim ta nowość znajdzie jakiekolwiek uznanie (byłoby ono prawdopodobnem, gdyby u nas więcej dbano o jasność i treściwość), poprzestaję na... i t. d."

to w tym razie, zdanie: „byłoby ono prawdopodobnem... i t. d., jako zupełnie wtrącone, jako mogące być wyrzuconem bez naruszenia myśli głównej/ właściwiej jest umieścić w nawiasie. Skoro jednakże wyrażę je mniej stanowczo, a za to w większym związku ze zdaniem głównem, np.:

„Zanim ta nowość znajdzie jakiekolwiek uznanie/ zresztą wątpliwe, ponieważ u nas szczególne starania o ścisłość są rzadkie/ poprzestaję... i t. d."

to w tym wypadku właściwsze będą kreski pochyłe, obejmujące dane zdanie lecz nie odcinające go zupełnie/ przyczem te kreski będą właśnie złagodzoną formą nawiasu.

Podobnież w zdaniu, które wyjmuję z leżącej przedemną Historyi Powstania Kościuszkowskiego K. Bartoszewicza:

„Te cele akcyi wojennej przedstawił Thugut prezesowi Rady Wojennej (Korzon z Zeissberga)..."

nawiaś jest właściwszy, jako klamra całkowicie odcinająca od tekstu powołanie się na świadectwo Korzona z jednoczesnem/ a również obcem tekstowi/ objaśnieniem, że Korzon, tę swoją informacyę zaczerpnął z Zeissberga.

Tymczasem w ustępie wyjętym z sąsiedniej stronnicy:

„Kiliński pojechał do obozu Kościuszki z propozycyą, aby „wyłapać próżniaków". Kościuszko się zgodził i w ciągu

jednej nocy/ jeśli Kiliński, jak zwykle, nie przesadza/ „wybrano" 6000 próżniaków. (Kościuszko polecił Kilińskiemu, aby z pomiędzy nich werbował regiment. W ten sposób sformował się regiment XX, którego pułkownikiem został Kiliński; składał się on z 20 oficerów danych przez Kościuszkę i z 716 gemejnów)."

zdanie: „jeśli Kiliński, jak zwykle nie przesadza" umieściłem nie w stanowczych klamrach nawiasu, lecz między liniami pochyłemi, a natomiast cały dalszy ustęp, jako obejmujący dopełnienia i wyjaśnienia osobne a ze sobą związane, objąłem jednym wspólnym nawiasem.

Na zakończenie, przytoczę jeszcze jeden zawilszy ustęp z III części „Dziadów" Mickiewicza/ najprzód znakowany tak, jak mnie się wydaje jaśniej i ściślej, a następnie tak, jak zwykle bywa znakowany, mojem zdaniem niedbale a miejscami wprost błędnie:

W znakowaniu poprawnem:

Człowieku! Gdybyś wiedział jaka twoja władza,
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze
Zabłyśnie niewidzialna/ obłoki zgromadza
I tworzy deszcz rodzajny/ lub gromy i burze!
Gdybyś wiedział, że ledwie jedną myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli: szatan i anioły:
Czy ty w piekło uderzysz — czy w niebo zaświecisz?...
A ty, jak obłok górny, ale błędny, pałasz,
I sam nie wiesz gdzie lecisz, sam nie wiesz co zdziałasz...
Ludzie! Każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony!

W znakowaniu „Skarbca Polskiego" (Warszawa, 1915):

Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,

I tworzy deszcz rodzajny, lub gromy i burze;
Gdybyś wiedział, że ledwie jedną myśl rozniecisz,
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,
Tak czekają twej myśli szatan i anioły:
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz;
A ty jak obłok górny, ale błędny, pałasz
I sam nie wiesz, gdzie lecisz, sam nie wiesz co zdziałasz.
Ludzie! Każdy z was mógłby, samotny, więziony,
Myślą i wiarą zwalać i podźwigać trony.

Czyż w tak treściwej formie, jak pełen głębokich myśli wiersz Mickiewicza, nie zyskuje się na jasności i sile przez subtelniejsze znakowanie?

Nie chodzi mi w tej chwili o taką lub inną interpretacyę myśli autora — co do tego mogą być spory — lecz o samą zasadę: dokładniejszego znakowania, w którem u nas celował Asnyk, a tak wielu dzisiejszych autorów odznacza się szczególnem niedbalstwem. Wyobrażają oni sobie, że każdy będzie tak czytał ich wiersze jak oni je czytają w myśli; a tymczasem może wyjść tak, jak w owej anegdocie o carze i jego przypisku na wyroku zesłania. Car napisał:

Prastit' nielzia sasłat' w Sybir

zapomniał tylko postawić przecinek, i wskutek tego nie było wiadomo czy należało czytać:

Prastit', nielzia sasłat' w Sybir

czy też:

Prastit' nielzia — sasłat' w Sybir.

Chodzi mi przedewszystkiem o rozbudzenie zamiłowania do większej ścisłości w formie, w jej zgodzie z treścią; a czy do tego posłuży między innemi znak przezemnie proponowany — to już kwestya drugorzędna; dla mnie jest on użyteczny i dlatego go używam. Używam, ale nie narzucam; staram się jedynie — przy jego pomocy — narzucić czytelnikowi ochotę do większej staranności w wyrażaniu swoich myśli na piśmie.

W końcu winienem dodać, że ów znak nie jest całkiem nowym. Używano go w w. XVI *zamiast* przecinka. Tak np. w tytule „Figlików" Mik. Reja można czytać:

„Figliki/ albo rozlicznych ludzi przypadki dworskie/ które sobie po zatrudnionych myślach/ dla krotofile/ wolny będąc/ czytać możesz".

Dzisiaj też używają go jeszcze w tem samem znaczeniu, t. j. zamiast przecinka, w wielu maszynach do pisania. Sądziłem więc, że skoro posiadamy dwa znaki dla jednego przestanku, rozsądniej i korzystniej będzie nadać każdemu z nich nieco odmienne znaczenie.

Warszawa w Marcu 1917 r.

I. UWAGI WSTĘPNE NA TLE WSPOMNIEŃ OSOBISTYCH.

(1916)

1. KONKURS SZKOŁY GŁÓWNEJ.

W pierwszych dniach października 1867 r. w przedsionku Szkoły Głównej wywieszono niespodzianie zawiadomienie, że wydział filologiczno-historyczny tejże Szkoły ogłasza konkurs na rozprawę *„O metodzie badań psychologicznych"*. Praca uznana za najlepszą z nadesłanych miała być nagrodzona medalem złotym.

Byłem wówczas słuchaczem drugiego kursu nauk przyrodniczych i miałem dopiero lat 17.

Oto w jaki sposób opisywałem w moim ówczesnym dzienniku wrażenie wywołane tą wiadomością:

— 10/X 67. — „Wyczytałem w Szkole ogłoszenie o konkursie na temat „O metodzie badań psychologicznych". Czytając je doznałem silnego wzruszenia: coś mi się zamąciło w głowie. Z dziesięć razy odczytywałem ogłoszenie, *nic nie rozumiejąc* — ale czułem, że powinienem, że *muszę* tę rozprawę napisać i medal dostać. Byłem zawstydzony, że nie rozumiałem o co mianowicie chodzi. Nigdy nie czytałem nic specyalnego o metodach a tem mniej o metodzie badań psychologicznych. Rozumiałem, że tu chodzi

o duszę, ale nic więcej; i byłem tak zawstydzony, *żem się zarumienił czytając*, a potem co prędzej wracałem do domu, żeby się z kimś znajomym nie spotkać. W domu, przerzuciłem wszystkie książki z szafki, ale tylko w rozprawie Dominika Szulca: „O źródle wiedzy tegoczesnej" znalazłem parę wskazówek, dotyczących metody badania naukowego w ogólności. Pobiegłem do czytelni i zażądałem Logiki. Dano mi podręcznik francuski w przekładzie pani Ziemięckiej; lecz i z tej książki nie wiele skorzystałem. Dedukcya i indukcya, analiza i synteza plączą mi się w głowie. Przygnębiło mnie to i *postanowiłem nikomu nie wspominać o zamiarze*". (Później w rozmowach ze starszymi kolegami starałem się wybadać, na czem mogło polegać zadanie/ i zacząłem nieco lepiej rozumieć. Przyczyniła się do tego i rozprawa prof. Struvego „O psychologicznej zasadzie teoryi poznania", drukowana w Wykazach Szkoły Głównej. Zacząłem tedy czytać najrozmaitsze książki, w których podejrzywałem jakiekolwiek dla siebie wskazówki, zwłaszcza podręczniki psychologii, francuskie i niemieckie; przeglądałem katalogi (bez skutku, bo doówczas nikt osobnej pracy w tej materyi nie wydał); sprowadziłem Duhamel'a: „De méthodes dans les sciences de raisonnement", ale tę książkę, przeważnie matematyczną, jeszcze mniej rozumiałem. Dopiero po trzymiesięcznych studyach udało mi się nareszcie dokładnie pojąć treść i zakres wymaganej pracy, a w pół roku po ogłoszeniu, mianowicie w marcu 1868 rozprawa była gotową". (Porów. „Z dziennika psychologa. Wrażenia, uwagi i spostrzeżenia w ciągu 10 lat spisane". Warszawa, 1876, s. 15).

Nie należy z powyższego wnosić, że przedtem wcale nie interesowałem się psychologią. Już od 15 roku życia spisywałem swój dziennik, a w nim spostrzeżenia nad sobą i innymi/ studyowałem z wielkiem zaciekawieniem frenologię Galla oraz ostrą a słuszną jej krytykę, dokonaną przez Jędrzeja Śniadeckiego; robiłem pomiary

na kolegach w gimnazyum lubelskiem, zestawiając je z ich zdolnościami i charakterem; sprowadziłem (za 10 rubli!) fizyognomikę Lavatera z rysunkami Chodowieckiego; przeczytałem przekład Kurowskiego z barona Knigge'go „O poznawaniu ludzi", książkę Pawła Janeta „Le cerveau et la pensée", napisaną w obronie spirytualizmu (która jednak pierwsza zachwiała mnie w uznaniu tej teoryi, wskutek bardzo dowcipnej wprawdzie, ale zbyt scholastycznej obrony autora), oraz w tym samym duchu napisaną rozprawę prof. Henryka Struvego „O istnieniu duszy i jej udziale w chorobach umysłowych"; Feuchterslebena „Higienę duszy"; kilka broszur *O sympatyi, O śnie, O początku mowy;* kilka dzieł o *magnetyzmie zwierzęcym;* wielce dla mnie zajmujące 2 tomy d-ra Wiktora Szokalskiego p. t. Fantazyjne Objawy Zmysłowe", wreszcie zupełnie niezrozumiałą „Demonologię" Bronisława Trentowskiego.

Ważny wpływ wywarł na mnie w 7 klasie wykład prof. Anielewskiego: Logiki, poprzedzonej wstępem psychologicznym — jak się później przekonałem, według Beneckego. Autor ten nie był wprawdzie wolnym od frazesowych postulatów, które mnie już wówczas raziły (takich np. że „jak dusza wogóle, tak i wszystkie jej części, *nie są nigdzie"),* ale ponieważ kształcił się pod wpływem psychologów angielskich, poglądy jego odbijały korzystnie od systemów filozoficznych jego rodaków, nietylko Hegla, ale i Herbarta, którego psychologię uwzględniał. Miał też niewątpliwie dobry wpływ na młodzież, zbliżając nieco naukę psychologii do życia, a oddalając ją od metafizyki.

Lecz ani w tym wykładzie, ani w żadnym innym, nie uważano za stosowne objaśnić nas: *w jaki sposób ludzie doszli i dochodzą do tych prawd, które nam jako ostatnie słowo wiedzy do wiadomości podawano?* Trzeba było wierzyć na słowo, że to są prawdy ostateczne i na tem poprze-

stać. Wszak i dzisiaj nauki wykładają się tak, jakby gotowe spadły z nieba. O tem, jakimi sposobami, z jakim trudem, wśród jakich walk i omyłek, ludzkość dochodziła do ich zdobycia, nie mówi się wcale — zapewne żeby nie osłabiać szacunku dla Wiedzy. Nic więc dziwnego, że nie miałem żadnego pojęcia o metodach jakiegokolwiek badania, a tem mniej badania psychologicznego. Wpłynęła na to i ta okoliczność, że zwyczaj i powaga konkursu wymagały użycia w ogłoszeniu terminologii ściśle naukowej, niepopularnej, i że dla ułatwienia zadania nie dodano *żadnych objaśnień* dotyczących treści i sposobu opracowania ogłoszonego tematu. Gdyby chociaż napisano, że chodzi w nim o „sposoby badania życia duchowego lub czynności duchowych", byłbym zrozumiał; natomiast wyraz *metoda*, zwłaszcza w liczbie pojedynczej użyty, raczej zaciemnił dla mnie rzecz: nie mogłem bowiem pojąć jakim sposobem jedna ze znanych mi z logiki — co prawda b. powierzchownie—metod, miałaby być specyalnie metodą psychologii?

Ostatecznie kwestyę pojąłem tak, że chodziło zarówno o metodę ogólną jak i o szczegółowe sposoby badania i opracowałem zasadniczo/ tylko obszerniej/ w ten sposób jak to niedawno wyłożyłem w „Pierwszych Zasadach Psychologii".

Nadesłano 12 rozpraw, przeważnie z fakultetu filologiczno-historycznego, dla którego właściwie konkurs był przeznaczony; jedna pochodziła z prawnego wydziału i jedna, moja, z fizyko-matematycznego.

Długo trzeba było czekać na wynik sądu; bo 12 profesorów musiało przeczytać 12 rozpraw i dać swoją opinię.

Nareszcie pod datą 2 grudnia 1868, a więc w 14 miesięcy po ogłoszeniu konkursu, mogłem zapisać w dzienniku:

— 2/XII 68. — „Zwyciężyłem! Przyznano mi medal za rozprawę. Spodziewałem się, że wiadomość ta będzie dla mnie silniej przyjemną; w każdym razie uczułem ją wewnętrznie tylko — co mnie cieszy, bo każde uzewnętrz-

nianie odbiera na jakiś czas chęć do systematycznej pracy i napełnia umysł marzeniami". (Tamże, s. 31).

Przepis wymagał, że przed ostatecznem przyznaniem nagrody, autor musiał bronić swej rozprawy, podobnie jak przy doktoryzacyi. *Colloquium* odbyło się b. uroczyście, wobec owych 12 profesorów. Zarzuty stawiał głównie prof. Struve a dodatkowo i niektórzy filologowie — ja odpowiadałem. Na nieszczęście, przy tej okazyi wyszło na jaw moje, może przesadne, poczucie niepodległości: w ogólnym kierunku i tonie odpowiedzi starałem się nie o to, żeby zadowolnić moich krytyków i usprawiedliwić niektóre nieścisłości, ile raczej o to, żeby mnie nie posądzono o schlebianie opiniom panującym a zwłaszcza poglądom prof. Struvego, od którego wszystko zależało. Pamiętam doskonale, że odpowiadając na zarzuty, pomyślałem naraz ze strachem, że gdybym był zbyt pojednawczym, koledzy mogliby o mnie powiedzieć: „walczył z profesorem poza oczami, dopóki to niczem nie groziło — ustąpił, gdy chodziło o własny interes, o zdobycie medalu". A ponieważ i tak duch mojej pracy był antimetafizyczny, więc akcentując go jeszcze przy *colloquium*, kręciłem bicz na samego siebie.

Główny atak oponentów skierowany był przeciwko zdaniu:

„Psychologia, jako jedna z nauk przyrodniczych..."

Stało się widocznem, że prof. Struve liczył na zmodyfikowanie tego określenia przy *colloquium* — co nie byłoby całkiem nie na miejscu; bo jakkolwiek dzisiaj zdanie takie nikogo już nie razi, ale ostatecznie między naukami przyrodniczemi a psychologią zachodzą niewątpliwie pewne dość ważne różnice.

Było zaś oczywistem, że u niektórych filologów i historyków zdanie moje wywołało wprost zdumienie lub nawet oburzenie.

Ostatecznie zarządzono głosowanie, czy przyznać mi medal złoty, czy tylko srebrny?

Sześć głosów oświadczyło się za złotym i sześć za srebrnym. Głos prof. Struvego przeważył; przyznano mi srebrny, pomimo że miała to być nagroda pierwsza, określona w zapowiedzi konkursu jako medal złoty.

W rzeczywistości nie otrzymałem i srebrnego, ponieważ czcigodny nasz rektor dr. Józef Mianowski, wyściskawszy mnie serdecznie, jednocześnie objaśnił rozkładając ręce, że nawet na srebrny medal Szkoła Główna nie ma już pieniędzy i że w roku przyszłym zamieniona będzie na uniwersytet, z językiem wykładowym rosyjskim.

Drugą nagrodę, w formie wzmianki zaszczytnej, otrzymał Gustaw Roszkowski stud. wydz. praw., później profesor filozofii prawa na wszechnicy lwowskiej i poseł do Rady Państwa. Był tak uprzejmy i niezawistny, że pierwszy mi powinszował zwycięstwa.

Tym sposobem *filologia* z dwóch stron została pobitą: przez *prawników* i przez *przyrodników*. I to mnie podwójnie ucieszyło, bo miałem uprzedzenie do filologii.

Muszę zaznaczyć, że nieotrzymanie medalu złotego nie bardzo mnie zmartwiło/ chodziło mi bowiem nie tyle o medal, ile o spełnienie celu zamierzonego: odznaczenia się wobec kolegów. I później, gdy mi przyznano już niewątpliwy medal złoty (na Wystawie powszechnej w Antwerpii za wynalazek Termomikrofonu w r. 1885) wcale go nie wykupiłem. Wolałem tych pieniędzy użyć na książki.

Ale teraz chodziło o rzecz, jak się okazało trudniejszą od otrzymania nagrody, mianowicie o ogłoszenie rozprawy drukiem.

W tej kwestyi próżność moja była o wiele większą.

Udałem się najpierw do wydawnictwa miesięcznego „Biblioteki Warszawskiej", której jednak ówczesny redaktor, Szabrański, przyjął moją ofertę z politowaniem, oświadczając, że ma o wiele ciekawszą pracę księ-

dza Gackiego „O majątku rodziny Kochanowskich", i że rozprawy o metodzie nikt czytać nie będzie.

Innych redakcyj odpowiednich nie było, a z księgarzy żaden nie chciał drukować rozprawy swoim kosztem.

Zeszło na tych bezowocnych staraniach parę miesięcy. W końcu postanowiłem wydać książkę własnym nakładem, a właściwie „nakładem prenumeratorów". Pomogli mi w tem koledzy, tak gorliwie rozprzedając bilety po 60 k., że w ciągu niespełna roku rozprawa była nie tylko wydrukowana, ale i wyczerpana. Co prawda, drukowałem tylko 300 egz., a to z tego powodu, że gdym się w tej materyi radził prof. Struvego, tenże objaśnił mnie, że swego dziełka „O istnieniu duszy", drukowanego przed dwoma laty w 400 egzemplarzach, dotychczas nie rozprzedał.

Muszę się przyznać, że dla osiągnięcia tego upragnionego celu użyłem pewnego rodzaju efekciarstwa. Pamiętając z jednej strony, że sam nie rozumiałem na razie tematu konkursowego, a powtóre to, co mi powiedział red. Szabrański, zmieniłem tytuł w ten sposób: *„Jak należy badać duszę?* czyli O metodzie badań psychologicznych (co zaciekawiło księży), a oprócz tego opatrzyłem książkę I-ym numerem i tytułem ogólnym: „Psychologiczne Pytania XIX wieku" (co znów zjednało mi tych, co nie będąc ciekawymi opinii nieznanego autora, byli jednak radzi dowiedzieć się jakie zagadnienia agitują się na szerokim świecie).

Pod tą szumną nazwą wydałem w dwóch następnych latach dwie inne książki a mianowicie: drugą z jeszcze bardziej zachęcającym tytułem: „Miłość, Zbrodnia, Wiara i Moralność; kilka studyów z psychologii kryminalnej" i trzecią, wobec powodzenia poprzednich już z tytułem skromniejszym: „O wolności woli". Tej zarozumiałości i „reklamy" nie mógł mi później prof. Struve darować — nie bez pewnej słuszności.

Książkę o metodzie zaopatrzyłem w dodatek bardziej feljetonowo skreślony p. t. „O współczuciu psychologicz-

nem; dopełnienie rozbioru wewnętrznej obserwacyi" oraz w liczne mniejsze przypiski, między którymi były i uwagi krytyczne, przeciw prof. Struvemu, chociaż bezimiennie skierowane, zwłaszcza jedna, z której okazało się, że zalecony mi przez niego autor niemiecki potwierdzał raczej moje zdanie. Rzecz jasna, że przypiski takie jeszcze bardziej naraziły mnie na niechęć profesora, której też niejednokrotnie później dawał wyraz w swoich pismach.

Oprócz tego poprzedziłem książkę, dwuwierszową przedmową tej treści:

„Z przyjemnością zaznaczam, że pierwsza moja praca psychologiczna jest zarazem odpowiedzią na pierwsze pytanie psychologii".

W jakim celu przytoczyłem tutaj te wszystkie szczegóły osobiste?

Pobudką ukrytą była chęć popisania się przed czytelnikiem z młodzieńczych tryumfów. Ale były i poważniejsze, a mianowicie:

Chciałem dowieść moim młodym czytelnikom:

1° *że przy dobrej woli można wykonać trudną pracę, nawet taką, która w pierwszej chwili wydawała się niemożliwą;*

2° *że zacząwszy wcześnie badać samego siebie, można już w 18 r. życia wiedzieć jaką się obierze specyalność;*

3° *że nawet gdy ta specyalność jest natury niepraktycznej, można, przy pewnym uporze wytrwać w niej, mimo trudnych warunków zachowując swą niezależność.*

Zastanówmy się nieco bliżej nad zagadnieniami, które przytoczone powyżej wspomnienie osobiste oświetla na swój sposób, a przynajmniej oświetliło dla mnie w moich własnych poglądach.

2. KONKURS „PRZEGLĄDU FILOZOFICZNEGO".

Opisany konkurs Szkoły Głównej wywarł wielki wpływ na moje życie umysłowe/ wpływ b. dodatni, pobudzający moją ambicyę i jednocześnie wzmacniający zapał do pracy, i dlatego od tej chwili stałem się zwolennikiem konkursów.

Pamiętam, że w swoim czasie występował przeciw nim Adam Wiślicki w „Przeglądzie Tygodniowym/ a to mianowicie z tego tytułu, że konkurs zmusza wielu ludzi do opracowania tej samej kwestyi, co jest stratą czasu, ponieważ tylko jedna osobistość wypływa w rezultacie, gdy inne pracują na stracenie.

Ale ten zarzut nie trafił mi do przekonania. Przedewszystkiem żadna praca gorliwa, zwłaszcza samodzielna, nie jest nigdy straconą dla jednostki, chociażby na zewnątrz nie wydała owoców.

Powtóre, można ten zarzut osłabić w prosty sposób: *Nie wyznaczać tematów zbyt szczegółowych*, wskutek czego każdy będzie mógł ująć go z innej strony a tem samem ogłosić później swoją pracę, poprawioną i dopełnioną, z pożytkiem dla nauki.

Natomiast sama idea bezimiennego współzawodnictwa dla nagrody, jest doskonałą, a ponęta rozgłosu w razie zwycięstwa, najzupełniej psychologicznie, pedagogicznie i etycznie uprawniona. Wypłynąć/ wybić się/ w tym lub owym względzie na czoło towarzyszów pracy, jest celem nie mającym w sobie nic zdrożnego — konkurs zaś najlepiej temu celowi odpowiada. Kiep ten żołnierz co nie chce zostać jenerałem. Karygodnem byłoby tylko posuwanie się naprzód drogą uniżoności i protekcyi — ale konkurs bezimienny właśnie temu zapobiega. Zapobiega w znacznej części, chociaż nie całkowicie. Tak np. niewątpliwem jest dla mnie, iż gdybym był w rozprawie nie przyjął kierunku „metody pozytywnej", gdybym był przynajmniej nie wystę-

pował wprost przeciw „idealnemu realizmowi", którego przedstawicielem był prof. Struve — byłbym dostał medal złoty. Ale byłby to czyn nieetyczny, schlebiania sile, jeżeli nie wprost modyfikacyi przekonań dla interesu.

Nie mniej prawdą jest, że bez naruszenia etyki można było być trochę skromniejszym, trochę mniej pewnym siebie i nieco bardziej oportunistycznym w formie.

Nieco — tylko nieco; lecz wskazanie tej granicy, możliwe dla mnie dzisiaj, nie było możliwem dla 17-o czy 18-o letniego młodzieńca. Przebaczam też sobie raczej tę zarozumiałość i zuchowatość—nieprzebaczyłbym interesowanej uległości.

Ale poza uległością i schlebianiem dopuszczalną jest pewna praktyczność, pewne przystosowywanie się do okoliczności, pewna polityka życiowa — nie będąca jeszcze ani odstępstwem, ani służalstwem. Oto przykład:

W r. 1905 „Przegląd Filozoficzny" ogłosił konkurs na rozprawę *O metodzie w etyce* z nagrodą 500 rs. Byłem już wówczas człowiekiem mocno dojrzałym i praktyczniejszym, a kilka względów skłoniło mnie do wzięcia udziału w tym konkursie:

1⁰ mieszkałem w odludnej wsi „Wisła" na Śląsku austryackim, prawie nic nie zarabiając przez lat kilka i 500 rs. były dla mnie pożądane;

2⁰ prowadząc w cichości swoje doświadczenia, zerwałem stosunki ze światem naukowym warszawskim, i czułem, że zerwanie to za daleko już zaszło;

3⁰ miałem mnóstwo nieprzyjaciół nietylko wśród lekarzy, ale i wśród filozofów, patrzących z ukosa na moje zajmowanie się hypnotyzmem i medyumizmem, najmocniej przekonanych, że „czysta nauka", której oni hołdowali, przestała mnie interesować. Otóż chciałem sprawić im niespodziankę, a sobie zadowolenie moralne i materyalne.

Ale głównym sędzią konkursu był znowu prof. Struve, jeszcze mniej przychylnie usposobiony dla mnie teraz

niż dawniej, a inni: profesorowie: Twardowski, Wartenberg, Wł. Gosiewski i red. Wł. Weryho, albo także niechętni, albo obojętni.

Nie spodziewali się wprawdzie mego udziału, bom dawno nic filozoficznego nie pisał, a etyką wogóle nigdym się nie zajmował; mogli jednak domyślić się autora z treści albo ze sposobu pisania — i temu należało zapobiedz. Nastroiłem się więc odpowiednio (oczywiście w niczem nie zmieniając poglądów), ale co do formy przyjmując taką postawę, jakgdybym był młodym, nieznanym autorem, tylko z pewną już wprawą literacką.

Ponieważ prof. Struve wiedział, że jestem przeciwnikiem Kanta, wybrałem *motto* z tego myśliciela/ motto wyjątkowo popierające moje przekonania/ a rozprawę, napisaną na amerykańskiej maszynie Blickensderfera, prawie nieużywanej w kraju, wysłałem pocztą z Krakowa — co znów mogło nasunąć myśl, że jestem uczniem jednego z wymienionych profesorów galicyjskich.

Podstęp udał się. Nie zapomnę nigdy zabawnych min pp. Weryhy i Gosiewskiego, gdy przyszli do mnie przynosząc mi 500 rs., do Kasy Literackiej, w której wówczas czasowo mieszkałem. Oglądali mnie uważnie, jakgdyby mnie pierwszy raz w życiu widzieli, a red. Weryho zapytał się nawet czy to ja istotnie napisałem tę rozprawę/ przypuszczał bowiem, że może znalazł się jakiś inny Ochorowicz, imiennik, albo kuzyn.

W ten sposób zbliżyłem się znów do naszych kół filozoficznych i pierwsze lody — b. twarde lody — zostały przełamane.

Czy było w tym podstępie coś nieetycznego? Chyba nie. Był podstęp natury niewinnej, nikomu nie ubliżający — a w naszych smutnych warunkach małomiasteczkowych niestety wskazany.

Biorąc udział w konkursach zagranicznych, już do tego rodzaju wybiegów uciekać się nie potrzebowałem.

3. ZNACZENIE KONKURSÓW DLA SPRAWY NASZEGO ODRODZENIA NARODOWEGO.

Powyższe doświadczenia osobiste utrwaliły we mnie przekonanie o wielce dodatnim wpływie konkursów na jednostki w różnych zawodach pracujące, o pożytku wyszukiwania w ten sposób sił nowych, wreszcie o korzyści dla ogółu z wywoływania nowych prac drogą współzawodnictwa, a więc wysiłków zdwojonych.

Zarazem jednak miałem sposobność odczuć dokładniej niż ci, którzy w konkursach udziału nie przyjmowali, jakie są wady tej instytucyi i jakby je można usunąć?

Otóż pod tym względem uważam za wskazane następujące dezyderaty:

Przedewszystkiem należy odróżnić konkursy studenckie, przeznaczone dla młodzieży, od przeznaczonych dla ogółu, a w obu razach dobrze się namyślać nad tematami. Zadania konkursowe pierwszej kategoryi nie powinny być *zbyt trudne* (za taki uważam np. temat o metodzie badań psychologicznych) — drugie zaś, odbijając potrzeby chwili (co jest nieuniknione i racyonalne) nie powinny jednakże być tylko wyrazem panującej mody, lecz mieć na celu i dalsze korzyści dla ogółu. Temat „Przegl. Filoz." „O metodzie etyki" uważam za całkiem odpowiedni, bo z jednej strony ,jako kwestya etyczna, odpowiadał budzącym się prądom, z drugiej, ujmując kwestyę metodologicznie, brał ją podstawowo i z uwagą na przyszłość. Ale nam dziś potrzeba głównie tematów praktycznych i dotyczących najbliższej przyszłości/ ponieważ chwila jest wyjątkową, a zadania pilne. Na pierwszem tedy miejscu postawiłbym zagadnienia dotyczące naszego szkolnictwa, reformy wychowania i nauczania, wreszcie naszego ustroju konstytucyjnego; a na drugim dopiero inne.

Niektóre konkursy, zwłaszcza czysto studenckie, mogą być i bezpłatne — w zasadzie jednakże nagrody pie-

nieżne są zawsze pożądane, a w konkursach ogólnych powinny być tak wysokie, żeby i ludzie już wyrobieni mogli w nich brać udział, mając przytem wynagrodzone koszty książek i utratę zarobków, wskutek oderwania się od innej pracy.

Pod względem poczucia potrzeby zapłaty za rzecz użyteczną dla ogółu, poczyniliśmy już wprawdzie duże postępy, ale jeszcze mamy różne, bądź doktrynersko idealne, bądź fachowe przesądy. Pierwsze, przez długi czas były powodem, że np. w tak popularnych i zyskownych dla instytucyi w swoim czasie odczytach na rzecz Tow. Osad Rolnych i przytułków rzemieślniczych wcale nie wynagradzano prelegentów — drugie ustaliły u nas to przekonanie, tradycyjne, że książki dla ludu i dla dzieci, może pisać byle kto, że byle kto może tłomaczyć powieści najlepszych autorów zagranicznych, za parę groszy od wiersza, bo to są zadania „łatwiejsze".

A na tych przesądach tracą nietylko jednostki, coby było do wybaczenia—traci na nich przedewszystkiem ogół, bo dobrych podręczników prawie że nie mamy a liche tłomaczenia obcych powieści rozkrzewiły w narodzie takie niechlujstwo gramatyczne, ortograficzne i stylowe, jakiegoby napróżno szukał w jakiemkolwiek innem społeczeństwie!

W konkursach wogóle, a studenckich w szczególności, należy poczynić wszelkie możliwe *uproszczenia*. Tak np. w owym konkursie Szk. Gł. zamiast 12 sędziów, przeważnie z konieczności niekompetentnych, byłoby wystarczyło 3-ch lub 5-ciu; termin rozstrzygnięcia powinien być zbliżony—co najwyżej kwartalny, żeby nie wykolejać młodzieży gorączką oczekiwania, a nagroda przyznana bez *colloquiów*/ właściwych jedynie przy doktoryzacyi, ale niewłaściwych tam, gdzie się ma do czynienia z umysłem jeszcze niewyrobionym; natomiast byłoby pożądane, żeby sędziowie swój wyrok porządnie i dokładnie *motywowali*, co

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

bywa czasem obiecywane, ale rzadko dotrzymywane. Wówczas autor, przed drukiem rozprawy, mógłby uskutecznić poprawki i dopełnienia — nietylko te, jakieby sam uznał za potrzebne, lecz i te, któreby mu wskazało doświadczenie starszych. Wreszcie nagroda na konkursie otrzymana — jeżeli jest czysto honorową — powinnaby pociągać za sobą pewne ulgi np. w opłacie wpisowego, lub pewne przywileje przy otrzymywaniu stypendyów. Te ostatnie wogóle powinny być udzielane nie drogą gołosłownej protekcyi lub formalnej jedynie zgody z warunkami, lecz po egzaminie ustnym lub analogicznem wypracowaniu konkursowem.

Należałoby też pilnie strzedz zasady *równouprawnienia* różnych kierunków naukowych. Sędziowie mają ocenić, czy przedmiot jest opracowany gruntownie, systematycznie, czy autor wyraża się ściśle i wnioski wysnuwa konsekwentnie — ale nie to czy jego przekonania wydają się im odpowiedniemi lub nieodpowiedniemi. Tymczasem bywało tak, że sędziowie naukowi stawali się oficyalnymi cenzorami kierunków, według swoich zacofanych lub choćby tylko niedość bezstronnych poglądów. Tak np. w r. 1886 doktorantowi Uniw. Krakowskiego „odmówiono stopnia, na tej zasadzie, że wyznawane przezeń przekonania są niebezpieczne dla młodzieży, i dopiero sąd wiedeński musiał te uwłaczające powadze uniwersytetu skrupuły usunąć" („Kraj" Nr. 19 z r. 1886), a kilka lat przedtem Akademia Krakowska przyznawszy mi jawnie (zapewne celem uniknienia polemik dziennikarskich) stypendyum im. Śniadeckich „dla docenta filozofii udającego się na dalsze studya za granicę", w parę miesięcy potem, gdy już byłem w Paryżu, *skrycie* je cofnęła, narażając mnie na to, żem się naraz znalazł w obcem mieście bez środków do życia (Ob. „Psych i Med." Serya I, s. 363). Było to więc jeszcze coś gorszego niż odrzucenie odrazu kandydata, którego kierunek studyów sędziom się niepodobał. Chybaby już dzisiaj podobny fakt nie zaszedł — ale przypomnijmy sobie, że

członkowie tejże Akademii odrzucili zaszczytną dla Krakowa propozycyę uczonych zagranicznych urządzenia w tem mieście drugiego międzynarodowego zjazdu *antropologii przedhistorycznej*, z powodu, że ten przedmiot znajdował się jeszcze wówczas na indeksie krakowskich archeologów.

W końcu, co do konkursów studenckich pozwolę sobie wyrazić życzenie, żeby one odbywały się stale, corocznie, celem wyróżnienia jaknajwiększej liczby pracowników i żeby, jak to było w Szk. Gł., nie krępowano się granicami fakultetów. Piszę o tem dlatego, że istnieje u nas jeszcze prąd przeciwny, zbytecznych administracyjnych rozgraniczeń, i że w naszych młodych wyższych uczelniach warszawskich dotychczas o żadnym konkursie nie słychać.

Co do konkursów ogólnych, o wyższych aspiracyach naukowych, to i w tych pożądaneby były pewne zmiany. Jeżeli zarzut straty czasu, wskutek powtarzania tej samej pracy przez kilka lub więcej jednostek, ma w sobie część słuszności, to szczególnie tam, gdzie chodzi o tematy ściśle *faktyczne*. Jest np. rzeczą nierozsądną i po większej części bezcelową, ogłaszanie konkursów, zmuszających pewną liczbę specyalistów do szperania jednocześnie w archiwach tej samej epoki, bez żadnego celu ogólnego, rozumowego albo do opracowania historyi jakiegoś powiatu, miasta, jednego kościoła nawet, co może interesować małą grupę ludzi, ale nie ogół uczonych i co zasadniczo odwraca zależności przyczynowe; bo zamiast objaśniać epokę faktami dotyczącymi różnych miejscowości, każe objaśniać znikome losy jakiejś drobnej miejscowości ogólnemi dziejami epoki, znacznie trudniejszemi do ujęcia.

Natomiast brak nam zupełnie *konkursów ideowych*, jakgdyby samodzielność w myśleniu była przymiotem najmniej pożądanym w nauce. Tak też przeważnie zdają się mniemać nasi młodzi historycy, dla których, i poza kon-

kursami, historya jest tylko zbiorem dobrze skontrolowanych faktów. Dla myśliciela przeciwnie, zbiór faktów, najlepiej skontrolowanych, jeszcze bynajmniej nauką nie jest.

Nie ja będę odmawiał wartości faktom, jako niezbędnego *materyału*/ ani przeczył postępom dzisiejszej krytyki historycznej w porównaniu z dawniejszą, sądzę jednak, że celem popierania takich badań właściwsze są subsydya osobiste, udzielane jednostkom już wyszkolonym, jak to czyni Kasa im. Mianowskiego, albo też konkursy jawne prac drukowanych, w rodzaju tych, jakie urządza lwowski Wydział Krajowy — nie zaś współzawodnictwo konkursowe tajne. Z radością też widziałbym bardziej filozoficzny kierunek wśród naszych młodych uczonych — chociażby połączony z pewną stronniczością przekonań. Ta bowiem wywołałaby korzystną krytykę i w a l k ę z a s a d b. potrzebną naszemu narodowi, który dotychczas zna tylko walkę koteryj. Tymczasem prasa nasza tak dalece podziela ten pensyonarski pogląd na objektywność wiedzy, że od wielu, wielu lat niepamiętam już w naszych pismach żadnej polemiki naukowej. Odbywają się tylko imienne głaskania lub bezimienne kąsania — a najczęściej wzmianki reklamowe bezkrytyczne, członków danej koteryi. Kto się sam o takie wzmianki nie postara, lub czyi koledzy nie mają interesu w oddaniu mu tej przyjaciejskiej przysługi, ten może miesiącami i latami wyczekiwać napróżno na zawiadomienie ogółu, że tego lub owego dokonał — chyba że napisał coś dla teatru. O! wtedy wszystkie pisma jak jeden mąż urządzą mu reklamę — bo u nas nie tylko każda nowość teatralna — ale nawet wznowienia przedwiekowe: „Otella" Szekspira, albo „Dziewicy Orleańskiej" Schillera wprawiają w ruch całą prasę zajmując conajmniej dziesięć razy więcej miejsca niżby należało.

Czasby obecnie pomyśleć o lepszem zorganizowaniu poważniejszego działu sprawozdawczego i o uprzytomnie-

niu sobie *wyjątkowych* [1]) obowiązków naszej prasy wobec kraju. Warunki są jeszcze trudne, ale już łatwiejsze, niż podczas cenzury rosyjskiej, a zadania stokroć donioślejsze. W tak poważnej historycznej chwili nie godzi się bawić w konkursy loteryjne na temat: kiedy się skończy wojna? i jak się po niej zmienią granice? bo takie dochodzenia fantazyjne uczą tylko bezmyślności i blagi — kto taki konkurs wygra, nie będzie najbystrzejszym, tylko przypadkowo najszczęśliwszym, a nam się trzeba właśnie leczyć z płytkiej pohopności do politycznego prorokowania, zabierając się natomiast do pracy ścisłej, codziennej, konkretnej, a porządnie zorganizowanej, chociażby najmniej efektownej.

Konkursy ogólne możnaby podzielić na następujące kategorye:

1⁰ naukowe, rozpadające się na dwie grupy: a) mające na celu postęp nauki; b) dydaktyczne, czyli obrazujące stan obecny, bądź w zakresie wyższego, bądź niższego nauczania.

W pierwszej grupie należałoby kłaść nacisk na *samodzielność i oryginalność* odkryć i pomysłów, *wyłączając*

---

[1]) Dziś u nas każdy redaktor pisma powinien sobie uprzytomnić, że jest *wychowawcą narodu*, że każda jego wzmianka o sprawach publicznych może wywrzeć zły lub dobry wpływ na masy, że obowiązkiem jego jest popierać wszelką dobrą wolę, tępić wszelkie warcholstwo i samozwaństwo; być wyrozumiałym dla różnic zasadowych, surowym i śmiałym sędzią dla nadużyć i niesumienności, a rozważnym krytykiem własnych wystąpień. Ogół winien w nim widzieć jednego ze swych przedstawicieli, któremu można ufać, chociażby się nie podzielało jego przekonań. Zarazem też ogół powinien się otrząsnąć z tej bierności, z jaką dotychczas traktował swoje dzienniki, reagując żywo na zboczenia od godności narodowej i na zaniedbanie obowiązków obywatelskich.

prace czysto erudycyjne, nieodpowiednie dla konkursów tajnych.

W drugiej, należałoby podać przepisy ogólne, wymagane od podręczników specyalnych — celem uniknienia np. takich kosztownych, wielkich, a mało użytecznych z powodu swej chaotyczności, rozwlekłości i braku jakiegokolwiek ogólnego ujęcia wydawnictw, jak niedawno wydany dwutomowy podręcznik „Fizyologii Człowieka", a także od podręczników elementarnych, z pozostawieniem możliwej swobody autorom, z wykluczeniem jedynie zaniedbania językowego, niejasności wykładu i nadmiernego przeładowania treścią. Mojem zdaniem, w podręcznikach szkolnych należałoby się wyrzec szematyzmu, do którego przywykliśmy pod wpływem biurokracyi rosyjskiej. Podręcznik ma ułatwiać naukę — ale nie zastępować jej; ma uczyć porządnego myślenia w danym dziale — ale nie wyręczać myślenia ucznia ogólnemi formułami do wykucia pamięciowego: „stąd dotąd". Nie jest też bynajmniej pożądanem, żeby we wszystkich szkołach średnich a nawet elementarnych, obowiązkowym był *jeden* tylko podręcznik, jednego typu. W konkursach tego rodzaju, należałoby z góry mieć na myśli możność odznaczenia *kilku prac*, a nie tylko jednej „najlepszej"; raz dlatego, że pojęcie „najlepszości" jest rzeczą b. względną, powtóre, że wartość podręcznika wykaże właściwie dopiero dłuższe jego zastosowanie w praktyce, a po trzecie ponieważ uszematyzowanie nauczania nie jest bynajmniej celem szkoły polskiej. Samo się też przez się rozumie że, ze względu na odmienne potrzeby naszych szkół i ze względu na różnice umysłowości polskiej a obcej, wszelkie ślepe naśladownictwo podręczników zagranicznych (u nas najpospoliciej niemieckich) jest niedopuszczalne. Należy korzystać z dobrych wzorów obcych, nie naśladując ich jednak wprost, bez odczucia potrzeb narodowej indywidualności i specyalnych warunków naszego bytu.

2⁰ Drugi dział stanowiłyby konkursy, jeżeli się nie mylę, dotychczas niepraktykowane, a mające na celu ulepszenia r o l n i c z o - p r z e m y s ł o w e. Nigdy chwila nie była po temu odpowiedniejszą. Konieczność odbudowy wielu miast i wsi, niepraktykowane zmiany w cenach materyałów surowych, zupełny brak niektórych i potrzeba wykrycia nowych, wreszcie wszelkie ulepszenia w zakresie już znanych metod produkcyi — wszystko to są zadania niecierpiące zwłoki, a które w znacznej mierze mogłyby być posunięte naprzód przez konkursy odpowiednio dobrane. Istnieje niewątpliwie w kraju wiele spostrzeżeń praktycznych i wiele dobrych pomysłów — niedopuśćmy, żeby się zmarnowały w ukryciu, przy braku poparcia, albo nawet niedochodząc wcale do świadomości ogółu.

3⁰ Trzeci dział już napewno nie był dotychczas uprawiany. Mam tu na myśli nagrody konkursowe dla szczególnie zasłużonych o r g a n i z a t o r ó w ż y c i a z b i o r o w e g o w jakiejkolwiek dziedzinie. My nie mamy zmysłu organizacyjnego, przynajmniej na codzień i na dłuższy dystans. Nie mamy też ani wyrobienia, ani nawet skłonności do wszelkiego rodzaju spółek, stowarzyszeń, instytucyj wymagających pracy zbiorowej. Ale są między nami *jednostki* ciche, mało znaczące same przez się, cenne jednak dla kraju na wagę złota, za ich dar twórczy organizacyjny, za umiejętność skupiania rozstrzelonych sił dla jednej pracy. Takim był np. ks. M a r c i n k o w s k i w Poznańskiem — a na innem, bardziej abstrakcyjnem polu w Warszawie Wł. W e r y h o, twórca „Przeglądu Filoz.", Tow. Psych., Inst. Psych. i Filoz. Przy znanej nieścisłości i niesumienności naszych sprawozdawców, pewien dziennik nazwał go „jednym z najznakomitszych polskich filozofów", a drugi „autorem wielu dzieł filozoficznych". I jedno i drugie nie było prawdą — ale prawdą były inne, pod pewnym względem ważniejsze jego zasługi, jako organizatora. Czasem wynagradzają się takie zasługi, stanowiskami

honorowemi, jeżeli nie zapewnieniem bytu/ najczęściej jednak ogół o nich nic nie wie i dobry przykład, któryby innych mógł pobudzić do naśladownictwa, idzie dla większości kraju na marne, tembardziej, że w podobny sposób nagradzają się także proste zalety towarzyskie, usłużności, hojności, albo co gorsza tylko umiejętności kaptowania sobie zwolenników bez żadnych zasług. Otóż takich ludzi naprawdę zasłużonych a cichych trzeba wyszukiwać, popierać i wedle możności wynagradzać, dając im środki do dalszej owocniejszej pracy. Gdy się ustali, obiecywana nam obecnie samodzielność administracyjna, i gdy ta stanie się taką jaką być powinna, to znaczy *demokratyczną* w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, wówczas między innemi i o tem pamiętać trzeba będzie, żeby prace organizacyjne— w jakimkolwiek kierunku—u nas tak rzadkie, znalazły szersze uznanie i poparcie.

We Francyi istnieją *nagrody cnoty* (Montyona), z których najczęściej płyną posagi dla biednych a uczciwych dziewcząt. Nie jestem zwolennikiem tego rodzaju konkursów, raz dlatego, że stawiają zwykłą uczciwość, jako rzecz wymagającą nagrody, a powtóre, że takie nagrody nigdy nie mogą spotkać wszystkich zasługujących na nie, przedstawiając przytem zbyt łatwe pole do stronnych wyróżnień. Nagrody cnoty powinnyby być udzielane jedynie za wyjątkowe czyny poświęcenia i bohaterstwa.

4⁰ Czwarty dział należy do powszechnie praktykowanych, tylko u nas w stopniu niedostatecznym. Chodzi o konkursy urzędnicze, celem obsadzenia posad wakujących. Pod tym względem nietylko przeszłość nasza porozbiorowa, ale i dawniejsza przedrozbiorowa, przedstawiają b. smutne tradycye i nałogi, z którychby się należało otrząsnąć. Kupowanie urzędów, tak pospolite dawniej (nietylko u nas), dziś wprawdzie już nie istnieje, a przynajmniej nie jest już napół jawnie tolerowane. Ale poza kupowaniem, istnieją jeszcze inne formy protekcyonizmu i ne-

potyzmu, kaptowania lub narzucania się, wymagające wytępienia. W wolnej Polsce powinny się znaleźć najsurowsze prawa przeciwko tym, którzy bądź to dla zysku rozdają godności, bądź dla godności przekupują wyborców. Jest to bowiem jedną z groźnych wad demokratyzacyi urządzeń państwowych, że nic warta moralnie *ilość* głosów, może przeważyć szalę *jakości* głosów i że tak zwana w Galicyi „kiełbasa wyborcza" decyduje niekiedy o wyborze. Stwierdzenie choćby jednego takiego faktu powinno unieważniać wybór, pociągając nadto za sobą poważne kary obustronne, dotykające zarówno kaptujących, jak i skaptowanych.

Ale sam system wyborów, zabezpiecza w znacznej części od prywaty i wyrachowanego karyerowiczowstwa.

Gorzej jest tam, gdzie niema wyborów, gdzie wybór zależy jedynie od jednostek wpływowych a częstokroć nadto interesowanych. Tak zwany system kooptacyi, nawet w stowarzyszeniach naukowych i humanitarnych przedstawia zbyt wiele wad, iżby go można było w dalszym ciągu tolerować — a cóż dopiero mówić o instytucyach i biurach, służących stale i codziennie ogółowi, nie jednostkom, w sprawach życia praktycznego! Tu już bezwarunkowo proste nominacye z urzędu, bez jawności i kontroli publicznej, nie powinny być dopuszczane.

W ostatnich czasach sprawę tę odnośnie do magistratu poruszył p. L. Grendyszyński. Oto w jaki sposób charakteryzuje on stosunki dotychczasowe:

„Skoro otworzy się wakans w jakiem biurze, stanowi to tajemnicę najbliższego otoczenia. Malutkie tylko kółko jest uprzedzone i zaraz z niego wychodzą zabiegi i starania, których wynikiem jest prawie zawsze to, że na posadę dostaje się tylko „brat lub swat". Najzdolniejszy człowiek, najodpowiedniejszy do danej czynności, najrozpaczliwiej potrzebujący kawałka chleba, napróżno się krząta, jeśli tylko nie należy do parafii".

Z tego tytułu p. G. żąda, żeby Magistrat ogłaszał

o wakujących miejscach w pismach publicznych, jak to się w cywilizowanym świecie praktykuje. Niech powie czego wymaga jako kwalifikacyi i jako pracy i co za nie daje. Otrzyma wtedy szereg ofert, między któremi, przynajmniej w większości wypadków, łatwo mu będzie wybrać. W każdym zaś razie usunie się tym sposobem różne niewłaściwości i wzmocni zaufanie kraju do instytucyj samorządnych.

Podobno poglądy dotyczące konkursów urzędniczych wypowiadane były w Radzie miejskiej w duchu opozycyi przeciw przywilejom Prezydentury Magistratu. Nie wiem napewno czy tak było — w każdym razie ja je wypowiadam bez żadnej myśli opozycyjnej. Nie mówiąc już o zasługach osobistych obecnego prezydenta, ks. Zdz. Lubomirskiego, sądzę że każdy naczelnik danego biura musi mieć większe prawo do wyboru pomocników, niż ktokolwiek inny, ponieważ więcej, niż ktokolwiek inny, odpowiada za całość pracy. Ale tu nie chodzi o narzucanie niepożądanych pracowników, tylko o ułatwienie wyboru — a ten będzie mógł być i łatwiejszym i sprawiedliwszym przy konkursach.

5⁰ Do piątej kategoryi zaliczam wszystkie inne konkursy, mogące przedstawiać tak różnorodny charakter, że klasyfikacya ich byłaby bezcelową. Oto np. niedawno rzucono myśl, żeby ogłosić konkurs na nowy hymn narodowy, bardziej odpowiadający warunkom chwili, niż wszystkie dawniejsze; wskutek czego jedno z pism wystąpiło zaraz z uwagą, że taki hymn musi być dziełem natchnienia, a natchnienia konkurs nie przyniesie. Zapewne, konkurs nie da natchnienia nawet urzędnikowi, do sumiennego spełniania swych obowiązków/ ale może ujawnić natchnienie lepiej niż cokolwiekbądź innego. To wystarczy; a dowodem: tak już popularny hymn Sokołów. Ileżby to czasu trzeba było czekać, żeby przypadkowo gdzieś skomponowana pieśń stała się powszechną — bez konkursu? Ja także je-

stem przeciwny rozpisywaniu takiego konkursu obecnie, ale z całkiem innych powodów.

Prawdą jest, że dawne hymny, w słowach swoich, nie odpowiadają chwili — ale pytam się jaki to hymn mógłby tej chwili odpowiadać? Chwila znajdzie swój wyraz uczuciowy i artystyczny, gdy będzie jasną, gdy będzie silną, pewną, jednolitą, dla wszystkich porywającą — taką, jaką była chwila powstania Marsylianki. Antinomij historyozoficznych nie wyraża się w hymnach.

A przytem! Czy to jest rzecz najpilniejsza?

Nauczmy się raz nareszcie poważniej traktować zadania chwili i mniej dbać o śpiewy i inne formy wyrazu uczuć, a więcej o zorganizowanie się do ciężkich obowiązków, jakie już dziś stoją przed nami.

Jednem słowem, konkursy mogą być b. różnorodne i częstokroć b. pożyteczne dla celów narodowych, ale zawsze tylko jako jeden ze środków wiodących do ujawnienia sił istniejących, do podtrzymania ich, złączenia i postawienia na świeczniku, lub przynajmniej dla ułatwienia wyboru czynników do danego celu najodpowiedniejszych.

Z tego powodu, środek ten, tak zgodny z ambitną naturą polską, nie powinien być zaniedbany lub lekceważony. Zwłaszcza, że z drugiej strony do tej samej natury polskiej należy cecha — stająca między innemi na przeszkodzie rozwojowi naszego przemysłu i handlu, mianowicie zbyt wielka bierność, ociężałość, powiedzmy wprost niedołęstwo, w reklamowaniu samych siebie. Niedołęstwo albo tylko wstydliwość, najsilniej występująca tam właśnie, gdzie jest najmniej wskazaną, mianowicie u najwięcej umiejących — nie umiejących tylko przeciskać się przez tłum łokciami.

W chwilach takich jak obecna, przełomowa, zwykle obok ludzi poświęcenia, pracujących więcej dla drugich niż

dla siebie, zjawia się i narzuca wielu innych, myślących więcej o sobie niż o drugich. Czapką, papką i solą — a najczęściej frazesami, na które nasz biedny, niewolą przeczulony tłum jeszcze tak bardzo jest wrażliwy — wciskają się oni wszędzie, obejmując obowiązki, o których nie mają pojęcia, albo, co gorsza, których spełniać nie myślą. Tymczasem nam trzeba ludzi odpowiedzialnych i odpowiednich. Do prac nowych trzeba i ludzi nowych, jeszcze nie uległych rutynie i niezdemoralizowanych dotychczasową w kraju gospodarką.

Tych wyszukać dopomogą nam konkursy.

Oto dlaczego rozpocząłem niniejszą książkę od położenia nacisku na tę drogę już wypróbowaną.

Jeżeli zaś zacząłem od wspomnienia konkursu psychologicznego, to nietylko dlatego, że przeżycie własne najlepiej się nadaje do analizy, ale także i dlatego, że nauka psychologii, z samej natury rzeczy, z samego jej stosunku do innych nauk, sztuk i życia codziennego, jako przejawów, badanych przez nią zasadniczo sił i energij duchowych, winna być podstawą całej moralnej i oświatowej budowy naszego odrodzenia narodowego.

Mam nadzieję, że dalsze rozdziały niniejszej książki tę prawdę dostatecznie uwydatnią.

II ZASTOSOWANIA PSYCHOLOGII[1])

(1879)

Każdy człowiek wykształcony słyszał coś o zastosowaniu matematyki do nauk przyrodniczych, o zostosowaniach nauk przyrodniczych do przemysłu lub rolnictwa —

---

[1]) Druk. w „Ateneum" w zeszycie kwietniowym z r. 1879.

ale czy może, i do czego może być zastosowaną psychologia?...

Powątpiewanie takie ma swoją podstawę i to podstawę historyczną.

Od chwili powstania pierwszych pojęć filozoficznych aż do upadku filozofii Heglowskiej w naszych czasach, rozprawiano o duszy i pisano traktaty, a przecież nikt nie pytał o praktyczne zastosowania psychologii; co więcej, myśl taką uważanoby za niegodną przedmiotu.

Zajmować się psychologią, znaczyło rozmyślać nad tem, czy dusza jest materyalną, powstałą z elementów ognia lub powietrza, czy niematerialną, a więc nieprzestrzenną; czy prostą, czy złożoną, podzielną lub niepodzielną; znaczyło rozmyślać nad tem, gdzie jest jej siedlisko: czy w piersi, czy w głowie, czy w całem ciele; czy istniała przed utworzeniem się organizmu, czy też wraz z nim powstała, czy wreszcie razem z nim zginie, albo też żyć będzie wiecznie? Dodawszy do tych pytań jeszcze kilka innych, zwłaszcza dotyczących stosunku duszy do Boga; a więc: o ile duchowość nasza odbija pierwowzór ducha boskiego, o ile obciąża ją klątwa pierworodna, o ile w działaniach swych może być niezależną od woli Istoty Najwyższej i t. p. będziemy mieli przybliżone pojęcie o tem, czem była psychologia dawna, przez ciąg swego historycznego rozwoju.

Były to niewątpliwie usiłowania szlachetne, ćwiczenia myśli podnoszące ją nad poziom doczesnych potrzeb i wymagań, ale właśnie dlatego obracające się w mglistej lub nawet niedostępnej sferze tajemnic, z rzeczywistością codziennego życia nie wiele mających wspólnego.

Wziąwszy do ręki którykolwiek z metafizycznych podręczników psychologii, nawet z bieżącego jeszcze wieku, dowiesz się o tem czem jest substancya duszy, dowiesz się o „czystym rozumie", o absolucie, o stosunku jaźni naszej do jaźni bezwzględnej, o monadach duchowych, o jakichś

prawach apodyktycznych; ale nic z tego wszystkiego co twoje własne życie duchowe, co duchowe życie twoich bliźnich stanowi, nic z rzeczywistej tkanki wrażeń, myśli, uczuć, pragnień i nadziei; a zamiast rozbioru praw rządzących naszemi myślami i czynami, naszą pracą umysłową, rozwojem nałogów, walką namiętności i charakterów, znajdziesz analizę jakiegoś człowieka idealnego, oderwanego od warunków życiowych, jakąś duszę wolną, żyjącą bez ciała w abstrakcyach/ krótko mówiąc, jakiegoś filozofa wymarzonego, który ma być typem ludzkości a jest tylko wytworem tradycyi, życzeń i rozważań samego autora psychologii.

Jeżeli taki podręcznik nauki o zjawiskach duchowych porównasz z wykładem jakiejkolwiek nauki o zjawiskach materyalnych, a więc fizyki, chemii lub fizyologii, znajdziesz różnicę olbrzymią. Tu prawie wszystkie prawdy są wspólne dla wszystkich badaczy; tam co głowa to rozum. Tu fakty, opisy, doświadczenia, prawa, popierające wywody rozumowe; tam same wywody bez faktów. Tu na każdym prawie kroku czujesz możność sprawdzenia wniosków; tam nie czuć nawet możności dostępu do wygłaszanych tajemnic. Wszystko wisi w powietrzu, w eterze, gdzieś niesłychanie daleko od ziemi.

Czy taka psychologia mogła dać wyniki praktyczne? Zapewne że nie. I nie dziwi nas wcale, że jeden z myślicieli, którego o stronność w tym względzie posądzać niepodobna, że ś. p. Józef Kremer wyznał pod koniec życia rozglądając się w dziejowym rozwoju psychologii, iż żadna z teoryj metafizycznych nie zdołała rozwiązać najważniejszych zagadnień tej nauki, ani wytłómaczyć najzwyklejszych, najoczywistszych zjawisk duszy! A cóż dopiero mówić o zastosowaniach prawd teoretycznych do innych nauk, do sztuk, do życia!

Jeżeli prawdziwem jest zdanie Fryd. Max. Müllera, że umiejętności o tyle tylko rozwijają się i rosną,

o ile wydają pożytek praktyczny, chociażby pośrednio/ to sądząc po zeszłowiekowych badaniach psychologicznych, należałoby zwątpić o przyszłości tej nauki.

A przecież nauka o duszy powinnaby dostarczać wskazówek praktycznych dla nauki o kształceniu duszy, dla pedagogiki; dla nauki o leczeniu duszy, dla psychiatryi; dla nauki o karaniu duszy, a więc dla prawa karnego i t. d. i t. d.

Wszystkiego tego nie znajdujemy, lub znajdujemy w niesłychanie drobnym tylko stopniu, studyując dawniejsze traktaty filozoficzne o duszy.

A jeśli się zapytamy, dlaczego tak było, to odpowiedź da się streścić w kilku punktach:

1) Dawna psychologia miała zbyt oderwane, zbyt idealne pojęcie człowieka.

2) Zajmowała się przeważnie kwestyami, na zawsze albo przynajmniej w danej epoce dla umysłu ludzkiego niedostępnemi.

3) Układała swe poglądy odrazu w system skończony, nie pozostawiając pola do dyskusyi.

4) Gardziła metodą indukcyjną, opierając się głównie na dedukcyi, wskutek czego przeważał w niej charakter indywidualny — i

5) Niespostrzegała ścisłego związku, jaki wiązał tę naukę z innemi naukami niefilozoficznemi, od fizyologii począwszy.

Krótko mówiąc, nie mogła dać wyników praktycznych, ponieważ nie była nauką s p o s t r z e g a w c z ą, lecz r o z u m o w ą, ponieważ była, jak chciał jeszcze Kremer, „gałązką filozofii".

W starożytności było to całkiem na swojem miejscu. Wówczas „filozof" oznaczał mędrca do wszystkiego: był on i matematykiem i alchemikiem i lekarzem i astrologiem; wówczas wszystko było filozofią, bo wszystko było „miłością mądrości". Wkrótce jednak wydzieliła się z niej ma-

tematyka, później medycyna, znacznie później fizyka. Jeszcze Newton wykład fizyki tytułował: *Principia Philosophiae*, i rzeczywiście prawie do końca XVIII-go wieku uważano tę naukę za część filozofii. Rozrost nauk doświadczalnych w wieku XIX-tym odebrał filozofii fizykę, ale pozostawił jej jeszcze psychologię. Wprawdzie już Wolf, uczeń Leibniza w XVIII-tym wieku, uczuwszy pewną odrębność treści psychologii od innych „gałęzi" filozofii, rozdzielił ją na psychologię *empiryczną* i *racyonalną*, która to ostatnia nie dotyczyła już zjawisk, lecz ich wewnętrznej istoty; ale dla niego obie te nauki stanowiły jeszcze część filozofii, *na równi z fizyką i teologią*.

Dla nas zaś psychologia (empiryczna, a więc właściwa psychologia) nie jest i nie może być nauką filozoficzną. Psychologia opiera się na spostrzeżeniach; filozofia na pojęciach ogólnych, które z tamtych powstają. Filozof nie jest obserwatorem, lecz myślicielem. Obserwator, a więc badacz faktów, fizyk, fizyolog, psycholog, dostarcza mu tylko materyałów, które on obrabia rozumowo, nie potrzebując ich dochodzić doświadczalnie; w przeciwnym bowiem razie, t. j. bez takiego podziału pracy, uprawianie ogólnych teoryj, dochodzenie praw ogólnych, a więc uprawianie *filozofii*, byłoby przy dzisiejszym rozroście wiedzy poprostu niemożebnem.

Z drugiej strony, gdyby fizyk lub psycholog zamiast obserwować i zbierać fakty, chciał odrazu zgłębiać istotę rzeczy i wysnuwać ogólne na świat poglądy/ to nigdyby nauki nie posunął naprzód, obciążając ją tylko wielką ilością dowolnych hipotez. Ponieważ zaś, jak mówi Jan Śniadecki, lepszą jest rozsądna niewiadomość niż fałszywa nauka, lepiej więc kwestye istoty pozostawić na boku a zająć się obserwacyą tych objawów psychicznych codziennych, które znamy, albo raczej które możemy dobrze poznać, dobrze opisać i dobrze rozklasyfikować. Wtedy dopiero, kiedy nagromadzimy taką ilość faktów, spostrzeżeń

i doświadczeń, jaką posiada dzisiejsza fizyka lub chemia/ i gdy tak jak one nauczymy się oceniać wzajemny tych faktów związek i stosunek/ wtedy dopiero będzie mogła być mowa o owej racyonalnej psychologii Wolfa, która jednak nie będzie już właściwą psychologią, lecz *filozofią psychologii*, podobnie jak dzisiejsza ogólna teorya sił nie jest już fizyką, lecz jej filozofią.

Myśli powyższe, od dziesięciu lat przezemnie wyznawane, stały się w ostatnich czasach wyrazem opinii wielu postępowych pracowników, i z przyjemnością stwierdzić mogę, że, dzięki przykładowi angielskich psychologów, jesteśmy już w pełnym rozwoju/ że gmach psychologii doświadczalnej rośnie wspaniale w naszych oczach, na gruzach metafizycznych pomników.

Psychologia zaczyna mieć swoich specyalistów. Literatura jej bieżąca stanowi niemal połowę całej literatury filozoficznej, a co najważniejsza: ukazuje się coraz mniej zamkniętych systemów, w których psychologia stanowi tylko jedno do całości dopasowane kółko, a natomiast mnożą się studya pejedyncze, monografie, jako drobne, ale dobrze wypalone cegiełki do przyszłej wielkiej budowy. Mervoyer pisze dzieło o *kojarzeniu się wyobrażeń*, Joly o *instynkcie*, Ribot o *dziedziczności*, Sieczenow o *odruchach*, Murphy o *przyzwyczajeniu*, Dumont o *wrażliwości*, Bouillier o *uczuciach przyjemnych i przykrych*, Spencer o *śmiechu*, Maury o *śnie i marzeniach*, Strumpf o *pochodzeniu jednego tylko pojęcia przestrzeni* i t. d. i t. d. Jednem słowem, powstaje literatura studyów, podobna do tej jaką dawno już posiadają nauki przyrodnicze.

Co więcej, specyaliści innych działów wiedzy, widząc szybki rozrost psychologii doświadczalnej, zaczynają odczuwać potrzebę uzupełnienia swych badań w tym kierunku, i oto Zöllner, astronom, pisze o złudzeniach zmysłowych i o bezwiednem wnioskowaniu; Tyndall, fizyk,

o sile myśli w stosunku do sił fizycznych; Darwin, zoolog i botanik, o wyrazie uczuć; Steinthal, filolog, o stosunku psychologii do filologii i historyi; Fechner staje się z fizyka psychofizykiem, a Wundt z fizyologa psychologiem.

Takie odrodzenie badań duchowych nie mogło pozostać bez następstw. Psychologia stała się nauką samoistną, o własnym zakresie i własnej metodzie, a taka nauka *musi mieć zastosowania.*

1. ZASTOSOWANIA PSYCHOLOGII DO NAUK FILOZOFICZNYCH.

Ponieważ wyłączyliśmy psychologię z dziedziny nauk filozoficznych, zastanówmy się najprzód nad jej stosunkiem do tych ostatnich.

Jeżeli narzędziami wiedzy wogóle są spostrzeganie i rozumowanie, to narzędziem filozofii jest przedewszystkiem rozumowanie. Rozumowanie jest czynnością duchową, wszelkie czynności duchowe są przedmiotem psychologii, a więc psychologia musi być podstawą filozofii. Innym naukom wolno nie badać bliżej tego umysłowego narzędzia, opierając się jedynie na naturalnej, machinalnej jego znajomości; lecz filozofii, która jest samowiedzą wiedzy, takie zaniedbanie nie przystoi/ byłoby nawet zaprzeczeniem jej zadania. Ponieważ zaś z działów filozofii zadanie to specyalnie przypada Logice i Metodologii, te więc nauki z konieczności muszą się bezpośrednio oprzeć na psychologii — i oto pierwsze jej zastosowanie.

Ażeby wiedzieć jak należy rozumować, trzeba najprzód wiedzieć jak wogóle rozumujemy. Tylko krytyka różnorodnych sposobów rozumowania może doprowadzić do odróżnienia prawidłowych od nieprawidłowych, ścisłych od nieścisłych. Logika wprawdzie ma swoją sferę deduk-

cyjną która ją zbliża do matematyki, i pozwala na tworzenie formuł bez oglądania się na jakąkolwiekbądź inną naukę; ale sam punkt wyjścia, sama podstawa logiki, musi być psychologiczną. Zwykle też wykład jej poprzedzamy wstępem jeżeli nie całej psychologii myślenia, to przynajmniej teoryą pochodzenia pojęć i sądów; długi czas jednakże mimo tej teoretycznej ostrożności zapominano o niej w praktyce, t. j. w samem zastosowaniu teoryi pochodzenia pojęć do wykładu logiki. I wskutek tego logika była albo zbyt formalną, była tylko suchym szkieletem myśli żywej; albo też w formalną wmawiano, że jest treściową, zamieniając gwałtem tezy szematyczne o stosunkach bytu, na tezy substancyonalne o samym bycie; wmawiano w nas, że szkielet jest zupełnie wiernem odbiciem całego ciała.

Taką była logika heglowska, mająca niby stanowić postęp od logiki Kanta. Dla czego zaś nie był to postęp rzeczywisty? Dla tej prostej przyczyny, że czując potrzebę, a nawet konieczność, zbliżenia form myśli do bytu, dokonano tego zbliżenia drogą nienaturalną, *niepsychologiczną*. I trzeba było dopiero reformy Milla i Baina, żeby suchy szkielet logiki pokrył się żywem ciałem treści umiejętnej, żeby z mechanizmu martwego, stał się organizmem żywym. W jaki sposób? Przez proste, ale zupełne, śmiałe *zastosowanie psychologicznej teoryi pochodzenia pojęć i sądów*, przez dodanie rusztowaniom logicznym fundamentu treściowego ze wszystkich innych działów wiedzy. Wtedy dopiero logika zaczęła być *praktyczną*, i tylko taka mogła być treściową nie przestając być formalną; mogła mówić coś o bycie, nie mówiąc jednak za wiele; mogła mówić o formach, nie mówiąc za mało.

Zrozumiawszy, że umiejętna wartość pojęć powinna być mierzona nie tylko ich stosunkami szematycznymi, ale także ich pochodzeniem z wrażeń i wartością tych wrażeń; wiedząc, że obok sądów dojrzałych: ze *szczegółów o ogóle* lub *z ogółu o szczegółach*, istnieją nic warte logicznie a jed-

nak najpospolitsze u większości ludzi, u dzieci, u dzikich i u zwierząt sądy ze *szczegółu o szczególe*, a nawet *z jednego szczegółu o ogóle*, jako podścielisko na którem tamte dojrzewają; zrozumiawszy wreszcie, że teorya syllogizmu jest tylko szczególnym przypadkiem teoryi skojarzeń, a mianowicie skojarzeń na zasadzie przyczynowości; będziemy mieli dopiero właściwe pojęcie o tem, jaką przysługę umiejętną oddaje psychologia logice, jak dalece rozjaśnia jej własną samowiedzę i jak zastosowaniem swoich prawd pozwala jej samej znaleźć zastosowanie do wszystkich innych nauk.

Teorya logiki jest w takim stosunku do myślenia praktycznego, jak teorya muzyki do gry na różnych instrumentach. Grać można i bez teoryi, ale właściwą umiejętność, umiejętność świadomą siebie, daje tylko teorya; teorya zaś muzyki musi się oprzeć na fizycznej teoryi dźwięków, podobnie jak logika na psychologicznej teoryi myślenia.

Jakże wielu błędów uniknęłaby filozofia w swym rozwoju, gdyby, poświęcając tak wiele sił oderwanej logice, pamiętała o jej związku z psychologią! Uporczywa walka „realistów" z „nominalistami" przez przeciąg kilku wieków byłaby niepotrzebną, gdyby uznano wcześniej ten tak prosty axiomat psychologiczny Stoików, że wyobrażenia z wrażeń tylko powstawać mogą. Pamiętając o tem niepodobnaby było sprzeczać się o to: czy „universalia" istnieją *ante rem*, czy *in re*, czy tylko *post rem*. Podobnież reforma Kanta, dotycząca względności naszej wiedzy i niemożności poznania *rzeczy samej w sobie*, byłaby zbyteczną we dwadzieścia z górą wieków po Cyrenaikach, którzy toż samo głosili. Nie przyjęto zaś tej teoryi dla tego tylko, że jej podstawa psychologiczna nie była ustaloną, albo raczej, że potrzeby tego ustalenia wcale nie odczuwano.

Ale i dzisiaj, czyż my już dostatecznie zrozumieliśmy konieczność pamiętania o tem, jakiemi się posługujemy narzędziami i co za ich pomocą zdziałać możemy? Wszak

i dziś czytamy różne próbki rozwiązywania zagadnień, dla których rozwiązania potrzebowalibyśmy mieć całkiem inną organizacyę umysłową, o wiele wyższą od dzisiejszej. Nie jestże to prosta strata czasu, gdy nawet taki Wundt szeroko zastanawia się nad tem, czy czas jest skończony, czy nieskończony? Albo nie jestże to zapomnieniem o najprostszych zasadach psychologii, gdy np. Kremer powiada nam, że panteizm jako system upada wobec szlachetnych *uczuć* natury ludzkiej?... Jakim sposobem uczucia, choćby najszlachetniejsze, mogą decydować o prawdziwości systemu? Cóżby powiedział Kremer-estetyk, gdybyśmy chcieli oceniać piękność legendy według tego czy wszystko w niej zgadza się z rozumem? A przecież nie byłoby to bardziej niestosownem niż ocenianie teoryi filozoficznej miarą upodobań uczuciowych! Tylko zaś psychologia, pouczająca o zakresie każdej władzy, może nas uchronić od używania niewłaściwych narzędzi, lub przeceniania wartości tych, jakiemi nas dotychczasowy rozwój ludzkości obdarzył.

Równie płodnym w praktyczne wskazówki okaże się stosunek psychologii do estetyki. Jest on bardzo wielostronny. Najprzód bowiem, nie inna nauka, tylko psychologia może nam wskazać właściwe *zadanie sztuki;* to bowiem do czego sztuka zmierza jest ostatecznie wrażeniem i wzruszeniem ducha, a więc wchodzi w zakres psychologii. Wykazując o ile sztuka może rozbudzać czynności duchowe i przez nie oddziaływać na charakter czynów, psychologia wskazuje obszerne, ale zarazem stanowcze granice, w obrębie których sztuka poruszać się może i poza które przechodzić nie powinna — jeżeli dba o spełnienie swych celów. Pochodzenie uczuć i wyobrażeń z wrażeń objaśnia nam dla czego sztuka, przewyższając naturę, korzysta zarazem ze wszystkich atrybutów tej ostatniej, w stopniu mniej lub więcej rozległym. Pod względem tła mniej żywa od natury, ale potężniejsza od niej ześrodkowaniem postrzeżeń i celowym ich układem, działa ona silnie/ lecz dzia-

ła wtedy tylko, gdy to ześrodkowanie i ta celowość nie odbiegają zbytecznie od układów, jakie umysł nasz przywykł spotykać w naturze.

Wskazawszy zaś granice działania, psychologia wskazuje zarazem możność wpływu. Opiera się ona na związku rozbudzonych uczuć z czynami. Chociażby uczucia podniosłe, przez sztukę wytworzone, nie mogły wprost przejść w czyny/ to jednak przez to samo, że istnieją, popierają i podnoszą siłę innych uczuć szlachetnych, drogą naturalną powstałych, a tem samem uszlachetniają. Powiadają wprawdzie niektórzy niby pozytywni estetycy, że całem zadaniem sztuki jest przyjemność; ale nie należy zapominać, że takie określenie, jakkolwiek *psychologiczne*, nie jest *estetycznem;* a psychologia chociaż musi być podstawą estetyki nie jest nią samą. Psycholog sprowadza wrażenia estetyczne do kategoryj przyjemnych, ale z tej kategoryi estetyk odcina tylko to, co mu się godzi nazwać estetycznem. I to właśnie jest jednym z powodów, dla których psychologię musimy uważać za naukę odrębną od filozofii: od logiki, estetyki i etyki. Tamta uczy tylko o tem co jest i jak jest — ta: jak być powinno. Psychologia nie może wskazywać szczegółowego celu estetyce, ale wskazuje jej, o ile ten cel osiągnąć się daje. Ona nie dba o to, czy celem sztuki jest prosta przyjemność, czy też tylko pewne jej rodzaje; ale uczy, że w każdym razie ta przyjemność jest podwójna, zmysłową i umysłową, i ostrzega, że jeśli sztuka pamiętając o celu, zapomni o środkach, jeśli np. zechce moralizować i gwałtem wpływać wprost na czyny, nie przez pośrednictwo uczuć i fantazyi/ to zrobi fiasco, bo straci siłę właściwą naturze, właściwą wrażeniom bezpośrednim, doświadczeniom życiowym, a nie zyska siły właściwej sztuce, właściwej wrażeniom symbolicznym i obrazom fantazyi.

Niechże ktoś zechce np. napisać powieść, w której pojęcia będą miały przewagę nad wyobrażeniami, poglądy nad obrazami/ a przekona się, że wpływu żadnego nie wy-

wrze i tylko znuży czytelnika. Estetyka oparta na psychologii objaśni go, że powieść, jako będąca odbiciem życia, musi mieć barwę tego ostatniego, a ta wcale nie jest abstrakcyjną.

Przeciwnie, napisany w ten sposób utwór filozoficzny, obrazowo, z całym przyborem porównań i przenośni, może być wprawdzie popularnym, ale nie będzie ścisłym i jasnym w całości; bo pojęcia ogólne rzadko dają się uplastycznić bez narażenia na szwank ich zakresu: szata barw i kształtów jest dla nich najczęściej za szczupłą lub za obszerną.

Tak więc wszystko musi mieć swą sferę i swą miarę, a tę sferę i miarę wskazuje właśnie psychologia.

Podobnież, jeśli weźmiemy już nie samą formę sztuki, ale szczegółowe kreacye artysty, w dramacie naprzykład/ to i tu krytyka sztuki musi być co najmniej podwójną: estetyczną i psychologiczną. Estetyk zajmie się wartością typów, pięknem sytuacyi i tendencyą; psycholog zaś — prawdą charakterów, mechanizmem uczuć i przyczynowością zdarzeń.

Jedno bez drugiego będzie dopiero połową krytyki. Cóżby to był za dramat, w którym determinizm uczuć i woli nie byłby święcie szanowany; w którym list przez nikogo nieprzewidziany i niczem nieusprawiedliwiony decydowałby o losie bohaterów; w którymby charaktery osób co akt się zmieniały; w którymby kochającym kazano się naraz nienawidzieć, bez żadnej psychologicznej racyi?

Ale z drugiej strony wszystko to, co mógłby pochwalić psycholog, niekoniecznie jeszcze stanowiłoby o *estetycznej* wartości dramatu; charaktery mogą być prawdziwe, uczucia logicznie skombinowane, czyny deterministycznie przeprowadzone, a jednak nie będzie to jeszcze *sztuka*, jeśli w typach nie ma uzmysłowienia wartości estetycznej lub moralnej, jeśli w sytuacyach nie ma artyzmu a w czynach wzniesienia się nad tło pospolite, czy to w kie-

runku dodatnim czy ujemnym. Nie przeceniamy doniosłości zastosowań psychologii w tym względzie, ale chcemy uwydatnić ich wartość.

A rozpatrzyliśmy dotychczas dopiero jedną ich stronę. Druga niemniej jest ważną. Psychologia tłómaczy nam nie tylko tajemnicę wpływu sztuki, ale i jej genezę.

Jeżeli artysta, jak wykazał Taine, staje się zrozumiałym dopiero na tle epoki i bliższych szczegółów otoczenia, jeżeli teoryę sztuki objaśnia nam historya sztuki/ to wszystko to staje się wewnętrznie jasnem dopiero wtedy, gdy się znajdzie na tle ogólno ludzkich praw duchowych, praw powstawania i rozwoju uczuć estetycznych, praw budzenia się i koncentrowania twórczości. Tylko psychologia może nam objaśnić dla czego poezya poprzedzała zawsze prozę, poezya liryczna — dramatyczną, muzyka melodyjna — harmoniczną i t. p., podkładając pod fakty dziejowej genezy i rozwoju sztuki, ogólne prawa genezy uczuć i fantazyi. Zatem i historyk sztuki i krytyk jej i sam twórca, muszą być po części psychologami. Jeżeli zaś nawet najznakomitsi z nich nie zawsze są psychologami świadomie, to są nimi bezwiednie, intuicyjnie, tak jak Szekspir lub Balzac, którzy nie znając formuły praw psychologicznych znają jednak, a raczej *czują* intuicyjnie ich mechanizm i odtwarzają go z prawdą zdumiewającą.

W estetyce psychologia, mimo licznych swych zastosowań, nie może jednak a przynajmniej nie mogła dotychczas grać roli mentora. Tworzyć nie uczy ona nikogo, mimo że objaśnia proces tworzenia; i nawet wątpić należy, czy i przy dalszym rozwoju tej nauki potrafi zastąpić przejaw tak zwanego natchnienia psychologiczną rozwagą w rzeczach treści i formy. Istotą bowiem produkcyi artystycznej jest jej samorodność, jest swobodny polot fantazyi. Estetyka, nawet na najlepszej psychologii oparta, nie stworzy prawideł dla twórczości, nie ośmieli się powiedzieć artyście: twórz tak a nie inaczej; ona tylko dawać może

wskazóki ogólne, i objaśnianiem procesów dokonanych, przyczynić się do *usamowiednienia dokonać się mających.*

Tymczasem w etyce mogą już a nawet muszą wystąpić prawidła, kategoryczne imperatywy, wprost rozkazujące. To też i zastosowania psychologii będą tu widoczniejsze, bardziej stanowcze. Estetyka oparta na psychologii staje się zdrową radą, etyka oparta na psychologii — nakazem lub zakazem.

Wprawdzie niektórzy nowsi myśliciele chcieli odebrać etyce ten imperatywny charakter, przyznając jej jedynie znaczenie historyi naturalnej, która opisuje i klasyfikuje różne o moralności pojęcia, ale ich nie ma prawa narzucać. Co do mnie jednak sądzę, że jeśli obok fizyologii istnieje higiena, to obok historyi pojęć moralnych ma prawo istnieć i etyka właściwa. Pierwsze mówią jak się dzieje, drugie jak się dziać powinno. Odebrać etyce jej charakter normatywny, jest to odebrać jej racyę bytu; a jakkolwiek względnemi są i muszą być pojęcia moralności, to jednak w każdem z nich ukryty jest popęd do czynu, i moralność nie wymagająca urzeczywistnienia, przestaje być moralnością.

Alboż zresztą jedno zadanie przeszkadza drugiemu? Czyż fakt ciągłego wyrabiania i przerabiania się pojęć moralnych zaprzecza względnej ich stałości i sile, w epoce i w otoczeniu w jakiem żyjemy? Czyż nawet w ogólnym dziejowym rozwoju moralności nie ma pierwiastków zasadniczych wspólnych, ogólno-wiekowych i ogólno-ludzkich? A te pierwiastki właśnie, ten grunt uczuć moralnych, zbadany psychologicznie, może nam dać prawo przejścia ze sfery teoryi do praktyki, z historyi moralności do jej nakazów i zakazów.

Zapewne, że uczucia moralne najuczciwszego Rzymianina, który bez wstrętu i grozy patrzył na szarpanie się podjudzonych zwierząt, na walkę śmiertelną gladyatorów, ba! nawet na męczarnie bezbronnych niewolników, rzuca-

nych lwom na pastwę dla igraszki tłumu, o wiele się różniły od uczuć przeciętnego człowieka dzisiejszych czasów; ale i tu i tam różnica uczuć miała tęż samą podstawę psychologiczną, w tradycyi, w nałogach, w wychowaniu, w przesądach i w oświacie. I tu i tam uczucia, za moralne uważane, miały swój charakter normatywny, bo i tu i tam, jak każde uczucia silniejsze, przechodziły w popędy.

Nauka więc o moralności musi mieć charakter podwójny. Z jednej strony, na podstawie ogólnej psychologii opisuje i objaśnia jak powstawały uczucia i pojęcia moralne; z drugiej, na podstawie równie psychologicznej znajomości natury ludzkiej, stawia postulaty woli zbiorowej i narzuca je wolom jednostkowym.

Ten ostatni punkt, wyrażający konieczność oparcia etyki rozkazującej na psychologii, najbardziej bywał dotychczas zaniedbywany. Główne zasady moralności, kurs w kraju mające, wyrabiały się nie tyle w samem społeczeństwie, ile poza niem, nie tyle przez rozwój i wykształcenie woli zbiorowej, ile raczej przez oderwaną spekulacyę myślicieli, którzy z życia przejmowali zaledwie echa doświadczeń. I stąd też pomiędzy moralnością *praktykowaną* przez ludzi uczciwych a moralnością *wyznawaną* wyraźowo, zachodziła i zachodzi przepaść niemożliwa do zasypania. Pierwsza mówi: bądź rozsądnym i dbaj przedewszystkiem o swoje cele, druga każe ogół bliźnich kochać jak samego siebie; tamta zaleca dbanie o własny honor i nie poniżanie się wobec silniejszych, ta radzi nadstawić drugi policzek, gdy jeden znieważono i ceni przedewszystkiem pokorę; tamta usprawiedliwia wojnę w słusznej sprawie, ta mówi krótko: nie zabijaj!

Nie ulega wątpliwości, że ideał moralny musi się wznosić ponad rzeczywistość stosunków/ że zasady, symbolizujące tylko to co jest, nie są i nie mogą być zasadami moralnemi; ale z drugiej strony pomiędzy charakterem nakazu moralnego a przyrodzonemi prawami natury ludzkiej

nie powinien istnieć przedział zbyt wielki, jeżeli pierwszy nie ma pozostać czczem słowem, blichtrem, maską/ jeżeli etyka ma się stać siłą żywą.

A pierwszym do tego warunkiem jest *psychologiczne* ugruntowanie praw moralnych/ ugruntowanie takie, w któremby natura ludzka nie była wprost zapomnianą. Intuicya zakonodawców moralności odczuwała nieraz potrzebę tej podpory. Chrystusowa np. zasada przebaczenia jest nie tylko wzniosłą, ale i psychologiczną zarazem; bo zrozumienie ogólnej przyczynowości woli ludzkiej musi kiedyś złagodzić naszą dzikość/ stawiając moralność Nowego Testamentu, która każe przebaczać nieprzyjaciołom, chlebem za kamień oddawać, na miejscu moralności Starego Testamentu, która oko za oko, ząb za ząb bierze. Ale zarazem i to pozostaje pewnem, że jeżeli zechcemy obok zasady *przebaczenia* postawić nakaz nadstawiania drugiego policzka, po otrzymanej zniewadze, to żądanie takie pozostanie w większości wypadków próżnem, dopóki natura ludzka będzie taką jaką jest, jaką jest od lat tysięcy.

Moralność więc, która chce być wysłuchaną przez organizacye przeciętne i która ma zapewnić zdrowie moralne ogólnemu organizmowi społecznemu, musi oprzeć się na psychologii.

2. ZASTOSOWANIA PEDAGOGICZNE.

A cóż dopiero mówić o tej nauce, która nie tylko chce wskazać i sformułować zasady moralne, lecz nadto w życie je wprowadzić? Nie tylko uczyć jakim człowiek być powinien, ale nadto uczynić go takim — *wychować go?* Tu już z samej natury rzeczy związek z psychologią musi być jeszcze ściślejszym. P e d a g o g i k a musi się oprzeć na psychologii, jak higiena i medycyna opierają się na fizyologii, to znaczy najściślej, bezpośrednio.

Ogólne uznanie tej prawdy nie ulegało nigdy zaprzeczeniu; ale inaczej się rzecz ma z jej urzeczywistnieniem. Od tego jesteśmy jeszcze bardzo dalecy. Każdy wprawdzie przyznaje, że chcąc hodować daną roślinę, trzeba znać jej naturę, a tem więcej naturę istoty żywej i czynnej, którą chcemy wychować; lecz mimo to traktujemy pedagogikę jako naukę samoistną, i sądzimy, że wykładając jej system w odosobnieniu, potrafimy uzdolnić ludzi do wychowywania drugich. Jest to błąd bardzo wielki. Ktokolwiek widział jak przyjmowaną bywa nauka pedagogiki przez umysły młode, lub w jaki sposób nieuzdolnieni odpowiednio rodzice korzystają z podręczników pedagogii ogólnej, ten musiał się bardzo rozczarować co do pożytku takiej nauki. A nie jest to nawet winą samych piszących lub wykładających. Nigdy bowiem podręcznik, jeżeli ma być istotnie podręcznikiem a nie encyklopedyą, nie może objąć tego ogromu pytań szczegółowych, jakie się nastręczają każdemu ojcu lub matce. Iluż to tysięcznym modyfikacyom ulega odpowiedź na pytanie pedagogiczne, w zastosowaniu do natury dziecka i wszystkich warunków, w których ono żyje lub żyło! Niedziw też, że pedagogowie książkowi są często najgorszymi pedagogami. A przecież tu już chyba niepodobna uznawać rozdziału takiego, jak między artystą a krytykiem. Można źle grać, a jednak znać się na muzyce; ale trudno przyznać, że *znał się* na pedagogice człowiek, który własne dzieci źle wychował; choć mogę nieraz przyznać fakt odwrotny dobrego wychowania tam, gdzie umiejętności pedagogiki książkowej nie było. A jedno i drugie dla tej przyczyny, że *pedagogika nie jest nauką samoistną, lecz tylko psychologią praktyczną, stosowaną.*

Dawniej kiedy psychologię uważano za gałęź filozofii, kiedy jej podręczniki były kwintesencyą z historyi filozofii wyciągniętą, można się było nie tylko psychologii, ale i pedagogiki uczyć z *systemów* filozoficznych; dziś, kiedy naukę opieramy nie na tradycyi teoryi, lecz na sile i war-

tości spostrzeżeń życiowych, dziś dobry pedagog *musi być przedewszystkiem sam spostrzegaczem, musi być przywykłym do spostrzegania własnych i odczuwania obcych stanów duchowych;* a jeśli tę sztukę posiada, to w najlepszym podręczniku pedagogicznym niewiele już znajdzie nowego, chyba tylko usystematyzowanie tego co już wiedział; zaś bez tej sztuki wrodzonej lub pracą nabytej, żaden podręcznik nie tylko pedagoga zeń nie uczyni, ale nawet pracy wychowania nie ułatwi.

Chcąc być dobrym pedagogiem, trzeba nim zacząć być od dzieciństwa i śmiem twierdzić, że tylko ci dosięgli tego stopnia, którzy już wtedy, kiedy sami byli wychowywani, zastanawiali się nad skutkami postępowania z nimi, którzy już wtedy *doświadczali psychologicznie.* Psychologia więc musi poprzedzać pedagogikę/ nie w szeregu rozdziałów, tylko w życiu. Uczmy dzieci obserwować siebie i drugich, a będziemy mieli dobrych pedagogów. Obserwujmy dzieci uczące się, a staniemy się sami pedagogami — jeśli... jeśli nas uczono obserwować, gdyśmy byli dziećmi.

Jest to zapewne *circulus vitiosus,* który jednak natura sama rozwiązuje często, dając jednostkom samorodne zdolności spostrzegawcze. Gdzie jest ta zdolność wrodzona i wyrobiona, tam już czytanie dzieł pedagogicznych, ćwiczenia i dysputy, dopełnią reszty/ ale gruntem i podstawą umiejętności musi być psychologia, psychologia żywa, rozwijająca się wraz z jednostką.

J a k n a j w i ę c e j s w o b o d y d l a t a k i e g o r o z w o j u; oto pierwsza gwarancya dobroci przyszłej pedagogiki.

A teraz zobaczmy drugą.

Jest nią już psychologia książkowa/ rozumie się ta, która się opiera na doświadczeniach, na fizyologii, na statystyce, na historyi i etnografii, a która pozwala *rozszerzyć* widnokrąg własnych spostrzeżeń, *uściślić* sposób ich for-

mułowania i *ustosunkować* ich praktyczność dla danej umysłowości w danych warunkach społecznych i towarzyskich. Pojedynczy obserwator nie może np. przeczuć, czy w wychowanku jego nie odezwą się jakieś dziedziczne skłonności, które długo mogą być utajone/ ale czytanie dzieła o dziedziczności może zwrócić jego uwagę na stosunki rodzinne i pozwolić mu przygotować się odpowiednio.

Wogóle, tylko gruntowne psychologiczne przygotowanie może uzdolnić do korzystnego studyowania pedagogiki, sprawiając, że nakazy jej lub zakazy będą się rozumiały same przez się; w przeciwnym razie pedagogika będzie tylko zbiorem recept, nie więcej dla ogółu zrozumiałych jak recepty lekarskie, wypełnianych ślepo, najczęściej jeszcze niedokładnie.

Zachodzi tu zupełnie ten sam wypadek co ze stosunkiem fizyologii do wychowania fizycznego. Ktoś, co zna przepisy higieniczne, a nie zna fizyologii, będzie zawsze zalecał wszystkim albo zimną wodę, albo flanelowe kaftaniki, albo gimnastykę, albo wegetaryanizm, bez względu na różnice indywidualne, bez względu na przeszłość i obecne warunki wychowańca/ dla tego tylko, że taki lub inny system zaleca ten lub ów specyalista; nie potrafi on rozumnie *zastosować* każdego środka w czasie i miejscu właściwem, których to szczegółowych wypadków żaden podręcznik przewidzieć i wyliczyć nie może. Niechże mi np. którykolwiek pedagog wskaże z góry wszelkie odmiany w stosowaniu zasadniczego środka pedagogicznego: *kary* i *nagrody*, wobec różnorodnych charakterów, temperamentów i ich warunków życiowych! A tymczasem taż sama kara może się stać w jednym i tym samym wypadku, tylko u różnych organizmów, już to pożyteczną, już szkodliwą. Jedno dziecko wbije w ambicyę, drugiemu ją odbierze; jedno zachęci, drugie zniechęci; dla jednego będzie za silną, dla drugiego za słabą. Te zaś wszystkie następstwa przewidzi tylko ten, kto wychowując obserwuje, kto ob-

serwował pierwej, zanim wychowywał, i bezustannie odczuwa psychologicznie, fizyczne i moralne usposobienie dziecka, na tle przyrodzonej jego organizacyi. Nie powiem za wiele, utrzymując, że ile jest odmian i kombinacyj charakterów, temperamentów i warunków otoczenia, tyle musi być szczegółowych systemów pedagogicznych, systemów, których odnośną zmianę wskaże jedynie własna trzeźwa obserwacya.

Równie widoczne zastosowanie znajduje psychologia w dziedzinie kształcenia władz rozumowych. Jeżeli istniały dobre metody nauczania przed ustaleniem się psychologicznego pewnika, że *wyobrażenia tworzą się z wrażeń, a pojęcia z wyobrażeń*, to mogły to być tylko te, które ten pewnik praktycznie uznały. A jeśli dziś istnieją fałszywe metody nauczania, to przedewszystkiem te, które się do tej prawdy w całej rozciągłości nie stosują. Oto co się nazywa zależność zasadnicza!

Na czemże polega wyższość metody Froebla i innych *okazowych* nad dawnemi *wyrazowemi*, jeżeli nie na uznaniu tego tak prostego pewnika? Ale czy już dzisiaj pojęto go w zupełności i wprowwadzono w życie wszystkie zbawienne przestrogi, jakie daje? Niestety, nie. Ileż to dzieci dziś jeszcze uczą oderwanych pojęć dogmatycznych, zanim mogły wytworzyć sobie wyobrażenia z których powstały; iluż dzieciom każą wyrazowo nabywać wyobrażenia, dla których wrażeniowego materyału jeszcze poznać nie mogły! Czytając dzisiejsze pisma i pisemka dla dzieci zdumiewać się trzeba nieraz, jak może autor, w najprostszem i nieraz treścią nawet odpowiedniem opowiadaniu, używać wyrazów, którychby sam dokładnie zdefinować nie potrafi, a które przecież w umysł dziecka wsiąkają jak plamy, zaciemniając jasne tło żywych jego myśli. I stopniowo w ten sposób przyucza się je do używania wyrazów, których nie rozumie, do zastępowania treści formą, a więc do czczej frazeologii.

Z początku śmiały i zdrowy z natury jego umysł drażnią te luki wyobrażeniowe, ale później oswaja się z niemi, przyzwyczaja się do nich i, dorósłszy, powiększa szeregi salonowych rozprawiaczy „o wszystkich rzeczach i niektórych innych", ludzi nieraz za wykształconych uważanych, a którzy np. objaśnienie: że fosfor świeci, ponieważ ma własność świecenia, albo dowodzenie, że człowiek ma duszę nieśmiertelną, *ponieważ* tem się różni od zwierząt, przyjmują za dobrą monetę.

Kto chce przekonać się jak dalece zgubnym jest wpływ takiego wyrazowego kształcenia, podstawiającego dźwięki za treść, nomenklaturę za okazy lub same zjawiska, skojarzenia przypadkowe za przyczynowe, ten niech posłucha popularnych rozpraw o medycynie. Wyraz techniczny jest w nich wszystkiem; kto go użyje, rozstrzyga rzecz ostatecznie; mniejsza, że użyto go ni w pięć ni w dziewięć/ dość że znaleziono punkt oparcia dla myśli, dźwięk dla wyobraźni. Żyły, nerwy, mięśnie, opłucna, osierdzie, pęcherz, gruczoły, wszystko to zlewa się w tych dysputach w jeden chaos, nienapotykany nawet w przed-Galenowych anatomiach. „Mam dużo mięsa", mówił mi pewien uczony filolog, „ale muskułów nie mam wcale i w tem jest moja choroba". Inny skarżył się, że mu nerwy popuchły a żołądek tak się wydłużył, że cokolwiek wypije zaraz mu się w nogi przelewa... A całe nieszczęście w tem, że ludzie ci nauczyli się używać wyrazów: nerw, muskuł, żołądek i t. p., nie troszcząc się o drogę, jaką wyobrażenia te nabyli.

W zwykłem życiu i odnośnie do nauk doświadczalnych, nazywamy to poprostu nieuctwem; ale inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o wyższe sfery abstrakcyi, gdy chodzi np. o filozofię. Wówczas ten sam rozbrat pomiędzy wrażeniami zmysłowemi a wyobrażeniami, i temi ostatniemi a pojęciami stopni ogólniejszych, zowie się umiejętnością specyalną, zowie się metafizyką. Zadaniem nawet filozofii

jest, jak mówił Kremer, „oswobodzić (!) myślenie od wszelkich *obcych* pierwiastków, przymieszanych zwykle do niego, odgarnąć od myśli wpływy uczuć, *wyobrażeń, doświadczenia* i t. p., słowem, usamowolnić myśl od czarodziejskich potęg, które ciżbą zewsząd uderzają na ducha naszego". I cóż dziwnego, że w tej samotni czystego ducha rodzą się różne *czyste*, ba! *próżne* nawet abstrakcye, że się kręcą bicze z piasku, skoro, jak powiada Trentowski, „w umiejętności nie dość wziąć się do roboty; pierwej *calc i materyał trzeba stworzyć samemu*".

Czy ci ludzie nie znali psychologii? Czy nie wiedzieli, że wyobrażenia tylko z wrażeń powstają? Oni tę prawdę znali, tylko nie wiedzieli co ona znaczy; oni znali psychologię, *ale nie znali jej zastosowań.*

Nie tylko jednak przy wysnuwaniu i wiązaniu pojęć czysto filozoficznych, psychologia powinna miarę właściwą rozumowaniom nadawać. Takież samo światło rzuca ona nawet na szczegółowe wywody przyrodnicze. Tak np. używanie pojęć *atomu, siły, próżni* i t. p. zyskałoby wiele na ścisłości, gdyby się w niem rachowano z psychologiczną tych pojęć genezą. Znając pochodzenie pojęcia siły z wrażeń mięśniowych, nie przypisywanoby mu rzeczywistości odrębnej od ruchu i nie tworzono teoryj dynamistycznych, w których świat realny rozpływa się w nieujętą mgłę jakichś centrów siłowych, w których ruch istnieje bez przedmiotu poruszającego się, a słońce działa na ziemię w sposób mistyczny przez próżnię z odległości!...

Cóżbyśmy powiedzieli o człowieku, któryby nożyczkami chciał też same nożyczki przekroić, oczów używać do słuchania, albo chodzić bez kurczenia mięśni? A przecież nie czem innem jest używanie pojęć materyi, siły, próżni i t. p. bez względu na ich naturę, zakres i pochodzenie, bez uwagi na ich względność genetyczną, bez rachowania się z prawami myśli.

3. ZASTOSOWANIA DO NAUK HISTORYCZNYCH I SPOŁECZNYCH.

Tak więc psychologia może się przydać nawet fizyce. Tem więcej może ona rozjaśnić naturalny, genetyczny związek teoryj filozoficznych. Psychologia historyi filozofii, gdyby ją kto napisał, wykazująca na podstawie praw psychologicznych budzenie się nowych poglądów na świat, w przeciwstawieniu do dawniejszych, byłaby niewątpliwie książką bardzo ciekawą. Myślenie narodów nie ma praw innych niż myślenie pojedynczego człowieka, który dochodzi prawdy, rozważa, przerzuca się z krańca w kraniec, żeby następnie ustalić w sobie jakiś eklektyzm, najbardziej jego temperamentowi odpowiadający. Nie należy tylko zbyt jednostkowej miary przykładać do rozwoju dziejowego i spieszyć się z oznaczeniem epok, a zwłaszcza epok dzieciństwa, dojrzałości i starości, skoro nie wiemy jeszcze czy rozwój dalszych okresów nie przyniesie nam zwrotów niespodziewanych?

Nie powinniśmy też, rozumiejąc psychologiczną prawidłowość powstawania systemów filozoficznych, uważać historyi filozofii/ jak to się często czyni/ w odosobnieniu od całego rozwoju cywilizacyi, a filozofów w odosobnieniu od wpływów pospolitych, życiowych, towarzyskich, jakim ulegać musieli i które jedynie mogą nam mniej jasne strony ich systemów wyświetlić. Kto nie zdoła odtworzyć w sobie stanu moralnej atmosfery, który poprzedzał i towarzyszył rozwojowi filozofii kantowskiej, herbatowskiej lub heglowskiej, ten zawsze będzie w nich widział za wiele, albo za mało, i nieraz napróżno będzie sobie łamał głowę nad zrozumieniem pobudki, która mogła skłonić autora do wypowiadania z niezwykłym naciskiem jakiegoś dziwacznego dla nas zdania. Trzeba zawsze pamiętać o tem, że czysty ideał logicznej, objektywnej duszy, dotychczas nie urzeczywist-

nił się na świecie/ i że motorem abstrakcyi nawet, pozostają zawsze nie syllogizmy czystego rozumu, lecz *uczucia*. Gdzie same prawa logiczne nie wystarczają do objaśnienia stosunków między systemami, tam — szukajcie uczuć! Gdzie nagle powstaje sceptycyzm z dogmatyzmu, z optymizmu pessymizm, z realizmu idealizm — szukajcie uczuć! Gdzie nowy system bez oczywistej racyi zbacza od poprzedniego i nową gwałtem wciąga szatę — szukajcie uczuć! One tkwią pod tkanką syllogizmów i kategoryj, jak paląca się słoma pod balonem Mongolfiera, jak sprężyna pod kółkami zegara, jak nerwy pod włóknami mięśni. Metafizyk nie przestaje być człowiekiem, chociażby gwałtem twierdził, że jest czystą jaźnią, która tylko z absolutem miewa stosunek. Chcąc żeby toga filozofa nie zakryła oblicza człowieka, musimy pod barwisty transparent filozoficznych systemów podłożyć jednolite a jasne światło psychologicznych praw umysłu.

Mamże dodać, że toż samo i w stopniu wyższym jeszcze, stosuje się do właściwych dziejów powszechnych? Nie jestże historya przedewszystkiem objawem ducha? A jakkolwiek w nowszych czasach usiłowano nadać jej cechę fizyki, sprowadzając motywy czynów do warunków materyalnych, to jednak nie mniej pozostało prawdą, że te warunki nie pojawiają się w czynach inaczej, jak przez pośrednictwo stanów psychicznych, że więc nie co innego tylko te ostatnie uważać musimy za bezpośrednie motory dziejów. I stąd, jak słusznie powiedział Steinthal, „Psychologia jest dla Historyi specyalną nauką zasad". Starać się zrozumieć dzieje, znaczy to stosować do nich psychologię.

Ale ten drobny na pozór warunek wkłada na dziejopisów bardzo ciężkie obowiązki. Od chwili uznania go, jakże wielu tak zwanym historykom będziemy zmuszeni odmówić tego tytułu! Potrzeba bowiem znajomości psychologii, a raczej umiejętności psychologa w historyku, pociąga

za sobą inne. Ponieważ źródłem pojęć, uczuć i popędów są przeważnie warunki zewnętrzne, historyk musi je znać; musi znać nie tylko te, które wynikają z klimatu i ukształtowania granic i brzegów, z natury gleby, flory i fauny/ boć przecie flora i fauna Grecyi i Egiptu nie były bez wpływu na ich dobrobyt, zarówno jak i na ich mitologię a tem samem i dzieje/ ale nadto znać musi czasowe warunki społeczne i ekonomiczne, literackie i naukowe, sanitarne i pedagogiczne, żeby historya jego zyskała grunt odpowiedni dla psychologicznego determinizmu, który czyny ludzkie łączy w ogniwa przyczyn i skutków dla myślącej duszy zrozumiałe. Zarówno Edgar Quinet, pisząc swój rozdział o psychologii człowieka przedhistorycznego, jak i Hipolit Taine, pisząc studyum o początkach Francyi współczesnej, postępowali w ten sposób: wlewając w martwe formy archeologicznych zabytków, albo kronikarskich zapisek, żywą treść ludzkich uczuć i wyobrażeń. I wtedy dopiero widmo przeszłości stawało przed nami ze znamieniem macierzystego pokrewieństwa; wtedy dopiero zaczynaliśmy rozumieć, że tak mogło być istotnie jak było, i że tak jest jak być mogło.

Cóżbyśmy powiedzieli o historyku, któryby nie brał w rachubę naturalnej zależności uczuć i potrzeb, ożywiających zarówno tłumy jak jednostki na ich czele stojące? Takiego historyka, ściśle rzeczy biorąc, nie ma; ale jakże wielu jest jeszcze takich, którzy, uznając psychologiczną przyczynowość w części, wprowadzają nadto do niej pierwiastki jej obce, już to z dziedziny fizycznej, już nadzmysłowej, naginające dzieje do powziętej z góry teoryi celowości lub bezcelowości, a naruszające jednociągłość psychologicznego determinizmu, w jego objektywnym przebiegu. Nie idzie tu bynajmniej o to, żeby historyk nie miał mieć swojej hypotezy historyozoficznej; co więcej, sądzę nawet, że kto w niczem nie jest tendencyjny, ten nie jest dość szczerym lub dość krytycznym spostrzegaczem; ale chodzi tylko o to,

ażeby tej swojej tendencyjności nie szukał poza determinizmem psychologicznym, lecz owszem z niego ją wyprowadzał.

Herbert Spencer, który tak odmienną i tak nową postać nadał socyologii, zrobił więcej niż Quetelet w swojej „fizyce socyalnej", bo jakkolwiek równie daleko *sięgał* po fakty, za podkład dziejom służące, jak Buckle w swojej historyi cywilizacyi/ ale *brał* tylko te, które istotnie jako kółka zębate w jej mechanizm psychiczny wchodziły, a przynajmniej temu mechanizmowi służyły za podkład. Socyologia w ten sposób pojęta jest o tyle żywą i konkretną, o ile taka, jak ją pojmuje Stein, jest mdłą i abstrakcyjną. Lecz i tutaj musi istnieć miara, polegająca na uznaniu granic między analogią a rzeczywistością. „Organizm społeczny" (wyrażenie tak często nadużywane!) staje się pojęciem równie sztucznem, gdy je ujmiemy metafizycznie/ jak i wtedy, gdy w nie wprowadzimy realizm drobiazgowy/ gdy je ujmiemy, że tak powiem histologicznie. Nie dziwi nas naciąganie analogii, gdy je widzimy u Platona w jego idealnej republice/ według władz duszy ludzkiej ukonstytuowanej; wybaczamy ogólnikowe porównania Hobbesowi, członki i nerwy jego Lewiathana; ale trudno nam usprawiedliwić szczegółowe rozwałkowywania podobieństw pomiędzy organizmem a społeczeństwem, spotykane u wielu autorów dzisiejszych; a to tem trudniej, że dzisiejszy stan psychologii daje nam już nie tylko podmiotowe teorye, ale zarazem bogaty materyał faktów i praw. Nie możemy już pochwalić Herbertowi Spencerowi, że luźne to podobieństwo tak poważnie traktuje, jakgdyby istotnie pomiędzy embryologią z jednej a socyologią z drugiej strony, ścisły istniał związek; a tem mniej możemy wstrzymać się od uśmiechu, gdy nam trzeźwy Schaeffle, albo rozbujały Lilienfeld zaczną prawić o komórkach społecznych, o błonkach komórkowych społecznych, o jądrach społecznych lub o społecznej tkance międzykomórkowej!

Jeżeli to ma być nauka pozytywna, to nie winujmy Hegla za jego fantazye kosmologiczne; on był także pozytywistą! Jego logiczna teorya dziejów była takim samym gwałtem zadanym historyi, jak mikroskopowa teorya społeczeństw jest gwałtem zadanym socyologii. Zapewne! Jest trochę logiki w dziejach, jest trochę morfologii w społeczeństwach, i jeśli tezy i antytezy dają się nałożyć na prawa przeciwstawności i ciągłości, tradycyi i postępu, rządzące rozwojem ludów; to kształty komórek i tkanek dają się naciągać na ustrój społecznych warstw i hierarchij państwowych; ale jedno i drugie dowodzić będzie tylko tyle, że jedne umysły potrzebują szematyzmu logicznego, inne konkretności morfologicznej, żeby się mogły zabawić w wielkich magów ludzkości. Zabawką to być nie przestanie.

Prawdziwa teorya społeczeństwa nie powinna być ani metafizyczną, ani fizyczną, lecz psychologiczną. Nie żądajmy zawiele od postępu; jeszcze nam bardzo daleko do włączenia chemii w fizykę, do wcielenia fizyologii w fizykę i chemię; pozwólmyż tem bardziej socyologii trzymać się zdala od fizyki i chemii, a natomiast nie zapominajmy o niezaprzeczonej zależności, jaka ją spaja z nauką o czynnościach duchowych. Oprzyjmy konstrukcye społecznych teoryj na psychologicznej znajomości natury ludzkiej, a wtedy nie będziemy mieli tylu „utopij", tylu proponowanych „reform", sprzecznych z zasadniczem prawem egoizmu, posuwających równość lub wspólność, wolność lub sprawiedliwość dalej, niż na to pozwala natura ludzka. Właśnie dla tego, że społeczeństwo jest organizmem duchowym, zależnym od wszystkich warunków przyrodzonych, nie możemy żądać, żeby się mieniło jak Proteusz/ i musimy się zgodzić na to, że jego rozwój, jego ewolucya, zależą zarówno od nowych wrażeń jak i od dawnych nałogów, zarówno od postępu jak i od tradycyi; że i ono ma swoje chwile snu i czuwanie, chwile gorączki i apatyi, że jak jed-

ną tak i drugą można się starać leczyć, ale nie powinno się gwałcić.

Z odpowiedzialnością historyczną narodów i socyologiczną społeczeństw rzecz się ma podobnie jak z odpowiedzialnością jednostek. Musimy ją uważać jako sprawę psychologiczną, zanim ją uznamy za kwestyę prawną; a to ostatnie uznanie może być tylko wynikiem pierwszego. Nie jednej sprzeczności i niedorzeczności uniknęliby prawodawcy, pamiętając o tej prostej prawdzie. Weźmy np. pod uwagę granice wieku, jakie prawo naznacza poczytalności. Wiadomo, że dzieci południa dojrzewają wcześniej; jest to fakt fizyologiczny, zależny od wielu warunków fizycznych. Tymczasem, podczas gdy prawo angielskie *siódmy* rok uważa już jako epokę przyjścia do rozumu; nowe prawo włoskie podaje *dziewiąty*, a szwedzkie *czternasty*, w wyjątkowych razach nawet *piętnasty;* francuskie wreszcie, najrozsądniej postępując, pozostawia rzecz uznaniu sędziów. Wszystkie zaś bez wyjątku, wbrew wszelkiej psychologii zwracają uwagę tylko na *rozwinięcie umysłowe;* podczas gdy ze wszystkich władz duchowych, ta właśnie najmniej ma związku z poczuciem lub brakiem poczucia winy. Rozwinięcie umysłowe samo przez się nie tylko nie utrudnia przestępstw, ale nieraz im sprzyja, nadając tylko formy inne, często dla państwa niebezpieczniejsze [1]). Właściwym zaś stróżem czynów są uczucia, wszczepione przez wychowanie; a przedewszystkiem *poczucie moralne.* Zatem nie o rozwinięcie umysłowe, lecz o *rozwinięcie moralne* pytać się powinien prawodawca; a rządy liberalne, które tak gorliwie uczą dzieci abecadła, mogłyby coś przedsięwziąć i w tym kierunku/ zamiast poprzestawać na usunięciu wpływu duchowieństwa, który z wszelkiemi wadami swemi łączył przecież i tę olbrzymią zaletę, że czuwał nie tylko nad umysłem, ale i nad sercem.

[1]) Patrz Queteleta: „Physique sociale". T. II. str. 261 i następne.

Jakże nam jeszcze *daleko* do tej epoki, w której uznamy, że kształcenie uczuć powinno poprzedzać kształcenie rozumu!

Poczucie moralne, to właściwy probierz poczytalności. Rozbierałem tę kwestyę gdzieindziej na licznych przykładach, podnosząc zasługi D e s p i n e'a, który pierwszy w swojej Psychologii Naturalnej wykazał niezbicie fakt istnienia *obłąkania moralnego*, podobnie jak istnieje obłąkanie umysłowe. Jest to niewątpliwię smutna prawda, że obok „rozumu, wolnej woli i pamięci" — nie wszystkie dusze natura obdarza „sumieniem", i że o jego kształceniu tak dobrze pamiętać musimy, jak o kształceniu myśli; ale ta smutna prawda stała się jeszcze bardziej gorzką przez to, żeśmy o niej zapomnieli...

A zapomnieliśmy jeszcze o wielu innych, które psychologia na benefis prawa karnego rozbiorowi poddaje. Dość wspomnieć zasadniczą sprawę samego *pojęcia kary*. Wprawdzie wpływ nowych idei wyrugował już z filozofii prawa, pojęcie kary jako *zemsty* społecznej; niemniej jednak pozostało jeszcze bardzo wiele punktów tej sprawy, które prawo karne tylko w porozumieniu z psychologią rozstrzygnąć może. Wypływa to przedewszystkiem z podwójnego *celu* kary: 1) zabezpieczenia ogółu, 2) poprawy jednostki. Kara, która żadnego z tych celów nie spełnia, sama staje się przestępstwem; a właśnie jeżeli nie pierwszy z nich wprost, to drugi, a przez ten drugi pośrednio i pierwszy, może być osiągnięty tylko według wskazówek psychologii. Przez poprawienie jednostki zabezpieczamy ogół lepiej, niż przez samo pozbawienie jej swobody; ale ta poprawa jest zadaniem nielada; trzeba głęboko sięgać w duszę, chcąc jej możność i stosowność ocenić! *Praca* przymusowa i dobrowolna, użyta w nowszych czasach jako narzędzie poprawy, jest niewątpliwie środkiem pierwszorzędnym; ale cóż z tego, kiedy równocześnie zapominamy o drugim warunku, nie mniej ważnym: strzeżenia i rozbudzania

uczuć moralnych. Przestępca, zmuszony do pracy w biały dzień na ulicach miasta, jak to ma miejsce np. w Austryi, stopniowo zatraca poczucie wstydu i ambicyę, które w pierwszej chwili publicznego przeprowadzenia przez miasto mogły się w nim rozbudzić i wpływ swój wywrzeć, gdyby nie późniejsza nauka bezwstydu i bezczelności, jaką mu kara narzuca! Tym sposobem jedną ręką kształcimy władze pomocnicze w poprawie, drugą wykorzeniamy główne.

Mamże dodawać, że podobne wsteczne skutki wynikają z samego obcowania przestępców początkujących z wytrawnymi? Kwestya ta już została uwzględnioną, choć trzeba przyznać, że radykalne jej rozwiązanie niemałe przedstawia trudności.

A teraz, przypuśćmy, że mamy do czynienia z organizmem, w którym cel drugi: poprawy, osiągnąć się nie da, i może być tylko mowa o pierwszym: zabezpieczenia ogółu. Jak je osiągnąć? Czy społeczeństwo ma prawo zgładzić zbrodniarza, po którym się niczego, prócz kosztów i trudów dla siebie spodziewać nie może? Kwestyę tak postawioną możnaby rozstrzygać rozmaicie. Ale postawmy ją inaczej: czy korzyści moralne kary śmierci, takie jak odstraszająca siła przykładu, mogą przewyższyć materyalne straty, jakieby państwo utrzymując zbrodniarza poniosło? Na to pytanie psychologia odpowiada stanowczo i przecząco. Obserwacya uczy, że właśnie na najbardziej zatwardziałych zbrodniarzy, obawa kary śmierci najmniej wywiera wpływu, a przecież do nich tylko stosować się może; powtóre, że widok kaźni dla dzisiejszych tłumów rzadko jest nauką, częściej nierównie powodem współczucia, a najczęściej — tylko nieludzkiem widowiskiem [1]).

Z tych to powodów w rozprawie: „Miłość, zbrodnia, wiara i moralność" potępiłem karę śmierci w ogólności. P.

---

[1]) Niekiedy wprost szkodliwem. Porów. „Psych. i Med." S. II. Roz. II, s. 24.

Aleksander Jelski, który tę pracę na język rosyjski przełożył, oświadcza się w przypiskach przeciw memu zdaniu, sądząc, że wypływa ono z niewłaściwego w takich razach sentymentalizmu. Nie śmiem tej sprawy rozstrzygać, ale to wiem na pewno, że głos psychologów i moralistów, którzy w niej protest podnieśli, nie wyszedł ludzkości na złe, choćby dla tego, że tu i owdzie zniesiono karę śmierci dla przestępców politycznych, powszechnie do „niepoprawnych" zaliczanych; wreszcie, że zniesiono istniejące jeszcze gdzieniegdzie zabytki kar, tortury przypominających, które już w żadnym razie nie przyczyniają się do podniesienia godności człowieka, a z pewnością najzaciętszych utwierdzają w przestępstwie mocą uczucia zemsty.

Wszystkie te punkty prawno-karnych zagadnień, które powyżej dotknąłem lub któreby do nich dołączyć można, to jeszcze nienajważniejsze z zastosowań psychologii do spraw tego rodzaju. Najważniejsze leżą tam, gdzie te sprawy nie podpadają jeszcze pod formuły kodeksu. Mam tu na myśli dziedzinę *warunków przygotowujących przestępstwa.*

Już groźne słowa Queteleta, obwieszczające stały haracz przestępstw, przez społeczeństwo rok rocznie opłacany, winne zwrócić uwagę ciał prawodawczych na tę okoliczność, że przedewszystkiem należałoby usunąć prawnie *warunki,* ów stały procent wywołujące, i pamiętając o terapii i chirurgii dla przestępców, pamiętać także o higienie dla jeszcze zdrowych moralnie.

Prawda! wymyślono oddawna kary na wydawców niemoralnych książek; co więcej władze, posiadające oddzielny fundusz na przekupywanie dzienników, wystąpiły jednocześnie z represyjnemi prawami przeciw dziennikom państwu nieprzychylnym, mnożącym idee, dla spokojności publicznej niebezpieczne; ale... (w tem „ale" muszę powiedzieć mniej niż trzeba) popełniono niezręczność. Książka, broszura, dziennik, to są bardzo podrzędne przyczyny prze-

stępstw. Główne tkwią *w warunkach socyalnych;* a tych zakaz wydawnictw nie usuwa; owszem, dodaje im siły, bo działa mocą tajemniczości, mocą poczucia ucisku, mocą chęci odwetu. Wszystkie sekty całego świata zyskiwały najwięcej wtedy, gdy je prześladowano. Tego uczy psychologia/ i taż sama psychologia prędzej lub później wykaże niezręczność księcia kanclerza w tłumieniu socyalizmu. Zresztą zakaz publikacyj niszczy teoryę; nie niszczy żądzy przewrotu; a tymczasem socyalizm nie jest niebezpieczny dla państw dzisiejszych jako teorya, lecz jako żądza przewrotu. Ta żądza nie zaginie, dopóki istnieć będą wytwarzające ją warunki; usuńcie warunki, a będziecie mieli spokój. Do nich powinno sięgnąć prawo, jeżeli się chce oprzeć na znajomości natury ludzkiej. Polepszyć stosunek pracy do kapitału, zrównoważyć stosunek podatków do dochodów, oświecać nie przez wytępianie „błędów", lecz przez rozszerzenie swobody oświaty, kształcić przez ułatwienie przykładu kształcenia, we wszystkich kierunkach, umoralniać przez danie dostatecznych środków tym, którzy lud umoralniać mogą — oto zadanie, któremu wyganianie sumiennych księży a protegowanie giętkich karków w poprzek staje. Robotnik nie jest niebezpiecznym przez to, że został socyalistą; ale przez to, że doznaje krzywdy i ucisku. Powiększając ucisk, utrudniamy warunki dla jawnego rozwoju teoryj, ale powiększamy warunki dla przejawu czynów z nierozwiniętych teoryj wynikających.

Zatem, nie o usunięcie zewnętrznych objawów, ale zasadniczych przyczyn, prawo starać się powinno, — tak np. jak to uczynił sejm galicyjski w ustawie przeciw lichwie i pijaństwu. Wiadomo, jak dalece obie te plagi sprzyjają rozwojowi przestępstwa; każdy z nas zna ludzi, którzy, tylko z powodu lichwy, z uczciwych, stali się oszustami i przeniewiercami. Tu więc przedewszystkiem prawo interweniować powinno. Najsurowsze kary dla tych, którzy *już* po-

padli w przestępstwo wskutek pijaństwa albo lichwy, nie zdołają zmniejszyć kontyngensu występków, jaki społeczeństwo dostarcza państwu; ale proste prawo prewencyjne, do źródła sięgające, prawo przeciw lichwiarzom i szynkarzom wymierzone, może zrobić wszystko co tylko jest na drodze prawodawczej do zrobienia. Znajomość natury ludzkiej każe przedewszystkiem utrudnić wypicie pierwszego kieliszka i zaciągnięcie pierwszej pożyczki lichwiarskiej (ułatwiając jednocześnie zaciągnięcie uczciwej), nie zaś tłumić dopiero następstwa ostatnich! Nie unośmy się zbyt rozległem pojęciem wolności, gdyż ona musi mieć także swoje granice, dopóki człowiek nie przestanie być tem czem jest, to znaczy dopóki dla przeciętnego organizmu, wrażenia i odruchy nie będą silniejsze od rozwagi, okoliczności od charakteru, i namiętności samolubne od szlachetnych. Czuwajmy tylko nad tem, żeby protekcya, jaką państwo otacza ogół, nie była mu narzucona przez mniejszość, żywiącą cele własne, lecz przez prawdziwych przedstawicieli interesów całości.

4. ZASTOSOWANIA DO NAUK LEKARSKICH.

Obok tych punktów *teoryi* prawa, w których psychologia zapytywaną być musi, istnieją inne *w praktyce* prawa, w których już bywa zapytywaną. Przedstawicielem jej jest wówczas lekarz-psychiatra, decydujący jako biegły o umysłowym stanie podsądnego. Wiadomo, jak wiele zaważyć może na szali prawa jego zdanie, czy to gdy chodzi o rozpoznanie stopnia poczytalności wobec choroby stałej lub uniesienia i szału chwilowego, czy też gdy istnieje wątpliwość co do rzeczywistości obłąkania. Nowsze badania psychiatryczne wykazały jak dalece trudnem jest to zadanie. Istnienie popędów chorobliwych do kradzieży, podpalania i t. p. obok zupełnej przytomności umysłu, albo obłę-

du moralnego przy zdrowym rozumie, w wysokim stopniu komplikuje opinię i sprawia, że od lekarza-psychiatry wymagać musimy nie tylko znajomości chorób, ale i praw rządzących normalnem życiem umysłowem. A tymczasem, na nieszczęście, warunek ten rzadko się spotyka. Nawet w podręcznikach psychiatrycznych, gdy chodzi o mniej wybitne formy chorób, o te, które z życiem normalnem najbliżej graniczą, a tem samem najłatwiej i najskuteczniej dałyby się usunąć, znajdujemy najwięcej luk i pomieszania pojęć, wynikających głównie z niedostatecznych badań psychologicznych. Przykłady znajdzie czytelnik między innemi w rozprawie mojej „o zjawiskach zdwojenia w życiu duchowem człowieka", a znaleźćby ich można nie równie więcej [1]). Łatwo zaś zrozumieć przyczyny takiego niedostatku. Lekarz-psychiatra w klinice znajduje tylko formy dalej posunięte — przejściowe, początkowe, mógłby obserwować tylko poza kliniką, gdyby chciał i gdyby umiał. Student medycyny, który obowiązkowo studyował psychologię, jak to przepisane było w naszej Szkole Głównej, mógł, rozbudziwszy w sobie upodobanie do tej nauki, uzupełniać doświadczeniem braki, których sam wykład psychiatryi, jak słusznie zauważył dr. Płaskowski, nie usuwa. Ale do tego potrzeba przedewszystkiem, żeby to przygotowanie psychologiczne było istotnem, nie formułkowem tylko, żeby dawało nie tylko szereg spostrzeżeń, ale *żeby uczyło obserwować;* tak, iżby lekarz później, jako praktyk, mógł działać nie tylko w charakterze terapeuty, ale i w charakterze higienisty. Ogół też, tylko przez przyswojenie sobie prawd psychologicznych na równi z fizyologicznemi, może dojść do przekonania, że lekarz powinien być opiekunem i doradcą, który nie tylko walczy ze złem, gdy ono się już rozwinęło, ale rozumnie uprzedzać je i zapobiegać mu potrafi.

---

[1]) Porów. „Psychologia i Medycyna". S. I. Rozdz. III i XV.

Już to wogóle i sami lekarze nie straciliby nic na tem, gdyby pochłaniając taki ogrom wiedzy przygotowawczej, jakiego szkoła od nich wymaga, nie na ostatniem miejscu stawiali znajomość praw psychologicznych, związanych z organizacyą człowieka. W mojem przekonaniu przynajmniej, raczejby można wybaczyć lekarzowi nieznajomość fizyki niż psychologii, nie ma bowiem takiej choroby, w której by się ta ostatnia nie przydała. Wiara, jaką wielcy lekarze-praktycy obudzają w publiczności i za pomocą której samą obecnością swoją działają na pacyenta, polega właśnie na praktycznej psychologicznej umiejętności obejścia, działającej przez umysł na ciało. Powiem więcej: lekarz, który tego ostatniego działania nie bierze pod uwagę, nie może być dobrym praktykiem. Jeżeli to czyni przez skrupuł sumienności, źle czyni; bo każde lekarstwo, choćby je kto blagą nazwał, jest dobre, skoro leczy. A nie zaprzeczy mi żaden wytrawny praktyk, gdy powiem, że leczenie psychiczne należy do najskuteczniejszych, nie tylko w grupie chorób nerwowych, najoporniejszych względem apteki, ale wszelkich tych, w których rozwój lub przełom choroby zależy od nerwowego usposobienia i nastroju pacyenta. Sądzę, że rozejrzawszy się wokoło, czytelnik sam znajdzie fakty na poparcie olbrzymiego wpływu czynników psychicznych na zdrowie. Jak dalece jest on korzystnym lub niekorzystnym w wielu chorobach, świadczy codzienna praktyka. Dziwić się więc należy, że nawet tam, gdzie samo źródło cierpienia bywa natury moralnej, tak mało stosunkowo lekarze korzystają z leczniczej siły wpływów psychicznych. Dawanie takich porad jest niewątpliwie rzeczą trudniejszą i uciążliwszą niż zapisanie recepty; ale lekarz, którego wiedza całość istoty ludzkiej obejmie, z pewnością znajdzie zadowolenie głębokie w tej podwójnej medycynie, która każe działać p r z e z c i a ł o n a u m y s ł i p r z e z u m y s ł n a c i a ł o.

W dziedzinie zboczeń i kalectw umysłowych, lecznictwo łączy się z pedagogią. Lekarz musi niektóre skłonności wytępiać, inne rozwijać. Wytępia przesądy, rozbudza resztki sądów normalnych, i im silniej, im zręczniej potrafi się oprzeć na siłach jeszcze zdrowych organizmu, tem łatwiej przyjdzie mu usunąć chore. Odnośnie do chorych umysłowych, oparcie się na zdrowej części duchowego życia stanie się tem skuteczniejsze, jeśli do pomocy przeciw chorej teraźniejszości wprowadzimy zdrową *przeszłość*. Powrót do tej przeszłości, przez możliwie najdokładniejsze odtworzenie jej warunków, uważałbym nawet za główną metodę leczenia *niższych* stopni obłąkania, metodę wprost przeciwną panującej, która chorego wprowadza w warunki całkiem nowe, tem silniej odgradzające zdrową przeszłość od chorej teraźniejszości. Jest to niewątpliwie zadanie trudne i kosztowne, ale ileż to kosztów i trudów nieraz łożą rodziny dla przywrócenia zdrowia choremu, wożąc go po całej Europie od lekarza do lekarza, zamiast na miejscu opłacić jednego lekarza-psychologa, który, nie potrzebując być geniuszem, mógłby więcej czasu poświęcić pacyentowi i być dlań nie tylko lekarzem, ale i pedagogiem zarazem. Samo się przez się rozumie, środki te niewiele wydadzą pożytku, jeśli będą administrowane przez osoby obce zasadzie, która im powinna przewodniczyć, a której szczegółowych zastosowań żaden podręcznik wskazać nie może. Trzeba, żeby zasadą tą był przejęty biegły obserwator, posiadający w wysokim stopniu „współczucie psychologiczne", czyli zdolność odczuwania obcych stanów duchowych, obznajmiony dokładnie z przeszłością pacyenta, a nadto umiejący się poświęcać dla nauki i dobra drugich.

Dla tej samej też przyczyny wszelki gwałt fizyczny musi być wykluczony, o ile to tylko jest możebnem ze względu na bezpieczeństwo otaczających. Gdy Pinel

i Esquirol zdejmowali okowy z obłąkanych [1]), nie kierowało nimi samo uczucie ludzkości, lecz przedewszystkiem głębsza niż u poprzedników znajomość natury ludzkiej, która gwałt i plagi uznała za środki nie tylko zbyteczne, ale wprost szkodliwe.

5. ZASTOSOWANIA DO NAUK FILOLOGICZNYCH.

Tak samo upaść musiały, na gwałcie i nieznajomości psychologii oparte, metody leczenia kalectw umysłowych, w których chodziło już nie o uzdrowienie chorych, lecz o rozwinięcie, niemal stworzenie nowych władz. Mam tu na myśli *głuchoniemych.*

Człowiek rozwijający się, dla rozwoju myśli, potrzebuje koniecznie znaków, symbolów pewnych. Takim znakiem ułatwiającym rozwój jest dla nas *mowa.* Mowa członkowana, jako ruch, jest związana naturalnym związkiem przyczynowym ze słuchem, jako źródłem ruchu. Głuchoniemy, nie posiadając słuchu, nie może wytworzyć sobie mowy artykułowanej; ale ponieważ myślenie koniecznie wymaga znaków, znajduje dla siebie inne — *w mowie mimicznej.* Mowa mimiczna jest tedy dla głuchoniemego równie niezbędnym, równie *naturalnym* symbolem myśli, jak dla nas mowa artykułowana. Zmuszać głuchoniemego do wyrzeczenia się tej naturalnej pomocy, potrzeby nawet, na korzyść naszej mowy, jest to to samo, co zmuszać obłąkanego gwałtem do zarzucenia błędnych wyobrażeń, na korzyść prawdziwych.

A przecież tej właśnie metody chwycił się dyrektor instytutu głuchoniemych w Paryżu, Ordinaire, wiążąc ręce biednych tych kalek, żeby im nie pozwolić wyrażać się w naturalnej dla nich mowie gestów! Chciano *gwałtem*

---

[1]) Ob. „Psychologia i Medycyna". S. II. S. 000.

nauczyć ich mówić naszą mową a wytępić ich własną, jak to czynił Heinecke w Niemczech. Mogła w tem być intencya dobra, ale na wskroś niedorzeczna psychologicznie. Polegała ona na tem fałszywem przypuszczeniu, że kaleka będzie mógł zastąpić znaki mimiczne, znakami *mowy pisanej*, ażeby módz myśleć i myśl rozwijać. Otóż najprostsza obserwacya uczy nas, że żaden człowiek nie może myśleć stale obrazami wyrazów pisanych. Myślenie nasze jest *wyrazowo-słuchowe*, a gdy przechodzi w części w obrazowe, jak to ma miejsce podczas podniecenia wyobraźni, w twórczości poetyckiej, we wspomnieniach i w marzeniach sennych, wówczas przechodzi w *obrazowo-rzeczowe*, a nie wyrazowopisemne. Zaledwie oderwane wyobrażenia imion własnych i liczb uprzytomniamy sobie niekiedy jako wyrazy pisane lub drukowane; ale najgoriiwszy dziennikarz, który niemal każdą myśl swoją drukowi powierza, nie myśli nigdy wyrazami wzrokowo, lecz słuchowo. Natomiast każdy z nas myśli w części mimicznie, ruchowo. Dla głuchoniemego zaś, któremu mowa mimiczna zastępuje całkiem mowę fonetyczną, jest po prostu niepodobieństwem myśleć wyrazowo właśnie dla tego, że tych wyrazów nie *słyszy*, że mógłby je tylko *widzieć*. Zatem i wtedy, kiedy go nauczymy mówić i pisać, będzie to tylko korzyścią dla jego stosunków z ludźmi i ułatwieniem dla obcych, mimicznej jego mowy nieznających, nie zaś dla jego własnej myśli. Ta myśl może się znacznie wzbogacić, gdy jej damy możność wyrażania się piśmiennie i czytania książek, ale mimo to kaleka nie przestanie myśleć obrazowo i mięśniowo, wskutek czego wytępianie znaków mimicznych, zamiast doskonalenia ich, jest środkiem nie tylko bezcelowym, ale nawet wprost przeciwnym rozwojowi. To też dzisiaj już prawie powszechnie uwzględniono tę zasadniczą prawdę psychologii głuchoniemych, a piękne wyniki otrzymane przez nasz Instytut świadczą, jak dalece zawsze i wszędzie korzystnem jest oparcie się rozumne na znajomości natury.

Nie tu miejsce rozbierać szczegółowo kwestye praktyczne, w których psychologia, skojarzona z pedagogiką i medycyną, wiele jeszcze mają do zrobienie; sądzę, że w umyśle moich czytelników, przekonanie o wewnętrznym związku tych nauk nie znajdzie protestu. Powiedzmy więc raczej kilka słów o samej teoryi mowy, w jej związku z psychologią.

Gdyby chodziło o przykład przedmiotu, który jednocześnie do kilku działów wiedzy należy, to przedewszystkiem moglibyśmy wskazać *mowę ludzką*.

Jako dźwięk należy ona do fizyki, jako głos do fizyologii, jako wyraz do filologii, jako symbol do psychologii. Że zaś celem mowy jest symbolizowanie stanów *duchowych*, nic więc dziwnego, że psychologia ma przedewszystkiem prawo głosu tam, gdzie chodzi o rozbiór form wyrazowych w ich związku z formami myśli, a więc w całej dziedzinie językoznawstwa. Ale czy wszyscy to rozumieją?...

Weźmy np. pod uwagę kwestyę *początku mowy*. Ileż to rozpraw o niej napisano! W ostatnich czasach zwłaszcza, gdy historyczno-porównawcza metoda odrodziła językoznawstwo, książki i broszury sypią się jak z rogu Amaltei. Teorye walczą z hipotezami, erudycya i dowcip idą o lepsze z fantazyą; lecz jakże często jeszcze dają się czytać zdania, nie chcące uznać w mowie, naturalnego dzieła sił psychicznych, lecz każące jej z zewnątrz w cudowny jakiś sposób spadać na człowieka. A przecież od czasu pierwszej rozprawy Herdera (Abhandlung ueber den Ursprung der Sprache, 1772), której zasadom, mówiąc nawiasem, sam autor się sprzeniewierzył, kwestya już postawioną była na właściwym gruncie: *psychologii porównawczej*. Już Wilhelm Humboldt uznał nierozdzielność mowy od myśli, po uznaniu zależności myśli od mowy przez Locka i jego następców; a przecież ten naturalny przyczynowy związek, wymagał całego szeregu lat, żeby się stać wyraźnem, zasadniczem przekonaniem filologów. Ba, i dziś

jeszcze krytycy podają jako oryginalną właściwość Steinthala, że on tę kwestyę (Der Ursprung der Sprache, etc. 1877. Rev. Phil. 1878, str. 77) rozbiera „ze stanowiska psychologicznego"! A przecież innego w tej sprawie mieć nie można; cała rzecz w tem tylko leży, żeby teoryj apriorycznych nie brać za jedno z tem światłem faktów duchowych, jakie daje psychologia empiryczna, oparta na obserwacyi ułomnych, dzieci, zwierząt i ludów dzikich. Sądzę, że w tym względzie podstawa psychologiczna dla kwestyi o początku mowy może być tylko jedna. Spróbujmy określić ją w najkrótszych słowach.

Wszystkie wyobrażenia powstają z wrażeń. Wszystkie wrażenia są odmianami ruchu. Zatem, w każdem wyobrażeniu istnieje pierwiastek ruchu, istnieje dążność do wywołania ruchu.

Ruch powstały pod wpływem wyobrażeń (pośrednio wrażeń) może się uzewnętrznić tylko jako ruch mięśni.

Jedną z grup mięśni stanowią muskuły piersi, krtani i ust. Jest to także jedna z dróg, przez które wyobrażenia mogły się uzewnętrzniać. Kiedy? Wtedy mianowicie, gdy posiadały większą siłę ekstensywną, to znaczy gdy miały charakter *uczuciowy*. Uczucia są siłą, która sama przez się modyfikuje ruchy piersi, która więc tem samem mogła i musiała być pierwszym motorem do wprawienia w ruch krtani i ust.

Pierwsze zatem dźwięki mowy fonetycznej, towarzyszące naturalnym odruchom mowy mimicznej, były wynikiem *uczuć*. W ten sposób przy zmiennych warunkach życia człowiek mógł machinalnie wynaleźć głosy, odpowiadające różnym kontrastom i odcieniom uczuć: miłości, głodu, trwogi, podziwu, nienawiści i t. p.

To był pierwszy stopień rozwoju. Przekonanie o łatwości użycia tych rodzajów ruchu, zamiast, lub obok innych, musiało rozbudzić w człowieku pierwotnym chęć częstszego ich użycia/ zwłaszcza gdy między głosami wła-

snymi, które mu się machinalnie wyrywały z piersi a głosami innych ludzi, zwierząt i przyrody martwej, zaczął spostrzegać pewne podobieństwo. To podobieństwo mocą odruchu, który już miał drogę w nerwach wyrobioną, wywoływało modyfikacye dźwięków dawnych lub wytwarzanie nowych przez *naśladownictwo*.

I to był drugi stopień rozwoju. Wzrost uspołecznienia, łączenie się rodzin w gromady, musiało ten rozwój utrwalać i rozszerzać; przedewszystkiem wzmocniło *potrzebę* bardziej stanowczego *odróżniania* rzeczy i ludzi, potrzebę znaków głosowych na przeczenie i twierdzenie, które dopełniały znaki mimiczne, lub zastępowały je w ciemności. Nazwy zwierząt i ludzi, pochodzące zrazu od okrzyków obudzonych wrażeniami uczuciowemi i naśladownictwem ich własnych głosów, łączyły się ze zwrotami pół mimicznymi, pół fonetycznymi, które oznaczały położenie, kierunek i wogóle przestrzenne stosunki osób i rzeczy. W ten sposób powstały tak zwane *źródłosłowy wskazujące*.

Był to stopień trzeci. Stąd krok jeden tylko do wytworzenia się źródłosłowów zaimków osobistych, których domagała się potrzeba nazwania osób i rzeczy odległych lub nieobecnych, w czem już mimika była niedostateczną; ale *pamięć znaków* dawnych pozwalała je przerabiać na nowe. Znaki jednostkowe, przez ich nagromadzenie, zamieniały się na ogólne. Raz rozwinięta zdolność określania fonetycznego stała się własnością gromad i plemion. Z kombinacyi wrażeń indywidualnych, naśladowanych, zapamiętanych, powstawały nowe znaki wypadkowe, modyfikowane i przerabiane, a mające oznaczać przymioty, własności i stosunki liczbowe. Powstawały *źródłosłowy określające*.

Przechodząc te stopnie rozwoju, mowa stawała się już *nieustającą twórczością zbiorową*, która sprawiła, że z pierwotnych źródłosłowów, jak z pierwszych komórek Darwina, wytworzyły się te wspaniałe, odrębne a jednak pokre-

wne organizmy *języków. Uczucia, naśladownictwo i potrzeby towarzyskie* wytworzyły *źródłosłowy*, które wyrazistością swoją dały polot *myśli;* myśl wytworzyła *fleksye;* fleksye dały skrzydła *abstrakcyi;* abstrakcya stworzyła i tworzy *mowę*, jako zbiorowy, najsubtelniejszy obraz całego ruchu wyobrażeń.

A jeśli się kto zapyta: czemże się to działo, że owa fonetyczna twórczość uczuć, naśladownictw i potrzeb towarzyskich, przyjęła tak odrębne u różnych ludów formy lingwistyczne/ mimo że podstawy, jakie psychologia dla powstania mowy wskazuje, mają być jedne i też same; to na to odpowiemy, że obok psychologii ogólnej istnieje psychologia ludów, i że zmienne własności gruntu, na który pada wrażenie, muszą wywoływać i skutek inny. Ta uwaga sięga nawet dalej, bo wprowadza *indywidualizm* do kwestyi twórczości mowy; lecz ten indywidualizm dawał *wypadkowe* tam gdzie życie było wspólne; mowy dzieci i jednostek dojrzałych, kombinując się, dawały mowę rodzin, mowy rodzin, kombinując się i utrwalając, tworzyły mowę plemienia. Tam zaś gdzie związku nie było, lub gdzie był niedostateczny, twórczość fonetyczna była i musiała być odrębną; lecz to co nauka językoznawstwa rozdziela, to filologia porównawcza łączy, tak jak psychologia ogólna jednoczy to, co rozdziela psychologia ludów.

Na tem stanowisku stojąc, musimy pytanie o tem: *jaką* była mowa pierwotna, uważać wprost za niedorzeczne. Jednej mowy pierwotnej nie było i być nie mogło. Pytanie takie miałoby zupełnie tę samą wartość co kwestya: jakiej szkole muzycznej hołdował człowiek pierwotny? Mowa bowiem jest tak samo ewolucyą ruchów mięśniowych jak muzyka; tak samo szła ręka w rękę z rozwojem duchowym, tak samo wreszcie jest dziełem zbiorowem, wypadkowem; przez krtań mówcy mówi cała przeszłość, w palcach artysty gra cała przeszłość. Pytaj człowieka skąd wziął swoje atomy, pytaj oceanu gdzie są jego pierwsze krople, pytaj

ziemi jak wyglądała w chaosie mgławicy! Policz wszystkie westchnienia pierwotnych ludzi, wszystkie odruchy pierwszych niemowląt, wszystkie okrzyki pierwszych matek, wszystkie pieszczoty pierwszych kochanków, wszystkie nawoływania pierwszych wojowników, obejmij siecią telefonów wszystkie gardła pierwszych wieków, a wtedy posłuchamy, jaką była „mowa pierwotna".

Mylę się; i wtedy jeszcze niczego się nie dowiemy bez pomocy hypotez psychologicznych. Najdokładniejsza statystyka jest martwą bez psychologii. Statystyk, który o tem nie wie, nie wie co czyni rozmyślając nad tablicami wykazów ilościowych; nie spostrzega, że do ilości dodaje jakość, że z chaosu faktów układa łańcuchy przyczyn i skutków, i to wszystko czyni nie na innej podstawie, tylko na tej, że mniej lub więcej zna, lub mniema znać naturę ludzką.

6. ZASTOSOWANIA NAJBLIŻSZE.

A jeśli statystyk jest, często bezwiednie, psychologiem, to jest nim z nas każdy, skoro tylko próbuje się oryentować w chaosie spraw ludzkich, rozgrywających się wokoło niego. Dyplomata jest nim z urzędu, aktor z powołania, dziennikarz z natchnienia lub interesu. Psychologia wciska się wszędzie, nawet między natchnienie i interes; służy wszystkim, złym i dobrym, a przedewszystkiem rozumnym. Genialnym psychologiem, gdy pisze, jest Hugo; Gambetta, gdy mówi; Bismark był nim dawniej w czynie. Nie idzie jednak zatem, ażeby psychologia nie mogła równie dobrze służyć najwstrętniejszym, jak i najszlachetniejszym ideom ludzkości. Niestety! jest ona narzędziem obosiecznem, a jedyna pociecha, jaką nam dają dzieje w sprawie niezależności psychologii od etyki jest ta, że używana źle, zużywa się prędzej niż używana dobrze. Zresztą musimy sobie wyperswadować sentymentalizm, który teorye naukowe dzieli na

moralne lub niemoralne, pożyteczne lub niebezpieczne, patryotyczne lub niepatryotyczne. Teorye naukowe dzielą się tylko na prawdziwe, fałszywe lub prawdopodobne. Prawda może być niekiedy szkodliwą, nie przestając być prawdą. Kogóż winić gdy się staje podszewką złych czynów? Naukę czy sumienie? Czy lekarz, który wyzyskuje chorego lub wprost zabija go dla interesu, dowodzi tem samem szkodliwości medycyny jako nauki? Dowodzi tylko szkodliwości braku sumienia. Czyjaż wina, że sprytny łotr częściej umiał wyzyskiwać ludzi, niż szlachetny, ale niezręczny apostoł obudzić wiarę i miłość? Czyjaż wina, że tłum łatwowierny daje się tumanić blagą i błyskotkami, że zręcznie ułożony anons ściąga złoto do kieszeni oszusta, podczas gdy sumienny, ale cichy pracownik nie znajduje poparcia, że ludy własną krwią płacą za pozłocenie firmy, która ich nałogi i instynkty wyzyskuje... Czyja wina? Ha, zapewne nie oświaty, nie tej przedewszystkiem, która ze świadomością przyrody i dziejów daje nam świadomość samych siebie i drugich, która do światła słońca dodaje światło duszy.

Maszyna, ogrzewana zawsze przez interes, czasem przez szlachetną namiętność, objawiająca ruch mocą wrodzonego mechanizmu i siły paliwa, jakiego jej świat dorzuca, mniej lub więcej hojnie, mniej lub więcej skąpo, maszyna pokonywająca opór dopóki się sama niezużyje, *człowiek przeciętny*, jednem słowem, może się stać organizmem świadomym siebie i własnowolnym, rozumiejącym przeszłość i przewidującym przyszłość, jeśli obok pracy dla siebie zechce pracować nad sobą i, poznawszy naturę, pozna samego siebie.

To ideał, to nie rada praktyczna. Ale przypuśćmy, że są ludzie, których ideały zapalają/ a czemużby ich być nie miało; wszakże ideał to wynalazek ludzki/ przypuśćmy więc, że są i że im potrzeba tylko iskry, żeby się wzięli do pracy.

Przypuśćmy dalej, że błogosławione skutki, jakich się spodziewamy po psychologii, są dopiero uczciwą obietnicą, że nauka ta, ze względu na młodość swą, w dalekiej przyszłości dopiero może wywrzeć wpływ skuteczny na inne nauki, zreformować pedagogikę, psychiatryę, prawo karne i t. d.; ale z tem wszystkiem jednej rzeczy nie zaprzeczy, kto popracował w tej dziedzinie, a mianowicie, że sam fakt zajęcia się obserwacyą psychologiczną i wdrożenia się do zdawania sobie sprawy ze zjawisk życia duchowego, wydaje skutki niezmiernie dla jednostki pożądane. Choćbyś czytelniku nie dbał o psychologię historyi, o psychologię etyki lub mitologii porównaczej, to jednak o to dbać musisz, żeby ci było dobrze na świecie. A nie ulega wątpliwości, że z psychologią będzie ci lepiej, niż bez niej. Nie wierzysz? Posłuchaj!

Doznałeś w życiu wielu zawodów, nie tylko od losu... Dlaczego? Boś nie znał ludzi; boś ich brał jak się przedstawiają, nieprobując nawet sięgać głębiej w dusze i sądzić je krytyczniej.

Wybrałeś zawód nieodpowiedni... Dlaczego? Boś nie znał siebie, boś nie próbował nawet uprzytomnić sobie swoich skłonności, zdolności i nałogów; boś ufał zanadto chwilowemu upodobaniu—albo znów nie ufał wcale swoim siłom.

Nie masz szczęścia w pożyciu małżeńskiem... Dlaczego? Może dla tego tylko, żeście się pobrali nie znając się; że nie umiecie odczuwać wzajemnie swoich stanów duchowych?...

Robisz sobie ciągle bez potrzeby nieprzyjaciół... Dlaczego? Może poprostu dlatego tylko, że nie masz pojęcia o mnogości odmian w charakterach ludzkich; że ich sądzisz po sobie; albo wymagasz za wiele; albo nie umiesz się pogodzić z tym faktem, że nawet szczerą życzliwość każdy objawia inaczej?...

Jesteś człowiekiem rozumnym i uczciwym; mimo to dzieci wychowałeś na nicponiów... Dlaczego? Prawdopo-

dobnie dla tego, żeś ich nigdy porządnie nie obserwował, że cię nikt nie objaśnił o ważności pierwszych wpływów, o potrzebie systematyczności i stanowczości w postępowaniu z niemi, albo o ich wyjątkowej wrażliwości, która uległa pierwszym lepszym złym wpływom? Cóż cię to obchodziło, że Kussmaul, Darwin, Hipolit Taine, pani Necker de Saussure i inni obserwowali skrupulatnie objawy budzącego się życia umysłowego u dzieci. A jednak kto te drobiazgi przestudyował, ten już z konieczności inaczej, jaśniej, musi patrzeć na własne dzieci. Nie stworzą te książki pedagoga, ale też nikt się nie rodzi pedagogiem gotowym.

Ostatecznie zwalasz wszystko na losy, na nieszczęśliwą gwiazdę, wierzysz w uroki, w przyrodzoną przewrotność ludzką, w loteryę, w sny, jesteś przesądnym... Dla czego? Boś był w życiu wszystkiem, tylko nie badaczem życia...

A ty, panie psychologu, byłeś i jesteś marzycielem i entuzyastą — odpowiesz czytelniku...

Zgoda. Ale jeżeli to marzycielstwo pozwala mi przewidywać lepszą przyszłość/ choćby tylko dla drugich/ jeżeli jedno i drugie razem wzięte zmusza mnie do ciągłego uczenia się, jeśli widzę własny z tego pożytek i czuję, że każda chwila życia w świetle tej nauki, sama staje się nauką... nie mamże wołać: uczmy się!?

No, kochany czytelniku, pozwól, że już za ciebie odpowiem:

— Uczmy się!

JAK SIĘ UCZYĆ PSYCHOLOGII?

(1916)

„Tak, uczmy się!" powtórzysz czytelniku, dodając jednak do odpowiedzi pytanie:

— „Ale jak?"

Pochlebiam sobie, że liczne dowody, jakie przytoczyłem o pożytku zastosowania psychologii do innych dziedzin, przekonały cię pod względem chęci uczenia się—zarazem jednak odczuwam w twej myśli pewien szkopuł, wynikający z tych szczupłych wiadomości, jakie posiadasz, a które to wiadomości i wątpliwości pozwolę sobie na domysł sformułować w ten sposób:

— Zdaje mi się, łaskawy autorze, że w zapale wysławiania nieocenionych zalet twej nauki, wziąłeś życzenia za rzeczywistość. Ja-bo próbowałem studyować tę twoją piękną umiejętność, przetrawiłem różne „percepcye" i „apercepcye", „doznania" i „odpoznania", ale żebym w tym lesie uogólnień narąbał drzewa na opał, albo w tym oceanie formuł naczerpał choćby wody do picia — tego powiedzieć nie mogę. Nauczyłem się po łebkach anatomii systemu nerwowego, poznałem trochę metod i doświadczeń psychofizycznych; znam zasadnicze podziały zjawisk duchowych, ale choćbym to wszystko ścisnął w prasie hydraulicznej, zastosowańbym nie wycisnął. Być może, że w przyszłości będzie lepiej; tymczasem jednak muszę poprzestać na dobrych chęciach... Chyba że mi wskażesz jaki podręcznik, któryby te moje wątpliwości rozwiał i braki wypełnił?...

— Ba! kiedy właśnie takiego podręcznika jeszcze nie ma. A nie ma przedewszystkiem dla tego, że gromadzeniu materyałów nie przyświecała myśl praktyczna, że psychologia traktowana jest zawsze jeszcze przeważnie po akademicku, to znaczy z biretem na głowie i togą na karku.

Czasem nawet w koturnach pod stopami, żeby się unieść ponad tłum, a jednocześnie nie dać mu spostrzedz dziur i łat kubraka, kryjącego się pod togą. Są już wprawdzie rozprawki na temat praktycznych zastosowań psychologii, mianowicie do odpowiedniej *organizacyi pracy ręcznej* w tak zwanej Psycho-technice — ale podręcznika o zastosowaniach ogólnych jeszcze nie ma i nie prędko go się doczekamy. Trzeba więc brać rzeczy tak jak są i przyznać, że rzeczywiście w tych zastosowaniach jest jeszcze więcej życzeń wyrażonych niż spełnionych.

Ale chodzi właśnie o to, żebyś ty czytelniku pomógł do ich urzeczywistnienia...

— Jakto ja? — powiesz mi na to — kiedy ja dopiero chcę się uczyć psychologii?...

— Wiem o tem, ale ja właśnie chcę ci podać i zalecić taką metodę uczenia się, że może cię ona doprowadzić do wspomnianego wyżej celu. Ciebie — albo kogoś znajdującego się w podobnych jak ty warunkach.

Polskie przysłowie mówi, że „nie święci garnki lepią", a ja sądzę, że te garnki, o które tu chodzi, te najzwyczajniejsze do codziennego użytku tu na ziemi/ ty prędzej lepić się nauczysz niż najświątobliwszy Święty — którego one najmniej interesują.

Rzecz w tem, że chcę ci wskazać metodę prowadzącą jednocześnie do uczenia się i do odkrywania nowych prawd, na użytek własny i na pożytek drugich.

Otóż w tym celu napisz najprzód sam podręcznik psychologii...

— A to będzie piękny!

Piękny czy nie piękny, będzie taki jakiego nam potrzeba. Wypiszesz w nim wszystko co wiesz, co ci przyjdzie do głowy, byle tylko nie przy pomocy jakiejkolwiek książki. Nikt tego czytać nie będzie, tylko ty sam/ więc nie potrzebujesz się ani krępować, ani żenować, ani wysilać. Napiszesz poprostu wszystko co twojem zdaniem, albo

według twego instynktu może należyć do psychologii, z tego co wiesz napewno lub co ci się pewnem wydaje. Wiesz tyle, że psychologia jest nauką o życiu duchowem, o jego prawidłowości/ i postarasz się sformułować te prawdy, jak będziesz umiał najlepiej — albo chaotycznie w jednym ciągu, albo w niejakim porządku i przy uwzględnieniu tych czy innych podziałów. Napiszesz to jednego dnia, potem następnych/ albo po pewnym czasie/ dodasz coś jeszcze; może coś poprawisz; może coś wykreślisz — ale zawsze bez zaglądania do książek. Radzę ci tylko nie pomijać jednej rzeczy: mianowicie *nie pomijać zaznaczenia tego, czego nie wiesz.* Jak najwięcej wątpliwości! Jak najwięcej braków musisz zaznaczyć w twojej wiedzy. Nie żałować pytań, nie żałować krytyki samego siebie — przecież tego nikt czytać nie będzie! Możesz nawet w sekrecie nazwać się osłem. Z tego także będzie pożytek.

Ażebyś zaś nie sądził, że sobie z ciebie żartuję, wytłómaczę ci zaraz, dlaczego taką metodę zalecam.

Widzisz, psychologia jest całkiem wyjątkową nauką/ i ze względu na swój przedmiot i ze względu na swoje tezy.

Na swój przedmiot — bo jeśli jakikolwiek inny badacz faktów potrzebuje szukać owego przedmiotu; jeśli potrzebuje do tego takich czy innych środków, narzędzi i pomocy, ty, fakty, które chcesz badać, masz w sobie samym gotowe, w sobie i w innych/ i przynajmniej do pierwszych poszukiwań, do badania podstawowego, żadnych narzędzi nie potrzebujesz.

Ze względu na swoje tezy — bo połączona przez tak długie wieki z metafizyką, wsiąknęła w siebie, więcej niż inne nauki spostrzegawcze, pojęć i nałogów, które prawdę mówiąc więcej jej dziś przeszkadzają niż pomagają — z których więc przedewszystkiem należy się otrząsnąć.

I dlatego radzę ci postąpić tak w psychologii jak Dekart postąpił w filozofii: zaczął od przypuszczenia, że nie ma nic pewnego, że wszystko podlega wątpliwości.

Ale to będzie dopiero pierwsza część zadania.

Gdy już wykończysz swój podręcznik i gdy uczujesz, że nic więcej nie masz do powiedzenia albo do poprawienia — wtedy przystąpimy do drugiej części.

Tą drugą częścią pracy będzie uważne odczytanie jakiegoś dobrego a krótkiego podręcznika psychologii, któryby mógł zestawić z twoim podręcznikiem dyletanckim.

Za taką książkę, do tego celu najodpowiedniejszą uważam „Zarys Psychologii Elementarnej" prof. Jana Dorozińskiego, wydany w r. 1909 w Krakowie. Jest on napisany jasno i treściwie, a pominąwszy tę ujemną okoliczność, że jest oparty wyłącznie na źródłach niemieckich, oraz pewne drobne usterki, których tu rozbierać nie potrzebujemy, obejmuje wszystko, co uczeń o obecnym stanie psychologii wiedzieć powinien.

Czytając go uznasz, że jednak psychologia ma już pewne podstawy, że jej przedmiot jest już uporządkowany, pewne prawa rządzące życiem duchowem wykryte, nomenklatura jako tako ustalona, a związek z życiem praktycznem tu i owdzie widoczny.

I wtedy porównasz twoje braki przed odczytaniem tej książki, z brakami jakie pozostaną po odczytaniu — i sporządzisz bilans.

Ale trzeba tę książeczkę czytać wolno i uważnie, wiersz po wierszu, zapisując sobie nastręczające się uwagi krytyczne. Nie chwal się jeszcze z niemi przed nikim, bo może je sam przekreślisz przed skończeniem książki; ale krytykuj bez ceremonii. Niech ci się zdaje, że jesteś sprawozdawcą dziennikarskim; z tą tylko różnicą, że twoja krytyka, po bardzo gorliwem przeczytaniu nie będzie jednak przeznaczona do druku i że sprawozdawcy dziennikarscy, którzy swe krytyki drukują, nie mają jednak zwyczaju czytywania książek krytykowanych.

Pozatem, twoje uwagi krytyczne będą się różniły tem jeszcze, że będą *szczegółowe* i że ty będziesz je co chwila

odwoływał — czego krytyk dziennikarski nigdy nie czyni/ nawet wtedy, gdy napisze fałsz wierutny lub popełni rażącą niesprawiedliwość.

I wtedy dopiero, przy takiej konfrontacyi elementarnego ale ścisłego podręcznika z twoim mniej ścisłym i dyletanckim, zdobędziesz jasne poczucie, zarówno twoich braków jak i braków psychologii szkolnej — zachowując tylko co do tych ostatnich, pewną powściągliwość sądów, *żebyś już w przyszłości coraz mniej swoich opinij potrzebował odwoływać.*

To jasne poczucie różnic spotkanych, pozostanie ci już na całe życie; a będziesz miał możność podkreślania ich jeszcze w różny sposób, w kierunku potwierdzającym lub przeczącym, jeżeli i własny podręcznik i uwagi nad podręcznikiem profesora, zachowasz — co jest konieczne — nie niszcząc kartek nawet najbardziej podejrzanej wartości.

Wtedy przystąpisz do trzeciej części nauki, a mianowicie przeczytasz sobie moje „Pierwsze Zasady Psychologii".

Są one nieco obszerniejsze od podręcznika prof. Dorozińskiego a mniej zasługują na nazwę podręcznika szkolnego. Za to uwydatniają lepiej wątpliwości, zawierają dokładniejsze, choć niewystarczające wiadomości o nowszych odkryciach hypnotycznych i medyumicznych, radykalnie modyfikujących dawne poglądy i wreszcie jako książka do czytania dla początkującego, budzą samodzielność, bardziej od innych podobnych książek zbliżając psychologię do życia.

Ten ostatni punkt jest ważny; ponieważ, jak przypuszczam, zachęci cię do robienia własnych spostrzeżeń i do zapisywania ich we własnym, systematycznie prowadzonym dzienniku. Przedewszystkiem jednak i tę książkę skrytykuj w podobny sposób jak poprzednią i prześlij mi swoje

uwagi a ja ci na nie odpowiem. I to będzie zakończeniem trzeciej części twojej nauki.

Przechodząc do czwartej, przeczytasz sobie który z większych podręczników. Jeżeli nie znasz dostatecznie języków, to przeczytaj przekłady Wundta, Sully'ego i t. p., a z dawniejszych H. Taine'a O inteligencyi i różne monografie Ribot'a.

Dla otrzeźwienia myśli przeczytaj Jana Śniadeckiego: „Filozofię umysłu ludzkiego" — porównywając ją z nowszemi.

Jeżeli znasz języki, to przeczytaj nadto Lehmanna, Ebbinghausa albo mało ścisłe, ale użyteczne dla oryentacyi dzieło rosyjskie Sikorskiego: „Wsieobszczaja Psichołogia".

Poczem, będziesz już mógł porządniej prowadzić twój dziennik, odkładając na bok podręczniki ogólne a natomiast studyując gorliwie monografie, których już posiadamy b. dużo.

Monografie takie uczą zazwyczaj znacznie więcej niż podręcznik ogólny, a przedewszystkiem lepiej ułatwiają pracę samodzielną.

I ani się spostrzeżesz jak twe drobne studya zaczną mieć pewną wartość nawet dla drugich.

Wybierzesz sobie jakiś temat specyalny i zaczniesz go opracowywać, nie wyłącznie erudycyjnie, lecz przeważnie na podstawie własnych spostrzeżeń.

Tylko *zaczniesz*. Celem dokończenia, przejdziesz do piątej i ostatniej części twoich studyów.

Dotychczas radziłem ci tylko obserwować samego siebie. To był grunt niezbędny. Poprzestać jednak na nim nie można. Trzeba przystąpić do obserwacyi innych — przystąpić z pewną metodą, bo oczywiście dorywczo musiałeś to już czynić i przedtem.

Naszkicuj mianowicie *portret psychologiczny* osoby z którą żyjesz najbliżej. Opisz jak ci się przedstawia jej

ogólny stan siły i zdrowia, nerwów, mięśni i mózgu, jej wrażliwość ogólna i w zakresie różnych zmysłów, jej zdolności i sposób pracy lub straty czasu, jej sposób prowadzenia rozmowy, pisania listów, poglądy społeczne i religijne, uczucia prywatne, rodzinne i publiczne, temperament, zmysł oryentacyi i decyzyi, sposób dochodzenia do postanowień woli, ich stałość lub zmienność, zależność lub niezależność od otoczenia i t. d.

- A potem schowaj ten portret do biurka i nie zaglądaj do niego przez kilka tygodni. Po kilku tygodniach odczytaj, popraw i dopisz co uznasz za stosowne. A potem znów odłóż go na czas dłuższy — na rok np.

- Jeśli twój zapał jest wielkim, to zamiast jednego naszkicujesz kilka takich portretów.

A potem zamiast całych osobistości będziesz brał tylko jedną cechę charakteru, porównawczo u różnych osób, np. kwestyę *przesądów*, jakie prawie każdy posiada, albo szczególnych *idyosynkrazyj*, albo *powtarzań wyrazowych*, albo *zdolności znoszenia bólu*, albo *kochliwości*, albo *umiejętności dochowania tajemnicy*, albo *skłonności do powtarzania plotek*, albo *sposobu ukrywania uczuć*, albo zdolności *jasnego streszczania się* i t. p. Spostrzeżesz sam, że takich tematów do monografij jest legion i wybierzesz z nich, co ci bardziej przemówi do serca i umysłu, do czego więcej znajdziesz materyału.

A potem, potem wrócisz znowu do monografij osobniczych, ale już specyalnego i ściślejszego rodzaju.

Przypuśćmy, żeś się ożenił i masz dziecko. Taka cudowna okazya do zbogacenia własnej wiedzy! A przy odpowiedniem przygotowaniu, i do zbogacenia wiedzy ogólnej! O! bo dziecko — to doskonały nauczyciel wielu prawd życiowych; to pochodnia rozjaśniająca nam własne drogi i cele. Tylko trzeba umieć patrzyć i słuchać. A większość ludzi tej sztuki niestety nie posiada.

Ale ty, mój kochany uczniu, już ją zdobyłeś. Ty nauczyłeś się patrzyć i podsłuchiwać własną duszę, przeszedłeś przez labirynt pytań i wątpliwości, czujesz lepiej niż kto inny, swoje braki — a więc patrz i słuchaj! W kwileniu twego dziecka, w jego uśmiechu, w jego trzepotaniu się do barw, dźwięków i światła, w jego pożądaniu swobody i wrażeń, znajdziesz w doskonalem, wyrazistem uproszczeniu, wszystkie te czynniki, jakie pobudzały twą własną wolę do czynu — a co ważniejsza dostrzeżesz ich *rozwój genetyczny*.

Ewolucyjne, ewolucyjno-porównawcze ujęcie tematów psychologicznych — oto szczyt, do którego wznieść się może nasza nauka. Nie zaniedbuj go! Korzystaj z tej doskonałej sposobności i — pisz *życiorys twego dziecka*. A jeśli ty nie możesz, niech to czyni twoja żona, przez ciebie przygotowana — o ile się sama do tej wdzięcznej pracy nie przygotowała. A najlepiej pracujcie razem.

Życiorysy dzieci, z dnia na dzień spisywane, a potem uogólnione jednym poglądem krytycznym, życiorysy własnych dzieci, a w wyjątkowo pomyślnych okolicznościach i cudzych — to bogata kopalnia nauki dla ciebie i drugich.

A czy wiesz, jaka myśl ma przewodniczyć tym waszym pracom?

Oto taka:

Tu w kołysce leży dziecina, z której kiedyś będzie człowiek, z której wyrośnie o b y w a t e l k r a j u, jeden z tych co mają odrodzić naszą biedną ojczyznę. Uważaj, pilnie uważaj, czy w swych ruchach, w swych uczuciach i popędach zmierza po tej linii, jakąbyś nakreślił dla postępowania przyszłego obywatela kraju: czy umie już dbać o innych, nietylko o siebie, czy nie ma zarodków na warchoła zrywającego sejmy, czy umie przewidywać przyszłość i ekonomizować środki w stosunku do celu, gdy drobną rączką sięga po zabawkę, która jest dla niego źródłem wiedzy; czy dotrzymuje tego co uśmiechem albo ge-

stem obiecało; czy wykończa rozpoczęte przedsięwzięcie?... A jeśli nie, pomóż mu, naprowadź na drogę odpowiednią i przyzwyczajaj do rozważnego użycia najkrótszej i najlepszej — najodpowiedniejszej dla dalekich celów przyszłych...

A czy wiesz kiedy masz zacząć taką pracę — pracę udoskonalenie maleńkiej cząstki twego narodu? Od kołyski. Wcześniej jeszcze: od poczęcia. I jeszcze wcześniej: od twojego narzeczeństwa. Bo skoroś czytał moją Psychologię, to wiesz, że wychowanie dziecka zaczyna się od wspólnego baczenia rodziców na siebie samych: wiesz że te uczucia, myśli i prace jakie zajmują umysł przyszłych rodziców, odbijają się na duszy przyszłego ich dziecka, że w świecie ducha podobnie jak w świecie materyi nic nie ginie i wszystko na siebie odziaływa...

A tak postępując zdziwisz się, jak szerokie horyzonty otwierają się przed tobą, jak cisną się do głowy myśli i tematy i jak dalece możesz być użytecznym temu krajowi, który kochałeś zawsze, nie wiedząc jednak jak mu służyć, nie domyślając się nawet, że tak wiele a tak stosunkowo łatwo, możesz zdziałać dla niego — zanim jeszcze sam naprawdę czynnym być zaczniesz.

I wtedy pisz i drukuj, jeśli tylko masz choćby najmniejszy talent po temu, nawołując innych do podobnej pracy.

Będziesz miał już mniej trudności, niż ja ich miałem w początkach karyery, bo rzeczy zmieniły się na lepsze. Ale swoją drogą mieć je będziesz, bo my nie prędko jeszcze zrozumiemy doniosłość pracy organicznej osobniczej, pracy przez jednostkę dla narodu i przez naród dla ludzkości. My długo jeszcze będziemy chcieli świat reformować od końca, nie zaczynając od siebie; frazesami zastępując robotę codzienną/ i nie prędko jeszcze zrozumiemy doniosłość słów Mickiewicza: *„O ile powiększycie i rozszerzycie*

granice ducha waszego, o tyle powiększycie i rozszerzycie granice kraju waszego".

Nie dziw się, że społeczeństwo nie będzie się rwało do przyjścia ci z pomocą, a może nawet odsunie cię od najodpowiedniejszej dla ciebie pracy, tak jak mnie odsunęło; nie dziw się, że wiele, wiele z twoich trudów będzie pozornie przelewaniem morza w dołek z piasku, że głos twój często padnie w próżnię bez echa...

Nie dziw się — i w y t r w a j.

Oto wszystko, co ci mogę poradzić na zakończenie.

IV. O KSZTAŁCENIU WŁASNEGO CHARAKTERU [1].

(1873)

Z przedmiotów, omawianych w ostatnich czasach, najrzadziej poruszano ten, o którym tu mówić zamierzam.

Bardzo wielu myślicieli pracuje dziś nad rozwiązaniem zagadek wszechbytu; kwestye poglądu na świat i na życie pochłaniają umysły badaczów — a o moralnej, etycznej stronie człowieka prawie zupełnie zapomniano. Może też i słusznie powiedział jeden z myślicieli: że jeśli nie brak naszym czasom wielkich talentów — to za to brak im charakterów.

Gorączkowe życie postępu, przejawiające się na wszelkich polach ludzkiej działalności, nadmierna praca, przy coraz to większem współzawodnictwie, bynajmniej nie sprzyjają wewnętrznej pracy ducha nad samym sobą, nie

---

[1] Odczyt publiczny dla młodzieży wypowiedziany w Warszawie w sali Res. Obyw. w r. 1873.

dają nawet chwilki czasu do zastanowienia się nad własnym charakterem i kształcenia samego siebie; to też skargi na brak charakterów są powszechne, zwłaszcza we Francyi. I w samej rzeczy ciężką klęskę ponieśli Francuzi przez zaniedbanie kształcenia moralnego. Nikt nie zaprzeczy, że obok innych warunków materyalnych i ten moralny odegrał swą rolę w klęskach ostatniej wojny (1870—1).

1. CO NAZYWAMY CHARAKTEREM?

Niepodobna mówić o *kształceniu charakteru*, nie porozumiawszy się poprzednio co do znaczenia, jakie nadajemy wyrazowi *charakter*.

Wyraz ten nie jest dla nikogo niezrozumiały; widocznie więc, w chwili wymówienia go, pewna liczba odpowiednich wyobrażeń, chociaż niejasno, obudza się w umyśle słuchacza; potrzebujemy tylko uprzytomnić je, rozjaśnić, rozebrać i odgraniczyć dokładnie od innych; tym sposobem zakreślimy w myśli krąg faktów, które obejmujemy jednem pojęciem ogólnem, jedną nazwą *charakteru*.

Rozdzielmy sprawy naszej istoty na *fizyczne* i *duchowe* i rozważmy najpierw, do jakiej z dwóch tych kategoryj zaliczyć mamy właściwości, podciągane pod nazwę charakteru.

Jeśli mówimy o kim, że ma *szlachetny* charakter, że ma *stały* charakter, że nie ma *żadnego* charakteru, to które wówczas z tych właściwości mamy na myśli, *fizyczne*, czy *duchowe?* Czy to, że ktoś ma piękne rysy twarzy, skłoni nas do przyznania mu pięknego charakteru? Bynajmniej. Wiemy bowiem, że chociaż twarz jest odbiciem duszy, nie mniej jednak, bardzo piękne rysy mogą należeć do osoby bardzo brzydkiego charakteru. Wiadomo np., że sławna trucicielka de B r i n v i l l i e r miała rysy klasycznie piękne.

Przypisując komuś piękny charakter, nie mamy na myśli piękności jego rysów, ani też stanu jego zdrowia. Wszystko nam jedno, czy jest brzydki jak Sokrates, czy słaby jak Kant,—dość nam wiedzieć, że ma duszę silną i szlachetną; to nam wystarcza do powiedzenia, że Sokrates lub Kant byli wzorami charakterów.

Zatem sfera właściwości, pod tę nazwę podciąganych, należy wyłącznie do *duchowych*, nie zaś do fizycznych.

Ale musimy jeszcze bliżej oznaczyć *zakres* tych właściwości.

Czy mówiąc o kimś, że ma piękny charakter, mamy na myśli jego zdolności umysłowe, jego obszerną pamięć, jego zadziwiającą wiedzę, jego krytyczny sąd o rzeczach i dziełach naukowych? Wcale nie; mówiąc o charakterze, nie przesądzamy bynajmniej zdolności rozumowych—i naodwrót; często nawet obdarzamy mianem wielkiego charakteru, ludzi bez wyższych zdolności, ale którzy zacnością swoją, uczynnością, siłą woli, wytrwałością i poświęceniem, na miano to zasługują. Odwrotnie znów, musimy nazwać genialnym wielkiego Bakona, który pomimo wysokiej nauki, wysokich zdolności filozoficznych, literackich i dyplomatycznych, czynami swymi, życiem swojem, bynajmniej na miano nawet człowieka uczciwego nie zasłużył.

Pozostają zatem tylko dwie ostatnie kategorye: *uczuć* i *woli*.

Do której z nich zaliczyć charakter?

Czy można mieć szlachetny charakter, nie mając szlachetnych uczuć? Zaiste *nie;* tu już świadomość każdego z nas mówi nam: że tych dwóch rzeczy w żaden sposób rozdzielać niepodobna.

Niema szlachetnego charakteru bez szlachetnych uczuć.

Ale nie dosyć na tem. Czy dalibyśmy nazwę wielkiego charakteru człowiekowi uczuciowemu, którego każda spra-

wa szlachetna rozrzewnia, który nawet (przypuszczając, że jest poetą) te swoje piękne uczucia w pięknych wierszach wypowiada — jeśli ten człowiek w życiu towarzyskiem, rodzinnem, społecznem, w czynach swoich, uczuć tych albo wcale nie słucha (nie mając dość siły do wprowadzenia ich w czyn), albo co gorsza, rozrzewniając się, gdy chodzi o rozrzewnienie, przestaje być czułym, gdy chodzi o czyny, o dotykalny *dowód* czułości. Zwalczanie pokus, wytrwanie w nędzy, stałość w przedsięwzięciach, energia w ich wykonaniu — to nie dla takich sentymentalnych ustrojów zadanie! Takiego też człowieka nie nazwiemy wielkim charakterem. Dla czego? bo posiadając uczucia — nie posiada *woli*.

Weźmy teraz tę samą rzecz z innej strony.

Czy możemy sobie wyobrazić człowieka, którego czyny własnowolne, nie wywołane przypadkowym zbiegiem stosunków, są pełne prawości, szlachetności, a któryby jednakże uczuć prawości i szlachetności nie posiadał? Nie — takiego człowieka nie widziano nigdy. Można wprawdzie postępować dobrze dla interesu, dla zyskania popularności, dla wkręcenia się w czyjeś protekcye, a jednak nie być w gruncie rzeczy prawym — nie działać zgodnie z wewnętrznemi skrytemi uczuciami; kto jednak niezależnie od egoistycznych widoków korzyści, postępuje stale szlachetnie, ten widocznie obok zacnej woli, żywi i zacne uczucia. Bez uczuć bowiem niema woli. Tylko więc łączność uczuć i woli w doskonałym rozwoju — stanowi tę wyższą, moralną cechę człowieka, którą nazywamy *charakterem*.

Niesłusznie niektórzy autorowie nazwę charakteru nadają wyłącznie właściwościom woli — możnaby nawet powiedzieć, że wola jest tylko *wyrazem* charakteru, jego przejawem. Grunt zaś charakteru stanowią uczucia, i na nich oparte skłonności, nałogi, przyzwyczajenia, popędy i namiętności decydujące o woli. Wszystkie te współczynniki

razem wzięte, nadają umysłowości pewną barwę, pewien *charakter*, wyrażający się teoretycznie w *przekonaniach*, a praktycznie w *czynach*.

Na tym punkcie musimy się bliżej porozumieć.

Wspomniałem, że nazwy charakteru nie odnosimy do zdolności rozumowych, tylko do *uczuć* i *woli*. Tak jest w samej rzeczy; ale nie należy zapominać, że dusza ludzka nie da się pokrajać na grządki od siebie niezależne. Myśl, uczucie i wola przejawiają się w duszy bezustannie, działają łącznie i w najściślejszej zależności. Jakkolwiek więc obojętne sprawy myśli, np. rachunek teoretyczny, wyróżniają się stanowczo od jej spraw uczuciowych, do których należą stany miłości, radości, współczucia, a te ostatnie znów wyróżniają się widocznie od właściwych działań woli, postanowień i czynów, to jednak ani wola, ani uczucie, ani myśl, nie mogą się przejawiać niezależnie jedne od drugich.

W tym to właśnie punkcie zetknięcia sfery myśli ze sferą uczuć i woli, pomieścić należy powszechnie znany fakt duchowy wyrabiania się i ustalania *przekonań*, będących pośrednikiem między uczuciem a czynem.

Przekonaniem nazywamy sąd rozumowy, oparty na poczuciu wewnętrznem.

Mówimy tu o przekonaniach w ścisłem znaczeniu, a więc o przekonaniach moralnych.

Mniemania czysto rozumowe, życiowo obojętne, nie wchodzą tu w rachubę. Zależą one od większej lub mniejszej bystrości umysłu, od jego wiedzy, i nie dotyczą moralnej strony czynów. Zmienność takich mniemań nie tylko nie przynosi człowiekowi ujmy, ale owszem może nieraz dowodzić jego wyższości umysłowej.

Można np. będąc lekarzem, mniemać, że pewien dany środek jest zawsze skuteczny, a następnie przestać weń wierzyć, przekonawszy się o jego względnej szkodliwości.

Inna rzecz, gdy chodzi o właściwe *przekonania*, t. j. o przekonania *moralne*.

Człowiek, który raz potępia rzeczy niegodne, drugi raz usprawiedliwia je, albo nawet popiera; człowiek, który gotów służyć pod każdym sztandarem, byle mu dobrze zapłacono, który w chwili stanowczej nie umie się zdobyć na odwagę wypowiedzenia tego co myśli—człowiek taki przestaje zasługiwać na szacunek, przestaje być uważany za człowieka z charakterem.

Nie chodzi tu już bowiem o kwestye teoretyczne, lecz o życie, o czyny.

Ogół *wymaga* od ludzi naukowych, żeby zmieniali swe przekonania w miarę postępu nauki, ale *potępia* zmianę zasad moralnych, zmianę przekonań etycznych/ i odstępców piętnuje mianem ludzi, nie zasługujących na wiarę, ludzi „bez charakteru".

Na jakiej zasadzie ogół wyróżnia te dwie rzeczy?...

Odpowiedź łatwa. Podstawa, na której to czyni, ma swe usprawiedliwienie naukowe, ma swe usprawiedliwienie psychologiczne. Mniemania teoretyczne należą do zakresu *myśli*, przekonania zaś życiowe, moralne, sięgają głębiej/ rdzeniem ich są *uczucia*, forma rozumowa jest dla nich tylko szatą; można nie umieć wypowiedzieć jasno, na czem polega różnica złego od dobrego — i większość ludzi rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy z teoretycznego znaczenia tej kwestyi—ale pomimo to, każdy człowiek, najmniej ukształcony, byle tylko posiadał „poczucie moralne", potrafi w danym wypadku ocenić co jest dobrem a co złem — jak należy, a jak nie należy postąpić.

Otóż w tym to właśnie głębszym uczuciowym gruncie przekonań moralnych z jednej, a społecznem ich znaczeniu z drugiej strony, tkwi przyczyna, dla której ogół ludzi inaczej ocenia odstępstwo rozumowe od pewnej teoryi, a inaczej odstępstwo moralne od pewnych zasad. Mogę polegać na człowieku nauki, właśnie wtedy, gdy wiem,

że nie ma *uprzedzeń*, iż idzie z postępem/ nie mogę zaś polegać na człowieku wogóle, w rzeczach stosunków moralnych, jeśli wiem, że przekonania swoje zmienia, zależnie od prądów chwilowych, jeżeli nie wprost dla interesu.

Streszczając cośmy dotychczas powiedzieli, wypada, że nazwa charakteru moralnego odnosi się nie do cech fizycznych, lecz duchowych/ że z pomiędzy tych ostatnich właściwą treść charakteru stanowią tylko przymioty uczuć i woli, nie zaś myśli/ że wreszcie te ostatnie, przy naturalnym i ścisłym związku wszelkich spraw ducha, *odbijają charakter* człowieka w formie rozumowanej, teoretycznej, w formie *przekonań*.

Wiedząc już, jakim jest *zakres* właściwości podciąganych pod nazwę *charakteru*, możemy przystąpić do rozbioru podjętego zagadnienia o *kształceniu charakteru*.

2. CZY MOŻNA KSZTAŁCIĆ WŁASNY CHARAKTER?

Psychologowie i pedagodzy, którzy zagadnienie to poruszali, mówili zazwyczaj tylko o kształceniu charakteru dzieci i na tem poprzestawali. Nie sądzę jednak, żeby tak czynić należało. Nie tylko *dzieci* kształcić możemy, możemy kształcić i *siebie samych*, a sprawa to bodaj czy nie ważniejsza.

Dawniej już wypowiedziałem zdanie, które pozwolę sobie tu powtórzyć:

„Reformę zacznijmy od siebie. Ani pedagogiki pisane dla ojców, ani higieny dla matek, ani podręczniki dla nauczycieli na nic się nie zdadzą, jeśli ten ojciec, ta matka, ten nauczyciel, sami od wieku młodzieńczego nie nauczyli się obserwować siebie, obserwować dzieci — doświadczeniem własnem zdobywać prawidła i przepisy, jakie mają wprowadzić w wykonanie".

„Chcąc ulepszyć wychowanie, potrzeba powiększyć liczbę prawdziwych ojców, prawdziwych matek, prawdziwych nauczycieli. Od nas więc młodych ojców, matek i nauczycieli, *od nas samych należy zacząć reformę*".

Kształcenie *własnego* charakteru jest tedy najpierwszą kwestyą. Czy jednak możemy kształcić własny charakter? Oto pytanie.

Historya ludzi genialnych daje nam liczne przykłady, dowodzące, co może siła wytrwałej pracy, skierowana ku kształceniu władz *umysłowych*. Wiemy, że większość ludzi wielkich zawdzięcza swe wyniesienie samouctwu i wogóle pomocy własnej.

Czy jednak podobne środki dadzą się zastosować i do kształcenia siły moralnej?

Odpowiadam stanowczo — *dadzą*.

Nie tylko wiedza jest potęgą, jest nią i *charakter*. Siła charakteru, podobnie jak geniusz, roztacza wkoło siebie urok, któremu ludzkość hołdować musi. Zaufanie, jakie ogół żywi dla swych apostołów i kierowników, raczej na tej drugiej sile się opiera. Rozum zjednywa umysły, ale charakter zjednywa serca; a i to przecież coś znaczy, to nawet znaczy więcej.

Jest więc dostateczna, praktyczna pobudka, dla której powinniśmy kształcić nasz charakter. Jeżeli bowiem kształcąc się na biegłych inżynierów, prawników, lekarzy, filologów, mamy nadzieję zyskać między ludźmi stanowisko i utrzymanie/ to kształcąc się na ludzi prawych, wytrwałych, sumiennych, słownych i uczynnych, możemy znaleźć między ludźmi poważanie, cześć i na nich opartą pomoc moralną lub materyalną.

Co prawda, łatwiej wyżyć na świecie z talentem i bez charakteru, aniżeli z charakterem i bez talentu — ale przecież jesteśmy ludźmi i nie samym chlebem żyjemy—a cześć tym, co żyjąc duchem, żyli dla drugich.

3. ZNAJOMOŚĆ SAMEGO SIEBIE.

Chcąc kształcić samego siebie, potrzeba przedewszystkiem znać samego siebie.

Jakim sposobem dojść do tej wiedzy?

Od wieków powtarzają ludzie zdanie, że najtrudniej jest poznać siebie. A przecież tak źle nie jest! Znajomość samego siebie nie jest bynajmniej trudniejszą do zdobycia, aniżeli znajomość drugich. Mniemanie przeciwne powstało stąd, że w sądach i spostrzeżeniach nad innymi ludźmi pomagają nam zawsze liczni znajomi i przyjaciele, podczas gdy nam samym w oczy nikt całego o nas mniemania nie wypowiada. Wiadomo bowiem, że tym właśnie sposobem najłatwiej sobie zrobić nieprzyjaciół. Ale trudności te dadzą się usunąć; trzeba tylko: po 1-e, otaczać się takimi ludźmi, którzyby bez złośliwości potrafili mówić w oczy prawdę; i po 2-e, potrzeba samemu zdobyć się na tyle rozsądku, żeby się o to nie obrażać, a nawet na tyle dobrze zrozumianego egoizmu, żeby za to być wdzięcznym. Nie są to warunki łatwe/ nie są jednak niemożliwe. Czyniąc im zadość, uczynimy tem samem wielki krok naprzód w sprawie poznania samego siebie.

Ale od tej pomocy, jaką nam inni ludzie zapewnić mogą, ważniejszą jest własna. Trochę dobrej woli na początek, trochę przyzwyczajenia następnie, a rzecz sama nie będzie tak trudną jak się wydaje.

Chcąc poznać dokładnie własną naturę, uprzytomnijmy sobie sztuczny podział, o którym już wspomniałem. Podzielmy się na ciało i ducha, rozbierzmy, o ile które z nich przeważa w naszych zajęciach codziennych, o ile przeważało dawniej i o ile przewaga taka wpływa na nasze postępowanie. To nam da tło ogólne, na którem dalsze spostrzeżenia zapiszemy.

Następnie weźmy pod uwagę dział ducha, podzielmy go znów sztucznie na trzy części: na sprawy myśli, uczucia i woli i rozbierzmy każdy z nich szczegółowo.

Zastanówmy się nad siłą i zakresem naszych zdolności umysłowych, przypomnijmy sobie, które z nich były już wypróbowane i z jakim skutkiem, o ile przeważa w umysłowości naszej pamięć, wyobraźnia lub rozwaga, i o ile przewaga ta wpływała na postępowanie nasze i sposób zajęcia.

Następnie przejdźmy do działu uczuć. Tu trudności wzrastają. Trzeba analizować w chwilach spokoju, w chwilach rozwagi, wolnej od silniejszych podniecień. Weźmy pod rękę pierwszy lepszy podział uczuć (dajmy na to Gratioleta, Combe'a, Bain'a lub choćby dawnego Teofrasta), i zastanówmy się nad każdem z nich oddzielnie [1]). Przypomnijmy sobie, jakie wrażenia najsilniej na nas oddziałały, zanotujmy wypadki śmierci drogich osób, zawody własne i dalsze, obok najmilszych wspomnień wesela i powodzeń życiowych. Rozważmy, które z uczuć najczęściej przejawiało się w naszem życiu, miłość czy przyjaźń, nienawiść czy dobroduszność, pogarda czy litość, uwielbienie czy wstręt, duma czy wstydliwość, pokora czy gniew, współczucie czy zawiść, nadzieja czy apatya? Porównywajmy się przy każdej sposobności z ludźmi, których znamy, rozbierajmy uwagi obcych/ wrażenie, jakie też same fakty sprawiały na nich i na nas, a niezawodnie prędzej czy później cała uczuciowa charakterystyczna strona naszej istoty, z bezwiednej stnie się samowiedną, poznamy nasze uczucia, ich różnorodność i siłę.

Potem przejdźmy do zakresu *woli*.

Tu badanie jest już nieco łatwiejsze. Wola bowiem zostawia po sobie dotykalne ślady w czynach. Zbadanie

[1]) Co do podziału uczuć ob. moje „Pierwsze Zasady Psychologii" str. 232 i nast.

uczuć dostarczy nam wybornej podstawy do zbadania woli. Poznamy łatwo, jakim jest ogólny charakter naszej działalności: powolny czy gorączkowy, rozważny czy entuzyastyczny, wytrwały czy zmienny, poważny czy lekki, bierny, odruchowy, czy też czynny, orginalny,, dziwaczny.

Po tym ogólnym przeglądzie przystąpmy do szczegółowego rozbioru *popędów, skłonności, namiętności, postanowień i czynów.* Wykryjmy dążność, która nad innemi przeważała, czy to będzie chęć wyniesienia się, czy też bogactwa, kokieteryi, oryginalności lub użycia, spokoju lub podróżowania, cichego uznania lub głośnej reklamy, dobrych obiadów lub wieczornych marzeń.

Przypomnijmy sobie, o ile silną okazała się nasza odwaga w chwilach niebezpieczeństwa, o ile zaś i przed jaką przeszkodą cofaliśmy się w życiu; rozbierzmy dokładnie tak zwane sprawy honorowe, jakich nam wspomnienia nasze dostarczą: po upływie pewnej liczby lat będziemy mogli wyrzec o nich słowo bezstronne. A zawsze i w każdej z tych spraw starajmy się dowiedzieć, o ile postępowanie nasze zgadzało się z tem, cośmy w słowach wypowiadać zwykli, i o ile te słowa zgadzały się z tem, co dziś o tej sprawie myślimy.

Tego rodzaju przegląd da nam podstawę działania. Lecz ażeby ją zdobyć, potrzeba jednego warunku, którego może żaden z nas nie wypełnia, potrzeba badaniu samego siebie poświęcać dziennie tyle przynajmniej czasu, ile go poświęcamy na nudy. Koniec dnia powinien być chwilą obrachunku. Powinniśmy wówczas uprzytomnić sobie cały przebieg dziennych zajęć, uczuć i myśli, od chwili przebudzenia; powinniśmy przypomnieć sobie rozmowy, ich treść i ostateczny wynik lub brak wyniku, rozważyć, o ile każde odezwanie się nasze było słusznem, o ile nierozsądnem, pośpiesznem, spóźnionem lub zanadto stanowczem — i do wniosków, jakie z takiego rozbioru wynikną, stosować plan jutrzejszych czynności i rozrywek.

Postępowanie takie przedstawia niesłychaną doniosłość. Po 1-e, kształci pamięć i przytomność umysłu; po 2-e, daje nam poznać samych siebie, po 3-e, pozwala doskonalić się tak szybko pod względem moralnym, jak powtarzanie lekcyi pozwala uczniowi kształcić się pod względem naukowym. Przypuszczając bowiem, że codziennie tylko jedną drobną usterkę spostrzeżemy, czy to w sposobie mówienia o innych, czy w sposobie wnioskowania o tym lub owym przedmiocie, czy wreszcie w sposobie obejścia się z ludźmi — i usterkę tę na drugi dzień przy podobnej okoliczności sprostujemy, to już tym sposobem niesłychanie szybko dojść możemy do wydoskonalenia własnych przekonań i czynów, pozostawiając coraz to szerszy tłum drobnych błędów poza sobą.

To co mówię w tej chwili, stosuje się tylko do drobnych błędów i to do takich, które w bardzo krótkim czasie po ich spełnieniu, mocą zwyczajnej rozwagi ocenić możemy. Mówię o tych drobnych wadach, które bez ćwiczenia nawet spostrzedz można i bez większego wysiłku usunąć. Ktoś np. przypomina sobie, że będąc w dobrym humorze i żartując ze wszystkiego, odezwał się lekceważąco o osobie, którą szanuje, a którą takie powiedzenie dotknąć mogło; przypomniawszy to sobie, uczuwa żal i postanawia być na drugi raz ostrożniejszym. Działa w tym względzie jak dziecko, które ożywione zabawą, włożyło palec w ogień i sparzyło się. Doświadczenie daje nam naukę; trzeba tylko z niej skorzystać. Chcąc skorzystać, trzeba uważać, obserwować i to co się zauważy, zapamiętać. Nigdy w tym razie na własną pamięć liczyć nie należy, zwłaszcza gdy się jest zajętym stałą i długotrwałą pracą, całkiem myśli absorbującą.

Niezbędnym warunkiem, bez którego poznanie własnej natury, a tem samem i kształcenie własnego charakteru nie dałoby się osiągnąć, jest *spisywanie codziennych wrażeń, z całą swobodą i naturalną otwartością.*

Taki dziennik czy pamiętnik, będzie dla każdego nie tylko miłem wspomnieniem tak zwanych lepszych czasów, ale jeszcze, co nas tu bardziej obchodzi, drogocenną kopalnią najszacowniejszych wskazówek pedagogicznych. Zwłaszcza wiek młodzieńczy, tak bogaty w nowe wrażenia i uczucia, a przytem swobodniejszy od późniejszych lat pracy, winien przedewszystkiem nie zaniedbywać tak potężnej dźwigni moralnej.

Dotychczas zwyczaj pisania pamiętników, takich, o jakich zaraz bliżej pomówimy, nie istnieje prawie. Pensyonarki spisują swe młodzieńcze wrażenia, ale spisują je wyłącznie ze względu na dzieje serca, przekładając karty pamiętnika listkami suchej róży lub niezapominajki i dołączając obfitą ilość wierszy, w których zwykle więcej wykrzykników i kropek, niż treści i sensu. Młodzież gimnazyalna jeszcze mniej myśli o pisaniu pamiętników, przepędzając chwile wolne raczej na grze w piłkę lub na ślizgawce. Z osób starszych, tylko mniej szczęśliwe jednostki z bardziej uczuciowym nastrojem, ulegają tej potrzebie zwierzania się kartom martwego papieru, w braku czulszego spowiednika. Najczęściej tego rodzaju notatki znaleźć można u młodych kobiet, które pod wpływem okoliczności życia zmuszone były przyjąć na siebie obowiązki nauczycielki w jakiejś odludnej okolicy, gdzie świat, jak to zwykle na wstępie pamiętnika zaznaczają — „deskami zabity".

Nie powiem, żeby tego rodzaju notatki, dorywczo bez planu i celu spisywane, były całkiem bezpożyteczne. Owszem, odczytane w lat parę, gdy umysł wzmocniony doświadczeniem, lepiej i trzeźwiej przeszłe chwile ocenić potrafi, mogą i one stać się źródłem niejednej doniosłej nauki praktycznej, niejednego udoskonalenia tej lub owej strony naszego charakteru; ale nie ulega wątpliwości, że wartość ta stałaby się stokroć większą, gdyby pisaniu pa-

miętnika przewodniczyła myśl wyższa, myśl własnego uszlachetnienia i plan rozważnie pomyślany.

Przedstawię kilka myśli w tym przedmiocie. Są one również zdobyte doświadczeniem, mogą więc być pożyteczne.

Przedewszystkiem, pisaniu tego rodzaju notatek powinna towarzyszyć wszelka możliwa *swoboda*, nieskrępowana niczem, nawet własną skromnością, a tem mniej obawą, żeby ktokolwiek kartek tych nie odczytał. W tym względzie można się zabezpieczyć, używając, sobie tylko znajomych znaków i skróceń.

Uwagi i spostrzeżenia powinny być pisane *na gorąco*, pod wpływem świeżej myśli, gdyż w ten tylko sposób przechowane, mogą na przyszłość dostarczyć wiarogodnego materyału do studyów.

Co zaś do treści notatek, to powinny one obejmować *wszystko*, co zbliska nas samych dotyczy. Dla ułatwienia, podobnie jak przy wstępnem badaniu własnego charakteru, możemy użyć wspomnianego już sztucznego podziału. I tak, obok spraw dotyczących naszej duchowej strony, należy zapisywać uwagi nad fizycznym stanem organizmu. W ten sposób wkrótce odkryjemy stałe oddziaływanie pomiędzy ciałem i duchem/ dowiemy się, które z objawów umysłowych wynikają poprostu z fizycznego nastroju naszego ciała, i będziemy się starali unikać tych wpływów, które się składały na sprowadzenie owego niepożądanego stanu.

Dalej, możemy rozdzielić dział spostrzeżeń duchowych na sprawy *myśli, uczucia* i *woli* i każde nowe spostrzeżenie podciągać pod właściwą rubrykę. W pierwszej z nich zapisujmy postępy w nabywaniu wiedzy; tym bowiem sposobem po pewnym czasie będziemy mogli ocenić, o ile stan naszych wiadomości wpływał na postępowanie nasze; dalej uwagi nad tem, co wpływa na rozbudzenie czynności naszego umysłu, a co ją przytępia i osłabia. Tu również zapisujmy wrażenia z odczytanych książek i z po-

stępowania innych ludzi. Urządzajmy sobie zadania, mające na celu przekonanie się, jak dalece trwałemi są nasze uczucia lub nasza pamięć, jak zapatrywać się będziemy na ten sam przedmiot po upływie oznaczonego czasu? i t. p.

Tego rodzaju próby wykształcą naszą znajomość samego siebie, przytomność umysłu i trzeźwość sądu.

Przedewszystkiem zaś niech zajmie uwagę naszą *kwestya przekonań.*

Większość ludzi zmienia przekonania, nie wiedząc o tem; jest to dowód niewyrobienia samodzielnej i samowiednej myśli, która tym tylko sposobem, przez notowanie spostrzeżeń i robienie doświadczeń osiągniętą być może. Przeglądając dawniejsze notatki, ciągle przypominać sobie będziemy dawne zdania i sądy, unikając przez to mimowolnej sprzeczności z samym sobą, świadczącej zawsze o słabej sile duchowej. Nie idzie jednak zatem, żebyśmy mieli starać się o wierne trwanie w dawnych zdaniach i sądach. Bynajmniej. Przekonawszy się o zmienności najtrwalszych na pozór przekonań, nauczymy się doskonalić je, a nawet cofać, jeśli tego gruntowna rozwaga wymagać będzie/ ale wszystko to nie będzie już w nas dziełem mimowolnego zbiegu wpływów, lecz *świadomej, samodzielnej krytyki i przytomności umysłu.*

W ten sposób, panując ciągle nad otoczeniem, panując nad samym sobą, wyrobimy w sobie nie tylko trzeźwość sądu, ale co ważniejsza, ustalimy siłę duchową, dając jej ster i świadomość celów.

Jeszcze ważniejszemi będą notatki z zakresu uczuć. Tu każde chwilowe wrażenie, każdy odgłos wzruszenia, miłości, gniewu, nadziei, zazdrości, upojenia lub rezygnacyi, będzie dla nas drogocenną wskazówką pedagogiczną. Nie należy ostudzać chwilowej pobudki, przeciwnie, trzeba zapisywać każdy szczegół na gorąco. Oddajmy pióro w ręce uczuć naszych, strzegąc tylko przesady, takiej, która zaraz w pierwszej chwili przesadą się nam

wyda. Nie przepuśćmy żadnemu *przykremu* wrażeniu, bo one to właśnie dają nam siłę. Gdybyśmy nie doznawali przykrości, doskonalenie się naszego charakteru byłoby niemożliwem. Tylko przez szereg prób, zawodów i rozczarowań, mniej lub więcej widocznych, prowadzi droga do zwycięstw.

Ale chodzi o to, żeby zawód nie przygnębiał, lecz uczył, ożywiał, do nowej pomyślniejszej walki zachęcał.

Uczucia przykre, w pamiętniku naszym zanotowane, będą lepszą nauką, niż tysiące morałów. Kto chce znaleźć naukę życiową, niech jej wpierw w samym sobie poszuka, a pewno się nie zawiedzie. Nic tak nie kształci, jak rozważanie własnego życia, trzeba jedynie nauczyć się rozważać, *nauczyć się uczyć samego siebie, strofować i poprawiać samego siebie.*

Jeżeli pamiętanie nabytych wiadomości z dziedziny tej lub owej nauki jest podstawą wiedzy wogóle, to *pamiętanie własnych uczuć* jest wyłączną podstawą umiejętności życia. Dziecko, które się raz sparzyło; dziewczyna, która się raz zawiodła na czyjejś dobrej wierze; wierzyciel, którego raz oszukano; wojownik, który przegrał bitwę; student, który nie zdał egzaminu; autor na wstępie skrytykowany; przemysłowiec zawiedziony w rachubach—wszyscy ci ludzie, jeśli chcą cośkolwiek z doświadczenia skorzystać, muszą dobrze *pamiętać* doznane wrażenia i uczucia.

P a m i ę ć u c z u ć, oparta na zapisywaniu doznanych wrażeń, da nam materyał, który po upływie pewnego czasu, przejrzany i porównany, doprowadzi nas do wniosków praktycznych, mogących się zmienić w postanowienia lub przestrogi.

Wielce pożytecznym w tym względzie materyałem będą także notatki, odnoszące się do wrażeń i uczuć *przyjemnych*, a mianowicie do tak zwanych *upodobań*. Upodobania najlepiej charakteryzują człowieka. To też zapisując, jakiego rodzaju rozrywkom czy zajęciom hołdowaliśmy

w różnych chwilach życia, możemy następnie z tych postrzeżeń niemałą wyciągnąć naukę; trzeba tylko, jak to już wspomniałem, być względem samego siebie szczerym i nie krępować się żadną obawą.

Człowiek, który w ten sposób studyował swoje uczucia, z pewnością nie da się tak łatwo uwieść pierwszej lepszej uczuciowej pobudce i nauczy się postępowanie drugich względem siebie oceniać w sposób właściwy.

Trzecia sfera naszej umysłowości — sfera *woli*, będzie dla celów naszych jeszcze ważniejszą od uczuciowej. Tu zapisywać będziemy własne czyny i uwagi nad nimi. Uwagi te przedewszystkiem dotyczyć powinny *wpływów*, jakie na spełnienie tych czynów oddziaływały. Tu znajdą miejsce ślady naszych dziecinnych wspomnień i nałogów, spostrzeżenia nad towarzystwem, które nas w różnych czasach otaczało, wreszcie rozbiór powstałych pod wpływem obu tych przyczyn, dawnej i bieżącej, popędów, skłonności, przyzwyczajeń, namiętności i postanowień.

W życiu ludzi czynnych, zwykle jedna tylko przeważa namiętność lub skłonność; najpospolitszą z nich jest chęć wygodnego życia i dobrego stołu; u innych przeważają skłonności zmysłowe innej natury, albo marzenia sławy, wiedzy, zaszczytów, władzy, wreszcie ideałów artystycznych, a niekiedy i moralnych. Są ludzie, u których dwie, trzy, cztery, a nawet według spostrzeżeń F o u r i e r a, pięć różnych skłonności działa niemal współcześnie, biorąc górę naprzemian.

Wszystkie te tajemnice naszej istoty odsłoni nam nasz pamiętnik, rozważnie *po pewnym czasie* odczytany. Nauczymy się z niego, które z tych skłonności i w jaki sposób spożytkować i wyzyskać możemy, a które, przeciwnie, wypadnie osłabić, chroniąc się od wpływów, jakie za świadectwem pamiętnika najpospoliciej sprowadzały ich przebudzanie się, wzrost i przewagę nad innemi.

Ale w tym celu potrzeba koniecznie, żeby notatki nasze były *bardzo dokładne*. Łatwo się bowiem przekonać, że niezapisanie kilku drobnych faktów, może uczynić rzecz całkiem niejasną. Tak np. trafia się często, że przyczyną kłótni z pewną osobą, a następnie i przykrzejszych jej następstw, było poprostu nagromadzenie się drobnych uprzednich wpływów, jak: niewyspanie się, ból głowy, list z przykrą wiadomością, długie oczekiwanie na coś, niechętne spojrzenie kogoś spotkanego na ulicy, obojętne słowo ukochanej osoby, głupota służącego, niedosmażone kotlety, ciasne buty, splamione rękawiczki, deszcz padający nie w porę, albo zawód spodziewanego gościa. W życiu wszystko się plącze i miesza; rzeczy drobne zdają się wywoływać wielkie, a za odosobnionem na pozór zdarzeniem znaleźć można tysiące ukrytych warunków, składających się na wywołanie zdarzenia.

W ten sposób zapoznamy się z całą dziedziną naszej duchowej natury, poznamy nasze wady i ułomności; a niekiedy znajomość choroby wystarcza, ażeby znaleźć i lekarstwo na nią.

4. DROGI DOSKONALENIA SIĘ.

Zastanówmy się z kolei, w jaki mianowicie sposób doskonalić możemy zasadnicze składniki naszego charakteru?

Postawmy sobie ideał i do niego stosujmy działanie.

Właściwą treść samego charakteru stanowią *uczucia* i *wola*. Jakiemiż więc powinny być przymioty uczuć i przymioty woli, żeby mogły złożyć charakter doskonały?

Zasadniczemi uczuciami, wchodzącemi w skład charakteru moralnego, są:

Poczucie estetyczne;

Poczucie własnej godności;
Poczucie moralne.

Pierwsze daje nam poznać piękne strony w otoczeniu, drugie przenosi je w nas samych, trzecie pozwala piękno własne przelewać w drugich.

Bez uczucia estetycznego nie byłoby dla nas piękna w otoczeniu, bez poczucia własnej godności nie byłoby go w nas samych, bez poczucia moralnego nie byłoby tego piękna w nas — dla drugich.

Zjednoczenie tych trzech zasadniczych składników daje podstawę charakterowi moralnemu. Widząc, który z nich słabiej jest w nas rozwinięty, winniśmy go wzmacniać tak, żeby jeden równoważył drugi, jeden popierał drugi.

Celem wykształcenia w sobie poczucia *estetycznego*, szukajmy wzorów, którym ludzkość hołduje; szukajmy ich w historyi, w dramatach, w poematach i obrazach, w sztuce i w życiu, i poddawajmy się ich wpływom. Samo obcowanie z ideałami zostawia w nas cząstkę ideału.

Niepodobna nie uledz potędze uroku, czytając historyę bohaterskiej Grecyi, życiorys Sokratesa lub Waszyngtona, dramat Szekspira lub Słowackiego, poemat Mickiewicza lub powieść Wiktora Hugo. Niemniej jednak szukajmy tych wzorów i bliżej, i w życiu, unikając towarzystwa ludzi pospolitych i niskiego charakteru.

Poczucie estetyczne jest dla wyrobienia się innych składników pięknego charakteru niesłychanie ważną podstawą, pomimo że samo przez się nie stanowi jeszcze o etycznej wartości człowieka. Gdyby młodzież nasza staranniej pod tym względem kształconą była, nie mielibyśmy tylu przykładów rozpusty, w najszkaradniejszej formie. Czyż bowiem mógłby młodzieniec z uszlachetnionym smakiem estetycznym, tracić czas na zabawy w najmniej dobranem towarzystwie, w gronie ordynarnych kobiet lub ograniczonych hulaków?

Bezwątpienia namiętność wiele może, ale naprzeciw namiętności niskich, należy postawić szlachetne — innej drogi nie ma: albo walka, albo ustępstwo.

W naszym realistycznym wieku zanadto zapominają o tej niezbitej prawdzie, gdy chodzi o kształcenie estetyczne, choć pamiętają o niej bardzo dobrze w każdym innym razie. A przecież wielką krzywdę ponosi młodzież przez to, że tak mało dbać zwykliśmy o wykształcenie jej smaku estetycznego. Pracę w tym względzie ograniczamy zazwyczaj do troskliwego starania się o dobre ułożenie i do gry na fortepianie. Sądzimy, że tym sposobem dokonywamy wykształcenia estetycznego. Wielka omyłka. Dobre ułożenie nie jest jeszcze charakterem, a gra na fortepianie nie jest jeszcze dowodem artystycznego smaku. Poczucie estetyczne powinno sięgać głębiej i szerzej, powinno wskazywać nam najpiękniejsze strony przyrody, historyi i sztuki. Powinniśmy się starać o dobre ułożenie, nie dla tego, żeby się wydać lepszymi, lecz żeby ułożenie to dopełniało odpowiednio wewnętrznej strony charakteru. Przedewszystkiem zaś tę właśnie *wewnętrzną* stronę kształcić należy. Powinniśmy używać gry fortepianowej nie za cel, lecz za środek. Muzyka bezwątpienia wiele wpływa na uszlachetnienie smaku estetycznego/ ale mija się zupełnie z celem, jeśli staje się poprostu mechanizmem, na wyrobienie którego wiele najpiękniejszych lat życia zmarnowano.

To co mówię, nie stosuje się oczywiście do artystów, lecz do ogółu ludzi, dla pierwszych bowiem sztuka musi być nie tylko środkiem, lecz i celem.

Najodpowiedniejszym środkiem, najpewniej kształcącym smak estetyczny, są wyborne powieści, dramaty i poezye.

W tem miejscu zrobić muszę małą uwagę.

Oddawna już autorowie życiorysów znakomitych pisarzy zauważyli dysharmonię, jaka zachodzi często pomiędzy ich pismami a życiem. Ludzie wyrażający najszczyt-

niejsze pojęcia o pięknie, brali żony najpospolitszego umysłu, a nawet wogóle w całem życiu spisywali się bardzo nieestetycznie. Zdawałoby się, że fakt podobny świadczy przeciwko wpływowi poczucia estetycznego na charakter. Tak nie jest. Świadczy on tylko przeciwko *jednostronnemu* kształceniu poczucia piękna. Człowiek bowiem, który przez wiele lat doszedł do wyrobienia w sobie tak delikatnego smaku w rzeczach sztuki, że oburza się na każdą dysharmonię kolorów w portrecie lub krajobrazie, że odsądza od czci i wiary każdego muzyka, który inaczej pojmuje Szopena, aniżeli on sam, każdego poetę, który zmienia w strofkach średniówkę, człowiek taki mówię, może pomimo to wszystko pozostać najzupełniej tępym na życiowe objawy piękna, np. w charakterze kobiety, w sprawach społecznych lub w rodzaju rozrywek.

Tej to właśnie jednostronności w kształceniu poczucia estetycznego unikać należy, jeżeli ma ono uzupełnić charakter moralny.

Odosobnienie się od ludzi dla pracy nad sztuką jest wprawdzie lepszem, aniżeli życie w złem towarzystwie, ale nic nie zdoła zastąpić korzyści, wynikających z pożycia w dobrem towarzystwie. Otaczając się ludźmi, dla których subtelniejsze różnice piękna nie istnieją, mimowolnie sami zatracamy własne poczucie, i przywykamy do różnych nieestetycznych wybryków, które nas zrazu może nawet bardzo raziły.

Pożytecznem też w tym względzie jest czytanie utworów satyrycznych, z odpowiednią intencyą własnego kształcenia. Patrząc na scenę lub czytając książkę, przywykliśmy upatrywać podobieństwo przedstawianych typów do znanych nam osób; ale jakże rzadko samych siebie znaleźć w nich umiemy! A jednak chcąc kształcić samego siebie, o to właśnie starać się powinniśmy, ażebyśmy przedewszystkiem najdrobniejsze ślady ośmieszanych typów w sobie samych poznać mogli. Będzie to wielkiem ułatwieniem

przy badaniu samego siebie, a tem samem i w pracy nad charakterem.

Przejdźmy teraz do drugiego uczuciowego składnika charakteru.

Chcąc wykształcić poczucie *własnej godności*, czuwajmy pilnie nad tem, żeby wspomnienie poznanych ideałów nie zbyt odbiegało od własnego naszego życia, żeby w najdrobniejszym zakresie naszej działalności, pojęcie szlachetnego wzoru znalazło swój odblask i zastosowanie.

Godność własna najpewniej wyrobi się tam, gdzie wykształcone już poczucie estetyczne czuwa nad postępowaniem. Człowiek, który czuje szacunek dla piękna, nie pójdzie do budy jarmarcznej przedrzeźniać miny błazna cyrkowego i brać się za boki, gdy jeden drugiego bić będzie po twarzy, ani też nie pójdzie do szynku dla zrobienia burdy z dorożkarzem; ale samo poczucie estetyczne nie wystarcza jeszcze tam, gdzie wystąpić musi, a raczej powinno, poczucie *własnej godności*. Najzdolniejszy artysta, najidealniejszy poeta, nie uważa sobie za ubliżenie upić się i przespać pod stołem, byle nie w ordynarnym szynku. Wprawdzie różnica polega tylko na rodzaju napitku i towarzystwie, ale niemniej nie jeden nie widzi w tem nic złego i nie sądzi, żeby kto miał prawo odmówić mu poczucia własnej godności na tej zasadzie, że się z kimś pobił po pijanemu, albo wdał w romans z brudną kobietą.

Pojęcia takie mają do pewnego stopnia punkt oparcia w opinii publicznej; ale opinia publiczna nie jest w tych razach ostatnią instancyą; owszem, poczucie własnej godności powinno domagać się uszlachetnienia pojęć powszechnych, powinno szukać swego kryteryum jedynie w poczuciu estetycznem i w trzeźwej krytyce własnej.

Jak tam tak i tu główną pomocą w kształceniu będzie dobranie odpowiedniego towarzystwa, ludzi mających szacunek i szanujących swą godność. Kto choćby tylko powziął chęć wzmocnienia w sobie poczucia godności, ten już

jest na dobrej drodze, ten już będzie zwracał uwagę na postępowanie drugich i na postępowanie swoje i nie trudno mu będzie spostrzedz własne przeciw godności usterki. Dobrze też uczyni, jeśli nie zaniedba obserwować ludzi, o których opinia głosi, że się odznaczają godnością, lub że jej wcale nie mają. Uważając takich ludzi w położeniu podobnem, w jakiem się sam znajdował, potrafi zestawić postępowanie własne z ich postępowaniem i znaleźć w tem porównaniu wskazówki dla siebie.

Gdybyśmy więcej zwracali uwagi na postępowanie ludzi, nie posiadających poczucia godności, płaszczących się przed innymi, kłaniających się i poniżających wobec tych, od których zawisło ich wyniesienie, posada, wzmianka pochwalna lub zarobek, a choćby tylko spokój, pewnobyśmy zbrzydzili sobie tego rodzaju postępowanie i pilnie się strzegli, żeby ktokolwiek w nas podobnego poniżenia nie dostrzegł. Nie mówię tu o tych, co o godność moralną całkiem nie dbają, ci bowiem starać się o nią nie będą, lecz o tych, którzy chcą tylko wzmocnić w sobie to poczucie, wyrobić je, wypróbować i przygotować tak, by w każdem położeniu życia mogło im przewodniczyć. Ci potrafią wykształcić w sobie tę cechę charakteru, jeśli tylko myśl o potrzebie kształcenia, o potrzebie czuwania nad sobą i krytykowania samego siebie, rozbudzi się w nich do tego stopnia, że zawsze o niej pamiętać będą.

Należy zacząć od czynów najprostszych i w najskromniejszym zakresie. Strzedz poczucia godności w obejściu ze służącemi, z rzemieślnikami, których wielu paniczów tak lekkomyślnie traktuje, zapominając, że tym sposobem sami sobie najwięcej ubliżają; w stosunku do władz; w każdym wreszcie stosunku z ludźmi, na wyższym lub niższym szczeblu społecznym stojącymi, można zawsze i wszędzie wprawiać się i wzmacniać w sobie, szanując drugich, poczucie własnej godności. Najtrudniej jednak zachować je

w postępowaniu z wyższymi od siebie/ i dlatego też na to szczególną zwrócić należy uwagę.

Jedną z form poczucia godności jest *poczucie prawdy*, od którego zależy prawdomówność, słowność i otwartość. Brak lub słabe rozwinięcie tego poczucia należy do wad najpospolitszych.

Właściwie mówiąc, niema człowieka, któryby żył samą prawdą; a jednak jest to jedna z najważniejszych stron charakteru. Nic łatwiejszego, jak przywyknąć do mówienia co inego w oczy, a co innego za oczy, do dawania obietnic i zapominania o nich bardzo prędko. Ale nierównie trudniej wyleczyć się z tej wady. Z tem wszystkiem, dla chcącego nie ma nic trudnego. Cały sekret, żeby zacząć od rzeczy najprostszych i najłatwiejszych, czuwając nad niemi z pedantyczną starannością. Trzeba postanowić sobie, żeby przez dzień bieżący nie powiedzieć nic takiego, czegobyśmy zawsze i wszędzie, rozumie się w odpowiedniem towarzystwie, powtórzyć nie mogli. Nie będzie w tem nic trudnego. A jeden taki dzień, zanotowany w pamiętniku, da nam już ochotę do dalszego wytrwania w poprawie.

Podobnież w kwestyi obietnic. Ile razy w ciągu dnia będziemy mieli zamiar obiecywać komuś coś takiego, czego stanowczo obiecywać nie powinniśmy, tyle razy, jak to mówią, ugryźmy się w język. To zaś, co przyrzeczemy od siebie, zapiszmy w dzienniczku i naznaczmy sobie z góry karę za niewypełnienie zobowiązania, karę polegającą na pozbawieniu się pewnych przyjemności. Możemy nawet dla nabrania dobrego nałogu umyślnie robić takie przyrzeczenia, które napewno spełnić będziemy mogli. Tym sposobem rozwinie się w nas *przyzwyczajenie*, będące jedyną trwałą podstawą charakteru. A wszystko to notujmy w dzienniku dla nabrania otuchy do dalszej pracy.

Trzeciem zasadniczem uczuciem, wchodzącem w skład charakteru moralnego, jest *poczucie moralne;* polega ono na rozróżnianiu czynów dobrych od złych, i na przekłada-

niu pierwszych nad drugie. „Człowiek obdarzony poczuciem moralnem, usłyszawszy o jakimś złym czynie, w jednej chwili oceni go wrażeniem, jakie na nim sprawi ta wiadomość, nazwie go złym, zanimby to zdołał wyrozumieć". „Jest to wprawdzie rodzaj rozumowania, ale nie wyrażonego słowami i odbywającego się bezwiednie i machinalnie. Rozum sam nie może oceniać moralności, jako takiej/ to przechodzi sferę jego działania. On może tylko wykazać prawdziwość lub nieprawdziwość, praktyczność lub niepraktyczność, rozwagę lub nierozwagę w danym czynie; i dla tego też poczucie moralne częstokroć uwielbia czyn, który rozum zwie poprostu niepraktycznym, niewyrachowanym, bezrozumnym". „Człowiek najmniej oświecony, ale posiadający poczucie moralne, będzie czuł winę własną daleko silniej, aniżeli złoczyńca inteligentny, ale upośledzony moralnie". [1])

Otóż takie to *poczucie moralne* powinniśmy rozwijać w sobie. A rozwijać je możemy podobnie jak dwa poprzednie: notując spostrzeżenia nad samym sobą i otoczeniem, szukając wzorów podniosłych w książkach, a więcej jeszcze między ludźmi żywymi, w których poczucie to znajdziemy rozwinięte silniej. Przykład jest czynnikiem potężnym i trzeba być bardzo zepsutym, żeby mając obok siebie człowieka, który dla dobra ogólnego poświęca własne dobro, nie uledz sile naśladownictwa i samemu nie wzmocnić w sobie własnego poczucia obowiązku. To zaś poczucie obowiązku jest tylko jedną z form poczucia moralnego i tak samo pod wpływem dobrych wzorów wykształcić się może.

Poczucie moralne nazywamy pospolicie *sumieniem*. Stanowi ono najistotniejszy składnik pięknego charakteru. Ono to bowiem jest owym aniołem stróżem, który nas ostrzega przed niebezpieczeństwem moralnem, wskazując

---

[1]) Miłość, zbrodnia, wiara i moralność, kilka studyów z psychologii kryminalnej. Warszawa, 1870, str. 10.

prawą drogę czynu. Nie należy tylko mniemać, że taki anioł stróż każdemu z góry jest dany. Na ziemi nic darmo los nam nie daje i słusznie Wincenty Pol powiedział, że „od chleba aż do nieba, wszystko, wszystko zdobyć trzeba". I ów anioł stróż bez naszej pracy z nieba nie zejdzie.

Kształcenie sumienia jest rzeczą również niezbędną jak kształcenie pamięci. Kształcić zaś sumienie, to znaczy wyrabiać w sobie szlachetny sąd o rzeczach i wzmacniać popęd do czynów dobrych. Rzecz to mniej trudna aniżeli się zdaje na pozór; pożycie bowiem z ludźmi, smutne przejścia życiowe, doświadczenia niedoli i niewoli, same przez się wyradzają w nas współczucie dla innych, którzy podobne koleje przechodzili/ trzeba tylko nietamować pierwszych popędów serca i pamiętać zawsze, że jeśli chcemy dawać dowody współczucia, to dawajmy je zaraz, nie odkładając na później, bo popęd poczucia moralnego, tak dobrze jak każdy inny, słabnie, stłumiony przebudzeniem się innych.

Ale są też ludzie, u których uczucia moralne zanadto są drażliwe. Ci ludzie, pod wpływem chwilowej pobudki, oddaliby wszystko co mają, bez rozwagi, bez pamięci o sobie. Jeśli nam nasz pamiętnik pokaże, że się zaliczamy do tego rodzaju charakterów, to musimy wyleczyć się z tej czułości. Przypuśćmy np., że która z młodych czytelniczek ma tak dobre serce, że nie może przejść obok żebraka, żeby mu nie dać jałmużny. Wie, że bardzo często zamiast nędzarza, wesprze nędznika, że niejeden z nich udając chorobę lub niemoc, zbiera grosze na pijatykę i hulanki, wie z drugiej strony, że w domu się nie przelewa, a pomimo to nie może nie uledz chwilowemu współczuciu, i własny, bardzo szczupły dochód, na jałmużny rozrzuca.

W jakiż sposób może wyleczyć się z tej nadmiernej czułości, którą pewnie nieraz niegodnie wyzyskano? Sposób bardzo prosty. Pierwszego dnia, wychodząc na ulicę, nie brać z sobą pieniędzy; drugiego tylko tyle, ile potrzeba

na wydatki; w ten sposób mimowolnie oswoi się z faktem nie dawania każdemu żebrakowi, i po pewnym czasie nabędzie dość zimnej krwi, ażeby wpierw, zanim da jałmużnę, rozważyć, czy czyni dobrze lub źle.

Najważniejszą formą poczucia moralnego jest *poczucie obowiązku*. Społeczna jego doniosłość dostatecznie przemawia za potrzebą kształcenia go. W tym celu również należy wyrobić w sobie przyzwyczajenie. Ktoś np. zobowiązał się do wykonywania codziennie wieczorem pewnej pracy i ma szczerą intencyę wytrwania w postanowieniu; ale trafia się niespodziana przeszkoda, dla której raz opuszcza zajęcie. Już przez to samo przerywa się ogniwo nałogu. Za kilka dni już słabsza przyczyna wystarczy do oderwania go od pracy/ a wybiwszy się raz z porządku, może coraz bardziej lekceważyć obowiązki, spóźniając się lub nie przychodząc wcale. Wiedząc o tem, wiedząc, że taką jest natura ludzka, nie powinniśmy *nigdy dopuszczać owego pierwszego, a przynajmniej drugiego zaniedbania*. Nie sprawi nam to wielkiej trudności, a wiele większych strat moralnych oszczędzić może. Jeżeli zaś ta granica już przekroczona, to niema innej rady: trzeba na nowo pomyśleć o wytworzeniu nałogu.

Przechodzimy do drugiej grupy składników charakteru, do grupy *woli*. Podział to sztuczny tylko; już bowiem i te uczucia, o których mówiliśmy, jak: poczucie estetyczne, poczucie własnej godności i poczucie moralne, z natury rzeczy łączą się z odpowiednimi popędami; ale podział ten ułatwia nam rozbiór, możemy go więc zachować.

Choroby woli należą do najpospolitszych, przymioty — do najrzadszych. Łatwiej znaleźć człowieka z silnym umysłem, z głębokiem uczuciem, aniżeli z silną wolą. A jednak rodzaj woli najwybitniej przejawia charakter i dlatego jej też najwięcej starań poświęcić należy. Zasadniczymi przymiotami charakteru, od których wartość charakteru za-

wisła, są: *siła odporna, siła czynna* i połączenie obu, stanowiące *wytrwałość.*

Siła *odporna* polega na przewadze duszy nad otoczeniem; brak jej wyradza przewagę otoczenia, uległość pierwszym lepszym wrażeniom, wskutek czego człowiek staje się popychadłem zdarzeń.

Siła odporna, na poczuciu obowiązku oparta, może pokonać najstraszniejszy ból fizyczny i nie ugiąć się wobec żadnej siły. Historya nasza nie jest pozbawiona takich przykładów. Kiedy August II na mocy traktatu karłowickiego odbierał Kamieniec Podolski z rąk Turków, miał miejsce fakt, przypominający czyn Mucyusza Scevoli. Przy oddaniu twierdzy, pasza turecki oprowadzał generała Kątskiego, którego król przysłał dla przejęcia fortecy; gdy zeszli razem do piwnic, gdzie były złożone prochy, Turek rzucił knot siarkowany na beczkę, chcąc całe miasto z ludźmi w powietrze wysadzić, samego siebie poświęcając. Wtedy Kątski porwał knot i dał mu się na dłoni wypalić do końca, ocalając tym sposobem miasto i zawstydzając mściwego Turka. Taka odporna sila woli nie jestże dowodem wyjątkowej siły charakteru?

Wyrobienie jej jest przecież możliwem. Wymaga tylko ciągłego panowania nad sobą w rzeczach drobnych, stopniowego przyuczania się do znoszenia niewygód i bólu, hartowania się przy każdej sposobności i przy pomocy ćwiczeń cielesnych, jakiemi są gimnastyka, szermierstwo, pływanie i t. p., których nigdy dla prac umysłowych całkiem zaniedbywać nie należy.

Wyrabianiu *odpornej siły woli* winna jednak towarzyszyć myśl *wewnętrznej równowagi władz duchowych.* Zarówno bowiem jak jednostronne rozwinięcie najszlachetniejszych uczuć, jakiemi są: poczucie estetyczne, poczucie godności i poczucie moralne, doprowadza zawsze do wytworzenia dysharmonii w charakterze/ tak i tu, w sferze woli, wadliwy stosunek charakteru powstać musi, jeśli si-

ła odporna lub siła czynna, zbytecznie, jednostronnie się rozwiną.

Jednostronne, zbyt wygórowane rozwinięcie *poczucia estetycznego*, wyradza pedantyczną drobiazgowość; zbyt słabe — brak smaku i obojętność na wszystko co piękne.

Jednostronne, zbyt wygórowane rozwinięcie *poczucia własnej godności*, sprowadza dumę i zarozumiałość; zbyt słabe — brak ambicyi i zaufania we własne siły.

Jednostronne, zbyt wygórowane rozwinięcie *poczucia moralnego*, rodzi nadmierną wrażliwość i czułostkowość; zbyt słabe — nieludzkość i sobkostwo.

Podobnie rzecz się ma i z przymiotami woli.

Odporna siła woli, jeśli panuje nad innemi, wyradza *upór*. Człowiek uparty, sądzi, że działa zawsze samodzielnie, choć w gruncie rzeczy jest tak dobrze niewolnikiem własnych przywidzeń, jak człowiek słabej siły odpornej— niewolnikiem wpływów obcych. Upór jest wcieleniem negacyi w sferze naszej umysłowości. Jest to szkaradna wada charakteru, czyniąca pożycie z ludźmi nieznośnem, przyprawiająca nas o liczne błędy i tamująca rozwój jasnych, bezstronnych poglądów, zarówno jak i rozwój naturalnej sympatyi, łączącej ludzi węzłem zgody.

Powszechne mniemanie głosi, że na upór niema lekarstwa. Byłoby to bardzo smutne spostrzeżenie, gdyby było rzeczywiście ostatecznym wyrazem obserwacyi psychologicznej.

Ale tak nie jest. *Można* się wyleczyć z uporu — pod jednym warunkiem, który, jak już wspomniałem, musi służyć za wstęp do pracy nad własnym charakterem i bez którego praca ta wogóle byłaby niemożebną. Mówię tu o nawyknieniu do obserwowania samego siebie, do notowania spostrzeżeń i zastanawiania się nad niemi w pewnych odstępach czasu, *przy rozbudzonej chęci doskonalenia się*. Gdy ten warunek jest dany, wyleczenie się z uporu przestaje być niemożebnem. Przypuśćmy, że ktoś będący na tej

drodze, w notatkach swoich znalazł fakt uporu, który następnie w skutkach okazał się bardzo przykrym dla niego. Chociażby pierwotnie, fakt uporu jako taki, uszedł jego uwagi — niepodobna przypuścić, żeby i dziś pozostał niespostrzeżonym, gdy notatki w mimowolnem zestawieniu wykazały przykre jego następstwa. Człowiek, który wogóle przywykł do obserwowania samego siebie, musi ten błąd spostrzedz, uznać go za błąd, za wadę, a tem samem powziąć myśl pozbycia się jej. Jeśli przeto wkrótce po uczynieniu tego spostrzeżenia, mimowolnie znów objawi swój upór, dajmy na to w rozmowie z przyjacielem/ to oczywiście owa pobudka pedagogiczna wzmocni się i może go nawet skłonić do ustrzeżenia się od uporu, w następnej rozmowie z tymże przyjacielem. Gdy dojdzie do tego, gdy świadomość wady, jako wady, uprzytomni się w jego umyśle, gdy jej obecność przy nadarzonej sposobności uchroni go od podobnego uporu i w następstwach okaże się dobroczynną, to niewątpliwie człowiek taki, jeśli tylko (powtarzam zawsze) chęć własnego kształcenia rozbudziła się w nim dostatecznie — wyleczyć się potrafi.

Inna rzecz gdy chodzi o usunięcie przeciwnej wady: *zbyt słabej siły odpornej*. Tu już pomoc własna nie wystarcza. Jeżeli bowiem człowiek uparty, poznawszy swą wadę, sam przez się mógł, że tak powiem, *stać się upartym w chęci pozbycia się uporu*, i jeśli w tym razie wpływ *obcych*, rozbudzając dawny nałóg, mógł tylko sparaliżować własne pedagogiczne jego postanowienia — to w tym drugim razie, przy zbyt słabej sile odpornej, sama pomoc własna nie może już wystarczyć.

Jakżeby mógł człowiek słaby, sam przez się pozbyć się słabości, jeśli każdemu pedagogicznemu jego usiłowaniu ta właśnie wada słabości stanie na przeszkodzie? Ale i tu nie należy rozpaczać. Człowiek o słabej opornej sile woli, *będzie zawsze ulegał obcym wpływom*, będzie się im wiernie poddawał — to prawda; lecz jeśli te wpływy będą wła-

śnie tego rodzaju, że mogą w nim *wzmocnić* ową słabą odporność woli? W takim razie udoskonalenie się będzie możebne.

Czegóż w tym celu potrzeba? Oto najpierw zasadniczych warunków samo-wychowania: 1) znajomości własnej natury, która przy pomocy pamiętnika wyrodzi w nas *świadomość* własnej słabości, jako wady; i 2) rozbudzonej w następstwie (pod wpływem wiedzy o przykrych jej skutkach) *chęci* pozbycia się jej.

Gdy te dwa warunki są dane, potrzeba wypełnić trzeci: *potrzeba postarać się o częstsze towarzystwo takich ludzi, w których tę odporną siłę woli, tę duchową samodzielność znamy, a może i podziwialiśmy nieraz.* Wpływ takiego towarzystwa wiele może, gdy się połączy z zewnętrznem dążeniem słabej jednostki do wzmocnienia własnego charakteru, do nadania mu cechy stanowczości. Kto może, niech się nie waha użyć tego środka w całej rozciągłości, niech się poddaje wpływom silnych wzorów, niech wreszcie szuka wzmocnienia w narażeniu się na różne koleje losu, niech podróżuje o własnych siłach, niech się stara w najdrobniejszych przedmiotach wyrabiać własne zdanie, bronić go i obstawać przy niem/ zawsze widząc w tym środku, w tym uporze, w tem usiłowaniu cel pomyślny, cel podniesienia własnej siły i wzmocnienia własnej indywidualności.

Tym sposobem *siła odporna*, nie przechodząc w *upór* lub *bezcharakterność*, zapewni nam szacowne przymioty woli, *stanowczość, odwagę* i *stałość*.

Zastanówmy się teraz nad drugim przymiotem woli, nad jej *siłą czynną*.

Siła czynna przejawia się w *energii* działania. Obdarzony nią człowiek postępuje śmiało naprzód pośród przeciwności, działa szybko, stanowczo, nie zważając na przeszkody, brzydzi się tchórzostwem i niedołęstwem, a wobec głosu obowiązku staje się potęgą, zagrzewającą innych do

czynu. W historyi naszej między innemi jaśnieje przykład Chrzanowskiej, żony Samuela Chrzanowskiego, obrońcy Trębowli. Po długich bezskutecznych walkach, wobec silnego natarcia Turków i uszkodzenia murów zamkowych, Chrzanowski zwołał radę wojenną, na której zdecydowano się poddać twierdzę, gdy wtem, między obradującymi stanęła małżonka dowódcy, grożąc mężowi, że jego i siebie zabije, jeśliby o poddaniu twierdzy zamyślał. To dzielne wystąpienie Chrzanowskiej przejęło oblężonych takim zapałem, iż zdołali jeszcze utrzymać twierdzę aż do chwili przyjścia posiłków, które ostatecznie odparły Turków od bram miasta.

Czynna siła woli, czyli energia w działaniu, może, jak widzimy, znaleźć się nawet w duszy kobiety, do trudów wojennych nie przywykłej i która może pierwszy raz w życiu tej swojej siły użyła. Ale kobieta ta miała silnie rozwiniętą uczuciową podstawę charakteru, warunkującą szlachetność czynów. Prosty stąd wniosek, że kształcąc w sobie *poczucie obowiązku* i *własnej godności*, człowiek może tem samem ułatwić sobie rozwój siły woli i jej objaw w odpowiedniej chwili działania.

Czynną siłę woli najlepiej wyrabia samo życie, trudy i walka o chleb, o stanowisko, o zasady; — ale samo życie jej nie daje, daje ją wrodzony temperament i odpowiednie, swobodne wychowanie. Młodzieniec może ją tylko wzmocnić w sobie, lub w inną stronę obrócić. I to jednak zadanie własnego kształcenia nie powinno być zaniedbywane. Dobór towarzystwa ludzi energicznych będzie najlepszą szkołą w tym względzie, chociaż szkoła ta nigdy nie przerobi wrodzonego nastroju i pierwszych wpływów dzieciństwa. Można ze słabego stać się silnym przy starannej pracy nad sobą i przy poddawaniu się odpowiednim wpływom, ale żywej *energii* działania, entuzyastycznej *rzutkości* umysłu, samo wychowanie nie stworzy. Właściwe wychowanie samo przez się, bez pomocy wrodzonego

temperamentu, również niewiele może zdziałać. Fakt ten nie powinien jednak osłabiać naszej wiary w skuteczność pracy nad własnym charakterem. Nie możemy przerobić naszej natury z gruntu, nie możemy flegmatycznego temperamentu zamienić w sangwiniczny, ale też taka przemiana leży poza celami, jakie sobie samo-wychowanie stawiać winno. Kształćmy się na ludzi godnych szczęścia i szukajmy szczęścia w podniesieniu własnej godności. Ten cel powinien nam wystarczać — różnice i stopnie zawsze istnieć muszą we władzach ludzkiej duchowości—różnice te i stopnie warunkują podział charakterów, zarówno jak podział pracy — i nigdy istnieć nie przestaną.

Do powyższych uwag jedną jeszcze dodać winienem, a mianowicie, że rzutkość myśli i entuzyastyczny nastrój woli należy do zasadniczych cech naszego charakteru narodowego i raczej jednostronne jego rozwinięcie, niż brak takowego, spotykamy najczęściej w życiu. Na nieszczęście owa czynna siła woli jest tylko chwilowym objawem uczuć, skłonności do uniesień i zapału — nie zaś przymiotem stałych usiłowań.

Jednostronne, zbyt wygórowane rozwinięcie czynnej siły woli, tworzy ludzi, o których mówimy, że są w *gorącej wodzie kąpani*. Jednostronność taka prowadzi do gwałtowności, do nierozważnych wybryków energii — i jest jedną z najpospolitszych wad naszych. Wykorzenić ją równie trudno, jak wyrobić. Więcej tu znaczy wychowanie domowe, racyonalnie prowadzone, aniżeli wychowanie własne—ale i to ostatnie nie pozostanie bez wpływu, jeśli tylko człowiek gorączkowego charakteru poczuje potrzebę hamowania się, na podstawie obserwacyi i krytyki własnych czynów.

Rozbudzanie w młodzieży naszej upodobania do owej pracy nad samym sobą, należy do najświętszych obowiązków każdego, ktokolwiek na młode pokolenie jakikolwiek wpływ wywierać może.

Weźmy teraz drugą stronę tej samej kwestyi.

Zbyt słabe rozwinięcie czynnej siły woli, tworzy nader pospolitą wadę charakteru: — *lenistwo*...

Sądzę, że nie będzie to przesadą, gdy powiem, że lenistwo dzieci jest winą wychowawców, jeśli nie jest wprost chorobą. Człowiek normalny, z natury swej potrzebuje być czynnym i chce być czynnym; trzeba tylko skłonności tej nadać kierunek, dać jej siłę, wytwarzając w młodym umyśle *żywe obrazy celów* działania, celów pracy. Dziecko, w którem przyrodzone zdolności umiano rozwinąć, dziecko, któremu ułatwiono nabycie *nałogów do zajęć, jakich samo pragnie*, czy to będzie upodobanie do rysunków, czy do ogrodnictwa, czy do mineralogii, czy do czytania podróży, czy do historyi lub matematyki — dziecko takie, mówię, nie będzie nigdy próżnować, bo próżnowanie, niezaspakajając licznych jego upodobań i skłonności, będzie dla niego przykrzejszem, aniżeli nawet praca dłuższa.

Ale i poza wychowaniem rodzicielskiem, wiele, bardzo wiele jeszcze zdziałać można. Weźmy przykład: jestem najmocniej przekonany, że ranne wstawanie nie tylko przysporzyłoby mi czasu do pracy, z której mam owoce, ale i dla zdrowia byłoby pożądane. Cóż z tego, kiedy ile razy obudzę się wcześniej i zestawię w myśli potrzebę wstania, chłód poranny i zimną wodę, którą się mam umyć, z owem wygodnem, ciepłem otoczeniem mojego łóżka, z urokiem porannych marzeń, tyle razy błoga teraźniejszość bierze przewagę nad obowiązkową myślą o przyszłości i — przewracam się na drugi bok.

Jak się wyleczyć z takiego lenistwa? Skoro sama siła woli nie wystarcza, weźmy w pomoc zewnętrzne pobudki. Znam towarzysza, który zawsze rano chodzi na przechadzkę, i który śmieje się z mego lenistwa. Zaproponuję mu, żebyśmy jutro poszli razem i żeby mnie przyszedł obudzić. Może za chwilę opuści mnie postanowienie poprawy i może nawet będę żałował, żem mu o tem powie-

dział — ale, stało się — przychodzi, budzi mnie i już wstyd nie pozwala mi cofnąć propozycyi. Wstawszy, spostrzegam, że niema nic tak strasznego w rannem wstawaniu, że może nawet przyjemność przechadzki lub korzyść porannej pracy, więcej warte od paru godzin półsennych marzeń, od których głowa tylko boli; — powtarzam doświadczenie raz, drugi i nabywam nałogu, który tem samem usuwa dawny nałóg lenistwa.

W ten to mniej więcej sposób możemy w celach pedagogicznych wyzyskiwać wpływy zewnętrzne, gdy własne pobudki są za słabe do wywołania reformy.

Połączenie *siły odpornej z siłą czynną*, daje, jak wspomniałem, przymiot woli nazywany *wytrwałością*.

Człowiek wytrwały, umie nie tylko *znosić* przeciwności, opierać się obcym wpływom *(siła odporna)*, ale i *usuwać* je, gdy na drodze jego wystąpią jako przeszkody *(siła czynna)*. Idzie on drogą raz obraną, bez obawy, bez odpoczynku, bez wahania, obmyśla sposoby usuwania przeszkód, pokonywa przeciwności i — zwycięża. Tak jest, zwycięża, bo wytrwałość musi zwyciężać. Tej cnoty niestety najmniej posiadamy. Każda myśl wzniosła rozgrzewa nas, ale tylko rozgrzewa; zapał chłodnie, ciężka praca na chleb powszedni osłabia przedsiębiorczość; niepowodzenie w przemyśle, w nauce lub sztuce, zniechęca, a nieraz nawet zabija; drwiny z nowatorstwa wszelkiego zrażają, apatya otaczających przestrasza/ i opuszczamy ręce zniechęceni. Na tę też ważną stronę naszego charakteru powinniśmy jak największy położyć nacisk. Iść swoją drogą, nie zważając ani na drwiny, ani na brak poparcia: kto idzie bez przerwy, musi dojść, a brak wytrwałości niweczy najpiękniejsze idee.

Leczmy się z tej wady, bo zawsze będziemy w tyle za innymi; przemysł, rolnictwo, handel, nauka — wszystko to nie może się wznieść dostatecznie wobec tej jednej słabości naszej. A przecież nie jest to wada niemożliwa do

usunięcia. Należy tylko z dziedziny wychowania wyrzucić nieco zabawek, dodać nieco pracy, pracy swobodnej, przyjemnej/ i p*ilnować, żeby każdy zamysł był doprowadzony do końca.* Czegóż bowiem potrzeba, żeby być wytrwałym? Potrzeba, *pracując, znajdować coraz to nowe pobudki, które nam ustać nie pozwolą i dalej pracować każą.* Niepodobna wytrwale pracować nad czemś, co bezpośrednio czy pośrednio nie budzi w nas nadziei przyjemnych wrażeń. Niepodobna też być wytrwałym w życiu, jeśli nas nie nauczono kończyć każdą robotę rozpoczętą i nawet w rozrywkach być konsekwentnym. Ciągłe rozrywanie uwagi dzieci bezmyślnemi a coraz to innemi wrażeniami wkorzenia w nas nieszczęsny nałóg lekkomyślności. Myśl, że pracując dłużej, zbliżamy się stopniowo do upragnionego celu, że każdym krokiem naprzód zdobywamy coraz to więcej wiedzy lub pozostawiamy coraz to więcej przeszkód poza sobą — a tem samem coraz to mniej przed sobą — ta jedna myśl o przyjemności, jaką daje praca, może nas uczynić wytrwałymi.

A więc *wzbudzić upodobanie do jakiejkolwiek pracy* — w tem cały sekret. Tak prosty — a tak dla wielu niezrozumiały!

Wyrabiając w sobie tę prawdziwie społeczną cnotę, szukajmy dobrych *wzorów*, poddawajmy się ich wpływom, wiążmy i zacieśniajmy coraz to silniej ogniwa szlachetnego nałogu; wezwijmy do pomocy wszystkie siły ducha, i ambicyę, i poczucie obowiązku, i miłość kraju, wszystkie wzory z historyi, poezyi i wiary — wszystkie znane nam wytrwałe charaktery przyjaciół. Zacznijmy od najprostszych przedsięwzięć i postanówmy sobie *nie porzucać żadnego, dopóki cel osiągniętym nie będzie.* Wytrwałość w drobnych przedsięwzięciach nie przedstawi żadnej trudności/ a gdy umysł nasz przywyknie do tego, żeby zawsze w drobnych pracach wytrwać do końca, to i w coraz większych stopnio-

wo, choćby na mocy nałogu, dążyć będzie uparcie do celu, jaki sobie z góry zakreśli.

Pobudki, dostarczane nam przez życie, spełnią resztę.

Wytrwałość — ze wszystkich cnót najtrudniejsza do zdobycia, znaleźć się przecież musi tam, gdzie uczuciowa podstawa charakteru racyonalnie rozwinięta, znalazła w życiu odpowiednie pole do ćwiczeń — gdzie doświadczenie życiowe zdołało rozbudzić siłę woli w walce o byt, pod naciskiem potrzeby; gdzie wreszcie myśl ciągłego doskonalenia się nie zatonęła w odmęcie codziennych zdarzeń, ale przeciwnie, przyświeca myślom i czynom.

Doświadczenie — to najlepszy nauczyciel. Lecz ażeby godnie wysłuchać jego nauki, trzeba się do niej przygotować; przygotować się, pracując nad sobą, kształcąc własny charakter. Praca to ciężka i długa — niemniej jednak jest naszym obowiązkiem, podobnie jak praca na chleb powszedni — jest naszym obowiązkiem narodowym — bo: jakie jednostki, taki naród.

V. KSZTAŁCENIE WOLI

(1916)

1. WSPOMNIENIE „MŁODEJ PRASY" I PÓŹNIEJSZE PRĄDY IDEOWE.

Odczyt powyższy, wypowiedziany w Warszawie w r. 1873, miał wprawdzie licznych słuchaczów, nie wywołał jednak silniejszego echa. Chwila nie była po temu. Był to okres walki „młodej prasy", w której górowały hasła wolnomyślne, antiszlacheckie, darwinistyczna „walka o byt" i bakonowskie godło: „wiedza to potęga". Pracę narodową

pojmowano przedewszystkiem jako porzucenie polityki romantycznej, jako zwrot od poezyi do handlu i od metafizyki do przemysłu. Była to reakcya nieunikniona po okresie szczytnej poezyi, zakończonym klęską powstania/ reakcya b. płodna w następstwa, niedostatecznie oceniana nawet dzisiaj, a częstokroć wprost fałszywie rozumiana przez tych, którym się wydaje, że był to prąd egoistycznego groszoróbstwa i materyalizmu życiowego. Tak bynajmniej nie było. „Praca organiczna", „praca u podstaw" znaczyły: podniesienie i oświatę ludu, demokratyzacyę społeczeństwa, pogłębianie bezkrytycznego czasopiśmiennictwa, powołanie kobiety do współdziałania w postępie pracy obywatelskiej, usuwanie wszelkiej apatyi i karmelkowej poezyi, czuwanie „domu" nad demoralizującym wpływem rosyjskiej szkoły, metody poglądowe w nauczaniu elementarnem, zamiast dawnych dogmatycznych, krytyczny pogląd na dzieje własne (głoszony także przez stronnictwo konserwatywne Stańczyków), wreszcie ogólne ekonomiczne podniesienie bogactwa krajowego. Ale bynajmniej nie dążenie do majątku z zaniedbaniem pracy ideowej, której wówczas było faktycznie więcej niż kiedykolwiek przedtem.

Nie mniej jednak był to prąd, że tak powiem zewnętrzny, społeczny, dążący do przewrotów wolnomyślno-ekonomicznych, nie rozumiejący wagi czynników wewnętrznych uczuciowych, które w historyi i poezyi potępiał, przyznając natomiast nadmierne znaczenie wiedzy i liberalnemu krytycyzmowi.

Niektóre z postulatów młodej prasy, jak: tolerancya kierunków radykalnych, krytyczniejszy pogląd na przeszłość, otrząśnięcie się czasopiśmiennictwa z konserwatywnej frazeologii, żywsze zajęcie się sprawami ekonomicznemi, sprawami ludu, emancypacya kobiet i ogólna demokratyzacya społeczeństwa, weszły w życie. I jeżeli dzisiejsze pokolenie nie czuje tej zasługi ówczesnych nowatorów, to tylko dlatego, że już owych czasów nie zna, że nie ma

pojęcia o parafiańszczyźnie i zacofaniu stosunków, o tej pensyonarskiej wstydliwości do krytycznego rozbioru wszelkich „drażliwych" zagadnień, jakie panowały wówczas w starej prasie, niezależnie od trudności cenzuralnych.

Młoda prasa ma więc swoje zasługi. Ale zarazem nie ulega wątpliwości, że prąd ów nie nadawał się do zagadnień doskonalenia wewnętrznego, uczuciowego, moralnego. Jemu chodziło o swobody i postępy publiczne — a kierunek ten wzmógł się i zaostrzył jeszcze bardziej w okresie socyalistycznym, który nawet zrazu przyjął wprost cechy kosmopolityczne. Dopiero gdy i ten krańcowy krytycyzm stosunków socyalnych zaczął ulegać reakcyi narodowej, gdy taki czy inny intelektualizm wykazał swą niedostateczność, gdy wreszcie swoboda wolnomyślna wyrodziła się w ekscesy „naturalizmu", „dekadentyzmu", Nietscheanizmu i innych krańcowych „izmów", wówczas dawne prądy uczuciowe znów zaczęły wypływać na wierzch, przybierając bardziej idealny charakter reform głębszych, niesamolubnych, w których hasła neo-romantyczne, plątały się ze zdobyczami okresu pozytywnego, oryginalność artystyczna z dawnym szablonem, intuicya wewnętrzna z objektywnym eksperymentem, wolnomyślność ze scholastyką, „nadczłowieczość" z niwelującym wszystko nihilizmem, pacyfizm z militaryzmem, prąd altruizmu „etyków" z prądem nienawiści klasowej i narodowej, który miał wkrótce dojść do szczytu w okresie obecnym. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że po krańcowym wybuchu, poplątanych z bohaterstwem uczuć niskich, jakim jest wojna obecna, nastąpi dłuższy niż to bywało dotychczas okres pokojowy, okres bardziej altruistyczny, idealniejszy od poprzednich, z pierwszemi realnemi próbami w duchu „Stanów Zjednoczonych Europy" i „międzynarodowego parlamentaryzmu" z pracą nad uduchownieniem jednostki — wśród ogólnej i długotrwałej nędzy...

Do tej, względnie radosnej ewentualności, my Polacy musimy się przygotować — ale zarazem, wbrew naszej staro- i noworomantycznej zapalności, powinniśmy pamiętać, że nie będzie to poetyczna „wiosna ludów", której błyskawica przeszła nad Europą w r. 1848, ale zimowa zorza nieco dłuższego pokoju i odrodzenia, oświetlająca pobojowiska i ruiny. Taką mamy powitać/ i w jej świetle, w bardzo ciężkich warunkach, pracować. A ponieważ od tej naszej pracy wszystko będzie zależało, a jej wartość od naszej wartości, musimy skorzystać z tego ruchu etyczno-pedagogicznego, jaki się przygotowywał przed wojną i nie tylko nie dać mu się wyczerpać w teoryi, lecz owszem w jaknajszerszym zakresie wprowadzić go w życie.

Gdyby się to nie stało, wszelkie zewnętrzne swobody, zastałyby nas znowu w bezwładzie waśni, prywaty i nieopatrzności.

2. RUCH ETYCZNO-WYCHOWAWCZY; REAKCYA PRZECIW INTELEKTUALIZMOWI.

Ruch etyczno-pedagogiczny, umożliwiający zajęcie się kwestyą kształcenia własnego charakteru, obudził się dopiero w kilkanaście lat później, w Anglii, Francyi i u nas, około r. 1890, z tą pocieszającą oznaką, że bez większego a właściwego nam spóźniania się za prądami Zachodu.

John Stuart Blackie wydał małą książkę „O wychowaniu samego siebie", która odrazu rozeszła się w dwudziestu kilku wydaniach i którą w r. 1891 J. K. Potocki przełożył na język polski, bez większego powodzenia; a w r. 1893 francuz Juliusz Payot większą p. t. „Kształcenie woli", która po polsku w wydawnictwie „Gło-

su" ukazała się cztery lata później i miała już duże powodzenie.

Pomimo tytułu swej książeczki, Blackie nie zajmuje się wyłącznie kształceniem charakteru. Dzieli on swe wskazówki, zwyczajem anglików, na 3 części, z których 1-a dotyczy kształcenia umysłowego, 2-a fizycznego a dopiero 3-a moralnego. W 1-ej, zaleca obserwacyę własną zamiast książek, i—studyowanie metafizyki, „która jest identyczna z racyonalną teologią". Zaleca badać „rzeczy piękne wszelkiego rodzaju" w naturze i sztuce, kształcić pamięć i sztukę gładkiego, przyjemnego i efektownego wysławiania się. Charakterystycznem dla budzącego się nowego okresu antipozytywnego jest to, co mówi (zresztą słusznie) o konieczności i wartości rozwijania *wyobraźni*, w przeciwieństwie do jednostronności rozumu, oraz potępienie przesadnego objektywizmu, który nazywa „obłędem zewnętrzności". Czuć już w tej pracy, tak popularnej, że nastąpi zwrot ku wewnętrzności, ku własnej duszy — chociaż o psychologii w tem „wychowaniu samego siebie" jeszcze wcale nie ma mowy. Jest tylko dążenie do jasności i naturalności, odziedziczone po okresie pozytywnym a prawdopodobnie zwiastujące podobny zwrot i w przyszłości, w przeciwieństwie do mglistego rozkiełznania abstrakcyi i fantazyi w okresie dekadenckim, a względnie jeszcze i w obecnym, przejściowym.

Blackie radzi, gdy chodzi o książki, zwrócić się raczej do wielkich niż do małych, a mianowicie do epokowych w historyi. A więc w naukach społeczno-politycznych każe czytać Arystotelesa, w matematyce Newtona, w filozofii Leibniza, w teologi Cudwortha, w poezyi Szekspira, w naukach przyrodniczych Faraday'a. A także tych pisarzy, którzy jak Voltaire i Hume tworzyli przewroty ucząc ściślejszego myślenia.

Przy uczeniu się języków przeciwnie, zaleca raczej podręczniki małe niż duże, — zawsze jak najwięcej czasu

poświęcając „dochodzeniu" własnemu, a najmniej „kuciu". Potępia przewagę studyów wyłącznie fachowych dla chleba, zaleca jednak, żeby to co się studyuje zgadzało się ze skłonnościami indywidualnemi.

W dziale o wychowaniu fizycznem wykazuje ścisłą zależność myśli od ciała i jego zdrowia, ostrzegając przed przepracowaniem, grożącem właśnie najpilniejszym. Należy przeplatać ślęczenie nad książką ruchem na świeżem powietrzu. Uczyć się głośno i na przechadzce, żeby jednocześnie ćwiczyć mięśnie. Oddawać się grom, sportom i gimnastyce. Chodzić, podróżować, więcej patrzeć niż czytać. Jeść i pić umiarkowanie. Spać od 6 do 8 godzin. Ranne wstawanie zaleca bez nacisku, ponieważ sam nie mógł się do niego przyzwyczaić — chociaż przy wszelkich zajęciach fizycznych, a więc tembardziej i przy wypoczynkach, każe czuwać woli. „Żadnej czynności ciała nie można wykonywać stale bez silnego nadzoru woli dobrze wyćwiczonej". „Gra dobrze skoordynowanych uczuć udziela harmonii swej strunom machiny cielesnej; zaś niezależność od ślepych wybryków woli, uwalnia serce od owych dzikich i nieracyonalnych uderzeń, wyczerpujących jego żywotność przed czasem. Jeżeli przeto chcecie być zdrowi, bądźcie dobrymi; chcąc być dobrymi, bądźcie mądrzy, zaś mądrym być pragnąc — bądźcie czystymi i pobożnymi, gdyż bojaźń boża jest początkiem mądrości".

W trzeciej i ostatniej części następuje bliższe wyjaśnienie powyższej tezy. „Dany człowiek może być głośnym, mądrym, silnym i bogatym, jeśli jednak przy tem wszystkiem nie będzie dobrym, może nie mieć żadnej wartości". Wartość naszą stanowi *charakter*, a w charakterze wyćwiczona *wola*. Ale moralność nie powinna być odłączana od religii, będącej źródłem cnót. Najpierwszą z nich jest *posłuszeństwo prawu*. „Jednostka występująca w społeczeństwie nie może być wolną od ograniczeń, które całości nadają określoną i spojną jedność". „Posłuszeństwo

i rozkazywanie, są to bez wątpienia rzeczy przeciwne; niemniej jednak pierwsze jest najlepszą szkołą przygotowawczą drugiego". „Największą pochwałą, jaką odznaczyć można członka danego stowarzyszenia, jest ta: oto człowiek, który zawsze robi to, czego się odeń wymaga, który zawsze zjawia się o takiej godzinie, o jakiej jest oczekiwany".

Drugą cnotą główną jest *miłość prawdy*. „Człowiek powinien uważać za swój obowiązek być czemś więcej niż się wydaje/ nie zaś wydawać się czemś więcej niż jest". Kłamstwem jest wszelka praca niedbała, niewykończona i powierzchowna. Źródłem kłamstwa: lenistwo, próżność albo tchórzliwość — które też wszystkie zasługują na wytępienie. Ale prawdomówność nie wyklucza roztropności. „Bądźcie roztropnymi jako węże, a niewinnymi jak gołębie", mówi Pismo.

Trzecią cnotą jest *pracowitość*. „Nie próżnujcie nigdy" zaleca Blackie. Ekonomicznie używając czasu, bądźcie porządni i systematyczni. „Żaden młodzieniec nie zabrnie zbyt daleko w złem, jeśli tylko poświęcać będzie pewien czas określonym zajęciom". „Czynność bezładna, przeskakiwanie od przedmiotu do przedmiotu bez wszelkiego planu, nie o wiele są lepsze od zupełnego lenistwa". „Przyczyną braku energii jest najczęściej pewna ciasnota poglądów" (raczej upodobań).

Trzeba coś kochać chcąc działać. Jeżeli umierający Goethe żądał „więcej światła" — my żądajmy „więcej miłości". „Żyć poezyą jest czemś lepszem niż pisać poezye". „Niech się więc młodzieniec strzeże zamykania w ciasnem kole sympatyj, niech się wystrzega niedorzecznych nienawiści i uprzedzeń względem innych ludzi. Uczciwy wróg jest częstokroć lepszym towarzyszem, niż chłodny przyjaciel; a najlepiej jest nie nienawidzieć wcale. Człowiek dobry będzie usiłował jak najbardziej otrząsnąć się ze swoich uprzedzeń osobistych, oraz należycie zbadać dodatnie

cechy osób i stronnictw, którym z natury swojej jest przeciwny". „Nigdy nie pozwalajcie sobie na ryczałtowe potępianie wielkich klas i zbiorowisk waszych bliźnich; ten rodzaj sądów sprawia wrażenie czegoś wielkiego, w istocie jednak jest dzieciństwem". Nie wystrzegajcie się podziwu, bo żyjemy podziwem, nadzieją i miłością. Bądźcie umiarkowani, dopóki jesteście młodzi, żebyście później nie stali się z konieczności zbyt umiarkowanymi. Za wszelkie nadużycia każe przyroda; wszelka rozpusta jest początkiem samobójstwa. Istotna godność człowieka tkwi nie w tem co on ma, ale w tem czem jest.

Zasadniczą cnotą moralną jest jeszcze *wytrwałość*. Walczcie z trudnościami istotnemi, nie zniechęcajcie się drobiazgami. Kto stale powraca do celu, ten go prędzej czy później osiągnie. Jedna tylko rzecz może nadać życiu ludzkiemu dostojeństwo i znaczenie, mianowicie e n e r g i a w d o b r e m — tę zaś zdobywa się jedynie przez ćwiczenie — i czytanie Biblii. Autor wylicza rozdziały, które specyalnie czytać należy, zalecając zwłaszcza księgę przysłów. „Niepodobna, mówi on, znaleźć książki, któraby była lepszym przewodnikiem i kierownikiem w życiu". „Psalmy zaś należy czytywać *często, dopóki nie wzbogacą one krwi naszego ducha, płodną i szlachetną pobożnością*". (Czyżby naprawdę autor wierzył, że samo powtarzanie czytania, może wytworzyć pobożność?).

Drugim środkiem jest *czytanie życiorysów wielkich ludzi*. Unikać natomiast należy powieści satyrycznych (np. Thackeray'a!), „które wszystko wydrwiwają". (Ale jednocześnie ułatwiają poznanie własnych wad). Za to Plutarch pozostanie zawsze najodpowiedniejszą lekturą dla młodzieży.

Trzecim i jeszcze lepszym środkiem jest *obcowanie z żywymi wzorami charakterów*. „Pamiętajcie, że zaraza moralna, tak samo jak zakażająca moc chorób cielesnych

połowę swej siły czerpie ze słabości osobnika, którego ma dotknąć".

Czwartym: *rozmyślanie w samotności.* Chwila przed zaśnięciem i niedziela po tygodniu pracy, powinny być poświęcone, przynajmniej w części, obrachunkowi z samym sobą.

Piątym: *modlitwa.* Stanowi ona skrzydła dla podniosłych dążeń naszych. Modlić się zaś należy nie o to, żeby zmienić wyroki boskie, lecz żeby wola nasza podążała zgodnie za wolą boską.

Taką jest treść dziełka angielskiego.

Byłoby rzeczą ciekawą, zestawić ją z tem co wiemy o charakterze duszy angielskiej, żeby zrozumieć wyjątkową popularność tego pięknego i szlachetnego kazania, tego zbioru dobrych aforyzmów, zastępujących wskazówki psychologiczne. Ale toby się mijało z obecnym naszym celem, przejdziemy więc do dzieła francuskiego.

3. KSZTAŁCENIE WOLI W ZWIĄZKU Z KSZTAŁCENIEM CHARAKTERU.

W przeciwieństwie do Blackie'go Payot staje odrazu na gruncie nowszej, niezależnej psychologii — a w przeciwieństwie do charakteru angielskiego jest jednocześnie praktyczniejszym i bardziej ziemskim.

W przedmowie zaznacza, że praca jego stanowi pierwszą próbę w tym rodzaju. „Słyszałem, jak wielu młodzieńców uskarżało się na brak metody dojścia do panowania nad sobą. Ofiaruję im tutaj to, co pod tym względem poddały mi cztery lata badań i rozmyślań".

Książka rozpada się na dwie części: teoretyczną i praktyczną. Pierwsza jest głównie oparta na pracach Ribota — druga stanowi oryginalne dzieło autora.

Pierwsza jest b. dobrą, choć nieco rozwlekłą, bo Payot niepotrzebnie za wiele miejsca poświęca zwalczaniu dwóch teoryj sprzecznych, z których jedna widzi człowieka z natury takim jakim jest i jakim być musi a więc lekceważy wychowanie wogóle i samowychowanie w szczególności; druga: teorya wolnej woli, znosi przyczynowość psychologiczną a tem samem także, zdaniem jego, uniemożliwia kształcenie własnego charakteru. Te kwestye tu pomijam, jako zbyteczne. Zamiast dowodzić, że chodzenie jest możliwe, najlepiej będzie odrazu ruszyć w drogę.

„Kształcenie woli, mówi Payot, odbywa się jak się zdarzy" (w przeciwieństwie do kształcenia umysłu, ulegającego najszczegółowszym przepisom). „A jednak, czyliż bez energii woli najświetniejsze dary inteligencyi nie pozostaną jałowymi?" „Dotąd jeszcze nie ukazała się żadna książka o środkach pożądanego wychowania woli. Niewiadomo też co robić, podejmując samoistnie tę pracę, której mistrze nasi nawet nie naszkicowali". „Tę to właśnie książkę, na której brak uskarża się młodzież, spróbowałem dla niej napisać".

Część psychologiczna pracy Payot'a jest dobrą, raz dlatego, że oparł ją na badaniach Ribota, a powtóre ponieważ tu i owdzie dodał swoje poprawki. Było to tem konieczniejsze, że Ribot w pracach swoich stale zaniedbywał pedagogikę. Część praktyczna ma więcej wad, ale także przewyższa znacznie poprzedników a w szczególności Blackiego, którego musiał czytać, chociaż go nie cytuje.

Środki działania na własną wolę dzieli Payot na dwie grupy: jedne występują w *rozmyślaniu*, drugie w *działaniu*. Pierwsza pojęta jest nieco abstrakcyjnie i nieraz nasuwa wątpliwości psychologiczne, ponieważ myślenie, b. ograniczone w teoryi co do swego wpływu na czyny, tutaj występuje czasem jako czynnik decydujący; choć właściwie rola ta, zdaniem samego autora, przypada tylko uczuciom i nałogom. Payot o tem wie, ale czasem zapomina. Na-

tomiast b. trafnie mówi o znaczeniu pracy, ostrzegając tylko przed przesadą, i zalecając raczej ciągłość niż nadmiar wysiłków. Bezustanna praca nie męczy, męczy tylko nadmierny wysiłek. „Tak pojmowana, jak wyżej wskazano, praca nigdy nie może wyczerpywać; znużenie jej przypisywane, naprawdę pochodzi prawie zawsze ze wzruszeń samolubnych, ze złej metody: praca racyonalna, nałóg myśli szlachetnych, mogą tylko umocnić zdrowie, skoro prawdą jest, że pogoda umysłu, spokój, szczęście, stanowią wyborne warunki fizyologiczne".

Część hygieniczna u P. jest b. podobna do tego co mówił Blackie: powietrze, światło, ruch, połączone z myślą doskonalenia się. Występuje tylko przeciw pewnym sportom, uprawianym na sposób angielski. „Rzecz szczególna, mówi on, że we Francyi chwalimy wychowanie atletyczne, jakie otrzymuje młodzież angielska, podziwiając je bez zastanowienia, z owym całkowitym brakiem zmysłu naukowego, który znamionuje dzisiejszego ducha ogółu. Olśniewa nas kilka wielkich kolegiów, gdzie pensyonat kosztuje do 5,000 franków rocznie, oraz owi bogaci synkowie lordów, uczęszczający na wszechnice z amatorstwa: nie spostrzegamy, że tę mniejszość należy właściwie porównywać (nie z większością naszą, lecz) z mniejszością sportsmenów francuskich. Anglicy inteligentni bynajmniej nie patrzą z rozkoszą na wybujanie ćwiczeń cielesnych w ich szkołach".

Natomiast zaleca P. przechadzki umiarkowane, przytaczając, że J. St. Mill większą część swojej Logiki ułożył w ciągu drogi pieszej do biura Kompanii Indyjskiej w którem pracował.

Co się tyczy kwestyi forsownych sportów fizycznych, to mojem zdaniem należy zająć stanowisko pośrednie i bardziej indywidualistyczne; P. ma słuszność, gdy twierdzi, że rozwój umysłu jest ważniejszy, i że wzmocnienia mięśni nie należy mieszać ze wzmocnieniem zdrowia. Przytoczyłem gdzieindziej (Ps. i Med. II, 181 i nast.) przykład siła-

cza cyrkowego, który przyszedł do mnie leczyć się na *osłabienie*, o mało mi nie zgniótł dynamometru/ a potem, gdy się uczuł silniejszym po magnetyzowaniu, objektywnie dawał znacznie mniej na siłomierzu. Przykład ten jest b. pouczający, wykazuje bowiem jak dalece różne dziedziny obejmuje *poczucie siły i zdrowia*, z jednej, *a poczucie osłabienia i objektywna siła mięśni* z drugiej.

Stokroć ważniejszą jest siła nerwów od siły mięśni, a siła psychiczna od czysto nerwowej. Ale w rzeczywistości te rzeczy łączą się, i rzadko tylko/ jakby dla rozjaśnienia nam teoryi/ odosobniają się od siebie. To też mięśnie *trzeba* ćwiczyć i ćwiczyć je *równomiernie z mózgiem*, pamiętając tylko o tem, że pewien stopień siły żywotnej potrzebny jest zarówno mięśniom jak mózgowi i *że nie można męczyć żadnej z tych dziedzin, gdy druga jest wyczerpaną.*

Jednocześnie zaś nie należy zapominać i o tem, że ćwiczenia atletyczne i gimnastyczne, nie będąc celem, mogą służyć za *środek* w rozwoju woli, wyrabiając odwagę, rozważną ryzykowność, szybkość decyzyi, przygotowanie i rozkład chwilowego wysiłku, wytrzymałość do końca danego zamierzenia, zręczność w pokonywaniu trudności, poczucie potrzeby wypoczynków, celem przedłużenia objawów siły, wreszcie ambicyę i pewność siebie — co wszystko należy do kształcenia woli.

Tymczasem P. za wiele miejsca poświęca temu co przeszkadza kształceniu woli, oraz temu co tylko pośredni ma z niem związek, a za mało *pozytywnym wskazówkom* do jej kształcenia, których właśnie najbardziej spodziewał się od niego czytelnik. Za wiele np. mówi o lenistwie i innych „wrogach" samokształcenia a za mało o sposobach wyrabiania energii — jakgdyby samo potępienie lenistwa dawało już siłę, a co gorsza zapominając o tem, że w większości wypadków brak siły nie pozwala i na zwalczanie przeszkód, ponieważ sam jest symptomem *choroby* ogólnej, która musi być najprzód wyleczoną. Niejednokrotnie

udawało mi się usuwać brak woli, samem magnetyzowaniem, czyli samem wzmocnieniem siły żywotnej, bez żadnych sugestyj — a tymczasem nie zdarzyło mi się obserwować, żeby przyrodzone, albo choćby tylko chroniczne osłabienie i lenistwo, ustąpiły, przez samą autosugestyę lub samoistny wysiłek woli—chyba chwilowo pod wpływem wraże i wzruszeń. Nie należy przeceniać owych środków wewnętrznych, bo pomimo tego że są potężne, mogą osłabnąć wobec niepowodzeń, wynikających właśnie z przesadnej wiary we własne siły.

Z drugiej strony, kwestyi żywszej uprawy sportów nie należy rozstrzygać ogólnikowo. Nie wszyscy są do nich uzdolnieni i nie wszyscy uzdolnieni uczuwają do nich pociąg w danym okresie życia. O tem należy pamiętać. A tymczasem idąc za tezą ogólnikową narażamy się na to, że albo pominiemy lub powstrzymamy chętnych i uzdolnionych, albo znów pobudzimy nieprzygotowanych, czy też tylko czasowo nieusposobionych, do prób mało owocnych, względnie całkiem zawodnych i zniechęcających.

W wychowaniu wogóle dwa cele należy mieć na względzie:

1° Wyszukanie i zbadanie różnorodych osobniczo uzdolnień;

2° Rozwój istniejących, w okresie odpowiedniego usposobienia.

Pierwsze zadanie jest ważne, bo stawia pedagogikę na gruncie etologii, czyli znajomości charakterów. Drugie równie ważne dlatego, że uchyla zawody, pozwalając działać racyonalnie.

Szematyzm w wychowaniu jest tak samo złym jak w lecznictwie. Ale próbować umiarkowanie każdego rodzaju ćwiczeń trzeba koniecznie, bo tylko w ten sposób poznamy różnice temperamentów i charakterów a jednocześnie i stopnie zdrowia. W tych kwestyach lekarz musi być pedagogiem a pedagog lekarzem. Nie przyszedł jeszcze czas

zrozumienia łączności tych dziedzin w praktyce szkolnej i na fakultetach — niechże przynajmniej odczucie tej prawdy przygotowuje się zwolna wśród wykształconego ogółu.

Obie wymienione zasady są *ogólne*/ i to co wyżej powiedziałem stanowi tylko przypadek specyalny. Powinniśmy na małą skalę uczyć dzieci *różnych* rzemiosł i podsuwać im *różne* zagadnienia naukowe, ażeby zbadać, w jakim kierunku są więcej, a w jakim mniej uzdolnione; bo tylko w ten sposób w całym narodzie powiększy się ilość sił specyalnych najbardziej nam potrzebnych. A z drugiej strony powinniśmy dogodzić *upodobaniom* dziecka, bo tylko praca pożądana, przyjemna, może być w pełni owocną. Narzucając dziecku fach dla niego wstrętny lub choćby tylko obojętny, popełniamy jeden z tych błędów staropolskich, dzięki którym bardzo rozległe uzdolnienia naszego narodu szlacheckiego zredukowały się jedynie do rutynicznej gospodarki na roli, do „sztuki krzyżowej" we władaniu szablą lub wreszcie palestranckiej umiejętności władania językiem. Dziś przesądy upadły; czas żeby upadły i pozostałe po nich nałogi pedagogiczne. A wszystko to stosuje się także do samokształcenia i do rozwoju własnej woli.

4. KSZTAŁCENIE WOLI W STOSUNKU DO ZAGADNIENIA ZMYSŁOWOŚCI.

Wierny swemu zwyczajowi poruszania kwestyj ubocznych, byle związanych ze sprawą, Payot mówi obszernie o zagadnieniu płciowem kształcącej się młodzieży.

Nie weźmiemy mu tego za złe, ponieważ poruszone przez niego strony tego zagadnienia są rzeczywiście b. ważne a sprowadzają się mianowicie do dwóch punktów:

1) przesadnej opinii o wartości miłości zmysłowej w życiu ludzkiem,

2) całkiem błędnego przekonania o wartości leczniczej stosunku płciowego.

Co do pierwszego, to gdyby chodziło nie o samą miłość zmysłową, lecz o miłość wogóle, jej doniosłość nie tylko nie ulegałaby zaprzeczeniu, ale nawet trudnoby ją było przeceniać. Na nieszczęście ludzie powierzchownie mieszają jedno z drugiem, a schlebiający umysłom powierzchownym powieściopisarze podtrzymują je w tej opinii. I oto tworzy się błędne koło, ustalające jedną z najmniej szlachetnych, z najbardziej poniżających namiętności wśród młodzieży.

Cała belletrystyka uprawiana jest w ten sposób, jakgdyby nie było na świecie ważniejszych czynników nad zbliżenie mężczyzny z kobietą — albo jeszcze gorzej: samo zadowolenie płciowe w jakikolwiek sposób wywołane. Payot przeciw tej opinii oddziaływa, nie formułując jednak dość wyraźnie środków ową jednostronność usuwających. Mojem zdaniem, zresztą w znacznej części zgodnem z tem co pisze, są one następujące:

1. *Uchylenie wpływów cielesnych*, takich jak zbyt forsowne odżywianie i trunki, długie wylegiwanie się w łóżku, sypianie na wznak, jadanie późno przed nocą, zbyt ciepłe przykrycie, środki drażniące fizycznie, jak u kobiet jazda konna po męsku, jazda na welocypedzie i szycie na maszynie nożnej, które to czynności muszą być, stosownie do natury danego organizmu, albo ograniczone, albo nawet niedopuszczane. Payot wymienia jeszcze „długie przesiadywanie na wykładach" — czego już nie rozumiem.

2. *Uchylenie wpływów imaginacyjnych*, takich jak pornografia w piśmie, w obrazach i w widowiskach, nie mówiąc już o zepsutem towarzystwie służby i rówieśników.

3. *Rozbudzenie jak największej liczby upodobań poważnych* fizycznych i moralnych, któreby mogły przeciw-

ważyć budzące się upodobania zmysłowe — przyczem na pierwszem miejscu obok poczucia religijnego, gdzie ono jest, należy postawić przedewszystkiem poczucie estetyczne i poczucie własnej godności — o czem jeszcze osobno będzie mowa.

4. *Poważne, naukowe traktowanie kwestyi stosunku fizyologicznego* wraz z uwzględnieniem jego strony hygienicznej, ku czemu pomoże zarówno usunięcie niewłaściwej pruderyi i zbyt długiego nieuświadamiania młodzieży, jak i równie szkodliwych wpływów poezyi erotycznej, tak wzmożonej w ostatnich czasach a zmierzającej już nie do chwilowej rozpustnej podniety, jak w dawnych utworach bezceremonialnych, lecz wprost do kultu ciała, do jakiejś religii rozkoszy zmysłowej, którąby nawet zwierzę uznało za chorobę, gdyby się umiało w tej materyi wypowiedzieć.

5. *Przyznanie wielkiej, choć nie wyłącznej doniosłości w życiu popędu płciowego* i nie wytępianie go ascetyczne, lecz opanowanie, zgodne z normalnem, psychologicznem i społecznem znaczeniem rozkoszy dla życia gatunku i dla szczęścia jednostek. Tu znów psychologia tego przejawu, ucząca że *maximum* rozkoszy *zależy od udziału w niej czynników idealnych* — a w praktyce, większa swoboda młodzieży obojga płci do zawierania stosunków idealnych i zbliżeń półzmysłowych—wystarczy do tego, żeby popęd czysto zmysłowy nie opanował innych *sztucznie;* mówię sztucznie, bo naturalnie równoważą go inne/ i żeby człowiek, nie tracąc tego ważnego źródła szczęścia, jakie daje rozkosz zmysłowa, nie przestał jednak być człowiekiem. Życie ideowe młodzieży, ułatwiane wszelkimi możliwymi sposobami, władza nad sobą wyrobiona w innych kierunkach, dbałość o opinię starszych/ wreszcie, jak dla nas w chwili obecnej, rozbudzenie wyższych i dalszych celów narodowych, nie dopuszczą tego, żeby zdrowe podnoszenie wartości ciała przeszło w chorobliwy i prędzej czy później rujnujący wszelkie siły kult ciała.

Przesadne opinie o miłości zmysłowej polegają jeszcze na tem, że niby to naukowo przypisuje się popędowi płciowemu powstającemu wraz z dojrzałością, konieczność zaspokojenia go.

Jest to błąd, słusznie zaznaczony przez Payot'a. Jeżeli nie u zwierząt, to przynajmniej u człowieka, pierwsze popędy *mogą* być niezaspakajane, bez żadnej szkody a nawet z pożytkiem dla organizmu. Opóźnienie więc tego stosunku u młodzieńców a tembardziej u dziewcząt poza chwilą zupełnej dojrzałości, staje się zupełnie możliwem. Jeżeli tak się w większości wypadków, przynajmniej u mężczyzn, nie dzieje, to jest to tylko skutkiem niemoralnej kultury wiekowej, dającej mężczyźnie przewagę nad kobietą, a także skutkiem ohydnego tolerowania prostytucyi i nadmiaru drażniących wpływów otoczenia.

Prawdą jest tylko to, że ponieważ przeznaczenie kobiety, oparte na długiej ewolucyjnej hierarchii pokoleń, żąda by została matką — nie osiągnięcie tego celu przez długie lata, wywiera na całą jej umysłowość wpływ wyraźny i dość często ujemny. Ale właśnie w stosunku do mężczyzn tej konieczności nie ma, i wpływ na charakter niezaspokojenia popędów jest bez porównania słabszy.

To co mówię nie przeczy istnieniu potrzeby, nie zmniejsza jej doniosłości psychicznej i wogóle życiowej, ogranicza tylko nierozsądne uogólnienia, znosi stanowczość sądów o potrzebie zaspakajania *pierwszych* popędów i otwiera szerokie pole do zastosowania władzy nad sobą, do panowania nad chwilowymi popędami, zarówno ze względu na uczciwość w stosunku do młodych dziewcząt jak i przez wzgląd na samego siebie, na własne zdrowie i szczęście.

Payot widzi tylko jeden środek na te trudności a przynajmniej nad jednym tylko rozwodzi się, mianowicie widzi lekarstwo główne we *wczesnych małżeństwach*.

Nie mogę się na to zgodzić. Widziałem wiele wcze-

snych małżeństw, które niewątpliwie należały do wielkich błędów życiowych. I późniejsze małżeństwa nie zawsze są gwarancyą szczęścia, częściej jednak są trwałe. Zresztą, gdy się mówi o związku późniejszym, ma się głównie na myśli mężczyznę, nie kobietę. Jeżeli panna około roku 30-go życia jest już mniej zdolną do małżeństwa niż około 20, to mężczyzna 30-letni jest raczej lepiej uzdolnionym niż 20-letni. Pamiętam ja zawsze o różnicach indywidualnych i nigdy nie decyduję kwestyi ogólnikowo; ale też właśnie dlatego nie mogę się zgodzić na zdanie Payot'a, żeby wogóle żenienie się mężczyzn zaraz z chwilą dojścia do dojrzałości było pożądańszem niż późniejsze. Nie mogę popierać tej tezy także i z tego powodu, że dla mnie najważniejszym warunkiem szczęścia jest uprzednie dokładne poznanie się wzajemne, niemożliwe przy zbyt wczesnem ożenieniu i zbyt krótkiem narzeczeństwie. Należałoby też wytępiać z opinii publicznej to przekonanie, że rozejście się po pewnym czasie narzeczeństwa, rozejście się w sposób uczciwy, ubliża komukolwiek. Ludzie z trudnym charakterem, zwłaszcza uczeni, wynalazcy, artyści i poeci, albo też zbyt oddani robieniu pieniędzy, przy jednoczesnej wrażliwości na sprawy sercowe, najlepiej uczynią nie żeniąc się wcale, a w każdym razie powinni się namyślać dłużej niż inni.

Z wielką słusznością występuje Payot przeciw jednemu jeszcze przesądowi, który jest już nie tylko przesadnem pojęciem o wartości fizyologicznej stosunku zmysłowego, ale wprost bezpodstawną, na rutynie tylko opartą, hypotezą.

„Oprócz niedorzecznej dążności piśmiennictwa, mówi on, piśmiennictwa przeznaczonego dla szerszego ogółu, obiega wśród nas wielka ilość sofizmatów, które zawczasu rozbrajają studenta w jego usiłowaniach zapanowania nad sobą. Autorami tych sofizmatów są najczęście lekarze. Wypowiadają je oni owym tonem stanowczym i z tą silną wia-

rą, jaką wielu z nich zdradza, podając za pewniki zdania, wylęgłe z czysto dziecinnego wnioskowania".

Właściwie chodzi tu o rutynę i o jednostronnie fizyologiczne traktowanie kwestyi, z pominięciem psychologii i etyki. Mężczyźni „muszą" ulegać swoim popędom, bo... bo tak czynią zwierzęta, jest to więc potrzebą przyrodzoną i konieczną, której niezaspokojenie wywołuje choroby — nikt wprawdzie tego nieobserwował w warunkach ścisłych, a znakomity fizyolog Brown Séquard był wprost przeciwnego zdania, ale medycyna nie opiera się na obserwacyach ścisłych, a wielu jednostkom wystarcza, że jakaś powaga, która nigdy ścisłych obserwacyj nie dokonywała, wyrzekła dane zdanie, ażeby je dziesiątkami lat powtarzać, jak za panią matką pacierz. Tak też jest i w tej kwestyi. Włosy na głowie wstają, gdy się człowiek rozejrzy ile demoralizacyi krzewią lekarze przez swoje naiwne a nieoględne traktowanie „konieczności fizyologicznych" [1]). Oto

[1]) W ostatnich czasach usprawiedliwiano nawet nienaturalne nałogi płciowe. Na czele tego ruchu stoi niestety, pod niektórymi względami zasłużony twórca „Psychoanalizy" prof. Zyg. Freud, zupełny maniak na punkcie funkcyj płciowych. „Zazwyczaj oddający się nadużyciom młodzieniec nie doznaje żadnych chorobliwych odczuwań aż do chwili, gdy dowie się czy to z broszur, *z nieuctwem rzecz tę traktujących*, czy od kolegów, czy wreszcie od *nietaktownego* lekarza, pragnącego nastraszeniem odzwyczaić chorego od nałogu — że nienaturalne zaspakajanie popędu jest szkodliwem dla zdrowia, co zresztą *nie jest słusznem*. *Wówczas dopiero* powstaje u chorego *niepokój*, obawa dostania wiądu rdzenia, rozmękczenia mózgu i wogóle cały szereg skarg hypochondrycznych". (Odczyty Kliniczne „Gaz. Lek." Dr. Tadeusz Jaroszyński O metodzie psychoanalitycznej Freuda. Warsz. 1912, s. 37).

Jeżeli nawet nienaturalny sposób zaspakajania popędu jest usprawiedliwiany, to tembardziej zaspokojenie naturalne uważane jest za konieczne, skoro tylko nastąpiła dojrzałość.

przykład, jeden z wielu: młody człowiek kochał całem sercem zacną dziewczynę i cieszył się jej wzajemnością; wskutek pewnych przejść moralnych zapadł na neurastenię — idzie więc do lekarza. Ten wypytuje go o sposób życia. Młodzieniec opowiada, że przesiadując przy narzeczonej doznaje często pobudzeń zmysłowych. Przyczyna choroby znaleziona. Lekarz nakazuje mu koniecznie zaspakajać te pobudzenia. Ponieważ zaś w stosunku narzeczeńskim było to niemożliwe, a młodzieniec miał wstręt do kobiet ulicznych, zwrócił się, traktując ten stosunek jako lekarstwo, do macochy panny, która mu okazywała widoczne względy. Na neurastenię wprawdzie owo lekarstwo nie pomogło, ale za to dowiedziawszy się o niem, panna otruła się. Dla młodzieńca skutkiem tej „kuracyi" była długoletnia ciężka choroba.

Podobny przesąd w stosunku do kobiet powstał w ten sposób, że dawniej uważano hysteryę za cierpienie maciczne (stąd nazwa: *maciennictwo*). Dziś wprawdzie ten pogląd upadł, ale pozostała rutyna w praktyce, i ile razy lekarz nie może sobie dać rady z nerwicą lub psychozą panny, tyle razy każe ją *wydać za mąż*. Skutek jest taki, że mąż ma życie zatrute i rodzą się dzieci mniej lub więcej zwyrodniałe. Przeszło 30 lat obserwuję te rzeczy, ale nigdy nie widziałem hysteryi wyleczonej przez małżeństwo. Co najwyżej zmieniała się forma przejawu choroby — a gdy warunki moralne były nieodpowiednie, następowało nawet pogorszenie.

5. WNIOSKI OGÓLNE Z POPRZEDNICH SPOSTRZEŻEŃ.

W konsekwencyi wszystkich powyższych uwag, należy:

1. Nad popędami płciowymi panować, więcej jeszcze niż nad wielu innymi, ze względu że nierozważne ich

zaspakajanie, naraża jednostkę a częstokroć i drugich lub własne potomstwo.

2. Zapanowanie takie nie będzie trudnem, jeśli nastąpi wcześnie, zaraz przy pierwszych objawach dojrzałości.

3. Jest zaś pożądanem i z tego względu, że pobudzenie zmysłowe nie zaspokojone wzmacnia siły duchowe, a zaspokojenie osłabia.

4. Skutek przeciwny występuje tylko u już znałogowanych i to tylko chwilowo.

5. Nie należy natury gwałcić, należy nią tylko pokierować rozumnie i umiarkowanie, a wtedy jednostka, jej zdrowie i szczęście, nie tylko nie poniosą szwanku, lecz przeciwnie doznają wzmożenia i podpory.

Przedewszystkiem zaś zwycięstwo nad sobą odniesione, wzmocni władzę woli i w innych, łatwiejszych do opanowania dziedzinach.

Payot kończy swoje dzieło szeregiem uogólnień i konkluzyj:

„Z siłą przeto nieprzepartą narzuca się nam przekonanie, że przy pomocy czasu i wszystkich naszych środków psychologicznych, każdy człowiek może dojść do panowania nad sobą".

Każdy człowiek odpowiednio rozwinięty i uposażony zgóry skłonnościami do doskonalenia się — nie każdy wogóle.

Powtóre, nie należy mieszać *władzy nad sobą* z *wykształceniem woli*. Władza nad sobą da się osiągnąć i jest czynnikiem koniecznym, najprzód na wstępie/ a potem od czasu do czasu w chwilach potrzeby zwalczania pojedynczych popędów. Ale taka walka nie może, nie powinna nawet być ciągłą, boby jej najdzielniejszy umysł nie wytrzymał. Wykształcenie woli zmierzać powinno do takiego jej wyrobienia, żeby czyny pożądane przychodziły niejako sa-

me, bez walki, bez opozycyi, nawet *bez trudu*. Tylko takie wykształcenie woli jest naprawdę użytecznem i doniosłem! a gdy powstanie, gdy się ustali, wówczas władza nad sobą stanie się w większości wypadków zbyteczną. Dany sposób postępowania przejdzie w zwyczaj, wejdzie w krew, stanie się *drugą naturą*.

„Nie tylko szczęście nasze — mówi dalej P. — zależy od stopnia zdobytej nad samym sobą władzy — zależy od niego również wysoka uprawa umysłu. Geniusz — to przedewszystkiem długotrwała cierpliwość: prace naukowe i literackie, przynoszące największy zaszczyt umysłowi ludzkiemu, zawdzięczamy nie wyższości inteligencyi" (należało powiedzieć: nie wyłącznie), „jak się pospolicie mniema, ale wyższości woli, przedziwnie władającej sobą".

Prawda — tylko znowu występuje tu owo pomieszanie dwóch pojęć. Geniusz nie potrzebuje *panować* nad sobą, żeby pracować i tworzyć; on tylko z *natury i z nałogu* pracuje i tworzy. Człowiek genialny może się odznaczać nie tylko brakiem zdolności do panowania nad sobą, ale nawet zupełnem niewyrobieniem woli. O takim można powiedzieć to, co mówiono o L a f o n t a i n i e, że „rodził bajki jak jabłoń rodzi jabłka".

„Trzeba będzie rzetelnie odnowić nasze nauczanie średnie i wyższe" (przedewszystkiem najniższe). „Sprawą nagląca jest zniszczyć niedorzeczny i wyłączny *kult pamięci*, osłabiający żywe siły narodu. Potrzeba będzie zapuścić się z siekierą w nierozwikłany gąszcz *programów* wszelkiego rodzaju, poczynić w nich znaczne wręby wzdłuż i wszerz, otworzyć dostęp światłu i powietrzu, a nawet umieć poświęcić rośliny b. piękne, ale zbyt zagęszczone i szkodzące sobie wzajemnie. Zamiast opychania pamięci, wprowadźmy wszędzie *ćwiczenia czynne*, prace hartujące sąd nasz i inicyatywę umysłową, dzielne wnioskowanie; właśnie uprawiając wolę tworzyć będziemy ludzi genialnych" (?), „gdyż wszelkie przymioty pierwszorzędne przypisywane inteli-

gencyi, są w rzeczywistości przymiotami energii i stałości chcenia".

To ostatnie zdanie jest słusznem, ale ludzi genialnych tworzy raczej sama natura niż jakakolwiek sztuka. Dość nam będzie poprzestać na tem, że przez te reformy powiększymy znacznie liczbę *dzielnych pracowników*. Geniusze same się znajdą, w dodatku.

„Zagadnienia społeczne czynią dla nas naglącą ową potrzebę rdzennego przeobrażenia naszego systemu wychowawczego; są one dziś nierozwiązanemi i tak niepokojąco niebezpiecznemi dlatego tylko, że zarówno w szkole jak i w kolegium *zaniedbano uprzedzić wychowanie moralne podstawą jego, którą jest wychowanie woli.* Daje się [illegible] piękne prawidła postępowania ludziom, których *nie przyzwyczajono dobrze postępować*/ ludziom samolubnym, gniewliwym, leniwym, zmysłowym, częstokroć żądnym co prawda poprawy, ale takim, którzy z powodu owej zabójczej teoryi wolnej woli, odbierającej odwagę" (?) „dobrym chęciom, nie dowiedzieli się nigdy, że wolność i panowanie nad sobą muszą być zdobywane stopniowo".

Jeśli o tem nie wiedzą, to źle; ale to niema żadnego związku z teoryą wolnej woli.

Wreszcie bez zastrzeżeń przyjąć możemy zdanie końcowe:

„Gdyby każdy zadał sobie pracę zastanowienia się nad nieodzownością dzieła tego, oraz nad wielką szczodrobliwością, z jaką nagradzane bywają najmniejsze wysiłki w tym kierunku, wówczas ze sprawy tej uczynionoby nie tylko najprzedniejszą troskę osobistą i publiczną, ale *postawionoby ją wyżej od wszystkich, jako dzieło najgłówniejsze i najbardziej naglące*".

6. DĄŻENIA DO WZMOCNIENIA SAMODZIELNOŚCI WOLI.

W r. 1898 niezwykle żywy ruch na polu reform pedagogicznych, nie tylko we Francyi, wywołało dzieło Edmunda Demolins: „A quoi tient la supériorité des Anglo-Saxons", w którem z abnegacyą patryotyczną wykazywał wyższość angielskiego systemu wychowawczego nad francuskim. A panującą nutą w tej gorącej, z talentem motywowanej odezwie, była obok reformy nauczania, myśl położenia nacisku przedewszystkiem na kształcenie charakteru, na wyrobienie silnej *samodzielnej* i *przedsiębiorczej* woli.

Całe to wystąpienie, tak głośne, tak radykalne, jest nadto wysoce znamiennem, zwłaszcza jeśli to co o tej książce pisano wówczas, zestawimy z tem, co zaszło w świecie politycznym w kilkanaście lat potem: z obecną wielką walką światową.

Demolins nie tylko przekreślił zastrzeżenia Payot'a co do niewłaściwości sportów angielskich dla Francuzów, ale nadto potępił polityczne dążenia rodaków, ich myśli o odwecie na Niemcach i te niewątpliwe, chociaż niedorównywające Niemcom ulepszenia militarne, do jakich się zabrali gorliwie po r. 1871; a potępił je z takim zapałem jakgdyby zbliżająca się epoka nienawiści, militaryzmu, egoizmu narodowego i zawiści handlowo-kolonialnych miała być epoką miłości, wiecznego pokoju i politycznego altruizmu!...

Czy się mylił? Niewątpliwie, choć nie bezwzględnie. Śmiem wierzyć, że te straszne zapasy, których jesteśmy świadkami, były wprawdzie koniecznem *maximum* nienawiści, do którego zmierzała zwolna materyalistyczna kultura poprzedniej epoki, lecz że zarazem owo *maximum* musi prędzej czy później wyczerpać się, doprowadzić do znużenia, do przełomu, do etycznego i bardziej idealnego

ogólno ludzkiego o p a m i ę t a n i a, po którem, nie na stałe wprawdzie, ale na czas dłuższy nastąpi przewaga tych ideałów reformatorskich, w imię których perorował Demolins.

A ponieważ wszelkie nowe idee muszą występować jakby kolejnemi pchnięciami szpady, zanim zadadzą cios śmiertelny rutynie i zastojowi/ ponieważ nowe kierunki — zawsze tylko w części sprzeczne z dawnymi — muszą się przygotowywać zwolna/ moralne propozycye i postulaty tych kierunków, tem więcej zasługują na uwagę dzisiaj, gdy chwila przełomu zdaje się być prawdopodobniejszą i bliższą.

Sądzę zaś, że wystąpienie Demolins'a tak pożyteczne dla Francuzów, będzie pożytecznem jeszcze bardziej dla nas, pod warunkiem, żebyśmy nie w ślepem/ jak to zwykle bywało/ naśladownictwie zagranicy, ale w krytycznem, rozważnem, przystosowanem do naszych braków i do naszej przyszłości, rozpatrzyli je świetle.

„Bolesna to lektura (pisał jeden z głośnych a poważnych publicystów francuskich, J u l e s L e m a i t r e, który głównie się przyczynił do rozgłoszenia książki Demolins'a), trzeba nam jednak wypić ten kielich goryczy. Wszystko co nam wypowiada autor, wiedzieliśmy, a przynajmniej przeczuwaliśmy; lecz on to wypowiada lepiej, a nadewszystko nadaje swoim poglądom potężną spójnię. Równie przekonywająco jak nieubłaganie odkrywa z jednej strony niezmierną wyższość społeczną, polityczną, handlową, finansową i moralną rasy anglo-saskiej — z drugiej zaś naszą słabość i nędzę. Nie ocali nas wyższość naszych wodewilistów i mistrzów sztuki kucharskiej, może nawet nasza wyższość w sztuce okaże się zbytkiem bezużytecznym. My liczymy jeden na drugiego, gdy anglik liczy każdy na własne siły".

„Nasz system szkolny wytwarza przeważnie *urzędników* — angielski *ludzi*".

„Nasz sposób wychowania, ogranicza liczbę dzieci

w małżeństwach, każe gromadzić oszczędności, które jednak odwracają się od przemysłu i handlu, gdy wychowanie angielskie przygotowuje do walki o byt, popycha do odległych choćby przedsiębiorstw i tym sposobem nie lęka się przeludnienia, a jednocześnie podnosi godność osobistą i wartość moralną jednostki".

„Zamiłowaniu w pracy biurowej a usuwaniu się od rolnictwa, przemysłu i handlu, zawdzięczamy skład naszego parlamentu, w którym zasiada 100 urzędników a 300 dziennikarzy, adwokatów, notaryuszów, lekarzy; wówczas gdy w angielskim parlamencie, rolnicy, przemysłowcy, kupcy" (a więc ludzie pracy twórczej i przedsiębiorczej) „stanowią ogromną większość (360)".

„Dlatego to Anglik stał się władcą świata. Wyrugował nas z Ameryki północnej, Indyi, Egiptu. Dlatego panuje nad Ameryką przez Kanadę i Stany Zjednoczone, nad Afryką przez Egipt, nad Europą, handlem, przemysłem i polityką".

W tym względzie zaszły w następnych latach pewne zmiany wskutek gwałtownego przyrostu industryalizmu niemieckiego. A co do owego panowania politycznego nad światem, to zależy ono także w pewnym stopniu od charakteru narodowego i nie da się zmienić samem wychowaniem. Zresztą, panowanie nad światem, nie jest lub nie powinno być ideałem polskim, choćby dlatego, że nie w tym kierunku idą dzieje. Dzieje idą w kierunku wolności dla wszystkich, ale też i poprzestawania na swojem. Zabory nie są ideą polską, lecz zmartwienie stąd nie wielkie, bo prędzej czy później muszą upaść. Prawdą i celem pozostanie tylko większa przedsiębiorczość pokojowa, większa wytrwałość i większe, trzeźwiejsze pojęcie własnej godności.

„Jakiż na to ratunek?" — ciągnie dalej rzecz swoją Lemaitre.

„O b. prosty! przyswoić sobie te cnoty, jakich nam brak, a które rozwinęli Anglicy, w sile swej woli, w przy-

zwyczajeniu do liczenia na siebie samych, w duchu inicyatywy i energii".

„Na to potrzeba:

rodziców z silnem przekonaniem, że winni dzieciom tylko wychowanie (bez posagu), lecz wychowanie pełne hartu;

młodzieży z mocnem przekonaniem, iż sama powinna sobie dawać radę w życiu;

rządu, któryby ograniczył do minimum swój zakres działania i liczbę urzędników, a dzięki temu skierował młodzież ku zawodom dającym niezależność, wymagającym wysiłku woli, inicyatywy i osobistego trudu;

potrzeba nam wreszcie takiego układu społecznego, w którymby urzędnik, polityk i próżniak cieszyli się mniejszem poważaniem niż rolnik, przemysłowiec i kupiec".

To wszystko, my Polacy, możemy wziąć do serca/ bo jeżeli gdzie to u nas wielu próżniaków cieszy się większem poważaniem niż uczciwy kupiec; jeżeli kto to my żądamy wszystkiego od społeczeństwa, a gdy będziemy mieli swój rząd, to będziemy wszystkiego żądali od rządu; jeżeli gdzie to u nas młodzież przywykła do korepetytorów, protektorów, łapówek i posagów; jeżeli kto to my wychowujemy dzieci na lalki i salonowców, niezdolnych do samopomocy w twardych warunkach życia, z wykluczeniem wszelkich form życia nad stan i wszelkich błyskotliwych, loteryjnych, nie stopniowanych i nie wytrwałych zabiegów.

Ale oto nasz mistrz tak dalej radykalizuje:

„Jaśniej mówiąc, trzebaby skasować naukę języków umarłych; znieść nawet uniwersytety, politechnikę i szkoły państwowe; znieść głosowanie powszechne; zmniejszyć kolosalnie liczbę urzędników; z gruntu zreformować naszą maszynę administracyjną; znieść rujnujący nas budżet wojskowy (na kilkanaście lat przed obecną wojną!); skasować służbę w wojsku, zabierającą młodym ludziom trzy lata życia (w Anglii nie ma służby obowiązkowej) i zabi-

jającą w nich ducha inicyatywy; wyrzec się rewanżu; zmienić duszę naszą".

Tylko tyle...

Z powyższych postulatów aprobuję dla naszych stosunków następujące:

1° Naukę języków umarłych, nie znosząc jej, ograniczyć w klasach wyższych do objaśnień etymologicznych terminów naukowych.

2° Nie znosząc uniwersytetów, politechniki i szkół państwowych — ze względu na konieczne przejście od zakorzenionych nałogów — wprowadzić do nich taką autonomiczną swobodę, tak urozmaicając systemy, kierunki i zasady, tak dalece zapewniając młodzieży swobodę wyboru przedmiotów i nauczycieli, a znosząc wszelkie prawa i przywileje urzędowe, żeby młodzież kończąca nie była okrzesywana na jedną modłę, i żeby wchodząc w świat była zmuszona polegać nie na patencie, lecz na własnych siłach. Jednocześnie zostawić absolutną swobodę *każdemu*, zakładania szkół prywatnych, niższych, wyższych i najwyższych, zwłaszcza fachowych, jakie mu się żywnie podobają. A wśród rodziców rozkrzewiać i umacniać przekonanie, że rzeczywistą wartość posiadają te szkoły, w których jak największą jest łączność młodzieży z profesorami i w których najprzód kładzie się nacisk na wyrobienie i ustalenie charakteru, na przygotowanie do samouctwa, a na drugiem dopiero miejscu daje się pewien zasób gotowych wiadomości.

3° Ograniczyć do minimum całą administracyę krajową i mieszanie się rządu do spraw społecznych. Rząd czuwać powinien tylko nad ładem i bezpieczeństwem wewnętrznem oraz nad bezpieczeństwem, harmonią i uczciwością stosunków zewnętrznych.

4° Głosowania powszechnego nie tylko nie znosić, ale przeciwnie uczynić je jaknajbardziej powszechnem,

cierpiąc z konieczności a tępiąc rozważnie wady, jakie ten system w braku lepszego, za sobą pociąga.

5⁰ Nie znosić budżetu wojskowego, lecz przeciwnie starać się o to, żeby zawsze mógł być szybko i znacznie powiększony, bo epoka wiecznego pokoju jeszcze daleka.

6⁰ Służbę wojskową przymusową ograniczyć do paru miesięcy letnich i jednego zimowego, a za to rozszerzyć granice lat. Tym sposobem z najmniejszą stratą dla pracy narodowej, a z korzyścią dla zdrowia jednostek, dając w dodatku do ćwiczeń naukę wojskową teoretyczną, tak prowadzoną, żeby każdy żołnierz mógł, stosownie do swego uzdolnienia, jak najsamodzielniej działać i jak najszybciej awansować w czasie wojny.

A co do „zmiany duszy narodu" wyperswadować sobie tę mrzonkę/ starać się tylko o to, żeby w zakresie typu dziedzicznego, ustalonego przez historyę, osiągnąć maximum doskonałości i max. charakteru w znaczeniu moralnem.

W ten sposób w społecznem środowisku znajdą się wszystkie warunki, niezbędne dla dopełnienia tego, co może zdziałać rodzina dla dziecka, a dziecko dorastające dla siebie.

Dzieło Demolinsa streścił dla naszej publiczności najprzód w „Dzien. Pozn.", a następnie wydał oddzielnie p. K s a w e r y K a m o c k i [1]), kończąc swoje streszczenie następującemi uwagami:

„Streściliśmy i zamykamy znakomite studyum społeczne Edmunda Demolins'a kilku z naszej strony słowy. Pisał je Francuz, obserwujący symptomy rozkładu w swojem społeczeństwie, i pisał je dla Francuzów. W tem jednakże oświetleniu i pogłębieniu, jakie talentem potrafił nadać swej pracy, stała się ona cennym nabytkiem i dla innych społeczeństw; to też obiegła obie półkule świata, wszę-

[1]) P. t. „Nasze odrodzenie". Poznań, 1900.

dzie znajdując uznanie i zainteresowanie. Głębokie prawdy i wnioski autora i dla nas nie powinny być obojętne. Reformy wychowania i obyczajów, jakie autor uważa we Francyi za konieczne dla podniesienia społecznego kraju swego, byłyby niezawodnie zbawiennemi i dla nas, jak sto lat temu byłaby zbawienną dla Polski Konstytucya 3-go Maja, gdyby nie unicestwiła jej Targowica. Do przeprowadzenia tych reform nie zbrakłoby nam dziś Kołłątajów, czy jednak znajdą się Ignacowie Potoccy? A przy takiej tylko jednomyślności możnaby się do tego dzieła zabrać i naród cały mieć za sobą".

7. KSZTAŁCENIE UCZUĆ W ZWIĄZKU Z KSZTAŁCENIEM WOLI.

W tymże r. 1900 ukazała się także rosyjska praca Ł. Z. Jachnina p. t. „Siła woli, ili iskustwo władiet' soboju". Na nieszczęście autor wyłączył tematy etyczne, jako „nieustalone" a narodowych również nie porusza. Jest to więc tylko praca „filozoficzno-psychologiczna", krótko mówiąc teoretyczna, niewątpliwie w wielu punktach interesująca, ale dla nas bez praktycznego znaczenia.

Natomiast pedagogiczno-etycznem jest studyum innego autora francuskiego, a mianowicie Feliksa Thomasa p. t. „Kształcenie uczuć", wydane u nas we dwa lata później (1902) w przekładzie pani Izy Moszczeńskiej.

Thomas już uprzednio napisał dzieło o sugestyi w wychowaniu a w jednem i drugiem stoi na gruncie praktycznym, i w przeciwieństwie do Demolins'a nie krańcowym. Ponieważ zaś podstawą kształcenia woli musi być kształcenie uczuć, praca jego dopełnia to, czego było za mało u Payot'a.

Jak słusznie zaznaczyła w przedmowie pani Iza Moszczeńska, dzieło Thomas'a jest tylko jednym z przejawów tego szerokiego i głębokiego już prądu reformatorskiego, występującego przeciw przewadze intelektualizmu, a za podniesieniem charakterów.

„Ubolewania nad jednostronnością społecznego wychowania — mówi ona — nad zbyt usilnem kształceniem umysłu a zaniedbywaniem charakteru, powtarzają się obecnie (1902) i u nas i w innych europejskich krajach tak często, że stały się niemal banalnemi".

O tem, że u nas najpierw na to kazanie dzwoniono, na 20 i 30 lat przed Thomasem, Demolins'em i Payotem, że ja w artykułach „Opiekuna Domowego", „Niwy" (które były także organami Młodej Prasy), w odczycie „O kształceniu własnego charakteru", wreszcie w licznych artykułach „Encyklopedyi Wychowawczej", pierwszy dopełniłem godło pierwotnej „Niwy": „Wiedza to potęga", hasłem:

„Nie tylko wiedza jest potęgą—jest nią i charakter",

że ja pierwszy u nas, z wielkim trudem ominąwszy cenzurę, protestowałem, w odczycie „O pracy umysłowej w stosunku do fizycznej" (1872), przeciwko nadmiarowi języków umarłych [1]) w szkołach publicznych/ że o tem wszystkiem ani pani Iza Moszczeńska, ani tłomacz Payot'a, ani żaden

---

[1]) Ustęp ten, oprawiony w ramki innych, wyraźnie cenzuralnych brzmiał jak następuje:

„...Wszystko to ma być tylko uprawą gruntu — ale jakież daje" (zamiast dają nam) „ziarno? — *Dwanaście godzin greckiego i sześć łaciny tygodniowo!* Zaprawdę, jest to środek wystarczający do systematycznego przytępienia umysłu, który nieraz całą siłą wrodzonych zdolności rwie się do światła wiedzy, usiłuje przeniknąć tajemnicę otaczających go zjawisk — aż zostawiony sam sobie, z podciętemi skrzydłami wyobraźni, z przeładowaną pamięcią, przytępionym rozu-

z tak licznych już dzisiaj u nas autorów w tym kierunku piszących, nie wspominają — to jest w porządku, bo przecież u nas tylko to dobre co przychodzi z zagranicy. Ale to mniejsza. Ja moich rodaków znam i nie mam do nich pretensyi — miałbym pretensyę gdyby i teraz, gdy reforma przychodzi z zagranicy, nie wzięli jej do serca, i mając możność samorządu nie wprowadzili choć części reform w wykonanie. Niestety, właśnie tego się obawiam, bo pierwszym krokiem naszym po odejściu Rosyan, była zamiana kilku szkół realnych na klasyczne... Dlaczego? — Dla ułatwienia karyery naszym młodym karyerowiczom, ponieważ jednocześnie w niektórych szkołach wyższych utrudniono dostęp młodzieży, żądnej wiedzy praktycznej, przy pomocy egzaminów z greckiego i łaciny.

Tak wygląda nasze nieśmiertelne zacofanie, zaszczepione najprzód przez Jezuitów a potem przez rządy opiekuńcze.

---

mem, i—z patentem dojrzałości w kieszeni, zostaje wyrzucony z gmachu szkoły w wir życia". (O pracy umysłowej w jej stosunku do pracy fizycznej, odczyt publiczny wypowiedziany w d. 30 Grudnia 1871 (10 Stycznia 1872 r.) w sali Resursy Obywatelskiej w Warszawie („Opiekun Domowy" Nr. 3 z r. 1872). Ustęp ten nie zwrócił uwagi w czytaniu, ale na odczycie, wypowiedziany z naciskiem, sprawił pewne wrażenie, widoczne, choć oczywiście bezsilne.

Co zaś do moich artykułów, dotyczących kształcenia uczuć (w „Enc. Wych." około r. 1882), to te zyskały wprawdzie pewne uznanie w Krakowie w krytyce recenzenta „Czasu", który je nazwał „perełkami", ale w Warszawie w redakcyi „Enc. Wych." wydały się zbyt wolnomyślnymi. Zaczęto je kreślić a nawet wprost dopisywać zdania mi obce, tak, że w końcu zmuszony byłem zaprotestować i przerwać współpracownictwo. Rydwan „Encyk. Wych." potoczył się w dalszym ciągu w kierunku „ustalonym przez naukę". Czytelnik będzie miał sposobność stwierdzić jak dalece artykuły te wówczas niewłaściwe, odpowiadają dzisiejszym prądom naukowym.

8. SAMOOBSERWACYA JAKO PIERWSZA PODSTAWA DO KSZTAŁCENIA WŁASNEJ WOLI.

Dzieło Thomasa posiada liczne zalety, a przedewszystkiem tę, że autor ten pierwszy wprowadził do swej pracy szczegółowy rozbiór wszystkich ważniejszych wzruszeń i uczuć. Pod tym względem jest prawie kompletnym a czytanie jego uwag nie pozostanie bez pożytku dla żadnego wychowawcy.

Nie mniej jednak w tych szczegółowych rozbiorach: strachu, gniewu, ciekawości, miłości własnej, sympatyi, litości, kłamstwa i kilkunastu innych skłonności i popędów, jest więcej *opisu* niż rad szczegółowych *praktycznych*, których głównie szuka czytelnik w dziele o *kształceniu* uczuć. Tu i owdzie zaledwie spotykają się przykłady konkretne brane z życia, a natomiast co krok mamy do czynienia z maksymami i poglądami najrozmaitszych autorów, widocznie spisywanemi starannie, które jednak nie przestają być przeważnie teoretycznymi ogólnikami.

Przedewszystkiem zaś jego obszerna część psychologiczna, choć zajmująca, jest mniej gruntowną niż u Payot'a, a z mojego stanowiska przedstawia jedną wadę: oto autor pomieszał obserwacyę psychologiczną, niezbędną dla pedagoga jak i dla samowychowawcy, z przesadną dążnością do samoanalizy filozoficznej subjektywnej, tak łatwo przechodzącej w bezcelowe *szperanie*. Już ten jeden szczegół świadczy jak dalece psychologia autora jest niedostateczną.

Nie mogę ani na jotę odstąpić od tej podstawowej tezy, jaką rozwinąłem w odczycie „O kształceniu własnego charakteru", a mianowicie, że nieodzowną podstawą samowychowania musi być znajomość samego siebie. Tymczasem żaden ze wspomnianych autorów tezy tej nie postawił należycie, a Thomas całkiem o niej przemilcza. Tak

samo też ani on, ani żaden inny ze znanych autorów nie postawił wyraźnie tego żądania, które dla mnie było i jest podstawowem, że zarówno w celu poznania samego siebie, jak i dla wychowywania samego siebie, nieodzowną pomocą i środkiem jest dziennik osobisty, spisywany stale, szczerze, tajemnie a od czasu do czasu uważnie przeglądany i krytykowany. Bez tego wszelkie usiłowania pozostaną tylko wysiłkiem chwilowym, mało owocnym a częstokroć nawet zniechęcającym. Pamięć nasza, dotycząca drobnych przeżywanych wzruszeń i uczuć jest u większości ludzi tak słabą, złudzenia świadomości tak pospolite, miłość własna tak czujna w oszukiwaniu samego siebie, że przyłapanie się na sprzecznościach, odczucie przejść nieznacznych od jednego nastroju do drugiego, są prawie niemożliwe bez takiej *stenografii psychologicznej*, systematycznie uprawianej. Z tą myślą wydałem niegdyś książkę „Z dziennika psychologa" (1876)), która wprawdzie rozeszła się dość szybko i zjednała mi kilka dowodów prywatnych, wdzięczności za udzielane w niej rady a nawet *jedną* recenzyę życzliwą ś. p. prof. Kazimierza Kaszewskiego, jednego z sędziów mojej pierwszej rozprawy konkursowej — ale ogół prasy ją przemilczał a Aleksander Świętochowski wyśmiewał w „Przeglądzie Tygodniowym", że ja w mojej pracy zastanawiam się między innemi nad fizyologiczną przyczyną ziewania... Dla niego, filologa, była to kwestya zbyt błaha, żeby o niej pisać w książce — a poważniejsze całkiem pominął. Ostatecznie więc nakładca stracił ochotę do nowego wydania, a ja nie miałem sam środków na ogłaszanie dalszych tomów.

Poza tem, prawdą jest, że tego rodzaju wydawnictwo musi być zawsze niekompletnem, i że jego właściwa jednostkowa wartość polega w znacznej części na tem, co ogłoszonem być nie może.

Ze względu jednak na znaczenie ogólne tego rodzaju zapisków tak dla jednostki jak i dla psychologii empirycz-

nej, pozwolę tu sobie powtórzyć wyjątki z przedmowy, zawierającej rzeczy dziś już prawie ustalone, ale wówczas względnie nowe:

„Psychologia nie jest częścią filozofii, lecz nauką spostrzegawczą, podobnie jak fizyologia. Jako nauka spostrzegawcza, potrzebuje przedewszystkiem obserwatorów, a potem dopiero teoretyków. Teoretycy, czyli filozofowie — gdyż teorya każdej nauki w umiejętnem znaczeniu jest jej filozofią — uogólniają prawa i zasady—spostrzegacze zbierają fakty, dla wykrycia praw i zasad. Pierwsi muszą się opierać na ostatnich. Jak zaś dziś istnieje już *filozofia fizyki*, tak kiedyś powstać musi *filozofia psychologii*"... „Psychologia powinna przedewszystkiem ustalić się na podstawie *drobnych, szczegółowych spostrzeżeń, przez wielu ludzi dokonywanych*, ażeby mogła w przyszłości przedstawić dostateczną liczbę danych faktycznych temu, kto je będzie umiał zebrać, uogólnić i filozoficzną w nich ukrytą zasadą połączyć".

„Takich faktów nie zdobędzie, dopóki ludzie zajmujący się psychologią nie zaczną prowadzić „dzienników" z notatkami spostrzeżeń i doświadczeń ". „Potrzeba obserwować nie człowieka idealnego, wymarzonego przez filozofów, ale ludzi żywych, ułomnych, nierozwiniętych i rozwijających się, chorych i zdrowych, uczonych i idyotów, mężów czynu i niedołęgów, dzikich i oświeconych, kobiety, starców i dzieci, obłąkanych i przestępców — wszystkich jednem słowem. Obserwatorowie powinni się więc ukazać we wszystkich warstwach społecznych i w najrozmaitszych stronach świata".

„Jest jednak i drugi jeszcze cel w tego rodzaju pamiętnikach, nie tylko naukowy, ale i moralny: *cel własnego kształcenia się*. Nikt temu nie zaprzeczy, że najlepszym nauczycielem życia jest samo życie — doświadczenie; ale to doświadczenie musi być *uprzytomnione*, musi być zapisane".

Otóż nie tylko doniosłości tego rodzaju pracy dotychczas autorowie nie zrozumieli, ale nawet obserwacyę nad sobą samym wogóle lekceważą. Jest to skutek nałogów materyalistycznych, jakie panowały w ostatniej epoce, a dzięki którym tylko fizyologia, tylko psychofizyka, tylko psychologia laboratoryjna, zdawały się mieć wartość naukową. Thomas, który właściwie nie jest psychologiem, lecz tylko pedagogiem moralistą, dał się też uwieść nie tyle nawet tym poglądom naukowym ile wprost *literackim;* i cytuje szereg belletrystów, stojących na gruncie intuicyi, talentu, wreszcie swobodnego przejawu uczuć, któremu jakoby ma przeszkadzać analiza i samoobserwacya. Nie będę tu powtarzał tych opinij Bourget'a, Guy de Maupassanta, Flauberta i in., bo szkoda na to czasu; wszystkie one sprowadzają się do maksymy Fromentina: „Bądźcie przedewszystkiem naiwni w waszych wrażeniach. Bo i po co właściwie macie je analizować? Czyż nie dość wam, że one was wzruszają?..." Że mniej lub więcej inteligientny literat może wypowiadać takie zdania — to niedziwota. Ale psycholog, powtarzający je bez zastrzeżeń, sam sobie daje patent niedojrzałości. Thomas idzie dalej; bo wprost twierdzi, że samoobserwacya czyni nas niezdolnymi do życia czynnego. A w innem miejscu dodaje, że „pierwszem następstwem nadmiernej autoanalizy jest zniweczenie przyjemności" (s. 56).

Iluzya. Uczucia są niezależne od autoanalizy, chociażby dlatego tylko, że ją poprzedzają. Mam przyjemność z zapalenia papierosa, ale mogę go palić machinalnie i pół bezwiednie, albo też dokładnie uważać na to czego doznaję. W którym wypadku przyjemność będzie większa? Raczej w drugim — a w każdym razie to, że ja się rozkoszuję papierosem, albo dobrem winem, albo pocałunkiem, albo pięknym obrazem, uprzytomniając sobie dokładnie rodzaj, siłę i wpływ na mnie tych wrażeń — to nie może niweczyć tych wrażeń! Zresztą Thomas jest w sprzeczności sam z so-

bą, bo w innem miejscu mówi, że „cierpieć i rozważać swoje cierpienia, to znaczy cierpieć *podwójnie*“ (s. 59). Czyli że skutek samoanalizy byłby wprost przeciwny, w miarę tego czy chodzi o wrażenia przyjemne, czy przykre. W rzeczywistości i jedno i drugie jest albo wprost błędnem, albo pomieszaniem faktów różnych.

Nie mogę tu wdawać się w dokładny rozbiór tych kwestyj, które znajdą swoje miejsce w *Psychologii Uczuć*. Tu tylko dodam jeszcze, że Thomas pomieszał z obserwacyą normalną i ścisłą, nie tylko samoanalizę chorobliwą, opętaną i bezpożyteczną, ale także wprost szkodliwe „przeżuwanie swojego bólu“ i „ciągłe zajmowanie się sobą“, co jest cechą hypochondryi, ale bynajmniej nie obserwacyi psychologicznej.

Obserwacya psychologiczna nie unicestwia żadnego uczucia, daje tylko *jego świadomość*, a jeżeli kto myśli, że bez takiej świadomości będzie mógł zapanować nad swemi uczuciami, że będzie je mógł wyzyskać dla kształcenia swojej woli i poprawy błędów, ten daje tylko dowód, że niezoryentował się dobrze w naturze własnego zadania i że je traktuje po literacku, albo wprost frazeologicznie.

Nic też dziwnego, że na takim płytkim gruncie stojąc, autor nasz nie dał dostatecznej siły swoim wskazówkom praktycznym.

Dokładniejsze uwagi dotyczące kształcenia uczuć i woli znajdzie czytelnik w dalszym ciągu, w rozbiorze poszczególnych wzruszeń, skłonności i nałogów.

9. ZABIEGI LECZNICZE W ZWIĄZKU Z KSZTAŁCENIEM WOLI.

Wszystkie dotychczas wymienione prace, nie wyłączając i mojej o kształceniu własnego charakteru, pomijały udział zabiegów leczniczych w kwestyi wzmocnienia lub

unormowania woli. Tymczasem, jeżeli z jednej strony leczenie apteczne (a częstokroć i naturalne) bywa przeważnie bezsilnem wobec zboczeń woli — bez współudziału dostatecznego tejże woli/ to z drugiej strony, środki czysto psychologiczne rzadko wystarczają do wyleczenia, jeśli się najprzód nie usunie *podstawy fizycznej*, na której się wady woli rozwinęły i utrwaliły.

Nie tu miejsce wchodzić w szczegóły lekarskie tych kwestyj — czytelnik znajdzie liczne pod tym względem wskazówki w mojem dziele „Psychologia i Medycyna". Gdybym jednak całkiem je pominął, podane dotychczas i mające być jeszcze podanemi w dalszym ciągu zalecenia pedagogiczne, straciłyby znaczną część swej wartości.

Otóż, przynajmniej zasadniczo chcę tu wyjaśnić stan rzeczy w większości wypadków.

Kiedy przychodzi do mnie chory, skarżący się na ogólne osłabienie psychiczne, na brak decyzyi, na niechęć do pracy, bezsenność lub przeciwnie senność nadmierną, na niemożność skupienia uwagi lub myśli natrętne, wtedy badając go/ i przypuściwszy że żadnych zboczeń organicznych nie ma/ znajduję zawsze zmiany subtelniejsze w krążeniu i brak *reakcyi termicznej;* to znaczy, że ciało nie rozgrzewa się normalnie pod ręką, a czasem nawet sprawia na niej wrażenie ziębienia. Często też zachodzą drobne zboczenia w czuciu skórnem np. przytępienie ogólne obok nadczułości miejscowych i t. p.

Wszystkie owe zboczenia fizyczne, jakkolwiek tak drobne, że ich zwykłe badanie lekarskie nie wykrywa, *muszą najpierw ustąpić*, jeśli chcemy otrzymać poprawę w stanie woli. Zależność jest tak wielką, że w większości wypadków nie potrzeba nawet żadnych starań psychicznych dodatkowych: skoro tylko powróci normalne krążenie w naczyniach włoskowatych, skoro powróci całkiem normalne czucie i wykładnik wspólny wszelkich czynnych i biernych funkcyj organicznych normalnych: *reakcya termiczna*, wów-

czas choroby już nie ma, i mogą pozostać conajwyżej tylko pewne nałogi umysłowe, już teraz łatwe do usunięcia samymi środkami psychicznymi.

Czegóż potrzeba, żeby sprowadzić ową podstawową zmianę fizyczną?

Nie leków aptecznych, bo tych bezsilność, albo nawet szkodliwość w większości wypadków sami chorzy codziennie stwierdzają. Potrzeba środków *naturalnych*, których jest wiele, a jeden z nich zasadniczy, polegający na wzmocnieniu słabej siły żywotnej mocniejszą, na działaniu silniejszej woli na słabszą, czyli na tak zwanem *magnetyzowaniu* (Ob. Ps. i Med. Serya II), z pomocą lub bez pomocy stanu hypnotycznego, stosownie do naturalnego usposobienia chorego. Dopiero po tem przygotowaniu podstawowem, należy wprawić w ruch czynniki pedagogiczne, o ile jeszcze okażą się koniecznymi.

Pierwszą pracą o kształceniu woli, w której autor położył nacisk na tę leczniczą stronę kwestyi, jest mała książka p. Mieczysława Rościszewskiego p. t. „Jak posiąść energię?", wydana we Lwowie w r. 1906.

Na nieszczęście jest to praca nie dość ścisła i przepełniona dziwactwami. Ponieważ jednak zawiera i rzeczy dobre a przez innych autorów pomijane, chcę i o niej dać czytelnikom pojęcie.

Tytuł dokładny brzmi:

„Wypróbowana kuracya zaniku woli, roztargnienia, przygnębienia, melancholii, utraty nadziei, trwogi wewnętrznej, słabej pamięci, bezsenności, zaburzeń żołądkowych, ogólnego zdenerwowania i t. p. Najłatwiejsze i najprostsze sposoby pozbycia się manii samobójczej i nabrania pogody ducha przez gimnastykę woli. Ortopedya moralna. Wyciąg treściwy z głośnych dzieł lekarzy francuskich Liébeault'a i Levy'ego, a także d-rów: Kocha (?), Nägeli'ego, Gebhardta, tudzież Georga Szwarca, Lombrosa, Kanta i w in."

Chaotyczny ten nagłówek zdawał się zapowiadać zbiór cytat — tymczasem jest to praca oryginalna i systematyczna, tylko napisana niewprawnie, bez dostatecznej ścisłości i krytycyzmu.

Zaznaczywszy, jak wszyscy pisarze na tem polu, dotychczasową przewagę intelektualizmu przy zaniedbaniu woli, autor dodaje:

„O ileż więcej nacisku kładziono dawniej na gimnastykę woli i niezbędność tych zabiegów! Wspomnimy bodaj o owym słusznie podziwianym i jedynym w swoim rodzaju czterotygodniowym kursie, którego ukończenie stanowiło nieodzowny warunek przyjęcia do zakonu O. O. Jezuitów. Ta egzercycya duchowa stanowiła niezaprzeczenie właściwy sekret owej świątobliwej korporacyi i nią jedynie daje się wytłomaczyć jej olbrzymie powodzenie. Ludzie, którzy w trakcie czterotygodniowych ćwiczeń wykazali się rzetelną siłą ducha, byli w stanie zawładnąć światem i nie znali co to jest brak woli i energii".

Słusznie autor zwrócił uwagę na tę okoliczność. Jezuici wprawdzie przyczynili się do naszego upadku ogłupiając młodzież, ale czynili to świadomie, ponieważ im chodziło o przygotowanie *narzędzi* a nie *energij*, któreby się mogły przeciw nim obrócić — sami dla siebie umieli ćwiczyć wolę, i doborem inteligencyj w ten sposób wyćwiczonych, doszli do takiej potęgi, że zagrożona nią Stolica Apostolska musiała się chwycić środków ostatecznych.

Wogóle skuteczne wyrabianie woli miało dotychczas miejsce jedynie na tle wierzeń religijnych, bo tylko one umiały wziąć w karby dziedzinę uczucia, czego dokonać nie było w stanie samo kształcenie rozumu. Tak było od najdawniejszych czasów w Egipcie i Grecyi (Ob. moją „Wiedzę tajemną w Egipcie", 1898), u kapłanów i w szkole pytagorejskiej. Nawet z pozoru świeckie a w tendencyi rewolucyjne stowarzyszenia tajne (wolnomularstwo) stały i później na gruncie ogólnych uczuć religijnych i zakonnej

surowości, bez czego szersze tłumy nie dałyby się opanować.

Nareszcie w najnowszych czasach wspomniany już przez nas ruch etyczno-pedagogiczny wypłynął również z agitacyi teozoficznej opartej na systemach hinduskich tak zwanej „Yogi". Wprowadziła je do Europy, po r. 1880, pani Bławacka ja, którą miałem sposobność poznać w Paryżu. Osobistość etycznie nie ciekawa, ale genialnej w swoim rodzaju inteligencyi a przedewszystkiem nadzwyczajnej energii. Niezależnie od niej, również jednak na tle zdobyczy tajemnej wiedzy hinduskiej, wielkie zasługi u nas położył na tem polu prof. W. Lutosławski w swoich dziełach i w swojej „Eleuteryi" — kojarząc wierzenia Wschodu z Katolicyzmem i ową tak zwalczaną przez Payot'a wolność woli z tendencyami metafizycznemi i narodowemi.

W książce niniejszej, poświęconej głównie celom praktycznym udoskonalenia wewnętrznego, pominąłem historyę, żeby nie powiększać objętości dzieła; dlatego to i powyższe wzmianki, uczynione mimochodem, mogły być tylko b. pobieżne.

Pożądanem wprawdzie byłoby studyum genetyczne nad rozwojem tego ruchu, ale pilniejsze są jego wyniki i sposób ich wyzyskania dla celów naszego odrodzenia moralnego.

Wróćmy zatem do książki p. Rościszewskiego.

Jak wspomniałem, myślą przewodnią jego rozprawy jest przedewszystkiem potrzeba *leczenia* braków woli.

„Brak energii (mówi on słusznie) w większości wypadków stanowi *chorobę;* nerwowe osłabienie woli, brak ufności w siebie, stan hypochondryczny, cały rozstrój życia — to nie brak charakteru, lecz raczej wpływ szwanków cielesnych i cierpień nerwowych".

Jest to właściwe postawienie kwestyi/ którego brak raził szczególnie u Payot'a w jego składaniu wszystkiego

złego na *lenistwo*. Lenistwo tylko b. rzadko jest objawem czysto psychicznym. Zwłaszcza u dzieci i młodzieży dowodzi ono najczęściej choroby, ponieważ z natury rzeczy organizm młody potrzebuje ruchu i czynu. Można wiele osiągnąć odpowiedniem pokierowaniem tej przyrodzonej ruchliwości, lecz gdy jej niema, trzeba przedewszystkiem *leczyć*.

Dwa wypadki typowo różne trafiają się w praktyce:

1° albo brak woli, brak decyzyi i jakiegokolwiek uporządkowania popędów, jest tylko skutkiem zerwania przyrodzonej *harmonii* między funkcyami fizycznemi;

2° albo też braki psychiczne są skutkiem ogólnego *wyczerpania* nerwowego.

Pierwszy wypadek jest lżejszy i leczy się szybciej — drugi, będąc dziełem bądź przepracowania, bądź (częściej) wzruszeń przygnębiających, wymaga koniecznie wypoczynku i dłuższej kuracyi.

W jakiż sposób p. Rościszewski (nieczyniący tego rozróżnienia) leczy choroby woli, a właściwie jakimi środkami zaleca *samoleczenie?*

Składają się one z szeregu „ćwiczeń" nie zawsze właściwie noszących tę nazwę.

Pierwsze ćwiczenie ma polegać na 2—3 dniowem zupełnem głodzeniu się, kilkakrotnie powtarzanem w odstępach dwudniowych. Pytam się, czy wiele osób podejmie się takiej kuracyi, nawet w chwili takiej jak obecna, kiedy wszyscy mniej więcej głodzimy się?

Ma to być „leczenie wolą". Ależ chcąc się zdobyć na taką kuracyę, trzeba już mieć silną wolę!

Powtóre, ponieważ ma to być leczenie skuteczne głównie w manii samobójczej, upewniam autora, że znam kilka wypadków manii samobójczej, w których chorzy głodzili się tygodniami w chęci odebrania sobie życia i dochodzili, nie do polepszenia, lecz do coraz gorszego stanu. Dopiero magnetyzowanie przerywało zarówno chęć śmierci jak i chęć głodzenia się.

A tymczasem autor o tych właśnie wypadkach tak pisze:

„Musimy tu zwrócić uwagę na inne jeszcze błędne mniemanie. Są ludzie, którzy pod wpływem jakiejś niszczącej namiętności sądzą, że się od niej uwolnią, poddawszy się praktykom hypnotycznym. Doświadczenie jednak przeczy temu stanowczo" (Jakie? Czyje?). „Lekarz, stosujący w wielu wypadkach metodę hypnotyzowania, nie stosuje jej nigdy przy tak zwanych wielkich namiętnościach".

I na dowód przytacza *jeden* fakt z praktyki Schrenck-Notzinga, w którym kupiec myślący o samobójstwie wskutek zawiedzionej miłości, po 8-u hypnotyzowaniach uczuł się raczej gorzej niż lepiej.

Autor mógł był takich faktów przytoczyć 100, z tem nadmienieniem, że po 9-em hypnotyzowaniu, albo 20-em, albo 30-em nastąpiło polepszenie, albo i wyleczenie. Bo że w kuracyi hypnotycznej bywają pogorszenia to jest niewątpliwe, równie jak niewątpliwem jest to, że żądanie wyleczenia 8-u posiedzeniami „wielkich namiętności" jest dziecinnem.

Ale może autor jest przeciwnikiem tych metod?

Bynajmniej. Zaraz o kilka kart dalej pisze: „Żądamy bezwarunkowo, żeby pacyent przedsięwziął kuracyę hypnotyczną (magnetyzm leczniczy, mesmeryzm, sugestya). Przy chronicznych obstrukcyach metoda ta daje wyniki wręcz nieoszacowane, *o ile, oczywiście, pacyent odbędzie dostateczną ilość posiedzeń*" (s. 23).

Więc przy prostej obstrukcyi trzeba odpowiedniej ilości posiedzeń, a przy „wielkich namiętnościach" i manii samobójczej 8 miało wystarczyć?...

A w nerwicach czy autor jest przeciwnikiem hypnotyzmu?

Także nie. „Kuracya hypnotyczna atakuje bezpośrednio nerwy, to też dla każdego staje się jasnem, że takie od-

działywanie nerwowe na cierpienia natury nerwowej, muszą wydawać lepsze rezultaty, aniżeli wszelkie inne metody lecznicze".

W ćwiczeniu II każe przed zaśnięciem liczyć oddechy według metody, którą podałem przed 40 laty. Czy wspomina, że to ja ją podałem? Oczywiście nie. Ale to jest w porządku u autora polskiego.

W ćwiczeniu III zaleca wypróżnienia o jednej godzinie (Por. Ps. i Med. Serya II. R. XIII p. t. Czem jest atonia kiszek i jak ją leczyć?).

W IV ruchy gimnastyczne.

W V jedzenie żytniego chleba.

W VI nastój ze śliwek moczonych.

W VII wypalenie jednego cygara przy kawie lub herbacie (?) i t. d.

A wszystko to mają być *ćwiczenia woli*, podobnie jak użycie wody gorzkiej lub „obfite lewatywy"...

Wbrew autorom francuskim i angielskim, nie pozwala się uczyć podczas przechadzki, a „w porze obiadowej" każe „przeleżyć co najmniej 2 godziny na kanapie". Kuracya w sam raz dla leniuchów Payot'a. „W nocy spać 9 godzin z rzędu" (!), i... zażywać Sanatogen (!!). „Lekkiego piwa pić conajwyżej 2 litry na dobę" i t. d. Resztę pomijam. Wspomnę tylko, że pijaństwo leczy autor w sposób b. prosty: „Należy się powstrzymać przez 2 tygodnie od najmniejszych nawet ilości alkoholu, a potem co sześć tygodni nie pijać żadnych trunków przez tydzień" (s. 62)...

Niektóre „ćwiczenia" są b. oryginalne np.

Ćwiczenie 27.

„Należy mieć na względzie, że najwięksi dziwacy byli dobrodziejami ludzkości, wielkimi mężami stanu, poetami, artystami, uczonymi".

Trzeba przyznać, że „ćwiczenie" nie trudne. Inne są trudniejsze, jak np. liczenie jednym rzutem oka, ilości

kresek na kartkach (s. 113), niestety tylko bez żadnego znaczenia dla wyrobienia energii.

Nareszcie w ostatniem, 40-em ćwiczeniu, autor zaleca pisać *dziennik*.

Rady ogólne, jakie daje są dobre, o ile nie są zabawne, jak np.:

„Nigdy *z samym sobą* nie postępuj w sposób gminny i pospolity.

Nigdy *nikogo* nie naśladuj.

W mowie i w postępkach miej zawsze w sobie *coś imponującego*"...

10. PRACE RELIGIJNE O KSZTAŁCENIU WOLI.

W ostatnich czasach cieszyło się powodzeniem dzieło ks. Czesława Oraczewskiego: „Rozwój charakteru", wydanie drugie (1917) z przedmową Józefa Jankowskiego.

Powierzchowne obejrzenie książki sprawiło na mnie przykre wrażenie.

Przedewszystkiem kosztuje ona 3 rs. a mogłaby kosztować co najwyżej 1 rs., gdyby była wydana tak, jak się zwykle książki wydaje. Ale wydawca chciał koniecznie z książeczki zrobić dzieło. Dał więc druk wielki/ na stronnicach połowę papieru zostawił czystą, a nadto jeszcze nie żałował i kart całkiem pustych. Tym sposobem udało mu się złożyć 225 s. z rękopisu, który dałby zaledwie kilkadziesiąt str. normalnego druku. Jeżeli chciał przez to okazać, że nie życzy sobie, żeby tę książkę byle kto kupował, a tem samem, żeby zawarte w niej myśli dotyczące udoskonalenia moralnego, znalazły szerszy odgłos — to cel został osiągnięty. W dodatku takie wydanie uczy odrazu blagi, rozrzutności i wyzysku — co w dziele o moralnym rozwoju charakteru nie zdaje się być wskazanem.

Ze swej strony, wydawcy pomógł autor przedmowy, ucząc czytelnika próżności, pochlebstwa i mówienia na wiatr w swoim liście „do Jaśnie Wielmożnego autora, herbu Szreniawa".

P. Józef Jankowski, jest u nas znany w pewnych kołach, jako zwolennik teozofii i okultyzmu, pisał już bowiem przedmowy w tym duchu a nawet broszury — tymczasem w przedmowie do dziełka ks. Oraczewskiego potępiwszy teozofów amerykańskich dodaje:

„I w Europie, liczni już zwolennicy magii przyrodzonej, teozofij hinduskich i bezkrytycznych okultyzmów kują dziś potęgę woli w kuźniach egoizmu i zmysłów nastroszonych".

Co to są „zmysły nastroszone" nieobjaśnia, podobnie jak nieobjaśnia jakim cudem sam ze zwolennika teozofii i okultyzmu stał się naraz ich przeciwnikiem.

Obecnie p. Józef Jankowski ma bardzo prosty sposób na wzmocnienie woli:

„Prawdziwy, słuszny i *jedynie owocny* rozwój woli, może się święcić jedynie na drodze *wyrzeczenia się w każdej chwili własnej woli* i pełnienia w każdej chwili woli Bożej".

Czyli że jeśli ktoś np. prowadzi jakieś przedsiębiorstwo a nie czuje w sobie dosyć energii, samodzielności, przezorności i wytrwałości, które chciałby zdobyć, to w tym celu potrzebuje tylko — wyrzec się własnej woli i poddać woli Bożej...

Szczęściem ani wydawca, ani autor przedmowy nie zdołali całkowicie zdyskredytować książki.

Już samo przeczytanie jej treści sprawia całkiem odmienne wrażenie; a w tekście znajduje się wiele rzeczy zasługujących na przeczytanie.

W dziełach religijnych, począwszy od „Naśladowania Chrystusa" Tomasza à Kempis, napisano już tyle pięknych

rzeczy o dodatnim rozwoju charakteru, że z tego stanowiska nietrudno było złożyć całość budującą i podnoszącą dusze — ale ks. Oraczewski, lepiej od swego przedmówcy zrozumiał, że w kwestyi świeckiej a tak trudnej jak kształcenie woli, chodzi przedewszystkiem o wskazówki praktyczne i ich podstawy psychologiczne, a nie o znane wszystkim *zasady* religijno-moralne. Gdyby frazesy abnegacyjne, w rodzaju wyżej przytoczonego, mogły wystarczyć/ byłoby zbytecznem pisanie osobnej książki o rozwoju charakteru.

To też autor książki na postawione wyżej pytanie czego potrzeba do wzmocnienia woli, całkiem inaczej odpowiada:

Potrzeba „Pracy nad sobą! *Rzeźbienia duszy bezustannie, dłutem czuwania nad sobą*, od poranku życia aż do jego zachodu!" i dodaje piękną formułę, nie mającą nic wspólnego z abnegacyą:

„Dzisiejsze pokolenia — to kolumny, na których się wspiera gmach przyszłości społeczeństwa. Im kolumny te stają się silniejsze nieskazitelnością charakterów — tem pewniejszą i piękniejszą jest przyszłość narodu".

„Chcąc wolę wykształcić, należy nic nie zaniedbywać, ani na włos nie odstępować od tego, co się obrało za cel i drogę życia". „Słabe chwiejne natury winny zaczynać od rzeczy małych, łatwych, prawie bagatelnych, dla uskutecznienia gimnastyki i uprawy woli. Taką bagatelką — dla wielu trudnością nie do pokonania — jest ranne wstawanie, chłodna kąpiel ciała, powstrzymanie się od nadmiernego pokarmu, napoju, wyrzeczenie się różnych przyjemności i nałogów. Jakkolwiek z pozoru rzeczy te mają nie wiele wspólnego z dojściem do celu życia, to jednak mogą one oddziaływać w sposób wychowawczy i b. skuteczny". „Przy osiągnięciu poszczególnego celu, unikajmy dwóch ostateczności — niech ten cel nie będzie ani zbyt łatwy do osiągnięcia, ani zbyt trudny. Nie należy marnować sił,

szafując niemi zbytnio dla zdobycia rzeczy niedoścignionej".

„Również wystrzegać się należy dwóch innych wad. Nie bądźmy zbyt wielkimi analitykami, nie namyślajmy się zbyt długo, nie utrudniajmy sobie pracy i życia przez ciągłe zwątpienia, ale też nie bądźmy nazbyt pewni siebie, nazbyt nieopatrzni i bezmyślni, łudząc się, że wszystko da się zrobić samo przez się".

„Wola wyrabia się w wirze życia" — powiadają. Doświadczenie życiowe jednakże uczy, że świat bardziej deprawuje wolę, niż ją wyrabia. *Kto wstępuje w wir świata bez silnej woli, może postradać w najkrótszym czasie resztki sumienności*".

„Wola kształci się przez najprostsze i najdrobniejsze czynności naszego codziennego życia, przez wdrażanie się do starannego i ścisłego wykonania najdrobniejszych obowiązków"...

Ten sam charakter noszą rady dotyczące panowania nad sobą, zwalczania gniewu i nadmiernej drażliwości, tłumieniu obawy i troski. Słuszne uwagi o *skupieniu*, odpowiadają temu co Payot mniej trafnie nazywał *rozmyślaniami* i kończą się zawsze radą praktyczną codziennego obrachunku z samym sobą.

Następują równie cenne myśli dotyczące kształcącej roli pracy, potrzeby kształcenia wyobraźni, przy jednoczesnem opanowaniu jej zboczeń, znaczenia poczucia piękna dla uszlachetnienia charakteru, wreszcie najistotniejszej jego siły, jaką jest *sumienie*, pobudzające do spełniania obowiązków.

Wszystkie te rady przejęte są duchem religijnym, ale nie duchem abnegacyi.

„Idźmy — mówi autor — w świat czynu, myśli i pracy i ukochajmy go... Bądźmy jak ten siewca, który wychodząc co rano z domu, zabiera z sobą garść nasienia, by je rzucić na ugory..."

Ks. Oraczewski przemawiał głównie do młodzieży męskiej — ale mamy w tym rodzaju doskonałą książkę religijną poświęconą specyalnie dziewczętom.

Autorką jej jest pani Barbara Żulińska a tytuł książki „Nauka moralności narodowej; obowiązki polki; pogadanki dla dziewcząt". Rzecz wydana przez Macierz Polską w Galicyi w r. 1913. Książka jest od poprzedniej większą a treściwszą; jeszcze bardziej zbliżoną do życia, jeszcze bardziej przejętą duchem patryotyzmu i kosztuje tylko rs. 1.

Nie będę jej streszczał/ bo to nie jest rzecz do streszczenia — to jest miła, zacna a pouczająca czytanka dla dziewcząt, bez cytat obcych, jak u ks. Oraczewskiego/ za to z wielką ilością swojskich, zwłaszcza wierszowanych i sympatycznych, przemawiających do duszy. A przedewszystkiem jest to zbiór trafnych uwag nad codziennem życiem młodej polki z jej wadami i zaletami, bez doktrynerstwa i fanatyzmu. Nauka płynie z książki łatwo, bo jest trzeźwa a serdeczna; i łatwo też trafi do serc młodych to, co autorka mówi o kształceniu woli, i tępieniu jej ułomności.

Kto szuka książki religijnej i patryotycznej w tym rodzaju, ten lepszej nie znajdzie.

Nie dziwię się temu — bo pani Barbara Żulińska pochodzi z rodziny pobożnej, utalentowanej a ofiarnej, która wszystkie swoje siły składała zawsze na ołtarzu ojczyzny.

11. KSZTAŁCENIE WOLI W STOWARZYSZENIACH MŁODZIEŻY.

W dobrych epokach naszej porozbiorowej przeszłości występowały zawsze stowarzyszenia młodzieży, mające na celu wzajemne doskonalenie się.

Niestety, te dobre epoki, dzięki warunkom niewoli, kończyły się zwykle na dobrych chęciach, jeżeli nie na

wielkich klęskach. Ale to rzeczy nie zmienia. Stokroć gorzej było wówczas, gdy nawet młodzież nie znajdowała w sobie siły do wznoszenia się ku ideałom. A co do bezpłodności tych usiłowań, to nie była ona nigdy zupełną. Zawsze coś z nich pozostawało, zawsze przez nie przyrastało nasze bogactwo duchowe i gromadziły się czynniki dobre, które kiedyś natrafią nareszcie na taką chwilę, iż będą mogły bez przeszkody zacząć dzieło odrodzenia. Oby ta chwila była bliską — i oby tych sił już starczyło!

„Każde pokolenie młodzieży — mówi autor broszury o filomatach [1]) — przynosi nowe ziarna, mające kiełkować w duszy polskiej. Każde chce być dzielniejsze i silniejsze w ustawicznej bohaterskiej walce szarego codziennego życia. Dzieje młodzieży polskiej wykazują wiele pięknych przykładów, czy to dawniej: junak, młodzik obozowy, czy Filomaci, Filareci, Szubrawcy, czy niedawni Elsowie, Abstynenci, czy obecni Sodalisi lub Skauci-harcerze".

Byłoby to pięknie, gdyby rzeczywiście tak było. Ale o *każdem* pokoleniu nie da się to powiedzieć. Prawdą jest tylko, że co kilka pokoleń — czasem rzadziej, czasem częściej — gromadzą się siły postępowe i posuwają się o krok naprzód. Nie we wszystkiem, ale w jednym jakimś kierunku. I toby było wystarczyło, gdybyśmy przez lat sto kilkadziesiąt nie byli skazani na pracę Syzyfa.

Natomiast wydaje mi się cechą niewątpliwą naszej młodzieży i to cechą dodatnią, że w owych przewrotach nastrojów wypływa zawsze na plan pierwszy — w czem chętnie zgadzam się z autorem broszury — obok przeobrażeń ideowych troska o dobro kraju, i to o dobro kraju pojęte racyonalnie, bo jako *udoskonalenie jednostek.* Nie tylko Filareci (przyjaciele cnoty), ale i Filomaci (przyjaciele wiedzy) myśleli przedewszystkiem o udoskonaleniu własne-

[1]) Dr. Józef Lewicki. „Z tajemnic filomackich". Kraków — Warszawa, 1917, s. 5.

go charakteru a „Szubrawcy" (do których należeli obaj Śniadeccy) wzięli sobie również za cel główny poznanie wad narodowych i uwolnienie się od nich. Ich starania o wytępienie próżności, szlachetczyzny, cudzoziemszczyzny i życia nad stan, nie były też całkiem bezowocne.

Z bliższych nas czasów, pokolenie przedpowstaniowe, miało zabarwienie rewolucyjnie i poetycznie demokratyczne, a moralnie rzecz biorąc ofiarne; pokolenie popowstaniowe bardziej trzeźwe, bardziej wolnomyślne i jeszcze bardziej demokratyczne, starało się otrząsnąć ze słabych stron tradycyi religijnej i romantycznej polityki, głosząc potrzebę pracy codziennej u podstaw; następny ruch socyalny, jako biernie przeszczepiony z zagranicy, przeciwstawił się wprawdzie zrazu dążeniom narodowościowym wogóle, ale pracując nad podźwignięciem klas upośledzonych, z konieczności powracał do idei dobra kraju/ i w końcu czysto polskie jego żywioły stanęły na gruncie wywalczenia niepodległości, własną ofiarną dzielnością — wreszcie pokolenie obecne, nie reprezentuje wprawdzie żadnej nowej walki naukowo-ideowej, ale za to silniej od innych przejęło się tą właśnie myślą podniesienia indywidualnej dzielności przez sporty fizyczne i stowarzyszenia urabiające siłę woli.

Gdyby obecny ruch skautowy, skrystalizowany poniekąd (ale tylko poniekąd) w Legionach, brać za to, za co się przedstawia/ to należałoby go uznać za szczyt marzeń moralnego udoskonalenia — i obecne młode pokolenie postawić na czele tych wszystkich, jakie kiedykolwiek o podobnych celach w Polsce marzyły.

Ale psycholog musi oceniać stosunki trzeźwo. Musi przedewszystkiem przypomnieć, że okres obecny, najbardziej p r z e ł o m o w y ze wszystkich jakie Polska po upadku swym przeżyła, z konieczności, jako taki, łączy w sobie najgorsze z najlepszem; że długi okres poprzedni był szczytem ucisku, że niewola, jeżeli nie upadla, to rozstraja, że

przez szereg pokoleń między domem a szkołą kopano przepaść, że ostatni najbliższy okres literacki był dekadencką swawolą rozwichrzonych egoizmów — że wreszcie ostatnia reakcya etyczna powstała dopiero wtedy, gdy już upadek był zbyt widoczny.

To wszystko wiedząc, psycholog musi wyrozumieć, że w epoce niespodzianek, jaką w ostatnich lat dziesiątkach, a zwłaszcza od wojny japońsko-rosyjskiej przeżywamy, *nagromadzenie sprzeczności* musi być większem niż kiedykolwiek; a specyalnie, odnośnie do danej kwestyi uznać, że te idealne dążenia mają realny podkład, w poszarpaniu wielu więzów tradycyjnej moralności, w przedwczesnem, sztucznem dojrzewaniu młodzieży, w rozluźnieniu łączności rodzinnych i nieokiełznanem wybujaniu indywidualności. Dzisiaj nauka poszła w kąt/ ideowe walki o zasady filozoficzne, poszły w kąt/ poszanowanie starszych i rodziców osłabło/ znacznie osłabły też zależności i skromności, które dawniej krępowały swobodę młodzieży a zwłaszcza dziewcząt. Stąd chaos, a niekiedy i wyuzdanie — bo tak bywa zawsze przy radykalnych zmianach nastrojów.

I dopiero na tem tle, też same aspiracye wolnościowe, które psuły — chcą naprawiać; też same prądy, które burzyły — chcą budować (też same w części/ w części nowe)—bo człowiek nie może żyć długo negacyą, a w szczególności młodzież polska nie może długo żyć bez ideału. I oto w naszych oczach, z mętnej wody wstrząśnień dziejowych, poczyna wyrastać biała lilia.

Nie dziwmy się, że popryskana błotem.

Co powiedziawszy, posłuchajmy jak brzmią

12. ZASADY SKAUTÓW POLSKICH.

„§ 1. Na słowie skauta polegaj, jak na Zawiszy. Skaut ceni swą godność, jest prawdomówny; kłamca nie

wart być skautem. Skaut nie odróżnia słowa zwyczajnego, które nie obowiązuje, od słowa honoru, którego się nie łamie. Skaut też słowa swoje waży, na wiatr ich nie rzuca; obłudą i fałszem się brzydzi.

§ 2. Skaut służy wiernie Ojczyźnie i dla Niej spełnia jaknajsumienniej swoje obowiązki. Stara się zrozumieć, czego Ojczyzna od niego wymaga i wprowadza to w życie; pamięta, że zawsze Ojczyzna ma być na pierwszem miejscu, na dalszem dopiero miejscu jego własna osoba. Przy rodzicach i przełożonych stoi w dobrej i w złej doli; nawet mówić źle o nich przy sobie nie pozwala.

§ 3. Skaut jest pożyteczny i niesie chętną pomoc bliźnim. Szuka sposobności, by codziennie wyświadczyć komuś choćby drobną przysługę, niesie pomoc bliźniemu nawet z największym nakładem sił i poświęcenia, bez względu na swoją wygodę lub korzyść.

§ 4. Skaut w każdym widzi bliźniego, a za brata uważa każdego innego skauta. Gdy spotyka drugiego, choćby nieznajomego skauta, postępuje z nim, jak z bratem i służy mu radą i pomocą. Skaut nigdy z góry na innego nie patrzy, dlatego, że jest biedniejszy, albo do innej warstwy społecznej należy, ani też nie da się opanować zawiści względem bogatszych czy szczęśliwszych.

§ 5. Skaut jest rycerski. Jest grzeczny dla wszystkich, a szczególniej uprzejmy dla kobiet; otacza opieką dzieci, zawsze chętnie wspiera starych, słabych i ułomnych, a dzielnie i śmiało broni pokrzywdzonych, nie przyjmując za to żadnej nagrody.

§ 6. Skaut miłuje przyrodę i stara się ją poznać; przyroda działa na fizyczną i duchową stronę skauta. Obcując z przyrodą, będzie zdrowy, silny, pozna zwyczaje zwierząt, przywiąże się do nich. Chroni zwierzęta przed dręczeniem i sam im nigdy krzywdy nie czyni, nie zabije więc bez potrzeby nawet owada. Bez koniecznej potrzeby nie niszczy też drzew i innych roślin i wogóle niczego

w przyrodzie. Ale na duszę człowieka przyroda ma jeszcze silniejszy wpływ niż na ciało. Jeżeli spotka skauta jakieś nieszczęście, ból, to najprędzej go się pozbędzie na łonie przyrody. Ona działa kojąco, tak, że pod jej wpływem czarodziejskim musi się ból uspokoić. Ona to budzi w nim piękno i rozwija w nim wszystkie dobre pierwiastki i instynkty tkwiące w jego duszy.

§ 7. Skaut jest karny i posłuszny rodzicom i wszystkim swoim przełożonym. Każdy rozkaz skautowy musi być wykonany natychmiast i ochotnie, choćby był niemiły. Posłuch skautowy wyrabia karność w życiu narodowem.

§ 8. Skaut jest zawsze pogodny — to znaczy powinien mieć duszę pogodną. Jeżeli go spotka jakiś cios, powinien zapanować nad sobą, nie okazywać tego, aby nie wywierać smutku i przygnębienia na innych. Skaut powinien patrzeć na wszystko z dobrej strony, doszukiwać się nawet w człowieku złym lepszych pierwiastków, bo niema przecie człowieka złego do gruntu i, jeżeli jest to możliwe, powinien wyprowadzić takiego człowieka na dobrą drogę. Skaut nie zniechęca się, nie zraża, nie zna, co to dąsy, a szczególniej obce mu są wybuchy prostactwa, w chwilach niepowodzenia nie klnie i nie przezywa. Wtedy zmusza się raczej do uśmiechu lub pogwizduje.

§ 9. Skaut jest oszczędny i ofiarny. Oszczędny nie przez sknerstwo, lecz przez przezorność, by nie być ciężarem dla innych, a pomódz potrzebującym; ofiarny — „na odzianie i na karmienie Matki Ojczyzny". Gry hazardowe i wogóle trwonienie czasu i majątku uważa za grzech narodowy.

§ 10. Skaut jest czysty w myśli, w mowie i w uczynkach: — nie pali tytoniu, nie pija napojów alkoholowych. Brzydzi się wszelkim brudem, unika złego towarzystwa i nie pozwala w swojej obecności nie tylko czynić, ale nawet mówić, lub dowcipkować nieprzyzwoicie. Skaut stroni od trucizn szkodzących ciału i duszy, chce zachować zdro-

wie i siły dla siebie i dla dobra ogółu, pragnie dawać dobry przykład drugim, przez to przyczynia się do zmniejszenia spustoszeń, jakie te nałogi sprawiają pośród warstw narodu" [1]).

Jak widzimy, są to zasady wzniosłe, silnie nasycone nie tylko ideą własnego doskonalenia się, ale wogóle tą przewagą altruizmu nad egoizmem, która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wystąpić powinna, jeżeli nie szczerze w życiu, to przynajmniej szczerze w zasadach najbliższego, powojennego okresu. Zapowiedź tego znajdujemy już w hasłach obu stron wojujących, walczących jakoby za „prawa drobnych narodów". Wprawdzie żadna z nich w taką przyczynę wojny nie wierzy — ale dobre już i to, że egoizmy stają się wstydliwymi, a altruizm pozorny, ideowy i ogólno ludzki, który charakteryzował wojny Napoleona I-go, przybrał formę konkretniejszą, zaledwie kiełkującą za Napoleona III-go, a dziś już, bądź co bądź, konsekwentniej powracającą: swobód i niezależności *narodowych*.

Co się tyczy charakterystyki przytoczonych zasad, to można im zarzucić tylko tyle, że nie są oparte na specyalnej znajomości wad polskich. Brak np. między niemi tak pospolitej u nas a tak zgubnej *niepunktualności*, której skaut powinienby się wyzbyć przed innemi wadami. Zresztą jest to kodeks idealny bez zarzutu .

Czy środki, jakimi rozporządza nasze harcerstwo wystarczą do urzeczywistnienia go, w to nie wchodzę, przyznając że są one b. znaczne, byle tylko samo kierownictwo organizacyi okazało się dość czujnem, sprężystem i ściśle sprawiedliwem. Nie mniej jednak wydaje mi się, że dawne związki tego rodzaju o charakterze bardziej zakonnym, bardziej sekretnym, jeżeli stały niżej pod względem sportów

[1]) Według broszury Tadeusza Radlińskiego p. t. „Baczność!" wydanej w r. z. w zbiorze Towarzystwa „Czytaj!"

fizycznych i ćwiczeń cielesnych w polu, to za to pod względem religijnej niemal łączności wewnętrznej członków i wspólnej pracy nad wyrobieniem woli, stały wyżej.

Do takich np. niewątpliwie potężnych środków należała *spowiedź powszechna* przed związkowymi przy wstępowaniu do ich grona, obok ścisłej tajemnicy dla obcych. Obejmowała owa spowiedź nie tylko wyznanie własnych braków, ale wogóle wszelkie wiadomości dotyczące rodziny, wychowania i wykształcenia, ułatwiające kolegom rozszerzenie własnego doświadczenia. Nie żądano tajemnic rodzinnych, ale żądano wszystkich danych mogących psychologicznie oświetlić stopień rozwoju i wiadomości kandydata, a tem samem ułatwić jego kolegom niesienie mu pomocy w dalszem doskonaleniu się.

Krótko mówiąc, kandydat obowiązany był naszkicować jaknajdokładniej własny portret psychologiczny, który później koledzy poprawiali bez niechęci, a on obowiązany był przyjmować poprawki bez urazy.

Było to możliwem jedynie przy wielkiem poszanowaniu różnic indywidualnych, przy wielkiej tolerancyi i wyrozumiałości, które też cechowały owe związki.

Dla porównania zasad dzisiejszej organizacyi z organizacyą polską podobną przed stu laty, przytaczam poniżej

13. PIĘTNAŚCIE PRAWIDEŁ TOMASZA ZANA.

I.

„Każdego poranku zaraz po ocknieniu ze snu powiedz do siebie: młody jestem, mam więc jeszcze porę do nabycia nauki, cnoty, do zabawy a stąd do zapewniena sobie szczęścia. Ale czas szybko i bez powrotu ubiega, nuż tedy co prędzej na to wszystko dobro moje pracować.

II.

Chcesz posiadać naukę? *popracuj naprzód nad odkryciem twoich niewiadomości.* Gdy zaś poznasz czego i jak wiele nie umiesz, czego i jak chciałbyś się nauczyć i czego nieuchronnie do twojej nauki potrzebujesz, natenczas bądź przekonany, że uczyniłeś pierwszy lecz wielki krok na drodze doskonalenia twojego umysłu.

III.

Staraj się nabywać wiadomości z gruntownością stosowną do sił twoich i powołania. W tym zamiarze ułóż sobie *plan doskonalenia się twojego,* abyś wiedział gdzie jest początek, gdzie środek, gdzie granice twojej nauki. Bez takiego planu nie nadasz pracy twojej *porządku,* tak nieuchronnie w całem życiu potrzebnego, bez porządku nie nabędziesz w nauce *gruntowności,* a bez tej bądź przekonany, że nauka twoja stać się może szkodliwą.

IV.

Nie nazywaj nauką wiadomości usłyszanych z ust obcych albo wyczytanych z książki, lecz staraj się nadto, *sam nad wszystkiem co widzisz, słyszysz, pojmujesz ciekawie i rozumnie zastanowić się i myślić,* aby nabyte wiadomości, przerabiały się w istotny pożytek i własność twego umysłu: podobnie jak pokarm użyty i przetrawiony zamienia się w posiłek, krew we właściwe części twojego ciała.

V.

Nie uwielbiaj rodzaju twojej nauki lub powołania, nad inne rodzaje powołania i nauki, ponieważ każda, w sobie uważana, jest równie użyteczną, potrzebną i godną człowieka. Uprzedzenie takowe, jako mające źródło w miłości własnej, może łatwo wprowadzić w dumę, w przesąd, w za-

gorzałość, a następnie w fanatyzm, którego skutki mogą być straszne.

VI.

Im skromniejszym coraz będziesz się stawał w twoich rozmowach, zdaniach, opiniach, tem większego coraz postępu w doskonaleniu się twojem będziesz miał dowody. Jeśliby zaś w jakiej twojej sprawie przebiła się *pycha* lub wysokie o sobie rozumienie, natenczas uderz się w piersi i zawołaj: Zgubiony jestem. Bież co rychlej do umiarkowańszego od siebie, użyj jego rady, albo innych sposobów do odkrycia twoich niedoskonałości.

VII.

Chcesz być cnotliwym? *Zapatruj się na sprawy wielkich cnotami ludzi*, ażebyś usposobił się czuć szlachetnie. Gdy zaś uczujesz przywiązanie do ziemi ojczystej, skłonność do przyjaźni z tworzyszami swego wieku i powołania, miłość bliźniego i troskliwość o samego siebie, natenczas możesz być przeświadczony, że uczyniłeś pierwszy ale wielki krok na drodze doskonalenia twego serca.

VIII.

Przywiązanie do ziemi ojczystej zależy na tem *ażebyś życzył dobrze ziomkom każdej klasy* i całemu narodowi w ogólności, ażebyś zachowywał zbawienne ojców obyczaje, kochał mowę rodowitą i jej się uczył, rozpamiętywał cnoty i dzieła przodków, i stosownie do sił twoich i powołania starał się naśladować.

IX.

Słodkich owoców przyjaźni z twoimi towarzyszami możesz być pewny, jeżeli stłumisz w sobie do szczętu samo-

lubstwo i zazdrość, jeżeli będziesz szacować chwalebne postępki towarzyszów, będziesz szczery i otwarty, *będziesz słuchał bez żadnej urazy nagany wad swoich*, i z pociechą przyjmował rady i przestrogi.

X.

Miłości bliźniego pokażesz dowody, jeżeli będziesz umiał litować się nad cierpieniem drugich, *bez względu na naród, stan, przekonania, wiek i płeć cierpiącego współczłowieka.*

XI.

Troskliwość o samego siebie zakładaj na tem, ażebyś wszelkiemi siłami doskonalił umysł i serce, tudzież utrzymywał czerstwość i zdrowie, *chroniąc się stale gnuśności i rozpusty.*

XII.

Im *łagodniejszym* będziesz się stawał i prostszym w pożyciu z drugimi, tem większego postępu w moralności będziesz miał dowody. Jeżeli kto naruszy twoją łagodność, bądź spokojny; jeżeli cię dotknie i obrazi, przebacz mu; jeśli natrętnik dalej się uniesie, ulituj się nad jego nierozsądkiem, i proś go, ażeby cię wyzwolił ze swojej napaści; jeżeli i tym sposobem nie ustanie w złośliwości przebacz mu jeszcze i proś go jeszcze i *nie używaj gwałtownego odporu, chyba w przypadku niebezpieczeństwa.*

XIII.

Nie nazywaj próżnowania zabawą, bo są różne od siebie i wcale przeciwnych skutków. Zabawa zależy jedynie na krzepieniu sił ciała i rozweselenia umysłu strudzonego nauką.

XIV.

Chcesz być szczęśliwym? *Nie obieraj stanu, aż pókī nie dopełnisz każdego choć w części z podanych tu prawideł,* te albowiem wyjaśnią ci dokładnie twoją skłonność i przeznaczenie. A jeśliś obrał już powołanie, staraj się według sił twoich, wyłożonym tu sposobem poświęcać się nauce, cnocie, zabawie.

XV.

Każdego wieczora, biorąc się do spoczynku, rozważ piętnaście tych prawideł, *zdając ściśle przed sobą samym sprawę* z tego dobra, któregoś w ciągu dnia dostąpił albo z zawad, którycheś doświadczył: ażebyś wiedział jak nazajutrz masz podobnych zawad uniknąć i być większego dobra bardziej pewnym" [1]).

Przepisy powyższe, będące niejako legalnem sformułowaniem etyczno-narodowych celów różnych tego rodzaju stowarzyszeń, zostały napisane przez Tomasza Zana dla związku „Przyjaciół pożytecznej zabawy" na majówce odbytej 17 Maja 1820 r. w okolicach Wilna, w celu zatwierdzenia ich przez władze uniwersyteckie; co też nastąpiło w 5 dni potem, bez żadnej opozycyi ze strony rektora S. Malewskiego.

Nie wiemy, czy istniały jakieś inne tajemne dodatki do tych prawideł.

W każdym razie, nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju związki bardziej niż cokolwiek innego ułatwiają kształcenie woli, że przedstawiają niezmierną wyższość nad odosobnioną pracą jednostek w tym celu, a dotycząc

---

[1]) Według cytowanej broszury d-ra Józefa Lewickiego.

epoki życia najbardziej tego rodzaju pracy sprzyjającej/ zasługują też na największą zachętę i *niekrępującą opiekę* władz szkolnych.

VI. NASZE WADY NARODOWE.

Wypowiedziane przez nas uwagi o potrzebie poznania siebie przed racyonalnem kształceniem samego siebie, stosują się w wyższym jeszcze stopniu do duszy zbiorowej narodu. Nie można zasadniczo traktować kwestyi reformy szkoły polskiej, nie uprzytomniwszy sobie pierwej naszych właściwości narodowych. A jeśli dotychczas poprzestawano na ogólnych teoryach pedagogicznych, odrębnie analizowanych/ albo co gorsza, wprost przeszczepionych z zagranicy, to było to właśnie jednym z głównych powodów bezpłodności tych usiłowań i zamieszania, jakie panuje dotychczas w naszych poglądach na przyszłość szkoły polskiej.

Oto dlaczego poprzedzam dalsze uwagi rozbiorem tych pytań zasadniczych.

1. ZAPOMNIANY KRYTYK POLSKIEGO CHARAKTERU NARODOWEGO.

Za czasów walki Młodej i Starej prasy żył w Warszawie literat, mało znany wówczas, a później całkiem zapomniany, któremu poświęcam przeważnie ten rozdział.

Był to człowiek jeszcze młody, ale starszy od nas wszystkich, bojowników Młodej Prasy, dziwak i odludek.

Codziennie nad wieczorem można go było spotkać na Nowym Świecie z parasolem pod pachą, przechadzającego się krokiem wolnym i wiecznie zamyślonego. Pozatem niespotykało się go nigdzie; przesiadywał bowiem w domu,

pracując. Przez krótki czas bywał w „Przeglądzie Tygodniowym u Adama Wiślickiego, którego później ośmieszył w swoich „Szkicach" (1868—1885). Znałem go z tych Szkiców, zjadliwie satyrycznych, i z „Pieśni Horacego" (1871), które, jako dobry latynista i niewątpliwie utalentowany pisarz, sam przełożył i komentarzami opatrzył. Pisywał pod pseudonimem „Klina", a nazywał się Kaliszewski.

Tyle wie o nim Encyklopedya Orgelbranda, a i ja wówczas więcej nie wiedziałem. Dopiero w ostatnich czasach dowiedziałem się przypadkowo, że wydał nadto „Pamiętniki sceptyka" w Krakowie w r. 1872, a w 1888 dość obszerne studyum p. t. „Moi kochani rodacy". Motto greckie z Platona a dedykacya: „Ziomkom swoim w XXV rocznicę swojego pisarskiego... zawodu, poświęca autor."

A więc nie naród jemu, tylko on narodowi urządził jubileusz. Czy był to tylko żart? Zobaczymy, że nie.

Oprócz prac wydanych, miał jeszcze w rękopisie „Zaświaty", których pierwsza część miała nosić tytuł: „Na ziemi rozumu". Co się z tym rękopisem i z nim samym stało— nie mogłem się dowiedzieć.

Kaliszewskiego znałem b. mało. Pamiętam, że raz jeden byłem u niego, nie pamiętam już z jakiej okazyi. Mieszkał dość wykwintnie we własnym domu.

Podczas owej jedynej wizyty sprawił na mnie wrażenie człowieka odpychającego treścią tego co mówił, a jednak imponującego wiedzą i pociągającego inteligencyą. Dużo umiał, znał doskonale kilka języków, wiele podróżował, a nie było w nim blagi. Tylko pesymizm — przerażający pesymizm! W mowie, stłumionej i jakby bez życia, dźwięczała bezustannie nuta egoizmu, urągania wszystkiemu i wszystkim — bez cienia miłości. I to właśnie było dla mnie niesympatycznem, pomimo, że miałem wrażenie jakby ta gorycz i to zwątpienie były tylko powierzchowną naleciałością. Krótko mówiąc, przedstawił mi się jako kosmo-

polita, *nihilista*, — pierwszy jakiego widziałem w mojem życiu; bo typ ten był jeszcze wówczas zupełnie u nas nieznany — wreszcie jako cynik i nieużyty egoista—w teoryi, w słowach — bo w czynach, sam miałem sposobność przekonać się, że kłamał. Zamaskowany autor monografii: „Stara i młoda prasa" (Petersburg, 1897) Walery Przyborowski, który z nim żył bliżej, tak o nim pisze: „Nie znając go, sądzić było można, że to człowiek wyziębiony, sybaryta i rozpustnik. Tymczasem była to najpoczciwsza, najlepsza, najserdeczniejsza dusza/ ale zatruta jadem zwątpienia, jadem, którego miazmaty w tej smutnej dobie" (po powstaniowej) „uncsiły się niejako w powietrzu i truły wszystkie serca lepsze, umysły podnioślejsze" (s. 39).

W tem ostatniem zdaniu jest przesada. Było zgnębienie, ale nie było zwątpienia, a przynajmniej ta garstka młodzieży która wówczas ton życiu społecznemu nadawała, była pełna zapału, nadziei i wiary — tylko wiary innej, trzeźwiejszej i zapału do pracy, nie do szaleństw, chociażby najszlachetniejszych.

Gdyby Kaliszewski należał do młodej prasy, trzebaby go umieścić na skrajnej lewicy tego kierunku — ale on trzymał się sam jeszcze dalej na lewo poza nawiasem stronnictwa i postawił sobie za punkt honoru, wydawać się złym, gdy był dobrym.

Jakie zawody życiowe osobiste wlały w niego ten nadmiar goryczy, tego nie wiem. Przypuszczam jednak, że były, i że warunki zewnętrzne dobiły tylko tego ducha, któryby nie był tak zgorzkniałym, gdyby mniej kochał.

Takim był krytyk polskiego charakteru narodowego, którego poglądy mam zamiar przedstawić czytelnikowi.

Klin zaczyna po swojemu charakterystykę własnej ojczyzny:

„Klimat przykry — kraj monotonny — osady niechlujne — lud głupi — stan średni nijaki — arystokracya

strupieszała — a cała społeczność zacofana. Oto moja kochana ojczyzna!"

I dalej w formie dysputy z oponentem dowodzi, że „Społeczność nasza jest nic warta" — dodając, że... przemawia przez niego nasz charakter narodowy, zawsze skłonny do przesady. Ale on chce ten przedmiot traktować po cudzoziemsku i choćby go posądzono o zdradę — wbrew skłonności narodowej przedstawi rzecz chłodno i ściśle — zamiast machnąć ręką i powstrzymać się od rozbioru.

Przedewszystkiem jednak protestuje przeciw ocenom ogólnikowym i nic zdaniem jego nie mówiącym, jak np. charaktyrystyka polaka podana przez K a r o l a L i b e l t a:

„Skory do uniesień szlachetnych bez wytrwałości; pracowity bez rządności; wytrwały na wszelkie trudy i znoje; dumny w powodzeniu, płaszczący się w nieszczęściu; czuły bez granic na honor i sławę i lekkomyślny bez miary; odważny w boju, potulny w domowem pożyciu — wogóle wielkie zdolności, ale wielkie przywary",

Dla Klina są to tylko ogólniki i sam mimo jasnej świadomości, jak trudnem jest zadanie, przez nikogo jeszcze niewypełnione, przystępuje do rozbioru szczegółowego, do wyjaśnień nie tylko opisowych, ale i przyczynowych naszego charakteru narodowego/ ostrzegając tylko zgóry, że nie czując się na sile do skreślenia cech dodatnich, poprzestanie na charakterystyce ujemnych. „Wiem doskonale — mówi on — jak smutną jest rola tych, którym przypadło tej właśnie ujemnej strony dotykać i jaka to zwykle czeka ich za to nagroda/ lecz i nie obcem mi jest owo wewnętrzne zadowolenie, jakie zawsze w duchu naszym się rodzi, gdyśmy spełnili to, co było naszym obowiązkiem". (s. 11)

„Żaden jeszcze satyryk nie zaszkodził swemu narodowi; ale nie masz prawie narodu, któregoby jakiś poeta lub pisarz panegirysta, często najnieświadomiej, na złą drogę, choćby chwilowo nie zawiódł. A jeżeli już gdzie, to u nas

właśnie, pochlebstwo i tajenie wad najwięcej złego sprowadziło".

„Czy wywiązałem się z zadania — nie wiem, ale jeżeli czegobym pragnął, to chyba tylko tego, ażeby to com przedstawił było już kompletem naszych wad; a coby mi było najmilszem, to to, żeby zjawił się ktoś któryby zbijając je, dowiódł mi, że całe dziełko niniejsze jest tylko prostym — pamfletem". (s. 12)

Tak przemawiał największy cynik owego czasu. Polak kocha swój kraj nawet wtedy, gdy mu złorzeczy...

I to niech będzie pierwszym plusem zapisanym na *conto* cech dodatnich, pominiętych rozmyślnie przez naszego autora.

2. NASZA ZMIENNOŚĆ I ZMYSŁOWOŚĆ.

Kaliszewski charakteryzuje najprzód *zmienność* naszego klimatu od niepamiętnych czasów wskutek położenia kraju między klimatem wschodu i zachodu, a potem dodaje:

„Plemię polaków zamieszkujące ten kraj dzisiaj, niesione zrazu aż na Odrę i Elbę orężem Chrobrego, odparte później przez Niemców do Wisły a naciskane od Buga dawniej przez Mongołów, ostatnią falę jaką dotąd wschód wysłał na pogrom swego wroga, a dziś przez nową nielada potęgę, jak wody jeziora rozkołysanego przeciwnymi wichry, w ciągu całego tysiącolecia, *życiem swojem i charakterem przedstawia wierne odbicie klimatycznej jego natury*. Zmienność, to główna zasadnicza jej cecha. Jeżeli sobie przywiedziemy na pamięć, że są takie miejscowości na ziemi, w których z zegarkiem w ręku można zmiany powietrza naprzód oznaczyć; że np. w Arabii, nałapawszy sobie wody na rok cały w ciągu kilku miesięcy, możesz być pewnym, że ci ani jedna jej kropla już więcej

z nieba nie spadnie, a w Ameryce południowej, panie wizytujące siebie, zapraszają się na czekoladę „przed burzą" lub „po burzy", która regularnie o pewnych godzinach dnia zjawia się na horyzoncie i t. p. i porównamy z szalonymi nieraz skokami barometrów, termometrów i inych narzędzi meteorologicznych, jakie one sobie u nas wyprawiają; jeżeli my wśród najpiękniejszej pogody i ciepła letnich miesięcy, nigdy nie możemy być pewni, że nam zimowe okrycie byłoby zbytecznem/ a wśród zimy, w której czasem, według Kromera, drzewa z korzeniami wymarzają, ubrawszy się w tęgi kożuch, nie będziemy zmuszeni za parę godzin, przypieczeni nagle ukazującem się słońcem, zrzucić go ze siebie; jeżeli u nas w początku marca pioruny ludzi i konie trupem kładą, a po szalonych skwarach w końcu lipca naraz chwyta przymrozek, i biały szron, dla urozmaicenia zieloności, pokrywa rozkoszne łąki, gdy na ową „straszną" Syberyę, lekarze południa wysyłają swoich suchotników, żeby im jej regularna temperatura, w której z 40° zimna termometr miarowo dochodzi do 40° ciepła, piersi wyleczyła — to chyba musimy sobie przyznać, że tak fantastycznym klimatem my jedni tylko, w niezbadanych wyrokach przeznaczenia, ze wszystkich narodów zostaliśmy obdarowani. Musiał on też wywrzeć na nas swój skutek, i albo zrobić nas najhartowniejszym fizycznie ludem na ziemi, albo — najsłabszym ze wszystkich na niej istniejących. I stało się to istotnie — *z kolei zostaliśmy i jednym i drugim a swawola jego przeszła też w krew naszą i w ducha naszego*".

Zdaniem Kaliszewskiego, przyszliśmy do Europy z bardziej ustalonym i silniejszym charakterem; ale ta siła starczyła nam zaledwie na pierwsze wieki dziejów. Później szarpani sprzecznymi wpływami Wschodu i Zachodu i ulegając zmiennemu klimatowi, zatraciliśmy przymioty a powiększyli wady. Był czas, żeśmy kroczyli na czele postępu, mieliśmy uczonych i poetów równych włoskim i nawet o ca-

ły wiek wyprzedziliśmy pod tym względem Francyę. Ale później zanurzyliśmy się w wyrafinowanej zmysłowości i lekkomyślności, a w Paryż Francuzów wpatrzyliśmy się jak w słońce. „I szły do Polski obyczaje, ubiory, potrawy, rozpusta i choroby nadsekwańskie i jak one chwasty niektóre, co na ziemi która je wydała, skromnie jeno i w miarę rosnąc, dopiero przeniesione gdzieindziej, bujnie się plenią/ tak i te wypłodki cywilizacyjne raz do nas trafiwszy, na świeżym a przyjaznym sobie gruncie silniej jeszcze niż w swojej ojczyźnie krzewić się i pędy puszczać poczęły. Zgłuszyły wreszcie zdrowe ziarno rodzinne, które tylko po kątach gdzieniegdzie jeszcze kiełkować się ośmieliło, nie pielone przez nikogo, zarosły nas zupełnie, a coraz głębiej korzeniąc się w ciele naszem i duchu, zrobiły nas w końcu— *najsłabszym narodem Europy*". (s. 21)

„Słabi ciałem i duchem, gdy stary gmach szlacheckiej rzeczypospolitej, w której ród miał większe znaczenie od zasługi, a hańbą było tknąć się jakiejkolwiek pracy, prócz pługa i cręża, runął nareszcie, podminowany nowemi pojęciami, zarówno w polityce, jak i w powszedniem życiu narodów, znaleźliśmy się naraz i niespodzianie wśród obcego i niezrozumiałego nam świata, i wtedy to wszechstronna niedojrzałość narodu w całej pełni na jaw wystąpiła a z m y s ł o w o ś ć nasza jasno odbiła od sprytu, przebiegłości, rozumu, wielkich dążeń i idei narodów Europy, które nas w tyle daleko za sobą pozostawiły. I ta to właśnie z m y s ł o w o ś ć jest korzeniem i zasadą charakteru Polaków". (s. 22)

Wątpię, czy tu wyraz: zmysłowość dokładnie rzeczy odpowiada. Była to raczej lekkomyślność, bezmyślność, nieopatrzność, żądza użycia i życia nad stan.

Ale Kaliszewski widzi w niej nawet jeden z powodów naszej osławionej miłości ojczyzny. Szlachta kochała kraj, bo nigdzie więcej nie mogłaby żyć tak rozkosznie, bez pracy, bez przezorności, wyzyskiem ludu i żyznością ziemi.

„Gdy inne narody z trudem i mozołem małe kawałki ziemi wśród skał niepłodnych lub morzu wydarte piachy starannie uprawiać z jednej strony, a wszelakim przemysłem, handlem i kunsztem zajmować się z drugiej były zmuszone, — wśród ustawicznych wojen i zamieszek wieków średnich — my syci sami, obfitą resztę zbóż naszych słaliśmy im morzem, by częściej zbytku niż istotnej potrzeby artykuły wzamian od nich odebrać. Możnaż było wtedy ziemi takiej nie kochać?..."

Tu, mojem zdaniem, nieścisłość. Bo i ten lud uciemiężony kochał swój zagon może więcej niż inne ludy — a i szlachta miała też inne powody do kochania go. Wszakże to ona broniła go i zasłaniała swą piersią od bezustannych najazdów, kochając (nie dość rozumnie, ale gorąco), może dlatego poprostu, że nić tradycyi lepiej się trzymała w tem względnem odosobnieniu pierwotnej centralnej słowiańszczyzny, której, jak mówi Jornandes „bagna i lasy służyły za fortece", gdzie rzadkim był obcy wędrowiec a zato związki rodzinne ściślejsze. Ale nie rychło już teraz dochodzić przyczyn cwego może większego niż gdzieindziej przywiązania u nas do ziemi. Zaznaczmy tylko, że mogło ono mieć przyczyny b. dawne, niekoniecznie w łatwem użyciu — i dodajmy, że jednak nie kto inny, nie lud sam, jak gdzieindziej, tylko taż szlachta pomyślała pierwsza o jego wyzwoleniu — co prawda za późno.

Cień tej niesprawiedliwości spostrzega autor, bo sam mówi w dalszym ciągu:

„A potrzebujęż jeszcze dodawać o tym zapachu krwi przodków, przelanej za ziemię ojczystą, który choć nie dla wielu, ma jednak większą siłę atrakcyjną niż wszystkie ziem innych bogactwa i uciechy?..."

Tu jego przyrodzony sarkazm znów wypływa na jaw, bo z pośpiechem dodaje:

„Jasny więc też i powód dla niej miłości, a i wytłómaczony zupełnie, jeżeli nadto zgodzimy się z Herde-

rem, że im naród jaki bardziej zwierzęcy, tem bardziej więzami ciała i duszy do swojej krainy bywa przywiązany. Nie ubliża to temu narodowi, jeno zaznacza stanowisko, jakie on w łańcuchu innych zajmuje, dalsze lub bliższe jego obcowanie z naturą i, jednem słowem, mniejszą lub większą właśnie jego — zmysłowość".

Czyż to można nazywać „zmysłowością?"

Wreszcie autor odróżnia przywiązanie do ziemi od patryotyzmu. My je mieszamy „i to jest największy nasz błąd narodowy". Mamy wielkie przywiązanie do ziemi, ale nie mamy patryotyzmu. „Patryotyzm, to miłość ducha, myśli i mowy ojczystej a ziemia rodzinna, jest tylko obsadą tego wszystkiego, ramami, dodatkiem, który uszanować należy, choć nie jest niezbitą dla niej koniecznością. Maleńka stara Grecya była tylko rozsadnikiem wielkiego narodu greckiego, który zawsze był greckim zarówno nad Phasisem, Oxusem i Nilem, jak w Italii, Galii lub Hiszpanii. Rzymianin myśl swoją i mowę niósł i utrzymywał tak dobrze w Brytanii jak nad Dunajem, w Azyi jak i w Luzytanii. Hiszpanie ojczyznę swoją mają na obu półkulach ziemi, a syn Albionu — świat cały. Wszędzie oni byli i są patryotami. My umiemy być nimi tylko na ziemi, którą nam ślepy los przeznaczył, a raz z niej wypchnięci, giniemy marnie jak ryby na powietrzu, bo patryotyzm nasz to zmysłowość nasza a nie duch *światy nowe sobie tworzący*". (s. 24—5)

Tak, to prawda, myśmy światów nowych dla siebie, poza ojczyzną, tworzyć nie umieli. Może osadnicy brazylijscy dokażą tej sztuki? Może Parana stanie się drugą Polską? Tymczasem pewnem jest tylko tyle, żeśmy nie posiadali siły expansywnej, żeśmy nie umieli podbijać i ujarzmiać, ani nawet dostatecznie kolonizować; żeśmy nie narzucali obcym przemocą swojej myśli i mowy i nie trzymali się zasady *„ubi bene, ibi patria"*.

Byłli to brak patryotyzmu?...

A jeśli ten nasz dośrodkowy, nie odśrodkowy patryotyzm, będzie raczej patryotyzmem przyszłości?... Jeśli podboje przestaną być ideałem narodów? Jeśli narzucanie drugim swego ducha i mowy zacznie być uważane raczej za przeżytek cywilizacyi? Czy wtedy ta nasza słabość nie stanie się wzorem dla innych i czy tej naszej *nieumiejętności*, w starem znaczeniu, nie będziemy mogli uznać za drugi *plus* naszego charakteru narodowego — w nowem znaczeniu?...

Tymczasem nasz autor jest zdania, że owa „zmysłowość" polska stała się matką trzech kardynalnych naszych wad narodowych, które z kolei poddaje rozbiorowi.

3. NASZA POŻĄDLIWOŚĆ.

Pierwszą z nich jest p o ż ą d l i w o ś ć. Nie namiętność będąca znamieniem siły *(passio)*, nie chuć *(appetitus)*, będąca czemś trwałem, ale tylko przelotne *pożądanie (concupiscentia)*, n i e s f o r n a p o ż ą d l i w o ś ć.

„Ta niesforna pożądliwość znalazła sobie ujście w dwóch zwłaszcza skłonnościach nas cechujących: w niecpatrznem zadawalnianiu cielesnych popędów i zbytkownych zachceniach; z których pierwsza zrodziła znaną naszą jurność, obżarstwo i opilstwo, a druga nieuczciwość, nieekonomiczność i pewien rodzaj zawiści mniejszego stopnia, którą bezmyślną zazdrością tu nazwę. Ale też i na tem się zamyka cała ta nasza pożądliwość. Jesteśmy chudliwi nieco i byleby to nie było nazbyt jawnem i publicznem, szóste przykazanie Mojżesza niewielką się u nas cieszy powagą. S t a r o w o l s k i powiada w „Lamencie swoim: „Brali żony gwałtem sąsiadom i poddanym swoim; kupowali drogo niewinne panienki, aby je obelżyli, a nie mieli czem więźniów wykupować z niewoli pogańskiej... Zapewne, było

to bezprawiem, ale też i my granicząc ze Wschodem i pojęcia pod tym względem mamy nieco oryentalne".

Chyba *mieliśmy*, nie *mamy*. Autor tę wadę traktuje z pewnem pobłażaniem przez wzgląd na urok tych „aniołów ziemi" jak Heine nazywał polki. Zwrot niezręczny w poważnej a gorzkiej analizie, zwłaszcza że obcesowe nagabywanie kobiet na ulicy — będące objawem szczątkowym wspomnianych obyczajów — jeszcze się u nas praktykuje częściej niż na Zachodzie, i że większa piękność kobiet naszych — jak to sam autor przyznaje — przeważnie *chorych*, mogłaby podlegać dyskusyi.

Za to słusznie w tym dziale potępia nasze obżarstwo i opilstwo. Szczęściem, od czasu kiedy pisał, zaszła pod tym względem znaczna poprawa, a obecne warunki wojenne znakomicie jej sekundują.

Słusznem, nawet i dzisiaj jeszcze, jest jego narzekanie na naszą skłonność do zbytku, bo nawet w chwili gdy ogół kurczy się jak nigdy, znajdują się jeszcze liczne jednostki nieumiejące sobie niczego odmówić i nierozumiejące nawet co to jest redukować wydatki w stosunku do zmniejszających się dochodów.

„Zastaw się a postaw się" jest wciąż jeszcze naszem hasłem; każdy chce uchodzić za coś lepszego niż jest i więcej dba o pozory niż o istotę rzeczy. Pod tym zaś względem główną winę ponoszą właśnie polki, naciągające swoich mężów na wydatki nieproporcyonalne do dochodów. Kobiety nasze wyglądają efektowniej od angielek lub francuzek, głównie dlatego tylko, że się stale stroją, czego żadna przyzwoita francuzka lub angielka nie czyni, nie mówiąc już o niemkach. Poza tem mają rzeczywiście polki więcej dystynkcyi i wiele przymiotów towarzyskich, uderzających zwłaszcza w rozmowie, mimo właściwego im braku ścisłości i konsekwencyi. Wyjątkowo jednakże trafia się wśród naszych kobiet i ścisłość większa i zmysł organizacyjny większy niż u mężczyzn; często silniejsza wola, czasem na-

wet większa przezorność, a przytem owa ogólna przewaga kobiet w życiu domowem, nieistniejąca ani w Niemczech, ani gdziekolwiek indziej, a która była powodem spostrzeżenia jednego z cudzoziemców, że w „Polsce właściwie tylko kobiety są mężczyznami". Za to wśród mężczyzn jest w Polsce więcej niż gdzieindziej upowszechniony typ *Orbeki* z powieści Kraszewskiego, typ rzekomego samca dla którego kobieta jest wszystkiem: jedynym celem życia, królową, bóstwem. Typ ten, najbardziej lekceważony przez same kobiety-polki, trzyma się jednak uparcie na tle ogólnego rozmarzenia, rozmazania i rozbawienia. Nie jest to zmysłowość; nie jest to kochliwość — jest to tylko nasze męsko-polskie pantoflarstwo, poddające się tak łatwo jakimkolwiek urokom, z braku wyrobionej woli i dalszych poważniejszych celów w życiu.

Kaliszewski, charakterystycznej dla nas kwestyi stosunku mężczyzn do kobiet nie porusza a ja dotknąłem jej tu tylko pobieżnie. Smutnem nadto jest to, co i Klin zaznacza, że u nas prawie niema kobiet zdrowych i że owe boginie, królujące wszechwładnie w polskich powieściach— w życiu pochłaniają dochody mężczyzn nie tylko na kaprysy i stroje, ale także na nieuniknione kuracye.

Skąd pochodzi ten brak zdrowia naszych kobiet, zwłaszcza w sferze średniej i wyższej? Przypuszczam, że pochodzi on przedewszystkiem stąd, iż między higieniczniejszem życiem naszych prababek a dzisiejszem krzewieniem się sportów wśród dziewcząt była zbyt długa przerwa — przerwa w dodatku wypełniona nadmiarem nauki szkolnej na pensyi i fortepianowej w domu, co zwłaszcza przy większym pociągu do wiedzy, literatury i sztuki polek niż polaków, w warunkach ciągłego przygnębienia politycznego, sprowadziło owe tak smutne następstwa nerwowego wyczerpania. Zapobieżenie temu jest pilną potrzebą, jeśli pod wpływem kobiet i ród męski nie ma się w dalszym ciągu osłabiać.

Pożądliwość naszą łączy też Kaliszewski z ciężką plamą naszej przeszłości: z uciskiem ludu. „Chęć posiadania w jakikolwiek sposób, to najszkaradniejsza nasza przywara, która nam bodaj czy nie największe zło sprowadziła, bo zgubę narodu — niewolę ludu. „Jak ziarna pod młyńskim kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swémi" — woła Skarga. „Cokolwiek jeno poddany ma w domu na przedaj, to sobie do dworu przynosić każą i za lada co, na poły darmo kupują, a potem w mieściech, gdzie jarmarczki ludniejsze, drożej przedają, albo też *extra regnum* przez sługi swoje wysyłają" — dodaje Starowolski; a według Czackiego biskupi gorzej się jeszcze obchodzili z chłopami niż szlachta. Rzym, na którego jakoby wzór rzeczpospolitą swoją polacy urządzoną być mienili, tem chyba do niej był podobny, że właściwie wszystko było w nim na odwrót. Gdy bowiem w Rzymie jednostka była dla państwa/ w Polsce państwo istniało dla fantazyi jednostek; gdy w pierwszym najwyższą cnotą było poszanowanie prawa/ w drugiej gwałcenie go największem męstwem/ i gdy historya Rzymu, aż do Cezarów jest ciągłem, kolejnem wydzieraniem praw sobie przez lud od szlachty do magnatów, to w drugiej, bezustanne zamachy na prawa tego ludu i spędzenie go w końcu do niewolnictwa, było zadaniem możnowładztwa. Ta przeklęta chętka dostatków wszelakich, stłumiła w nas uczciwość i miłość bliźniego, a zabiła zupełnie poczucie sprawiedliwości względem własnego ludu".

„O tem ustawicznie myślimy, mówi dalej Starowolski, jakby zarobki ubogich ludzi z płaczem, albo raczej ze skórą złupione, na każdy dzień, jako jakie harpie albo szarańcza trawili". „Mało na tem, że chłopem, jako bydlęciem pracujemy, ale co większe i nie chrześciańskie, że często za psa albo szkapę, chłopa poddanego przedajemy — dodaje Leszczyński — „u nas lada wójt, ledwie czytać umie, a dekretując na śmierć, szafuje życiem ludz-

kiem". Jeszcze w r. 1575 na sejmie elekcyjnym Jan Zamojski, podówczas starosta bełzki, przechwala się: „nad poddanymi naszymi bez żadnej apelacyi, mamy nie tylko moc zupełną, ale nawet prawo życia i śmierci; przeciwnie sami tak jesteśmy wolni, że ani król, ani żaden urzędnik, żadnej nad nami mocy nie mają, tylko tę, jakąśmy im sami nad sobą, wedle ustaw publicznych nadali" i dodaje z głupią pychą, że „wszystko u cudzoziemców inaczej się dzieje". W mowie na zjeździe Mazowieckim r. 1587 ksiądz Warszewiecki wspomina „o ciężkiej i sroższej niż babilońska niewoli, nad rządzonymi poddanymi postanowionej, a dla której krótko-długo znaczne jakie karanie od Pana Boga na to królestwo przyjdzie". „A dość tylko przejrzeć choćby „Reformacyę obyczajów polskich", w której aż czworakie ździerstwo „a zgoła niepohamowane prawem żadnem" t. j. starostów i dzierżawców, panów wszelkich i szlachty miernej, urzędów przełożeństwa i sądów, i nakoniec żołnierza, wymienia, by zrozumieć całą ohydę tej obrzydliwej plamy naszego charakteru. „Nie ludźmi takowym ździercom być było, ale wilkami albo niedźwiedziami... Bo nie dość, że wszystko tak w domu mieszczankowi i chłopkowi wybierze, że i skobla nie zostawi, ale się jeszcze nad nędznym człowiekiem pastwi, w kurek mu rusznicy palce wkręcając, bosemi nogami na węgle sadzając, witkami głowę tak zakręcając, że aż oczy na wierzch wyłażą, czego z ubogimi ludźmi ani turczyn ani tatarzyn, gdy w ziemie wpadnie, nie czyni... J. Ur. Niemcewicz, poseł inflandzki na sejmie r. 1789 powiada: „Rzecz dziwna zaiste, w tylu voluminach, *żebyśmy też choć wiersz jeden widzieli za chłopami!* Gdzież jest kraj na świecie, gdzieby prawa stanowione były tylko *dla czwartej części mieszkańców*, a reszta ich zostawiona nie pod powagą i opieką praw, ale pod wolą prawodawców!" Szlachty było około 100,000, według przemowy H. Kołłątaja do deputacyi dla ułożenia projektu konstytucyi r. 1790, „reszta ludzi są to niewolnicy, których

ojczyzna nasza przez żaden sposób obchodzić nie może, względem której wszelki inny rząd jest zupełnie obojętny..." I do dziś dnia ta piekielna chętka zbytku w nas pozostała; ale nie mogąc już tak bezczelnie i jawnie występować, i nie mając bezprawnie kogo obdzierać, zmieniła się w nieuczciwość, oszustwo, karciarstwo, pieniactwo i wyzysk najnikczemniejszy... Rabunek, kradzież, należą u nas — według statystyki, do najpospolitszych przestępstw, bo lud nasz, sponiewierany moralnie przez wieki całe, zaledwie je uznaje za karygodne, a rozpowszechniły się tak silnie, że dziś kraj nasz daleko poza sobą pozostawił słynne z niebezpieczeństw Abruzzy Włoch południowych..."

Tak pisał K. w r. 1888. Cóżby był powiedział o tem co się działo około r. 1914, w czasach przedwojennych, dzięki tolerancyi władz rosyjskich!? [1])

Dalej objaśnia, że przyczyną tego nie jest brak chleba, lecz niechęć do pracy i żądza używania.

„Prostem następstwem (? raczej jednym z powodów) tego był i jest zupełny brak ekonomii w życiu, tak jednostek jak i narodu całego. Myśmy nigdy ani z sobą ani z własnością swoją liczyć się nie umieli... Wszelki rachunek i pamięć na przyszłość, to najwstrętniejsza dla nas rzecz. Jakto? Wróblowie na dachu nie orząc ani siejąc, żyją przecie, a o człowieku miałby Pan Bóg mniej pamiętać?... To zdanie najlepiej nam do gustu przypadło. Oparci na tym biblijnym pewniku, nie troszczymy się wcale o przyszłość, a wydając ostatki powiadamy sobie filozoficzne: „jakoś to będzie". (s. 34)

---

[1]) Mieszkając przez 2 lata pod Warszawą w Żeraniu, miałem u siebie 5 napadów bandyckich. Nie licząc wyłamania drzwi i paru okien oraz kilku drobnych kradzieży, udało mi się wyjść obronną ręką — ale nie dzięki pomocy sąsiadów lub straży ziemskiej, która radziła mi tylko strzelać — o czem wiedziałem i bez niej.

Wreszcie mówi K. o zawiści, o małem zamiłowaniu do nauk czystych, o przewadze w uniwersytetach medycyny i karyerowiczostwa — co wszystko przypisuje naszej „pożądliwości". Poczem przechodzi do drugiej kardynalnej wady, którą jest n e r w o w o ś ć i d r a ż l i w o ś ć.

4. CZY JESTEŚMY GRZECZNI, CZY NIEGRZECZNI?

„Szczególna jakaś hyperestezya, jest wybitną cechą zarówno całego narodu, jak i jednostek go składających"

„Zrodziła ona trzy smutne przywary: p o p ę d l i w o ś ć, g n i e w l i w o ś ć i znaną naszą nieszczęsną — s a m o w o l ę".

„My polacy „z wrodzonej jakiejś grubości do pychy, gniewu, szarpania nad inne narody skłonnymi jesteśmy"— utrzymuje Starowolski. Ta pozorna sprzeczność w charakterze polaków, ta łagodność ich, stawiana obok gwałtowności i gniewnych wybuchów, jest rzeczywiście godną uwagi. Trudnoby zaprawdę znaleźć naród, w którymby ogół większym niż nasz był niewolnikiem opinii publicznej i dał się łatwiej powodować jej rozkazom, a którego pojedyncze osobniki jednocześnie bardziejby lekceważyły, powiem nawet pogardzały postanowieniami tegoż ogółu". Podrażniony byle czem, polak unosi się gniewem, a stąd i samowola jego wypływa. Ta zaś łączy się z nieposzanowaniem innych, z niegrzecznością, nietowarzyskością i wreszcie nietolerancyą obcych przekonań. Dzieje nasze świadczą jak straszną wadą stać się może, źle pojęta wolność. Zauważył to już H e i n e, że my nie mamy właściwie pojęcia o wolności, że tylko wyjątkowi ludzie wśród nas jak K o ś c i u s z k o rozumieli ją. Dziś wolności nie możemy nadużywać, bo jej nie mamy, ale wynagradzamy sobie wzajemną n i e g r z e c z n o ś c i ą".

„Tak, powtarzam niegrzecznością, choć pewnie to wielu zadziwi, boć przecie uchodzimy podobno za najgrzeczniejszy w Europie naród, zaraz po francuzach".

Kaliszewski twierdzi i może się nie myli, że grzeczność nasza jest tylko czysto formalną. „W gruncie jesteśmy prawdziwe brysie, w dobrym gatunku. Ukłonów bez liku— „pardon, łaskawy panie, panie dobrodzieju i upadam do nóżek" nie schodzi nam z ust nigdy, ale o tem co jest istotnym *taktem* i *uobyczajeniem*, pojęcia nawet nie mamy. Począwszy od ukłonu, który ostatni niemiec składa ci siadając na drugim końcu pustej ławki w publicznem miejscu, a co u nas jest równoznaczne z wpakowaniem się pomiędzy dwie osoby rozmawiające, chociaż o kilka kroków inne jest miejsce do odpoczynku, lub nadeptaniem komuś na pięty, bez obejrzenia się nawet na niego — skończywszy na grzecznej listownej odpowiedzi panującego zagranicznego, najlichszemu ze swoich poddanych, jakiej udzielenie uważałby za ujmę swojej powadze brukowy nasz dziennikarz, gdy mu uprzejmie swoją książkę nadeślesz — wszystko to u nas dowodzi rzeczywistej wolności... brutalstwa". (s. 44)

Czy Kaliszewski nie przesadza pod tym względem? Sądzę że nie, tylko może nie dość ściśle nazywa brakiem grzeczności to, co jest właściwie faktem należącym do innej kategoryi. Grzeczność niemców jest również powierzchowną i mojem zdaniem całkiem zbyteczną, w owem kłanianiu się obcym, w owem bezustannem *„Morgen!"*, *„Mahlzeit!"*, *„Was bitte?"* (z którego galicyanie zrobili niegramatyczne: „co proszę?") i t. p., tylko że nie jest tak służalczą jak (w pozorach) nasza, z owem „padaniem do nóg", „ścieleniem się do stópek" i podpisywaniem na listach „uniżony sługa" — co należałoby stanowczo zarzucić. Ale pominąwszy tę przesadę w formach, jesteśmy raczej grzeczniejsi i przeważnie lepiej wychowani od Niemców— zwłaszcza wobec kobiet. Polak nie zdejmie w wagonie sur-

duta, choć mu gorąco; nie będzie puszczał dymu pod nos albo mieszał się do rozmowy, głaskał panien pod brodę a nieznanych mężczyzn klepał po ramieniu, albo w salonie zakładał wysoko nogi na nogę, jak to widziałem praktykowane nawet przez baronów niemieckich — dworskość, galanterya, zdawkowa serdeczność, obcałowywanie się mężczyzn „z dubeltówki", na Zachodzie prawie nieznane, certacye przy przejściu przez drzwi i t. p., są u nas pospolitsze niż gdzieindziej. Ale to wypływa w części tylko z naśladowania Wschodu, w części zaś z tradycyi tej serdeczności, która rzeczywiście łączyła szlachtę jako jedną właściwie rodzinę koligatów. I jeśli polak, przy pierwszem spotkaniu jest w objawach serdeczniejszym od niemca, to nie koniecznie dla tego żeby udawał, tylko dlatego, że on rzeczywiście, w pierwszej chwili *chce* być serdecznym i *wierzy* we własną skłonność i gotowość do wszelkich usług. Myli się; bo siebie nie zna, bo gdyby znał, toby wiedział, że za kilka dni o obietnicach zapomni. Niemiec mniej czuły i grzeczny, bardziej nawet szorstki i rubaszny, albo nie będzie obiecywał, albo gdy obieca (w stosunkach prywatnych), dotrzyma. Tak samo uczyni, jeszcze bardziej dumny, sztywny i małomówny anglik, a może nawet i giętki, wielomówny i natrętny włoch. Natomiast inaczej rzecz się ma z grzecznością francuza. Francuzi, mniej od polaków wylani w formach, mniej serdeczni, za to jeszcze więcej dworscy, są w dodatku wprost nieszczerzy w grzecznościach i obietnicach. Wszystko obiecują w słowach, ale *zgóry wiedzą*, że są to ogólniki „nieuniknione u ludzi dobrze wychowanych", które tylko cudzoziemiec może brać na seryo. Tłomaczyłem nieraz francuzom inteligentnym i uczciwym jak niewłaściwą jest taka grzeczność/ ale żaden z nich nie przypuszczał nawet żeby można było postępować inaczej, to znaczy nie blagować w demokratycznej (nasza jest arystokratyczną) grzeczności.

5. NASZ BRAK ŁĄCZNOŚCI.

Zawiłe to zatem kwestye i trudno je określić prostą odpowiedzią na pytanie: kto jest grzecznym, a kto nie? Można np. mówić o grzeczności powierzchownej, udanej— albo o serdeczniejszej i szczerej, ale odróżnianie grzeczności formalnej nie jest właściwem, bo *każda* grzeczność jest formalną. Gdy przestanie być formalną, będzie już czemś więcej: uczynnością, życzliwością, dobrocią. To zaś co K. nazywa brakiem prawdziwej głębszej grzeczności jest właściwie naszą nieudolnością do związków duchowych. On to nazywa nietowarzyskością — lecz i tym razem wyraz nie jest szczęśliwie dobrany. „Pod towarzyskością— mówi on — rozumiem nie oną knajpiarsko-balową, przy uczcie, kuflu i muzyce do tańca; jakiej u nas pełno wszędzie, ale tę *wewnętrzną cichą potrzebę ducha naszego łączenia się w koła dla wymiany myśli własnych*, przetarcia ich wzajem o siebie i swobodnego odetchnięcia po pracy samotnej i nużących zajęciach dnia powszedniego". (s. 44)

Tak, tego u nas niema; ale to jest coś więcej niż towarzyskość — toby była spójność duchowa, potrzeba braterstwa myśli, na codzień, nie tylko na święto. Cecha tak charakterystyczna dla niemców, a tak nam obca. Słusznie mówi Libelt: „Są narody, przez wiązanie się w towarzystwa wprowadzające i dokonywające rzeczy wielkich i wzniosłych, jak Anglia, a tak mało *towarzyskie*, że zdumiewa nas ich obojętność, odrętwia ich zimność; są inne znowu jak Polska, której ciągłem życiem, z dnia na dzień, towarzyskość, ale za to żadnego popędu do łączenia się w jedność ku jednym celom". Sądzę że Libelt, choć go Kaliszewski krytykuje, ściślej rzecz określił. Słusznie też Lutosławski podkreślał zawsze nasz indywidualizm, nasze *osobnictwo*. My znaliśmy tylko związki czasowe: konfederacye, albo skupienia awanturnicze, celem dokonania „zajazdu", porwania niewiasty, osobistej zemsty — albo

wreszcie zabawy „kuligiem". Na stałe mieliśmy tylko „bractwa" religijne. Nie znaliśmy nigdy — a właściwie i dziś nie znamy — wspólnych stowarzyszeń czynnych, dla przeprowadzenia wspólnych celów. Nawet dziś, chociaż w ostatnim okresie życie stowarzyszeń zaczęło się rozwijać i jest nadzieja, że kiedyś z tych czysto formalnych i biernych dzisiaj związków, powstaną — gdy dojrzejemy — rzeczowe, pracowite, czynne.

Jak trudną jest u nas solidarność w jakimkolwiek kierunku (na codzień, nie od święta i pod naciskiem chwili) niech zaświadczy następujący przykład:

Było to w r. 1897. Najbardziej upowszechniony u nas dziennik „Kuryer Warszawski", który przeto mógłby wielki wpływ wywierać na opinię publiczną, trzymał się raczej biernie tejże opinii/ a jako wydawnictwo, sprawiał wrażenie *jedynego* w kraju pisma. Postanowiłem go użyć za narzędzie do stworzenia pewnej łączności wśród naszego dziennikarstwa, i w tym celu w numerze noworocznym wydrukowałem artykuł bezimienny: „Dla wspólnego dobra". O tym to artykule pisał ówczesny „Dziennik dla Wszystkich":

„W numerze noworocznym „Kuryera Warszawskiego" znajdujemy artykuł p. t. „Dla wspólnego dobra", wzywający prasę warszawską do „wspólnej wymiany myśli, poglądów i projektów, w społeczeństwie zrodzonych i z dobrem społecznem związanych".

„Czytelnik, niezbyt dokładnie wtajemniczony w wewnętrzne stosunki naszego dziennikarstwa, zapyta: „co to takiego?... przecież gazety po to chyba istnieją, aby informować publiczność o myślach, poglądach i projektach w społeczeństwie zrodzonych, aby owe myśli, poglądy i t. d. „oświetlać z danego stanowiska", czyli mówiąc po prostu, aby wyrażać o nich zdanie, czy są złe czy dobre... Toć przecie główne zadanie każdej gazety z osobna, no i wszystkich razem!"

„Niestety, tak być powinno, ale tak nie jest. Z małym wyjątkiem każde u nas pismo ma odrębny punkt widzenia, co zresztą jest zupełnie naturalne, i każde ma bezustannie na uwadze interes własny wydawniczy, nie mający nic wspólnego z zadaniami dziennikarstwa. Z owego odrębnego punktu widzenia każda niemal gazeta dostrzega naokoło siebie wrogów i... konkurentów, i z tego powodu pilnie strzeże się, aby na szpaltach swych nie wymienić tytułu gazety innej, wyznającej odmienne zasady, lub istotnie konkurującej pod względem wydawniczym. Wymienienie tego lub owego pisma nazywa się u nas „reklamą", nie zaś informacyą, jak być istotnie powinno; a na reklamę taką pozwalają sobie tylko te gazety, które łączy jakiś wspólny interes".

„Taka małostkowość poglądów panuje u nas od dawna. Dowodem tego słowa, zaczerpnięte z „Opiekuna Domowego" z r. 1872-go, a zacytowane przez „Kuryer" wczorajszy:

„Każdy nowy projekt, mający na celu polepszenie ogólnego dobrobytu, niech znajdzie odgłos w całej prasie; rozbierajmy go, każdy ze swego stanowiska, wypowiadając bez ogródki własne zdanie, bez względu na osoby i stosunki. Kto wie nawet, czy nie należałoby, ażeby każde pismo streszczało, w odpowiednim dla siebie zakresie, ważniejsze, oryginalne artykuły wszystkich innych pism. Tym sposobem, czytelnicy każdego z nich mieliby uprzytomnioną całą treść oryginalnej działalności społeczeństwa na polu myśli, zwłaszcza, jeśli sprawozdania ze świeżo wychodzących książek zajmą w nich większe, niż dotychczas, miejsce..." [1])

---

[1]) „Słowa powyższe wyszły z pod pióra d-ra Juliana Ochorowicza, stanowiły jednak wyraz zbiorowy ówczesnej redakcyi „Opiekuna Domowego", artykuł wydrukowany został po rozpatrzeniu komitetu redakcyjnego, do którego należeli: dr. Piotr Chmielowski, dr.

„Z owych życzeń „Opiekuna" jedynie tylko sprawozdania z nowych wydawnictw zyskały pewne uwzględnienie. Reszta przez lat niemal 25 należała do westchnień, nieraz w ciszy powtarzanych, ale niemożliwych do spełnienia.

„W ostatnich czasach kilka gazet warszawskich wprowadziło dział, w którym znajduje się przegląd artykułów, w innych gazetach zamieszczonych. „Kuryer" z pośród gazet tych wymienia: „Wiek", „Słowo", „Kuryera Codziennego", a dyskretnie przemilcza „Dziennik dla Wszystkich", chociaż pismo nasze oddawna już zamieszcza na swych szpaltach każdą bez wyjątku sprawę ważniejszą w innych gazetach poruszoną, i nie waha się z wymienianiem tytułów pism, bez względu, czy różnią się one od naszego poglądami, czy też mogą być uważane przez nas za konkurencyjne.

„Szastanie zjadliwemi epitetami — pisze „Kuryer" — na prawo i lewo, odsądzanie od czci i wiary każdego, kto się ośmieli być innego zdania, ogłaszanie za odstępców ludzi, pracujących bezinteresownie w niemiłym nam kierunku, — to są dziś jeszcze rzeczy codzienne i w mowie i w piśmie. Nie należą też do osobliwości krytycy, którzy napisanie miernej książki lub słabej komedyi traktują w takim tonie, jakgdyby chodziło co najmniej o okradzenie cudzej kasy!"

„Prawda!... zapatrując się jednak ze stanowiska czytających, zdawaćby się mogło, że nawet ostre, „zjadliwe" przedstawienie cudzego zdania lepszem jest, aniżeli zupełne przemilczanie z obawy, aby... nie wymienić tytułu pisma, w którem zdanie to się znalazło. Tak, niestety, dzieje się u nas. Czy przemilczanie takie wychodzi na korzyść ogółu?... Nie. Czy przynosi korzyść pismu, które nie chce

---

Gustaw Doliński, Jan Maurycy Kamiński, Józef Kotarbiński, Julian Ochorowicz i Bolesław Prus (Aleksander Głowacki)."

wiedzieć o istnieniu tytułów innych wydawnictw „konkurencyjnych?...“ Także nie. Dowodem gazety zagraniczne, które stale, przy lada okazyi, wymieniają tytuły pism innych i nie obawiają się bynajmniej konkurencyi.

„Jaki tego skutek?... Widzi go „Kuryer Warszawski“, pisząc: „jedne i też same myśli tu i owdzie wypowiadają się bez wiedzy o sobie, trafne pomysły i zdrowe poglądy milkną bez echa, użyteczne projekty giną bez poparcia, a różnica zdań nie wpływa na wykrzesanie prawdy, bo gdzież i jak zetrzeć się mają opinie, skoro się wszelkiego starcia zasad unika — czy to przez wstręt do nieprzyjaznego pisma, które je wypowiedziało, czy przez fałszywą delikatność względem przyjaciół...“

„W dalszym ciągu „Kuryer“ wyrzeka na sposób traktowania spraw ogólnych, nie zawsze odpowiedni. Pod tym względem przyznajemy naszemu koledze zupełną słuszność, zdaje się nam jednak, że w tym kierunku łatwiej będzie można dojść do porozumienia. Ale co zrobić z tem „warszawskiem“ *przemilczaniem*... bo specyalność to czysto warszawska. Co do nas, sądzimy, że wczorajszy głos „Kuryera“ będzie echem wołającego na puszczy!... Bodajby tak nie było!...“

A jednak tak było. Artykuł mój nie wywarł żadnego wpływu — przyrodzony bowiem brak solidarności, nie był właściwością wyłącznie „warszawską“, lecz ogólnie polską.

Grzecznymi dla siebie byli zawsze dziennikarze warszawscy — tylko że nie czuli potrzeby jakiejkolwiek *łączności duchowej*.

6. NASZE POJĘCIE RÓWNOŚCI.

Drugim powodem, dla którego nierozwijają się u nas prace łączne, jest nasze swoiste pojęcie *równości*. Kaliszewski tej kwestyi osobno nie rozbiera, ale kilkakrotnie,

tu i owdzie jej dotyka, z właściwą sobie bystrością i dosadnością.

Powiem najprzód co sam o niej sądzę.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że u naszych słowiańskich przodków istniała zupełna równość, z władzą jedynie ojcowską lub rodową. Stopniowe powstawanie osobnej klasy rycerskiej (szlachty), stopniowo też wyosobniło ją od ludu, którego bierność iście słowiańska, pozwoliła szlachcie coraz bardziej akcentować swoją wyższość, coraz też bardziej zaostrzając stosunek nierówności.

Ale za to, powiesz czytelniku, ustalała się nasza *równość szlachecka?*

Tak, i o niej właśnie mówić zamierzam/ bo ona to ustaliwszy się, przeniosła się niby na cały naród w epoce porozbiorowej, ulegając charakterystycznym dla nas modyfikacyom.

„Szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie". Czy naprawdę? Formalnie — bo mógł nosić kontusz i szablę, bo go największy magnat tytułował „panie bracie"; a w rzeczywistości o tyle, że także mógł w swoim zakresie pomiatać chłopem i wyzyskiwać go. Poza tem magnat wyzyskiwał, w grzeczniejszej formie, pana brata na zagrodzie/ co mu zresztą łatwo przychodziło, bo ten ostatni chętnie się czepiał klamki pańskiej i nawet wpraszał się do orszaku magnackiego. Wszakże to były nasze „stronnictwa".

Na Zachodzie szlachta stanowiła straż królewską, na Wschodzie niewolników cara. U nas była równość, ale tylko między magnatem i królem — taka, jakiej nie było nigdzie. Nie było równości między szlachtą a resztą narodu, podobnie zresztą jak i gdzieindziej, z tą tylko różnicą, że gdzieindziej podkreślano *hierarchię* i liczne *stopnie* — u nas *formalną równość całości stanu szlacheckiego.* Nadto w Rosyi „naród" był ludem a u nas szlachta narodem. I to charakteryzuje naszą narodową arystokratyczność i naszą swoistą demokracyę.

O prawdziwej dziś jeszcze nie mamy pojęcia. A nie jest to bynajmniej wytwór czysto szlachecki. Taka sama arystokratyczność panuje między ludem śląskim, od kilku wieków odciętym od Polski/ i taką samą przejawia nowsza, ale jeszcze bardziej od kraju odcięta, nasza emigracya chłopska w Ameryce. Ten sam indywidualizm, ten sam nastrój arystokratyczny, nie stłumiony przez wieki niewoli, i też same ogólno narodowe przywary.

Słusznie mówi Kaliszewski:

„Polacy są narodem nawskroś arystokratycznym, ale w najgorszem znaczeniu tego wyrazu; a kolebcza ich mądrość jeszcze, by mogli wydać prawdziwych filozofów. Wszyscy u nich gardzą wszystkimi, jeżeli tylko są od nich wyżej w drabinie społecznej postawieni. Magnat gardzi szlachcicem, szlachcic mieszczuchem, mieszczuch wiejskim gospodarzem, ten parobkiem, parobek pastuchem a pastuch żydem. Pan gardzi swoim lokajem, lokaj stróżem, stróż śmieciarzem, a śmieciarz łapaczem psów. Pani swoją kucharką, kucharka młodszą, młodsza pomywaczką, a pomywaczka gałganiarką. Urzędnik gardzi rzemieślnikiem, ten wyrobnikiem, i tak w dół, aż do ostatniego szczebla. To jednak wcale nie przeszkadza, ażeby w górę idąc jeden przed drugim w pałąk się nie zginał... *Polska równość to fikcya*". (s. 48)

Uderzmy się w piersi, czy tak nie jest? A porównywając równość amerykańską lub francuską rozważmy, jak daleko nam jeszcze do prawdziwej równości!

Proszę czytelnika, żeby nie sądził, że jestem zwolennikiem doktrynerskiej, niepsychologicznej równości Jana Jakóba Rousseau, którą nawet francuzi przyjęli tylko *w przebraniu* pasterzy i pasterek, jako chwilową *modę*.

Równości całkowitej nigdy nie było i nie będzie, dopóki natura ludzka będzie taką jaką jest. Równość zaś filozoficzna lub religijna nie przeszkadzała nigdy nierówności towarzyskiej i socyalnej. Chodzi tylko o to, żebyśmy na-

prawdę uznali równość wobec prawa i wobec pracy, żeby ona weszła w krew naszą i w instytucye nasze — a najprzód w formy towarzyskie. Mogą ją dać tylko wspólne szkoły, wykorzenienie pogardy dla pewnych fachów, i większe poszanowanie każdej sumiennej pracy a wyrobienie wstrętu do najbardziej choćby błyskotliwego próżniactwa.

Czy posuwamy się w tym kierunku?

Tak, i sądzę nawet, że zadanie to nie jest niemożliwem — a ów odcień arystokratyczny naszego osobnictwa i bałagulstwa, zastępujący zachodnią demokracyę, może nawet w przyszłości wydać demokracyę lepszą, szlachetniejszą. Ale trzeba nad tem popracować, a w tym celu trzeba przedewszystkiem jasno widzieć własne wady.

Pocieszającem jest u nas szybkie zacieranie się różnicy między szlachtą a nie szlachtą; szybsze w Kongresówce, powolniejsze w Galicyi, ale wszędzie u nas widoczniejsze niż w Niemczech, chociaż tam poszanowanie wszelkiej pracy bezporównania wyżej stoi. Niemcom bruździ tylko dotychczas ich przewaga państwa nad jednostką, czego u nas nigdy nie było, i ich tradycyjne nałogi feodalne, również nam obce.

Następująca anegdota, dobrze ten stan umysłów uprzytomni:

Jako student uniwersytetu lipskiego, wziąłem sobie do wprawy w języku i do poprawienia przygotowywanej rozprawy doktorskiej, korepetytora, kolegę niemca, jak się okazało socyalistę. Raz pytam go:

— Nie wiesz pan, czy Heinze będzie miał jutro wykład?

Mój towarzysz zrobił minę, jakby nie rozumiał o co chodzi, a po chwili zapytał:

— Sie meinen Herr *Hofrath von* Heinze?...

Dla niego Heinze bez *von* i bez hofrata było innem nazwiskiem.

Pewnego dnia mój metr wchodzi jak zwykle o oznaczonej godzinie, ale już odedrzwi zaczyna się kłaniać i usprawiedliwiać:

— Wybacz pan, ja nic nie wiedziałem!...

— Czego pan nie wiedziałeś?

— Że pan jesteś szlachcicem.

Zacząłem się śmiać i objaśniłem go, że u nas się na to nie zważa. — Ale jemu — socyaliście — nie trafiało do przekonania, żeby można było będąc szlachcicem, nie pisać *von* przed nazwiskiem! [1]) We Francyi jest to pospolitszem, chociaż i tam nałóg dziejowy trzyma się i nieliczni są przedstawiciele arystokracyi, którzy, jak to czynił popularny publicysta, Henryk Rochefort, stale swoje *de* i swój tytuł opuszczają. U nas nazwiska szlacheckie nie miały specyalnego dodatku, a tytuły rodowe pochodziły wyłącznie od obcych. Jest to ułatwienie, z którego możemy skorzystać, pamiętając jednak, że nie brak tytułów stanowi o równości, tylko jej *poczucie*.

Tego nie mamy — a chcąc być grzecznymi nazywamy się wzajemnie *panami* czyli szlachtą, nie tylko przy wymienianiu nazwiska, ale i w ciągu rozmowy, co już jest naszą swoistą właściwiścią. Ogólny proces demokratyzacyi form, tak doskonale uwydatniony przez Herberta Spencera, zaznaczył się wszędzie w ten sposób, że nazwy i formy przypisywane bogom, przenosiły się na królów, z królów na szlachtę, wreszcie ze szlachty na ogół. Francuskie *Mon-Sieur* odnosiło się najprzód tylko do panującego,

---

[1]) Winienem dodać, że nie ręczę za swoje szlachectwo. Wiem tylko tyle, ile dowiedział się przypadkiem mój nauczyciel, przeczytawszy mój zagraniczny paszport rosyjski, że byłem zapisany jako szlachcic i że po ojcu moim, który mnie odumarł w 5 r. życia, pozostała pieczątka z jego cyframi i z herbem „Prawdzic". Dziadek zaś w linii matczynej, Sumiński, pieczętował się herbem Bróg v. Leszczyc. Nigdy mi przez myśl nie przeszło, żeby te rzeczy sprawdzać u źródła.

a *Madame* tylko do królowej; od czasów rewolucyi wszyscy są Monsieur i Madame, nawet przekupki i stróże — co u nas zaczęto naśladować dopiero w ostatnich czasach, głównie od r. 1905.

O naszym sposobie tytułowania Kaliszewski tak pisze: „Towarzyskość wymaga przedewszystkiem wzajemnego szacunku dla siebie i właśnie onej grzeczności, taktu istotnego a nie jego formy tylko, o którego braku kompletnym u nas wspomniałem. Tu nawiasowo zaznaczyć także wypadnie, że brak jej to właśnie kto wie czy nie wyrobił w naszym języku, jedynym w całej gałęzi indo-europejskiej, owej nieznanej nigdzie formy mówienia do siebie przez ustawiczne powtarzanie „pana" i „pani" przy każdem świeżem skonjugowaniu czasownika, i te niesłychane subtelne odcienie, naszemu tylko polskiemu uchu, a raczej naszej polskiej *nietowarzyskości* zrozumiałe, jak użycie tegoż „pana" drugiej lub trzeciej osoby liczby pojedynczej, to znowu trzeciej samej bez dodawania kto, trzeciej mnogiej, również bez dodatku, lub z dodatkiem imienia i t. p. Chińszczyzna (jeżeli tylko i jej pod tym względem nie ubliżam), sądzę, powinna być wielce rada, że tak bliskich sąsiadów w nas sobie znalazła..." (s. 45)

Ustęp ten wymaga wyjaśnienia.

Przedewszystkiem nasz brak grzeczności i towarzyskości nie ma tu nic do roboty. Raczej nasze pojęcie równości, ściślej nasz brak *poczucia* równości. Grzeczności tu owszem za dużo, zwłaszcza za dużo w niej subtelnego stopniowania.

Mojem zdaniem, charakterystyczne dla nas są następujące punkty:

1° Bezustanne powtarzanie „pan", „pani". Francuzi i rosyanie mówią stale „wy". Niemcy — „oni". U nas „wy" jest lokucya chłopską, bardziej dystyngowaną niż „ty", ale mniej grzeczną niż „pan", który dawniej oznaczał „pana na..." (pan Wojciechowski=pan na Wojciechowie). Nadto

inne stopnie grzeczności oznaczają wyrażenia: mniej grzeczne: „pan byłeś"; grzeczniejsze: „pan był"; jeszcze grzeczniejsze, w trzeciej osobie liczby mnogiej („oni byli" zam. „pan był") mówią na Śląsku pod wpływem niemców. Są to wszystko stopnie poszanowania, nie braku poszanowania.

2° Inne narody odróżniają „panią" od „panny". U nas już od kilku wieków mówienie do panny „panno!" uważa się za niegrzeczność — tylko o trzeciej osobie tak się mówi, w oczy trzeba mówić „pani" — chyba że się przemawia wyniośle do pokojówki. Jednem słowem jest to także dowód naszego nadmiernego stopniowania w należnej, naszem zdaniem, grzeczności.

3° Rosyanie mówią „Piotr Iwanowicz", zaznaczając, że Piotr był niegdyś własnością Iwana — co u nas mimo wysokiej władzy ojcowskiej nie utrzymało się. Tylko żony i córki, jako bardziej zależne od ojca, określały się stale jego *nazwiskiem* zmodyfikowanem jakby w celu oznaczenia własności (Zamojski—Zamojska; Tarłowa—Tarłówna) — formy nieznane na Zachodzie a dowodzące także liczniejszych odcieni określeń towarzyskich. Używanie samego *imienia* męża, dla oznaczenia żony (Janowa, Pawłowa) bez nazwiska, stosuje się do tych, którzy w naszem rozumieniu właściwie wcale nie mają nazwiska, wcale nie są „urodzeni". Użycie zaś samych czasowników w trzeciej osobie (niech Pawłowa idzie) jest zawsze grzeczniejszem niż w drugiej l. m. (idźcie) a tembardziej niż w drugiej l. p. (idź!).

4° Prawie u wszystkich narodów dzieci mówią do rodziców: „ty", u nas nawet „wy" jest za mało i praktykuje się tylko u chłopów, dla kompensaty poufałości z dodatkiem l. m. w czasowniku (niech tatuś idą!). Wśród inteligencyi dziecko mówi w trzeciej osobie (niech ojciec da— niech matka powie), a jeśli się mówi w drugiej osobie, to zawsze z dodatkiem „mamy" lub „taty", podobnie jak wśród obcych „pana" i „pani".

5° Ciągłe powtarzanie nazwiska, które nie razi ani niemców ani francuzów, u nas uważa się za niegrzeczność, i o ile się nie zastępuje nazwiska tytułem (pan radca, pan profesor), trzeba je w serdeczniejszej mowie zastąpić imieniem — jeszcze jeden dowód naszej nadczułości formalistycznej — ale nie naszej niegrzeczności. A wszystkie te wyrażenia wskazują aż nadto jak obcem jest polskiemu umysłowi poczucie powszechnej równości.

Poza temi właściwościami, objawy szczątkowe dawnych wierzeń i nałogów trafiają się u wszystkich narodów. Takim jest np. u autorów zwyczaj pisania „my" zamiast „ja", jeszcze powszechny w pracach naukowych. Pierwotnie w liczbie mnogiej przemawiały tylko bóstwa (My, bogowie); później władcy ziemscy, kapłani i uczeni — i nałóg pozostał, chociaż jest tylko dowodem „pozy" panującej wśród uczonych. Ale zwyczaj jest tak powszechny, że ja sam nieraz mu ulegam, chociaż zawsze mam to na myśli, że pożądaną jest prostota i naturalność nawet w formach.

Ogólnie rzecz biorąc uważam nasze pojęcie równości, za kombinacyę dawnej starosłowiańskiej z późniejszą szlachecką — a liczne w niej stopnie, za dowód naszego osobnictwa raczej niż czegokolwiek innego. Z nas każdy jest kandydatem na króla—nic więc dziwnego, że cieniuje stopnie, w jakich ten lub ów zbliża się do najwyższej godności — bardzo pożądanej, ale mało przez nas szanowanej. Myśmy naszych królów *kochali* albo *niekochali* — ale właściwej czci tam nie było, podobnie jak nie było właściwego feudalizmu.

O germanach pisał T a c y t:

„Zasłaniać wodza, bronić i wszystkie dzieła osobiste ku jego chwale kierować, mają za najświętszy obowiązek" (XIII).

Zaś o słowianach pisał M a u r y c y u s z:

„Niczyich rozkazów nie słuchają, a między sobą ciągle się swarzą i nienawidzą" (Strgr. XI.5).[1])

7. NASZA TOLERANCYA.

„Lubimy trąbić (pisze Kaliszewski) o naszej niesłychanej tolerancyi: A wszakżeśmy żydów, zewsząd wypędzonych, do siebie przyjęli! — wołamy na całe gardło, by tylko zagłuszyć rozmaite inne nieprzyjęcia i wypchnięcia nawet, jakicheśmy się dopuścili. Zapewne, łatwo to przyjąć, czego się bliżej przedtem nie znało, a zwłaszcza tam, gdzie dosyć było miejsca i dla nas samych i dla drugich jeszcze. Niewiadomość niejednego już zrobiła bohaterem. Ale dlaczego to Długosz powiada, że przywileje dane przez Kazimierza Wielkiego żydom miały *faetor olidus?* czemu im kazano nosić żółte czapki, a samego Kazimierza przezywano *assuerem?* Jaką to żydówkę spalono, jakoby za kradzież hostyi w woj. rawskiem, za namową Lippomana nuncyusza/ a według L. Decyusza na rynku krakowskim upieczono żyda/ i dlaczego konstytucya 1764 r. uznaje za *niejasny* artykuł Stat. Litew. III, art. 8, rozdz. 12, jakoby żyd przechrzczony mógł zostać szlachcicem?... Lecz mniejsza o tych tułaczów — pytam się za co to Zyg. Aug. wypędza 1564 r. pod najsroższemi karami w *trzy miesiące* Socyanów? W Lublinie burzą katolicy 1627 r. miejsca schadzek Aryanów; 1658 r. dekret sejmowy każe niszczyć ich zbory; 1658 r. kazano im wyjść z kraju, a 1666 wypędzeni udają się do Holandyi. Dlaczego Skarga nazywa „przeciw rozumowi przyrodzenia" „brzydką konfederacyę" z r. 1573 „że każdemu wolno było wiarę jaką chce tworzyć

[1]) Porów. moje „Pierwiastki charakteru narodowego"; szkic z psychologii i kultury słowian centralnych (Bibl. Kult. Pol.). Warszawa, 1907.

i odmiany w kościele czynić, a za to żadnego karania nie odnosić?" Na kogo to woła Orzechowski: „powroza, na kacerza trzeba — nie pisma!" a Starowolski powiada, że kacerstwa „do Królestwa Polskiego jako pomyje do jakiej śmierdzącej kałuży spłynęły?" Za co to w r. 1612 skazują na śmierć jakiegoś Tyszowieckiego, mieszczanina z Bilska, jeżeli nie za opinię jego o Trójcy? Jakie-to śluby zrobił Jan Kazimierz zmykając przed szwedami? Co to byli za jedni różnowiercy *in religione*, haniebnie wypędzeni ze swej własnej ojczyzny, kiedy *de religione*, dalej szlachcie swobodnie na lichwę mogli pieniądze pożyczać? A o co to Ruś błagała? Cośmy to tam w Toruniu wyrabiali? A jakim to dyssydentom głosu na sejmie i krzesła w senacie odmawiali, a na sejmie w Grodnie 1726 r. nie chciano nawet słuchać Finka, posła angielskiego, przemawiającego za nimi? Komu to drzwi na front uliczny od swojej świątyni wybić nie dozwolono? A jak to dziś jeszcze, kiedy z każdą jednostką rachowaćby się nam należało, z lutrem Mazurem się obchodzimy?... Ależ to wszystko furda panie dobrodzieju — odpowie nasz brat — w porównaniu z tem co hiszpany, francuzy, anglicy i niemcy dokazywali! Zapewne, w porównaniu; ale mnie nie chodzi o porównanie, jeno o to czy byliśmy tolerantami, lub nie? Nie należy zapominać, że mniejsze złe w złem, to jeszcze nie dobre". „Owóż, według mnie myśmy nie mieli czasu w naszem wojennem życiu nauczyć się tolerancyi; myśmy nie byli tolerantami i nie jesteśmy nimi, tylko *nie byliśmy fanatykami*, bo fanatyzm to namiętność, *a my aż do niej nigdy w niczem wznieść się nie możemy*. To już taka nasza natura". „Ten tylko jest tolerantem, kto wszystkich za równych sobie uważa i równe wszystkim prawa przyznaje, lub — wszystko za marność. Polacy nigdy ani jednem, ani drugiem nie byli, nie są i być nie mogą". (s. 47) [1])

[1]) Kaliszewski mógł był jeszcze dodać, że nie tylko pobożni

Nie byli i nie są, ale być mogą — jeśli tylko zdobędą pełnię życia cywilizacyjnego. Pełnię — to znaczy rozmaitość w rozwoju, wynikającą ze swobody.

Ale że dzisiaj jeszcze tolerantami być nie umieją — niech zaświadczy następujące wspomnienie:

W r. 1905 niektórzy socyaliści żydowscy (i nie żydowscy) wyśmiewali się z białego orła, wołając „precz z Polską!" Były to żakowskie wybryki bez znaczenia. Ale wśród naszych „patryotów" podniósł się gwałt, pomimo że jeden z naszych socyalistów nazywał także naszego orła „białą gęsią". [1]) Pisywałem wówczas w „Kur. Warsz." „Wolne Myśli", w których występując w obronie wolności słowa, pozwoliłem sobie dodać:

„...Ale byli i tacy, którzy wołali wprost „precz z Polską!..." Byli. A czyż to wolno wznosić takie okrzyki? pyta z oburzeniem jedno z pism. Naturalnie że wolno. Chcielibyście żeby wszyscy wołali: „Niech żyje słońce?" A jeśli ja wolę księżyc, dlaczego nie mam wołać: „Niech żyje księżyc!" Skutek będzie ten sam. Mojem zdaniem — którego zresztą nikomu nie narzucam — zakazywać można tylko

---

polacy, ale i wolnomyślni polscy masoni nie pojmowali tolerancyi. Ustawa polskich wolnych mularzy z r. 1769 zaraz w 1 § stanowi, że każdy ateusz ma być wykluczony na zawsze z loży Cnotliwego Sarmaty (Ks. St. Załęski. O masonii w Polsce. Kraków, 1889 — oraz T. Korzon. Listy otwarte t. IV, s. 145. Warszawa, 1916). A jednocześnie przeciwnicy masonów głosili, że „kto przeciw zakazowi religii wchodzi w ścisły braterstwa związek z ludźmi obcych wyznań, ten niema cnót godnych nieba" (Wł. Smoleński. Przewrót umysłowy, s. 204. Kraków—Petersburg, 1891.

[1]) Teraz jest patryotą od morza do morza. A co do żydów— niech tylko Polska będzie wolną i silną — przestaną wołać „precz z Polską!" — Do kwestyi tolerancyi przekonań krańcowych powrócę jeszcze w osobnym rozdziale.

to, co ogranicza wolność innych obywateli; a ponieważ taki lub owaki okrzyk teoretyczny nikogo w niczem nie ogranicza, więc w kraju konstytucyjnym nie ma podstawy do represyi przeciw najdzikszym teoretycznym okrzykom. Dość będzie wzruszyć ramionami. Nie, łaskawi panowie, nie tędy droga. Jeśli będzie Polska, to będzie taka, w której wolno będzie wołać: „Precz z Polską!" Jabym nawet nie chciał, żeby była inna — bo znowużby się rozleciała, jak stary garnek odrutowany".

Redakcya wydrukowała i ten ustęp, ponieważ niezgadzałem się na wykreślenia — ale dodała od siebie przypisek tej treści:

„Wyrażony w tym ustępie pogląd Szan. autora jest *teoretycznie* uzasadniony; wszelako w ocenie zjawisk *danej chwili*, czy epoki, nie może być miarodajną *bezwzględna* doktryna" (ja nie mówiłem o bezwzględnej). „Rzeczywista wolność polega na wyrozumiałym, tolerancyjnym kompromisie społecznym" (z ulicznikami?), „który z natury rzeczy musi utrzymywać jednostki i grupy w pewnych karbach. Pod tym względem zaś nie można zbytnio odróżniać słowa od czynu. Nie tylko krzywdzić materyalnie nie wolno; nie wolno także znieważać słowem, ideałów współobywateli. Prawo nie karze zbrodniarza, którego niepoczytalność stwierdzono; można więc przebaczać i bluźniercze okrzyki wznoszone przez niepoczytalne indywidua" (O to tylko chodziło — gdyby to było indywiduum odpowiedzialne, w dzienniku np., możnaby je zjeździć po literacku, gdyby to było w sejmie, możnaby posła przywołać do porządku, za okrzyki nieparlamentarne i prowokacyjne, co jednak jeszcze nie dowodzi, że należało uciec się do kijów, jak tego żądało jedno z pism, powołując się na opinię jenerała Skrzyneckiego, że „gdzie panuje swoboda słowa, tam panuje swoboda kija"). „Ale nie można *usprawiedliwiać* zasadniczo tych, którzy bądź sami czynią to świadomie, *bądź podniecają w tym duchu tłumy*".

Sądzę, że usprawiedliwiać a *tolerować* i tolerować a *podniecać* tłumy do gwałtów — to jeszcze nie to samo.

Przeciwko podniecaniu tłumów jest koza, a w obronie swobody słowa powinna być tolerancya, kończąca się dopiero tam, gdzie się naprawdę zaczyna, jeżeli nie krzywda materyalna, to przynajmniej moralna.

A tu według mnie, mogła być tylko ta *korzyść* moralna, że nam się otworzyły oczy co do kierunku pewnych stronnictw — lub raczej tylko pewnych grup ulicznych.

W rezultacie, przypisek najbardziej kompromisowego z naszych pism świadczy, jak daleko nam jeszcze do rzeczywistej tolerancyi!

„Stany i stronnictwa, pisze Libelt, są u nas jeszcze surowym materyałem politycznym, nie umiejącym osoby wyróżnić od rzeczy. Szranki zdań są u nas zawsze jeszcze szrankami rycerskimi, w których występujemy zbrojno z oszczepem raniącym lub dzidą kłójącą w ręku; oponenci — to zacięci osobiści nieprzyjaciele; stronnictwa zdań różnych — to dwa różne obozy; pokój — to exterminacya".

A Kaliszewski dodaje:

„My tak dobrze jak i inni radzibyśmy trupem położyć każdego przeciwnika, co się ośmiela inaczej myśleć od nas, ale zaraz, na miejscu; bo stos się pali za długo, a my jak szybko wybuchamy, tak i szybko gaśniemy". (s. 48) [1])

---

[1]) W ostatnich czasach wystąpił z twierdzeniem o niewątpliwej naszej tolerancyi, Wiktor Gomulicki w swoim artykule „O kulturalnej odrębności Polski", przeznaczonym dla *Frankfurter Zeitung:* „Zdawało się, mówi on, że naród, do wszystkich publicznych spraw mieszający religię, powinien odznaczać się duchem fanatycznym i nietolerancyjnym. Z polakami było przeciwnie. Ich tolerancya w sprawach religijnych jest faktem historycznie stwierdzonym. Prześladowani gdzieindziej aryanie, socynianie, w Polsce znajdowali bezpieczną ostoję" etc.

8. CHARAKTER OGÓLNY NASZEJ UMYSŁOWOŚCI I KWESTYA LENISTWA.

Kaliszewski utrzymuje, że jesteśmy z natury *leniwi* i że jest to trzecia i najgorsza wada naszego charakteru, która sama jest koniecznym skutkiem naszej *zmysłowości* a spłodziła w nas dwie inne haniebne przywary: n i e u c t w o i l e k k o m y ś l n o ś ć.

Nieuctwo wywołało:

1. Przewagę wyobraźni.
2. Nieścisłość rozumowania.
3. Pohopność w sądach — i
4. Brak krytyki — a stąd:
   a. Przesadę.
   b. Zarozumiałość — i
   c. Łatwowierność.

Na to odpowiada A n d r z e j N i e m o j e w s k i w „Myśli Niepodległej":

„Pogląd jest rzeczą indywidualną. Ponieważ prześladowania religijne działy się wszędzie, także w Polsce, przeto nie jest wykluczone, iż, wskutek tego, że owych prześladowań było u nas mniej niż gdzieindziej, można przyznać nam miano tolerantów. Ale jeżeli ktoś, na poparcie swego poglądu przytacza fakt jeden, i to akurat dowodzący czegoś wręcz przeciwnego, to sam przykłada siekierę do pnia swego poglądu. Albowiem jest rzeczą powszechnie wiadomą i wspominaną we wszystkich podręcznikach, iż mocą uchwały sejmowej z r. 1658 wszyscy aryanie czyli socynianie, zostali nazawsze wygnani z ziem Rzeczypospolitej Polskiej. Zrazu chciano im dać trzy lata czasu dla wyprzedania majętności, ale zredukowano to do lat dwóch. Bliższe szczegóły o tym fakcie znaleźć można w dziele S z c z ę s n e g o M o r a w s k i e g o „Aryanie Polscy", na str. 496 i nast., zresztą we wszystkich podręcznikach historyi polskiej i w encyklopedyach,

Z lekkomyślności, drugiej córki lenistwa, zrodziły się:

1. Brak samodzielności.
2. Próżność.
3. Niedbalstwo.

Ze swej strony: *brak samodzielności* spłodził:

a. Naśladownictwo.
b. Słabe poczucie godności — oraz
c. Brak odwagi cywilnej.

Z trzech właściwości zbliżonych: próżności, pychy i dumy, tylko pierwsza w nas się ostała. „Polacy wogóle są próżni; pysznych u nich, dziś przynajmniej, nie wielu, a dumnych prawie wcale nie ma, bo zmysłowość to ich natura, silne żądze im obce a rozum nie tęgi".

„*Niedbalstwo* wreszcie, niechlujne niedbalstwo, odbija się we wszystkiem, od życia codziennego i wyrobów naszego przemysłu, aż do naszej mniemanej filozofii".

---

nie mówiąc o licznych pismach polemicznych". („Myśl Niepodległa" Nr. 367 z d. 10 Stycznia 1917 r.).

Nie jestem historykiem i nie mam czasu na szperanie po źródłach, zdaje mi się jednak, że prawda leży pośrodku. W rzeczywistości bowiem socynianie byli tolerowani w Polsce przez przeszło pół wieku a wygnanie nastąpiło dopiero wtedy, gdy niektórzy z nich wdali się w konszachty z najeźdzcą szwedzkim. Z drugiej strony Niemojewski ma słuszność, że istotnej tolerancyi w narodzie nie było, skoro już w r. 1598 studenci krakowscy *chorego* Socyna wyciągnęli z łóżka i haniebnie pobili, włócząc go po ulicach miasta. Działo się to w czasie kiedy Akademia Krakowska, zatracając swoje cechy postępowe, szybko upadała, stając się czysto katolicką i scholastyczną i skłaniając coraz liczniejsze zastępy samodzielniejszej a przynajmniej bogatszej młodzieży polskiej do udawania się po wiedzę do uniwersytetów niemieckich i włoskich. W kraju pozostawali tylko biedniejsi i ciemniejsi.

Tabliczkę powyższą, Kaliszewski szczegółowo objaśnia. Jest on — choć polak — zbyt ścisłym, przewidującym i oczytanym, żeby go można było na pospolitych błędach przyłapać — trzeba tylko wniknąć w jego sposób rozumienia niektórych wyrazów i w konsekwentny ciąg jego myśli. Psychologia tej podziałki tu i owdzie szwankuje, genealogia mogłaby być dopełnioną lub nawet odwróconą — ale toby nas wciągnęło w drobiazgi, gdy dla nas ważną jest jedynie myśl główna i ewentualny pożytek z krytyki.

Otóż, na tem stanowisku stojąc, pozwolę sobie na niektóre uwagi zasadnicze:

Czy tabliczka ta istotnie charakteryzuje naszą umysłowość?

K. zastrzegł się, że nie porusza cech dodatnich — nie można mu więc czynić zarzutu z tego, że dał obraz b. czarny — tem więcej, że choć czarny, nie zdaje się być dalekim od prawdy.

Wszystkie przywary naszej inteligencyi wyprowadza K. z lenistwa. Gdyby ta genealogia była słuszną, byłaby b. smutną; lenistwo bowiem, tak wybitne, że aż tyle wad płodzi, byłoby dowodem albo niedorozwoju, czyli przyrodzonego braku sił, albo też ich zaniku, to znaczy zwyrodnienia. Człowiek normalny, całkiem leniwym być nie może. Także nie może nim być człowiek zdolny do wysiłków i męstwa/ a tego nam nasz krytyk nie odmawia. Sądzę więc, że ta dyagnoza musi być zmodyfikowaną; a to tem więcej, że komplikacye nadzwyczajne, jakie napotykamy wogóle w charakterach ludzkich, dotyczą także i pracowitości i lenistwa.

Według moich obserwacyj nie można powiedzieć ani tego, że polak jest z natury leniwym, ani tego, że jest z natury pracowitym.

Słusznie mówi K., że polak jest zazwyczaj *powolnym* w pracy — a powiedziałby to z jeszcze większym naciskiem, gdyby był widział moich robotników śląskich, przy

pomocy których wybudowałem w ciągu lat 10 kilka domków i jedną dużą willę u źródeł Wisły. Powolność ich była poprostu przerażającą! Nic podobnego nie spotkałem nigdzie; a zdumiewająco powolną była nie tylko ich praca, ale nawet przejście paru kroków albo sięgnięcie po narzędzie — tak, że ostatecznie robotnik ten, tańszy niż gdzieindziej, kosztował właściwie znacznie drożej. Gdyby chodziło o naszych chłopów z Kongresówki, to możnaby domyślać się, że długie wieki pańszczyzny przyzwyczaiły ich do pracy niechętnej a więc powolnej, i że pracując dziś bez bata, pracują jeszcze gorzej; ale moi Wiślanie nigdy nie znali pańszczyzny. Możnaby też domyślać się, że odcięci kilku wiekami od wszelkiego związku z Polską, niepodlegli tym wpływom rozwojowym, które, bądź co bądź, podniosły wydajność pracy w Kongresówce, a nawet i u ich niedalekich sąsiadów, także górali, zakopiańskich. I byłaby może w tem część prawdy. Ale oni tam mieli także dobry przykład, o wiele ruchliwszych czechów i bieglejszych niemców. Skądże więc pochodziła ta powolność? Sądzę, że przedewszystkiem ze starosłowiańskiego a dziś jeszcze specyficznie polskiego *nieposzanowania czasu*. Dla polaka czas nieistnieje; dla niego „co się odwlecze — to nie uciecze", co się nie zrobi dziś, zrobi się jutro; wartości czasu polak nie zna, bo towar ten nie miał żadnej ceny w pierwotnej Słowiańszczyźnie centralnej, złożonej z bagien i lasów.

Nie mniej posiadali i moi Wiślanie pewne zalety: 1° nie męczyli się łatwo, 2° byli zręczni, 3° byli ambitni. Gdym do którego podszedł i przypatrzywszy się jego robocie powiedział: „to tak się pracuje?" — inni spoglądali na niego ze współczuciem, mówiąc: „zgańbił go..." (zhańbił, upokorzył). Postanowiłem z tego skorzystać i wprowadziłem następujące zmiany:

1) *Skróciłem im robotę dzienną o jedną godzinę.* Było to w chwili, kiedy ruchy socyalistyczne jeszcze nie doszły do Wisły; żądania tego oni nie stawiali i byli moją de-

cyzyą zdumieni; ale b. sobie cenili ten fakt, że mogli o godzinę mniej pracować.

2) Spóźniającym się rano potrącałem część płacy.

3) Pracującym pilniej podnosiłem dobrowolnie zapłatę.

4) Zniosłem $^1/_2$ g. przeznaczone na podwieczorek, podczas którego pili wódkę — a te $^1/_2$ g. dodane do darowanej 1 g. b. ich ucieszyły, bo o $1^1/_2$ g. wcześniej wracali do domu.

5) Rozdzieliłem robotników na *pary*, według ich własnego wyboru, to znaczy, że każda taka para, sympatyzująca z sobą, pracowała łącznie.

6) Całą robotę zorganizowałem w ten sposób, że nic dokładnie nie umiejący „nadziennicy" wszystkim równo i zbliska pomagali, podając materyały i narzędzia.

Nigdy żadnemu nie ubliżyłem, a natomiast chwaliłem, gdy było za co i okazywałem zaufanie.

Od tej chwili większość zaczęła pracować znacznie szybciej i lepiej/ a po skończeniu budowy podrzucili mi adres dziękczynny, który *wstydzili się* oddać sami.

Pamiętam, że jeden z tych „nadzienników", który sam się zameldował jako „nic nie umiejący", a wyglądał b. niemrawo, stopniowo stał się jednym z najlepszych: wszystko umiał i pracował szybciej od innych, bez nadzoru.

Tak się przedstawia w mojem doświadczeniu, sprawa *najleniwszych* robotników, jakich kiedykolwiek w życiu widziałem. *Polskich*, trzeba dodać. Z niemcami takbym sobie nie poradził. Pracowaliby odrazu lepiej i punktualniej, ale niezdradziliby ani tego postępu, ani tej giętkości umysłowej, obok potulności, ani wreszcie wdzięczności, która występuje u polaków — chociaż trwa b. krótko. Mimo wszelkich wad: niedbalstwa, niepunktualności, niechlujstwa, niemcy cenią robotnika polskiego — a ceniliby go jeszcze więcej, gdyby z nim umieli postępować — w czem im ich

własny charakter narodowy, przeciwny wszelkiemu stosowaniu się do obcych, przeszkadza. Otrzymują jednakże pewne polepszenie wydajności pracy robotnika polskiego, dzięki samej *organizacyi pracy*, do czego przeciętny polak sam nie ma zmysłu. Nie ma zmysłu na codzień i w warunkach zwykłych, ale gdy istnieje podniecenie ideowe, gdy bodźce moralne nie ustają, polak jest i organizatorem doskonałym — czego dowodem nasza organizacya rewolucyjna w r. 1862 i 3, przewyższająca wiele innych.

Jeżeli teraz z dziedziny pracy fizycznej przeniesiemy się w dziedzinę prac umysłowych — stosunki będą jeszcze bardziej skomplikowane.

Twierdzę stanowczo, że polak jest bardziej skorym i zdolniejszym do pracy umysłowej niż niemiec lub francuz, pomimo że dotychczas owoce tej zdolności są b. nikłe. Student niemiecki (obserwowałem go w Lipsku, Halli i Heidelbergu) książek prawie nie czytuje, wykłady muszą mu w streszczeniu *dyktować* profesorowie, jak się to praktykowało od wieków (o czem wspomina Goethe w Fauście), a przytem on żyje w knajpach, burschenschaftach, i interesują go więcej pojedynki na rapiry, piwo i piękne śpiewy burszowskie z umiejętnym rozkładem na głosy—niż nauka, chociaż nie można mu odmówić i sztubackiej pracowitości— umie bowiem rozporządzać czasem. W wykładach uniwersyteckich b. sobie ceni przypinane do nich koncepty, które oklaskuje... tupiąc nogami — co u nas byłoby dowodem zniecierpliwienia.

Francuski student równie mało czyta książki, za to więcej dzienniki; jest b. dziecinny (tak zwane *monomy*/ pochód *gęsiego*/ urządzane na ulicach przy naśladowaniu zwierząt, zwłaszcza po nocy), zawsze wesoły, błaznujący i śpiewający kuplety *(en France tout finit par une chanson*, jak zauważył Alfons Karr), spędza więcej czasu przed kawiarniami na ulicy z gryzetkami na kolanach (czego niemiec a tembardziej anglik szanujący *pozory*, nie czyni) —

a wieczorem w kabaretach, gdzie adoruje swobodne tańce. Od czasu do czasu urządza rewolucye studenckie, mianowicie wtedy, gdy który z profesorów zbyt wielu z nich obcina przy egzaminach, albo gdy jaki teatrzyk bulwarowy odmówi im tańszych biletów. Przytem francuz myśli najwięcej o szybkiej karyerze, o prędkiem zbogaceniu się i nadmierną wagę przywiązuje do swego „baccalauréat". Idee ogólno ludzkie zajmują go więcej niż niemca, ale praca systematyczna znacznie mniej.

Polska młodzież, wykolejona z normalnego rozwoju, ciężkiemi przejściami kraju i różnemi formami ucisku — nie mogła jeszcze objawić normalnej swej fizyognomii. *Zmienia się* bardziej niż młodzież innych krajów, w różnych epokach i w różnem otoczeniu. Inną jest w kraju, inną za granicą, różną nawet w różnych dzielnicach; inną była przed powstaniem, inną bezpośrednio po powstaniu, inną w okresie powstającego socyalizmu i pracy dla ludu, inną wreszcie w okresie obecnym, sportów skautowych i legionów. Myśli ideowej, naukowej lub społecznej jest dzisiaj mało, politycznej więcej — a chaos nastrojów i uczuć większy niż kiedykolwiek. Z kierunkami etycznymi miesza się dziś przedwczesny cynizm, z poświęceniem — karyerowiczowstwo. Wogóle jednak młodzież nasza jest i była zawsze pracowitą, w powierzchownem zachowaniu się poważniejszą od niemieckiej i francuskiej, nie tak skłonną do pojedynków jak pierwsza, do dziecinnych wybryków jak druga, względem koleżanek mniej pełna galanteryi niż francuska, ale za to serdeczniejsza, nie tak nieżyczliwa i opryskliwa jak niemiecka, wogóle zaś wcześniej dojrzewająca, więcej czytająca (co prawda jeszcze więcej od rdzennych polaków czytają żydzi polscy), nie tak pusta jak francuska, nie tak zdrowa i silna jak niemiecka lub angielska, ale zawsze zapalna dla celów narodowych i miłująca wolność raczej więcej a ciszej. Stąd też w chwilach podniecenia narodowego, starsi bez obawy powierzali jej rolę

stróżów porządku, co nie jest zwyczajem ani na Zachodzie, ani na Wschodzie.

Nareszcie, i to jest także dla nas cechą charakterystyczną, nasza młodzież, czy to rzemieślnicza, czy szkolna, rzucona wśród obcych, pracuje fizycznie i umysłowo, lepiej niż w kraju; polak bowiem jest ambitny i emulacya silnie go pobudza. To też z wyjątkiem tych próżniaków, karciarzy i hulaków, a zawsze próżnych pseudo „grafów", których duży procent i wśród obcych ujmę nam przynosi, młodzież nasza wogóle łatwo się wybija za granicą i nawet bywa lepiej zorganizowaną niż w kraju.

Z tych i innych podobnych powodów nie mogę się zgodzić na genealogię wymienionych przez Kaliszewskiego wad z lenistwa.

A same wady?

Same wady wydają mi się po większej części trafnie podane, choć wskutek pominięcia cech dodatnich, może za ostro wyrażone; a czasem też w niewłaściwym związku przyczynowym.

Tak np. „przewaga wyobraźni", „nieścisłość rozumowania" i „brak krytyki" wypływają raczej z przyrodzonej, nieokiełznanej odpowiednią kulturą lotności umysłu, niż z lenistwa. Wynikającą z niej „skłonność do przesady" mamy niewątpliwie większą niż np. niemcy, lepiej zrównoważeni umysłowo i trzeźwiejsi, a tembardziej większą niż anglicy.

Pewnej „łatwowierności", zwłaszcza politycznej, trudno nam odmówić — a co się tyczy „zarozumiałości" — to jest to rzecz b. względna, bo polak bywa i b. zarozumiałym i b. skromnym — nie umiałbym też tej sprawy w kilku słowach zdecydować. Za to nie ulega wątpliwości, że „lekkomyślność" posiadamy w wysokim stopniu i że nie bez racyi powiedział o nas Bismarck, że „szlachta polska umie tylko dwie rzeczy: tracić majątek i umierać za ojczyznę". Niestety, z lekkomyślności umieliśmy także i pogrążać oj-

czyznę w odmęt warcholstwa i nierządu. Dużo jednak zmieniło się na lepsze, zwłaszcza w Poznańskiem, dzięki naciskowi niemców.

„Brak samodzielności", jest prawdopodobnie głównie skutkiem naszych nieszczęśliwych warunków, chociaż i dawniej nie odznaczaliśmy się w tym względzie. Sądzę jednak, że przy wrodzonej lotności umysłu, moglibyśmy, odpowiednio pokierowawszy szkolnictwem, zdobyć się i na bardziej oryginalne cechy umysłowości. Tymczasem jesteśmy „papugą" narodów, naśladując wszystko co warte i niewarte — częściej to ostatnie.

„Próżność"? Tak, polak jest zawsze próżnym; bo każdy się uważa za arystokratę względem drugiego — ale też bywa i nadmiernie potulnym. Jest to także cechą charakterystyczną niemców, tylko że oni są dumni jedynie wobec słabych i obcych a potulni wobec silnych — my zaś bywamy próżnymi lub potulnymi zależnie od chwilowego nastroju i niekoniecznie od interesu politycznego.

„Niedbalstwo". O! tego nam nikt nie odmówi na codzień; nawet wtedy, gdy jesteśmy pracowici. Tylko w chwilach ogólnego podniecenia zdobywamy się na dokładność w pracy, a niekiedy nawet na punktualność.

„Naśladownictwo" nasze powszechnie jest znane; naśladujemy nie tylko obcych, przez zamiłowanie cudzoziemszczyzny, ale i samych siebie, mianowicie tych, którym się powiedzie w pewnym kierunku — w innym nie pójdziemy, choćby dlatego, iż czujemy, że nas nikt w kraju nie poprze. Za granicą bywa przeciwnie: myśl nowa, byle praktyczna, łatwiej znajdzie poparcie, niż naśladowana.

„Słabe poczucie godności oraz brak cywilnej odwagi" — wymagają pewnych zastrzeżeń, choćby dlatego, że w części przeczą próżności i odwadze wojskowej. Ale rzeczywiście są to rzeczy różne. Słabego poczucia godności mieliśmy dowody i w ostatnich czasach w schlebianiu pewnych partyj rosyanom a pewnych innych niemcom—

szczęściem nie były to już objawy tak wstrętne, jak w epoce rozbiorów — a co do odwagi cywilnej, tę miewaliśmy tylko czasem wobec swoich królów, bośmy ich zawsze w zasadzie lekceważyli — rzadziej w stosunkach najbliższych. Notorycznym szubrawcom i dzisiaj podajemy rękę, żeby się nie narazić, a w obronie niesłusznie napastowanych, rzadko kto odważy się głos zabrać, by własnej popularności na szwank nie wystawić. Znajduje się to w ścisłym związku z naszym wstrętem do każdej przedmiotowej krytyki i z naszą skłonnością do tworzenia w małem kółku związków wzajemnej adoracyi. Stąd u nas owa większa niż gdziekolwiekindziej różnica między sądami prywatnymi o ludziach wybitnych a sądami publicznymi. Dopuszcza się nawet zupełne przeciwieństwo między nimi w jednej osobie.

„Henryk Heine, któregom już kilkakrotnie cytował (mówi Kaliszewski) wyraża wprawdzie nadzieję, że polakom może jeszcze przeznaczonem zostało spełnić czyny, które duch ludzkości wyżej ceni, *als die gewonnenen Schlachten und das ritterthümliche Schwerterklirre nebst Pferdegetrampel seiner nationalen Vergangenheit*, i prawie jest pewnym, że będą oni zarówno dobrze piórem jak niegdyś lancą wywijać, i w dziedzinie wiedzy nie mniej odważnymi się okażą, jak na znanych polach bitew/ a choćby dlatego, iż tak długo zalegały ugorem ich umysły, tem obfitsze i różnostronniejsze owoce zasiew ich przyniesie. Zaprawdę! Chciałbym w to wierzyć. Coby to za śliczna rzecz była, gdybyśmy jakiegoś Chrobrego mieli także w rozumie, któryby rozszerzył granice naszych pojęć — jakiegoś Jana, któryby garstką silnych argumentów rozbił w puch całą nawałę głupoty, grożącą nam zalewem, lub jakiegoś Czarnieckiego, któryby tłukł gdzie się da przesądy i zabobony, te prawdziwe szwedy i tatary włóczące się po naszym umyśle! Jeno że... nie zdaje mi się, iżby miało do tego przyjść kiedykolwiek, a przynajmniej tak

prędko. Myśmy wcale jeszcze dotąd, jak się to Heinemu zdawało, ducha naszego czasu, „którego stemplem i tendencyą jest wiedza", nie uchwycili, a to co marzy, jakoś nie bardzo zapowiada tego nowego rodzaju przyszłej naszej odwagi i samodzielności. Polacy są niewątpliwie zdolni, i jeżeli im tylko dobrze co wskażesz, rozwiną ci równie dobrze/ a raz nauczeni, gdy chcą, prześcigną innych w zręczności i pośpiechu. Bywają dobrymi rzemieślnikami (powtarzam, jeśli tylko chcą), zdatnymi mechanikami, pilnymi urzędnikami i zręcznymi lekarzami, zdolnymi prawnikami, i we wszystkiem tem co nie wymaga inicyatywy i samodzielności, nie ustępują cudzoziemcom. Lecz tu się kończy ich spryt. Gdzie tylko poczyna się czysta teorya, polacy rzednąą, ustępują z placu, tracą na wartości/ a tam na krańcach wiedzy ludzkiej, kędy o zasady i pryncypia walczą duchy ze sobą — nie ma ich wcale. W literaturze ponad przekłady i ścisłe naśladownictwo wznieść się niezdolni. W naukach, tylko w zakresie raz dla nich wyznaczonym, rzadkich napotkasz pracowników, którzyby czemś się odznaczyli, a i to wyłącznie w tak zwanych eksperymentalnych — nowej ich gałęzi żaden polak nie wynalazł. W religii nie mają odszczepieńców ani reformatorów. W filozofii — przepraszam — filozofia wcale u nich nie istnieje... „Gdzie gruba zaległa ciemnota; gdzie śpi umysł zewnętrznymi przygnieciony stosunkami; gdzie szczęście człowieka polega jedynie na dogadzaniu zmysłowym jego potrzebom, i siły służebnego rozumu ku tej tylko skierowane stronie — tam i filozofii niema". To także i Libelta zdanie. Filozofia to sama istota, samo jądro t w ó r c z o ś c i ducha człowieczego — możnaż jej szukać u polaków? A wszakże H. K o ł ł ą t a j w r. 1780, urządzając Akademię Krakowską, zupełnie z niej filozofię wyrzucił. Trzeba przyznać, że doskonale on zrozumiał ich ducha. Choć nie idzie przecie zatem, żeby nigdy tej filozofii, filozofii własnej, wyrobić sobie nie byli zdolni; ale jeżeli będzie ona kiedyś, i wogóle

jeżeli się pojawi jakowaś wśród ludów słowiańskich, to będzie wręcz odmienną od tegoczesnej teoretycznej w Europie, a zwłaszcza filozofii szczepu germańskiego. Jakkolwiek nie chcę się wcale upierać, czy negligencya-to właśnie będzie jej macierzą, to jednak sądzę, że filozofia życia, myśli teoretyczno-praktycznej, zbliżająca się raczej do filozofii Sokratesa, Epikura, Zenona a nawet Pyrrhona, niż do niemieckich myślicieli, będzie nią właśnie. Myśl polska musi być taką jak i polskie uczucie. Jak dotąd naród polski żył wiarą, i całe jego życie było tylko illustracyą, wcieleniem tej wiary, tak i w przyszłości, z przyrostem tężyzny jego umysłowej, myśl polska filozoficzna będzie ściśle złączona z jego życiem praktycznem, i praktycznem przeprowadzeniem w niem wyników swego rozumu. Systematologia niemiecka, filozofia oderwana i zamknięta w słowie, abstrakcyjna, nie leży w jego naturze, a wszelkie tegoczesne jej próby, jakie spotykamy u pewnych naszych *patentowanych* filozofów, są tylko jednym więcej objawem bierności i bezmyślnego małpiarstwa naszego". (s. 99)

Bierności naszej przypisuje także Kaliszewski „słabe parcie na zewnątrz", niewątpliwie słusznie — ale chyba niesłusznie „b. lichą zdolność chłonięcia w siebie innych narodowości t. j. „asymilacyi". Nasze miasta i długi szereg zasłużonych nazwisk cudzoziemskich, zwłaszcza niemieckich, wśród obecnie niewątpliwie polskich pracowników świadczą, że nasza zdolność asymilacyjna nie jest tak małą. Nie można tylko żądać, żeby była równie wielką w stosunku do zbyt odrębnych od nas żydów, jak w stosunku do pokrewnych nam litwinów i rusinów. Czy w stosunku do żydów jest ona słabszą u nas niż gdzieindziej? Może; w każdym jednak razie nie należy zapominać o dwóch rzeczach: 1° o zbyt długiej naszej niewoli, krępującej wszelkie objawy żywotności, i 2° o zbyt wielkiej ilości żydów u nas, większej niż gdziekolwiek indziej.

Na wzmiance o kwestyi żydowskiej kończy Klin swoje wywody, z całem odczuciem przyszłej doniosłości tej sprawy:

„Na tej, najważniejszej dla nas kwestyi żydowskiej, przychodzi mi tu o nas samych rzecz moją zakończyć. Od stosunku bowiem naszego z żydami zależy pono i nasza— przyszłość".

„*Polonia infernus rusticorum — paradisus judaeorum* (piekło dla chłopów, raj dla żydów)... mówiono dwa wieki temu. Los żartowniś, jakby umyślnie ściągnął z dwóch krańców świata dwa wręcz sobie przeciwne ludy, dwóch odmiennych ras, dwóch cywilizacyj, dwóch epok ludzkości, a jednak tak podobne, tak b. podobne dziejami swemi, i stawiwszy naprzeciw, drażniąc jednego z drugim, kazał szukać mimo to koniecznego *modus vivendi*, który, kto wie co kiedyś może wytworzyć i jakiej doniosłości fakt w dziejach całej ludzkości wywołać!!"

9. UOGÓLNIENIA.

Studyum Klina jest tak w treść bogate a tak zwięzłe, że chociaż dużo z niego przytoczyłem, musiałbym przytoczyć jeszcze więcej, chcąc być całkiem ścisłym sprawozdawcą. Nie dziwię się też, że autor przywiązywał do niego wielką wagę i że mimo zaznaczonego przez samego siebie naszego wstrętu do krytycyzmu, liczył jednak na poczytność swojej pracy, powtarzając za Syrokomlą:

Polska musi mnie czytać, rada czy nierada.

Omylił się. Zapomniał, że Polska czyta chętnie tylko pochwały pochodzące od cudzoziemców — ich krytyki pomija/ a od własnych, chociażby krwią serca piszących krytyków, odwraca się plecami.

Kiedy się to zmieni?... Bo gdyby się zmienić nie miało, trzebaby zwątpić o przyszłości.

A tego nam nie wolno. Niech o tem pamiętają ci co w tych sprawach mają cośkolwiek do powiedzenia—i niech mówią — nie zważając na obojętność ogółu. *Gutta cavat lapidem, non vi sed soepe cadendo.*

Moi czytelnicy, wychowani na łacinie/ jeśli ta nauka nie była nic wartą/ zrozumieją co to znaczy. Ujęcie istotnych właściwości charakteru narodowego, to rzecz b. trudna/ bo charakter narodu jest w części czynnikiem, w części skutkiem jego przeszłości. Jest wynikiem nie tylko jego rasowego pochodzenia, ale i swoich własnych dziejów, w których tyle było pierwiastków sprzecznych, tyle szczytności i podłości, tyle łez, krwi i chwały. Trzeba więc wielu usiłowań, żeby te węzły rozplątać a przynajmniej dobrze zbadać.

Pięknie powiedział niedawno Andrzej Niemojewski: „Jeżeli historya Polski ma tysiąc lat, to te tysiąc lat przejść, zwycięstw, przegranych, skarg, żalów, tęsknot, porywów, gdzieś jest w nas zmagazynowane, jak w węglu jest zmagazynowane ciepło słoneczne, zlewające się potokami na ziemię..." „Niechaj ci którzy pracują nad psychologią, wezmą na swój warsztat to piękne a tak ważne zagadnienie psychologii narodowej i niech nam o niej mówią. Jeżeli wszystkie stany fizyczne materyi możemy wyrazić zapomocą stanów siły, to wszystkie stany materyalne narodu, możemy odnaleźć w stanach jego duszy. A sprawa jest pilna, gdyż przy grzmotach armat zamilkły muzy. Już słońce poraz trzeci/ wyrażając się starożytnie/ obiega ziemię, a myśl polska stoi i nie rusza się z miejsca. Ucho polskie nie słyszy zdrowej rady. Oko polskie nie widzi pouczającego przykładu. Ręka polska zmartwiała i przestała być twórczą..." („Myśl Niepodległa" z 20 Listopada 1916 r.).

Niemojewski stoi na tem samem stanowisku co i wszyscy pionierowie ruchu etyczno-pedagogicznego, na stano-

wisku konieczności dopełnienia intelektualizmu — etyzmem: „Gdy w miarę ilości nabywanej wiedzy, rosły u ludzi ambicye i budziło się pożądanie stanowisk czołowych, o jednem się zapomniało, o tem mianowicie, że suma *wiedzy* nabytej wcale jeszcze nierozstrzyga kwestyi *charakteru*".

Oryginalną zaś stroną uwag Niemojewskiego jest to, że ujemne następstwa tego jednostronnego kierunku widzi nie tylko w życiu, ale i w samej nauce, tej zwłaszcza, która z polskością w najściślejszym pozostaje związku. Potępia też wyłącznie rozumowe i formalistyczne traktowanie wykładów historyi i literatury polskiej. „W sposób b. naukowy, kapiący od erudycyi, systematycznie wykręcano się od jednego: *od wejścia przez drzwi otwarte do duszy polskiej i rozejrzenia się w niej*. Polonista gubił się w narządnikach, imiesłowach i gwarach. *Ale o duszy polskiej nie można się było od niego dowiedzieć ani słowa*".

Czyż nie tak było — i jest?

„Nic tak charakteru nie wymagało, jak wykład historyi polskiej, a nigdzie mniej na charakter nie patrzano, jak w sferach naukowych współczesnej Polski".

To też Niemojewski dochodzi do smutnego (oby nie całkiem prawdziwego!) wniosku:

„*Nie masz wychowawcy polskiego*. Jest gramatyk, jest słownikarz, jest chronologista, jest intendent literatury, jest księgun, prowadzący *credit* i *debet* bibliografii, jest pan od przecinków, kropek, krawatów Słowackiego i aktów dyplomatycznych z przed czterech stuleci, ale niema nauczyciela, któryby duszy współczesnej polskiej ukazywał drogę, choćby „umarłem ciałem"...

Niemojewski pisze: „umarłym ciałem", jakby chodziło o wskazywanie drogi tym, którzy umarli ciałem, choć żyją duchem — a tymczasem chodzi tu o wskazywanie żywym, choćby *przy pomocy* umarłego ciała... Jeśli tak dzielny i niezależny pisarz, tak świetny stylista, nie otrząsnął

się jeszcze z formalistycznej pisowni, wprowadzonej przez takich właśnie biurokratycznych polonistów, a utrwalonej przez obcych duszy narodowej litwackich socyałów, mieszających liczby i rodzaje z powodu niedostatecznej znajomości języka a z krzywdą jego jasności i ścisłości — to cóż się dziwić umysłom szkolarskim, że w treści trzymają się tylko cudzoziemskiej mody, niby naukowego intelektualizmu, głusi na głos uczuć, skłonności, upodobań, nastrojów i namiętności — czyli tego wszystkiego co stanowi *duszę* narodu?

Przebaczę Niemojewskiemu tę, mojem zdaniem, ujemną propagandę ortograficzną, pod jednym warunkiem: jeśli swoje świetne pióro poświęci również propagandzie tych najpilniejszych w chwili obecnej potrzeb, które sam w kilku ulotnych myślach naszkicował, a które streszczają się w dwóch postulatach:

1° badać i dyskutować zasadnicze wady naszego charakteru narodowego;

2° badać i dyskutować najpraktyczniejsze środki zmierzające do ich poprawy.

Wówczas niech sobie pisze jak chce... chociaż dla mnie, byłoby pożądanem, żeby i co do formy niedawno jeszcze obowiązujące w szkołach „adnim słowom" pisało się po polsku „jednem słowem..."

10. INNY KRYTYK ZAPOMNIANY.

Ośmieliłem się uczynić powyższą osobistą apostrofę do Niemojewskiego, z uwagi że jest on jednym z b. nielicznych publicystów, których Polska czyta w obecnej wyjątkowo ciężkiej dla piśmiennictwa chwili.

Kaliszewskiego, mimo jego talentu, nie czytała.

I ten sam los spotkał innego autora, którego chcę jeszcze przeciwstawić Kaliszewskiemu. Nie czytano go także,

a w każdym razie, zamiast wysłuchać, zapomniano. Któż-bo wie dzisiaj, że podczas wojny prusko-francuskiej wyszło w Poznaniu spore dzieło, równie serdeczną krwią pisane, pod nagłówkiem: „Ułomności nasze narodowe i społeczne, oraz środki ku sprostowaniu tychże" przez Maxymiliana Jackowskiego?

Jackowski był z wielu względów przeciwieństwem Kaliszewskiego. Gdy tamten występował jako ateusz, ten jest głęboko religijny i na religii cały swój pogląd opiera. Tamten był gorzkim pesymistą — ten jaśniej patrzy na świat. Tamten wyszydzał z ukrytą miłością — ten z jawną, tylko strofuje i błaga o upamiętanie, jak Skarga.

A skutek? Skutek był ten sam „w sercu gdzie nietrwa myśl ani godziny!..."

Rzecz dziwna, a zarazem b. znamienna: ci dwaj, tak różni ludzie, nie tylko napracowali się jednakowo na marne, ale i wnioski, do których doszli, dysekując naszą duszę narodową, są prawie we wszystkich punktach zgodne.

Jackowski nie jest tak treściwym i ścisłym w swych spostrzeżeniach jak Kaliszewski — jest rozwlekły i znacznie mniej systematyczny; gdyby jednak skondensować jego krytykę i zestawić w punktach obok szematów Kaliszewskiego/ dwie te analizy uderzyłyby swą zgodnością. Tylko metoda ogólna jest inną: Klin ujmuje kwestyę przyrodniczo — Jackowski nadnaturalnie. Dla niego każdy naród ma przedewszystkiem swoją ideę, daną mu od Boga, której winien pozostać wiernym, jeśli nie chce zmarnieć. Jaką jest ta idea w Polsce dokładnie nie mówi; ale zdaje się sprowadzać ją do idealnie pojętego charakteru narodowego, od którego jednak możliwe są „odstępstwa". Oczywiście nie jest to ścisłem psychologicznie. Albo charakter narodu jest mniej więcej stałą kombinacyą różnych czynników psychologicznych, złączonych ewolucyjnie, — i w takim razie, on powoduje czyny, on z konieczności znajduje swój wyraz w postępowaniu danej narodowości — a wów-

czas o „odstępstwach", o „sprzeniewierzaniu" się temu charakterowi„ nie może być mowy. Albo też, jeśli odstępstwa są możliwe/ jak to ciągle powtarza Jackowski/ „charakter narodowy" staje się tylko czemś narzuconem z zewnątrz, jakimś imperatiwem, danym z góry, któremu można być lub nie być posłusznym.

Ale pomińmy tę zawiłość teoretyczną, nie przeszkadzającą trafności analizy, w której charakter narodowy jest poprostu tem, za co go uznają ci co go uznają, t. j. zbiorem cech przeciętnych, panujących w historyi danego plemienia, w odróżnieniu od innych.

Jackowski tak samo kładzie nacisk na *lenistwo*, jako jedną z głównych naszych przywar, ale, mojem zdaniem, trafniej od Klina, sprowadza je do faktu *próżnowania*. Odcień, dla mnie o tyle wyraźny, że zgadzam się na drugi sposób postawienia kwestyi, odrzucając pierwszy. Tak, my jesteśmy próżniakami, bo w żadnym kraju nie traci się tyle czasu na bezczynność co u nas i to nie tylko *dans le monde ou l'on s'ennuit*, ale i pośród warstw ciężko pracujących. Dość spojrzeć na próżniactwo naszych kobiet wiejskich i naszych miejskich kumoszek, nierozumiejących co to jest wyzyskać każdą chwilę wolną, np. na robienie pończoch, jak to czynią niemki — albo spojrzeć na nasze warszawskie tłumy spacerujących. I w Paryżu na bulwarach widać tłumy przechodniów — ale to są *przechodnie*. *Spacerujący*, to albo cudzoziemcy, albo kokoty. U nas spaceruje się poprostu dla zabicia czasu. A poza tem nigdzie się nie traci tyle czasu na wizytach, w biurach, w sklepach, urzędach, gdzie nikt czasu nie szanuje [1]). Jest to tak dalece prawdą,

[1]) Niedawno wydział zaopatrywania miasta w żywność ogłosił, że nieusprawiedliwioną jest obecna trudność w dostaniu chleba, ponieważ „ilość wydawanej piekarzom mąki nie uległa zmianie". Na to urząd starszych cechu piekarskiego odpowiada: „W teoryi nie, ale w praktyce tak; bo mąkę przyznaną odbiera się często dopiero na trze-

że mojem zdaniem człowiek stale pracujący i którego życie jest planem dowolnie ułożonym, nie powinien mieszkać w Polsce, a przynajmniej w mieście, jeśli chce uniknąć bezustannych przeszkód i irytacyj.

„Wychowanie publiczne w Polsce — mówi Jackowski — małe położyło zasługi około pielęgnowania ducha pracy. Wpierwszej epoce nie tamowało ono przynajmniej naturalnego biegu prądów, w drugiej powstrzymywało je, gdy się rozszerzać zaczynały. Prześladowanie przez młodzież szkolną mieszczan, nieciło wzgardę do przemysłu i kupiectwa. Klasa uprzywilejowana, opływająca we wszystko pod względem zaspokojenia wygód i zbytku, nie miała, według ówczesnych wyobrażeń potrzeby pracowania, nie znała co to jest praca, czuła do niej wstręt i odrazę — łokieć lub jakibądź warsztat, były klejnotu szlacheckiego niegodne. Jedyne rolnictwo — jako łączące w sobie inne uprzyjemniające pracę zatrudnienia, jak myślistwo, rybołówstwo, pszczelnictwo — przechodząc sukcesyjnie z jednego pokolenia na drugie, było wygodnem szlachty zajęciem. Stan włościański, dopóki był wolnym, czuł w sobie popęd do pracy — świadczy o tem byt jego zamożny; później, po zatraceniu wolności, chłop, oddany całkiem pod władzę pana, przeciążony pańszczyzną, daninami, nie miał żadnego moralnego bodźca, któryby go parł do coraz większej pracowitości; nie widząc zaś żadnej miary w nakła-

---

ci dzień. Właściciel piekarni po oddaniu kartek chlebowych dostaje asygnacyę na mąkę i oczekuje na możność zapłacenia i otrzymania asygnacyi do magazynów. Po kilkogodzinnem oczekiwaniu w komisyi obwieszczają, żeby się zgłosić na dzień następny. Właściciel piekarni zgłasza się powtórnie, jedzie po mąkę i dowiaduje się, że w magazynie niema worków mąki wagi określonej w asygnacyi. Wraca z niczem do komisyi, marnuje czas i pieniądze za posłany niepotrzebnie wóz. Z tych przyczyn piekarnia nie może wydać dostatecznej ilości chleba, nie otrzymawszy ilości mąki zapłaconej".

daniu ciężarów, obawiał się nowych, kurczył się biedak i ociągał, skąd wyrodziło się zniechęcenie i lenistwo. Z tej to epoki wyprowadza swe pochodzenie u włościan i u innych stanów skłonność do próżnowania, z niej to płynie tak zwane przez niektórych publicystów wrodzone narodowe lenistwo. Bogactwo krajowe wiele straciło na tem sparaliżowaniu ducha pracy, a jakkolwiek produkcya w owych czasach była znaczną, byłaby o wiele większą, gdyby stan włościański na swą własną był pracował rękę". (s. 58) „W ostatniej epoce wychowanie publiczne przyczyniało się wprawdzie do przysposobienia wolnych przestworów dla wszelkich działów pracy — ale zato nadzwyczajne wypadki (napady tatarów i inne najazdy) zatamowały dalszy postęp". [1])

Te przeszkody oczywiście nie zależały od naszej woli; ale stopniowe ograniczanie chłopów przez szlachtę uważa Jackowski za pierwsze i główne sprzeniewierzenie się idei narodowej, *idei wolności*.

11. CUDZOZIEMSZCZYZNA.

Drugim punktem, na który podobnie jak Klin, Jackowski kładzie nacisk, jest nasza nieszczęsna *cudzoziemszczyzna*. Wytworzyła ją taż sama bierność, która kazała nam bezmyślnie naśladować obce porządki. Żaden naród nie znosiłby tak długo obcych zakonów, obcych nauczycieli, ba! nawet obcych kazań po kościołach, jak my. „Dopiero w XIII w. arcybiskupi i wyższe duchowieństwo polskie

[1]) Kto chce mieć próbkę jak haniebnie zachowywała się nasza szlachta wobec mieszczan już w XV w., niech sobie przeczyta jędrnie a bezstronnie napisaną powieść Wincentego Rapackiego p. t. „Krwawa plama" (1913) na podstawie badań historycznych Fryderyka Pappégo.

wzięło się do nadania powagi zaniedbanemu i pogardzanemu językowi ojczystemu. W r. 1237 przepisał Pełka, arcybiskup gnieźnieński ustawę (Ob. Starożytności polskie): „aby wszyscy plebani za wiedzą swych biskupów utrzymywali szkoły, na czele których aby nie umieszczali niemców, chyba gdyby doskonale umieli język polski". Podobną ustawę wydali arcybiskupi gnieźnieńscy: Jakób Świnka r. 1285 i Jarosław Bogorya r. 1357. Wszystkie te ustawy jednak wyrugować cudzoziemszczyzny nie zdołały, gdyż jeszcze Jan Ostroróg w piśmie swem około r. 1640 napomina: „Panowie rządzący Rzecząpospolitą, jakżeście niebaczni, dozwalając, iż z klasztorów, włościami i dochodami od przodków naszych uposażonych, na ziemi polskiej w jej wsiach żyjących waszych ziomków od zakonu wyłączają a podług ustaw swoich niemców tylko do klasztorów przyjmować mogą i t. d." Tenże Ostroróg potępia pogardę języka ojczystego i miewanie kazań niemieckich".

„Ledwie w XIV w. zaczęto używać języka polskiego. W księdze fundamentów dyecezyi krakowskiej znalazł Czacki, że był fundusz wyznaczony na kaznodzieję, aby *in vulgari lingua* (w mowie pospolitej) do pospólstwa przemawiał".

Ale tak bywało i gdzieindziej wskutek powszechnego uznania łaciny za język wykształconych. Natomiast charakterystycznem dla nas jest to, że szkoły już raz w części unarodowione za Zygmuntów, potem znowu niemczały (zwłaszcza dyssydenckie) — a później znów Jezuici, sprowadzeni przez Hozyusza, krzewili nie tylko łacinę, ale i włoszczyznę i niemczyznę.

Jakąż radę wynaleźli na ten chaos nasi możnowładcy?

„Można szlachta, zniechęcona i obałamucona niezgodą między szkołami jezuickiemi, pijarskiemi, dyssydenckiemi i Akademią Krakowską, nie wiedząc jakiego chwycić się kierunku, mniemała, że uniknie tych gorszących niesnasków,

i oświacie bramy otworzy, gdy wychowanie dzieci swoich powierzy... cudzoziemcom, których znana gościnność polska ku sobie wabiła". „Polska była i jest po dziś dzień krajem, w którym wszystko co obcą nosi cechę, jest pożądanem [1]). Napływ cudzoziemców podnosił się jak wezbrana rzeka, która wylała się ze swojego koryta na spokojne błonia, by swobodnie na nich falować i, co napotka, burzyć mogła". (s. 75)

Ale przecież w końcu — powiesz czytelniku — Komisya Edukacyjna, położyła tamę zalewowi, dając nam szkoły wzorowe?

Tak, tylko pozwolisz sobie powiedzieć — czego zapewne nie wiesz, bo nawet Jackowski o tem nie wspomina, że owe wiekopomne usiłowania Komisyi Edukacyjnej, spotkały się przedewszystkiem — z oporem społeczeństwa. A chcąc go zrozumieć, trzeba uprzytomnić sobie tło ogólne:

„Od początku XVIII w. aż do czasu, do którego ten pamiętnik sięga — pisze Hugo Kołłątaj w swoim „Stanie oświecenia w Polsce" s. 22 i nast. — panowali po sobie w Polsce dwaj elektorowie sascy: August II i August III; obydwaj ci królowie nie umieli po polsku, nie byli nawet w stanie mówić łacińskim językiem. Mowa francuska i niemiecka były jedyne, któremi polak mógł się rozmówić naówczas ze swoim królem... Przestano zatem między ludźmi wyższego znaczenia mówić po polsku lub po łacinie... Styl składał się odtąd z wyrazów francuskich lub włoskich. Roz-

[1]) Jako szczegół charakterystyczny dodać należy, że jeszcze na ostatnim zjeździe nauczycielskim (1917), znalazł się pedagog, podobno zdolny, który zalecał wezwanie obcych instruktorów celem zreorganizowania naszego szkolnictwa... „Na nasze zaproszenie!..." pośpieszył dodać ktoś drugi, uważając, że przez to zastrzeżenie jest już w zupełnym porządku... Wątpię, czy coś podobnego mogłoby się trafić w jakimkolwiek innym kraju, odzyskującym względną swobodę organizowania swego szkolnictwa według własnych ideałów!

mowa wydawała się tem doskonalszą im więcej cudzych wyrazów do polszczyzny przydano, a mówca uchodził za umiejętniejszego i za człowieka dobrego smaku. Ludzie wyższego znaczenia przynagleni nie tylko przez modę, ale nawet przez potrzebę mówienia po francusku, tak się odstręczyli od mowy polskiej, iż nakoniec wydała im się uboga w wyrazy, niedelikatna w wymawianiu, niedoskonała i niezdatna do oddania tych pięknych obrazów, które znajdowali w dziełach francuskich..."

A działo się to w ojczyznie Słowackiego, który tę pogardzaną mowę ojczystą doprowadził do takiej subtelności, iż *żaden* język cudzoziemski nie zdoła jego utworów bez wielkiego uszczerbku odtworzyć!

Ale co tu się dziwić tym czasom kiedy był dwór krajowi obcy, skoro dzisiaj w naszej arystokracyi dzieje się jeszcze to samo, skoro i dzisiaj spotkać można ludzi z tej sfery, nie umiejących poprawnie napisać najprostszego listu po polsku; skoro w kinematografach, gimnazyach i dziennikach utrzymuje się jeszcze polszczyzna cyrkułów policyjnych, nikogo nie rażąca, skoro nawet w odezwach Komitetów Narodowych spotykają się rusycyzmy!... I odwrotnie — co tu się dziwić dzisiejszym skutkom niewoli, skoro w państwie wolnem — co prawda jedynem na świecie — mógł istnieć minister, długoletni minister (Brühl), nie umiejący ani słowa po polsku i pomimo to przyjęty, przez niby zazdrosną o swoją godność szlachtę, do polskiego indygenatu!

A co do opozycyi naszej szlachty przeciwko szkołom polskim Komisyi Edukacyjnej, to K a j e t a n K o ź m i a n w pamiętnikach swoich obszernie o tem pisze. Wystarczy nam przytoczenie kilku wierszy:

...„W następnym roku, przeniesiony zostałem wraz z braćmi i *prawie wszystkimi uczniami województwa lubelskiego* do szkół zamojskich, gdyż urządzenia Komisyi Edukacyjnej szkół świeckich nie podobały się przesądnym oj-

com, dlatego że wychowania nie oddano wyłącznie duchownym, i *że nauki nie w języku łacińskim lecz narodowym przepisano...*" (s. 16)

Nota bene Komisya Eduk. bynajmniej nie wykluczała księży; ale już to samo, że *dopuszczała* świeckich rodaków oraz historyę naturalną obok świętej, oburzało naszą szlachtę.

Sapienti sat.

Jackowski słusznie też gromi rodaków za popieranie zawsze i wszędzie obcego przemysłu i handlu, kosztem własnego. „Jakże nas mają nie bić i nie lekceważyć ci obcy, jeżeli w tych czasach jeszcze, kiedy każda narodowość trzyma się w zwartych szeregach, wie i pojmuje, że tylko łącznością i wspieraniem się wzajemnem może się oprzeć innej, która jej samodzielność nurtuje — my dotąd nie rozumiemy własnych spraw, i w tej walce konkurencyi, czy to przemysłowej, czy handlowej, stajemy sami po stronie obcych i podajemy im przeciw sobie samym broń, bo dajemy im odbyt na ich wyroby a z nim resztki naszych kapitałów, dla których braku nasze upadają warsztaty". (s. 60)

Kiedym przed kilkunastu laty w tym duchu występował, żaden z rodaków nie poparł moich myśli, a nawet znalazło się kilku takich, którzy nazwali to „szowinizmem" albo „polskim hakatyzmem".

A tymczasem węgrzy, którzy nie mieli jeszcze żadnego przemysłu, kiedy myśmy mieli już b. poważne zaczątki, doszli do tego, że mają dziś przemysł względnie bogaty i że na ostatniej wystawie w Buda Peszcie nie było ani jednego napisu obcego — czego nie uważam za postulat słuszny, ale co bądź co bądź charakteryzuje olbrzymi postęp swojskości.

Niechże choć dzisiaj, nasi kierownicy młodzieży pamiętają o tem, że dziecko polskie niepowinno mieć innych zeszytów, piór i ołówków, prócz krajowych. Co się w kraju nie znajdzie, to bierzmy z zagranicy; ale wstyd i hańba pod-

trzymywać wyroby obce, pozwalając marnieć i ginąć własnym.

Słusznie wreszcie Jackowski zwraca uwagę na cudzoziemszczyznę nawet w naszej hodowli bydła. Na całym świecie starają się udoskonalić swoje rasy. U nas doskonalenie rozumie się tylko przez sprowadzanie obcych rozpłodników, co na gruncie nowym, musi dawać gorsze wyniki niż na własnym; a tymczasem miliony idą od nas na podniesienie hodowli obcej. Nie jestem ja za wyłącznością w żadnym kierunku, ale to co się u nas dzieje, jest czemś bezprzykładnie głupiem.

W ten sposób np. zmarnowaliśmy doskonałą rasę *konia polskiego*.

Łagodniejszy w wyrażeniach Jackowski tak o tem pisze:

„Pod względem hodowli koni, bydła i owiec, uwzięliśmy się choćby największymi nakładami dopędzić w krótkim czasie postęp cywilizacyi obcej. Zamiast kulturą ziemi do większej bujności doprowadzić pastwiska/ a wyborem i stosowną rozmaitością paszy zimowej wpływać na wzmocnienie i ulepszenie rasy krajowej, czy to co do jej siły, czy też mięsa lub wełny, sprowadzamy z zagranicy gotowe rasy z wykończonemi formami/ przyczem, oprócz rzeczywistej wartości, za nasz brak chęci do rozumnej pracy, drogi płacić musimy haracz. Rasy te, nie zastawszy częstokroć u nas podobnych pastwisk, na jakich wzrosły, ani też nie dostając zimą tej paszy, do jakiej nawykły, degenerują i marnieją". „Wszystkie narody, począwszy od mongołów aż do anglików, mają nie tylko swe własne rasy, ale tworzą sobie nawet nowe, jeżeli potrzeby miejscowe tego wymagają. Polacy mieli kształtną, silną, rączą i wytrwałą rasę koni, łączącą w sobie przymioty najszlachetniejszych ras wschodnich i zachodnich; mieli bydło piękne i rosłe, którego mięsem żywiła się zachodnia Europa; mieli owce stosowne do klimatu, — gdzież są dzisiaj te rasy? Śladu po

nich nie pozostało. Zatraciliśmy, przez skłonność ku cudzoziemskim nowościom i nieumiejętne mieszanie krwi krajowej z obcą, rasy nasze dawne, a nie zdołaliśmy stworzyć nowych".

„Nasze wystawy rolnicze przedstawiają okazały postęp cywilizacyi, lecz postęp cywilizacyi obcej a nie naszej". (s. 64)

Około r. 1897, Warszawa szalała na punkcie wyścigów konnych. Dziesiątki tysięcy ludzi śledziły namiętnie zapasy „pełnej krwi" angielskiej na polu Mokotowskiem. A ponieważ sam lubię konie, jeździłem konno od dzieciństwa, obserwowałem rozwój ich inteligencyi, tak bardzo zwyrodniały pod wpływem bezmyślnej hodowli; a w dodatku, ponieważ miałem wówczas żonę pasyonowaną do koni po staropolsku, bywałem i ja na owych igrzyskach, za któremi przepadała Warszawa. Postanowiłem też skorzystać z ogólnego zainteresowania wyścigami, żeby zwrócić uwagę rodaków na niewłaściwość ślepego naśladownictwa zagranicy/ i w tym celu ogłosiłem, najprzód szereg artykułów w „Kur. Warsz." a następnie osobną książkę p. t. „Fizyologia Wyścigów w ich stosunku do krajowej hodowli koni (projekt reformy)". Warszawa, 1897.

Książka nie miała powodzenia i wydawca sprzedał ją w znacznej części na makulaturę. Jeden tylko dziennik... *niemiecki* zażądał jej streszczenia od swego korespondenta, Alfreda Szczepańskiego; polskie, stanęły wyłącznie na gruncie „ustalonych za granicą poglądów naukowych", albo ustalonej w kraju metody milczenia o pomysłach swojskich.

A jednak w pracy tej wykazałem, jak sądzę dowodnie, szkodliwość rozwijania hodowli krajowej wyłącznie drogą sprowadzania ogierów pełnej krwi angielskiej, zdolnych jedynie do noszenia wygłodzonych karłów na dwuwiorstowej mecie, i podałem dokładny projekt reformy wyścigów, które u nas hr. August Potocki i hr. Nirod

zamienili na dom gry, demoralizujący najszersze warstwy ludności warszawskiej.

To co tam podałem, jako projekt, przejdzie w życie; ale dopiero wtedy, gdy za granicą wystąpi ktoś z dziełem podobnem.

Wtedy będziemy mogli *naśladować*.

A oto jeszcze jeden przykład ze wspomnień osobistych:

Jak tylko został wynaleziony *mikrofon*, przez angielskiego fizyka Hughes'a, w r. 1878, przeprowadziłem z tym aparatem szereg doświadczeń, mających na celu jego teoryę. Poszukiwania te, prowadzone w pracowni fizycznej Politechniki lwowskiej i chemicznej uniwersyteckiej prof. Bron. Radziszewskiego, doprowadziły mnie do wyników sprzecznych z tem co zrazu przyjmowano za granicą i do prostej a łatwej do sprawdzenia teoryi. Wyniki ogłosiłem najprzód treściwie w warsz. tygodniku przyrodniczym „Przyroda i Przemysł" a następnie obszerniej w tygodniku elektrotechnicznym „La lumière électrique" w Paryżu. W kraju zwymyślano mnie za tę pracę — za granicą zaś znany fizyk prof. hr. Du Moncel czł. Akad. Nauk włączył ją do swego dzieła z wielkiem uznaniem.

Trafiło się, że w kilka lat potem jakiś niemiec doszedł do tych samych wyników. Natychmiast warsz. tyg. „Przyroda i Przemysł" podał z uznaniem ich streszczenie, nie wspominając wcale o mojej, w nim samym drukowanej pracy! Tylko w *Nowym Yorku*, nieznany mi współpracownik „Scientific American" przytaczając teoryę owego niemca dodał, że podobne poglądy były już wypowiedziane przezemnie przed kilku laty...

To co ogłosiłem jedynie po polsku (jak szczegóły dotyczące „Termomikrofonu", podane na Zjeździe Przyr. celem pobudzenia rodaków do dalszego udoskonalenia mojego wynalazku, na co ja nie miałem czasu ani środków, albo jak teorya *kohererów* w telegrafii bez drutu, albo jak

nowy układ pierwiastków chemicznych, oświetlający ich genezę) było tylko kamieniem rzuconym w wodę, przy akompaniamencie pobłażliwych albo złośliwych uśmiechów.

Podobną ilustracyą może być wreszcie cała historya moich badań medyumicznych, za które w kraju spotkało mnie tyle obelg i tyle strat materyalnych a za granicą tak wiele wzmianek i odznaczeń, nawet pieniężnych, że sam byłem zdumiony ich liczbą.

Czy czytelnicy moi nie sądzą, że czasby już było otrząsnąć się z tych nałogów, tamujących rozwój naszej kultury, w sposób nigdzie za granicą niepraktykowany?...

Jackowski dochodzi ostatecznie do wniosku, że należałoby w tym celu stworzyć rodzaj „organizacyi", któraby czuwała nad obroną i popieraniem rzeczy krajowych. Bliżej jej nieobjaśnia. Sądzę, że musiałoby to być Towarzystwo, b. liczne, podobne do tych, jakie istniały w swoim czasie w Ameryce i na Węgrzech, którego członkowie zobowiązaliby się do kupowania, ile możności, tylko u swoich, do wytępiania niestosownej cudzoziemszczyzny we wszelkich dziedzinach, a które też jednocześnie czuwałoby surowo nad poprawą i innych wad naszych.

Czy moi rodacy zdobędą się na taki wysiłek — a jeśli się zdobędą w dzień świąteczny, czy wytrwają na dnie powszednie?... Czy wreszcie znajdą się ludzie bogaci, którzyby te usiłowania poprzeć zechcieli?...

Te pytania muszę pozostawić przyszłości.

Jackowski, choć wogóle większy optymista, nie łudził się tak jak Kaliszewski co do popularności swojej pracy. Przypuszczał jednak, że wywrze pewien wpływ na opinię:

„Czy głos mój będzie, jak wielu innych, głosem wołającego na puszczy i zamrze, coraz słabiej odzywającem się echem? Bez wątpienia, iż zamarłby i to w krótkim czasie, jak wiele innych, od dwóch przeszło wieków ostrzegających naród głosów, gdybym przypisywać miał pismu i wy-

razom mcim siłę wprowadzenia naraz reform, o jakich urzeczywistnienie nadaremnie się dotąd kuszono. To też daleki jestem od tej zarozumiałości, bo wiem, że siła zasadniczo-ustawodawcza w jakimbądź kierunku, oświeconego narodu, nie wypływa nigdy z jakiejbądź potęgi osobistej/ ale tworzy ją potęga publiczna, istniejąca w tych narodach, które nie utraciły jeszcze wiary, miłości ojczyzny i ducha obywatelskiego. Stawiając otóż (zwrot niemiecki, pospolity u poznańczyków) przed oczy te zastraszające ułomności nasze, mam na celu obudzenie w całym naszym narodzie tej publicznej potęgi, której wyrazem jest opinia, aby ona wyprowadziła nas z niewoli błędów, a wiodła do wolności, której gwiazdą jest prawda; aby postawiła stróżów spraw naszych społecznych i narodowych, którzyby nie tylko nad niemi czuwali, ale nadto prowadzili w kierunku tradycyj narodowych i obecnemu położeniu naszemu odpowiednim. Stróże ci byliby ową władzą organizacyjną, jak ustawodawczą tak i wykonawczą pod względem szerzenia zasad, z prawami krajowemi zgodnych, mających dźwignąć narodowość naszą moralnie i materyalnie tak wysoko, aby cały świat mógł nas obserwować i nareszcie zmuszony był przyznać, że żyjemy, że pojmujemy cel życia i że mamy prawo dopominać się o należne nam miejsce w rodzinie oświeconych narodów". (s. 242)

Jak widzimy, pomimo swej skromności, Jackowski przemawia z taką nadzieją powodzenia wśród opinii polskiej, jakgdyby napisał nie poważną obronę „pracy organicznej", ale jej potępienie w imię haseł „idealnych", tak pospolite w ostatnich latach u płytkich a niesumiennych dziennikarzy/ albo jakgdyby nawoływania do pracy nad sobą były wzywaniem rodaków do pójścia na kino-farsę w Pałacu Lodowym...

Ja wierzę w przyszłość kraju; ale na razie jeszcze tych złudzeń nie mam, i jeśli powtarzam te głosy, jeśli wydaję niniejszą książkę, przepojoną tym samym duchem, to

nie w nadziei, że ona zmodyfikuje naszą całkiem jeszcze niedojrzałą opinię publiczną, tylko poprostu dlatego, że uważam to za swój obowiązek, i że, dorzucając kroplę do kropli, może nareszcie doczekamy się chwili, w której te krople, *dzięki wyjątkowo sprzyjającym okolicznościom zewnętrznym*, zamienią się w rzekę.

VII. SWOJE I OBCE [1].

(1872)

Zdarzyło się, że właśnie do napisania niniejszego artykułu zabrakło mi atramentu. Zaszedłem tedy do sklepu.

Odpowiadając na żądanie, kupiec przedstawił mi do wyboru dwie flaszeczki: jedną z etykietą warszawskiej fabryki, drugą ze znakiem firmy paryskiej.

— Któryż lepszy? — zapytałem.

— Ten z miejscową etykietą znacznie lepszy.

— Czemuż więc sprowadzacie z zagranicy?

— A któżby sprowadzał — odpowiada zagadniony — jeden i drugi gatunek tej samej fabryki miejscowej. Dają tylko na gorszym znak zagraniczny, *bo takich więcej się sprzedaje*, a własną etykietę zachowują na wyroby lepsze, dla utrzymania fabrycznej renomy.

Oto jeden fakt z tysiąca. Najdrobniejsze, najprostsze produkty miejscowe, ażeby większy miały pokup, potrzebują uchodzić za zagraniczne! Zacząwszy od papieru miejscowego z nadpisem „Paris", a skończywszy na paryskich kapeluszach p. Glancrocka z pod Dzwonnicy—wszystko to smutne dowody choroby, z której dotychczas wyleczyć się nie możemy.

---

[1] Druk. w „Opiekunie Domowym" w r. 1872.

Cóż dziwnego, że przemysłowcy oszukują nas, skoro sami chcemy być oszukiwani, i skoro w dodatku płacimy za to!

Powinniśmy pozbyć się raz tej śmieszności. Przestańmy niedowierzać własnym siłom. Dlaczegóż powodzenie miejscowego wyrobu ma koniecznie zależyć od blagi wytwórczej? Czyż nie jesteśmy w stanie sami ocenić tego co lepsze i dać poparcie uczciwej pracy?

Kto uzna słuszność powyższej uwagi ten powinien dać sobie słowo, nie kupować więcej wyrobów, których producent wstydzi się podać za swoje własne, wyzyskując fatalną skłonność naszą do cudzoziemszczyzny.

Inną stronę tej samej kwestyi, stanowią wyroby rzeczywiście sprowadzane z zagranicy, z nałogu czy też z uprzedzenia, a bez koniecznej potrzeby.

Weźmy przykład. Prawie wszystkie krawaty męskie i damskie sprowadzamy z zagranicy. Czyż w kraju naszym brak ludzi na tyle pomysłowych, żeby się odważyli albo własne tworzyć, albo przynajmniej obce wzory kopiować, wyrabiając krawaty na miejscu?...

Inny przykład: Proszę tylko wziąć pod uwagę, ile tysięcy rubli wysyłamy rok rocznie za granicę, sprowadzając rzeczy tak małej realnej wartości, jak zabawki dziecinne. Pochłaniamy je tysiącami, bez wyboru i bez istotnego pożytku — a w całym kraju nie znalazł się dotychczas ani jeden człowiek, któryby się odważył fabrykować zabawki z miejscowych materyałów i miejscowemi siłami.

Kształcimy smak naszych dzieci na francuskich *poliszynelach* i niemieckich *haberbuszach*, zamiast z rozwagą wybierać i naśladować to tylko co dobre i odpowiednie — zamiast pod kierunkiem ludzi mających na względzie i dobro ogólne i własny interes, otworzyć miejscową fabrykę, racyonalnie wybranych i pomyślanych zabawek.

Dlaczego dotychczas nie mamy takiej fabryki? Nietrudno wykryć przyczyny. Najprzód bowiem, brak nam

jednostek przedsiębiorczych/ a z drugiej strony, i co ważniejsza, jednostka taka choćby się znalazła, nieodważy się wystąpić do współzawodnictwa z zagranicą, która produkując masami, stosunkowo za bezcen oddawać może swój towar — zwłaszcze że do nas pospolicie wysyłają to, czego już na miejscu pozbyć się nie mogą.

Jakiż więc środek usunąć może te przeszkody?

Bardzo prosty. Dobra wola ogółu. Powodzenie fabryk i sklepów zależy od poparcia odbiorców. Jeśli więc powiemy sobie, że chcemy mieć krajowe wyroby, jeśli damy poparcie jednostkom, które celowi temu kapitał i pracę poświęcą, jeśli zaprzestaniemy kupować masami nieodpowiednie dla nas pomysły obcej spekulacyi — to będziemy mieli krajowe fabryki, krajowe wyroby, i jeszcze nie jedną rzecz wyślemy za granicę.

Ale bez dobrej woli ogółu, jednostki niczego nie dokonają. Ogół powinien zrobić z siebie ofiarę — wybaczać niedokładność pierwszych prób, popierać czas jakiś produkt miejscowy, dopóki nie wyrobi się pewna liczba specyalistów, dopóki dana gałąź przemysłu, podpierana postanowieniem ogółu, nie rozrośnie się należycie i nie wydoskonali.

Do takiej to wytrwałej ofiarności brak nam niestety poczucia obowiązków. Umiemy się poświęcić w sprawach wielkich, ale nie umiemy pięknych zasad naszych przeprowadzać na każdym kroku, w każdej chwili i w najmniejszych drobnostkach.

Postanówmy tedy z silną wolą popierać wyroby miejscowe, i kupując jakikolwiek przedmiot zagraniczny pytać się czy niema odpowiedniego krajowego, chociażby ten cokolwiek ustępował pierwszemu. Niezapominajmy nigdy i nigdzie, że obok względów osobistych są jeszcze względy ogólniejsze, od których dobro kraju zawisło — i niech ta moralna pobudka kieruje naszymi czynami.

Jeszcze inna strona tej samej kwestyi.

Niedosyć że bezrozumne uprzedzenie ogółu, skłania przemysłowców do udawania własnych swych wyrobów za obce, niedosyć że sprowadzamy to, cobyśmy w kraju wytwarzać mogli, trzeba jeszcze, że niektóre z miejscowych materyałów, wysłane za granicę, wracają do nas pod postacią przeróbek, za które płacimy podwójnie.

Z naszej wełny nosimy „angielskie" korty a z naszych wołów „hamburskie" skóry.

Nie możemy dotychczas współzawodniczyć z zagranicą/ a jednak i w sprawie kortów, i w sprawie garbowania skór, posiadamy próby świadczące, że i te działy przemysłu moglibyśmy doprowadzić do odpowiedniej doskonałości.

Potrzeba tylko więcej przedsiębiorczego ducha ze strony jednostek i więcej rozwagi w udzielaniu poparcia ze strony publiczności.

Wiele jeszcze pozostało do zrobienia/ ale też wiele może, kto chce. Dobrobyt materyalny jest podstawą dobrobytu moralnego, a usiłowania mające na celu zarówno jeden jak drugi, winny iść z sobą ręka w rękę. Niech moralne pobudki skłaniają nas do ciągłego myślenia o powiększaniu krajowych bogactw — a zdobywanie takowych niech umacnia naszą siłę moralną, niech ułatwia postęp oświaty i moralności obywatelskiej.

Dobrze myślące jednostki winny wciąż czuwać nad sobą, wykorzeniając resztę istniejących przesądów w najmniejszych drobiazgach.

Tak, od drobiazgów zacząć nam wypada, bo te tylko leżą w naszej mocy.

Silna wola popierania wyrobów swojskich znajdzie na każdym kroku pole do rozumnego działania — i jeśli tylko ogół zechce zrozumieć własny swój interes, przyjdzie czas, w którym rozwój licznych gałęzi krajowego przemysłu pozwoli nam za nasze wyroby, sprowadzać do kraju obce bogactwa.

VIII. CO ROBIĆ?[1]

(1902)

Od czasów Młodej Prasy nawoływano u nas do przemysłu i handlu, celem wydobycia społeczeństwa z pod kurateli zagranicznej; ale głosy te, jako oparte tylko na rozumowaniu, nie sprawiały skutku.

U nas bowiem przezorność, z chłodnej rozwagi wynikająca, nie trafia do przekonania. Potrzeba nam koniecznie jakiegoś wstrząśnienia uczuciowego, któreby owym rozumowaniom służyć mogło za podkład; dopiero wtedy — nota bene, o ile się znajdą jednostki umiejące kuć żelazo, póki gorące — ogół wychodzi ze swej apatyi, zapala się i czasem naprawdę posunie o krok naprzód, wiecznie zapóźniony tabor naszego cywilizacyjnego dorobku.

Chwila obecna jest jedną z takich wyjątkowo przyjaznych.

Społeczeństwo przebiegł prąd gorący, jakiego dawno nie bywało.

Złożyło się tak dobrze, że mamy wszystko, czego nam do ruszenia z miejsca potrzeba, bo nawet sympatyę obcych.

Chodzi więc tylko o to, żeby naszemu słomianemu ogniowi nie dać zgasnąć, żeby nie zrażać się głosami puszczyków, którym się ten samozachowawczy odruch nie podoba/ i, zważywszy, że w niektórych stronach doskonale słomą ogrzewają domy, wciąż dorzucać snopki do ogniska.

Choć słomiany — może się coś przy tym ogniu ugotuje...

Ale w tym celu nie należy tracić czasu, lecz dobrze rozważyć, co i jak przystawiać do ognia.

Przedewszystkiem zaś należy odróżnić dwie sprawy:

---

[1]) Druk. w „Kur. Warsz." 22 Stycznia 1902 r.

1) wzrost przemysłu i handlu krajowego,

2) nasze rachunki moralne z sąsiadami.

Dwie te sprawy, choć związane, różnią się i długością mety, i stopniem połączonych z niemi trudności.

Nadto, jeżeli pierwsza jest ważniejsza, to za to druga pilniejsza — jest to nasz dług honorowy.

Zacznę zatem od pierwszej, chociaż nic nam nie przeszkodzi, w dalszym ciągu, traktować obie sprawy równorzędnie.

Sprawa ograniczenia stosunków handlowych z niemcami ma dwie strony: sprzedaży i kupna.

Niektórzy w prądzie emancypacyjnym poszli podobno tak daleko, że postanowili zerwać zawarte już umowy o dostawę produktów, np. mleczywa i masła do Niemiec.

Prus wykazał, że to nie ma sensu. „Gdybyśmy — mówi on — przez zemstę za sprawę wrzesińską nie chcieli wysyłać mleka do Niemiec, bylibyśmy, jak ów człowiek, który, chcąc komuś zrobić na złość, skaleczył sobie rękę".

Nie potrzeba wielkiej filozofii na to, by zrozumieć, że jeżeli grozi nam deficyt wskutek stałej przewagi naszego przywozu nad wywozem, to, zmniejszając ten ostatni, powiększalibyśmy deficyt.

Zatem:

1) *Nie tylko nie należy zrywać umów o dostawę naszych produktów do Niemiec, lecz, przeciwnie, starać się o wzmożenie tego handlu, tak co do ilości, jak i rozmaitości produktów, czuwając staranniej niż kiedykolwiek nad tem, żeby dostawy były bez zarzutu.*

Jak dotychczas, wysyłamy niestety prawie wyłącznie tylko produkty surowe: zboże, drzewo, nabiał, bydło i t. p., ale są to właśnie te produkty, których handel najłatwiej może się utrzymać.

Co zaś do przywozu z za granicy, to, przy ogólnym prądzie do wyłączenia o ile możności pewnych towarów, zaledwie kilka głosów odezwało się z zastrzeżeniami.

Zastrzeżenia te streszczają się w zdaniu, iż „handel nie opiera się na sentymencie, lecz na korzyści, i że, chcąc, żeby kupcy nasi przestali sprowadzać z pewnych źródeł, trzeba im naprzód wykazać, że będzie to połączone z ich korzyścią".

Bardzo akademickie postawienie kwestyi.

Handel nie opiera się na sentymentach/ ale handel tak samo wynika z uczuć, nałogów, upodobań, sympatyi i wstrętów, jak każda inna czynność ludzka. Gdyby mężczyźni na raz stracili upodobanie do tytoniu, a kobiety gust do pereł, toby tysiące kupców, na tych upodobaniach opierających swój interes, musiały zbankrutować. Zakaz, prawo, nie zniosą danej gałęzi handlu, jeśli ona opiera się na nałogach i uczuciach/ ale zmiana w uczuciach i nałogach może, a nawet musi, przekształcić daną sferę handlu. Dowodem *moda*, która co rok pewne przedmioty handlu, a nawet pewne jego gałęzie, znosi, a pewne inne stwarza.

Już Smith uważał upodobania i sympatye za czynnik równorzędny z interesem.

Czyż naprawdę chińczyk, kupując opium od anglików, działa we własnym *interesie?* Nie, zadawalnia tylko *upodobanie*.

Interes ma kupiec/ ale nad kupcem stoi konsument, którego sympatye decydują o interesie kupca.

Powtóre, niezależnie nawet od sympatyi (co znów uwydatnił Ricardo), gra w handlu bardzo ważną rolę *lenistwo*.

Właśnie dlatego, że wymaga on dużej pracy i dużej czujności, nie tylko już konsument, ale i sam kupiec, chętnie, gdy może, oszczędza sobie pracy i trudu.

Jeśli nasi kupcy przeważnie sprowadzają z pewnych tylko źródeł, to bynajmniej nie dlatego, że takie są niezłomne prawa ekonomii politycznej, że handel polski musi pochłaniać towar prawie wyłącznie najbliższy zagraniczny, lecz poprostu dlatego, że pośrednik niemiecki jest ruchli-

wy, przedsiębiorczy, natrętny — a kupiec polski konserwatywny, bierny i leniwy: gdy mu codzień dziesięciu agentów zachwala, albo wprost nasyła swoje próbki, zrzeka się własnej inicyatywy i towar przyjmuje — z lenistwa.

Później zaś — bo to także czysto polskie — wstydzi się zmienić źródło.

Jednem słowem — nałogi, sympatye, lenistwo, wstyd — wszystko to są motywy współczynne z interesem, i kto jeden tylko czynnik bierze w rachubę, a inne pomija, tego ekonomia będzie zawsze papierową, a nie żywą.

Wogóle zaś, jeżeli używamy wyrazu „interes", musimy koniecznie dodać: „pojmowany subjektywnie" (Guyot).

A właśnie, w danym okresie życia narodu, pojmowanie subjektywne interesu może być takie, że z całą siłą domaga się zerwania jednych układów handlowych, a nawiązania innych. I na to żadne lekceważenie „sentymentów" w handlu nie pomoże.

Pośpieszam dodać, że p. Stanisław Kempner, który powyżej przytoczone zdanie o sentymencie i korzyści wypowiedział („Gaz. Pol." z d. 4-go Grudnia 1901), jednocześnie objaśnił, że „redukcya handlu niemieckiego leży w interesie kupców krajowych, z powodu różnego rodzaju niedogodności, jakie wszelkiego rodzaju monopol za sobą pociąga".

Teoretycznym przeciwnikiem tego ruchu jest Bolesław Prus („Kur. Codz.").

Rozumuje on tak:

Nie chcemy kupować towarów od sąsiadów, ponieważ ci są naszymi wrogami. Chcemy kupować od przyjaciół. Ale gdzież są ci przyjaciele? Francuzi o nas nie dbają, anglików nie lubimy za boerów, amerykanie strzelali do naszych emigrantów, z czechami kłócimy się w Cieszyńskiem, z węgrami przy Morskiem Oku i t. d. i t. d.

Jednem słowem, nie mamy wcale przyjaciół, a tem samem musimy kupować od wrogów.

Zresztą — i tu Prus wojuje znów tym samym frazesem — „w stosunkach ekonomicznych nie można się kierować sentymentalizmem: towar kupujemy nie od tych, którzy nas kochają i pieszczą (?), ale od tych, którzy dają towar dokładny, tani, trwały i piękny".

Nie przypuszczam, żeby Prus uważał tylko jednej narodowości towary za dokładne, tanie, trwałe i piękne/ a jeśli nie, to argumentacya upada.

Powtóre, jest to tylko bałamutne przekręcanie sprawy.

To, że nie chcemy kupować pewnych towarów, nie dowodzi jeszcze, żebyśmy postanowili kupować je wyłącznie „od przyjaciół". Nikt tak sprawy nie stawiał. I jeżeli będziemy sprowadzali towary z Anglii, Austryi, albo Szwajcaryi i Danii, to także nie wyłącznie od przyjaciół. W rzeczywistości przyjaźń albo nieprzyjaźń nie gra tu roli.

Postawiono jedynie wniosek możliwego ograniczenia pewnej kategoryi importu. A to są dwie rzeczy różne.

Motywy zaś były następujące:

Sąsiedzi nasi na każdym kroku dają nam policzki: w dziedzinie stosunków politycznych, literackich, szkolnych, religijnych, przemysłowych i handlowych. Dają je, ponieważ nie od dziś znają naszą dobroduszność, naszą niezaradność, naszą potulność, nasz brak przedsiębiorczości, a co najważniejsza, nasze odosobnienie! Oni nigdy nie traktowaliby nas w ten sposób, gdyby w nas czuli siłę. Siły nie mamy, ale powinniśmy mieć poczucie godności.

I tu już sprawa sprowadza się do tego, czy kto ma wnętrzności, czy ich nie ma. Jeśli ma, to powinien się zachować w taki sposób, żeby nikt nie miał prawa powiedzieć: oto są ludzie bez ambicyi: biją ich z prawej strony, oni nadstawiają lewą, wyrzucają ich z ojcowizny, oni pracują w dalszym ciągu nad zbogaceniem przeciwnika.

Jeśli zaś Prus stoi na stanowisku chrześcijańskiem

miłości nieprzyjaciół, to nadmieniam, że Chrystus kazał wprawdzie kochać nieprzyjaciół i znosić cierpliwie obelgi, ale nie dodawał, iż należy jeszcze płacić za nie... My zaś, gdy sprowadzając dany towar, musimy płacić razem i za towar i za obelgi, wolimy zrzec się towaru.

Oto cała sprawa.

Czy ona jest możliwą teoretycznie? Nie wiem; i to mnie mało obchodzi/ ponieważ wiem na pewno z własnego postępowania, że, w mniejszym czy większym zakresie jest możliwą *praktycznie.*

Ja np., nie czekając, aż nasi ekonomiści dowiodą naszym kupcom możliwości reformy, od kilku już lat przestałem kupować pewne towary i wiem napewno, że z tego tytułu kilka tysięcy rubli pozostało w kraju, albo przeszło gdzieindziej.

Nie widzę zaś przeszkody, czemuby tego samego co ja nie mógł uczynić mój przyjaciel, mój sąsiad, mój czytelnik i t. d.

I niech mi Prus wierzy, że to nie ma żadnego związku z przyjaźnią lub antypatyą, lecz tylko z poczuciem dobra ogólnego. Ja np. bardzo szanuję tyrolczyków niemieckich, oni bowiem w walce z Napoleonem I dowiedli poczucia godności narodowej; a mimo to z zasady nie kupuję jabłek tyrolskich, ponieważ mogę się bez nich obejść/ a kupując wyborowe jabłka krajowe, przyczyniam się do podniesienia tej gałęzi produkcyi.

Zatem:

2) *Ktokolwiek ma do kupienia jakikolwiek towar, powinien przedewszystkiem pytać się, czy niema odpowiedniego krajowego, i nie kupować zagranicznego dopóty, dopóki się nie okaże, że w żaden sposób nie może być zastąpiony.*

Bo, na nieszczęście, okazało się, że my, bynajmniej nie z konieczności, ale poprostu z nałogu, z lenistwa, sprowadzamy mnóstwo rzeczy, które już się wyrabiają w kraju.

Ponieważ zawsze starałem się dawać pierwszeństwo wyrobom krajowym, zebrałem z tego powodu wiele obserwacyj, świadczących o naszem bezprzykładnem zaślepieniu.

U krawców np. stale wywoływałem zdumienie, żem odrzucał kort „angielski" i żądał krajowego. Dopókim tego nie powiedział, kupiec częstował mnie zagranicznym, utrzymując, zgodnie z karykaturą Kostrzewskiego, iż tylko „w angielskim korcie człek po ludzku wygląda". Ale z chwilą, gdym stanowczo odrzucił towar zagraniczny, okazywało się, że sam kupiec nie wierzy w niższość lepszych gatunków krajowych.

W bardzo zaś wielu dziedzinach drobnego przemysłu wystarczyłoby trochę dobrej woli, żeby wyrób obcy zastąpić własnym.

Przed kilku laty, kiedy wśród amatorów fotografii zaczął się upowszechniać pomysł francuski płynu do fotograficznego uczulania papieru p. n. „Panak", postanowiłem sobie wynaleźć coś podobnego, żeby wyrób zagraniczny wyrugować/ i, po długich próbach, bo nie miałem jeszcze wówczas żadnego pojęcia o fotografii, zrobiłem „Fotol". Pomysł okazał się dobrym, postanowiłem więc puścić go w handel. Ale ponieważ wszystkie do niego potrzebne przybory chciałem kupić w kraju, tu dopiero zaczęły się trudności. Pudełka, flaszeczki, korki, znalazły się, nie bez trudu/ potrzeba było jeszcze pędzelków i patyczków. Gdziekolwiek zaszedłem do składu materyałów piśmiennych, częstowano mnie pędzelkami zagranicznymi. Nareszcie znajduję fabrykę krajową i kupuję sto sztuk. Nie wypadły taniej niż niemieckie, ale, ponieważ były dobre, kupiłem.

Drugi raz w tymże sklepie zamawiam już nie 100, lecz 500. Pędzelki, obiecane na poniedziałek, nie były jeszcze gotowe w następną sobotę. Po wielu wizytach nadaremnych, wymówkach, irytacyach, ponieważ sezon mijał, wyznaczam nareszcie termin fabrykantowi i oświadczam, że,

jeśli tego dnia nie będą gotowe, towaru nie przyjmę. Jakoż na dzień oznaczony pędzelki były gotowe — brakowało tylko kijków. Wreszcie i kijki znalazły się, ale za cienkie. Musiałem stracić godzinę czasu na dobieranie możliwych. Przychodzi do rachunku, podają mi ceny wyższe niż poprzednio. Oburzony, reklamuję. Lecz panna sklepowa z najnaturalniejszą w świecie miną oświadcza mi w imieniu pryncypała, że kilkadziesiąt pędzelków mogli oddać za tę cenę, ale że przy większej ilości i cena musi być wyższą, bo nikt jeszcze tyle nie zamawiał, bo musieli oderwać robotników od innej roboty i t. d.

Proszę mi wskazać kraj, w którymby się coś podobnego przytrafiło!

Lecz ja uparłem się, żeby wyrób był krajowy/ musiałem więc znosić następstwa krajowej logiki handlowej. Zapłaciłem, zapowiedziawszy, że więcej w tym sklepie kupować nie będę.

Po długich pytaniach i staraniach (bo my nawet nie wiemy, co u nas jest a czego niema!) znalazłem na Marszałkowskiej drugą fabrykę krajową, w której mi dostarczono równie dobrych pędzelków punktualnie i taniej.

Ostatecznie mój wyrób krajowy był gotów i dokazał swego, ponieważ „Panak" przestano sprowadzać z zagranicy.

Takie tedy przeprawy czekają każdego, kto nie zechce kupować towarów obcych, ale to nie racya, żeby się zrażać, bo każdy początek jest trudny. Dajmy raz dowód, że dbamy o cele ogólne, a nie tylko o wygodę, i nie składajmy wszystkiego na kupców, bo łatwiej tysiącu konsumentów narazić się choćby na drobne straty przy kupowaniu wyrobów krajowych, niż jednemu kupcowi zaryzykować wszystko.

Dajmy sobie słowo, zawsze i wszędzie, przy najdrobniejszych zakupach, żądać wyrobu krajowego, *choćby nam przyszło stracić czas a nawet zapłacić drożej*. Będą to bo-

wiem tylko ofiary przejściowe, dzięki którym stosunki normalne szybko się ustalą.

Ja postępuję tak:

— Proszę o paczkę ołówków!

Dają mi Fabera.

— Nie, panie. Ołówków Fabera, pomimo, że były najlepsze przed dwudziestu laty, nie kupuję. Gdybym chciał zagranicznych, tobym żądał Koh-i-nor, ale ja proszę o krajowe Majewskiego.

— Nie trzymamy na składzie.

— W takim razie żegnam pana, poszukam gdzieindziej.

Kupiec robi wielkie oczy, ale na drugi tydzień już można dostać u niego ołówków krajowych.

Potrzebuję zwykłych spinek do koszuli.

Pokazują mi zagraniczne.

— Ile kosztują?

— Rubla.

— Czy to są zagraniczne?

— O tak, panie.

— A ja właśnie nie kupuję zagranicznych. Czy nie ma pan krajowych?

Okazuje się, że są równie dobre i kosztują tylko pół rubla, ale kupiec zaleca najprzód obce, bo głupota nasza pozwala mu za zagraniczne żądać ceny podwójnej.

Chcąc kupić skarpetki, musiałem obejść trzy sklepy, zanim znalazłem żyrardowskie, w tej samej cenie, a trwalsze od tych zagranicznych, jakie u nas sprzedają.

I tak samo z wielu innymi przedmiotami.

Lampy mamy doskonałe krajowe/ ale bez zastanowienia pozwalamy sobie wtykać zagraniczne.

Rękawiczki mamy tak dobre, że zaledwie w Anglii można znaleźć równie dobre/ ale my swoją drogą kupujemy znacznie droższe paryskie.

Cukierki warszawskie są nieporównane. Rozchwytywanoby je w Paryżu, ale my nie myślimy nawet o tem, żeby je wysyłać do Krakowa, gdzie są bardzo liche.

Fortepiany krajowe ustępują *najlepszym* zagranicznym. Ale skoro P a d e r e w s k i mógł koncertować na fortepianie K e r n t o p f a, to i nasze Brzdąkalskie mogłyby na krajowym poprzestać. Wybaczam tym, którzy mogą sobie sprowadzić E r a r d a/ ale kupować średnie zagraniczne, zamiast bardzo dobrych krajowych, dlatego tylko, żeby mieć firmę obcą — to jest już dowodem bezmyślności, specyficznie polskiej.

Przyznaję się do grzechu, iż sam kupiłem niegdyś pianino Rönischa, istotnie najlepsze z tych, jakie w danej chwili były na składzie. Ale było to przed kilkunastu laty, kiedy jeszcze fabryki krajowe nie stały tak wysoko—zresztą i ja od tej pory zmądrzałem.

Przyznaję się jeszcze do drugiej naiwności.

Dawniej, przejeżdżając często przez Berlin, kupowałem sobie portmonetkę bajecznie tanią, bo kosztującą tylko 1 markę. Pod koniec roku były już w niej dziury; przejeżdżając w następnym roku, kupowałem drugą i zdawało mi się, że, postępując tak, daję dowód wielkiej oszczędności. Przed trzema laty kupiłem portmonetkę krajową na Królewskiej, zapłaciłem za nią podwójnie, ale do dziś dnia jest całą i z pewnością rok jeszcze posłuży/ czyli, że, płacąc o połowę taniej, wydawałem właściwie dwa razy więcej.

Lubię bardzo piwo monachijskie i pomimo że sprowadzane do nas, jako spirytusowane, jest znacznie gorsze niż na miejscu, pijałem je jakiś czas i w Warszawie, przynajmniej w tych restauracyach, gdzie krajowego nie było, bo i takie skandaliczne zakłady jeszcze u nas istnieją. Później zmądrzałem. Do restauracyj, w których nie było piwa krajowego, przestałem chodzić, a ile razy przyszła mi ochota napić się piwa monachijskiego, kazałem sobie dawać droz-

dowskie — i dziś uważam, że jest to najlepsze piwo na świecie.

Trochę tylko dobrej woli, a przestaniemy być dojną krową dla obcych.

Z kolei chciałbym zwrócić uwagę na pewną formę ogólno-ludzkiej, a specyficznie naszej, naiwności.

Kiełbaski parowe w Wiedniu nazywają się „Frankfurter Würstel", we Frankfurcie zaś „Wiener Würstel".

Wyroby skórzane, sprzedawane w Petersburgu jako „paryskie", w Paryżu nazywają się „Cuir de Russie".

Naszych ciastek „francuskich" we Francyi wcale nie znają.

Przed kilku laty, przejeżdżając przez Genewę, zgubiłem kluczyk od zegarka. Zachodzę do pierwszego lepszego zegarmistrza, żeby mi go dobrał. Ogląda werk i mówi:

— O! to dobry zegarek, musi być nie tutejszy...

— Właśnie, że tutejszy; zobacz pan drugą kopertę. Alboż zegarki genewskie nie są najlepsze?

— Dawniej tak było, teraz co lepsze sprowadzamy z Ameryki.

Ale, zanim się ludzie opatrzą, firma „genewska" będzie wciąż prym trzymała za granicą, na rachunek „Czapka i Patka", którzy już dawno wymarli.

Wynika stąd skłonność do podrabiania obcych firm, trwająca nawet wtedy, gdy już wyrób inny, lub nawet krajowy, stał się lepszym.

3) *Należy piętnować jako oszustwo ze stanowska handlowego i narodowego zaopatrywanie w etykiety zagraniczne wyrobów krajowych.*

Niestety, nasze ślepe zamiłowanie do cudzoziemszczyzny i przekonanie o własnej niemocy przemysłowej tak są wkorzenione, że publiczność odkłada na bok towar, jeśli na nim niema marki zagranicznej.

I tym sposobem fabrykanci uczą się oszukaństwa: nasz papier listowy krajowy nosi napisy angielskie; bibuł-

ki do papierosów — francuskie, a różne nasiona krajowe sprzedawane są w workach z firmami niemieckiemi!

Prus powiada, że handel nie jest rzeczą sentymentu i że powinniśmy naśladować cnoty handlowe niemców, którzy wszystko fundują na dobrze zrozumianym interesie.

Otóż, w myśl jego, pozwolę sobie zalecić do naśladowania następującą cnotę handlową niemców:

Aż do r. 1870 niemcy sprowadzali mnóstwo towarów francuskich; zwłaszcza wszystko, co wymagało *precyzyi* lub *gustu* szło do Niemiec z Francyi.

Jeszcze w r. 1872, mieszkając stale w Lipsku, potrzebowałem kupić tani mikroskop.

Idę do optyka, gdzie dają mi przyrząd, wystarczający na moje potrzeby, za kilkanaście talarów. Widząc na nim firmę właściciela sklepu, pytam się:

— To pan sam wyrabia te mikroskopy?

— E, nie! U nas by nikt tak tanio nie zrobił. Sprowadzamy je z Paryża, bez firmy.

W kilka lat po tem, niemcy, upajając się stopniowo swojem zwycięstwem i obchodzonemi na wszelkie sposoby „świętami Sedanu", wzięli sobie za punkt honoru nie sprowadzać nic z Francyi. I dziś nie tylko produkują rzeczy dobre tanio, ale nawet podrabiają mnóstwo rzeczy gustu, tak zwanych „articles de Paris"; a natomiast u francuzów, którzy pod tym względem są „polakami południa", znaleźć można wiele tanich wyrobów niemieckich z etykietą francuską. Już w r. 1885, kupując w Palais Royal reflektor z soczewką i zwierciadłem niklowem do lampy, dowiedziałem się poufnie, że jest wyrobem niemieckim.

Tak więc nastąpiło odwrócenie prądu handlowego, pod wpływem... sentymentu i tylko sentymentu.

. . . . . .

Jeden tylko wyjątek należy zrobić od zasady. Nie tylko w Poznańskiem, gdzie istnieje np. fabryka narzędzi

rolniczych H. Cegielskiego, lecz i w czysto niemieckich prowincyach są fabrykanci i kupcy polscy, z którymi niezaradność nasza nie pozwoliła nam dotychczas zawiązać stosunków. My nawet nie wiemy, kto oni są!

Otóż ten błąd należy naprawić: postarać się o dokładne wykazy, dzienniki powinny wszystkie te firmy zareklamować jednorazowo bezpłatnie, i z temi firmami należy oczywiście korespondować po polsku, *nie bawiąc się w narzucanie niemcowi języka polskiego, bo to jest tylko fanfaronada.* Zatem potrzeba:

4) *Nawiązać stosunki z poważnemi polskiemi firmami w państwie niemieckiem.*

Tym sposobem, przez częściowe odstępstwo od zasady, będziemy mogli za jedną drogą uprawnić sprowadzanie pewnej liczby niezbędnych dla nas wyrobów niemieckich i podać rękę rodakom, pracującym w ciężkich warunkach.

Każdy, kto ma o takich firmach wiadomość, powinien ją ogłosić w dziennikach.

Co do czasopism, to pominąwszy niezbędne specyalne, należałoby zaniechać sprowadzania tych wszystkich tygodników modnych, belletrystycznych i familijnych, których nadmiar rozchodzi się u nas z uszczerbkiem dla wydawnictw krajowych. A co do książek, sprowadzać tylko takie, które nie dają się zastąpić innemi.

5) *Tygodniki nasze powinny zaprzestać sprowadzania klisz obrazkowych, a roboty cynkograficzne powierzać firmom krajowym.*

Mieliśmy na wystawie fotograficznej bardzo dobre próbki cynkodruków Wierzbickiego, ale zakłady krajowe nie rozwiną się, jeśli wydawcy nasi w dalszym ciągu brać będą przeważnie klisze obce. Należy zmniejszyć liczbę rysunków, byle dawać krajowe/ a czytelnik, który w danym tygodniku zauważy przewagę klisz obcych, powinien

zaprzestać prenumeraty, objaśniając redakcyę o przyczynie.

6) *Nawiązać stosunki handlowe z czechami i serbami.*

Mieszkając na Śląsku austryackim, jeździłem umyślnie w r. z. do Pragi i byłem zdumiony jej rozwojem w ostatnich latach; odtąd stale sprowadzam potrzebne mi materyały z Pragi czeskiej i zawsze jestem obsłużony szybko i rzetelnie. Kupowałem tam bardzo korzystnie oprócz przyborów fotograficznych (A. Loukota) story do okien, dywany, torby podróżne i t. p. Pisuję po polsku, odpowiadają mi po czesku.

Serbię znam zczasów wojny tureckiej. Wątpię, żeby wiele postąpiła w przemyśle, którego wówczas nie miała, z wyjątkiem chyba tytoniowego. Ale serb jest urodzonym kupcem i ma wzrastające potrzeby. Chodzi mi też nie o import, lecz o eksport do Serbii różnych naszych wyrobów, nad którą to kwestyą pracuje od lat wielu p. Seydel, konsul serbski w Warszawie, i z pewnością nie odmówi wskazówek. Dotychczas tylko niedołęstwo nasze stało na przeszkodzie, może jednak otworzą nam się oczy na zaniedbany a doskonały rynek zbytu.

7) *Młodzież nasza powinna wstrzymać się od zapisywania się do uniwersytetów, politechnik i szkół handlowych obcych, w których jest źle widziana.*

Przed kilkunastu jeszcze laty nasza bałwochwalcza cześć dla nauki obcej, szła tak daleko, że kiedy pewien bogaty warszawianin przywiózł od Nothnagla przepis hygieniczny na każdą godzinę dnia, niektórzy lekarze warszawscy przepisywali sobie tę dyetetyczną scholastykę i zalecali ją wszystkim swoim chorym; bez względu na to, iż każdy chory wymaga innych zaleceń i że zalecenia Nothnagla były wogóle dla polskich żołądków niestosowne.

Szczęściem zrozsądnieliśmy cośkolwiek w ostatnich czasach.

Niejeden, przekonawszy się, że za drogie pieniądze przywiózł tę samą receptę z za granicy, którą za rubla miał w kraju, wstrzymał się od dalszych podróży.

Jeśli tendencya możliwego wyłączenia pewnych towarów ma wydać skutki praktyczne, należy odrazu pomyśleć o organizacyi naszego kupiectwa.

Dorywcze i odosobnione usiłowania nie tylko nie sprawią wrażenia za granicą, ale wprost mogą się rozbić o trudności konkurencyjne.

Względy prywatne muszą ustąpić wspólnemu porozumieniu, raz dlatego, że wogóle inaczej nic poważnego się nie zrobi, a powtóre, że zjednoczonemi siłami wszystko da się zrobić szybciej i taniej.

8) *Kupcy każdego działu handlowego powinniby się zebrać razem wspólnie, wydelegować jednego do wyszukania, a względnie zawiązania nowych stosunków z zagranicą i tym sposobem przy większej ilości zamówień z ograniczonej ilości źródeł, zyskać lepsze warunki.*

Nie należy tylko zapominać o jednej rzeczy, o której, niestety, nasi kupcy zbyt często zapominają, że tajemnicą dzisiejszego handlu nie jest: „mało, byle drogo", lecz „dużo a tanio".

Dopóki wielkie składy będą hołdowały zasadzie wyższych cen, pod pozorem większych kosztów, dopóty zawsze drobne handelki, poprzestające na mniejszym zysku, będą nas zarzucały tandetą.

Bardzoby się też przydało, powszechne już za granicą, wystawianie cen w oknach, i na towarach wogóle, dzięki czemu mniej zamożni nie lękają się wejść do wspaniałego sklepu.

Za granicą, im sklep większy, tem wszystko w nim tańsze — u nas odwrotnie; a przy takim braku handlowego rozgarnięcia, żadna reforma się nie uda.

Nareszcie, składnicy nasi powinniby raz dojść do przekonania, że kupiec jest sługą publiczności, i że we wła-

snym jego interesie leży nie tylko uprzejme, ale uprzedzające postępowanie z klientami. Kupiec, który osobiście nad wszystkiem nie czuwa lub, co gorsza, sam traktuje lekceważąco drobnych nabywców, nigdy do niczego nie dojdzie.

Doskonałą ilustracyę tych naszych obyczajów podał p. Włoskiewicz w numerze noworocznym „Kuryera Warszawskiego" i życzyćby należało, żeby pisma nasze tego rodzaju kwestyami zajmowały się częściej, zamiast drukować nieśmiertelne wierszyki do gwiazdki i róży, albo erotyczne błazeństwa niektórych naszych powieściopisarzy.

Jak się zachować wobec zagranicznych fabrykantów i kupców w kraju osiadłych?

Obawiam się, żebyśmy chwalebnego prądu nie zwyrodnili szowinizmem — i dlatego tę jeszcze kwestyę poruszam.

Otóż, jeżeli niemiec założył u nas fabrykę, prowadzi ją dobrze, nie wyłącza sił krajowych i sprawiedliwym jest względem robotników, to nie tylko nie należy go bojkotować, lecz szanować i popierać. Bojkotowanie ogólne większej części przemysłu łódzkiego byłoby głupstwem jeszcze większem, niż zaniedbanie bojkotowania zagranicznych wyrobów niepożądanych.

Samo się jednak przez się rozumie, że jeśli są obok siebie dwa sklepy równie dobre: polski i obcy, to nikt polakowi nie weźmie za złe, jeśli będzie popierał pierwszy. Zatem:

9) *nie jątrzyć przeciw fabrykantom niemieckim w kraju osiadłym, lecz tylko uważać na to, czy nie zachowują się wrogo względem żywiołów miejscowych.*

Pozostaje mi jeszcze kilka uwag, dotyczących już specyalnie rozwoju krajowego przemysłu i handlu — a najważniejszych.

10) *Ktokolwiek z polaków zechce założyć nową fabrykę lub sklep nowy, niech pamięta, że Kraków nie odrazu zbudowano i niech zaczyna od małego.*

Jest to bowiem narodową naszą wadą, że nie cenimy wartości *stopniowania*. My jesteśmy narodem wielkich panów. Jeżeli już „zniżamy się" do handlu, to niechże to będzie handel wspaniały: na pierwszorzędnej ulicy, od frontu i z wielkiemi szybami — bo cóżby nasi znajomi powiedzieli, gdybyśmy otworzyli jakiś skromny sklepik w podwórzu? Po roku następuje „klapa", narzekanie na brak „szczęścia" i.. staranie się o posadę konduktora przy tramwajach.

Otóż, niechże nasi wielcy panowie z dziurawemi kieszeniami, raz nareszcie zrozumieją, że nie wolno być niemądrym aż do skończenia świata i że uczciwie i rozumnie pojęty zawód kupiecki jest szlachetniejszym, niż nieoględnie uprawiany zawód rolniczy; że najwięksi nasi bankierowie zaczynali nie tylko od małych sklepików, lecz od sprzedawania zapałek na ulicach/ i że należy dbać nie o to, co znajomi powiedzą dzisiaj, lecz co powiedzą *po roku*.

Tymczasem trzeba:

11) *wszelkimi sposobami starać się u władzy o prawa ulgowe dla drobnych handlujących i przemysłowców, zarówno wiejskich, jak ulicznych w miastach.*

Nie powinni oni ponosić żadnych ciężarów państwowych, lub tylko dla wszystkich dostępne, minimalne, dopóki handel ich nie dosięgnie pewnej wyższej normy. (Szczegóły pozostawiam specyalistom).

Główną zaś uwagę zwróciłbym na przemysł wiejski, chłopski. A to dlatego, ponieważ mojem zdaniem, jeżeli wogóle wpływy dziejowe nie dały nam ani tych uzdolnień handlowych, jakie posiadają rosyanie lub serbowie, ani przemysłowych, jakie objawiają czesi, to jeszcze łatwiej dadzą się one zaszczepić u chłopa, niż u szlachcica polskiego. Nie wchodząc w rozbiór innych przyczyn, powiem krótko, że wprawdzie dla mnie niema żadnych zasadniczych różnic między charakterem chłopów polskich a szlachty polskiej; ale że całe wieki poddaństwa pierw-

szych wyrodziły w nich pokorę i *umiejętność poprzestawania na małem*, które to właściwości łatwiej mogą zapewnić powodzenie w handlu, niż lekkomyślna rzutkość, próżność i życie nad stan, do których przywykł szlachcic polski, dzięki swej roli dziejowej.

Wiele jeszcze wody upłynie, zanim ze szlachty polskiej będą dobrzy przemysłowcy i kupcy, gdy tymczasem chłop polski, przywykły do nieustannej ciężkiej pracy, prędzej w tym kierunku może się wyrobić.

Gdziekolwiek tedy istnieje we wsi przemysł ludowy, należy go popierać, nie pieniędzmi, lecz zamówieniami, starając się o zbyt tych zamówień w miastach. Tylko przy tem nie odbierać drobnemu przemysłowi ludowemu jego cech etnograficznych, bo najprostszy wyrób chłopski może mieć styl, a zniwelowanie go banalnemi poprawkami według wzorów przeciętnych, odbierze mu znaczną część wartości. Takie frazesy, oblewające zimną wodą zaledwie powstałe u nas zamiłowanie do stylów swojskich, jak zdanie p. Poświkowej, że „nadzieje, pokładane przez niektórych publicystów w rozwoju stylu swojskiego, są wygórowane", nie powiny być brane w rachubę, jako co najmniej przedwczesne.

Wspólność motywów roślinnych w różnych stronach świata niczego nie dowodzi. Już przed laty Henryk Siemiradzki zwrócił moją uwagę na podobieństwo niektórych naszych zwierzęcych motywów ludowych do assyryjskich/ ale on nie twierdził, że to pozbawia naszą ludową sztukę pewnych cech oryginalnych.

Starajmy się więc zdobnictwo ludowe ochronić od zagłady i popierajmy drobny przemysł wiejski; a co z tego wyniknie, to zostawmy przyszłości.

Słyszałem, że w pewnej miejscowości na Litwie istnieje wiejska fabryka dywanów. Ci, którzy ją rozwinęli, z początku próbowali puszczać w świat wzory ludowe, ale

wobec braku zbytu, zarzucono je, sprowadzając angielskie z Londynu!

Może nareszcie wiatr się zmieni?...

P. Jerzy Warchałowski, gorliwy i zasłużony propagator swojskiej sztuki ludowej, opowiadał mi fakt następujący:

Przyjechał do pewnej miejscowości Królestwa, słysząc, że w niej lud wyrabia oryginalne kilimy.

Przyjechawszy, pyta obywateli, księży, nauczycieli, czy wiedzą co o tem?

— Tak, podobno — odpowiadają mu — są tu jakieś wyroby, ale to nic nie warte, zwyczajnie ordynarne chłopskie.

Nie zrażony, chodzi po wsiach i zbiera; następnie odwiedza tych samych panów i rozkłada przed nimi kilimy, pytając:

— A co, czy nieładne?

— Prawda! Ależ to całkiem piękne rzeczy! I jakie oryginalne! Skąd to pan wydobył?

— Tu, od was, ze wsi.

— Nie może być!

I w ciągu kilku dni kilimy zostały wykupione przez tych samych, którzy je lekceważyli.

Trzeba tylko, żeby się znalazł „dyletant", który umie otwierać oczy zaślepionym.

Wspomnę też mimochodem, że p. Warchałowski znalazł w Wiśle i w innych wsiach śląskich tak ładne czerpaki i solniczki, że nie powstydziłby się ich rysunku artysta, a wszystkie w tym samym stylu polsko-zakopiańskim. Będzie można je widzieć na wystawie Tow. sztuki stosowanej w Krakowie.

W Warszawie istnieje sklep wyrobów chłopskich, w którym sprzedają kapelusze słomkowe. Ale słomę na te kapelusze sprowadza zarząd fabryki z Włoch.

Nie przeczę, że jest lepsza, lecz co za cel podnosić cenę takich wyrobów, które przedewszystkiem powinny być bardzo tanie? Zanim jeszcze tę włoską słomę sprowadzono, kupiłem sobie taki kapelusz letni na placu Bankowym i nosiłem go w Paryżu, gdzie bardzo się podobał i zdumiewał swoją lekkością.

12) *Zakładając nowe przedsiębiorstwa, starać się, żeby one były naprawdę nowe, a nie naśladować już istniejących.*

Jest to również naszą chorobą, że czekamy, aż ktoś pierwszy spróbuje. Gdy założy fabrykę pierników i powiedzie mu się/ wówczas dziesięciu innych założy piernikarnie. Jeśli otworzy zakład fotograficzny i zrobi interes, dziesięciu innych otworzy podobne zakłady jak najbliżej poprzednich — i potem wszyscy będą ogryzali paznokcie.

Tego, żeby wyszukać nowego rodzaju przemysł, jakiego dotychczas nie mamy, albo założyć sklep specyalny, dotychczas nieistniejący — tego my nie umiemy. A przecież prosty rozsądek uczy, że wówczas szansa zrobienia interesu jest największą; widzimy zresztą dokoła siebie, że najlepsze interesy porobili ci, którzy pierwsi założyli fabrykę gilz, albo mydła, albo krochmalu, albo pierwsi puścili w handel karty pocztowe (p. Niemojewski w Galicyi). Później, gdy się okaże, że jedna fabryka lub jeden sklep nie wystarcza, otworzyć drugi/ ale nie zaraz jeden obok drugiego, żeby sobie wzajemnie przeszkadzać!

Przyczyną tego jest, jak niejednokrotnie wykazywał Prus, że my nie mamy żadnego popularnego objęcia naszej produkcyi, żadnej statystyki dla ogółu dostępnej i żadnej rady fachowej.

Bo nasze pisma mają tak wiele do czynienia w Trypolisie i Wenezuelli, tak wiele różnych spraw ważniejszych, filharmonijnych i filharmonicznych, iż na tego rodzaju drobiazgi już im sił nie starczy. Mniejsza o to, czy rozwój danej gałęzi bogactwa krajowego spóźni się o lat

dziesięć, byle Battistini nie wyjechał z Warszawy bez złotego wieńca.

A tylu ludzi wyjeżdża za granicę, skąd mogliby przywieźć każdy jedną tylko myśl dla kraju użyteczną, jeden model, jeden wzór, jeden pomysł godny naśladowania!

Pisałem o tem w książce „Sami sobie", która się bardzo szeroko rozeszła/ ale jeszcze nikt z tej rady nie skorzystał.

A skoro tak, to przepiszę stamtąd jeszcze kilka uwag.

13) *Każde dziecko ubogie czy zamożne, zanim zacznie tracić zdrowie przy nauce szkolnej, powinnoby się nauczyć pierwszych elementów jakiegokolwiek, odpowiedniego dla swych uzdolnień i upodobań, rzemiosła lub fachu.*

Wówczas nie tylko skończyłoby się z tem wiecznem poniewieraniem rzemiosłami, nie tylko zyskalibyśmy pewną liczbę rzemieślników, swój fach miłujących, ale wogóle więcej młodzieży zdrowszej, zręczniejszej, myślącej jasno, konkretnie i trzeźwo.

Skoro ogół będzie lepiej przygotowany, wówczas drobne środki zaczną wydawać wielkie skutki.

14) *Gdy się ukaże jakiś praktyczny nowy wynalazek zagraniczny, ludzie zamożni lub odpowiednie towarzystwa powinnyby natychmiast ogłosić konkurs przemysłowy z dobrą nagrodą na zrobienie czegoś podobnego a względnie lepszego.*

Ale wszystkie powyższe rady i środki na niewiele się zdadzą, jeżeli nie będziemy pamiętali o tem, że rozwój przemysłu i handlu wtedy tylko będzie istotnym, trwałym, dobroczynnym, kiedy się pozbędziemy pewnych wad charakteru, dotychczas paraliżujących najpiękniejsze usiłowania.

Co będzie wart ten nasz przemysł, jeśli nie przestamy żyć bez rachunku? Co będą warte nasze rzemiosła, jeśli nie nauczymy się słowności i punktualności? I co będzie wart nasz handel, jeśli nie będzie w nim wytrwałości?

Zatem, nie czekając ani jednej chwili:

15) *Zacznijmy rozwijać w naszych dzieciach: zdolność przewidywania, oszczędność, zamiłowanie porządku, stopniowanie we wszelkiej pracy, ścisłość w mowie, bezwzględną słowność i punktualność, przedsiębiorczość, poprzestawanie na małem, a wytępiać: próżność, nieopatrzność, mówienie na wiatr, życie nad stan, pogardę skromnej pracy, upodobanie do hazardu i wszelkiego rodzaju lekkomyślność.*

A ponieważ, gdy chodzi o rozwój czegokolwiek, należy usuwać wszystko, coby ten rozwój skrzywić lub sparaliżować mogło, niech to nikogo nie zdziwi, jeśli ten szkic postulatów ekonomicznych zakończę wnioskiem, ażeby

16) *przez pisma i odezwy, na zjazdach i w stowarzyszeniach, prywatnie i publicznie, domagać się od władzy zniesienia lub przynajmniej ograniczenia totalizatora.*

Wszak prawo nie toleruje publicznych domów gry, a dzisiejsze wyścigi nie są niczem innem.

Dopóki ta plaga Warszawy istnieć będzie, dopóty młodzież nie będzie miała spokoju w swym moralnym rozwoju; dopóty rzemieślnik, zamiast wykończyć na czas robotę, będzie szedł na wyścigi; dopóty ludzie bogaci, zamiast popierać przemysł i handel, będą się bawili w hazard.

Wiem o tem, że dla wielu panów o małej wartości moralnej są jeszcze inne domy gry, któreby również należało wziąć pod kontrolę. Wiem o tem, że i bez tych tak zwanych „klubów", pracowici próżniacy znajdą zawsze możność stawiania na kartę, nie tylko własnej fortuny, ale i własnej godności — lecz chodzi tu przedewszystkiem o tłumy, o mniej zamożnych, o klasy pracujące, o młodzież.

Zdawałoby się, że jeżeli zakupy poważne cierpieć mogą na istnieniu totalizatora, to przynajmniej restauracye i handle win muszą na nim robić interesy. Ale i to okazało się złudzeniem. Tak wprawdzie bywało dawniej, zanim

jeszcze hazard rozpanoszył się na polu mokotowskiem. Dziś jednakże narzekają nawet właściciele wykwintnych restauracyj. Na jednego bowiem wygrywającego, który przyjdzie zjeść lepszą kolacyę, przypada co najmniej dziesięciu zgranych, którzy wcale nie przyjdą.

Tę przeto zaporę spokojnego, normalnego, rozwoju należałoby przedewszystkiem usunąć.

IX. OPŁAKANE STOSUNKI [1]).

(1903)

Przed rokiem dowiedziałem się o istnieniu krajowej fabryki piór stalowych.

Dopiero przed rokiem; ponieważ u nas panuje taki obyczaj, że albo się bardzo głośno zapowiada to, co nigdy nie ma być spełnione, albo też, jeśli się coś zrobi naprawdę i porządnie, to nikt o tem nie wie.

Dowiedziawszy się, postanawiam nie używać innych piór, tylko krajowe.

Zachodzę tedy do pierwszego z brzegu składu materyałów piśmiennych i żądam stalówek. Podają mi olbrzymie pudło z mnóstwem przegródek.

— Któreż są krajowe?

— Krajowych nie trzymamy.

— A dlaczego panowie nie trzymają?

— Bo... nikt nie żąda.

Idę do drugiego składu, w którym również niema piór krajowych.

— Dlaczego?

— Bo... bo się łamią.

O ile mi wiadomo, wszystkie stalówki łamią się łatwiej

---

[1]) Druk. w „Kur. Warsz." 1 Stycznia 1903 r.

niż podkowy/ ale nie zauważyłem, żeby krajowe łamały się łatwiej, niż zagraniczne.

Idę do trzeciego składu.

Podają mi także niemieckie lub angielskie, ale na usilne naleganie subjekci porozumiewają się między sobą i w końcu okazuje się, że stalówki krajowe są ukryte w drugim pokoju. Pudełeczko o 10 kop. tańsze od zagranicznych, zawiera tylko jeden gatunek.

— Czy nie mógłbym dostać większego wyboru?

— Innych niema.

Rad nie rad kupuję te, jakie były. Były nieodpowiednie dla mnie, bo za cienkie, ale, ponieważ do wszystkiego można się przyzwyczaić, pisałem niemi cały rok i przez cały rok żadna mi się nie złamała.

Po roku przychodzi do mnie ktoś znajomy i mówi tak:

— Nie wiem, czy panu wiadomo, że od kilku lat istnieje w Warszawie, przy ulicy Okopowej Nr. 21, bardzo porządnie prowadzona fabryka stalówek pod firmą dawniej „Schmidt i Wasilewski", dzisiaj „Konrad Wasilewski".

— Wiem, odrzekłem, bo od roku używam jej wyrobów. Szkoda jednak, że fabryka wyrabia tylko jeden gatunek, dla mnie za cienki...

— Bynajmniej. Fabryka wyrabia *czterdzieści ośm* różnych gatunków i oprócz tego pluskiewki i spinki do papierów różnej wielkości. Pióra są doskonałe, niektóre nawet wykwintne i każdy może z nich wybrać co mu dogadza; oto dowód:

I rozłożył przedemną duży, porządnie wykonany pulares, w którym pod osłoną czerwonego atłasu błyskały rzędami porozpinane wyroby wspomnianej fabryki.

— Ależ to bardzo ładne! I czemuż ja o tem nie wiedziałem? Czemuż fabryka nie rozsyła cenników, nie robi ogłoszeń...

— Oto jest cennik ilustrowany; a co do ogłoszeń, to

robiono je wprawdzie, ale w tak małej ilości, że nie mogły zwrócić uwagi. To kosztuje; a fabryka ma tak mały popyt na swoje wyroby, że *musiałaby się wyrzec prawie całego zarobku, gdyby chciała reklamować się w sposób odpowiedni.* Zresztą, cóż pomogą ogłoszenia, gdy kupcy nie chcą brać towaru, a publiczności wszystko jedno, co jej wetkną w rękę: najlichsze stalówki zagraniczne, które w normalnych warunkach nie wytrzymałyby z krajowemi konkurencyi, dzięki poparciu kupców najwięcej się rozchodzą. Bo niech pan nie sądzi, że teoretyczne zapewnienia...

— Wiem, niestety i właśnie zbieram materyały... Ale jakiż interes mogliby mieć kupcy nasi w popieraniu raczej obcych, niż krajowych wyrobów, skoro i na tych ostatnich mogą mieć odpowiedni rabat?

— O ile mi wiadomo, stosunki są takie, że paru większych składników stara się utrzymać w zależności wszystkich mniejszych. Ci ostatni *dla uniknienia trudu,* sami nie sprowadzają z za granicy, lecz zobowiązują się brać od większych, którzy, mając zapewniony duży zbyt i duży rabat, mogą nadto bez kontroli podnosić ceny na towar zagraniczny. Ten zarobek straciliby, gdyby składy mniejsze brały wprost towar krajowy, a same biorąc także krajowy tylko dla siebie, niemiałyby tak wielkich obrotów. Zgodziliby się może brać i krajowy, ale pod warunkiem, żeby go nikomu innemu nie sprzedawano, a na to znów fabryka zgodzić się nie może, bo straciłaby najkorzystniejszą dla niej sprzedaż detaliczną bez rabatu, albo z mniejszym rabatem.

— Jeżeli tak jest, to stosunki są poprostu opłakane. W Rydze istnieje fabryka stalówek, a kupcom rygskim [2])

---

[2]) Nasze zruszczone dziennikarstwo pisze *ryskim* zam. rygskim, jakby to pochodziło od *rysa,* nie od Ryga. I tak samo pisze *praski,* zam. pragski, jakby to pochodziło od *prasa.*

(Przyp. z r. 1916).

nie przychodzi nawet do głowy, iżby trzeba było sprowadzać wyrób obcy, mając swój, i całe miasto używa własnych stalówek; musi więc istnieć sposób pogodzenia owych sprzecznych interesów.

— Zapewne, ale na to trzeba innej publiczności, niż nasza.

Czy naprawdę nasza publiczność kupująca nigdy nie zacznie myśleć? Czy naprawdę zapał do wyrobów krajowych był tylko ogniem słomianym? Czy już teraz na nowo pragniemy napychać kieszenie obcym, żeby mieli za co wykupywać od nas ziemię?...

Zgnębiony temi pytaniami zabrałem się naprzód do wypróbowania stalówek. Znalazłem między niemi kilka gatunków tak dobrych, że nigdy nie będę pragnął lepszych, a porównywając całkiem odpowiedni gatunek piór Wasilewskiego z takimże modelem słynnej birmingamskiej fabryki I. Masona, zauważyłem tylko, że te ostatnie są nieco elastyczniejsze, ale nie mógłbym powiedzieć, że są wogóle lepsze, gdyż 1-o i między modelami Wasilewskiego są bardzo elastyczne, a 2-o to kwestya gustu.

W takim stanie rzeczy byłoby grzechem nie do darowania, gdybyśmy pierwszej tego rodzaju fabryce krajowej upaść pozwolili.

Że niektórzy panowie kupcy mają jakieś szczególne między sobą układy — nad tem możemy przejść do porządku dziennego.

Nasz zaś porządek dzienny powinien być następujący:

Fabryka p. Wasilewskiego wypuściła w handel między innemi pudełeczka próbne, zawierające większą część (nie rozumiem, dlaczego nie wszystkie) okazów swoich stalówek. Zbiorek taki można nabyć w składzie papieru Krupeckiego, przy ulicy Wierzbowej, za 10 kop. Z tego kompletu należy wybrać, co komu dogadza i następnie zażądać wybranego numeru w większej ilości, albo wprost w fabryce

(telefonu nr. 1791), albo też przez pośrednictwo którego-kolwiek ze składów papieru. W składach, które się nie podejmą dostawy, przestać kupować.

Gdyby publiczność nasza zdobyła się na taki eksperyment, przekonałaby się, że „niezłomne prawa ekonomiczne", na które się powołują osoby interesowane, mogą być zmienione w ciągu jednego sezonu/ a popierając stalówki Wasilewskiego tak, jak poparła ołówki Majewskiego, spełniłaby dobry uczynek, bez żadnego uszczerbku dla kieszeni [3]).

Ci zaś z pomiędzy pp. składników, którzy koniecznie chcą dawać przewagę stalówkom zagranicznym, mogliby je sprowadzać w dalszym ciągu — dla własnego użytku.

X. NASZA NIEOPATRZNOŚĆ [1]).

(1876)

Z pomiędzy licznych uprzedzeń, które w umysłach naszych pod wpływem różnych klęsk społecznych powstały, najszkodliwszem bezwątpienia jest to, że nie należy drażnić naszych uczuć samolubnych wytykaniem wad i zboczeń, lecz raczej ukrywać je i osłaniać.

Ileż szkód ponieśliśmy wskutek tego jednego uprzedzenia! Zamiast rozwijać się i wzmacniać duchowo poprawą błędów — spaliśmy długi czas, owiani mgłą dobrych

---

[3]) Podobno wkrótce potem obrót fabryki znacznie się podniósł—a w kilka lat potem dowiedziałem się, że p. Wasilewski sprzedał swoją fabrykę. *(Przyp. późn.).*

[1]) Druk. w „Pogadankach i Spostrzeżeniach", wydanych w roku 1879.

wspomnień, zacierając złe i nie myśląc o nich; zamiast temi właśnie bolesnemi wspomnieniami pobudzać się do czynów, do czynów trzeźwych i rozważnych, na znajomości własnej opartych.

Przewroty społeczne wyradzały w następstwie tylko apatyę i zniechęcenie; zawody nie pobudzały nas do wybrania innych dróg rozwoju, do silniejszej, choć spokojnej i powolnej pracy, — raczej odbierały tylko siłę i usypiały.

Od pewnego czasu rzeczy zmieniły się na lepsze.

Zaczęliśmy się stosować do wymagań chwili: naciśnieni koniecznością porzuciliśmy uprzedzenia kastowe, wzięliśmy się do handlu i przemysłu; wychowanie młodzieży przybrało bardziej realny kierunek; tu i owdzie powstały różne spółki; inteligencya wiejska zaczęła brać udział w sprawach gminy; zaczęto radzić o sposobach podniesienia upadających gospodarstw; — ale o jednej rzeczy zapomnieliśmy i to o najważniejszej: że reformę należy zacząć od własnego charakteru, od poprawy własnych wad zasadniczych, — bez czego, zmiana klasycznego gimnazyum na realne i nauki tańca na naukę buchalteryi, pożądanych owoców nie wyda.

Przerzucono się z jednej ostateczności w drugą/ i dziś niejeden technik lub kupiec narzeka na niepowodzenie, podobnie jak dawniej narzekali poeci i filolodzy. Ponieważ zaś na kogoś zawsze winę zwalić trzeba/ rozumie się z wyjątkiem samych siebie/ składamy więc winę na żydów. Oni to zabijają nas współzawodnictwem. A dlaczego? — Dlatego, że posiadają te przymioty, o których my zapomnieliśmy, przerzucając się z marzeń do czynu. Choćbyśmy spory procent tej przewagi faktycznej żydów policzyli na karb nieuczciwych środków, to zawsze jeszcze pozostanie dosyć powodów do potwierdzenia tej prawdy, że przewyższają nas oni zaradnością, wytrwałością i oszczędnością, bez których to przymiotów najlepsza znajomość, w szkole nabytej teoryi, nie wystarczy. Nam się zaś zdaje, że od-

dawszy synka do szkoły handlowej, już tem samem zapewniamy mu przyszłość w zawodzie kupieckim. A tymczasem synek jak pierwej marnował pieniądze, tak i teraz marnuje; jak pierwej nie miał wytrwałości, tak i teraz lekkomyślnie przerzuca się od jednego zajęcia do drugiego, jak pierwej nie umiał liczyć się z góry z trudnościami, tak i teraz nie umie.

Otóż te wady naszego charakteru pierwej poprawić należy, zanim się będzie miało prawo powiedzieć, że syn nasz jako kupiec prędzej da sobie radę na świecie niż jako kancelista lub aplikant sądowy. Niedosyć pokonać przesądy, trzeba jeszcze nowemu kierunkowi praktycznemu zapewnić trwałą podstawę.

Tak samo i w ziemiaństwie, które zamiast pożytku klęskęby tylko poniosło, gdyby młodzi synowie rolników przerzucili się tłumnie na pole handlu i przemysłu. Dlaczego ogół nie ma zostać przy rolnictwie? Trzeba tylko więcej nauki specyalnej, wyższego rolniczego wykształcenia, a więc szkół rolniczych, ażeby główny ten dział naszego narodowego gospodarstwa podnieść i stopniowo doskonalić. Lecz i tu szkolne wykształcenie rolnicze na niewiele się przyda bez postarania się o te ważne przymioty moralne, które pracą nad samym sobą młodzież zdobywać powinna, jeżeli chce z chlubą dla kraju i z pożytkiem dla siebie zagon ojczysty uprawiać.

Dobrze więc będzie, jeżeli uprzytomnimy sobie, na czem głównie ta nieudolność nasza polega i jakby ją można usunąć?

Od czasu do czasu pisano u nas o potrzebie wysadzania dróg drzewami, o korzyściach z drzew owocowych, z otaczania niemi domków wiejskich i wogóle zakładania po miastach i miasteczkach ogrodów i sadów, które nie tylko mogą przynosić dochód, nie tylko zapewniają czystość powietrza, ale jeszcze przeplatając domy, w razie pożaru przeszkadzają rozszerzaniu się groźnego żywiołu. Dlacze-

goż dotychczas tak mało z tych rad skorzystano? Dlaczego przy drogach drzewa są niszczone, ogrodownictwo nie podnosi się, a lasy marnieją bezrozumnem ich trzebieniem? Oto dlatego, że *myślimy tylko o rzeczach najbliższych*, o zyskach bezpośrednich, niedbając o te, które nam lub następcom naszym dopiero *dalsza przyszłość* przynieść może.

Rok rocznie całe szeregi miasteczek stają się pastwą pożaru. Czy myślicie, że fakt ten, tak wymowny, stał się dostateczną pobudką do organizowania straży ogniowych? Gdzie tam! Zaledwie większe miasta zdobyły się na lichą obronę, a inne nie myślą o niej wcale; co więcej jedno z miasteczek postawiło pomnik własnej głupocie, odrzucając większością głosów projekt założenia stałej straży ochotniczej! Czyż to nie wyraźny dowód, jak mało pamiętamy o przyszłości?

Ale może przynajmniej umiemy się ratować za pomocą towarzystw ubezpieczeniowych? I to nie. Towarzystwa akcyjne wegetują tylko, a wzajemne ubezpieczenie się między ziemianami jeszcze nawet w życie nie weszło. A przecież cóż prostszego, cóż jaśniejszego nad tę myśl, że zamiast utrzymywać towarzystwa akcyjne i płacić stale/ ziemianie mogliby sami między sobą zawiązać towarzystwo na wzajemności oparte, któreby tylko w razie nieszczęścia wymagało większych wydatków i to głównie w naturze: w drzewie i zbożu! Na nieszczęście każdy woli już w najlepszym razie płacić składkę, aniżeli wziąć się energicznie do rzeczy i własnemi siłami o wspólnej przyszłości pomyśleć [1]).

Toż samo w kwestyach pieniężnych. Wszyscy narzekamy na lichwę, a czemuż nie pomyśleliśmy o bankach rolniczych, czemu tak mało jest kas zaliczkowo-wkładowych

---

[1]) Artykuł ten napisany był przed trzema laty; od tego czasu robiono starania w tym kierunku, które jednak nie wydały rezultatów. *(Przyp. z r. 1879).*

i towarzystw spożywczych, — czemu te, które istnieją, nie mogą liczyć na stałe popracie swych członków? Członkowie nie robią wkładów, lub zupełnie występują z towarzystwa, narzekając na zarząd. Czemuż nie wybiorą innego lub przynajmniej nie wpłyną czynnie na poprawę błędów? Jakże mają wpłynąć, kiedy wcale nie przychodzą na zebrania — tak bardzo dbają o przyszłość towarzystwa!

A jakże często objawiamy podobną nierozwagę i wtedy, kiedy o nasz własny osobisty interes chodzi. Żyd biorący się do handlu zaczyna od kramu, od drobnego sklepiku; — katolik musi mieć zaraz wystawę i lokal większy. Żyd obywa się byle czem; — katolik żyje nad stan a potem narzeka, że z żydami nie może wytrzymać konkurencyi. A jednak mamy przykłady, że ci, którzy umieli zacząć od małego, którzy musieli oszczędzać i pracowali sumiennie a wytrwale/ mimo wszelkich zabiegów żydowskich/ mimo, albo raczej dlatego, że tamci oszukiwali na miarze i wadze, dając towar gorszy, choć niby tańszy — umieli wytrzymać współzawodnictwo a nawet stopniowo handel powiększać z korzyścią dla siebie i drugich.

Trzeba tylko nieco dalej patrzeć i *umieć rozkładać pracę na lata;* a tej właśnie sztuki najmniej posiadamy. Lubimy robić wszystko dorywczo, i jeżeli przedsiębiorstwo od razu nie procentuje, rzucamy je, wybierając inne, nie według własnego uzdolnienia, lecz najczęściej na tej tylko zasadzie, że komuś ten sam interes dobrze poszedł. Ślepe naśladownictwo bierze przewagę nad samodzielną przedsiębiorczością i jedne działy pracy tracą wskutek nadmiaru podaży, a inne leżą odłogiem.

Rzadko kto ma tyle odwagi i wytrzymałości, żeby być pierwszym w jakim dziale/ zwykle czeka dopiero, aż się to innym powiedzie, żeby ich następnie naśladować w widokach prędszych korzyści.

Nie tak postępują niemcy, wydzierając nam stopniowo coraz to więcej źródeł zarobku; umieją oni liczyć się z cza-

sem, poprzestają na małem, i dopiero wtedy odgrywają rolę „panów", kiedy długoletnią pracą i oszczędnością zdobyli majątek [1]).

Nam zaś nic tak trudno nie przychodzi, jak oszczędzanie w widokach przyszłej niezależności. Nie mówiąc już o ludzie wiejskim i małomiasteczkowym, który nie zrozumiał jeszcze korzyści kas oszczędności, iluż to ludzi wykształconych i rozumiejących teoretycznie ich doniosłość, woli raczej, na mocy przestarzałego nałogu, więzić grosz

---

[1]) Porównawcze zestawienie przezorności u różnych narodów, wymagałoby badań statystycznych i historycznych, które muszę odłożyć na przyszłość. Odpowiedniejsze dla nich miejsce znajdzie się w dziele „Psychologia i Historya". Tu tylko, dla uprzytomnienia kontrastów, chcę podać parę wniosków gołosłownych, do których doprowadziły mnie moje spostrzeżenia.

Do najbardziej przezornych narodowości należą niemcy, anglicy, holendrzy i amerykanie — do najmniej: polacy, większość słowian a po większej części i francuzi.

Nadto, są wśród tych narodów znaczne różnice w przejawie przezorności. Na najdłuższą metę i najmniej ryzykownie przewidują niemcy — na najkrótszą, i najbardziej ryzykownie, amerykanie. Anglicy stoją pośrodku; z tą nadto cechą charakterystyczną, że duma narodowa i zbytnie zaufanie we własne siły, każe im najprzód próbować, czy dany cel nie da się osiągnąć najmniejszym kosztem; gdy się okaże, że na ten cel 1000 funtów szterlingów albo 1000 ludzi nie wystarcza, poświęcają 10,000; jeśli i to okaże się niedostatecznem 100,000 i t. d. bez końca. Niemcy przygotowaliby od razu 100,000 a amerykanie 1,000,000, nie dbając o to, że mogą na raz wszystko stracić, ponieważ mają to poczucie, że zaczną robotę na nowo. U niemców i ryzykowność i wytrwałość są stosunkowo mniejsze, ale zdolność spokojnego i cichego obliczania, większa.

U nas zaś wielką jest tylko *ryzykowność*.

(Przyp. późn.).

w szkatule pod kluczem (podobnie jak wieśniak, który go w ziemię zakopuje), niż oddać na procent do kasy oszczędności. A i samo składanie pieniędzy jakże nam trudno przychodzi, — są nawet tacy, którzy wstydziliby się tego, by za sknery nie uchodzić! Do osobliwości należą domy, w których dzieci przyuczają się oszczędzać, — a w najlepszym razie rodzice każą im składać otrzymane pieniądze... na ciastka! I jakże się tu może w dzieciach wyrodzić zamiłowanie do oszczędności rozumnej, do obliczania przyszłych strat i korzyści, do rozkładania pracy na lata i rachowania na własne siły. „Maciek zgotował — Maciek zjadł" i na tem koniec.

Żyjemy z dnia na dzień, narzekając na ciężkie czasy i pocieszając się myślą, że „jakoś to będzie", — a tymczasem z żyda handlarza ulicznego wyrasta pan bankier, z niemca kolonisty pan dziedzic albo właściciel fabryki; dając nam sposobność do nowego narzekania na ciężkie czasy i na żydowsko-niemiecką *przebiegłość*.

Nigdzie chyba nie spotkałbyś tylu co u nas obywateli ziemskich, nie pamiętających, kiedy mają płacić weksle; kupców niewiedzących ile mają dochodu, przemysłowców niedotrzymujących terminu.

Już to — gdyby rachunkowość nie była pierwej znaną, mybyśmy jej nie wynaleźli. Wolimy tracić, niż uwierzyć w buchalteryę i głowę suszyć nad obliczaniem przychodu i rozchodu; a cóż dopiero myśleć o tem, coby trzeba było na lata rozłożyć, cząstkę po cząstce spełniać i kombinować, — to żydowska rzecz, nie szlachecka!

Jeżeli jednostki nie lubią obliczać swego stanu majątkowego, to cóż się dziwić, że i ogół o stosunkach ekonomicznych w kraju nic nie wie, że statystyka jest w kolebce, i że nikt z jej drogocennych wskazówek nie korzysta. Cyfry statystyczne przytaczają się jedynie jako ciekawostki, mało kogo interesujące. Wiemy tylko, że jest źle, ale nie chce nam się radzić, jakby mogło być lepiej. Wprawdzie

bardzo wiele rzeczy nie od nas zależy, ale to nie racya, żeby zaniedbywać te, które od nas zależą. A zależy od nas właśnie najniezbędniejsza rękojmia powodzenia — bo własna umiejętność. Uczyć się,—ale nie tylko nauki teoretycznej, lecz i tej wewnętrznej umiejętności, która całą istotę podnosi i doskonali: — oto pierwsze nasze zadanie. Zbiór wiadomości, choćby nie był prostem obciążeniem pamięci, chociażby był nabyty z rozwagą i pojęciem, będzie zawsze tylko ozdobą rozumu, nie zaś całej duszy, całego człowieka. Dopiero ten, co kształcąc rozum, i o sercu i o woli, a więc i o charakterze swoim pamięta, daje pracy swej dostateczną siłę i podstawę. Wszakże nie dla szkoły, lecz dla życia uczymy się, a życie właśnie wymaga tych przymiotów duchowych: zabiegliwości, wytrwania, roztropności, które w najcięższych warunkach jeszcze dadzą nam siłę do zniesienia biedy i wydobycia się z niej.

A podstawą tych przymiotów, bez której oszczędność, wytrwałość, przezorność nie byłyby zrozumiane i odczute, jest *umiejętność obliczania się z czasem, pamiętania o coraz to dalszej przyszłości.*

Tylko porzucenie machinalnego, nieoględnego sposobu życia i *częstsze sięganie trzeźwem okiem w przyszłość*, może nam dać uczuć potrzebę oszczędności i skłonić do wytrwania w pracy. Musimy przestać być krótkowidzami i zdobyć umiejętność stosowania się do zmiennych warunków bytu, bez której żadne wyższe cielesne czy duchowe życie ostać się nie może.

W rozwoju swym ludzie dochodzą do oceniania coraz to większych okresów czasu i do rachowania się z ich następstwem. Zrazu zaspakajają tylko bieżące potrzeby, później przewidują potrzeby dnia następnego, następnej pory roku, następnych lat i pokoleń. „Ten wyższy stopień odpowiedniości w czasie (mówi Herbert Spencer) niemożliwy dla zwierząt niższych, niejasny u wyższych, i który dopiero u człowieka występuje jasno i dokładnie,

rozwinął się widocznie w ciągu rozwoju cywilizacyi. Dla najniższych plemion ludzkich, nie mających stałych mieszkań, włóczących się z miejsca na miejsce w miarę jak się zmienia ilość korzeni, owoców, owadów, zwierząt dzikich/ rok jest największym peryodem czasu, do jakiego mogą stosować swe postępowanie. Zaledwie można je uważać za istoty *pamiętające o przeszłych i przyszłych wypadkach*, gdyż wskutek ogólnego *braku przezorności* oraz *niezdolności do oceniania przyszłych następstw*, czyny ich odpowiadają zaledwie najgrubszym i najpospolitszym zjawiskom różnych pór roku. Tymczasem w następnych okresach postępu widzimy już budowę chat, hodowlę zwierząt, przemyśliwanie nad różnemi wygodami, — jednem słowem, *dowody znajomości odległych następstw i umiejętności stosowania się do nich*. I stopniowo, w miarę jak się zbliżamy do wyższego układu społecznego, ludzie, sadzący drzewka, które dopiero następnemu pokoleniu przyniosą korzyść/ dający dzieciom swym staranne wychowanie/ budujący domy, które mogą trwać wieki całe/ zabezpieczający swe życie/ walczący dla bogactw lub dla sławy przyszłej,—okazują, że u nich poprzedniki i następniki w myślach, odpowiadają poprzednikom i następnikom w wypadkach zewnętrznych, oddzielonych znacznymi odstępami czasu".

Jeżeli więc nie chcemy pozostać na stopniu owych niezaradnych plemion, zaledwie o jutrze pamiętających, musimy wcześnie przyuczać dzieci nasze do liczenia się z czasem, do rozkładania pracy i zabaw i przewidywania następstw.

Tymczasem u nas dzieci choćby tylko średnio zamożnych rodziców, obracają się i żyją w sferze całkiem od biegu wypadków niezależnej; pozwala się im bawić, lub co gorsza każe się im uczyć według chwilowego kaprysu, bez stałego planu, bez rozkładu zajęć, raz zawiele, drugi raz zamało; stąd też i dziecko staje się kapryśnem, nie mogąc zrozumieć tej niestałej zależności, jaką mu narzucić pra-

gną. Dzieci, któremi się nie kieruje według przypadkowego kaprysu, którym się stale objaśnia zależność przechadzki od pogody, cieplejszego lub lżejszego ubrania od stanu temperatury, pokarmów od zdrowia, głośniejszej lub cichszej zabawy od otoczenia, czytania od stopnia oświetlenia, wydatków na suknie od stanu majątkowego, wreszcie potrzeby pracy od *przyszłych* korzyści moralnych i materyalnych, — dzieci takie, mówię, same będą czuły, że nie można iść do ogrodu zaraz po deszczu, że nie można hałasować, gdy starsi rozmawiają, czytać, gdy jest szara godzina, stroić się, gdy nie ma pieniędzy i zaniedbywać naukę, skoro bez niej nie możnaby wyżyć na świecie.

Lecz jeżeli tych wszystkich zależności od warunków czasowych nie będziemy *objaśniali* dziecku stale na przykładach najbliższych z życia branych, jeżeli mu nie damy odczuć własnem doświadczeniem ich wartości, poprzestając na prostym zakazie lub rozkazie: — wówczas dziecko uczuje się tylko krępowanem w swej swobodzie i nauczy się jedynie biernego a przytem lekkomyślnego poglądu na życie.

A przecież tak łatwo uniknąć tego smutnego następstwa! Z jakąż ochotą i dumą dzieci zgadzają się na pewne ustępstwa od swej rozkiełznanej swobody, jeżeli czują, że je sobie jutro lub pojutrze miłą rozrywką wynagrodzą; jeżeli im się pozwoli samym rozkładać zajęcia i zabawy, robiąc tylko zrozumiałe dla nich uwagi i ostrzeżenia; jeżeli im się da możność zbierania odleglejszych owoców pracy, sadzenia kwiatów, hodowania jedwabników, szczepienia drzewek, budowania altanek, wykończania różnych robót ręcznych, obszywania bielizny, z której same lub rodzice ich długo korzystać i z wdzięcznością wspominać będą, oszczędzania po kilka groszy z każdej sumki, wprawiania się w tłomaczenie, ażeby później przełożyć jakąś komedyjkę do wspólnego grania i t. d. i t. d., nie mówiąc już o przy-

uczaniu starszych dzieci do rzeczywistej choć umiarkowanej pracy dla chleba, celem ulżenia rodzicom.

Wszystkie te zajęcia mogą się stać łatwo prawdziwą przyjemnością dziecka, jeżeli tylko nauczymny je myśleć o *przyszłych* korzyściach *najprzód moralnych tylko* a potem i materyalnych; jeżeli je nauczymy rozkładać pracę w sposób nie męczący na czas dłuższy i *przewidywać jej następstwa w czasie.*

Cóż prostszego nad te rady, które zna każdy, każdy za słuszne uznaje, — a przecież tak mało kto wypełnia! Zwłaszcza też w wychowaniu dziewcząt najważniejsza ze wszystkich myśli: *myśl o przyszłości* jakże rzadko nam przewodniczy! Dziewczę uczy się codziennie muzyki, choćby nie miało do niej najmniejszej zdolności, uczy się mówić paryskim akcentem, chociaż ta nauka na nic mu się później nie przyda, bo do Francyi nie pojedzie, a na nauczycielkę zbyt mało ma *gruntownej* znajomości języka; uczy się tylko dobierać stroje, zamiast nauki kroju i szycia sukien — ba! uczy się nieraz i po angielsku, ażeby mogła czytywać powieści w tym języku; — ale we własnym języku nie umie pisać ortograficznie, nie zna własnych dziejów, własnego piśmiennictwa, — *nie zna warunków społecznych,* w których żyje i do których się będzie musiała stosować, które powinnaby na jaknajwiększą korzyść dla siebie i przyszłej swej rodziny wyzyskać. Dziewcząt nie uczy się higieny — bo to nieprzyzwoite; a przecież toby najlepiej zabezpieczyło *przyszłe* ich zdrowie i zdrowie *przyszłej* ich rodziny. Nie uczy się gospodarstwa,—bo to mieszczaństwem pachnie,—a przecież od gospodarności kobiety *przyszły* byt jej męża i dzieci zależeć będzie. Nie uczy się pedagogiki — bo to *zawcześnie;* a przecież wtedy gdy matką zostanie, nie czas już zbierać teoretyczne z książek wiadomości, których się własnem spostrzeganiem, własnem doświadczeniem nie zdobyło.

Wprawdzie nacisk pism rozumniejszych sprawił to,

że mamy już tu i owdzie po pensyach prywatnych wykłady higieny i pedagogiki — ale Boże odpuść, co to za nauka! Higieny uczy zwykle jakiś stary pedant, który z książek wypisuje cyfry i tablice, a pedagogiki młoda lub stara panna, która naczytawszy się Kremera i Trentowskiego usiłuje sobie przyswoić ich *styl*, pisząc deklamacyjne ustępy o miłości, o małżeństwie, o świętości domowego ogniska i tych każe się wyuczać *na pamięć!*

Spojrzyjmyż raz trzeźwo w życie i w przyszłość. Porzućmy fałszywy wstyd i gonienie za „dystynkcyą“ a dbajmy raczej o to, by zdrowie naszych dzieci dało im możność pracy — a praca szczęście. Nasze panny niechaj przestaną narzekać, że to życie nie jest poematem i że trzeba umieć rachować, chcąc żyć. Bądźmyż mądrzy — przynajmniej po szkodzie; w niepowodzeniach i klęskach społecznych szukajmy przedewszystkiem własnej winy, którą jest *nieopatrzność;* uczmy się własnych dziejów, w ich nagiej prawdzie; wykorzeniajmy wady, które nam siły ujmują, zdobywajmy cnoty, których przeszłość uczy, a które przyszłość nagradza.

(1916 — 1917)

Nie będę tu zastanawiał się nad naszą nieopatrznością państwową, ujawnioną w dziejach — znajdzie ona uwzględnienie w „Psychologii i Historyi“. Wszyscy zresztą wiemy już dzisiaj o tem, że b. często sami sprowadzaliśmy sobie na kark, możliwe do przewidzenia klęski, a powodzeń i zwycięstw nie umieliśmy wyzyskiwać.

Są to przytem rzeczy dalsze, wynikające z bliższych. Jakże mógł być państwowo oględnym i przezornym wódz czy mąż stanu, który tej oględności i przezorności nie miał dla samego siebie? Przywykliśmy rozdzielać te dwie dziedziny, tak jak oddzielamy dzieła talentu od osobistej wartości autora. W teoryi jest to słuszne; w praktyce często

prowadzi do apoteozy typów marnych. Przecież mieliśmy nawet przykład człowieka, niewątpliwie zdolnego, na którym jednak mocno ciążyło podejrzenie szpiegostwa, a jednak forytowanego w dalszym ciągu przez kolegów, nie dbających dostatecznie o zmycie z niego tak haniebnej plamy! Szczęściem są to wypadki b. rzadkie.

Za to o wiele pospolitszym jest taki fakt: człowiek zdolny, rzutki, samodzielny, sprytny, wybija się na czoło stronnictwa. Słusznie. Ale ten człowiek jednocześnie, żyje nie wiadomo z czego, a żyje szumnie. Wspaniały apartament, szykowne podróże, eleganckie obejście, rozległe, choć niegruntowne wykształcenie, zjednywają mu mir wśród swoich, — przewodzi, i ma wszelkie do tego prawo, sądząc z pozoru. Mało kto wie o tem, że u niego codziennie zjawia się komornik, że ma długów po uszy, że tego i owego naraził na dające się przewidzieć straty, że żyje, nie z „jałmużny" broń Boże, ale z „subsydyów", dawanych na cele publiczne przez ludzi bogatych, których oczarował swoim talentem — ku ich celom jednostkowym skręcając chwilowo swoje stronnictwo — że, krótko mówiąc, cała ta świetność i siła, wiszą na włosku, rwącym się i związywanym z dnia na dzień, bez myśli o dalszej przyszłości, traktowanej *loteryjnie;* bo przecież on, taki zręczny, taki przyjemny, taki zapobiegliwy (na najkrótszą metę!), *musi w końcu wygrać!*

Tymczasem, taki talent publiczny, niewątpliwy talent, *musi w końcu przegrać* — a musi w końcu przegrać dlatego, że niemożliwą jest psychologicznie wielka przezorność altruistyczna, publiczna, przy zupełnym braku przezorności egoistycznej, prywatnej. Bliższa koszula ciała niż sukmana; człowiek nie umiejący zarządzać rozważnie własnymi interesami, nie będzie umiał administrować rozumnie sprawami publicznemi. Na dłużej, oczywiście/ nie na jakiś krótki okres. Człowiek nie umiejący ograniczać własnych wydatków, nie będzie też szanował grosza publicznego. A po-

nieważ życie publiczne ma więcej zawiłości i niespodzianek niż prywatne, musi prędzej czy później przyjść taka chwila, w której łatanina z dnia na dzień nie wystarczy i zawiedzie. Dla tego to narody najbardziej wyrobione w życiu publicznem, tak wielu do tego życia wciągają wypróbowanych gospodarzy, administratorów, przemysłowców i kupców, gdy u nas rej wodzą publicyści teoretyczni i ruchliwi frazesowi karyerowicze, albo znów sami wciągamy do roboty ludzi biernych, neutralistów z zasady. Tymczasem, jeżeli niewątpliwie są chwile, w których trzeba być neutralnym, to jednak nie ma takich, w którychby wolno było być neutralnym we wszystkich kierunkach. Zawsze trzeba być czynnym w jakimś kierunku, a nawet wszędzie tam, gdzie czynnym być można/ byle czynnym rozważnie, to znaczy *z umiejętnością przewidywania.*

Samo się przez się rozumie, że w owym związku między przezornością prywatną a publiczną, główną rolę będzie grała sumienność i *uczciwość* — nieposzlakowana uczciwość. Człowiek źle administrujący swoimi interesami, nie popełni jednak błędu publicznego, a może nawet zdobędzie się na większą ofiarność i rozwagę dla kraju niż dla siebie, jeśli tylko jest z gruntu uczciwym. Niestety jednak poczucie obowiązku jest u nas tak mało ustalone, że (jak to widzieliśmy w różnych ostatnich komitetach dobroczynnych) częściej działo się przeciwnie/ a mianowicie, że niektórzy ludzie, względnie uczciwi (w zakresie prywatnym), dorwawszy się niespodzianie do władzy i możności pobocznego zarobkowania, pracując niby dla dobra publicznego, myśleli przedewszystkiem o sobie; a jako nie wyrobieni w uczciwości kupieckiej, poprostu okradali swych bliźnich, nie czując nawet, że tego rodzaju przedsiębiorczość jest poprostu zbrodnią.

U wytrawnych zaś kupców było to zbrodnią jeszcze większą — a niestety aż nadto pospolitą. Już to wogóle w tych ostatnich ciężkich latach nasze kupiectwo dało so-

bie niezbyt pochlebne świadectwo/ i byłoby to ze strony społeczeństwa niedbalstwem nie do darowania, gdybyśmy w te smutne stosunki nie wejrzeli i nie pomyśleli o radykalnych środkach.

Dotychczas wiedziałem tylko tyle, że bardziej niedołężnego kupiectwa nad nasze, nie ma na całym świecie, — teraz wiem nadto, że i pod względem uczciwości wiele ono pozostawia do życzenia. I tak będzie dopóty, dopóki szkoły handlowe będą tylko wykładem nauki o handlu, a nie jednocześnie szkołą charakteru, dopóki praktyka handlowa będzie jedynie wysługiwaniem się pryncypałowi; dopóki nie zajmą się handlem ludzie solidniejsi, swój fach miłujący, i dopóki staranie o bliski, szybki a wielki zarobek chwilowy, nie ustąpi miejsca umiejętności zapewnienia sobie mniejszego, powolniejszego, ale stałego, a więc w rezultacie *większego*.

To musimy nareszcie zrozumieć.

Nie przeczę, że etyka kupiecka, dotychczas nieopracowana, przedstawia pewne zawiłości; wiem, że ideałem kupca będzie zawsze: kupić tanio — sprzedać drogo — sądzę jednak, że tam, gdzie się znajdzie poczucie moralne i gdzie się do niego przyłączy myśl o konieczności rozkładania pracy na lata i przewidywania przyszłości, tam też nie trudno będzie ustalić, gdzie się kończy spekulacya a gdzie zaczyna brak etyki.

Dam przykład: dowiedzieć się, że zabraknie cukru, porobić zapasy i stopniowo podnosić ceny, w miarę rzeczywistego ubywania towaru — jest prawem przewidującego kupca — ale skupić w swoich rękach wszystek cukier przychodzący z fabryk, ukryć go, udać, że go niema, a potem, podbiwszy ceny do niemożliwości, starać się odrazu zarobić zbyt wiele, z krzywdą ogółu, — to dzieło spekulanta-oszusta.

W ostatnich naszych stosunkach przerażająco smutnem było nie to, że się znaleźli tacy spekulanci — bo ta-

kich nigdzie nie brak — ale to, że się nie znalazł ani jeden składnik uczciwy, któryby robocie tamtych próbował przeciwdziałać, poprzestając na mniejszym a uczciwym zarobku. Przypuszczam, że ogół byłby go wyróżnił i zasłużenie poparł — przypuszczam, chociaż nie jestem tego pewny, ze względu na bierność naszej opinii publicznej, umiejącej tylko wymyślać, ale nie umiejącej nic przedsięwziąć. A ponieważ, jak widzimy, i ten czynnik opinii w grę wchodzi, należałoby obok większej uczciwości wśród kupców, szczepić także większy krytycyzm i większą przedsiębiorczość wśród ogółu. Nie byłoby bowiem takich nadużyć, gdyby istniało jakieś rozległe i sprężyście prowadzone Towarzystwo, mające nadzór nad tem co się dzieje w handlu i piętnujące przymusowem niepowodzeniem i ogłoszeniem nazwisk tych kupców, którzy przyjętych na się obowiązków pośrednictwa między producentem a konsumentem, nie spełniają uczciwie.

Takie to proste — a takie „nie przy nas pisane!"

Zorganizować się, nie ze względu na szybkie indywidualne korzyści, ale ze względu na odległe dobro, i nas samych i naszego potomstwa; zbierać owoce za 10 lat, kiedy w Totalizatorze można wygrać za 10 dni — taka alternatywa, nie zatrzymuje nawet na chwilę naszej myśli. „Dał Pan Bóg dzieci — da i na dzieci", „kto nie ryzykuje ten nic nie ma" — powiadamy sobie i... zgrywamy się na polu mokotowskiem. Pan—nie pan, rzemieślnik—nie rzemieślnik, ulicznik—nie ulicznik; wszystko to znosi swoję kapitały do tej nieszczęsnej instytucyi, mającej niby podnosić hodowlę zwierząt a w rzeczywistości poniżającej tylko hodowlę ludzi.

Czyżbyśmy i teraz nie skorzystali z tej przymusowej bezczynności naszej dystyngowanej rulety, znosząc dotychczasowy publiczny hazard na wieczne czasy?

Nadmieniam, że nie potrzeba w tym celu zakazywać wyścigów a nawet zakładów o nie/ trzeba tylko (jak o tem

pisałem szczegółowo przed laty, zreformować racyonalnie same wyścigi. Gdy ktoś, ryzykując 10 rs., będzie wiedział, że zarobi na nich nie więcej jak 1-go lub 2 ruble, wówczas gorączka gry zmieni się w istotną zabawę, która będzie mogła być tolerowana, bez obawy krzywdy dla szerokich warstw społecznych, nie umiejących ani przewidywać, ani panować nad sobą. W każdym zaś razie Totalizator winien być ograniczony znacznym podatkiem na rzecz miasta [1]).

Ci którzy umieją myśleć i przewidywać, niech się już dzisiaj zastanowią nad tem, co będzie do roboty za lat kilka lub kilkanaście .

Stare łacińskie przysłowie mówi: *si vis pacem — para bellum* (jeśli chcesz mieć pokój — gotuj się do wojny). My dzisiaj moglibyśmy utworzyć inne przysłowie, któreby, nie przecząc względnej słuszności dawnego, ujęło drugą stronę kwestyi, a mianowicie: *„Jeśli chcesz mieć dobry pokój — myśl o nim podczas wojny"*.

Mój niestrudzony kolega Edmund Jankowski już o tem pomyślał. Zwołuje już teraz zjazd ogrodników, z uwagi na przyszłą pracę jaka ich czeka po wojnie. „Wojna, mówi on, wykazała znaczenie ogrodownictwa przy żywieniu ludności, zepchnęła na plan daleki szkółkarstwo, obdarzyła pełną wagą przetwórstwo warzyw i owoców. Wojna dotkliwie zaznaczyła nasze braki, jak np. w hodowli nasion, których nam na tę wiosnę nie starczy, w zrzesza-

---

[1]) Według ostatnich wiadomości nasz stołeczny Magistrat ustalił wysokość podatku od kinematografów i kabaretów, oraz niewinnych zabaw publicznych na: 18%—od teatrów i koncertów oraz za widowiska *wyższej wartości artystycznej* (a więc z nową Cenzurą): 10%—od stawek gry w totalizatora... 5% (niezależnie od biletów wejścia). Te ostatnie najmniej zasługują na opodatkowanie, a stawki gry najwięcej. Czyżby Cenzura Magistratu temu rodzajowi gry przyznawała najwyższą wartość artystyczną? I co na to powie Rada Miejska? *(Przyp. z d. 7/II 917).*

niu się do wspólnej pracy, wytwarzaniu nawozów, bez których hodowli roślin być nie może. Jednocześnie ona też nauczyła, że przy pracy moglibyśmy obejść się kwiatami swojej wytwórczości, że moglibyśmy niesprowadzać owoców, byle ich było więcej i lepiej w zimie przechowywanych".

Krótko a użytecznie powiedziane.

Nasi pedagogowie, którzy już teraz mogą rozpocząć robotę, już się zjechali — ale nie mogę powiedzieć, żeby się załatwili krótko a użytecznie. Za dużo tam było ładnego ogólnikowego mówienia, a za mało dyskusyj fachowych i użytecznych. Ponieważ jednak nie brakło ani dobrych głów, ani dobrych chęci, miejmy nadzieję, że coś z tego wyjdzie — i dla pedagogiki. Gdy się już nacieszymy, że nam wolno mówić, może nareszcie przejdziemy do roboty.

Obecnie podobno agituje się zjazd Skautów. Młodzież zorganizowana z całego Królestwa ma się zjechać w Warszawie. Będzie to b. pięknie, byle tylko znów ci nie zabrali się za gorąco do roboty — nie swojej. „Kur. Pol." wystąpił niedawno z pochwałą dla Skautów, za to, że ze zbioru pieśni narodowych wyrzucili „Z dymem pożarów", prawdopodobnie jako nieodpowiednią dla obecnej chwili... Miły Boże! Alboż to pieśni narodowe mają się zmieniać z każdą chwilą obecną? Alboż to „Marsylianka" francuzów nie jest jeszcze mniej odpowiednią dla chwili obecnej? I czyż stokroć piękniejsza i jędrniejsza od „Boże coś Polskę" pieśń „Z dymem pożarów", jeszcze całkiem z nią równouprawniona w r. 1863, ma już być dzisiaj przestarzałą? Prawda, że jest trudniejszą do śpiewania; ale i łatwiejszej „Boże coś Polskę" dziś już moi młodzi rodacy śpiewać nie umieją, bo przerabiając ją na sposób kantyczki, śpiewają dwa drugie wiersze tak jak refren końcowy: „Przed Twe ołtarze...", który ma nutę odmienną i sobie tylko właściwą, gdy pierwszy czterowiersz strofki śpiewano dawniej jednakowo — akcentując odmiennie jedynie to, co się po każdej

strofce powtarza. I to miało jakąś ciągłość logiczną, gdy dzisiejsza przeróbka jest tylko niedbalstwem i nieposzanowaniem tradycyi. Tak samo też w paru miejscach przekręcają melodyę mazurka Dąbrowskiego a niektóre pieśni powstańcze jak np. „Marsz Żuawów" śpiewają całkiem błędnie. *Takie* skażenia mogą i nawet powinni Skauci poprawiać—ale niech się nie bawią w rolę cenzorów, z którą im wcale nie do twarzy.

A jeśli im z tego robię wyrzut, to właśnie dlatego, że ich zbyt cenię, i że całem sercem chciałbym ich widzieć na czele ruchu młodzieńczego poprawiającego *wady narodowe*.

Tylko nie *hymny narodowe*. Wystarczy, jeśli strzedz będą czystości dawnych; a przytem mogą sobie komponować nowe — ile zechcą. Naród je przyjmie albo nie przyjmie. To już jego rzecz — nie Skautów.

Tych kilka luźnych uwag dodaję do artykułu z przed lat 40 — uwag niekompletnych, bo na szczegółowy rozbiór chwili obecnej byłoby jeszcze zawcześnie.

Proszę też czytelnika, żeby je uważał za to czem są i nie brał mi za złe, że bez bliższych motywów a bez ceremonii wypowiadam co mi się na myśl nasuwa. Będę szczęśliwym, jeśli to lub owo zdanie krytyczne, okaże się w następstwach przesadnem, albo wprost niełusznem.

Zakończę zaś te uwagi jedną, b. pocieszającą. Oto przeczytawszy uważnie artykuł z przed lat 40, czytelnik nietrudno zauważy, jak wielkie przez ten czas poczyniliśmy postępy. Nasza nieopatrzność wprawdzie istnieć nie przestała i trzeba wciąż nad jej wytępieniem pracować — ale postępy są znaczne, na różnych polach działalności, mimo b. ciężkich warunków.

Ta myśl powinna nas zagrzewać do dalszej pracy.

XI. JAK ROZWIJAĆ PRZEZORNOŚĆ A TĘPIĆ NIEOPATRZNOŚĆ?

(1917)

1. Jeżeli gdzie to u nas często widzieć można ludzi irytujących się przy zapalaniu zapałek. Pociera się wielokrotnie w prawo i w lewo a zapałka nie chce się zapalić, albo się łamie. Czasem, winne są zapałki, ale częściej nasza nerwowość i nasz brak przezorności. Zapałka nie zapala się, gdy papier do pocierania na pudełku jest starty, bo wtedy odpadają małe ilości zawartego w niej czerwonego fosforu/ a łamie się, gdy jest źle trzymana, nie będąc dość mocną. Tymczasem w b. prosty sposób można temu zapobiedz tak, że ten sam papier do pocierania wystarczy nie tylko na wszystkie patyczki zawarte w pudełku, ale nawet na dziesięć razy większą ich ilość i że żaden się nie złamie.

W tym celu trzeba tylko: nie pocierać po całem pudełku, lecz w jednym punkcie i jednym b. małym ruchem/ przyłożywszy łepek zapałki do papieru i trzymając ją niemal całą, w ten sposób, żeby ją podpierać od strony przeciwnej ruchowi. Wówczas na papierze, po zapaleniu, pozostanie tylko b. słaby znak paromilimetrowej długości, a cała reszta papieru pozostanie nietkniętą.

Skoro więc spostrzeżemy, że dziecko zapala każdą zapałkę zamaszystym ruchem — nauczmy je zapalać przezornie, a w krótkim czasie nie będzie mogło patrzeć na tych, którzy przy tak łatwem zadaniu tak nierozsądnie postępują.

2. Pewna młoda osoba wyjątkowo szybko niszczyła buciki — a ponieważ wychodziła b. rzadko, nie mogłem zrozumieć czem się to dzieje. Jednego dnia, będąc w jej domu, słyszę w sąsiednim pokoju co chwila powtarzające się chodzenie/ tak często, jakgdyby odbywała się tam jakaś nie-

pokojąca robota. A to poprostu owa młoda osoba ubierała się; ale ubierała się w ten sposób, że zamiast jednego lub dwóch przejść przez pokój, potrzebowała dwudziestu lub trzydziestu. Jeżeli np. miała włożyć bluzkę, to zamiast pomyśleć najprzód gdzie ona się znajduje, szła do szafy. Nie znalazłszy jej w szafie, szła do komody; nie znalazłszy w komodzie, do kuchni i t. p. Potem wracała na miejsce i przypomniała sobie, że ją wczoraj odłożyła w kącie, celem zeszycia rozprutego miejsca; szła więc po bluzkę i wracała z nią do toalety. Tu oryentowała się, że i igła była już przygotowana do roboty; szła więc po igłę i wracała. Ale nitka przy niej okazała się zbyt krótką, trzeba więc było iść po drugą, której się szukało w ten sam sposób; potem po drugi kłębek nici, ponieważ się okazało, że nitka czarna jest nieodpowiednią a inny kłębek znajdował się w innem miejscu; wreszcie stały się potrzebnemi nożyczki, które można było wziąć odrazu, a po które chodziła osobno i t. d.

Nie nauczono jej, że przed każdą robotą trzeba najprzód *przewidzieć* co będzie do niej potrzebne i to co potrzebne zabrać odrazu — a wogóle nie przyzwyczajono jej do porządku, któryby pozwolił mieć wszystko pod ręką.

Gdy osoba ta powiedziała, że „wychodzi z domu", można było być pewnym, że dwa lub trzy kwadranse upłyną zanim wyjdzie; w chwili bowiem, gdy się już zbliżała do drzwi, okazywało się, że coś zapomniała, że to lub owo było jeszcze do zrobienia — a załatwiało się to zawsze w sposób powyżej opisany.

Wiadomo, że u nas, zwłaszcze u naszych pań, jest zwyczaj kilkakrotnego żegnania się przy rozstaniu i że zanim się naprawdę rozstaną, odbywa się najprzód dalszy ciąg rozmowy stojący na miejscu, potem koło drzwi, potem jeszcze w przedpokoju — a to wszystko dla tego, że myśli budzą się i nasuwają bezładnie od chwili do chwili, a nie według jakiegokolwiek z góry ułożonego planu.

Należy więc przyuczać dzieci, ażeby zawsze, przed każdym ruchem lub słowem *uprzytomniały* sobie w myśli co mają do zrobienia lub powiedzenia, przewidując i to, co zajść może, chociaż nie jest w planie.

3. Pewien zamożny obywatel ziemski, stracił majątek i musiał szukać zajęcia biurowego. Widywałem go wówczas i nie mogłem zrozumieć dlaczego zbankrutował/ był to bowiem człowiek pracowity, sumienny, inteligentny, nie hulał, nie pił i nie grał w karty. Wkrótce jednak obserwując go zauważyłem niektóre właściwości rzucające światło na jego sprawę. Wskutek zajęcia swego wykonywał często różne obliczenia, ale wykonywał je w ten sposób: na jego biurku leżało zawsze kilka liber papieru, który brał, arkusz po arkuszu, i zapisywał ołówkiem obliczenia. Pisał nie od góry, lecz w środku arkusza, wielkiemi cyframi; a gdy już dosięgnął jednym brzegiem dołu, odrzucał arkusz i brał drugi. Dzięki temu, zawsze co najmniej kilkanaście arkuszy szło do kosza, po robocie na którą wystarczyłaby jedna karta. Wpisując do księgi próbował zawsze kilka stalówek z pudełka i wyrzucał je, zanim natrafił na taką, która mu dogadzała. Tak samo musiał mieć do dyspozycyi kilka ołówków, bo pisał trzymając je pionowo i ciągle łamał a potem temperował tak głęboko i daleko, że w kilką dni ołówek był już za krótki do trzymania w ręku i wtedy szedł także do kosza. Przy pisaniu piórem, wskutek swej nerwowości, często robił kleksy i wtedy najprzód wywabiał je całą garścią różowej bibuły, zmiętej w ręku, a następnie przekonawszy się, że w ten sposób rozmazał tylko plamę, kupował nową księgę i wszystko przepisywał od początku, mocno się irytując na pióra, atrament i bibułę.

Po kilkodniowej takiej obserwacyi zrozumiałem, dla czego nie tylko mógł, ale *musiał* stracić majątek.

Należy pilnować dziecko, żeby zawsze stosowało ekonomicznie środki do celów. Nawet wody do umycia nie powinno nalewać na miednicę za wiele — bo w ten sposób

tylko zachlapie pół pokoju — a przytem i wodą nie należy szafować bezpożytecznie.

Tam gdzie jest kilkoro dzieci, powinno się odrazu przyuczyć je do tego, żeby każde zajmowało dla siebie tyle miejsca i materyałów ile koniecznie potrzeba, a wszelkie marnotrawstwo umiarkować rozdziałem w czasie, zmuszając do przewidywania, że to czego się potrzebuje, może się przed czasem wyczerpać.

4. Każde dziecko powinno mieć na swój wyłączny użytek *kalendarzyk* kieszonkowy, ażeby przywykło do oryentowania się w czasie. Dzień, tydzień, miesiąc, kwartał, powinny się ustalić w jego umyśle przestrzennie — jakby chodziło o ustawianie na stoliku przedmiotów potrzebnych, w należytym porządku i z oszczędnością miejsca. Gdy się wie, gdzie co leży, znajdzie się machinalnie bez straty czasu. I tak samo też powinno się dziać z czasem. Dziecko ma skłonność do życia w teraźniejszości— trzeba je wzwyczaić do życia w przyszłości; trzeba żeby w myśli widziało przed sobą co najmniej tydzień, a wtedy dokonawszy w poniedziałek części tego, co musi być zrobionem w piątek, będzie zadowolone, że w piątek będzie miało więcej wolnego czasu. W przeciwnym razie, żyjąc z dnia na dzień, będzie miało tylko przykre, codzienne niespodzianki. Przykrości wywołają zniechęcenie, a wtedy i nauka nie da całkowitej korzyści. Zasadą powinno być: „co masz zrobić jutro, zrób zaraz", a po kilku dniach takiego nieco przykrego rygoru, znajdzie się czas na wszystko i nigdy nie będzie przeciążenia. To ostatnie bowiem występuje wtedy dopiero, gdy praca jest zbyt *szybką*, a przy powyższej zasadzie, wziętej jako punkt wyjścia, pośpiech stanie się wkrótce zbytecznym.

5. Do wprawy w przewidywaniach na krótką metę, b. są pożyteczne *barometr* i *termometr*, które też zawsze powinny się znajdować w każdym domu zamożniejszym. Dziecko się takiemi rzeczami interesuje, i samo łatwiej nauczy się brać parasol, gdy jest możliwy deszcz, albo ubie-

rać cieplej, gdy mróz się wzmaga. Uniknie się w ten sposób gołosłownych, a dla dziecka kapryśnych nakazów i zakazów, tak często wywołujących kwasy domowe. Zwolna też nauczy się kombinować i na dłuższą metę, przekonawszy się, że gdy zima jest cięższą, za to lato będzie prawdopodobnie pogodniejszem. Nieźle też jest uczyć je przysłów meteorologicznych, żądając ich sprawdzenia; ostrzegając tylko, że tego rodzaju przepowiednie, jako oparte na *przeciętnych* spostrzeżeniach, nie mogą mieć wartości bezwzględnej.

6. Dziecko powinno być przyuczone do szanowania ubrania przez wzgląd na przyszłość. Nowej odzieży nie powinno wdziewać na stałe. Wracając do domu powinno nawet dawniejsze ale jeszcze porządne ubranie zmienić na starsze, byle tylko oczyszczone i naprawione. Powinno samo oglądać je przy rozbieraniu i wskazywać na konieczność poprawki, które dziewczęta zwłaszcza, same uskuteczniać mają. Zarówno zmiana odzieży jak obuwia, jest ważną i pod względem przyzwyczajenia do przezorności i przez wzgląd na oszczędność; ubranie bowiem także potrzebuje wypoczynku. Po zdjęciu zaś ma być złożone porządnie, nie byle jak ciśnięte, i składane zawsze na tem samem miejscu. Zmiana butów, po powrocie do domu, na starsze, ma jeszcze znaczenie hygieniczne, daje bowiem wypoczynek stopom, chroniąc je od odcisków. Nigdy też obuwie dziecinne nie powinno być ciasne, nawet w pierwszej chwili — czego zwłaszcza u dziewcząt pilnować należy. Chodzenie boso, choćby przez kilka chwil w mieszkaniu, a w lecie po rosie, jest zawsze pożądane, zabezpiecza bowiem od zaziębień, hartuje i leczy katary. W okrywaniu głowy należy również strzedz się zbytecznej troskliwości, bo dziecko przyzwyczajone do osłaniania się od wiatru lub słońca, najłatwiej się naraża na złe następstwa. Stopniowe hartowanie jest zawsze jednym z warunków zdrowia. Nie dowodzi też przezorności noszenie szalików, zupełnie niepotrzebnych. Chłop

ma zawsze szyję i pierś odkrytą i dlatego jest bardziej zahartowany.

7. Nie należy dzieci zmuszać do jedzenia, ale jeść powinny mniej lub więcej, o stałych godzinach. Gdy mają wyjść z domu, trochę wcześniej — przewidując, że w przeciwnym razie doświadczą złych skutków przegłodzenia. W wyjątkowych jednak okolicznościach trzeba tolerować zmiany, również w widokach wyjątkowego zahartowania, w razie konieczności. Niedopuszczać łakomstwa i obżarstwa, jako powodującego ociężałość i inne wady. Trunków wcale nie dawać — a wodę tylko w razie wyjątkowego pragnienia. Picie wody przy jedzeniu w warunkach normalnych/ jest zbyteczne. Po rozgrzaniu należy pić wolno i zawsze trochę mniej niż wskazuje pragnienie. U dziewcząt już rozwiniętych, niezbędną jest specyalna ostrożność co do oziębienia żołądka i wogóle zaziębień podczas peryodu. Pamiętać jednak należy zawsze, że zaziębienie polega nie tyle na przeziębnięciu/ przy nnych warunkach normalnych/ ile na nagłem a zwłaszcza miejscowem tylko oziębieniu, *po rozgrzaniu*, albo nawet po samem rozgrzaniu. Mniej szkodliwem jest wyjście na chłód chwilowo bez okrycia, niż siedzenie w pokoju przy oknie, z którego wieje, oziębiając ciało jednostronnie. Zanurzenie nóg w zimną wodę na chwilę przed zaśnięciem bez obcierania, lecz okrywając je natychmiast, nie tylko nie szkodzi, ale na dłuższy dystans jest b. pomocnem i dla snu i dla zdrowia wogóle. Nie należy nigdy zabiegów hartujących oceniać ze stanowiska chwili, lecz zawsze ze względu na przyszłość, bo taka tylko ich ocena jest prawdziwą przezornością.

8. Często zdolność przewidywania nie może się rozwinąć wskutek niewyrobienia zmysłu do obserwowania samego siebie. Oto przykład: chłopiec ćwiczy się w strzelaniu do celu. Mierzy dobrze a mimo to stale dołuje i zniechęca się. Niespostrzega bowiem, że pociągając za cyngiel, jednocześnie broń obniża. Trzeba mu zwrócić na to uwagę i przy-

uczyć do ostrożniejszego pociągania. Albo też zawsze góruje na prawo, niespostrzegając że w chwili strzału zwalnia skurcz palców a strzał broń unosi.

Przy jeździe konnej brak odpowiedniej przezorności często powoduje wypadki. Trzeba się wprawiać w ich przewidywanie i zawsze dobrze podtrzymywać konia cuglami i kolanami, co na konia działa sugestyjnie. Czasem koń jest zgóry nieusposobiony do jazdy, albo niechętny dla nowego jeźdźca. To też nie powinno się nigdy siadać na konia niespodziewanie, tylko zawsze od frontu, pokazawszy mu się dokładnie, przemawiając do niego i klepiąc po szyi, celem życzliwego usposobienia. Na siodle zaś spokój i giętkość w poddawaniu się jego ruchom stanowią pierwsze zasady dobrej jazdy. Giętkość ruchów polacy (i węgrzy) posiadają w wysokim stopniu i wskutek tego jeżdżą wogóle lepiej od niemców — ale co się tyczy spokoju, tego nam często brak. Nasza gorączkowość odbija się najlepiej na naszych dorożkarzach. Dorożkarz polski, trzyma w prawej ręce bat, którym konia bezustannie i całkiem niepotrzebnie trąca—wskutek czego koń staje się mało wrażliwym na uderzenia — a lewą ręką bezustannie, i jeszcze bardziej niepotrzebnie, konia szarpie lejcami. Tak głupiego powożenia nie widzi się na całym świecie. Koń to wszystko znosi, ale tępieje i staje się leniwym, o ile nie jest szarpany — a bez tego niemądrego nałogu chodziłby chętnie i niezatracał ambicyi, czego nasz przeciętny woźnica przy swoim braku obserwacyi i przezorności, nie przewiduje.

Charakterystyczną jest również nieopatrzność naszych woźniców przy skręcaniu na rogach ulic. Policya rosyjska musiała pisać o tem specyalne odezwy z surowemi karami, zalecając zwalnianie biegu — ale i to nie na długo skutkowało; i jeśli obecnie mało jest wypadków, to tylko dzięki bez porównania mniejszemu ruchowi niż przed wojną. Trzeba jednak przewidywać, że po wojnie Warszawa stanie się znowu tem czem była, jednem z najruchliwszych

miast w Europie. W Wiedniu jeżdżą dorożkarze wogóle szybciej niż w Warszawie, ale wskutek większej ostrożności woźniców wypadków jest mniej niż u nas. Przypominam jak wolno nasza publiczność nauczyła się ostrożności wobec tramwajów elektrycznych. W pierwszym roku ich wprowadzenia były codzienne wypadki przejechania.

Musimy też wyznać ze wstydem, że wielu porządków nauczyli nas żandarmi rosyjscy i niemiecko-rosyjscy oberpolicmajstrzy m. Warszawy.

Tak np. w mojem dzieciństwie nieznanym jeszcze był porządek przy kasach teatralnych: ludzie cisnęli się jeden przez drugiego. A od czasu do czasu jakiś „pan" znajomy lub niebiorący reszty, sięgał ręką przez głowy i dostawał bilet wcześniej niż inni pracujący przy kasie łokciami. Dopiero może przed 30 laty polecono przyjmować interesantów tylko kolejno podchodzących z jednej strony i odchodzących z drugiej. Dzisiejsze „ogonki" przy piekarniach i sklepach komitetowych są już dowodem jak wiele nauczyła nas nędza. Ale nauczyła!

Sama też publiczność spacerująca w dzień świąteczny a pogodny po Nowym Świecie nauczyła się tej przezorności, ażeby iść dwiema kolumnami: jedna w prawo, druga w lewo. Dawniej cały tłum szedł chaotycznie, potrącając się i depcąc sobie po palcach.

9. Rozpoczynając jakąkolwiek nową robotę należy czuwać nad tem, żeby nie popełnić *pierwszej omyłki*. Stosuje się to między innemi do nauki czytania, pisania, gry na fortepianie i t. p. Przy rozpoczynaniu gam np. należy je prowadzić tak wolno, żeby omyłka była niemożliwą — potem przyśpieszać b. stopniowo/ inaczej błąd raz popełniony będzie ciągle wracał.

W innej dziedzinie taż sama przezorność może występować w różnych formach. Ile razy robimy coś poraz pierwszy, albo poraz pierwszy poddajemy się jakiejś chętce, należy pomyśleć czy nie stanie się to nałogiem krępują-

cym/ czy więc nie lepiej będzie zwalczyć ową pierwszą chętkę lub uniknąć pierwszego błędu? Tak np. b. łatwo przyzwyczaić się do sypiania w dzień, co nas czyni niedołężnymi na kilka godzin, gdy zajdzie przeszkoda — chyba że ktoś ma już tyle władzy nad sobą, że może spać albo nie spać, stosownie do okoliczności. Zawsze trzeba mieć na myśli *następstwa* wszelkich poczynających się przyzwyczajeń i ewentualnie przeszkodzić utrwaleniu się nałogu.

10. Nasza nieopatrzność występuje niekiedy w formach tak jaskrawych, że dla innych narodowości staje się niepodobną do wiary. Miałem przed laty znajomego o pewnych ambicyach literackich, który koniecznie chciał zostać redaktorem pisma. Kupił więc wydawnictwo upadające, za niewielką sumę jaką posiadał, i, nie mając żadnego kapitału na prowadzenie go, a licząc, po polsku, na szybkie powodzenie, rozpoczął dzieło. W przeciwieństwie do owego obywatela ziemskiego, o którym powyżej wspominałem, był to człowiek b. oszczędny. Dla siebie niczego nie potrzebował i jednego grosza na marne nie wyrzucił. Ale — tak dalece nie miał pojęcia o przyszłości, o skutkach gromadzących się przyczyn, tak łatwo ulegał złudzeniom pod wpływem życzeń, że gdy np. za kilka dni miał termin jakiejś wypłaty, zawsze był pewny, że przed terminem wpłynie suma dwa razy większa. A ponieważ w najlepszym razie wpływała niedostateczna, trzeba ją było dopełniać drobnemi pożyczkami. Pożyczał więc po kilkanaście albo kilkadziesiąt rubli od żydów/ zawsze tylko na kilkodniowy termin, bo to było jedynie „wyjątkowe" opóźnienie wpływów. Gdy w terminie nie mógł oddać 50 rs., dawał 5 rs. od ręki za zwłokę kilkodniową. Potem drugie 5 rs. i tak dalej bez końca. A procenty ciągle się dopisywały. Widząc, że jest na tym punkcie zupełnie niepoczytalny, chciałem go ratować uporządkowaniem jego interesów. Nie było to łatwem, bo nie zapisując wszystkiego, nie wiedział nawet ile ma długów. Z wielkim trudem udało mi się stwierdzić, że ma

40 kilku żydów wierzycieli, od których pożyczył faktycznie razem tylko 400 rubli. Ale według kwitów, wskutek dobrowolnych dopisywań za zwłokę oraz procentów istotnych, winien był już przeszło 2,000 rs. Znaczną część tego długu spłaciłem z wpływów redakcyjnych. Nic to jednak nie pomogło, bo sam w d. c. pożyczał po kilka rubli na potrzeby domowe, według tej samej metody. Ostatecznie, z człowieka uczciwego a nawet ofiarnego, stał się oszustem, uczuwszy nóż na gardle. Gdy miano go fantować, wyłudził od mojej matki (która go znała jako człowieka rzetelnego) pożyczkę tysiąca rubli przeznaczonych na moje studya za granicą. Pożyczył tylko „do jutra", błagając ze łzami na kolanach, by ratowała jego dzieci. Gdym się o tem dowiedział, już było zapóźno i pieniądze nasze, z trudem oszczędzane pieniądze, przepadły. Ale nie na tem skończyła się jego wdzięczność dla mnie. W kilka lat potem, gdy już zerwałem z nim wszelkie stosunki, podrobił mój podpis na wekslu również tysiąc-rublowej pożyczki w pewnym banku. Właściwie nie podrobił, tylko bez naśladowania wypisał kaligraficznie moje imię i nazwisko. Różnica charakteru była zbyt widoczną, więc zwolniono mnie z pretensyi. W owej chwili był to już człowiek bez ambicyi. Gdym go zapytał, jakim cudem figuruje moje nazwisko na jego wekslu, odpowiedział: „A bo ja pana podpisałem". — „Jakto! I mówisz pan to tak bez zająknienia?" — „Przecież wiedziałem, że pan nie zechce podpisać — więc cóż miałem robić?..."

Takich wypadków przejścia od naszej pospolitej, polskiej nieopatrzności do zupełnego upadku moralnego, mógłbym przytoczyć cały szereg, zwłaszcza ze stosunków galicyjskich, gdzie kwitło długi czas urzędnictwo i życie nad stan, wśród zbankrutowanej szlachty. A sens moralny chyba jasny:

Niedopuszczajcie pierwszego nierozważnego czynu

bez myśli o przyszłości, chociażby w najdrobniejszym zakresie!

Wstrzymujcie siebie i drugich od pierwszego przejawu życia nad stan!

Obliczajcie zawsze najprzód możliwe straty, a potem dopiero możliwe korzyści!

Wykreślcie z waszego życia liczenie na „szczęście", na „los", na „Opatrzność" boską, na „wdzięczność" i pomoc ludzką i na „jakoś to będzie" — a uczcie się obliczać stosunki rzeczywiste!

11. Gdyby z naszych szkół średnich wyrzucono całkiem matematykę wyższą a natomiast uczono w nich starannie i dokładnie *rachunku pamięciowego* — nie byłoby to poniżeniem, lecz raczej podwyższeniem wartości nauki szkolnej. Nie ma bowiem kraju, w którymby tak nie umiano liczyć jak u nas. Gdy kupujesz cztery jakieś paczki po 35 kop., już wprawiasz w wielki kłopot sprzedającego. Na targu baby codziennie handlujące jeszcze się nie zdecydowały czy liczyć na złote czy na ruble i liczą np.: 1 rubel i 2 złote. Każdy ulicznik żydowski rachuje wprawniej niż nasz wytrawny kupiec. W ostatnim okresie wprowadzenie osobnych kasyerek w większych sklepach poprawiło stosunki/ ale nie mniej przeciętny Polak, nawet taki który skończył uniwersytet, ma zawsze trudności z mnożeniem i dzieleniem.

Natomiast mamy niezwykły pociąg do loteryi i ruletty; nikt bowiem niezdaje sobie sprawy, czem jest w tych instytucyach *prawdopodobieństwo* wygrania, i każdemu się zdaje, że ma taką samą szansę zarobienia jak urządzający loteryę lub ruletę. W żadnym też kraju nie ma tylu wynalazców „pewnych" metod wygrania.

Ale najgorszą, bo powszechną demoralizacyę, przy naszym nieopatrznym charakterze, wywołuje austryacka *loterya liczbowa*. Tu bowiem do żyłki łatwego zbogacenia

się przyłącza się nadto zabobonna wiara naszych pań i sług w wartość numerów wyśnionych.

W wychowaniu, należałoby znieść wszelkie gry hazardowe — i nie tolerować nawet loteryjki ze stawkami pieniężnemi.

O karciarstwie, innej naszej pladze narodowej, rozkrzewionej w ostatnich okresach nawet wśród młodzieży— nie mówię, bo rzecz rozumie się sama przez się. Przy naszym systemie zapraszania i namawiania, jest na to tylko jeden sposób: nie grać wcale. Lecz mówiąc to, wiem doskonale, że rzucam groch na ścianę. My umiemy zwyciężać liczniejszego przeciwnika w polu — ale nie samego siebie w domu.

Wśród gier, najbardziej ucząca przezorności, jako całkiem niezależna od losu, jest gra w szachy. Ale i tu nasza nieopatrzność potrafi się wcisnąć boczną drogą. Gra w szachy uczy ostrożności, obrachowywania i przezorności — jako namiętność jednak, nie powstrzymana w porę, może się sama stać klęską.

Miałem kolegę, człowieka b. zdolnego w kilku kierunkach a zwłaszcze w matematyce. Obiecywał b. wiele i w naszem gimnazyum był jednym z szanowanych prowodyrów młodzieży. Na nieszczęście jako doskonały szachista, grywał zbyt często. W końcu doszedł do tego, że nic innego nie robił. Cały dzień leżał w łóżku, nie ubierając się, bo mu w tem „przeszkadzali" koledzy przychodzący na partyjkę. Grał leżąc na ziemi na sienniku (bo łóżka już nie miał) pod kołdrą. — Jak tobie nie żal czasu na takie próżnowanie?... rzekłem do niego. — Na to i czasu nie potrzeba... odpowiedział filozoficznie.

Zmarnował się gruntownie, pracując w jakimś kantorze za marne pieniądze. A myśleliśmy, że zostanie Laplacem albo Newtonem!

Powyższe ilustracye przytoczyłem sumarycznie, dla oszczędzenia miejsca.

Liczę na to, że myślący czytelnik sam z nich wyprowadzi odpowiednie konsekwencye i wskazówki.

Najprostszą metodą wyrabiania przezorności będzie zawsze zapisywanie wydatków, robienie bilansów oraz odkładanie zbywających w danej chwili zasobów, zwłaszcza przy każdej większej odebranej sumie i lokowanie ich w kasie oszczędności. Ale trzeba postanowić sobie, i dotrzymać, żeby ich nie podnosić przed pewnym odległym terminem.

Tak np. młodzież szkolna mogłaby składać część swoich wpływów na procent, aż do ukończenia gimnazyum.

XII. NASZE OSOBNICTWO.

(1916 — 17)

Ze spraw, naszego odrodzenia narodowego dotyczących, mało która odgrywa tak ważną rolę, jak kwestya głębszej, ściślejszej łączności między jednostkami. Dlatego, to co powiedziałem poprzednio, z okazyi poglądów Kaliszewskiego o braku u nas łączności duchowej, chcę jeszcze dopełnić uwagami nad spójnością społeczną wogóle, nad tem co francuzi nazywają solidarnością, a na co my całkiem odpowiedniego wyrazu nie posiadamy.

Czesi używają wyrazu *wzajemność*, w znaczeniu np. „solidarności słowiańskiej" — u nas wyraz ten odnosi się tylko albo do stosunków miłosnych (miłość wzajemna, miłość bez wzajemności) albo też do interesów pieniężnych (Tow. Wzajemnego Kredytu i t. p.).

Niejednokrotnie już naznaczono, że jesteśmy *indywidualistami*. Ale i ten wyraz nie jest odpowiednim dla oznaczenia naszego braku solidarności. Przedewszystkiem

bowiem istnieją dwa b. różne typy indywidualizmu: angielski i polski. Pierwszy jest czynnym w sobie i czynnym na zewnątrz—drugi przeważnie biernym w obu kierunkach [1]). Wyjątkowe jednostki zdradzające u nas temperament czynny, odbijają jaskrawo od tła ogólnego i częściej spotykają się z opozycyą niż z uznaniem. A nieraz w tem właśnie, co najbardziej zasługiwałoby na uznanie i poparcie.

Na nieszczęście, jako typ nie czysto polski, jednostki takie noszą w sobie zwykle i inne cechy niepolskie, np. skłonność do despotyzmu/ i tem same paraliżują swoją działalność. Polak bowiem nie znosi despotyzmu. Chcę powiedzieć, że nie znosi despotyzmu jawnego, znosząc dość

---

[1]) Indywidualizm różnych narodowości, nie da się ułożyć w jeden szereg. Typ angielski łączy się z pewnem lekceważeniem obcej pomocy („splendid isolation") — polski zaś z naiwną wiarą w obcą pomoc. Przytem angielski oparty jest na wyjątkowej spoistości patryotycznej (armie czysto ochotnicze) — polski, na braku takiej spoistości (magnaci — szlachta — duchowieństwo — robotnicy — żydzi — lud wiejski, a poza tem rody, familie i jednostki, wśród których „każdy sobie pan" i „wolnoć Tomku w swoim domku"). Łączność duchowa francuzów jest pozornie najmniejszą (nigdzie tak nie wymyślają własnym mężom stanu jak we Francyi i nigdzie nie ma takiej skłonności do rewolucyj. Ale są to cechy powierzchowne, miarkowane głębszemi. Nie miarkowane, występują silniej w republikach południowo-amerykańskich romańskiego pochodzenia (Meksyk etc.) i także w Hiszpanii. We Francyi zaś, w chwilach ogólnego patryotycznego podniecenia, łączność narodowa bywa znacznie większą niż w Polsce w analogicznych warunkach. Na codzień jest też znacznie większą. U niemców upada tylko chwilowo, po wielkich klęskach. U polaków bywa raczej wprost przeciwnie.

Bardzo spoistymi narodami są turcy i węgrzy — posiadający dzięki temu talent duszenia obcych elementów wewnętrznych. Talent duszenia posiadają też rosyanie, ale nie dzięki własnej spoistości.

łatwo zamaskowany. A tymczasem jednostki, chcąc coś zorganizować, i raz złożoną organizacyę równo prowadzić/ odczuwając, że wszystko się rozprzęgnie jeśli nie obejmą dyktatury/ obejmują ją zbyt wyraźnie przez miłość dla sprawy i tem sobie własną robotę ubezwładniają.

Jakaż na to rada? Ta, żeby polak tą samodzielnością obdarzony, nauczył się naginać ją do form parlamentarnych, — we wszystkiem radząc się kolegów/ w ten sposób jedynie grunt przygotowując, żeby ta rada nie wypadła całkiem sprzecznie z zasadniczemi jego życzeniami — co wśród polaków nie będzie zbyt trudnem. Zresztą jest to zasada, niezależnie od wszelkiej polityki słuszna i sprawiedliwa. W każdej pracy zbiorowej powinno się działać *łącznie*.

A tego nam brak. Muszę jednak podkreślić, że to co wyżej powiedziałem stosuje się do polaków w życiu codziennem. W życiu odświętnem, to znaczy wśród ogólnego podniecenia uczuć, jest inaczej. Jest lepiej — albo jeszcze

---

Składają się na to inne czynniki, mniej trwałe. Talent asymilacyi posiadają słowianie dość znaczny (Bulgarya) a polacy bodaj czy nie najwyższy — zmniejszony tylko faktycznie nieopatrznością polityczną i brakiem więzi państwowej, dającej dotychczas siłę Rosyi. Wogóle jednak *rusyfikacya*, jako oparta na wpływach zewnętrznych, nie wewnętrznych, daje skutki mniejsze niż *madyaryzacya*, jako oparta na jednych i drugich, lub *germanizacya*, oparta przeważnie na sile i nauce, choć nie zawsze dość zręcznie stosowanych. Przezorność niemców, olbrzymia w stosunku do nich samych, słabnie w stosunku do innych narodów, ale zawsze jest większą niż u nas. Wyjątkowe miejsce zajmują z jednej strony żydzi, z drugiej amerykanie. U pierwszych spoistość jest największa a osobnictwo najsłabsze. U drugich i spoistość i indywidualizm osiągają stopień b. wysoki, nie szkodząc sobie wzajemnie. Ściślejszy wywód tych kwestyj znajdzie się w „Psychologii i Historyi".

gorzej. Lepiej, bo polak świąteczny doskonale znosi despotyzm (w imię haseł narodowych) — gorzej — jeśli ten, który podjął się dyktatury, nie używa jej dostatecznie. A tak właśnie bywało u nas zwykle, gdy na czele stanęli (pod naciskiem okoliczności) ludzie czysto polskiego charakteru, Chłopiccy lub Skrzynecccy.

Zresztą nasza niekarność, nasze warcholstwo, rzadziej się objawiają w sferze wojskowej — częściej w codziennej pracy cywilnej. A o niej głównie chcę tu mówić.

Nasze przysłowie powiada, że gdzie się zejdzie trzech niemców, tam zaraz tworzą *Verein*. A inne, że „u nas w Polsce, jak kto chce", „ten do Sasa, ten do lasa", „co głowa to rozum" i że tam, gdzie się zbierze trzech polaków, powstaną zaraz cztery stronnictwa — cztery a nie trzy, bo przynajmniej jeden będzie miał dwa zdania, jedno na codzień, drugie od święta, niespostrzegając tego, że się z sobą nie godzą. Mamy umysły b. lotne a mało ścisłe.

O ile mi wiadomo, niema w Polsce takiego przysłowia, któreby bezwzględnie przemawiało za potrzebą łączności, chociaż mają je nawet rusini, tak jeszcze niewyrobieni politycznie, ale broniący w Wiedniu swojej sprawy lepiej niż my naszej (tylko że nam bardziej sprzyjały okoliczności). Przysłowie to brzmi: „hromada wełykij czełowik".

Otóż u nas takiego przysłowia niema. Natomiast jest inne, które mówi:

„Gdzie gromada, tam strzała daremnie nie wpada",

czyli że bezpieczniej jest *nie* iść gromadą.

Inne, jak: „człowiek przepada — żyje gromada" odpowiadają temu co wyraża twierdzenie: „dłużej klasztora niż przeora", jednocześnie lekceważące władzę — i jeszcze inne: „nie było nas — był las; nie będzie nas — będzie las", jednocześnie charakteryzujące nasze niedbalstwo, nasze „jakoś to będzie", naszą nieopatrzność; boć trafiają się

i takie wypadki, że my jeszcze dyszymy, a las już popłynął do Gdańska.

Charakterystycznem jest również, że/ jeśli się nie mylę/ wszystkie polskie przysłowia mówiące o spółkach — mówią *przeciw* nim. Oto one:

„Na spółki płakały jaskółki".
„I djabeł spółki nie chciał".
„Najlepsza spółka: mąż i żonka".
„Najlepsza spółka z własną kieszenią".
„Co się źle złącza, dobrze się rozwodzi".

Reszty charakterystyki dopełnia nasze swoiste: *liberum veto,* akcentujące jeszcze bardziej to co nazywam *osobnictwem.*

O *liberum veto* pisałem obszernie w „Pierwiastkach charakteru narodowego", które znajdą miejsce w dziele „Psychologia i Historya"/ jeśli mi czas starczy na wydanie go/ tu więc powtarzać się nie będę. Nadmienię tylko, że miało ono jedynie znaczenie odporne: przeszkody w uchwałach, a nie czynne, w narzucaniu ogółowi woli jednostki. Tego nie znosiliśmy.

Należy też odróżniać *jednomyślność* od *solidarności.* Solidarność mieli i mają żydzi — my miewaliśmy i miewamy jednomyślność. Czasem sztuczną i krępującą, jak w wiedeńskiej Radzie Państwa — czasem mazgajowatą i naiwną, jak przez długi czas w Berlinie — czasem naturalną i szczerą, jak w chwilach wyjątkowych uniesień. Jednomyślność osiągaliśmy dawniej czapką, papką i solą, jeszcze dawniej kijem — a najczęściej brakiem rozwagi w zdaniu i wytrwałości w oporze, albo wprost zbyt szybką zmianą przekonań. Opowiadano mi, że przed samem powstaniem, na zebraniu ziemian lubelskich, jednomyślnie uchwalono opierać się powstaniu — nazajutrz wszyscy poszli do powstania. Nie mówię, że stało się źle — charakteryzuję tylko naszą nietrwałą jednomyślność.

O braku solidarności świadczą same powstania. Ten nie chciał służyć pod tamtym; ów spóźnił się; jeszcze inny, wolał ocalić siebie lub partyę; i ostatecznie, w tej plątaninie poświęceń i bohaterstwa, egoizmów i prywaty, zbyt wiele przedsięwzięć szło na marne.

Należy wreszcie odróżniać *braterstwo* w znaczeniu miłości między braćmi, która u nas była dość pospolitą, wobec wogóle silnych związków rodzinnych/ od b r a t e r s t w a w znaczeniu szerszem, czyli właściwego braterstwa rodaków—co odpowiada francuskiemu: *fraternité*, a w części także pojęciu *solidarności*. Takiego braterstwa u nas nie było — a o ile się trafiło, uważano je za osobliwy wyjątek („bracia ślubni", sprzysiężenia), wymagający nadzwyczajnych przysiąg i nadzwyczajnych okoliczności.

To też gdy rewolucyoniści francuscy przyjęli trójwyrazowe hasło: Wolność, *Równość, Braterstwo*, nasi rewolucyoniści, naśladując ich, pozostawili bez zmiany tylko Wolność, a dwa inne zastąpili wyrazami: *Całość, Niepodległość*.

Nie mniej jednak nasze „braterstwo" może się stosować i w najszerszem znaczeniu: łączności ogólnoludzkiej. Tymczasem u niemców, u których solidarność narodowa jest bezporównania większą niż u nas, wyraz braterstwo (Brüderschaft) nie da się już zastosować do łączności z innymi narodami (chyba w znaczeniu chwilowego *braterstwa broni)* a tem mniej z całą ludzkością. „Bruderszafty" oznaczają *koleżeństwo;* tylko pojęte głębiej i ściślej niż nasze koleżeństwo, które jest raczej wyrazem przypadkowego zetknięcia przez pewien czas, niż wyrazem łączności duchowej. Toż samo dotyczy pojęcia *Burszenszaftów*, zupełnie nam obcego. Student polski, chcąc podkreślić większą życzliwość danego kolegi, mówi: „to dobry *bursz*", bo polskiego wyrazu nie ma. Był wprawdzie dawny wyraz starosłowiański *druh*, obecnie wznowiony, ale się zatarł w naszych już czysto polskich dziejach, wraz z dawnem pojęciem za*drugi* (rozszerzonych związków rodzinnych, w których je-

den stawał *za drugiego*, przy wspólnocie majątkowej). Tak samo brakowało nam wyrazu na oznaczenie zgodnej łączności wogóle, który to brak b. szczęśliwie usunął p. Antoni Sygietyński swoim neologizmem: „zespół", odpowiadającym francuskiemu „ensemble".

Dla niemców (ludzi wojny) charakterystycznem jest połączenie koleżeństwa ściślejszego studenckiego z pojedynkami, które są rodzajem szkoły dla przyszłego wojaka. Mało który bursz nie jest pokiereszowany, a każdy się tem chlubi. U nas (ludzi od *pola rolnego* albo od *łach* wiślanych — *łjachy* u Nestora) nic podobnego nie ma; z czego jednak bynajmniej nie wynika, żeby braterstwo w koleżeństwie było u nas większe.

Wśród przysłów polskich, w których występuje wyraz: *brat*, są narzekania na brak zgody wśród braci: „każdy brat sobie rad — każda siostra sobie niosła", są narzekania na to, że „biegiem wiele zwiedzi świata, a nigdzie nie znajdzie brata", bo u nas była i łączność między rodzeństwem i wyjątkowa serdeczność dla obcych podróżnych — jest nareszcie mowa o wspieraniu się wszystkich *w potrzebie*/ ale niema śladu poczucia jakiejś stałej solidarności, stałego braterstwa. Natomiast są orzeczenia odpychające taką łączność duchową: „ani mi on brat, ani mi on swat" — a wyrażenie „za pan brat" oznaczało nie braterstwo, lecz tylko lekko traktowaną *poufałość*.

Wiadomo, że niektórzy monarchowie europejscy piszą do siebie „panie bracie", łącząc przez grzeczność pojęcie równości z pojęciem wyższości tego, do którego się pisze. Otóż myśmy się tak tytułowali między sobą (wśród szlachty), bo każdy z nas uważał się za monarchę *in potentia* — ale wewnętrznej łączności dowodziło to równie mało, jak między monarchami państw obcych — może trochę więcej. Tak samo też mówił brat młodszy do starszego/ co już było szczerszem, bo w tem wyrażeniu uznawał i bra-

terstwo krwi i władzę nad sobą „pana brata", jako starszego.

Gdy polak ze sfery inteligentnej lub zamożniejszej chce być grzecznym dla chłopa, mówi doń: „mój bracie", przyczem zaimek dzierżawczy: *mój* jest użyty przez analogię z „mój kochany", albo: mój drogi". Ale gdyby inteligent powiedział: „mój bracie" do człowieka ze swojej sfery, ten ostatni uznałby taką poufałość za obelgę.

Przypuszczam, iż rodak, czytający tę książkę, będzie na tyle rozsądny, że nie przypisze mi chęci uważania *każdego* z przytoczonych wyżej szczegółów (np. braku pewnego wyrazu) za *dowód* naszego swoistego indywidualizmu. Dowodem jego jest dla mnie tylko *ogół* tych drobnych szczegółów — mniemam bowiem, iż dla innych narodów, nie zdołanoby złożyć równie charakterystycznego ogólnego zespołu — chociaż częściowe mogłyby przemawiać przeciw niemu.

Zresztą, tych drobiazgów charakterystycznych jest znacznie więcej. Ażeby zaś od razu sięgnąć do podstaw, powiem, że za punkt wyjścia dla naszego osobnictwa i naszej słabej ustrojowości (zmysłu organizacyjnego) uważam naturę gruntu, na jakim przez długie wieki żyć nam było sądzono. Grunt ten stanowiły moczary, błota, jeziora i rzeki niespławne, wskutek zbyt wielkich nierówności i zmiennych kierunków, przyczem w dodatku miejsca wyższe, zarośnięte były nieprzebytymi lasami. Ostatecznie więc tylko wyższe brzegi jezior i spadki największej rzeki (Wisły) przedstawiały odosobnione pola do uprawy i łąki dla wyżywienia bydła.

Prokopius (historyk bizantyjski z VI w.) opowiada, że słowian nazywano dawniej *Spori*, od wyrazu greckiego „sporaden", ponieważ nie w skupieniu, lecz rozproszone (sporadyczne) mieli siedziby. A nieco późniejszy kronikarz, cesarz Mauritius dodaje, że chaty budowali grupami, ale tam gdzie ich było kilka cisnęły się

do siebie. Wskazywało to na wielką łączność rodzinną, a małą plemienną.

Pierwotnie, takie rozmieszczenie było koniecznością— później stało się nałogiem, tradycyą, zwyczajem.

Z natury bowiem gruntu i nabytych wskutek niej przyzwyczajeń, wypłynął cały szereg następstw:

1. Lekceważenie obcych najazdów jako mało groźnych.

2. Brak łączności plemiennej, zrazu konieczny, potem nałogowy.

3. Ścisła łączność i pomoc wzajemna w jednej rodzinie, potem w jednej wsi/ bo wieś, zasadniczo, pierwotnie, była tylko skupieniem członków i koligatów jednej rodziny — *wieś* Bolechów np. znaczyła *wieś* (wszystek, cały) ród Bolecha, albo Bolechowice: cały ród jego potomków: Bolechowiców.

4. Łączność była znacznie mniejszą z wsiami sąsiedniemi, bo to co leżało w odległości jednego uprawnego pola nie było już ojcowizną (ojczyzną), lecz *opolem*, a pojęcie gminy (Gemeinde) nie jest polskiem, lecz niemieckiem. Polskiem jest tylko pojęcie *starostwa*, którem była zrazu każda wieś, jako rządzona przez najstarszego z rodu (pierwotnie ojca rodu) starostę. Tu zaś musiała panować karność i jednomyślność, bo wszystkiem rządził jeden pan-ojciec. Ztąd:

5. Wielkie poszanowanie władzy ojcowskiej — małe ogólniejszej, jako względnie obcej i dalekiej.

6. Małe dążenie do szerszej organizacyi, do państwowości, jako długo niemożliwej, potem trudnej.

7. Patryotyzm, będący zrazu tylko przywiązaniem do ziemi, do miejscowości, nie zaś do ludzi.

8. Gościnność, wynikająca z pożądania nowości i rozrywki.

9. Brak skłonności do handlu i przemysłu/ raz z powodu braku nadmiaru produkcyi, a powtóre wskutek utrudnionych komunikacyj. Zato radosne witanie kupców obcych, przynoszących rzeczy pożądane. Wiadomo zaś, że handel i przemysł zbliżają ludzi.

10. Innych form skupienia, mianowicie *wojennych*, tak dawnych, częstych i silnych u Germanów, również pierwotnie było mało, wskutek braku żelaza i pola do wyrobienia się wojowniczości, przynajmniej w Słowiańszczyznie centralnej.

11. Trzeci natomiast rodzaj łączności, *przez wiarę*, był silnym, raz dlatego, że zastępował inne, a powtóre ponieważ nic mu nie stawało na przeszkodzie. Stąd wielkie poszanowanie księży, których rodowód jest wspólny z rodowodem książąt, ponieważ pierwotnie najstarszy z rodu był i książęciem i kapłanem, a także i z rodowodem starostów, starszych, *sędziwych* a jednocześnie sędziów. Tylko że owi książęta to byli zrazu tylko drobni władcy jednego rodu. Większa niż gdzieindziej łączność narodu z duchowieństwem i wyjątkowe dla niego poszanowanie, trwają u nas dotychczas.

12. Z podobnych, choć mniej poważnych powodów, b. silną była łączność *przez zabawę:* w obrzędach, tańcach, hulankach, śpiewach i grze na gęślach — łączność b. pożądana na pustkowiu i jedna z najsilniejszych u nas podziśdzień. Tak długo trwających zabaw weselnych jak u nas, nie ma chyba nigdzie.

13. W powyższych warunkach wytworzyło się nadto: niedbalstwo o dobre drogi i mosty, jako długi czas wprost niemożliwe/ niedbalstwo o czystość, trudną do utrzymania w błocie/ niedbalstwo o jakąkolwiek szerszą organizacyę, również z powodu trudności zewnętrznych/ wreszcie *lekceważenie czasu*, jako nie mającego konkret-

nej wartości w tych warunkach, powodującego raczej wcale niepożądaną *nudę* [1]).

Sama *zmienność* naszego klimatu, na którą się powołuje Klin, nie wystarcza do objaśnienia tych pierwocin naszego charakteru, choćby dlatego, że dopóki był nadmiar wód i lasów, klimat był względnie stałym — popsuł się dopiero wtedy, gdy lądy zaczęły wysychać a lasy zaczęto wycinać.

Wysychanie zaś lądów dopiero w XII w. umożliwiło nieco lepsze środki komunikacyjne, choćby dzięki lepszej i stalszej spławności rzek — i wtedy dopiero karczowanie lasów na wielką skalę, poczęło ludzi zbliżać.

Oprócz wymienionych przyczyn odosobnienia, były jeszcze, tu i owdzie inne, mianowicie góry. I w nich też, jako najdłużej niezmiennych, najwierniej przechowały się — jak wszędzie zresztą — dawne tradycye.

Do takich należą góry śląskie, Beskidy, w których nadto i z przyczyn historycznego oderwania od Polski, łatwiej niż gdzieindziej znaleźć można ślady urządzeń i przyzwyczajeń pierwotnych.

Mieszkałem przez dziesięć lat stale u źródeł Wisły, miałem więc sposobność zapoznać się z właściwościami tego pięknego zakątka pierwotnej — jeszcze nieświadomej siebie — polszczyzny.

---

[1]) Na określenie swego pobytu w pewnem miejscu anglik, podobnie jak francuz, używa wyrazu oznaczającego czas krótki: séjourner (dniować), *to sojurn*, a także, gdy chodzi o pobyt dłuższy: *to tarry* (smołowcować/ okręty/), *to stay* (doznać przeszkody, znosić przymus), wreszcie: *to dwell* (zostać, zatrzymać się, położyć na coś nacisk) — polak zaś używa w tym celu wyrażeń: *bawić* (bawić się lub bawić drugich) i *przepędzać* czas, to znaczy odganiać go. Istnieje nadto b. popularne a charakterystyczne dla nas wyrażenie: *zabijania czasu*, jako czegoś niepożądanego.

Wieś Wisła, przedstawia do dziś dnia ten wygląd, który uderzył Prokopa w siedzibach słowiańskich przed czternastu wiekami. Osada ma kilka tysięcy mieszkańców, ale nigdzie nie przedstawia formalnej ulicy z dwoma równoległymi rzędami chat. Są one rozrzucone po górach i dolinach, po jednej, po dwie lub trzy, b. zbliżone do siebie, ale b. oddalone grupami — wskutek czego wieś rozkłada się na przestrzeni trzech mil, nawet przy trakcie głównym nie tworząc nigdzie ulicy. Dopiero od lat kilkunastu zagęściła się nieco w tej części, w której przybyły wille warszawiaków, poznańczyków i galicyan, ale i te niewypełniają nigdzie dwóch rzędów.

Lud mówi językiem staropolskim, chociaż nie uważa się za polski, i polakami nazywa tylko handlarzy bydła z Galicyi/ a przybyszów z Kongresówki traktuje jako „Rusków", którym, podczas obecnej wojny, z poczucia patryotyzmu austryackiego, poniszczył wille niezamieszkałe. Mnie zniszczono całe niemal urządzenie sześciu pokojów, bibliotekę z paru tysiącami tomów, aparaty, klisze, rękopisy — jednem słowem wszystko, co się łatwo zniszczyć dało — a trzeba dodać, że we wsi jest sześć szkół, że *całe młodsze pokolenie umie czytać*, że w szkołach nauka odbywa się po polsku, że niektórzy, ale tylko niektórzy nauczyciele, uważają się już za polaków, i że dla mnie specyalnie — dopóki się wojna nie zaczęła — ludność usposobiona była życzliwie.

Pod względem łączności istnieje wśród nich tylko:

1. Łączność zabawy w karczmie.

2. Łączność religijna — której nie przeszkadza nawet to, że część ludności (większą) stanowią ewangelicy, a część (znacznie mniejszą) katolicy — gdyż pierwsi obserwują święta katolickie i nawet w niektórych formach zbliżają się do katolicyzmu. Wreszcie

3. Łączność w *pracy koniecznej*, bądź na roli, bądź przy budowie chat, jakgdyby w jednej rodzinie i we *wspól-*

nocie gruntów, również według starych tradycyj rodzinnych.

Pierwsza wyraża się w instytucyi tak zwanej *Pobaby*, i polega na tem, że gdy który np. chce sobie postawić nową chatę, to nie tylko swojacy obdarzą go pewną ilością drzewa, ale *po* jednej *babie* z każdej chaty staną do roboty, jedynie za żywienie podczas roboty. Dzisiaj taką „babą" może być i mężczyzna. Ale ta uczynność dotyczy tylko mieszkańców jednej wsi.

Co zaś do wspólnoty gruntów to była ona tak rozległą, że czasem kupujący kawałek gruntu (np. ś. p. Henryk Dynowski z Warszawy) miał do czynienia z 30-tu właścicielami i niezgodzenie się jednego z nich przeszkadzało nabyciu. Dopiero przed kilku laty rząd nakazał przymusowe podziały, jeszcze nieukończone. Nabyta przezemnie posiadłość należała do wyjątków, bo miała już tylko „wymowę" (dożywocie jednej „wymownicy") i jako powstała z podziału nazywała się *Dzielnicami;* ale i ta urzędownie figurowała jeszcze w części jako „społeczność" czyli własność wspólna czterech sąsiadów.

Są to wszystko pozostałości dawnych wieków, podobnie jak chaty kurne (bez kominów), które istniały jeszcze przed wojną i jak zbyt bliskie siebie budowle, którym dopiero w ostatniem ćwierćwieczu nakazano prawnie odległość conajmniej 5-u czy 6-u metrów.

Oto i wszystkie ślady społecznej łączności.

Los całego Śląska, ba! nawet powiatu, zupełnie moich Wiślan nie interesuje. Kiedy około r. 1903 urządzano pierwszy wiec chłopski w Cieszynie, zebrałem kilkunastu znajomych mi gazdów na poczęstunek, objaśniłem, że chodziło o pouczenie posłów śląskich, czego mają żądać dla ludności i oświadczyłem im, że jeśli któremu będzie chodziło o koszt przejazdu (2 mile koleją, jedna pieszo lub końmi, albo 3 końmi), to mu dam na bilet kolejowy; prosiłem tylko żeby wybrawszy się, wstąpił do mnie/ co mógł usku-

tecznieć bez straty czasu, bo mieszkałem wówczas przy drodze głównej.

Czy też czytelnik domyśla się, ilu się wybrało z przeszło 5.000 ludności? — Ani jeden.

Kochają swego cesarza, płacą „dawki" (podatki), idą bez szemrania do wojska, ale ani sprawy państwa (w szkołach na tablicach wypisują nauczyciele zdanie: „ojczyzną naszą jest Austrya"!), ani nawet sprawy Śląska, zupełnie ich nie interesują.

Nawet sprawy wyborów we własnej wsi. Trafiało się, że na wybory wójta („fojta") przyszło ledwie kilku, i że wójt obawiając się przegłosowania, „pożyczał" odemnie 3 lub 4 robotników, ażeby sobie większość głosów zapewnić.

Przypuszczam, że ze wszystkich zakątków dawnej Polski, ten przedstawia typ najbardziej zbliżony do pierwotnego typu polskiego (nie mówiąc o różnicach dzielnicowych) z czasów przed powstaniem szlachty. U moich Wiślan, podobnie jak na całym Śląsku, i dzisiaj niema szlachty; „dworami" są wszystkie chaty mieszkalne. Gdy Wiślanin mówi: idę do dworu, to znaczy, że idzie do swojej chaty. Zdaje mi się, że później dopiero, w Polsce właściwej, chaty zamożniejszych chłopów wywyższone wojaczką włościaństwo (z małą domieszką obcych rycerzy) odróżniło jako „dwory" prawdziwe od reszty nieco gorszych chat, zwanych pogardliwie „chałupami" i zamieszkałych w części przez jeńców wojennych. Ale Śląsk od r. 1163 już do Polski nie należał i tej ewolucyi nie uległ. Panowali w nim wprawdzie przez 5 wieków książęta z rodu Piastów, lecz ci szybko ulegli zniemczeniu i tym sposobem reszta łączności z krajem macierzystym została zerwana. Tylko bierna, ale twarda odporność ludności, wsparta przez odludne położenie źródeł Wisły, na uboczu głównych traktów, zdołała utrzymać pierwotne cechy narodowe a w części nawet pogańskie.

— Ależ to strasznie niedołężny ten twój pierwotny typ polski! — powiesz może czytelniku?...

— Tak, strasznie niedołężny, we wszystkiem co dotyczy łączności szerszej, *quasi* państwowej, i na codzień. Ale też wyjątkowo odporny nałogowo, a w chwilach podniecenia nie tylko bitny, ale i karniejszy od późniejszego narodu szlachty, który skupił w sobie tylko żywsze elementy włościańskie.

Kiedy podczas wojen tureckich, turcy zajęli już całe Węgry i zwrócili się na Śląsk, ludność z okolic źródeł Wisły, z własnej inicyatywy, postanowiła nie wpuścić turków, i w tym celu zgromadziwszy się i uzbroiwszy na prędce, obwarowała przesmyki górskie pod miasteczkiem Jabłonkowem, nad samą granicą węgierską. Tam wstrzymała nawałę turecką, i nie tylko że najeźdźców nie wpuściła, lecz przez wycieczki z miejsc warownych zadała turkom takie ciosy, że musieli się cofnąć i już się więcej nie pokazali (Bogumił Hoff. „Lud cieszyński". Warszawa, 1888. Str. 32).

Dzisiaj, z takim samym zapałem patryotycznym ruszyli na „Mozgali" — tylko że jedni, mianowicie uświadomieni cieszyniacy, w liczbie około 300 zapisali się do legionów, gdy jeszcze nieuświadomieni Wiślanie poprzestali na zburzeniu willi „Rusków"... z Warszawy.

Winienem w tem miejscu zwrócić uwagę czytelnika na spotykane już przezeń kilkakrotnie w tej książce rozróżnienie polaka od święta i polaka na codzień. Uczyniłem je już dawno i powtarzam, uważając za niezbędny warunek zrozumienia naszego charakteru narodowego. Różni autorowie zastanawiali się już nad sprzecznościami, jakie się w naszym charakterze spotykają; nie zdaje mi się jednak, żeby którykolwiek z nich wskazał istotną tych sprzeczności przyczynę. Otóż mojem zdaniem, jest ona — prawdopodobnie — następująca:

Wskutek warunków gruntu, Słowiańszczyzna central-

na żyła przez cały szereg wieków w takiem odosobnieniu, w tak bezpiecznem odosobnieniu, że wyrobiły się w niej nałogi pokojowe, charakter łagodny, obyczaje rodzinne, i inne zalety moralne, właściwe ludom pasterskim, nie koczowniczym. Odosobnienie było tak wielkie, że dopiero historyk czeski Szafarzyk z nielicznych śladów wykrył ich pobyt w Europie, o wiele wcześniejszy niż przpuszczano. Ogół kronikarzy o nich wcale nie słyszał.

Ale tak bez końca trwać nie mogło; i choć znacznie później niż Słowianie kresowi, także i centralni wciągnięci zostali w wir zdarzeń, to znaczy walk dziejowych.

Pierwszą lekcyę sztuki wojowania dali im Hunnowie. I odtąd, na podkładzie charakteru pierwotnego, biernego, zaczął powstawać drugi, czynny, o cechach odmiennych, bardziej zgodnych z obyczajami otoczenia. Pierwszy wyrobił się w spokoju — drugi w podnieceniu. A ponieważ nałogi dziedziczą się/ ustaliło się skojarzenie między spokojem i cechami dawnemi a podnieceniem i cechami nowemi. Odtąd też, podobnie jak chwile różne w życiu, tak i te dwa charaktery plączą się ze sobą. Polak na codzień jest biernym — polak od święta może być czynnym i nawet zdradzać w wyższym stopniu te przymioty, jakie inni posiadają stale.

Inni — np. niemcy. Ci są pod tym względem przeciwieństwem polaków.

Pochodzenie Germanów nie jest wprawdzie dokładnie wyjaśnione, ale szperając w tej kwestyi, doszedłem do hypotezy, która, na moje potrzeby, wyjaśnień etologicznych (charakterowych), okazała się wystarczającą:

Przyszli oni z Azyi, tak samo jak my, tylko znacznie wcześniej i zwrócili się bardziej na północ. Nie byli to jeszcze Germanie, byli to Indo-europejczycy, Aryowie, z których powstały ludy Skandynawskie. Wśród pierwotnych Skandynawów elementy czynniejsze, bardziej wojownicze, zaczęły się wydzielać, wraz z przyrostem ludności, bądź to

w formie dobrowolnej, przedsiębiorczej wojenno-korsarskiej emigracyi, bądź pod postacią wydalanych z kraju partyj burzliwszych elementów. Udawali się oczywiście nie na Północ, bo tam nie było po co chodzić, ale na Zachód, Wschód i Południe.

Drużyny zachodnie wystąpiły w historyi pod nazwą Normandów — wschodnie pod nazwą Finnów, Waregów, którzy zorganizowali Moskwę — a południowe, wytworzyły zwolna szereg szczepów, zaliczanych słusznie do jednego typu germańskiego.

W nazwie tego ludu figuruje jeden wyraz, później francuski [1]) *guerre* = wojna i jeden niemiecki *mann* = człowiek. Były to bowiem drużyny wojenne, poddane władzy jednego wodza, złożone z różnych elementów, nierodzinnych i nieznających przewagi władzy ojcowskiej. Ta ostatnia ustaliła się u Słowian; a później w Polsce wyrodziła uznanie jedynie dla takiej władzy publicznej, która miała charakter ojcowski i która w miarę oddalania się od zakresu rodziny, była coraz mniej słuchana. U Germanów przeciwnie, była ona odrazu *nierodzinną* i odrazu opierała się na łączności karnej, żywiołów względnie obcych a sztucznie choć dobrowolnie skojarzonych.

Poruszyłem tę sprawę przy kwestyi naszego społecznego osobnictwa, ponieważ tu kontrast między dwoma charakterami jest największy. Tam konieczność ścisłej i surowej organizacyi w dalekich wyprawach/ konieczność wymiany towarów, dla utrzymania życia, a więc wyrabianie się zdolności handlowych/ konieczność podbojów, a więc wyrabianie się wojowniczości/ konieczność posłuchu dla

---

[1]) Frankowie byli szczepem germańskim, który zawojował Galię, rozpływając się w niej i przekazując jej swoją nazwę — podobnie jak bulgarowie, szczep mongolski, podbili, rozpłynęli się w niej i pozostawili swoją nazwę słowiańskiej Bulgaryi.

przywódców, a stąd organizacya i karność. Tem samem jedność i *łączność duchowa.*

Nie przeczy temu fakt, że i niemcy tak późno się zjednoczyli, a nawet, że nie zjednoczyli się jeszcze całkowicie — bo oni zawsze byli zjednoczeni w mniejszych odroślach swego szczepu, i zawsze byli w większych grupach solidarniejsi i dojrzalsi niż Słowianie.

Nasza zaś łączność duchowa miała mniej podstaw dziejowych niż nasze osobnictwo. Pierwsza dopiero się tworzy — od konstytucyi 3-go Maja począwszy i od Kościuszkowskiego powstania. Instynktownie czujemy, że tak jest, i dlatego serca nasze biją zawsze żywiej na wspomnienie tych dwóch czynów — bezsilnych, ale w swoim impulsie nieśmiertelnych. Reszta to *próby* — zarówno dawne, zmierzające ku skonsolidowaniu państwa, jak i późniejsze, zmierzające ku odzyskaniu niezależności w r. 1830 i 1863 — a po tych właściwie pierwsza prawdziwa, *bo już bez żadnej myśli o stanach* — dzisiejsza. Pierwsza, nie ostatnia!

Asystujemy instynktownej, na wielką skalę próbie narodu: zdobycia jednego ducha.

W oczach naszych będą padały stronnictwa, zlewając się w nowe, bardziej odpowiadające tej dążności. W uszach naszych będą się rozlegały nieznane dotychczas akordy narodowej harmonii.

Wsłuchujmy się w nie i pomagajmy ich urzeczywistnieniu — bo to pierwsza próba w swoim rodzaju, najdonioślejsza w następstwach.

Naród zaczyna dojrzewać jako całość...

1. BRAK ŁĄCZNOŚCI W NAUCE POLSKIEJ.

Ale dopiero zaczyna.

Ażeby uczynić krok naprzód, musiałby przedewszystkiem okazać pewną łączność duchową w tych dziedzinach,

w których z natury rzeczy jest ona wszędzie największą, bo najłatwiejszą, a mianowicie na polu nauki.

Oderwana od interesów chwili i czysto egoistycznych, dziedzina wiedzy na całym świecie i od wieków już zbliża ludzi. Jest to też pole, na którem praca wspólna jest nie tylko pożądaną, ale konieczną. Każdy człowiek pracujący w zakresie pewnej specyalności, chciwie dowiaduje się o jej postępach/ rad korzysta z wymiany myśli wśród kolegów i bierze udział we wspólnych przedsięwzięciach. Wyznania, narodowości, stronnictwa socyalne, oryentacye polityczne, nie mają tu znaczenia. Ludzie zbliżają się na tym terenie neutralnym, zacieśniając szeregi. Ogół zaś z zajęciem śledzi ich prace.

Tak bywa na całym świecie — tylko nie u nas.

Nasza krakowska Akademia, warszawskie Tow. Naukowe i poznańskie Przyjaciół Nauk — to odległe wysepki na oceanie oświaty społeczeństwa, które niemi mało się interesuje, a one też między sobą zachowują tylko stosunki towarzyskiej grzeczności. Tem bardziej stosunek ich do społeczeństwa jest mniej więcej taki jak za czasów świątyń egipskich. Szczególnie zaś Akademia krakowska, treścią i ceną swoich wydawnictw zdaje się mówić do narodu: „to nie dla ciebie!"

A wewnętrzna ich żywotność doskonale się harmonizuje z ich łącznością zewnętrzną.

Nie twierdzę, żeby tam nie było pracy; nie twierdzę, żeby nie było zdolności i dobrych chęci — utrzymuję tylko, że nie ma żadnej żywotności, bo nie ma żadnej łączności duchowej. A za to są liczne wady, nasze i obce: niedbalstwo, koteryjność, neofobia, protegowanie mierności, brak rozkładu pracy na lata, kult cudzoziemszczyzny, ładne mowy bez treści, formalistyka, skłonność do pozy i ostentacyi, niepunktualność i minimalna miłość dla postępu.

Prawda, że i za granicą Akademie są przeważnie przytułkami dla inwalidów, kadzących sobie wzajemnie w bra-

ku lepszego zajęcia, i drzemiących, dla dobra nauki. Ale u nas inwalidów jest zbyt mało, żeby mogli złożyć Akademię; na odpoczynek naszym uczonym jeszcze nie pora, a młodym siłom ospalstwo nie przystoi.

Ani też chwila jest po temu.

Należałoby organizować pracę, przyciągać nowe siły i dbać więcej o łączność ze społeczeństwem — do czego jednym z licznych sposobów byłoby udostępnienie wydawnictw oraz dopuszczenie galeryi na zebrania towarzystw, jak to się praktykuje za granicą.

U nas, ruch stowarzyszeń poczynił w ostatnich czasach duże postępy, a niektóre z nich nawet funkcyonują normalnie. Tow. Techników, Koło chemiczne, Tow. Ogrodnicze, Tow. Miłośników Przyrody, Tow. miłośników historyi, Tow. hygieniczne, krajoznawcze, Stow. Nauczycielstwa (nie znam dokładnie wszystkich, więc może popełniam jaką niesprawiedliwość) i kilka in. składają liczne dowody żywotności — wogóle jednak wiele jeszcze pozostaje do zrobienia.

Co przeszkadza rozwojowi naszych stowarzyszeń?

Oprócz ogólnego braku skłonności do solidarności naukowej, kilka innych wad naszych.

A więc przedewszystkiem niedokładność i niesłowność w spełnianiu przyjętych na się zobowiązań.

Oto przykład:

Na parę lat przed wojną, a więc jeszcze za czasów rosyjskich, powstał w Warszawie projekt założenia Tow. badań psychicznych, na wzór licznych istniejących już oddawna za granicą, a poświęconych głównie badaniu głębszych objawów hypnotycznych i medyumicznych. Nie moja to była myśl, ponieważ nie widziałem dostatecznej liczby członków odpowiednio przygotowanych, którzyby mogli z pożytkiem taką robotę prowadzić — ale ponieważ były dobre chęci, wziąłem udział w posiedzeniach przygotowawczych. Potrzeba było przedewszystkiem, celem

ułatwienia zatwierdzenia, postarać się o ustawę podobnego towarzystwa rosyjskiego. Obiecał to jeden z członków/ ale nie dotrzymał i posiedzenia szwankowały. Wówczas wystarałem się sam o ustawę i dyskutowaliśmy dwa różne projekty. Ostatecznie wybrano komisyę z trzech, którzy mieli już prawie gotową ustawę spisać. Na ostateczne jednak posiedzenie przyszło zaledwie kilku członków a z owej komisyi tylko jeden, który oświadczył, że w ciągu 2 tygodni komisya ani razu się nie zebrała i że z powodów ubocznych nic nie zrobiono. Na tem też skończyła się cała impreza.

Drugim powodem jest nasz wstręt do wzajemnego krytycyzmu.

Po dłuższej nieobecności w Warszawie wziąłem udział w pracach Tow. „Psychologicznego" — w swoim rodzaju jedynego na świecie towarzystwa, ponieważ ze wszystkich działów wiedzy najmniej się zajmuje psychologią. Przedstawiałem kolegom, że należałoby tę nieścisłość usunąć zmieniając nazwę na: Tow. *Filozoficzne*, choćby dlatego, żeby nie przeszkadzać ewentualnemu powstaniu w przyszłości Towarzystwa naprawdę *psychologicznego* — albo też istotnie poświęcając się, jeśli nie wyłącznie, to przeważnie psychologii. Ale skrupuły moje uznano za zbyteczne. Wypowiedziałem sam kilka odczytów, zostałem wybrany do zarządu, a ponieważ w zarządzie mianowano mnie wice-przewodniczącym (prezesem był ś. p. dr. Wład. Weryho) miałem nadzieję, że coś się da zrobić dla Tow., pomimo, że na stu kilkudziesięciu członków było w nim zaledwie kilku psychologów, że jeden z najbardziej znanych: Wł. Dawid, nie należał do Tow. a główny kierownik pracowni psychologicznej wcale nie bywał na posiedzeniach.

Stało się inaczej. W owym czasie dyr. Biblioteki Głównej Uniwersytetu p. Poniatowski, powziął myśl urządzenia w Tow. Psych. wielkiej seryi wykładów ze wszystkich działów wiedzy, w której to seryi wybrani specyaliści mieli mówić „O metodzie i pojęciach ogólnych",

każdy swego fachu. Myśl była szczęśliwą, i b. odpowiednią dla Tow. *filozoficznego*, a dzięki talentowi organizacyjnemu przewodniczącego, d-ra Weryhy, wydała całość imponującą: 21 wykładów, w których wszystkie nauki — z wyjątkiem tylko medycyny — znalazły swoich przedstawicieli.

Był to, niezmiernie dla mnie interesujący popis, przeważnie młodych sił naukowych i głównie skupionych przy odradzających się już wówczas (1916) naszych dwóch wyższych uczelniach. Dla własnej korzyści, mimo b. złego stanu zdrowia, postanowiłem być na wszystkich tych wykładach. Ażeby zaś zpopularyzować ich wyniki i dać wyraz łączności towarzystwa z ogółem, interesującym się naszymi postępami, podjąłem się sprawozdań, z tej wyjątkowej seryi, dla „Kur. Warsz."

Pisałem je krytycznie — bo inaczej recenzye, b. treściwe z konieczności, nie dałyby żadnego pojęcia o wartości konkursu. Ale starałem się być możliwie bezstronnym, chwaląc, co tylko sumiennie pochwalić mogłem. Nikt też przeciw moim sprawozdaniom publicznie nie reagował, pomimo że niektóre zbyt niedbałe wykłady, niezgodne z tytułem, albo wypowiedziane zbyt skażoną polszczyzną odpowiednio zganiłem.

Nie przypuszczałem też jakiegokolwiek starcia z tego powodu.

Tymczasem na najbliższem posiedzeniu Zarządu, jego absolutna większość wystąpiła z twierdzeniem, że wykłady towarzystwa są jego sprawą wewnętrzną, że krytyczne moje recenzye stawiają w kłopotliwem położeniu prezesa, który prelegentów zapraszał, że referaty gazet powinny być czysto sprawozdawcze a nie krytyczne/ i wreszcie postawiono mi b. przejrzyste ultimatum (w chwili gdy już zaledwie parę odczytów do końca seryi pozostało!): albo zmienić sposób pisania, to znaczy pisać bezkrytycznie, albo też ustąpić z Zarządu.

Wybrałem oczywiście to ostatnie. Zdrowia mego ta sprawa nie poprawiła, na sposób pisania nie wpłynęła — ale w każdym razie odebrała mi możność wspólnej z Zarządem pracy.

Ponieważ wszystko odbyło się z zachowaniem form towarzyskich i ponieważ zebranie ogólne nie aprobowało policyjnej metody niektórych swoich członków, nie wykreśliłem się jako członek zwyczajny z Towarzystwa i nawet miałem w niem jeszcze jeden wykład — pożegnałem się tylko z marzeniami o jakiejkolwiek reformie stosunków.

Pierwejby trzeba, żeby między członkami istniała jakakolwiek łączność zasadnicza, choćby w sprzecznych stronnictwach, a przynajmniej poważne zainteresowanie się jego losem. Tymczasem w Tow. każdy chodził samopas, o postęp dbał tyle, co o śnieg zeszłoroczny, a wybory odbywały się w ten sposób, że p. Weryho wypisywał na tablicy nazwiska pożądanych kandydatów i ogół (a właściwie garstka obecnych, bo w 1-ym terminie zebranie ogólne nigdy nie przychodziło do skutku) wybierał ich bez szemrania.

Była to niewątpliwie karność—szkoda tylko, że ta karność nie wypływała z jakiejkolwiek zasady, lecz jedynie z obojętnej bierności.

Charakterystycznem też jest, że na owe, bądź co bądź zajmujące dla człowieka ogólnie wykształconego wykłady, nawet dwóch członków nie przychodziło stale. A tembardziej prelegenci nie interesowali się innymi działami. Zazwyczaj prelegent dowiózł swoją taczkę prawd naukowych i więcej się nie pokazał.

Oto co nazywam prawdziwie polskiem *osobnictwem*. A trzeba pamiętać, że nasze szkoły średnie krzewią „wykształcenie ogólne", a więc niby zainteresowanie do wszystkiego!

Złożyłem wyraz osobnictwo (zdaje mi się, że nie był

poprzednio używany) — celem ściślejszego określenia o co chodzi.

Nie jest to *sobkostwo*, bo tu interes materyalny w grę nie wchodzi; nie jest to *indywidualizm*, bo ten ma przeważnie znaczenie dodatnie; nie jest to *warcholstwo*, bo warcholstwo wymaga pewnej śmiałości i oryginalności; nie jest to wreszcie proste *ospalstwo*, bo to ostatnie nie dopuściłoby wogóle do utworzenia i jakiego takiego trwania Towarzystwa — jest to tylko takie zachowanie się członków w Towarzystwie, że ono niby jest a właściwie go niema. Właściwie są tylko o s o b n i k i.

U nas owo osobnictwo zachodzi tak daleko, że spotykałem na różnych zebraniach mówców, którzy wypowiedziawszy b. radykalne opinie, wychodzili potem do drugiego pokoju — na papierosa, albo i do domu, nie interesując się wcale wywołaną przez siebie dyskusyą — czego nigdy za granicą nie obserwowałem. Dyskusya, przedmiotowa dyskusya, zaczęła się u nas wyrabiać dopiero w ostatnim okresie. Mówię o ludziach dojrzałych — wśród młodzieży trafia się ona częściej.

I pamiętam, z czasów mojej docentury we Lwowie, jak przyjemne wrażenie sprawił na mnie fakt, gdy na urządzonem przezemnie seminaryum filozoficznem, jeden z najzdolniejszych moich uczniów, dysputując zawzięcie z kolegą, na raz zatrzymał się i po chwili namysłu, rzekł: „tak, masz kolega słuszność, cofam mój zarzut!“

Otóż takie poszanowanie racyonalnego krytycyzmu, jako możliwe wśród naszej młodzieży, pozwala mieć nadzieję, że z czasem i starsi otrząsną się z tej dziedzicznej „jednomyślności“, która albo jest tylko owczym pędem, albo znów nieświadomą siebie niestałością opinij. Tymczasem jednak, krytycyzm nasz, nasza ścisłość, nasza logika, są jeszcze w kolebce, i obserwując polskich polemistów, łatwo zauważyć, że albo w całości się godzą, albo w całości nie godzą. Podział na rzeczy słuszne i niesłuszne,

ścisłe i nieścisłe, zastępuje najczęściej jednomyślna frazeologia, która, im mniej zawiera treści, tem mniej znosi obcą krytykę. Na przeciwnika zasad, my wyruszamy, jak to już zauważył Libelt, „z dzidą", zamiast z argumentami— albo też zakładamy bractwa wzajemnej adoracyi. W tym ostatnim duchu pisywane były w „Kur. Warsz." sprawozdania z odczytów Tow. Psych. mego utalentowanego poprzednika Feliksa Kierskiego, i przeciw tym Zarząd nie protestował. Protestowali tylko ci, którzy nie byli admirowani.

Niejednokrotnie myślałem nad tem, żeby urządzić u siebie stałe zebrania kilku ludzi, z którymi bym mógł porozmawiać o zajmujących mnie kwestyach naukowych. Jest takich kwestyj dużo, więc sądziłem, że łatwo złożę kółko przyjemne. Tymczasem, gdy przyszło do wyboru, okazało się że ten tego nie znosi, tamten nie ma czasu, ów przyjdzie raz i więcej się nie pokaże, a przedewszystkiem, że ludzi interesujących się jakąkolwiek nauką dla niej samej, jest u nas zbyt mało — jednem słowem trzeba było zrezygnować z projektu.

Tego rodzaju zebrania są i u nas możliwe/ ale tylko w dwóch formach: albo gdy są b. liczne, bo wtedy jeden drugiemu może pozostać obcym — albo też gdy można przytem dobrze zjeść i wypić—bo wtedy ożywia nas dziedziczna łączność towarzyska, z epoki Sasów i z ostatniego panowania.

A teraz przedstawię czytelnikowi jeszcze inną ilustracyę polskiego osobnictwa:

Widzieliśmy, jak Kaliszewski narzekał na naszą niegrzeczność, przytaczając fakt, że obcy monarchowie odpowiadają miłym listem na przesłaną książkę, gdy u nas nawet mizerny dziennikarz nie zdobędzie się na to.

Postanowiłem sprawdzić, jak z tem jest, i w tym celu rozesłałem moje ostatnie wydawnictwa, tym znajomym uczonym polskim, albo przynajmniej publicystom, którzy

sami książki wydawali; w przypuszczeniu, że, bez pisania dziękczynnych listów, nadeślą mi wzamian swoje prace.

Posłałem takich paczek 33. Z tych 33 adresatów przysłało mi wzamian swoje książki 7-u. Właściwie była w tem tylko jedna książka, jedna książeczka i kilkanaście małych odbitek. Niektórzy obiecywali przy spotkaniu, ale nie dotrzymali. Dwóch przysłało uprzejme listy — obaj mieli nazwiska nie polskie. Nie nadesłało nic 26-u. A wszyscy mieli własne książki do dyspozycyi; 3 z nich napisało b. życzliwe dla mnie recenzye; i wogóle, wprost niechętnych między nimi nie było. Wśród 7-u, którzy wywzajemnili się swemi pracami, były 4 nazwiska nie polskie. Jeden o polskiem nazwisku, u którego byłem osobiście, nie był u mnie i nic nie nadesłał, chociaż także należał do życzliwych.

Nie mogę więc tych wyników uważać za dowody zwykłej, umyślnej „niegrzeczności". To było tylko albo zapomnienie, albo niedbalstwo, ale przedewszystkiem *nieprzywiązywanie żadnej wagi do wzajemności, do łączności.*

Dla porównania, przytoczę kilka danych ze stosunków zagranicznych:

Podczas mego pobytu w Paryżu, posłałem cały komplet sprawozdań z moich doświadczeń jednemu uczonemu polskiemu i częściowe artykuły siedmiu uczonym cudzoziemskim. Polak nic mi nie przysłał. Z cudzoziemców odpowiedziało listownie 5-u, a mianowicie:

1. Prof. W. Crookes zaprosił mnie do siebie do Londynu, tłomacząc się, że jako starzec 80-o kilkoletni nie może przyjechać do Paryża (czego zresztą bynajmniej nie proponowałem!)

2. Prof. O. Lodge przysłał mi swoją książkę o odkryciach Hertza z miłą dedykacyą.

3. Psycholog Fryd. Myers przedstawił mnie na członka honorowego Soc. f. Psych. Res. i stale ze mną korespondował, nadsyłając mi wiadomości o doświadczeniach angielskich.

4. P. E. Feilding, sekretarz tegoż tow., przyjechał do mnie później z *Londynu do Żerania*, żeby zobaczyć moje doświadczenia.

5. P. J. H. Hyslop z Nowego Yorku przedstawił mnie na czł. hon. Amer. Tow. Badań Psych. i przysyłał jego roczniki aż do wybuchu wojny.

6. Prof. Ch. Richet utrzymywał ze mną kilkoletnią korespondencyę i prowadził wspólne doświadczenia.

Nadto, bez żadnej pobudki z mojej strony, zgłosili się do mnie o wyjaśnienia:

7. Prof. Lombroso z Turynu, który pisał potem o moich doświadczeniach w swojem dziele w sposób b. życzliwy choć niedokładny.

8. Prof. Alrutz z Upsali, który chciał przyjechać do mnie do Wisły, ale w takiej chwili, że nie mogłem go przyjąć, będąc na wyjezdnem.

9. Dr. baron v. Schrenck-Notzing, który proponował mi 10,000 M. za przyjazd z medyum (panną Stanisławą Tomczykówną) do Monachium. A gdym mu odpowiedział, że od czasu sprawy wrzesińskiej do Niemiec nie jeżdżę, że jednak w Warszawie mogę mu doświadczenia pokazać bezpłatnie/ przyjechał potem do Warszawy i porozumiawszy się z p. T. zabrał ją na parę miesięcy do siebie (skąd potem odwiózł ją p. Feilding do Londynu, gdzie dotychczas, wskutek przerwania komunikacyi, przebywa).

10. Prof. Th. Flournoy z Genewy, na którego zaproszenie jeździłem tam wraz z medyum, wracając z Paryża od prof. Richet'a.

11. P. Aksakow, który dłuższy czas, aż do swojej śmierci, ze mną korespondował.

12. Hr. Petrowc-Solovovo z Petersburga, który zrazu ogłosił artykuł nieprzychylny o moich doświadczeniach, ale mimo to złożył mi wizytę w Warszawie.

13. P. Sergiusz Jurjewicz, attaché ambasady rosyjskiej w Paryżu, który w drodze z Paryża do Pe-

tersburga, zajechał do mnie do Wisły i zaprosił celem urządzenia laboratoryum i prowadzenia doświadczeń w Inst. Psych. w Paryżu.

Nie reagowali na razie:

1. Prof. E. Boirac, Rektor Akademii w Dijon, który później złożył mi wizytę w Instytucie paryskim — i

2. Prof. d'Arsonval, który jednak później jako przewodniczący w komisyi akademickiej polecił mnie do nagrody Akademii za najlepsze dzieło z zakresu hypnotyzmu.

Pomijam nazwiska mniej znane: francuzów, holendrów, włochów, niemców, hiszpanów, kroatów i węgrów, świadczące jednak o interesowaniu się kwestyami nowych odkryć naukowych, bez porównania większem niż u nas.

Z niemców pułk. Peters i Red. Rahn przysyłali mi stale swoje wydawnictwa a w miesięczniku „Die Uebersinnliche Welt" dr. G. A. Lange napisał artykuł wstępny (Nr. 9 z Września 1916), w którym wspomina, że redakcya tego pisma dowiedziawszy się, iż wydałem podręcznik Psychologii oraz dzieło: „Psychologia i Medycyna" wzywa swoich czytelników, *znających język polski*, ażeby jej nadesłali streszczenie tego, co może z moich dzieł interesować czytelników niemieckich. W tem miejscu Redakcya dodała od siebie przypisek, że jeśli ktoś zgłosi się z zamiarem spełnienia tego życzenia, *dostarczy mu moich książek polskich* (których jej nie posłałem).

Nikt się nie zgłosił.

A gdy redakcyi naszego tygodnika przyrodniczego przesłałem do wydrukowania gotowe sprawozdanie komisyi przyrodników z doświadczeń, wykonanych w pracowni fizycznej Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, nie otrzymałem od Redaktora, ś. p. Bronisława Znatowicza, żadnej odpowiedzi; dowiedziałem się tylko ubocznie, że sprawozdanie/ nie moje, lecz znanych przyrodników polskich/ rzucono do kosza.

Nie wydrukowało go też żadne inne czasopismo naukowe polskie. Natomiast za granicą przełożone było na 5 czy 6 języków europejskich i niejednokrotnie stawiane jako wzór ścisłości eksperymentalnej.

Tak wygląda nasza łączność naukowa, w zestawieniu z europejską.

Nadmieniam, że dla ścisłości porównania, pominąłem krajowe wymyślania, intrygi i oszczerstwa, których za granicą wcale nie doznałem.

Zaszły tylko trzy małe dysonanse: jeden *rosyanin* napisał artykuł powierzchowny, który potem sprostował; jeden, także *rosyanin*, najprzód się nadmiernie zapalił a potem ochłódł; i jeden *słoweniec*, najprzód wystąpił z admiracyą, a potem, gdym nie mógł pochwalić jego b. dziecinnej hypotezy, uraził się i przestał mi przysyłać swój dziennik.

Zupełnie analogiczną historyę mógłbym przytoczyć z dawniejszej sprawy moich telefonów. Ale długoby o tem mówić. Wspomnę tylko, że kiedym w r. 1879, jako całkiem jeszcze nieznany za granicą, przesłał swój, po francusku napisany artykuł „O teoryi i prawach mikrofonu" do ang. czasopisma „Nature", natychmiast przełożono go całkiem ściśle na język ang. a korektę bez proszenia przysłano mi z Londynu do Lwowa. Kiedym zaś do „Enc. Wych." w Warszawie pisywał artykuły z Wisły, odmówiono mi przysyłania korekt i drukowano tak niedbale, że często sam nie mogłem zrozumieć o co chodzi.

2. JAK ROZWIJAĆ ŁĄCZNOŚĆ DUCHOWĄ?

Jeżeli czytelnik podzielił moje zdanie o istnieniu i o ujemnej doniosłości tej naszej cechy narodowej, to niechże jeszcze zastanowi się ze mną pokrótce, jakby ją można usunąć?

Nasze osobnictwo, mogłoby być usunięte tylko długą i b. radykalną pracą u podstaw, a więc przedewszystkiem *w rodzinie*.

Aż do ostatniego okresu, nasze związki rodzinne były b. silne; może silniejsze niż gdzieindziej. Osobnictwo zjawiało się dopiero poza rodziną, w wieku dojrzałym i w sprawach publicznych.

Dzisiaj, wydaje mi się, że jest *w części* odwrotnie. Tak jak to bywa w organizmie, gdy choroba zaczyna ustępować, że najprzód częściowo zmienia miejsce, ulegając przeobrażeniom, i wytwarzając tak zwane *metastazy*, tak i tu, w chorobie całego społeczeństwa, wydaje mi się, że jesteśmy w okresie przejściowym, w okresie pomyślnych przeobrażeń.

Jeszcze bezpośrednio po powstaniu 1863 r., łączność rodzinna była znaczną. Zbieraliśmy się stale, zwykle co niedziela u patryarchy rodziny, i zdawało się, że te związki odwieczne nigdy nie osłabną.

Życie towarzyskie wogóle było b. rozwinięte. Można było do znajomych przyjść któregokolwiek dnia „na herbatę" — na herbatę bez gotowanej kolacyi — i nikogo to nie dziwiło. Nawet kilku i kilkunastu gości w ten sposób zmówionych między sobą, było mile widzianych.

Później, stopniowo, zaczęły powstawać zmiany w kilku kierunkach:

1° w miarę wzmagania się dobrobytu po klęskach powstaniowych, zaczęło powracać w miastach życie nad stan/ przyjęcia szumne z wystawnemi kolacyami — ale oczywiście, z konieczności znacznie rzadsze i już tylko proszone. Powstały tak zwane *żur-fiksy*.

Jednocześnie, po dworach począł się zmniejszać zastęp rezydentów - darmozyadów, a szlachta, najbardziej klęskami dotknięta, oszczędzała się w wydatkach, ograniczając tem samem związki sąsiedzkie. Pijaństwo obywatelskie znacznie się zmniejszyło, a dawne podróże „rze-

miennym dyszlem", to znaczy od komina do komina, pozaczęły zanikać,

2⁰ karność rodzinna, i dawniej oparta nie na wnikaniu w duszę dorastającej młodzieży, lecz tylko na ślepem posłuszeństwie/ zaczęła się zmniejszać wraz z osłabieniem powagi rodzicielskiej; do czego przyczyniał się już sam duch czasu, a mianowicie szybki postęp nauk, czyniący młodzież coraz bardziej niezrozumiałą dla rodziców, a za to w sobie coraz bardziej zarozumiałą. Krzewiąca się wolnomyślność, niereligijność i zapały socyalnego altruizmu, powiększały ten rozdźwięk, który doszedł do szczytu w okresie dekadentyzmu.

3⁰ szkoła rosyjska, nie tylko starała się zaostrzyć antagonizm między nią a domem, ale jeszcze i samą karność szkolną sprowadziła na haniebne manowce obłudy, lizuzostwa i denuncyacyi, albo znów bohaterskiej, bezsilnej opozycyi. Nareszcie

4⁰ w życiu publicznem, wszystkie drogi do łączności duchowej prowadzące, w literaturze, w teatrze, w naukach, w związkach, stowarzyszeniach i spółkach o nieco ogólniejszych celach, zostały zamknięte.

Jakże się miała w tych warunkach rozwijać łączność duchowa narodu?

A jednak rozwijała się. Zaczęła się rozwijać właśnie pod naciskiem, właśnie przez reakcyę przeciw uciemiężeniu!

Jest to właściwością wszelkich prześladowań, że raczej podniecają apostolstwo — po potrąceniu jedynie pierwiastków lichych, które niewola upadla albo znosi. Ale u nas, pod wpływem naszego charakteru narodowego, własność ta: wzrostu siły pod naciskiem, jeszcze wyraźniej występuje. Z wyjątkiem garstki podlejących, polak, nie powiem: szlachetnieje, ale dojrzewa i mężnieje w niewoli.

Rzekłbyś, że Pan Bóg szczególnie ją dla nas wymyślił, żeby nas podnieść, z miłości dla nas.

Jest to tylko figura retoryczna; bo każdy naród, w próżności swej mniema, że Bóg specyalnie nim się opiekuje — a nie chciałbym żebyśmy i my, w tym naszym Mesyanizmie — który zresztą ma pewne, albo raczej może mieć pewne podstawy w dalekiej przyszłości — tym próżnym poglądom hołdowali. Nie mniej jednak, zastanawiając się nad naszem upodleniem w epoce rozbiorów, nad słabością tych lepszych, szlachetniejszych wysiłków, ową przeklętą dobę owiewających tchnieniem lepszej nadziei, dochodzi się do wniosku, że, pozostawieni sami sobie, bodaj czy zdołalibyśmy odrodzić się dodatnio, bez tych batów, bez tych klęsk, bez tych przewrotów, jakie na nas rozbiory sprowadziły.

A sprowadziły one przedewszystkiem większą łączność między klasami społecznemi, mądrzejszą łączność wśród szlachty, poważniejszą łączność między kobietami, zajętemi dotychczas tylko strojami, muzyką i tańcem, skupiły młodzież w przedwczesnej dojrzałości, otworzyły nam oczy na kwestyę żydowską w szeregu zaognień i złagodnień, wyjaśniły nasz realny stosunek do reszty Europy, wreszcie — zgodnie z przysłowiem „mądry polak po szkodzie" pozwoliły nam wierzyć, że naprawdę zmądrzejemy.

I oto w chwili kiedy więzy nasze rozluźniono, rzuciliśmy się bez straty czasu do prac zbiorowych, organizacyjnych, w których polak świąteczny już tak wiele dokonał, że polak codzienny nie byłby takiej syzyfowej pracy podołał, nawet przez długie lata! A wszystko to zawdzięczamy pośrednio wrogom. Dość wspomnieć zasługi najprzód *pierwotnego* stronnictwa narodowej demokracyi, potem naszej Macierzy Szkolnej, wreszcie naszej Rady Głównej Opiekuńczej, która *sześć milionów rubli* wydobyła z pod ziemi na ratunek kraju. W tem 2 miliony od zacnych poznańczyków i pół miliona z samej kwesty „Ratujcie Dzieci". Te miliony umiejętną organizacyą puszczono w ruch w całym kraju, podtrzymując jego żywotność. A nie go-

dzi się też pominąć milczeniem udziału jaki w tem miała nasza dostojna trójka: Osuchowskiego, Paderewskiego i Sienkiewicza.

Jednem słowem, polak od święta zrobił swoje (ci trzej ostatni byli i na codzień w nastroju świątecznym, jako „wyrodni" polacy): zacisnął łączące nas więzy bratnie.

Za to związki rodzinne osłabły...

I oto dlaczego trzeba od nich zacząć robotę.

Pewnego razu byłem zaproszony na obiad w domu obywatelskim, jeszcze niby zamożnym, którego liczne rodzeństwo b. się kochało między sobą.

Przy obiedzie spostrzegam, że owo kochające się rodzeństwo zaczyna sobie nieznacznie wydzierać co lepsze kawałki podawanych potraw — a raz nawet usłyszałem wypowiedzianą półgłosem, ale z wielką złością skargę:

— Ty zawsze sobie zabierasz co najlepsze!

Byłem zdumiony/ bo w gestach i minach takich objawów było jeszcze więcej/ a byłem zdumiony raz dlatego, że był to dom stojący na pewnej stopie towarzyskiej, a powtóre ponieważ, według opinii, owo liczne rodzeństwo b. się między sobą kochało.

Okazało się, że chociaż istniała tam rzeczywiście pewna miłość, w stosunkach grubszej natury, ale że kapryśne wychowanie, psucie dzieci zbytkiem (sprowadzano buciki dla panien z Paryża) obok coraz wyraźniejszego upadku majątkowego, wyrodziły w dzieciach pierwej psutych, teraz względnie krzywdzonych, taką złośliwą pożądliwość i zawiść, że cały dzień schodził tylko na kłótniach i kwasach domowych. Jedno do drugiego nie przemówiło nigdy bez przekąsu.

Ostatecznie sześcioro rodzeństwa zmarnowało się, w ten czy inny sposób, a dwóch synów wyszło na zwykłych

defraudantów i oszustów. Tylko zawsze „kochali się" między sobą.

Przykład to wyjątkowy. Egoizmy domowe, w sferze tak zwanego „dobrego" a właściwie tylko *salonowego* wychowania, rzadko zachodzą tak daleko, żeby się objawiały nawet na obiedzie z gośćmi. Ale w ściśle domowem kółku objaw to niestety dość powszedni.

Jest on wyrazem braku wewnętrznej duchowej harmonii.

W tym wypadku nie byłoby go, gdyby nie

1) nieopatrzne życie nad stan rodziców,

2) zupełne zaniedbanie kształcenia subtelniejszych uczuć i władzy nad sobą,

3) wynikające z pierwszego punktu zmiany fortuny.

Wszystko to wszakże były rzeczy do przewidzenia!

Życie powinno być tak dokładnie dostosowane do środków, że w przewidywaniu ich zmniejszenia się, musi się stopniowo ograniczać. Wtedy nie będzie wstrząśnień, wyradzających zawody, gorzkie niespodzianki i swary domowe.

To jedno. Następnie, gdy dzieci jest kilkoro, nie powinno się między niemi robić najmniejszej różnicy. Tymczasem, jakże często widzimy, że nawet zrazu rozpaczą przyjmowany nowy spóźniony infant, później jako najmłodszy, staje się benjaminkiem, z krzywdą starszych. I harmonia duchowa znika.

Potrzecie, ileż to razy, nawet tam, gdzie takich nierówności uczuciowych nie ma, dba się jedynie o *pozory* harmonii wśród rodzeństwa/ nie wchodząc wcale ani w różnice temperamentów, ani w różnice uzdolnień, ani w sprawiedliwy rozdział przywilejów i obowiązków. Rozdział między płciami (wśród zamożniejszych) powoduje także brak łączności duchowej.

Dzieci powinny się wychowywać razem, bawić razem, uczyć dopóki można razem, a każdy szczegół ich wzajem-

nych do siebie stosunków powinien być dokładnie obserwowany w duchu *wzajemnej uczynności* [1]).

Nie dosyć jest sprawiedliwie wydzielać dzieciom rzeczy niezbędne i wyjątkowe przysmaki lub zabawy — trzeba jeszcze zasadniczo odwrócić całą dotychczasową oryentacyę ludzi dojrzałych — co prędzej czy później przyjść musi — a odwrócić ją zaczynając od dzieci.

Dotychczasowa oryentacya jest taka:

Każda zaledwie wchodząca w świat jednostka mówi sobie:

---

[1]) Ważną rolę pod tym względem odegrać mogą związki młodociane z odcieniem sportowym, byle tylko pamiętano o tem, że sport jest środkiem a nie celem.

Z przyjemnością też zaznaczam wielki w tym kierunku postęp i instynktowe uznanie jakiem ogół darzyć poczyna zasłużone na tem polu jednostki. Podczas ostatniego zjazdu Macierzy Szkolnej „gdy na estradzie zjawiła się postać ks. Mauersbergera, komendanta naszych harcerzy, rozległo się gorące, przeciągłe brawo. Zjazd powitał w ten sposób popularnego kierownika, który miał wygłosić odczyt p. t. „O umoralnianiu młodzieży przez szkołę", a mówił w jaki sposób z dzieci od 7 do 12 lat tworzyć zastępy zuchów. Ks. Mauersberger przejęty jest swoją harcerską misyą, chciałby już małe siedmioletnie dzieci wdrożyć do rzeczy najprostszych, a wychowujących poczucie świadomości. Mycie rąk, czesanie, spokojne siedzenie, niewymyślanie — oto pierwsze zadania, jakie spadają na barki małego zucha. Ks. Mauersberger plan swój przedstawił w trzyletnim i pięcioletnim kursie. Zuch później staje się skautem. Projekt ustawy dla zuchów ks. Mauersbergera dąży do podniesienia godności dziecka. Prelegent prosił zebranych, by przesyłali mu w tej sprawie swoje uwagi. Wywiązała się dyskusya bardzo pouczająca, bo wszyscy prawie mówcy podnosili doniosłość kwestyi organizowania zuchów. Wyrobi to od dziecka w nowem pokoleniu instynkt gromadzki, *solidarność zbiorową*" („Kur. Pol." z 18/II 1917 r.).

Cześć takim kapłanom!

Ja mam prawo do życia. Mnie się należy wygodny byt. Ludzie, poczynając od rodziców i rodziny, powinni mi pomagać. Bogaty krewny powinien mi zapisać choć część swego majątku. Imię które noszę, obowiązuje mnie do życia na pewnej stopie i do posuwania się raczej w górę dostatkiem i godnościami. Ojczyzna winna mi dać stanowisko, odpowiadające moim zdolnościom.

Według zaś jedynie etycznej oryentacyi, każda wchodząca w świat jednostka powinna mówić sobie:

Ja mam względem życia obowiązki. Muszę pracować, żeby nie być ciężarem rodzicom, a ewentualnie, żeby im dać utrzymanie na starość. Na niczyją pomoc liczyć nie powinienem, a tem mniej na pomoc bez zasługi. Uczciwe nazwisko jakie noszę obowiązuje mnie do strzeżenia go od skazy, a do tego niezbędnym warunkiem jest wydawanie stale mniej niżbym mógł wydać. Powinienem zawsze myśleć o posuwaniu się w górę, nabytemi wiadomościami i wyrabianiem charakteru. Ojczyzna liczy na mnie, jako na przynależną jej cząstkę, powinienem się więc okazać godnym jej zaufania.

W takim duchu ma być prowadzone wychowanie.

Każda decyzya rodziców, każde wymówione przez nich słowo, niech będzie nie tylko wyrazem rozsądku, miłości i sprawiedliwości ale także odbiciem i wzmocnieniem, wyrażonej powyżej zasady.

W tem oświetleniu, nie trudno będzie odróżnić środki odpowiednie od nieodpowiednich.

Silna i samodzielna wola niema być jedynie wolą dla siebie, lecz także i dla drugich.

Rozwinięte uczucie, nie ma być wyłącznie stróżem i sługą własnego szczęścia, lecz także zadowolenia ze szczęścia drugich.

Wykształcona myśl, nie powinna zanadto odbiegać od ziemi, lecz obejmować ją wzrokiem trzeźwym, wnosząc w życie wspólne pogodę, światło i spokój.

3. GRY I ZABAWY.

Gdy małe dzieci bawią się ze sobą, zwykle jedno starsze przewodzi.

Młodsze poddają się z pokorą, jako słabsze i mniej pomysłowe.

Ale owo starsze, myśli tylko o tem żeby samemu bawić się jak najlepiej.

Otóż w takich razach rodzice powinni zwrócić jego uwagę, że właśnie jako starsze i mądrzejsze, powinno myśleć także i o tem, żeby i słabsze były zadowolone. A więc, że nie powinno wysługiwać się niemi tylko jako pionkami, lecz w miarę możności dawać im z kolei role przyjemniejsze, sprawiedliwie je wydzielać, a role wyraźnie niższe zmieniać na wyższe i *odwrotnie*, oswajając tym sposobem z zasadą demokratycznego równouprawnienia. W palancie np. każde dziecko powinno mieć prawo zostania *matką*, a potem znów *konikiem*, strzegąc tego, żeby jedni stale nie bywali matkami, a inni stale konikami.

Też samo na wycieczkach, spacerach, majówkach i przy wszelkich dziecinnych organizacyach.

Gdy dzieci pracują w ogrodzie (a nie tylko chodzą tam po to, żeby zrywać kwiaty i deptać klomby), należy czuwać nad odpowiednim *podziałem pracy*, przedstawiwszy wszystkim jeden cel wspólny, ku któremu ten podział zmierza.

Gdy się gimnastykują, jedna część powinna czuwać nad bezpieczeństwem towarzyszów i dawać natychmiastową pomoc w razie wypadku.

Gdy się uczą, jedno powinno poprawiać drugie bez szykan, a to drugie powinno przyjmować uwagi bez obrazy.

Nigdy nie należy dopuszczać uogólnień wyrażających umyślną złą wolę, umyślne oszczerstwo, rozmyślną kradzież lub chęć poniżenia drugich — bo to wszystko oswaja ze złem, sugestyonuje zło, zamiast je wytępiać.

Należy starać się sprowadzać przestępstwa dziecinne do nieporozumień, do chwilowego uniesienia, chociaż potępiać je trzeba tak *jakgdyby to były przestępstwa*. Należy wytępiać stanowczo drobne wady, jeżeli się chce uniknąć powstania wielkich.

Przytem rolę mentorów powierzać stopniowo samym dzieciom.

Stosuje się to mianowicie do wyrabiania łączności duchowej w szkołach.

Nawet tutaj gry i zabawy powinny być równouprawnione z nauką (poza lekcyami), bo i one *mogą* być nauką, a nawet nauką ważniejszą w życiu: cnót towarzyskich i społecznych, jeśli tylko będą prowadzone w ten sposób, żeby każda zabawa była jakąś organizacyą, przyzwyczajaniem do karności i łączności duchowej — obok pozostawienia możliwej swobody jednostkom. Nigdy wszelako zabawa nie powinna polegać na jednostkowej samowoli.

Powyższym uwagom staje na przeszkodzie następująca okoliczność.

Ponieważ całe dotychczasowe życie ludzkie (wbrew teoretycznym zasadom chrześciańskim) polegało na egoizmie, więc też i gry i zabawy noszą wyłącznie charakter egoistyczny.

We wszystkich grach dotychczasowych motorem zajęcia i przyjemności jest zadowolenie miłości własnej a nawet niższych jeszcze skłonności. Chcąc wygrać, trzeba szkodzić towarzyszowi — a w grach czysto losowych pragnąć niezasłużonego szczęścia i cieszyć się niezasłużoną klęską drugich.

To się musi zmienić, jeśli gry mają zachować wartość wychowawczą i przy nowej oryentacyi. Trzeba wymyślić gry nowe altruistyczne, w którychby zwycięstwo polegało nie na przypadku lub chęci złośliwej, lecz na własnej roztropności a nawet na odznaczeniu się w pomocy drugim.

W którychby wygrywał nie ten, co drugiego pogrąży, ale ten, który drugim najrozumniej i najofiarniej pomoże do posunięcia się naprzód. Działający jedynie na szkodę przeciwnika, powinien tracić jedną kolej lub jedną stawkę.

Trudność obmyślenia takich gier nie mała, wobec odwiecznego a wprost przeciwnego nałogu—ale pole wdzięczne dla pedagogów, miłujących cele ogólne.

W gimnazyum lubelskiem, z którego wyszło wielu wybitnych publicystów i działaczy (Aleksander Głowacki [Bolesław Prus], Aleksander Świętochowski, dr. Gustaw Doliński, dr. Aleksander Jaworowski, prezes miejscowego Tow. Lek. i twórca miejscowej Bibl. publicznej, dwaj Jonscherowie, zasłużeni działacze w Łodzi, Adolf Suligowski, obecny prezes Rady Miejskiej i Zbigniew Kamiński, autor kilku cennych dziełek i in.) mieliśmy:

1° Swoje pismo studenckie, w którem zabawa łączyła się z nauką.

2° Swoją kasę pożyczkowo-oszczędnościową — i

3° Swoje własne wykłady niedzielne dla kolegów z klas niższych —

obok wspólnych wycieczek, wypożyczalni książek etc., co wszystko zacieśniało węzły solidarności.

Tak np. wspomniane wykłady nie tylko pomagały młodszym uprzytomnić sobie to, czego się już nauczyli, ale także ułatwiały kolegom klas wyższych przygotowanie się do egzaminu ostatecznego.

Ten punkt uważam za szczególnie ważny, ponieważ wskutek nieścisłości a żywości naszych umysłów nie odznaczamy się z natury zmysłem pedagogicznym/ a wyrobienie go najłatwiejby przyszło w takich właśnie instytucyach wzajemnego kształcenia się młodzieży. Młodzież, świeżo pamiętająca własne trudności, doświadczone przy nauce, świeżo odczuwająca błędy pedagogiczne, popełniane na niej samej przez starszych, łatwiej niż ci ostatni odczuje

i wynajdzie odpowiednie sposoby i metody działania na towarzyszów, albo na jeszcze młodszych. Zdobyte zaś w ten sposób nowe doświadczenie, *przy swobodzie zapytań i dyskusyi*, wzmocni i na przyszłość jej zdolności dydaktyczne i wychowawcze.

4. WSPÓŁCZUCIE PSYCHOLOGICZNE.

W związku z powyższą uwagą jest kwestya, poruszona już w pierwszej mojej pracy studenckiej (patrz rozdział I, s. 9), a dotychczas — jako ogłoszona tylko po polsku — przez nikogo nie rozwinięta.

Zaznaczyłem tam mianowicie, że obok *współczucia moralnego*, etycznego, zwanego pospolicie litością, i prowadzącego do aktów dobroczynnych — istnieje *współczucie psychologiczne*, ułatwiające dokładniejsze wzajemne rozumienie się istot żywych o wyższym rozwoju/ a przy odpowiedniem wyrobieniu, i całkiem niezależnie od współczucia etycznego, pozwalającego na wykorzystanie tej właściwości dla postępów psychologii.

Później, w *Listach do przyszłej narzeczonej*, uwydatniłem ważność współczucia psychologicznego dla harmonii duchowej w pożyciu małżeńskiem.

Teraz zaś chciałbym głównie podkreślić jego wartość dla pedagogiki.

Bez współczucia psychologicznego wogóle nie można być pedagogiem. Zarówno bowiem nauczyciel jak wychowawca, muszą odczuwać stan wiedzy i stan uczuć dziecka, co bynajmniej nie jest rzeczą łatwą. Dowiadywanie się bezpośrednie nie wiele tu pomoże/ bo dziecko nie zdaje sobie jeszcze sprawy ani z własnych wiadomości ani z własnych uczuć, instynktów i popędów. Pytanie formalne może nawet często w błąd wprowadzić. Trzeba *odczuć* stan duszy

dziecka, trzeba *domyślić się* jej zasobów i tendencyj — na podstawie oznak zewnętrznych i własnych wspomnień.

Wtedy dopiero pedagog utrafi w ton właściwy i znajdzie odpowiedni wyraz i odpowiedni sposób postępowania.

Otóż owo współczucie psychologiczne trzeba także *wyrabiać* w dzieciach, jeśli one mają być pedagogami.

I nie tylko w tym wypadku specyalnym; bo pedagogiem właściwie powinien być *każdy* w pewnym zakresie: w życiu potocznem i publicznem jako mówca, jako pisarz, jako świadek w sądzie, jako organizator czegokolwiek, jako gospodarz, jako zwierzchnik lub podwładny, uczeń lub towarzysz.

Wspomnę jeszcze o tych rzeczach w dalszym ciągu. Tu chcę jedynie wskazać, jak rozwijać współczucie psychologiczne.

Wskazówki te musiałyby mieć charakter specyalny, przy kształceniu psychologów — tutaj zaś chodzi o ogólne życiowe jego znaczenie i o ogólne sposoby kształcenia.

Otóż przedewszystkiem trzeba sobie uprzytomnić, że jako jeden z potężnych, choć mało dostrzegalnych czynników łączności duchowej w społeczeństwie, współczucie psychologiczne polega na *pamięci uczuć*, na zdolności odtwarzania sobie trafnie, bez złudzeń miłości własnej, doświadczanych dawniej uczuć i wzruszeń, na *uważnej obserwacyi* oznak zewnętrznych obcych stanów duchowych i wreszcie na *ścisłem skojarzeniu jednych z drugiemi*, w odczuciu, domyśle, intuicyi.

Intuicya jest w tym razie także wynikiem doświadczenia, tylko doświadczenia machinalnego, nieuświadomionego. Doświadczenie nasze ogólne, życiowe, pozostawia swoję ślady a nawet swoje konsekwencye w sferze podświadomej lub całkiem bezwiednej i dopiero przez reakcyę na sferę świadomą daje to, co nazywamy intuicyą.

Odbywa się to bez trudu — ale z dostateczną ko-

rzyścią występuje jedynie u wyjątkowo w tym kierunku uzdolnionych jednostek.

Wychowawca nie może się takimi wyjątkami zadowolnić. On powinien rozszerzyć i wzmocnić owe informacye podświadome u wszystkich swoich uczniów — a do tego jest tylko jedna droga, przez świadomość.

Przez świadomość, to znaczy przez *uwagę, obserwacyę, rozróżnianie, porównywanie i wnioskowanie.* Następstwa tych ćwiczeń dołączą się do słabej bystrości machinalnej, przechodząc w sferę podświadomą — i stamtąd już, podobnie jak i tamte, będą się odzywały w świadomości, w chwili odpowiedniej, to znaczy pod wpływem analogicznych skojarzeń.

Trzeba więc zwracać uwagę dzieci jednych na drugie, uprzytomniać im sposób ich wyrażania się, rodzaj mimiki, charakterystyczne okrzyki, stały lub niestały wyraz twarzy, uczyć uważać gdy inni mówią a nie mówić jednocześnie, wreszcie wprawiać w domyślanie się, coby temu lub owemu sprawiło przyjemność a co przykrość, czego może chcieć w danej chwili, czy mówi wszystko, czy coś ukrywa i t. p.

W ten sposób wyrobione współczucie psychologiczne jest niesłychanie ważnem dla przyszłego pedagoga, bo pozwoli mu zastosować najodpowiedniejsze środki trafienia do duszy dziecka, odczuwając dokładnie jego stan duchowy; jest ważnem dla przyszłego kapłana, bo nauczy go zbliżać nauki moralne do rzeczywistości; dla lekarza, bo pozwoli mu odróżnić zboczenia subjektywne główne, od przesadnie tylko opisywanych pobocznych; dla artysty, bo pozwoli mu uniknąć znużenia a natomiast rozbudzić odpowiednie uczucie i wywołać żądany efekt; dla adwokata, bo nie będzie wojował bronią, która nikogo nie rani i argumentami, zbyt obcymi, zbyt dalekimi od duszy obecnych; dla polityka, bo nie będzie się wyrywał nie w porę, albo

znów zanadto trzymał się w abstrakcyach i ogólnikach i t. d. i t. d.

A przedewszystkiem, o co nam głównie chodzi w tej chwili, współczucie psychologiczne wzmocni łączność duchową w stowarzyszeniach, w przedsięwzięciach i wogóle wszędzie tam, gdzie ona jest możliwą.

Czytelnik ani się domyśla, jak ten punkt jest ważnym.

Ale jakże ma okazać swoją ważność, skoro nikt o nim nie myśli?

5. JAK WYTĘPIĆ OSOBNICTWO W NASZYCH STOWARZYSZENIACH?

Najprostszym wyrazem zdolności danego narodu do łączności duchowej, do pracy wspólnej, zbiorowej, są jego stowarzyszenia.

Wspomniałem już, że dzięki okolicznościom, poczyniliśmy pod tym względem w ostatnim okresie znaczne postępy.

Jeszcze jednak niedostateczne; a niedostateczne, nie tyle co do ilości stowarzyszeń, ile co do ich wewnętrznej wartości, mianowicie spoistości i pracy owocnej.

Moje zajęcia naukowe i pisarskie nie zostawiały mi wiele czasu na udział w stowarzyszeniach, taki, jakiegobym pragnął, i do jakiego nawołuję tych, którzy mniej odemnie czasu poświęcają na pracę w domu.

Nie mniej jednak mój dłuższy udział w zarządzie Tow. Przyr. imienia Kopernika we Lwowie, Tow. literackiego tamże, w inicytywie, a później w zarządzie jako kilkoletniego prezesa Kasy Literackiej w Warszawie, pozwoliły mi poczynić pewne spostrzeżenia, któremi chcę się podzielić z czytelnikiem.

Nasze stowarzyszenia potrzebują przedewszystkiem zarządów bardziej liczących się z wadami narodowemi

i bardziej dbających o ich wytępienie, w danym zakresie.

A mianowicie:

1_0 Nasze niedbalstwo w płaceniu wkładek należy wytępić krótkoterminowem wykreślaniem członków nie płacących — starając się jednocześnie o to, żeby wkładki były niskie lub rozkładane na małe raty i regularnie ściągane.

2_0 Zarząd powinien się zrzec wszelkich adoptacyj i wszelkiej samowoli (choćby z dbałości o dobro towarzystwa) a natomiast wciągać członków do ciągłego współudziału w swych pracach. W tym celu zebrania ogólne powinny być częstsze, nie tylko doroczne; powinny się odbywać zawsze w pierwszym terminie bez ograniczenia liczby obecnych. Członkowie zarządu nie przybywający na trzy posiedzenia z rzędu, bez usprawiedliwienia, mają być *eo ipso* usuwani i zastępowani na razie tymi, którzy z kolei otrzymali największą liczbę głosów. Opozycyi nie należy zwalczać tajemnie, lecz przeciwnie pobudzać ją do jawności i ułatwiać wejście do zarządu przez częstsze wybory *częściowe*. Wybory przez prostą aklamacyę należy zupełnie znieść. Wnioski o zmianę ustawy mają być dopuszczane na zebraniach ogólnych, z krótszym terminem złożenia ich zarządowi, celem przygotowania jego opinii. O ile możności, *całe* towarzystwo powinno być czynne na *regularnie* odbywanych posiedzeniach. Przy braku zgłoszeń do wykładów, zarząd powinien się postarać o zapełnienie go, byle *ciągłości* pracy nie przerywać.

3_0 Przewodnictwo na posiedzeniach nie powinno być nigdy fikcyjnem. Prezydowanie przez siedzenie i proste udzielanie głosu, nie jest prezydowaniem. Przewodniczący powinien wyrażać podziękowanie mówcom tylko wtedy, gdy jego zdaniem zasługują na nie i tylko w stopniu odpowiadającym tej zasłudze. Gdy się okaże jednostronnym, każdemu członkowi ma być wolno zdanie jego sprostować lub dopełnić. Powinien czuwać nad tem, żeby w dyskusyi

nie zbaczano od przedmiotu, nie mówiono za długo i zbyt subjektywnie. Dyskusya powinna być zawsze celem głównym, a ułatwi ją prezes, jeśli zaraz po przemówieniu uprzytomni jej zakres, dzieląc go ewentualnie na części. Pożądanem wreszcie będzie uprzytomnienie ogólnych wyników dyskusyi przed zamknięciem zebrania.

4. Osobnictwo zbyt krańcowe, jako warcholstwo jednostek, usuwać odrazu zarządzonem głosowaniem, bez długich a jałowych rozpraw.

Nie motywuję, dla krótkości, wszystkich tych punktów, w przypuszczeniu że czytelnik mojej książki, sam domyśli się motywów.

6. JAK ZAPOBIEGAĆ OSOBNICTWU I SZTUCZNEJ JEDNOMYŚLNOŚCI NA NASZYCH ZJAZDACH NAUKOWYCH?

Żyliśmy tak długo pod batem, że wreszcie sami uwierzyliśmy w jego, względną przynajmniej, konieczność.

Z drugiej strony tkwią w nas tradycye dawniejsze i głębsze a wprost przeciwne.

I dzięki temu, nasze życie publiczne stało się mieszaniną, plątaniną tych sprzecznych tendencyj.

Mamy teraz sposobność popracowania nad ich wyrównaniem.

Chcę wyjaśnić środki ku temu prowadzące, na przykładzie zjazdów naukowych.

Miały one dotychczas całkiem swoisty charakter, niespotykany za granicą.

Jeżeli powiedziano o Rosyi, że panującą w niej formą rządu jest „despotyzm, łagodzony królobójstwem", to o naszych zjazdach możnaby powiedzieć, że zasadą ich czynności jest „sztuczna jednomyślność, łagodzona warcholstwem". Warcholstwo ocala niekiedy godność zjazdów,

naruszoną przez sztuczną jednomyślność/ ale niestety częściej ta ostatnia narusza wolny, swobodny, demokratyczny rozwój prac wspólnych.

Powtórzę tu zmiany niezbędne w organizacyi zjazdów, proponowane przezemnie już przed laty; a będę mówił głównie o zjazdach przyrodniczych, jako najlepiej mi znanych.

Ustalił się zwyczaj, że organizują je lekarze, ponieważ pierwotnie dużo było lekarzy a mało przyrodników.

Pierwsza niewłaściwość rutyniczna, z której się trzeba otrząsnąć, bo warunki się zmieniły. Dziś mamy więcej naukowo przygotowanych przyrodników niż naukowo przygotowanych lekarzy. Ale nie idzie za tem, żeby teraz przyrodnicy mieli urządzać zjazdy lekarskie. Za tem idzie tylko tyle, żeby jedni i drudzy organizowali je oddzielnie. Zjazdy wspólne, przyrodniczo-lekarskie, byłyby wprawdzie pożądane od czasu do czasu, ale dopiero wtedy, gdy lekarze będą także przyrodnikami, gdy tych ostatnich dopuszczą do równego prawa głosu, gdy zginie sztuczny rozdział lecznictwa i przyrodnictwa — a do tego jeszcze b. daleko.

Ale i przyrodnicy nie są wolni od rutyny, związanej z dwoma wskazanymi wyżej, a wprost sobie przeciwnymi nałogami.

Na ostatnim zjeździe przyrodniczo-lekarskim w Krakowie, z okazyi publikacyi prof. Ciesielskiego o sztucznem wytwarzaniu u roślin i zwierząt płci żądanej, powzięto w połączonych *sekcyach biologicznych* uchwałę tego rodzaju, że: „wyniki badań naukowych nie powinny być publikowane w pismach codziennych przed pismami fachowemi".

Uchwała zapadła prawie jednomyślnie, bo stu kilkudziesięciu głosami przeciw *pięciu*, do których należał mój głos — a była podwójnie niedorzeczna. Raz dlatego, że prof. Ciesielski opublikował swą pracę w „Bartniku", a więc

w piśmie *fachowem*, z którego dopiero pwtórzyły ją gazety — powtóre, ponieważ jako teza ogólna uchwała ta była wprowadzeniem do nauki metody policyjnej.

A co gorsza, że zastosowano ją natychmiast, na tem samem zgromadzeniu i w innym względzie. Gdybym był mógł zabrać głos, byłbym może przekonał uczestników, że nie jest rzeczą tak trudną powstrzymać się od zrobienia głupstwa, jeżeli się sobie uprzytomni na czem ono polega. Ale nie mogłem nawet prosić o głos, bo byłem wówczas wyjątkowo/ z powodu własnego komunikatu „o teoryi kohererów"/ zapisany do sekcyi nauk ścisłych — a szan. przewodniczący — nie pamiętam już kto nim był — zgóry oświadczył, że *przemawiać mogą jedynie członkowie sekcyj biologicznych*...

Nic podobnego nie mogłoby się trafić za granicą. Tam głównym celem zjazdów jest *łączność* różnych działów z jednej gałęzi wiedzy i *zbliżenie* do siebie różnych specyalności. Gdyby na jakiem posiedzeniu przewodniczący oznajmił, że członkowie zjazdu mają prawo przemawiać tylko w pewnych grupach kwestyj a w innych nie, albo co gorsza, że jak to tu właśnie miało miejsce, nawet w kwestyi *ogólnej:* publikowania w tych lub owych czasopismach komunikatów, w tym a nie innym porządku, mogą zabierać głos tylko członkowie sekcyi *A* nie zaś sekcyi *B*, toby pomyślano, że dostał nagłego obłędu i poleconoby go opiece kolegów lekarzy. Ale ponieważ to było u nas, wszystko poszło gładko: było i osobnictwo i warcholstwo i jednomyślność — i nauka i policya.

Te i tym podobne zajścia skłoniły mnie do proponowania następujących zmian w przyszłych zjazdach: [illegible] dzie psychologów i lekarzy w Warszawie *odrzucono* refe-

1° Cenzura referatów znosi się. (Na ostatnim zjeździe raty prof. W. Lutosławskiego i d-ra A. Wróblewskiego, a po moim chciano nie dopuścić do dyskusyi — co jednak nie udało się — na jednym zaś z dawniejszych zjazdów

lekarzy i przyrodników odrzucono referat d-ra L. Rzeczniowskiego z Warszawy, który przyszedł do skutku jedynie dzięki temu, że mnie obrano przewodniczącym).

2° Znosi się również prawo układania zgóry, to znaczy przed zjazdem, porządków dziennych (przyczem referaty źle widziane przez niektóre koterye, umieszczają się na końcu, żeby przy nawale innych odpadły).

3° Referaty mają być zapisywane chronologicznie dla każdej *wybranej przez autora* sekcyi, według daty zgłoszenia, i w tym porządku przedstawiane przewodniczącemu, którego wybiera się na każde posiedzenie osobno. (Tak miało być, ale nie zawsze tak bywało, ponieważ niektórzy raz wybrani, bez pytania obejmowali przewodnictwo i na następnych posiedzeniach, zapominając o wyborze innego prezesa — co działo się z uszczerbkiem urozmaicenia kierunku i formy dyskusyi).

4° Dwudziestominutowy czas trwania referatów obowiązuje zarówno uczonych ze stanowiskiem jak i uczonych bez stanowiska. (Działo się zwykle przeciwnie).

5° Zaznaczyć zgóry, w zaproszeniach, iż na zjazd mają być zgłaszane tylko referaty nowe, oryginalne a nie proste, bezkrytyczne kompilacye. To w większości wypadków zabezpieczy go od przeładowania referatami, będącego chroniczną chorobą naszych zjazdów. Gdyby zaś pomimo to trafił się referat podobny, każdorazowy przewodniczący będzie obowiązany zażądać wyjaśnień od prelegenta a względnie zapytać zgromadzenie czy chce go słuchać w dalszym ciągu.

6° Wykłady dłuższe, a mianowicie trwające trzy kwadranse, mogą być dopuszczone wyjątkowo, na wniosek któregokolwiek z członków, przyjęty w głosowaniu — ale nie narzucany zebraniu zgóry przez kilku organizatorów, specyalnie uprzejmych dla danego stanowiska urzędowego.

7° Główny nacisk kładzie się jednak nie na wykłady, lecz na dyskusyę, w celu wszechstronnego oświetlenia

kwestyi i ujednostajnienia opinij, przy pomocy argumentów a nie przez samo głosowanie, które w kwestyach naukowych niczego nie dowodzi. W tym celu, zgłoszone tematy mają być jaknajwcześniej publikowane w pismach codziennych, w celu przygotowania się członków do dyskusyi.

8° Wszelkie dłuższe niż kilkominutowe mowy powitalne i dziękczynne znoszą się, jako nie należące do naukowych celów zjazdu, a telegramy krajowe, nadsyłane po większej części jedynie dla reklamy własnej — jako powodujące niepotrzebną stratę czasu, nie mają być odczytywane, lecz tylko drukowane w Dzienniku zjazdu.

9° Znoszą się również zbyt kosztowne przyjęcia z trunkami, z obowiązkową wystawą fraków i orderów, a część wyrzucanych na te przyjęcia pieniędzy przeznacza się na konkursy naukowe dla prac oryginalnych.

10° Uchwały powzięte w sekcyach (w rodzaju np. powyżej przytoczonej), o ile mają być ogłoszone w imieniu całego zjazdu, muszą być poddane głosowaniu na zgromadzeniu ogólnem. (W ten sposób uchyliłoby się samozwaństwo naukowe i narodowe, tak bezkarnie u nas grasujące).

7. JAKĄ POWINNA BYĆ KARNOŚĆ W WOJSKU POLSKIEM?

W każdej armii łączność, koleżeństwo, solidarność, przybierają formy specyalne.

Dziedzina to odrębna, b. różna od nauki, wymagająca też paru uwag oddzielnych, jeżeli, w myśl naszej zasady ogólnej, nie ma być traktowaną po doktrynersku, lecz w związku z charakterem narodowym i specyalnymi naszymi warunkami.

W dziełku swojem: „Szkoła i charakter", w przekładzie p. Maryi Łopuszańskiej, Warszawa, 1909,

s. 62 i nast., prof. W. Fr. Foerster (szwajcar) tak stawia kwestyę ogólną:

„Zarówno w wojsku jak i w szkole, niezbędnym warunkiem rozwoju jest połączenie zasad karności i posłuszeństwa z potrzebami duchowemi człowieka wolnego, w kraju demokratycznym. Jest to tak samo ważne w szkole jak w wojsku. Ale wojskowe wychowanie trwa tylko dwa lata i wpływa na człowieka dorosłego; karność szkolna działa natomiast przez długie lata, właśnie w epoce rozwoju charakteru. Jeśli jest stosowaną w duchu ślepego, zewnętrznego przymusu, pozostanie nierozwiniętem poczucie wewnętrznej odpowiedzialności, przytłumia ambicyę i spoczywa jedynie na powierzchownej autokracyi nauczyciela. To też karność tego rodzaju wychowa społeczeństwu obywateli, których usposobienie nadaje się do monarchii absolutnej, lecz bynajmniej nie do wspólnej pracy obywatelskiej".

Ale sprawy wojenne są pod wielu względami przeciwieństwem wspólnej pracy obywatelskiej pokojowej. Zachodzi więc pytanie, jakim ma być stosunek tych dwóch czynników: samodzielności jednostkowej i karności ogólnej w wojsku?

To pierwsze pytanie. A drugie będzie bardziej szczegółowe: czy w wojsku, stosunek oficerów do żołnierzy ma być takim samym 1) w czasie walki, 2) w czasie służby poza walką, 3) w czasie pokoju, poza służbą?

Największa dyscyplina panuje w armii niemieckiej, będącej pod tym względem, jak i pod wielu innymi, wzorem dla armij europejskich. Jest bezwzględną.

Jednakże w stosunku oficerów i żołnierzy poza służbą, widywaliśmy bijące w oczy różnice, w porównaniu np. do dyscypliny rosyjskiej. W kawiarniach i cukierniach można było widzieć oficerów i żołnierzy niemieckich siedzących obok siebie i pijących razem kawę a na ulicach stojących lub idących i rozmawiających po koleżeńsku —

czego nie widywaliśmy wśród rosyan. U niemców stosunek ten jest już bardziej demokratyczny — u rosyan jeszcze tej miary nie dorósł.

Jeśli teraz weźmiemy pod uwagę wojsko niemieckie podczas marszu, a więc służby, wystąpią różnice jeszcze większe. Żołnierz niemiecki sprawia bardziej wrażenie maszyny, gdy rosyjski zachowuje się mniej więcej tak samo jak poza służbą, t. j. z jednakową czołobitną, bezmyślną uniżonością, a mniej sztywno niż niemiecki.

Czy wypływa to z charakterów narodowych?

W części; ale głównie z tradycyi — już słabnącej.

Wojsko rosyjskie było pierwotnie wzorowane na niemieckiem, a to ostatnie od niepamiętnych czasów (wspomina już o tem Tacyt) miało wygląd zewnętrzny sztywny, opięty, poprawny co do najdrobniejszych szczegółów, surowy, groźny i maszynowy. Tak wyglądało wojsko Fryderyka Wielkiego.

Te tradycye niemieckie uprawiał u nas i odbijał na karku żołnierza polskiego, z najwyższem jego udręczeniem, Wielki Książę Konstanty.

Na przedstawieniach popularnej sztuki A n c z y c a: „Kościuszko pod Racławicami", publiczność nasza miała sposobność widzieć żołnierzy rosyjskich Katarzyny II maszerujących w sposób b. zabawny: zadzierających sztywno nogi do góry jak manekiny. Było to wierne odtworzenie dawnej maniery niemieckiej, naśladowanej przez rosyan. Tradycye te znikły u nich, a u niemców pozostały jeszcze ślady podobnego maszerowania/ jako objaw szczątkowy — podczas spotkania się maszerującego przez ulicę oddziałku ze starszym oficerem, żołnierze sztywno i wyżej podnoszą nogi, silnie uderzając niemi o ziemię. Studenci niemieccy także okazują swoje zadowolenie z wykładu i swój szacunek dla profesora, tupaniem nogami.

Tymczasem w dziedzinie form zewnętrznych, poza

służbą, zaszła zmiana odwrotna: wojsko niemieckie już się zdemokratyzowało — rosyjskie jeszcze nie.

W dziedzinie form — bo w rzeczywistości stosunek żołnierza niemieckiego pozostał równie surowym jak był, a w rosyjskiem wojsku dyscyplina wewnętrzna — choć jeszcze silna — osłabła.

A to znów wynikło ze znacznie mniejszej inteligencyi żołnierza rosyjskiego w porównaniu z niemieckim.

Karność nie jest największą wtedy, gdy oficer jest o wiele mądrzejszym od żołnierza, ale wtedy, gdy jedni i drudzy lepiej rozumieją i odczuwają jej potrzebę.

Będzie więc większą, a przynajmniej skuteczniejszą tam, gdzie inteligencya żołnierza bardziej się zbliża do inteligencyi oficera — przy utrzymaniu tej ostatniej na pewnym poziomie.

U rosyan jest on obustronnie niedostatecznym.

Podczas zbliżania się niemców do Warszawy przebywałem na letniem mieszkaniu w Świdrze, skąd wróciłem dopiero ostatnim pociągiem przed wysadzeniem mostów. Otóż pewnego dnia wieczorem, zajeżdża przed mój pensyonat kozak na spienionym koniu, pytając o drogę służącej z pensyonatu. Służąca umiała czytać po rosyjsku a kozak nie/ więc choć z biedą odcyfrowała to i owo na ołówkiem nagryzmolonym świstku, który w dodatku żołnierz pogniótł i pościerał w drodze.

— Mam depeszę do komendy w Świdrze, mówił nieszczęśliwy kozak, a napróżno jej szukam *od rana*...

Kilka szwadronów konnicy konsystowało w Świdrze — ale osada ta jest b. rozrzucona a wojsko stało za lasem.

Wskazówki dziewczyny okazały się niedostateczne; kozak nie rozumiał dobrze co znaczyło na prawo a co na lewo i w godzinę potem jeszcze raz powrócił. Dopiero jakiś przechodzień już pod noc zobowiązał się doprowadzić go do komendy.

Przy takiej obsłudze można zajechać daleko — tylko nie tam gdzie się chciało.

Tymczasem widzieliśmy żołnierzy niemieckich od pierwszego dnia tak dokładnie poinformowanych o planie Warszawy, że wchodzili do niej, jak do własnego domu.

Pan X obywatel ziemski, jeszcze przed zajęciem Warszawy chciał się do niej dostać i w tym celu prosił władze niemieckie o przepustkę. Ponieważ był im znany, otrzymał ją.

— Lecz jakże pan przejdziesz przez kordon rosyjski? pyta go komendant niemiecki.

— Myślę, że mnie przepuszczą, bo mnie także znają — odpowiada p. X.

— Mylisz się pan; wydano już rozkazy niewpuszczania nikogo. Ale my panu wskażemy taką ścieżkę, którą będziesz mógł przejść *niespotkawszy rosyan*...

I tak się stało!

Taką była różnica w organizacyi wojskowej jednych i drugich.

Inny przykład, dotyczący karności:

W bitwie pod Tworkami, żołnierze rosyjscy wystrzelali naboje i nie wiedzieli, co dalej robić — okazało się bowiem, że wszyscy oficerowie znajdowali się w tej chwili w murach gmachów i dość daleko od okopów. Dopiero przybycie pułkownika przepędziło ich z ukrycia i zmusiło do pilnowania szeregów.

Wiadomo też, że jedynie surowy zakaz Wodza Naczelnego powstrzymał oficerów rosyjskich od codziennych wycieczek do Warszawy, na obiady i kolacye — przyczem widywano ich w samochodach z wesołemi kobietami, a w restauracyach pili w sekrecie, mimo zakazu.

Nigdy zaś nie dali nam podobnego widowiska oficerowie niemieccy.

Tak wyglądała różnica zachowania się dwóch wrogich armii podczas wojny.

Porównajmy teraz karność niemiecką z francuską.

W niemieckiem piśmie, poświęconem wojskowości ukazał się w r. 1906 a więc na kilka lat przed wojną, artykuł o karności w armii francuskiej. Prof. Foerster tak pisze o tym artykule:

„Autor przytacza cały szereg zajmujących uwag, które wykazują, jak mało wartości przywiązują w ćwiczeniach wojska francuskiego do owej konwulsyjnie wyprostowanej postawy i do ogłupiającej musztry, które stanowią najgłówniejszą stronę dyscypliny armii niemieckiej (np. przy apelu, t. j. przy sprawdzaniu obecności, żołnierze francuscy występują pojedynczo lub po kilku a oddalają się też często przed ukończeniem sprawdzania. We froncie również nie zawsze zachowują się całkiem nieruchomo, skoro się rozlegnie komenda: „Garde à vous!"). Francuskiemu żołnierzowi pozostawiono podczas służby daleko większą swobodę ruchów i samodzielnego działania, niż niemieckiemu. Najważniejsze w tych spostrzeżeniach stanowi to, że, jak dowodzi autor, owa swoboda na manewrach nie pozostawia nic do życzenia pod względem dokładności i szybkości obrotów, co zresztą potwierdziła wojna rosyjsko-japońska" (u japończyków). „Wojna ta dała uderzające dowody, jak niezbędnym w dzisiejszem prowadzeniu kampanii jest rozwój samodzielności, oraz poczucie odpowiedzialności w szeregowcach/ jak osobistość ludzka wyraźnie zarysowuje się poza dynamicznym wpływem masowej tresury wojskowej i jak zgubnie wpływać musi wychowanie ludności, oraz karność wojskowa, zamieniająca jednostki w bezduszne kółka wielkiej maszyneryi, zamiast wszystkie siły duchowe oraz rozbudzone poczucie godności spożytkować w celach służby".

Zdaje się, że niemcy — którzy ze wszystkiego korzystają, po cichu a systematycznie — skorzystali i z tych uwag, bo w ostatnich latach podobno złagodzono gburowa-

tą dzikość podoficerów; a i samodzielność jednostek bojowych zdaje się być obecnie większą, niż dawniej.

W każdym razie są ślady, że artykuł ten był uwzględniony, lub może nawet natchniony, z góry.

Między innemi, pułkownik G ä d k e, znany sprawozdawca wojenny „Berliner Tageblatt'u", ogłosił wkrótce potem artykuł p. t. „Karność", w którym rozpoczął walkę z przestarzałem pojęciem o dyscyplinie. „Wcale nie starając się umniejszyć znaczenia musztr, przymusu, oraz znaczenia kar, utrzymuje on jednak, że dyscyplina nie zawiera się w jednem słowie: *posłuszeństwo*, że jest czemś szerszem, bardziej duchowem/ że musi większe miejsce pozostawić swobodzie i samodzielności, oraz zmiękczyć sztywność obejścia oficera z szeregowcami, zwłaszcza wtedy, gdy dana chwila wymaga największego skupienia woli, oraz najbezwzględniejszej jedności *całego* człowieka w wykonywaniu komendy".

Uwagi te, słuszne dla niemców, są jeszcze niezbędniejsze dla nas/ ponieważ żywość naszego umysłu, obok natury kapryśnej, niepodległej a ambitnej, wywołałyby przeciw zbyt srogiej, maszynowej dyscyplinie reakcyę zniechęcenia, mogącą narazić na szwank najważniejszą zaletę wojska: jego *spójność duchową*.

Z drugiej wszakże strony, też same właściwości nasze domagają się, dla poprawy wad, wielkiej *stanowczości, punktualności* i *ścisłości*, które łagodniejszy sposób postępowania łatwiej zaszczepić pozwoli niż zbyt surowy w formach. Stanowczość istotna i surowość racyonalna muszą pozostać nienaruszone, stale i bez zastrzeżeń [1]).

---

[1]) Braku karności w wojsku polskiem znajdą się liczne dowody w dziele „Psychologia i Historya" a specyalnie w „Psychologii historyi polskiej". Tu tylko nadmieniam, że nasza niesforność i nasze osobnictwo, w odróżnieniu od innych narodów, objawiały się, czasem silniej nawet, po zwycięstwach niż po klęskach. Tak np. w bitwie Rac-

Drugim punktem, na który należałoby zwrócić uwagę, jest przedział zasadniczy, istniejący w umysłach polskich pomiędzy pojęciami wojny i pokoju/ przedział bez porównania większy, niż w umysłowości niemieckiej, a bardziej zbliżony do innych narodów.

Tylko polak podnieciony, jest wojownicznym — polak normalny jest przeważnie potulnym i łagodnym. W umyśle niemca niema radykalnego rozdziału między pokojem a wojną. On zawsze jest karny i zawsze walczy; czy to o drogi zbytu dla swojego przemysłu, czy o informacye co do sąsiadów. A jego pokojowa kolonizacya jest także najazdem wojennym, bo w ścisłym związku z wojną.

Angielski umysł ma również mniejszy kontrast tych dwóch pojęć, tylko że z naciskiem odwrotnym. Niemiec podczas pokoju myśli o wojnie — anglik podczas wojny o pokoju, a obaj doskonale przewidują.

Polak nie przewiduje dostatecznie ani w jednym, ani w drugim kierunku. Są to bowiem dla niego dwie całkiem różne rzeczy. Kiedy wojna, to wojna — kiedy pokój, to pokój. I wyobraża sobie, że byle tylko ten ostatni nastąpił, to już wszystko będzie dobrze. W niewoli znów ciągle wyczekiwał wojny, która na wiosnę miała wszystko poprawić. Jak? tego on dobrze nie wiedział i o to się nie troszczył. Tę jego niepolityczną cechę trzeba uwzględnić. A ponieważ nie jest on w postępowaniu tak grzecznym jak japończyk, ani tak dworskim jak francuz, ani tak dumnym i nieprzystępnym jak anglik, ponieważ zna albo tylko grzeczność

ławickiej nieład był największy *po zupełnem zwycięstwie*. „Piechota i jazda tak się połamały, że ani jedna kompania w porządku nie została" (Zajączek). Zaraz po bitwie, uważając że już moskale pobici, znaczna część szeregowców rozbiegła się „na odpoczynek" do domów, nie pytając o pozwolenie „ukochanego" Naczelnika. Później zaś i oficerowie jeździli na kolacyjki do Krakowa „bez ordynansu i nad potrzebę".

uniżoną w słowach, albo znów pretensyę do goręt̨szej, choćby tylko chwilowej serdeczności, więc też dla zachowania spójni duchowej w armii musi u nas panować większa poufałość spółżycia poza służbą i wyjątkowa troskliwość, dobrotliwość i sprawiedliwość władzy podczas służby.

Niektóre wszakże punkty, dotyczące żołnierza polskiego poza służbą, wymagają specyalnej i surowej uwagi. Obok względów na odwieczne właściwości charakteru, istnieją względy na konieczność poprawy jego wad. Tamte prowadzą do wyjątkowej wyrozumiałości — te wymagają wyjątkowej surowości.

Mam w tej chwili na myśli stosunek żołnierza polskiego do kobiet.

Stosunek ten, w armiach wogóle, podlega pewnemu zaostrzeniu, wskutek dłuższego odosobnienia i skrępowania żołnierza. Ale obok tego występują i różnice narodowe. Zdradzają się one w części w postępowaniu samego żołnierza, w części w poglądzie kobiet danej narodowości na wojskowość.

Francuski żołnierz, tak zwany poufale i bezceremonialnie *piou-piou*, posiada znaczny urok, ale tylko w sferze mamek i nianiek. Dla klas wykształconych większy urok przedstawia cywilna „legia honorowa" niż mundur oficerski.

W Niemczech inaczej. Niemiecki *lejtnant* jest we wszystkich sferach osobistością wyborową — chociaż towarzyszący mu urok w oczach kobiet ma nie tyle odcień rozmiłowania w mundurze narodowym (jak u nas), ile w pewnym *szacunku*, w uznaniu pewnej wyższości wojskowego nad cywilnym.

W Rosyi mundur żołnierski nie przedstawia żadnego uroku, czasem nawet obudza uczucie obcości (małorusy swoich własnych żołnierzy nazywają *moskalami)*; mundur zaś oficerski tylko w sferach wyższych stanowi pewną ponętę, zależną zresztą od sposobu obejścia i przedewszyst-

kiem od *stopnia*. „Obiad *z generałem*“ jest szczytem marzeń zamożnego kupca moskiewskiego. Poza tem istnieje dla wojaków *współczucie*, jako dla ofiar wojny, albo *obawa* przed nimi, jako wyuzdanych żołdaków.

U nas, ze względu na wyjątkowe warunki wiekowe, mundur żołnierski wogóle, a ułański w szczególności jest otoczony pewnym większym niż gdziekolwiek indziej nimbem — nimbem promieniejącym zwłaszcza w sercach kobiet. Jest w tem i uczucie patryotyczne, ale jest też nasze zamiłowanie do oznak powierzchownych.

Odbierzcie wojsku polskiemu jego mundury z charakterem narodowym, a liczba ochotników i liczba witających ich owacyjnie kobiet, zmniejszy się o połowę.

Gdy zaś wszystkie warunki tradycyjne są dane, zapał wzajemny — całkiem niezależny od stopnia, czasem nawet przeciwnie — wzrasta do wyższej niż gdzieindziej potęgi.

To jedna strona kwestyi.

A teraz druga:

Znacznie dawniejszemi są tkwiące w narodzie tradycye starosłowiańskie o chwytaniu dziewcząt i kobiet — o ich *zdobywaniu*. Dziewczyna „pojęta“ (schwytana gwałtem) stawała się niewolnicą, kochanką lub żoną. Była więc zwykle *ofiarą;* nie wchodząc w to, czy prędzej lub później pogodziła się ze swoim losem. W pierwszej chwili zawsze miała powód do płaczu. A ponieważ zwyczaj porywania kobiet, jak o tem już wspominano, przy rozbiorze poglądów Kaliszewskiego, utrzymał się u nas dłużej niż gdzieindziej, powstał stąd dziedziczny, gdzieindziej nieobserwowany zwyczaj *płaczu* panien młodych przy ślubie, nawet wtedy gdy związek małżeński powstawał w warunkach wprost przeciwnych porywaniu i gwałceniu. Pisze o tem zajmująco Zyg. Kaczkowski w swojem dziele „Kobieta w Polsce“.

W umyśle kobiety polskiej powstało stąd pewne oswojenie się z gwałtem/ zamienione później na poczucie potrzeby „zdobywania jej względów", pojęcie ubliżające dzisiejszej kobiecie emancypowanej, nie mniej jednak dotychczas panujące. W umyśle zaś męskim ustaliła się tolerancya gwałtów i wogóle pewna bezceremonialność w stosunku do kobiet, występująca w skojarzeniu z poczuciem stanu rycerskiego.

Ta bezceremonialność ma charakter inny niż u niemców. Niemiec weźmie przyzwoitą dziewczynę pod brodę, albo poklepie ją po plecach — czego żołnierz polski nie uczyni — ale nie będzie, poważnie idącej kobiety napastował i prześladował. A tego właśnie, b. brzydkiego nałogu dopuszcza się nasza młodzież, a w szczególności nasza młodzież wojskowa.

To należy ukrócić — bo to jest plama na czci żołnierza polskiego. Ukrócić surowo i stanowczo/ pomimo że chodzi tu o sposób zachowania się poza służbą. A do tego pomódz powinny zwierzchności wojskowej i kobiety uczciwe, czujące swoją godność ludzką, odpowiedniem, a również surowem odpieraniem tego rodzaju napastowań.

Zakazy zaś wojskowe w tym kierunku powinny mieć wprawdzie charakter ojcowski, ale ojcowski w dawnem znaczeniu, bezwzględnej surowości, dla dobra winnych i całego społeczeństwa.

Byłoby też pożądane, żeby zbyt małoletnich nie przyjmowano do wojska, bo wtedy zazwyczaj wszystkie aspiracye narodowe, zagłusza żądza wydobycia się z pod opieki rodzinnej i brykania bez kontroli. Widywałem takich rycerzy w kinematografie, z b. zawadzającą im szablą, wyglądających na lat 15, z kochankami wyglądającemi na lat 13 lub 14. Czy nie zawcześnie? Może z tych gołowąsów wyrosną jednak obrońcy ojczyzny — ale że z tych panienek wyrośnie zupełnie co innego, to wątpliwości nie ulega.

Drugim punktem subordynacyi wojskowej poza służbą, jest niebezpieczeństwo *politykowania*, nie istniejące w wojsku niemieckiem a przejawiające się niestety stale w wojsku polskiem.

My zanadto zawsze jesteśmy kandydatami na monarchów, a za mało mamy poczucia francuskiej solidarności (esprit de corps) występującej tam, pomimo podobnego jak u nas rozluźnienia dyscypliny.

Polak nie lubi być krytykowanym, ale lubi sam krytykować, nie tyle jawnie i z odwagą cywilną, ile pokątnie, w małych kółkach lub bezimiennych pamfletach. Jeżeli zaś wystąpi jawnie i z odwagą, to chyba taki warchoł, który mówi na wiatr, bo nie umie nad sobą panować.

Otóż, wyłączywszy zgóry te wypadki wyjątkowe, w których można, a nawet trzeba, wystąpić jawnie i z narażeniem własnem, ale też i z podwójną rozwagą i odpowiedniem przygotowaniem dokumentów, dla obrony celów ogólnych — należy potępić stanowczo, te, bez porównania liczniejsze wypadki, w których obowiązek żołnierza streszcza się w jednej formule: karności i milczenia.

Wojsku nie wolno się zajmować polityką. To nie jego rzecz. Jego rzeczą jest skupić wszelkie siły w szybkiem, rozważnem i dokładnem spełnianiu poleceń. Nie wolno sił rozpraszać, a tembardziej paraliżować walką stronnictw.

Przeciwko niej muszą być tedy przedsięwzięte wszelkie środki — a te środki powinny być raczej *zapobiegawcze* w zawiązku, niż karne w rozwoju choroby. Każdy wstępujący do wojska ma to mieć sobie uprzytomnione jasno i surowo, że od tej chwili traci prawo do zajmowania się polityką. Od tego są inni, którzy znów jego nie zastąpią [1]).

---

[1]) U nas oficerom wolno było być posłami. Z tego powodu, mimo swego uznania dla odradzającego się po pierwszym rozbiorze wojska polskiego, E s s e n dodaje: „Jednakże wojska te nigdy nie będą tem, czemby być mogły gdzieindziej. *Popularność* — straszny ten wy-

Zdawałoby się, że, poza polityką, innych obcych wpływów w wojsku być nie może.

Niestety! U nas bywały jeszcze inne, a mianowicie prywatne wpływy magnatów.

Nie tylko bywały, ale nawet nie lękały się światła dziennego. Wątpię, czy z historyi jakiegokolwiek inngo narodu możnaby przytoczyć tego rodzaju jawne żądania naruszenia wewnętrznej karności wojskowej, jakie się u nas praktykowały. Oto np., na sejmie z r. 1789, wśród ogólnego (słomianego, jak zwykle) zapału do utworzenia „stotysięcznej" armii, wojewoda wileński, słynny Radziwiłł „Panie Kochanku", przyrzekł wystawić swoim kosztem, ale na żołd Rzeczypospolitej, legion złożony z 6210 ludzi, piechoty i konnicy, *pod warunkiem, „aby ten legion miał konsystencyę w jego dobrach, żeby on sam przedstawiał oficerów do nominacyi i żeby on i jego następcy ordynaci nieświeżscy byli jego szefami...*", zaś „zachęcony przykładem Radziwiłła, Szczęsny Potocki, przyrzekł, że wystawi w ciągu roku 10,000 ludzi swoim kosztem, jednakże *pod takiemi samemi jak Radziwiłł warunkami*".[1])

Jak widzimy był to swoistego rodzaju patryotyzm, wypływający z magnackiej próżności i magnackiego osobnictwa, ale nie ze szlachetnej ofiarności dla dobra kraju. Od takiej ofiarności niedaleko już do Targowicy.

Szczęściem, dzisiaj magnaci nasi nie mają takiego wpływu i nie stawialiby takich żądań. Nie mniej jednak dziejowe nałogi warcholskie istnieją, i możliwym jeszcze

---

raz, będący źródłem tylu nieporządków i niesprawiedliwości, tu skutki swe dawał, a póki oficer może mieć miejsce i głos w sejmie — względy, jakie jego przełożeni z tego powodu dlań mieć muszą, zawsze będą niebezpieczne dla subordynacyi". (J. I. Kraszewski, Polska w czasie trzech rozbiorów, Warszawa, 1902, T. I, str. 225).

[1]) K. Bartoszewicz. Dzieje insurekcyi Kościuszkowskiej. Wiedeń. Str. 48—49.

byłby wpływ *protekcyonizmu czynników postronnych* — przeciwko któremu trzeba też zgóry się zabezpieczyć—niedopuszczając wogóle żadnych listów polecających do władz wojskowych, które same oceniać winny wartość i zasługę żołnierza.

Trudniejszą jest walka z protekcyonizmem wewnętrznym — ale też ten rzadko przybierać może rozmiary, grożące wewnętrznej karności. W każdym jednak razie czujność w tym kierunku władzy najwyższej, będąca przepisem banalnym w armii wogóle, w polskiej musi być baczniejszą niż gdzieindziej, ze względu na polską skłonność do krytykowania i na konieczność nieprzygnębiania ambicyi żołnierza i jego wiary w bezstronność wodzów, będącej jedną z przyczyn ducha łączności w armii.

Jak już wspominałem, polak uznaje i ceni tylko władzę ojcowską, choćby surową. On musi czuć nad sobą dobrą wolę — oprócz siły i wtedy tylko sam swoją dobrą wolę okaże. Surowość taka, która z serdecznem słowem każe mu iść na śmierć, doda mu siły. Taka, która tylko zgromi wyczerpanego—odbierze mu resztę sił. Komendant, w chorego żołnierza wmawiający, że jest zdrów i każący mu iść na front, nie będzie miał z niego pociechy, a nawet zniechęci i innych; ale troskliwość o jego zdrowie i bezpieczeństwo, może czasem i chorego uczynić silnym.

„Francuz — mówi generał P e r c i n w swojem dziele „Le combat", Paris, 1914, s. 72 — jest mniej karny od niemca a mniej spokojny od anglika; bardziej się lęka śmierci niż turek albo rosyanin".

Mógł był dodać jeszcze japończyka; z tem zastrzeżeniem, że rezygnacya turka polega na jego wierze w *Kiszmet* (przeznaczenie), rosyanina głównie na posłuszeństwie, a japończyka na poczuciu obowiązku.

Do polaka żaden z tych motywów nie da się ściśle zastosować. On też umie umierać/ ale tylko wtedy, gdy jest w nastroju świątecznym — na codzień, nie jest ani ślepo

karnym, ani wierzącym tak silnie w przeznaczenie — raczej w specyalną opiekę boską, gdy jest religijnym, albo w wartość ożywiającego go ideału, podobnie jak francuz— albo wreszcie idzie na śmierć, by nie zawieść położonego w nim *zaufania*.

To ostatnie jest b. silnym bodźcem w życiu lepszych jednostek polskich. O niem też pamiętać należy w organizowaniu naszej dyscypliny, zwłaszcza że obcy, tej właściwości naszej nie znający, bardzo często z gróźb i nadmiernych skrępowań i nadzorów osiągają skutek wprost przeciwny.

Oficer japoński jest tak grzecznym dla żołnierza, że gdy ten przynosi mu obiad, wstaje i salutuje na podziękowanie.

Od oficera polskiego nie można żądać tak wiele/ bo jego demokratyzm jest arystokratyczny, a jego grzeczność, więcej salonowa niż obywatelska; ale można i trzeba żądać od niego, żeby zrozumiał, że Polska buduje się od fundamentów, że tym fundamentem jest lud i że każdy kto stawia jakiekolwiek przeszkody na drodze do dźwignięcia się tego ludu do *obywatelskiej równości*, jest złym polakiem.

Można też żądać od niego, żeby posiadał „współczucie psychologiczne", pozwalające mu wniknąć w duszę polskiego żołnierza — a każdy rozważający u nas kwestye wojskowe musi pamiętać, że oprócz wiadomości fachowych, potrzebną jest i znajomość praktycznej psychologii naszych właściwości i że — jak to wyraził wspomniany generał francuski zaraz w nagłówku pierwszego rozdziału swego dzieła, nawet *„walka orężna jest starciem sił moralnych"*.

Do powyższych pobieżnych uwag dołączę jeszcze tylko jedną, a mianowicie, że służba wojskowa może się stać doskonałym środkiem dla wyleczenia różnych wad naszych, a zwłaszcza naszego tradycyjnego *osobnictwa*.

Czuł to już przed laty Józef Korzeniowski, gdy nawet służbę w rosyjskiem wojsku mikołajewskiem uważał za antydot przeciwko naszej samowoli i niekarności — wywołując tą swoją opinią, patryotyczne oburzenie rodaków.

Szczęśliwym dla nas zbiegiem wypadków dziejowych, oby już naprawdę bliską była chwila, w której tę radę pedagogiczną będziemy mogli wprowadzić w życie — bez protestów.

XIII. NASZE MÓWIENIE NA WIATR.

(1916 — 1917)

Nie ma kraju, w którymby tak wiele mówiło się „na wiatr" jak u nas.

We Francyi mówi się dużo, we Włoszech więcej, w Anglii mniej/ ale wszędzie istnieje jakaś proporcya między mową a rzeczywistością, teraźniejszą lub przyszłą — u nas b. często nie ma żadnej. Mówi się stosunkowo niewiele/ i na ulicach naszych razi przybysza z południa (z Neapolu np. albo z Marsylii) raczej cisza niż gwar uliczny; ale za to, w tem co się mówi — na ulicach czy w salonach — spotyka się tak wielki procent wyrazów niepotrzebnych, zdań niedokładnych, opinij nieścisłych, twierdzeń stanowczych a opartych jedynie na domysłach („słyszał, że dzwonią, ale nie wie w którym kościele"), obietnic b. serdecznych, a nigdy się nie spełniających, życzeń b. czułych, a niemożliwych do urzeczywistnienia, przepowiedni pełnych wiary, a na niczem nie opartych, plotek całkiem bezpodstawnych a powszechnie powtarzanych/ nawet bez myśli złośliwej/ wogóle sądów czerpanych z powietrza, pro-

cent tak wielki, że gdyby go z naszych pospolitych rozmów wyrzucić, to niewieleby pozostało.

1. OGÓLNA CHARAKTERYSTYKA PRZYWAR TU NALEŻĄCYCH.

Przechodząc wązką ulicą w Londynie widzę naraz, że z wozu, napełnionego głowami kapusty, spada koło: wóz się przechylił i głowy kapusty rozsypały się po bruku. Przystanąłem, żeby zobaczyć jak sobie woźnica poradzi. Natychmiast zjawił się policyant z pałeczką, którą zaczął zgarniać upatrzonych przechodniów w stronę woza (w ten sposób, nic nie mówiąc, wypraszają także stróże kościelni publiczność z kościoła, po skończonem nabożeństwie) i dwoma gestami wskazał im, że należy koło nałożyć, a kapustę pozbierać i pokłaść na wóz. Nikt nie oponował, nikt nic nie mówił — wszyscy zabrali się do roboty i w 10 minut potem wóz ruszył w dalszą drogę.

U nas podobny wypadek wywołuje przedewszyskiem zbiegowisko gapiów, jeszcze bardziej tamujących przejazd; większość peroruje i komenderuje, udzielając swoich rad i domysłów/ a zaledwie kilku wystąpi z pomocą. W pomocy tej nie ma ani ładu, ani składu/ ale za to dużo gadania, wymyślania, nawoływania, składania winy na drugich i krytykowania tych co coś robią. Dodatkowo, ten i ów ulicznik, albo „skrzętna gospodyni", podniesie główkę kapusty — dla siebie.

A proszę zajść na nasze wiece: ile tam przemówień zbytecznych, czczych frazesów, deklamacyj, zapewnień w imieniu całego narodu, jeżeli nie całej ludzkości — a ile prawdziwej treści i konkretnych uogólnień, albo rad praktycznych? Stosunek jest mniej więcej taki, jak wyżej wspomniałem. Zaledwie na wyborowych zebraniach jest lepiej, jeżeli nie zupełnie dobrze.

Mówienie na wiatr przedstawia tak wiele form różnorodnych i tak wiele pociąga za sobą konsekwencyj, że musimy się nad tą kwestyą bliżej zastanowić.

Przedewszystkiem kto mówi na wiatr, ten drugich wprowadza w błąd. Stąd owe informacye nieścisłe, które każdy z nas odbiera codziennie: „p. X. mieszka na Złotej Nr. 24“ (miało być na Srebrnej Nr. 42) i t. p. Stąd tysiączne bałamuctwa.

Powtóre, kto mówi na wiatr, ten sieje plotki: „p. Guzicki uczyni wszystko za łapówkę“ (zam. Guzicki, miało być Pentelski).

Kto mówi na wiatr, ten drugich naraża na straty: „Oddam napewno za tydzień“—tymczasem nie oddaje, bo nie może, i przyjaciel traci sposobność zrobienia interesu; albo: „śnił mi się Nr. 88 — *napewno* wyjdzie“. Przyjaciółka wierzy, kupuje bilet i przegrywa.

Kto mówi na wiatr, ten samowolnie zatruwa sobie życie: żona podrażniona jakiemś posądzeniem męża, urządza mu scenę; dobra służąca, niesłusznie oskarżona, odchodzi i t. p.

A można sobie wyobrazić jakiego rodzaju następstwa pociąga za sobą ta pospolita nasza wada przy kształceniu i wychowywaniu dzieci. Nie tylko że dziecko przestaje po pewnym czasie brać rodziców na seryo, ale w dodatku samo robi się paplą, blagierem i plotkarzem.

W stosunkach kupieckich, na niczem nie można polegać ani na terminie, ani na dobroci towaru, ani nawet na cenach ogłoszonych. Stąd irytacya klienta i niepowodzenie kupca.

Rzemieślnik, który dał „najświętsze słowo“, że robotę wykończy na wtorek, nie kończy jej nawet na sobotę; zrobi nie tak, jak się chciało, albo nawet zepsuje materyał.

W dziennikarstwie chwali się najgłupsze sztuki „po przyjaźni“, w recenzyach przypisuje się autorom to, czego nigdy nie wypowiedzieli; nie sprawdza się dokładnie fak-

tów ogłaszanych, a już gdy chodzi o potępienie przeciwnika, to i najniższa insynuacya nasuwająca się na język bywa tolerowaną.

W ogłoszeniach, i za granicą panuje blaga; ale blaga rozmyślna, albo też polegająca tylko na efektownej przesadzie — w naszych ogłoszeniach, uprawiane są jedynie najgrubsze sposoby, oparte na lekkomyślności i nieścisłości logicznej: wszystkie źródła zakupu są „najlepsze" i wszystkie „jedynie najtańsze", jakgdyby źródło najtańsze mogło nie być jedynem. Wszystkie pomysły kinematograficzne są „sensacyjne", nawet te, które są tylko sensacyjnie głupie. „Sławne" choć nawet kumoszkom nieznane wróżki, „leczą spirytyzmem" i „wróżą przez sugestyę".

W polityce, mówiący na wiatr, stanowią najliczniejsze i wprost panujące stronnictwo; japończycy są już pod Brześciem; pokój będzie zawarty napewno na Nowy Rok; cały naród chce tego a tego, a zrzeka się tego i owego; niemcy w porozumieniu z austryakami ożenią angielskiego następcę tronu z córką Mikoła II i zrobią go królem polskim, 15-go tego miesiąca i t. d.

W naukach, ten kierunek przybiera oczywiście inną formę, trudniejszą do sprawdzenia; raz dlatego, że się pisze lub mówi 10 razy więcej niż potrzeba dla wypowiedzenia danej myśli/ a powtóre, ponieważ i te myśli są częstokroć kreacyami z powietrza, z *„intuicyi"*, która teraz jest więcej niż kiedykolwiek w modzie. Raz znalazłem się przypadkiem na pewnem posiedzeniu filozoficznem: zastanawiano się nad tem „czy pojęcie białości, posiada w sobie atrybut białości". Czekałem, rychło przyjdzie na stół wątpliwość „czy ten, który kupił płaszcz, kupił także i kołnierz jego", albo też „ile duchów może usiąść na końcu jednej szpilki". Ale tych kwestyj nie dyskutowano. Za to usłyszałem godzinną (jeszcze nieskończoną!) dyskusyę, na temat, czem jest *cecha?* Myślałem, że się znajdzie ktokolwiek coby powiedział, że cecha jest poprostu charaktery-

styczną własnością przedmiotu i że nad tem nie ma co dysputować. Ale nie; dysputowano b. subtelnie, ćwiatrując włos na trzy nierówne połowy — i widoczne było z min uczestników przekonanie, że odbywają posiedzenie *naukowe*.

Tak różne formy może przybierać mówienie na wiatr. Podzielimy je w następujący sposób:

1° Przedewszystkiem, można mówić *za wiele*, niezależnie od innych cech mowy. Pod tym względem nie ma u nas rekordu, bo południowcy mówią przeważnie więcej od nas — jednakże nasze panie nie wiele pozostają w tyle za południem — chociaż trzeba przyznać, że ta cecha niewieścia (jaka szkoda, żem się nie dowiedział, czem jest właściwie *cecha!)* jest dostatecznie kosmopolityczną.

2° Można mówić mniej lub więcej, ale *niedokładnie*, niejasno, nieściśle lub niedość pedagogicznie. Przytem w tym razie granica między mową a czynem zaciera się: można być niedokładnym, nic nie mówiąc. U nas — i tylko u nas — trafia mi się dość często taki wypadek: siadam do dorożki i mówię: ulica X, Nr. 45. Dorożkarz potwierdza głową, jedzie i staje przed N-rem 28. — Czemuż stajesz?... Przecież to nie 45! — A ja myślałem, że ma być 28... On myślał; ale do głowy mu nie przyszło upewnić się. Po co? kiedy w chwili gdy ja mówiłem 45, jemu, na zasadzie jakichś niezbadanych skojarzeń, uprzytomniło się w myśli 28. Niedosłyszeć, omylić się, zapomnieć/ to rzecz ogólnie ludzka! Ale tu nie o to chodzi. On ani zapomniał, ani nie przesłyszał się, tylko wpuścił jednem uchem a wypuścił drugiem" i w tejże chwili w jego wyobraźni zjawiło się 28. Innego numeru nie widział, wątpliwości nie miał — pocóż miał pytać się dwa razy? On jeszcze gotów się sprzeczać, że słyszał dobrze.

Posyłasz służącą do apteki po *ałun*. — Będziesz pamiętała? — Będę. — Tymczasem przynosi ci *boraksu*. —

Dlaczego? — Bo dawniej już raz chodziła po boraks, więc zażądała boraksu.

To lotność naszego umysłu — czasem dodatnia, w tym jednak razie ujemna — powoduje owe nieścisłości.

Inne ujemne jej formy polegają na nieodpowiedniem użyciu wyrazów, na poplątaniu przyczyn i skutków, na tautologicznych omówieniach i t. p. Ale najczęściej poprostu na skojarzeniach ubocznych, przy zaniedbaniu głównych.

Rozmowa salonowa nie jest wykładem logiki. Tak jednakże chaotycznych rozmów jak u nas, niespotykałem gdzieindziej. Ledwie zastanowiłeś się nad czem dyskutowano, już przedmiot jest zmieniony. Nie ma sposobu dotrzymać go do jakiego takiego wyjaśnienia. I to jest w związku z naszym brakiem wytrwałości i z tą „zmiennością", o której mówił Klin. Tym razem wszelako chodzi tylko o przeskakiwanie z przedmiotu na przedmiot. Częstokroć, po krótkim namyśle, miałbyś coś ciekawego do powiedzenia w kwestyi poruszonej, lecz już jest zapóźno — mówiono o wojnie, teraz już mówią o teatrze.

Odbija się to w zeznaniach naszych świadków, których trzeba co chwila przywoływać do porządku/ w naszych listach, w których właściwie treść mieści się dopiero w przypisku, albo nawet, której dopiero trzeba się domyślać/ w naszych artykułach wstępnych, tak wodnistych jak nigdzie/ w naszych ogłoszeniach o danym wyrobie, w których jest wszystko z wyjątkiem cen, a czasem nawet i adresu kupca!/ w naszem bezustannem powtarzaniu tych samych a niepotrzebnych wyrazów i zdań: proszę pana, proszę pani, panie dobrodzieju, rzeczywiście, niby, daję słowo, ma się rozumieć etc. — które to wtręty dyskursywne nieboszczyk Duchiński nazywał „kijkami" służącymi do podpierania słabnącej wymowy — i wogóle we wszystkich tych swoiście polskich sposobach *tracenia czasu*, nie mającego u nas żadnej wartości.

A nasza korespondencya! Nasz sposób załatwiania interesów najczęściej przez pośredników! To też rzeczy gdzieindziej niepraktykowane, a zmierzające ku temu, żeby jak najwięcej czasu stracić i zabrać go innym z jaknajmniejszym skutkiem.

3° Mamy zwyczaj proszenia o coś, zamawiania różnych rzeczy, bez żadnej pewności czy to nam samym w niezbyt dalekiej przyszłości dogodzi, albo wogóle będzie potrzebne.

Otrzymuję list od pani N. błagającej mnie, na przestrzeni 4-ch stronic, żebym się zajął leczeniem jej siostry. Odpowiadam, że bez osobistego zbadania nie mogę nic stanowczego powiedzieć. Na to otrzymuję, znów na przestrzeni 4-ch str. wyjaśnienie, że chora przyjść do mnie nie może, bo mieszka na Litwie a przytem zupełnie nie ma zamiaru się leczyć; dopiero korespondentka chce ją do tego namówić i ma wszelką nadzieję, że jej się to uda; w każdym razie błaga mnie jeszcze raz żebym nie odmawiał etc.

A proszę nie sądzić, że to tylko kobiety tak użytecznie korespondują.

Odbieram na blankiecie redakcyjnym, zapytanie, kiedy można mnie zastać w domu, żeby nie zrobić subiekcyi i prośbę o naznaczenie dnia i godziny, w której piszący, zostawszy redaktorem pisma N., chce się ze mną porozumieć w „ważnej sprawie". Odpowiadam, że mogę go przyjąć któregokolwiek dnia między 4—5 z wyjątkiem świąt. Ponieważ podpis był nieczytelny, tracę czas na dowiedzenie się, kto objął redakcyę owego pisma, żeby wiedzieć komu odpowiadam. A skutek? Skutek był ten, że ów pan wcale nie przyszedł.

Inny rodzaj straty czasu i mówienia na wiatr:

Przychodzi do mnie dawny chwilowy kolega szkolny, z którym nigdy nie utrzymywałem stosunków; przychodzi w porze niewłaściwej, pomimo że właściwa na drzwiach jest wypisana. Odrywa mnie od pracy i najprzód przez 10

m. tłomaczy się dlaczego „tak dawno" u mnie nie był (był u mnie raz przed 25-u laty); następnie wypytuje się troskliwie o stan mego zdrowia/ upewnia, że od lat 25 wcale się nie zmieniłem i przechodzi do spraw publicznych. Wtedy już bez ceremonii zapytuję: z jakim interesem przybył? Okazuje się, że przyszedł z prośbą o protekcyę dla swojej siostry. Odpowiadam, że we wskazanej sferze nie mam stosunków i że zresztą nie znając jego siostry, nie mógłbym jej protegować. Domyślał się tego i nie jest urażony, ale nie chcąc być „niegrzecznym", nie wychodzi jeszcze, tylko usiłuje w dalszym ciągu być przyjemnym — tak że w końcu zmuszony jestem prosić go o przebaczenie, że go nie zatrzymuję, ponieważ wychodzę na oznaczoną godzinę.

Jeszcze inny rodzaj: Kiedym wybudował pierwsze 3 domki w Wiśle, zaczęto się zgłaszać o ich wynajęcie, w całości lub w części, listownie lub osobiście. Otóż zanotowałem, że z 22 zamówień, dopiero 23-cie przyszło do skutku; a niektóre z nich narażały mnie na dłuższą korespondencyę. My wogóle nie mamy dość rozwagi, żeby się odrazu zdecydować, ani dość odwagi cywilnej i ścisłości w postawieniu swoich warunków. W sklepach np. zapowiadamy b. często, że wrócimy, chociaż moglibyśmy odrazu powiedzieć, że towar dla nas za drogi lub nieodpowiedni.

4° Gorszy rodzaj mówienia na wiatr stanowi powtarzanie niesprawdzonych, a mogących komuś szkodzić wiadomości. Jest to poprostu plagą w obecnych warunkach politycznych, bo dzięki tej wadzie naszej najuczciwsi ludzie stają się pomocnikami oszczerstw, kłamstw, denuncyacyj a w najlepszym razie głupstw i przykrości różnego rodzaju. — Wiesz co, mówi jeden znajomy do drugiego, Iksa wywieźli. — Dlaczego? — Za mowę w klubie N. O kilka kroków dalej spotyka innego znajomego, który mu mówi: — Ja zawsze ostrzegałem tego Iksa, ale cóż, nie słuchał mnie; aresztowano go. — Podobno nawet wywieźli? — Nie, tylko nie wolno mu wychodzić z domu. W tramwaju trzeci

znajomy: Iks jest zagrożony; pięciu innych już aresztowano. Wysiadając z tramwaju spotyka Iksa we własnej osobie: — Jakże się cieszę!... ale bo też takie głupstwa powtarzają o panu; mówiono, że pana już wywieźli! Co za plotkarskie miasto!... — A za cóżby mnie miano wywozić? — Za mowę przeciwko Z. — Ależ ja nigdy żadnej mowy przeciwko Z. nie wypowiadałem — to pewno mój imiennik...

Nie mniej, w ciągu paru tygodni już całe miasto mówi o aresztowaniu Iksa i... osoby interesowane zmuszone są rozpocząć śledztwo, które Iksa odrywa od zajęć, naraża na straty materyalne, pogarsza stan zdrowia bliskiej mu osoby etc.

A tak łatwo było pierwszemu, który usłyszał domysł, nie powtarzać go bez sprawdzenia!

Łatwo, tylko nie naszym lotnym umysłom.

Raz w restauracyi słyszałem taką enuncyacyę niewieścią: „ta panna, co tu obok mnie siada gdy przychodzi, wie pan, ta wymalowana; ja ją raz widziałam na Powązkach, gdzie miała *rendez-vous* z jakimś młodzieńcem... Ale ona już podobno miała... wypadek, tylko ją oswobodził dr. Y... wie pan, ten z Marszałkowskiej... A taka się wydaje skromnisia!..."

Było to mówione do mężczyzny, który, widocznie zdziwiony, milczał, a było mówione tak głośno, że musiałem słyszeć [1]).

---

[1]) W tem miejscu dodam choć jeden przykład historyczny:

Podczas dzielnej i skutecznej obrony Warszawy, pod kierownictwem Kościuszki, ks. Józef Poniatowski poniósł, nie z własnej winy, porażkę. Natychmiast zawiść i fantazya polska wprawiły w ruch języki, prywatne i historyczne. W pamiętnikach Koźmiana, Zajączka i in. znaleźć można „objaśnienia" klęski i różne szczegóły, wyssane z palca, gdy przyczyny rzeczywiste (zbyt znaczna przewaga sił pruskich i kontuzya ks. Józefa, pod którym ubito konia) wystarczały. Opowiadano, że zamiast pilnować wojska w czasie bitwy, był na obie-

5° Mniej szkodliwą moralnie, ale zato pod względem całej społecznej gospodarki wprost zabójczą wadę, stanowi nasza przysłowiowa niesłowność i niepunktualność.

Odróżniam te dwa rodzaje/ bo *niesłowność* jest niedotrzymywaniem słowa wogóle, czyli zapominaniem o uczynionych na wiatr przyrzeczeniach — *niepunktualność* zaś nieścisłością w dotrzymywaniu terminu. Oczywiście w praktyce te dwie wady zwykle chodzą w parze; tylko że druga polega na naszem tradycyjnem *spóźnianiu się*, a pierwsza na *nieopatrznem* obiecywaniu.

Dotyczy to najczęściej obiecywanych grzeczności, albo rzeczywistych usług.

Ktoś wypowiada wobec znajomego adwokata kłopot, że ma napisać prośbę do jakiejś władzy, a nie wie jak się takie prośby piszą. — Ja ci to zrobię, odpowiada uprzejmy adwokat; zajdź do mnie w tych dniach. Interesant, nie chcąc być natrętnym, nie przychodzi zaraz nazajutrz, lecz dopiero w trzy dni. Ale tymczasem nasz adwokat już zapomniał o obietnicy/ prośby nie napisał i wyszedł w godzinach przyjęć. Interesant przychodzi nazajutrz. — „Pan adwokat b. zajęty". Czeka, wreszcie odchodzi. Trzeciego dnia zdołał go pochwycić na wychodnem: „Jeszcze nie miałem czasu, ale przyjdź w tych dniach". W tych dniach — a więc znów trzeba czekać/ ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Przychodzi po 3-ch dniach: „Pan adwokat musiał niespodzianie wyjechać; wraca jutro". Wycieczka przeciągnęła się, i czwarta wizyta na nic. Przy piątej, otrzymuje zapewnienie, iż, ażeby go napróżno nie trudzić,

---

dzie u króla... chociaż obiad ten miał miejsce dnia poprzedniego; że wieczorem zabawiał się u baletnicy Sitańskiej... chociaż ona wtedy znajdowała się we Lwowie; że nie nocował w obozie... chociaż faktem jest, że go nie opuszczał i zerwał się na pierwszy alarm o północy. Byli nawet tacy, którzy wprost posądzali ks. Józefa o zdradę! (Porów. K. Bartoszewicza, Dzieje Insurekcyi Kościuszkowskiej, str. 318).

pan adwokat odeśle mu sam gotową prośbę do domu. Czeka tydzień; nic. Wtedy straciwszy parę tygodni, i wydawszy parę rubli na dorożki i na piwne dla lokaja, decyduje się iść do innego specyalisty; wydaje znów parę rubli, i otrzymuje na poczekaniu prośbę — która się okazuje spóźnioną, ponieważ go mylnie poinformowano co do terminu.

Niepunktualność ma tę zaletę, że przynajmniej szybciej się stwierdza. Jesteś proszony na posiedzenie o godz. 7. Jesz kolacyę wcześniej i łapu capu/ bierzesz dorożkę, żeby się nie spóźnić, i przyjeżdżasz o 7 m. 15. Nie ma nikogo — „ale lada chwila nadejdą". Czekasz i irytujesz się, bo mogłeś był wykończyć pilną robotę, którą trzeba będzie wykonać w nocy. Około wpół do 9-ej przychodzą; ale nie wszyscy: brak głównego referenta. Posiedzenie odłożone i t. d. [1])

Przeprowadzasz się 8-go (bo u nas miesiąc zaczyna się dopiero 8-go). Nowe mieszkanie jest wolne, ale trzeba je odnowić i zaprowadzić światło. Czasu jest aż nadto; tylko że nasi rzemieślnicy przychodzą i odchodzą, albo i nie przychodzą wcale, a robota stoi; kilka terminów mija i nareszcie w terminie ostatecznym, niektóre rzeczy są skończone, inne zaczęte, a światła nie ma wcale i piece niepoprawione. Ale „to się zrobi lada dzień". A tymczasem przy-

---

[1]) O drugim dniu ostatniego Zjazdu Macierzy Szkolnej tak pisze „Kur. Pol.": „Na dzień wczorajszy program zapowiadał cały szereg referatów. Zebranie miało się rozpocząć o g. 9 rano. Wskutek jednak małej frekwencyi, dopiero o g. 10 zaledwie mógł inż. Zygmunt Woycicki rozpocząć swoją prelekcyę o budynkach szkolnych". „Popołudniowe referaty odbywały się również *bez udziału kogokolwiek z prezydyum Macierzy...*"

A jednak był to jeden z tych zjazdów „świątecznych", gorąco admirowanych przez dzienniki.

szły mrozy i masz robotę wieczorną a kawałek świecy kosztuje parę złotych [1]).

Za granicą, jeżeli coś kupisz w sklepie i poprosisz o odesłanie do domu przed 5-tą — to będziesz miał odesłane przed 5-tą. U nas... czasem musisz opóźniać podróż wskutek nieodesłania bielizny z prania, albo ubrania od krawca; i jeszcze w praniu będą braki, albo zamiany, a w ubraniu ostatnia poprawka zepsuje to co już było dobrze zrobione. Tylko w podnoszeniu cen produktów punktualność jest u nas większa niż w zegarach miejskich!

Mówi ci ktoś: „...w takim razie ja będę u pana w piątek o 7-ej". Jeżeli to jest cudzoziemiec, to masz 9 szans przeciwko jednej, że przyjdzie. Ale jeśli to jest rodak, to masz 9 przeciwko 1-ej, że nie przyjdzie.

Za czasów mojej docentury we Lwowie przyjechał do tego miasta po raz pierwszy Józef Bliziński, autor „Marcowego kawalera", cichy, skromny, oryginalny, wytrawny pisarz i zacna dusza. Najruchliwszy z naszego kółka literackiego, docent Politechniki A., powitał go na kolei

---

[1]) Na pytanie, co się u nas nie spóźnia? należałoby odpowiedzieć, że takiej dziedziny obowiązków nie ma. Oto np. co czytamy w „Kur. Warsz." z okazyi pogrzebu dzielnego lekarza i zacnego obywatela, d-ra St. Kochanowicza: „Uroczystość pogrzebową zakłócił fakt niezmiernie przykry, który nie po raz pierwszy wydarza się ostatniemi czasy w naszem mieście. Oto magistrat nie przysłał karawanu! Orszak pogrzebowy czekał wskutek tego na mrozie blisko półtorej godziny. Zaczęto się już rozchodzić. Aby nie narazić rodziny i zebranego orszaku na dłuższe oczekiwanie, prezes Pogotowia, dr. Józef Zawadzki, w porozumieniu z rodziną, zarządził ustawienie trumny na karetce Pogotowia i w ten sposób zwłoki przewieziono na cmentarz powązkowski".

Przeszło o półtorej godziny opóźnił się również pogrzeb Bolesława Prusa, tylko już z winy większej liczby osób, narażając setki oczekujących na zaniedbanie swoich obowiązków.

i zapowiedział, że jutro w hotelu Żorża o g. 7-ej literaci lwowscy urządzają na jego cześć obiad składkowy. Bliziński zażenowany owacyą, wymawiał się, ale ostatecznie obiecał przyjść. Nazajutrz, ubieram się w tużurek i koło 7-ej staję w wielkiej sali hotelu Żorża. Pustki. Pytam kelnera:— Czy tu będzie obiad dla Blizińskiego? — Tak. Więc czekam. Po chwili zjawia się ktoś we fraku i w białym krawacie. Domyślam się, że to Bliziński i podchodzę do niego. Czekamy. Jakieś nieporozumienie widocznie? Godzina 7 i pół: nie ma nikogo. Około 8-ej każemy sobie podać „małą wieprzową z kapustą" i po szklance piwa. — Czy obiad składkowy nie był zamówiony? pytam kelnera. — My nic nie wiemy o żadnym obiedzie składkowym... — A czemu mi pan odpowiedział twierdząco na pytanie, że tu będzie obiad? — Bo ja myślałem, że pan dobrodziej pyta, czy można dostać obiad?...

Przy piwie rozmawiamy o przysłowiach polskich, przyczem okazuje się, że B. spisuje je starannie, a także lokucye różnych autorów współczesnych do historyi języka (szkoda, że tego zbioru nie ogłoszono po jego śmierci).

Czytelnik chciałby zapewne wiedzieć, jak się to stało, że z uczestników składkowego obiadu przybył tylko jeden i że Bliziński musiał przyjąć ucztę na swoją cześć, zredukowaną do „małej wieprzowej z kapustą"? Oto tak: Z projektem swoim A. zwierzył się Władysławowi Bełzie, prosząc go, żeby się zajął ściągnięciem podpisów i składek. Bełza poszedł tu i owdzie, ale przekonawszy się, że wśród literatów lwowskich złożenie od razu całych 5 reńskich (3 rubli) od osoby przedstawiało zbyt znaczne trudności, zaniechał dalszego starania i miał zamiar uprzedzić o tem A., ale go jakoś znaleźć nie mógł. Czemu się nie dziwię, bo A. chociaż mieszkał ze mną, cały dzień w domu się nie pokazał, a rano powiedział mi tylko tyle, że będzie uczta o 7-ej. Zaś wieczorem zapomniał o tem. Zdawało mu się, że obiad ma się odbyć „jutro".

Nie sądzę, żeby coś podobnego mogło się trafić w jakimkolwiek innym kraju.

Leczył się raz u mnie przez czas dłuższy pewien obywatel, b. zapalony do kuracyi, nigdy jednak nie przychodzący na oznaczoną godzinę. Upominałem go, albo nawet nie przyjmowałem wcale, gdy się zanadto spóźnił — bezskutecznie. Nareszcie po paru miesiącach pytam go: „Niech mi pan powie jakim cudem się to dzieje, że pan ani razu, chociażby przypadkiem, nie przyszedł o swojej porze? — „Przyznam się panu, odrzekł zagadnięty, że czasem trafiało się, iż spojrzawszy w drodze na zegarek widziałem, że jest właśnie godzina, o której miałem być/ ale wtedy zawsze mnie coś korciło, żeby zwolnić kroku, albo jeszcze coś załatwić, albo przypatrzyć się oknom sklepowym, i tylko dlatego się spóźniałem".

W tym wypadku było to więc głębokie poczucie *potrzeby* niesumienności, na podstawie przyzwyczajenia.

Myśmy zdołali nawet nasz ruch kolejowy uczynić niepunktualnym w normalnych warunkach.

Przed kilkunastu laty jeździłem codziennie z Warszawy do Pruszkowa, do chorego. Naturalnie zależało mi na tem, żeby wracać najbliższym pociągiem, bo inaczej musiałbym stracić więcej niż pół dnia. Notowałem tedy starannie o której godzinie z minutami zajeżdżał na dworzec pociąg powrotny. Otóż przez te dwa miesiące, tylko *raz jeden* przyszedł o swojej porze urzędowej — zwykle się spóźniał; a czasem znów przyszedł o kilka minut wcześniej, i już go nie zastawałem na dworcu.

Czy przy takich porządkach może być mowa o jakiejkolwiek systematycznej pracy?

Wspomniałem, jak za granicą odsyłają paczki do domu/ co jest grzecznością dodatkową, skoro pieniądze już wzięli. Ale u nas... ja np. mam stosunki z jedną z największych firm księgarskich, która ma moje pieniądze, za złożone jej w komis książki. W interesie firmy leży, żebym

jaknajwięcej gotówki wybrał książkami. Tymczasem nie dba o to. W chwili gdy to piszę, upływa 10-ty dzień od żądania, żeby mi przysłano nowości naukowe i do tej pory ich niema. Muszę zawsze dwa razy przypominać, zanim raczą przysłać. Gdy mieszkałem w Wiśle i zamawiałem coś z Paryża, w 8 dni miałem przysłane. A kiedym jedną z firm wiedeńskich prosił o *prospekt* maszyn do pisania, na czwarty dzień otrzymałem wiadomość, że ajent firmy przyjedzie do Wisły i zostawi mi maszynę na 2 tygodnie do wypróbowania. Podobnie było przy zamawianiu większej ilości lamp, dachówek i wszystkich cenniejszych przedmiotów. Gdym miał budować mój domek w Żeraniu, zjawia się u mnie w Warszawie *niemiec*, niedawno przybyły z zagranicy i nieznający jeszcze ani stosunków, ani języka, z oświadczeniem, że *dowiedziawszy* się, iż mam zamiar budować, ofiaruje mi odstępstwo od cen pewnej cegielni krajowej — tymczasem na żądanie cennika krajowej fabryki płyt korkowych otrzymałem (dopiero w kilka tygodni, i po reklamacyi) cennik *bez cen*, z objaśnieniem, że te ostatnie „zależą od umowy...“ a gdy nalegałem o przysłanie cen praktykowanych, podano mi o wiele wyższe niż w Warszawie na miejscu za wyrób zagraniczny.

Tego rodzaju dokumentami mógłbym całą książkę wypełnić — niechże się czytelnik nie dziwi mojemu oburzeniu na niedołęstwo i niedbalstwo naszych firm handlowych i przemysłowych.

Ale tu nie chodzi o samą naganę. Publiczność przyjmie ją obojętnie, bo zanadto przywykła do tych stosunków i doskonale czuje, że moje słowa będą grochem na ścianę.

I to jest właśnie najstraszniejsze! To jest tą kroplą goryczy, która mi obrzydza najwznioślejsze nasze patryotyczne deklamacye! Co one warte wobec tych wad, które nie tylko paraliżują naszą pracę nad odbudową ojczyzny, ale jeszcze zjednywają nam najgorszą u obcych opinię?

Niedawno w pewnem towarzystwie polek, wyłącznie

kobiet, oficer niemiecki wyraził się, że polaków nie można brać na seryo, bo wszyscy *„są kłamcami"*. Przez czysto polską gościnność, nie oponowano mu racyonalnie.

A jednak mylił się; chociaż niestety mylił się tylko co do ścisłości wyrażenia.

My nie jesteśmy kłamcami — kłamstwo nie jest naszą właściwością narodową — ale... zbyt często mówimy na wiatr — czasem jedynie przez grzeczność lub nawet wierząc we własne słowa, czasem przez nieścisłość, której na razie niespostrzegamy, czasem wreszcie przez prosty rozpęd myśli i języka — a człowiek obcy, sądząc po następstwach i nie znając intencyj, nazywa to kłamstwem. Trzeba mu przyznać, że ze swego stanowiska, ma do tego prawo.

Jednakowoż, z naszego stanowiska, jest w tem różnica. I muszę dodać, z niejaką pociechą: jest różnica korzystna/ ponieważ łatwiej jest wyleczyć się z mówienia na wiatr niż ze skłonności do kłamstwa.

W naszych wyborowych towarzystwach już tej wady prawie niema.

Byłem właśnie niedawno, i chodzę stale z przyjemnością na tego rodzaju zebrania.

Wyniosłem z nich dwa spostrzeżenia:

1) *My posiadamy niezwykłą swadę oratorską*. Raz, pamiętam, słyszałem kilkunastu mówców jednego po drugim i wszyscy mówili dobrze. Wątpię, czy za granicą znalazłbym na 40-u zebranych, kilkunastu dobrych mówców. Nie będę wchodził w szczegóły co do sposobu publicznego przemawiania u różnych narodowości — zaznaczam tylko ogólnie, że ci mówili dobrze i że tak duży procent wydał mi się wyjątkowo dla nas korzystnym.

2) Drugie spostrzeżenie dotyczy treści: *robimy znaczne postępy w kierunku treściwości, ścisłej argumentacyi, poszanowania cudzych przekonań i unikania pustych frazesów.*

Powtarzam, że było to na posiedzeniu b. wyborowem. Ale w każdym razie rzecz pocieszająca. Przed 40-u laty na podobnych zebraniach słyszałem zaledwie kilku dobrych mówców i ci przeważnie *deklamowali*, nie mówili. A teraz słyszy się czasem mowy naturalne i proste, a bardziej wzruszające niż dawne.

Zatem — my możemy się wyleczyć z tej wady, która jest tylko zatrzymaniem w rozwoju.

Możemy — ale nie próbujemy nawet, bo po większej części nie czujemy jej.

Spostrzegamy tylko tu i owdzie rzeczywiste *kłamstwo;* ale i to ma zazwyczaj o tyle naiwny podkład, że tą naiwnością rozbraja.

Wyrzucano raz jednemu rodakowi, że często zaklina się na Boga, a mimo to kłamie.

— Ja?... — odpowiada urażony. — No tak, czasem mi się to trafi... Kiedy mówię: *jak Boga kocham* — to łżę; ale kiedy mówię: *słowo honoru*, to *jak Boga kocham* nie łżę!

Trafia się też u nas dość często inny typ, tak naiwny, że aż się wydaje nienaturalnym:

Jeden z moich kolegów literatów, już zmarły, grał w swoim czasie wybitną rolę w naszem dziennikarstwie. Był to człowiek humanistycznie wykształcony, b. zdolny, z rzadkim u nas talentem jędrnego a na erudycyi i polocie opartego sposobu pisania — jednem słowem dziennikarz w stylu zachodnim, a przytem człowiek z sercem. Był w powstaniu, w którem się niejednokrotnie odznaczył. Lubił też o niem opowiadać żywo i zajmująco. Czy chwalił sam siebie? Tak, ale nigdy w tem co na pochwałę zasługiwało, ani też nie mówił o tem co zasługiwało na naganę. On wogóle, *przez skromność* nie opowiadał *rzeczywistych* swoich czynów. Więc kłamał? Nie tyle kłamał, ile komponował opowiadania zajmujące, jakby nowelle przeznaczone do druku. A działo się to tak: gdy zaczął opowiadać coś o innych, pytano go o niego samego — wtedy najprzód odczuwał nie-

właściwość wysławiania samego siebie, następnie potrzebę zaspokojenia pytających, wreszcie unosił go zapał literackiej twórczości i opowiadał rzeczy niebywałe/ tak niebywałe, że je przyjmowano uśmiechem. On tego nie spostrzegał, albo też oburzał się na niewiarę. Oburzał się, bo nie czuł kłamstwa. A nie czuł kłamstwa dlatego, że pierwszy raz opowiadając, zaokrąglał tylko wypadki i przycinał do wymagań artystycznych; potem dorzucał szczegóły, wywołane zarzutami a stworzone chęcią plastycznego obalenia ich. Przy częstem powtarzaniu zmiany rosły, i w końcu z mniemanej historyi wychodziły „niestworzone rzeczy" — albo raczej stworzone tak nieznacznie i tak usprawiedliwione dla niego dobrymi motywami, że wypowiadał je całkiem seryo, z dobrą wiarą.

Gdy *pisał* coś *odrazu*, był dość ścisłym — tu i owdzie tylko zapał unosił go w stronę przesady. Ale charakteryzując krótko tego rodzaju opowiadania, można je było ze spokojnem sumieniem nazwać łgarstwem [1]).

Do tej samej kategoryi należy pospolity u nas typ zapalonych opowiadaczy myśliwców.

Opiera się on z jednej strony na naszej swadzie anegdotycznej w rodzaju Jana Chryzostoma Paska — z drugiej na naszej nieumiejętności obserwowania samych siebie i panowania nad sobą.

Jak zaś pospolitemi są te ostatnie wady, niech zaświadczy następujący przykład,—jeden z wielu:

---

[1]) Typowe przykłady polskiego mówienia na wiatr, dochodzące do fenomenalnych rozmiarów, znaleźć można w Pamiętnikach dzielnego choć niewykształconego majstra szewckiego, pułkownika Jana Kilińskiego — oraz w przemówieniach i odezwach niedołężnego, choć b. światłego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który zawsze miał się poświęcać dla narodu a nigdy żadnego męzkiego czynu nie dokonał.

Mam znajomego od lat 20. Od 20 lat spotykamy się co kilka tygodni lub miesięcy. Za każdym razem nieodmiennie rozpoczyna rozmowę tą samą specyalną kwestyą, która go zresztą b. mało interesuje — tylko poprostu raz skojarzone wyobrażenie mojej osoby z ową kwestyą stale się powtarza, stale doprowadza do tej samej banalnej odpowiedzi, a on tego nie spostrzega. Nie spostrzegając, nie może też zapanować nad sobą, ponieważ zgóry nie odczuwa potrzeby zmiany rozmowy, zależnie od czasowych okoliczności, ani ogólnej potrzeby kierowania swoim językiem.

12. JAK WYTĘPIAĆ NASZE MÓWIENIE NA WIATR I NASZĄ NIEPUNKTUALNOŚĆ?

(1917)

1. Przed kilkunastu laty (9/II 900) „Gazeta Polska" podała rozmowę swego współpracownika z Henrykiem Sienkiewiczem o naszej niepunktualności. Przytaczam ją całą, z pominięciem tylko ogólnikowego wstępu:

„Była mowa o niesumienności naszych rzemieślników. Są niepunktualni, na termin nic nie zrobią. Sienkiewicz potwierdzał tę opinię przykładami swoimi, przytaczając historyę obstalunku, w której rzemieślnik warszawski przez dwa miesiące przysięgał codzień, że jutro robota będzie gotowa. Rzemieślnicy istotnie chętnie rzucają słowo honoru na wiatr, ale nie tylko rzemieślnicy to robią. My wszyscy chętnie przyrzekamy, a rzadko dotrzymujemy terminu.

— Niski poziom kultury wszystko wyjaśnia.

— Niezupełnie. Nasza kultura nie jest tak bardzo niska, ale ma swoje odrębności, tłómaczące się historycznie. My wszyscy dotąd mamy w sobie charakter i kulturę obyczajową *ludu rolniczego*. Rolnik niema wrodzonego poczucia terminu, a posiada je niewątpliwie dobrze urodzony ku-

piec i każdy człowiek, opierający swój byt na wymianie usług, obwarowywanych umowami, żyjący wśród zobowiązań dwustronnych, zawsze terminowych. Rolnik nie dba o termin, byle rzecz była! Pan Bóg wyznacza mu terminy, przyroda. Zrobi się, jak Bóg da. Termin jest zależny od warunków zewnętrznych: słońce, deszcz, mróz, biorą na siebie winę opóźnienia i rozgrzeszają.

Weszło to w krew narodową. Gdy przychodzi nagłość wskazana koniecznością, wszystko wtedy się zrobi, ale pojęcie terminowości, jako ideał stosunków, nie miało dla siebie gruntu w naszem życiu, pełnem pogardy dla handlu.

Dziś polak w mieście, osaczony zobowiązaniami terminowemi, nie bardzo rozumie, o co się na niego gniewają/ tak dalece jest w zgodzie z właściwem mu poczuciem obowiązku.

— Niska kultura nasza polega właśnie na tem, że nie potrafiliśmy się dotąd dostosować do warunków życia nowoczesnego. Wszystko zrozumieć — to wszystko wybaczyć, to prawda; ale to dopiero połowa sprawy: zrozumieć — to także wyciągać naukę. Nie każda właściwość narodowa jest zaletą; nie każdą należy zachowywać na pamiątkę, trzeba umieć wyzbyć się niektórych.

— *Niepunktualność dzisiaj jest naszą klęską*".

Tak jest, bez najmniejszej przesady. Lecz co się tyczy objaśnienia samej genezy niepunktualności, to, nie odmawiając pewnej słuszności twierdzeniu Sienkiewicza, sądzę jednak, że ono nie wystarcza do jej objaśnienia. Gdyby wystarczało, gdyby wada wypływała jedynie z naszej przeszłości rolniczej, to małaby była nadzieja poprawy w bliskiej przyszłości. Raz dlatego, że „umarli zawsze mówią głośniej niż żywi", a powtóre, że i nasza przyszłość długo jeszcze musi pozostać przeważnie rolniczą. Ale tak źle nie jest. Najprzód bowiem są i rolnicy punktualni; powtóre w górach, gdzie rolnictwa niema, słowność jest raz większą, raz mniejszą, a bywa i b. małą. Są to wprawdzie

rzeczy trudne do ścisłego sprawdzenia, ale niewątpliwym jest następujący szczegół:

Niesłowność i niepunktualność mają dwa bieguny; i nie można w sądzeniu o nich opierać się wyłącznie na jednym. Dwa te bieguny są:

obiecywanie — niedotrzymywanie.

Można nie dotrzymać z przyczyn zewnętrznych: zimna opóźniły dojrzewanie zboża, deszcze opóźniły zbiory— stąd termin dostawy chybiony. Ale — można to było przewidywać, można było, a nawet trzeba było i taką ewentualność przypuścić i dać termin dostawy późniejszy. Toż samo/ co do ilości zbiorów — trzeba było przewidzieć, że mogą być mniejsze, jeśli spadną grady, albo przyjdzie susza i t. p. Jednem słowem, w niepunktualności, równie ważnym, a czasem ważniejszym momentem jest *przewidywanie*, które powinno silniej występować właśnie tam, gdzie warunki są mniej stałe, a więc właśnie u nas. A wszakże morze jest żywiołem jeszcze bardziej kapryśnym niż ziemia, a żeglarze (np. anglicy, nawiasem mówiąc produkujący 3 razy więcej zboża niż cała Rosya) bynajmniej nie należą do niesłownych. Z drugiej strony belgowie i holendrzy produkują jeszcze więcej zboża niż Anglia (biorę do porównania r. 1910) a są słowni. Tu zatem główną rolę gra *nieopatrzność*, której rolnictwo nie tłomaczy.

Nadto zależy nasza niesłowność od innych jeszcze cech naszego umysłu a mianowicie jego *lotności* i *braku wytrwałości*. Pierwsza unosi nas w zobowiązaniach i nadziejach, przy braku samoobserwacyi i krytycyzmu — druga przeszkadza spełnieniu. Robota nie wykończa się na termin, bo jesteśmy niedbali, bo nam się przykrzy jedna robota i przechodzimy do drugiej. W rzemiosłach, jest to nawet przyczyna główna.

Dodawszy ogólny brak *dokładności* w robocie i małe poczucie *obowiązku* wogóle, będziemy mieli kompleks zależności ważniejszych a od rolnictwa odrębnych.

Co do mnie sądzę, że nasza niesłowność jest nawet dawniejsza od naszego rolnictwa i wypływa przedewszystkiem z opisanego już *lekceważenia czasu* wogóle, w epoce przedhistorycznej.

Ale mniejsza o przyczyny. Trzeba wytępiać skutki. Od paru już wieków zmuszeni jesteśmy uważać czas za czynnik b. doniosły i dlatego okoliczności zewnętrzne bynajmniej nie przeszkadzają wytępieniu niesłowności. Przeciwnie, wszystkie przemawiają za niezbędnością odnośnych starań. Chodzi więc tylko o to, co robić?

Już zgóry możemy powiedzieć, że środki te rozpadną się na dwie grupy: 1° indywidualnych lub rodzinnych i 2° społecznych lub państwowych.

Niesłowność upadnie wraz ze wzrostem przezorności (nie mówiąc na razie o innych współczynnikach).

Pouczające są następujące cyfry, dotyczące jednego tylko działu *przezorności wojskowej:*

Od r. 1850 aż do epoki przedwojennej, wydatki na cele wojskowe wzrosły

We Francyi o 49%.

W Rosyi o 69%.

W Austryi o 112%.

W Niemczech o 195%.

Oto tajemnica, dlaczego te 2 ostatnie państwa dotychczas (piszę w chwili zerwania stosunków dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi) tak dzielnie się trzymają.

A w zakresie walki na morzu, wszystkim było wiadomo, że Anglia bezporównania przewyższa Niemcy. Tymczasem stało się przeciwnie: Niemcy bardziej dokuczyły Anglii niż Anglia im, swoją kolosalną blokadą. Dlaczego? Bo Niemcy *przewidziały*, że w najbliższej wojnie *łodzie podwodne* odegrają większą rolę niż wielkie statki zwykłe. Przewidziały nawet potrzebę — dotychczas nieznaną — sprowadzania i niektórych materyałów tą drogą. Jeszcze w r. 1910 Francya budowała łodzie podwodne, których ma-

newry zawodziły. Mnożyły się wypadki i łodzie szły na dno. Toż samo się działo z łodziami niemieckiemi — ale niemcy nie zrazili się trudnościami i *w cichości* przygotowywali flotę podmorską, która obecnie niemal wyłącznie jest czynną. Toż samo zaszło w sferze walki powietrznej. Przed samą wojną nikt nie wątpił, że lotnictwo francuskie, hałaśliwie popisowe, przewyższa lotnictwo wszystkich innych krajów, a w szczególności Niemiec. Tymczasem Niemcy, bez popisów, bez zapowiadań, przygotowały flotę powietrzną równie silną. Francuzi nie dotrzymali obiecując/ niemcy dotrzymali, choć nic nie zapowiadali. A trzeba dodać, że francuzi nie należą do całkiem nieprzezornych. Bywa u nich rozmaicie; przeciętnie, lepiej niż u nas. W r. 1870 byli b. nieopatrzni, prawie tak jak my — ale w okresie następnym przygotowywali się gorliwie, tylko za głośno.

2. P. Ad. Wierzynek wystąpił niedawno w „Kur. Pol." z artykułem p. t. „Niepunktualność nasza i jedno na nią lekarstwo" (18/5 16).

Jeżeli Sienkiewicz nie sięgnął dość głęboko, to pan Wierzynek sięga całkiem płytko, chcąc znaleźć tej naszej wady przyczynę i jeden ze środków zaradczych.

„Ileż to energii — pisze on — marnuje niepunktualność członków komitetów, komisyj, sekcyj, zebrań! Ze wszystkich stron skargi na tę wadę naszą płyną. „Jakże składnie szłaby nam praca — mówił mi jeden z czynniejszych działaczy — gdybyśmy połowy czasu jaki mamy do rozporządzenia, nie tracili na czekanie". *Ten nałóg nasz pochodzi z pierwszych dziesiątków lat popowstaniowych* (!?). „Kiedy nie można było prowadzić otwarcie żadnej roboty politycznej, a prawie żadnej społecznej. Mieliśmy wtedy dużo czasu wolnego poza pracą zarobkową i zawodową. Politykowaliśmy w kawiarniach i resursach, rzadziej na prywatnych zebraniach... Ale po r. 1905 powstało u nas wiele społecznych instytucyj i szereg politycznych partyj. Dla energii, dla zacnej ambicyi, dla ofiarności

utworzyły się wreszcie realne, bliższe, statutem albo programem określone cele, jako stopnie do tego celu wielkiego, którym oddychać nigdy nie przestaniemy. A wtedy już punktualność uczestnika zebrania nabrała swej wartości, stała się cnotą społeczną. Przybyć na wyznaczony termin bez opóźnienia było to, w zasadzie, nie tylko obowiązek spełnić, ale i okazać najpożądańszą formę uprzejmości wobec towarzyszów. W zasadzie tylko, niestety. Ci bowiem, którzy na wyznaczony termin się stawiali, skazywani byli na długie oczekiwanie śród nudów pustej sali. To wielu — „poprawiało". Niepunktualność, tolerowana powszechnie, wżerała się w obyczaj. Z otwarciem posiedzenia oczekiwano, z nagannym spokojem, „aż się zbierze więcej osób". Kto nie chciał istotnie tracić drogiego czasu, ten wychodził około wpół do dziesiątej z domu na zebranie, wyznaczone na ósmą. „Zdążę" mówił sobie. A pamiętajmy, że to trwało lat dziesiątek i że przez ten czas nie było ani jednego prawdziwie poważnego usiłowania, aby zło naprawić.

„Otóż dziś zbieramy owoce tej anarchicznej tolerancyi. Roboty urosło wiele, pracownicy nie są dość liczni, ludzie czynniejsi miewają po parę nieraz zebrań dziennie, a zegarek, po dawnemu, nie wywiera na nas cywilizacyjnego przymusu. Jak kij, ustawiony przez pierwotnego pasterza, wskazuje on nam godziny jedynie „mniej więcej". Po dawnemu punktualność karana bywa stratą czasu; po dawnemu spóźnieni uczestnicy poruszają na zebraniach sprawy, tylko co właśnie omawiane; po dawnemu, jedni rozchodzą się, nie mogąc doczekać się drugich, a ci drudzy się oburzają, że nie odbyło się zebranie, na które ich specyalnemi zaproszeniami fatygowano.

„Jest w tem coś słusznego, gdy uskarżają się ludzie na pewnych chronicznych członków wielkiej liczby komitetów i komisyi, którzy przy największej energii nie są wprost zdolni podołać obowiązkom, pod jakie tak skwapliwie prze-

cież podstawiają plecy. Jedni tak się obciążają przez młodzieńczy, pomimo lat, temperament, przez „mierzenie sił na zamiary", w dobrej wierze, mniemając po dawnemu, że „przecież jakoś to będzie"; u innych gra tu ambicya, szkodliwa zawsze, gdy nie jest rozsądkiem okiełznana. Kalendarzyk, wydany przez Komitet Obywatelski, dał nam listę działaczy, którzy pracowali w ośmiu, dziewięciu i nawet dwunastu komisyach. A niektórzy z nich mieli jeszcze poważne zawodowe funkcye do pełnienia. Czy tacy gorący ochotnicy społecznej pracy są w stanie nie spóźniać się na zebrania?

„Ograniczenie tworzy mistrza" mówi znane adagium niemieckie. I społeczna, i polityczna działalność podlegają ogólnym prawidłom ludzkiej wydajności. Tracą na rozrzuceniu. Zyskują na koncentaracyi. Niema pogłębienia bez ograniczenia.

Autor więc konkluduje:

„Ograniczajmy się. Wybór czyńmy. Nie starajmy się o to, aby nas „wszędzie było pełno", bo właśnie tych najczęściej — brakuje. Wtedy żyć będziemy w harmonii z zegarem, a punktualność, tak słodka dla innych, stanie się dla nas łatwą".

Jest to niewątpliwie środek skuteczny w pewnej liczbie wypadków — ale tak małej, że na ogólny stan rzeczy nie wpłynie. Większość nie ma nadmiaru zajęć, a tak samo się spóźnia; może nawet więcej niż ci, którzy, przeładowani obowiązkami czują jednak i obowiązek niespóźniania się, a więc nie przyjmowania dwóch terminów będących w kolizyi. To kwestya słuszna, ale odrębna. A co do genealogii naszego nałogu „z czasów popowstaniowych" — to nie zasługuje ona nawet na bliższą krytykę. Tak samo spóźnialiśmy się od niepamiętnych czasów, co Szujski nazywa przez grzeczność „naszą młodszością cywilizacyjną". Gdy najbardziej zależało na terminach, niepunktualność nasza bywała największą. W r. 1830 np. z wyjątkiem

kilku spóźniali się wszyscy — a niektórzy znów wyrywali się zawcześnie, czyli także nie w porę. Co tu owijać w bawełnę takie wady! Gdyby naszych niepoprawnych letkiewiczów można było wytopić, możnaby mieć nadzieję, że przynajmniej pierwiastek dziedziczny w tym kierunku osłabnie. Byłoby nas o kilka milionów mniej, ale wszyscy razem, przeciętnie biorąc, bylibyśmy więcej warci; ponieważ jednak jest to niemożliwe, trzeba szukać środków innych, choć powolniejszych — a pierwszym do tego warunkiem jest zdanie sobie sprawy z zakresu złego i niełudzenie się takimi drobiazgami jak „wpływ władz rosyjskich", co przedewszystkiem nam samym ubliża.

Jakkolwiek nałóg powstał, jest on dziś *zwyczajem*, i ten zwyczaj trzeba wytępić.

A więc uregulować wszystko to, co zależy od woli nielicznych a mających władzę jednostek.

Dyrektor teatru może zapowiedzieć, że przedstawienia będą się zaczynały punktualnie i że z wybiciem godziny drzwi będą zamknięte. Tak już postąpiono w Teatrze Polskim, ale brak wytrwałości przywrócił dawne porządki.

Urządzający odczyt może ogłosić toż samo i — dotrzymać.

W stowarzyszeniach, oprócz ogłoszenia, prezes, oczywiście nie malowany, jak to często u nas bywa, może nadto pilnować czasu, przeznaczonego na mowę i na przemówienia w dyskusyi.

W szkołach władza ma naznaczać kary na spóźniających się bez usprawiedliwienia.

Sędziowie pokoju przychodzący stale około 11-tej zamiast o 9-tej, powinni być usuwani.

Tak samo urzędnicy wszelkich innych biur.

Na zebraniach prywatnych z oznaczoną ściśle godziną, za każdy kwadrans spóźnienia należy ściągać grzywnę dajmy na to 1 rubla na cele publiczne.

Właściciele zegarów wystawionych od ulicy a nie re-

gulowanych dostatecznie, winni być skazywani na kary pieniężne, za wprowadzanie w błąd przechodniów i pobudzanie do niepunktualności. I t. d.

W rodzinach należy czuwać, żeby zegar domowy był wyregulowany — której to sztuki każdy człowiek inteligentny wyuczyć się może—a w rodzinach zamożniejszych każde dziecko powinno mieć swój zegarek i samo nad nim czuwać.

Skauci powinni urządzać specyalne ćwiczenia, dotyczące punktualności, z coraz to dalszym terminem, zapisując do nagany lub kary pieniężnej opieszałych a do nagrody uważnych i sumiennych.

Żadna panna nie powinna wychodzić za mąż za człowieka, który stale się spóźnia, raz dlatego, że nie będzie z niego miała pociechy, a powtóre, że nie może nigdy ręczyć czy taki mąż nie skończy jako defraudant (bo takie wypadki często widywałem), a potrzecie, ponieważ w chwili obecnej tego rodzaju ostrożność jest poprostu *obowiązkiem narodowym*.

Oprócz tego należy na opinię publiczną oddziaływać w tym duchu, że każdy narażający bliźnich na stratę czasu jest złodziejem, bo kradnie im czas. Wtedy opinia zaczęłaby oddziaływać i na sfery pół prywatne, niepodlegające właściwej kontroli publicznej.

Tak np. u adwokatów i lekarzy istnieje zwyczaj, że ogłaszając przyjęcia, dajmy na to od 4—6, przychodzą dopiero koło 6-tej — a czekający tracą czas, irytują się i sprawiają zawód innym. Niekiedy spóźnienie jest usprawiedliwione, np. przez wezwanie w nagłym wypadku, ale najczęściej tym wypadkiem jest zagadanie się ze znajomymi przy czarnej kawie. Czasem wreszcie bywa i tak, że fachowiec *umyślnie* urządza blagę „ogromnej praktyki" przez opóźnianie wyjścia do interesantów. To już jest najzwyczajniejsza kradzież czasu. Jedynem jej „usprawiedliwieniem" bywa ta okoliczność, że ponieważ prawie wszyscy są

niepunktualni, więc gdyby każdemu stałemu klientowi naznaczyć godzinę — toby z konieczności były przerwy — u nas, nie za granicą. — Bywałem dosyć często u d-ra Landowskiego w Paryżu, jako gość. Przyjmował on prawie cały dzień, tak dużą miał praktykę; ale nigdy nie zastawałem więcej niż 1—2 osoby czekające, ponieważ każda przychodziła na wyznaczony jej kwadrans, a nowych pacyentów ostrzegał lokaj, że będą musieli czekać pół godziny; więc zwykle wychodzili jeszcze na miasto, żeby nie tracić czasu na czekanie. U nas trzeba dopiero wzwyczajać interesantów, żeby się pilnowali godziny — ale to nie upoważnia jeszcze do narażania na czekanie tych, którzy się nie spóźnili. Trzeba tylko samemu trzymać się ściśle własnych zapowiedzi.

Wspomniany wypadek umyślnego opóźniania przybycia, łączy niepunktualność z inną naszą wadą *pozy*. Chcemy zawsze uchodzić za coś więcej niż jesteśmy. Wydaje nam się, że w ten sposób zjednamy sobie większe uznanie. Jest to w pewnej, małej mierze, słusznem. Nie należy jednak zapominać, że jest to specyficzna maniera oszustów. Nasze „zastaw się a postaw się" już dziś mało kogo otumani — sposoby bowiem dowiedzenia się istotnego stanu rzeczy są o wiele łatwiejsze niż dawniej. Zresztą ja z mego długiego życia wyniosłem spostrzeżenie, że pozory bogactwa mały już dziś wywierają efekt i nie uważam, żeby wystawne mieszkanie miało korzystny wpływ na praktykę. Raczej odwrotnie: bo wtedy budzi się zawiść. W każdym jednak razie, na ten związek między pozowaniem a niepunktualnością, musimy zwrócić uwagę, strzegąc dzieci od wszelkiego samochwalstwa, udawania bogactwa, strojenia się, wydawania ponad normę i pozowania wogóle, jako źródeł nie tylko tej, ale i wielu innych przywar naszych.

Jeszcze ściślejszy związek zachodzi między niesłownością a *brakiem ekonomii w użyciu czasu*.

Trzeba też do niej przyuczać od dzieciństwa, nawet

przy przejściu przez ulicę, wybierając drogi krótsze co do czasu, nawet w przejściu przez pokój. A przedewszystkiem wprawiać w ocenę czasu, potrzebnego dla wykonania danej czynności — bo b. często brak jej powoduje niesłowność.

Ważną też jest, zupełnie nam obca umiejętność *streszczania* się w mowie i w piśmie.

W młodości mojej znałem pewnego literata samouka, obdarzonego wielką energią i pracowitością, a małym talentem pisarskim/ który jednak zwolna doszedł nie tylko do wyrobienia się jako pisarz, ale nawet zrobił — rzecz u nas osobliwa — majątek.

Otóż ten człowiek, z początku, miał tak mało wiadomości, tak niebogatym był zasób wyrazów i zwrotów, jakimi rozporządzał, a powtarzał je tak często bez potrzeby i pisał tak wiele, że artykuły jego w ich postaci pierwotnej, były wprost niemożliwe do druku. Ze względu jednak na dobre pomysły, uczciwe tendencye i zapał reformatorski drukowałem je jako redaktor chętnie, po odpowiedniej korekturze. Polegała ona poprostu na wykreślaniu różnych: „poniekąd", „nieomal", „jednakowoż", „oczywiście" i całych zdań niepotrzebnych, bez końca powtarzanych omówień, kropek, nawiasów, kresek i wykrzykników. Po takiem wykreśleniu, prawie bez rzeczowych poprawek, rękopis wyglądał jak rzeszoto, był o $^1/_3$ krótszym — ale za to zupełnie możliwym a nawet interesującym. I zwolna mój wytrwały samouk doszedł już sam przez się do tego, że stał b. poczytnym i wpływowym. Liczył się z każdym wyrazem, wszystko sprawdzał, nie mówił na wiatr i jedynie tylko w tendencyach zachował dawny rozpęd i dawną płodność.

Jeszcze pospolitszą jest nieumiejętność *ograniczania samej treści*, uwydatniania rzeczy głównych a pomijania zboczeń. Najlepszym pisarzom trudno ich nieraz uniknąć, zwłaszcza jeśli mają umysł żywy.

Trzebaby też w szkołach, obok innych, wprowadzić *ćwiczenia dotyczące streszczania* opowiadań. Toż samo opo-

wiadanie, jakichś wypadków, powinnoby być raz powtarzane w całości, potem w skróceniu o połowę, potem mniej więcej do jednej czwartej, wreszcie do kilku zdań charakteryzujących tylko najważniejszą treść ogólną i jej przebieg, jak to się czyni w nagłówkach rozdziałów albo w spisach rzeczy.

Takie ćwiczenia oddałyby wielką przysługę naszym umysłom — i całemu naszemu życiu społecznemu w następstwach.

Mówieniu na wiatr natomiast sprzyja uczenie się na pamięć i deklamowanie wierszy, czy to cudzoziemskich (ody Horacego i in.), czy swojskich, ale nie całkiem zrozumiałych/ a zwłaszcza wymaganie ćwiczeń na tematy stanowczo przedwczesne, jak np. polegające na charakterystyce różnych epok literackich lub historycznych, a choćby tylko na głębszej (naturalnie ślepo powtarzanej za nauczycielem) charakterystyce pojedynczych pisarzy. Słusznie też w ostatnich czasach prof. Br. Chlebowski zwrócił uwagę na to, że przedewszystkiem należy młodzież zapoznać z odpowiednimi wyjątkami lub utworami.

To co uczeń mówi lub pisze, powinno być zawsze oparte na możliwie dokładnej znajomości tego o czem mówi lub pisze. A czyż może mieć dokładną znajomość danej epoki historycznej albo literackiej? Czyż to nie będzie tylko uczeniem mówienia na wiatr?

Słowność zaś i punktualność należy ćwiczyć na najłatwiejszych, najbliższych i najczęstszych wypadkach w życiu dziecka, a więc przy pożyczaniu piór, gumy, książek i t. p. oraz na składaniu przedmiotów własnych, już niepotrzebnych, natychmiast na właściwem miejscu.

Gdy to wejdzie w nałóg, będzie potem punktualnem i dla innych i w sprawach ważniejszych.

Nigdy zaś nie należy zapominać, że ogólną podstawą wszystkich wymienionych w tym rozdziale (a w części i w poprzednim) przywar naszych jest nieposzanowanie

czasu. Na nic się nie zda zalecanie szczegółowych poprawek, dopóki ta jedna wada ogólna nie będzie radykalnie wytępioną. Powinniśmy sobie i dzieciom naszym wbić w głowe i w serce to przekonanie, że wszystkie straty materyalne mogą być odrobione—ale nie może być odrobiona strata czasu. Choćbyśmy bowiem po utracie jednego majątku, zebrali drugi, dwa razy większy, to zawsze czas użyty na zmarnowanie pierwszego, będzie straconym bezpowrotnie. I tak samo w dziedzinie umysłowej. Każda chwila życia powinna mieć swoje przeznaczenie racyonalne. Nie idzie za tem, żeby nigdy nie odpoczywać, bo toby także było nieracyonalnem. Idzie o to, żeby i pracę i odpoczynek kombinować celowo, a nie bezmyślnie, machinalnie, bez planu. Nawet innego rodzaju zajęcie jest niedopuszczalne, gdy pierwsze, obowiązkowe, zalega. Jakże rzadko o tem pamiętamy! Jakże często odkładamy to właśnie, co najpilniejsze!

3. PRZYKŁAD HISTORYCZNY NASZEJ OPIESZAŁOŚCI.

Nie mam zamiaru wchodzić tu w rozbiory historyczne, któreby najdosadniej wykazały klęski z tej naszej wady płynące. Będzie o tem mowa w „Psychologii i Historyi", o ile dzieło wydać zdążę. Jeden wszakże przykład nie zawadzi:

„W Maju 1831 r. położenie wojsk było takie, że można było kilku skombinowanymi ruchami zgnieść cały korpus gwardyi rosyjskiej. Spostrzegł to P r ą d z y ń s k i, ułożył prosty plan i z wielkim trudem wyjednał zatwierdzenie go od naczelnego wodza, którym był wówczas wiecznie spóźniający się S k r z y n e c k i. „Postanowiono wysłać dywizyę G i e ł g u d a do Ostrołęki, aby uderzył z tyłu na S a c k e n a, którego od frontu atakował już D ę b i ń s k i. Ruch ten, wykonany z należytym pośpiechem, mógł się

skończyć wzięciem do niewoli całego korpusu Sackena. Ale rozkazy wydane przez Skrzyneckiego Giełgudowi były tak bałamutne, że i ta kombinacya zawiodła. *Giełgud zamiast o 9 zrana przyszedł pod Ostrołękę dopiero o 3 po południu* i wypuścił oczywiście Sackena. Tymczasem odebrano upragniony raport Łubieńskiego. Donosił on, że opanował przeprawy na Bugu i że Dybicz stoi nieporuszenie na dawnych swych stanowiskach. Zdawało się, że obecnie nie ma już żadnego powodu do zwłoki lub wahania, że należy jaknajprędzej korzystać z pomyślnych okoliczności i śmiałem uderzeniem na gwardyę, dokonać rozpoczętego dzieła. Położenie było wyjątkowo szczęśliwe, armia polska liczebnie silniejsza, żołnierz pełen zapału oczekiwał hasła do bitwy".

„Prądzyński zajął się natychmiast przygotowaniem rozkazów na dzień jutrzejszy, przywołał majora Kruszewskiego, podyktował mu tak zw. *ordre de bataille* i polecił zanieść Wodzowi do podpisu".

Posłuchajmy teraz jak sam Kruszewski opowiada dalszy przebieg rzeczy:

„Rozkaz ten przepisałem zaraz na trzy ręce, t. j. dla każdej dywizyi; równo z dniem 19 Maja Małachowski i Rybicki mieli atakować z frontu, przeszedłszy rzeczkę Ruś pod Kleszczkowem; dywizya Giełguda miała atakować z boku prawe skrzydło moskali. Rozkaz kończył się zachęceniem do męstwa. — Gdy wszystkie rozkazy napisane i odczytane były, generał Prądzyński rzekł do mnie: „zanieś do podpisu naczelnemu Wodzowi". — Zaniosłem je do drugiego pokoju. Generał Skrzynecki siedział przy dużym stole, na którym kilka dzienników leżało; w ręku trzymał „Journal des Débats", który, jak na nieszczęście, dopiero co przyniesiono.

— Panie generale, przynoszę rozkazy do podpisu.

— Połóż je na stole.

Położyłem i wyszedłem. — Udałem się na dziedziniec, obstalowałem trzech pewnych i śmiałych oficerów do rozwiezienia tych rozkazów. Po upływie pół godziny idę po nie do Wodza.

— Przyjdź majorze później... odpowiedział mi niecierpliwie. Oddalam się zdumiony i powtarzam generałowi Prądzyńskiemu. Tą razą czekaliśmy z godzinę. Idę po raz trzeci:

— Panie generale, oficerowie gotowi czekają na koniach, by rozwieźć rozkazy.

— Powiedziałem raz, żebyś major przyszedł później! odrzekł mi z gniewem.

Oburzony i w głębokim smutku idę do Prądzyńskiego, powtarzam com słyszał — wieczór się zbliżał (Pam. Krusz. s. 109).

Prądzyński, przeczekawszy znowu dobrą chwilę udał się do Skrzyneckiego sam i oto co zaszło:

„Wchodzę do niego — tak pisze — z papierami w jednem a świecą w drugiem ręku. *Wódz już spał zupełnie rozebrany.* Budzę go. Odczytujemy dyspozycye. *Na wszystko zgoda.* Wódz, ażeby przecież coś swojego dodać, dopisuje własną ręką dwa miejsca, i ja odchodzę, życząc mu dobrej nocy. Gdy już na progu byłem, Skrzynecki woła na mnie, żebym wrócił. Już go znowu nagle opanowały wahania. Mówi więc do mnie: „Słuchajno, wszakże to niema w tem nic pilnego, nie posyłaj tego rozkazu, jutro się jeszcze namyślimy".

Struchlałem; dreszcz mnie przeszedł, ręce mi opadły. Ale czując wielkość chwili, otrząsam się z odurzenia, przytłumiam gorycz, pogardę dla takiego Wodza, które się gwałtownie w sercu mojem rodzą. Przemawiam do niego z zapałem, wystawiam mu, że jeżeliśmy 24 godzin zmarnowali, do cudów należy, iż pomimo tego błędu fortuna jeszcze nam sprzyja i jeszcze nam łupu naszego nie usunęła; że igrać dalej z jej darami, jest to chcieć przymusić ją do

odwrócenia się od nas; że gwardye mając tylko wybór między dwiema długiemi a ciasnemi przeprawami pod Łomżą i Gacią, zostawszy zaatakowane z frontu, gdy im tymczasem Giełgud tył zajdzie, niewątpliwie muszą ponieść klęskę. Wymowa moja, nalegania, rozumowania, prośby, wszystko to było bronią zużytą. Zrazu chciał mnie przekonać, że na zwłoce nic nie tracimy... Nie było już co mówić — przecież jeszcze wznowiłem moje usiłowania. Wszystko napróżno. Naleganie moje zniecierpliwiło Naczelnego Wodza. Podnosząc głos powiedział mi na końcu surowo, *w języku francuskim:*

— Mości generale, proszę o tem pamiętać, że ja tu rozkazuję; a teraz proszę mi dać spać.

I wskazał mi ręką drzwi a sam odwrócił się do ściany.

Wychodząc, trzasnąłem drzwiami, bo mi się już przebrała miarka cierpliwości. (Pam. Prądz. rkp.).

„Taki przebieg miała, według najautentyczniejszych źródeł, owa pamiętna scena we dworze w Troszynie, rozmaicie opisywana i komentowana. *Stanowi ona zwrot w historyi powstania, wstęp do klęski Ostrołęckiej i do ostatecznego, nieuniknionego już w tych warunkach upadku sprawy narodowej*". [1])

Czy po takich doświadczeniach, które się już nie pierwszy raz powtarzały, Rząd Tymczasowy nie powinien był natychmiast usunąć Skrzyneckiego?...

Nastąpiło to dopiero w trzy miesiące później.

Rząd był także polskim, a więc i z naprawą złego musiał się także spóźnić. Spóźnił się, i na miejsce Skrzyneckiego mianował „najmniej odpowiedniego" (Dębińskiego). Jedynemu strategikowi jakiego wówczas posiadaliśmy, Prądzyńskiemu (któremu Skrzynecki zawdzięczał większą część swych powodzeń), ofiarowano władzę dopie-

[1]) August Sokołowski. Dzieje powstania listopadowego 1830 — 1831. Wiedeń. Str. 189 i nast.

ro wtedy, gdy on jej już przyjąć nie mógł — gdy już było *zapóźno*...

Ażeby nie pozostawić czytelnika pod tem bolesnem wrażeniem, dodam, że jednak raz jeden w dziejach, polak świąteczny dokonał dzieła wielkiego bez spóźnienia, a nawet z chwalebnym pośpiechem.

Konstytucya 3-go Maja miała być ogłoszona 7 Maja, potem 5-go, a uchwalono ją 3-go [1]).

Te cztery dni zyskane dla postępu, są chlubnym dodatkiem do zasługi wiekopomnego aktu rozumu i poświęcenia, dokonanego przez szlachtę polską.

XIV. GADATLIWOŚĆ I GADULSTWO.

(1917)

Gadatliwością nazywam zbyt częste odzywanie się lub wyrywanie się z czemś bez potrzeby.

Gadulstwem — zbyt długie przemawianie.

Pierwsze objawia się w trzech stopniach ewolucyjnych:

1° jako szczebiotanie małych dzieci;

2° jako paplanie dzieci starszych;

3° jako właściwa gadatliwość dorastających i dorosłych.

Gadulstwo, jest już cechą specyficzną tych ostatnich i może się przejawiać zarówno w stosunkach towarzyskich

---

[1]) Przyczyną przyspieszenia była gadatliwość króla Stanisława Augusta, dzięki której pośrednio został ostrzeżony przed projektowanym zamachem stanu, Bułhakow. (Ob. K. Bartoszewicza: Dzieje Insurekcyi Kościuszkowskiej, Wiedeń (bez daty), str. 64). Wszyscy inni wtajemniczeni doskonale dotrzymywali tajemnicy.

prywatnych, jak i w życiu publicznem. Naturalnie, że w tem ostatniem stanowi plagę, donioślejszą w następstwach i wymagającą też odpowiednich, już nie czysto pedagogicznych środków zaradczych.

1. UWAGI PSYCHOLOGICZNO-PEDAGOGICZNE [1].

(1883)

Szczebiotanie małych dzieci musi być uważane fizyologicznie za konieczność naturalną, korzystną dla dalszego rozwoju, ponieważ polega na odruchach głosowych, którymi dziecko najłatwiej wyraża swe stany, nim jeszcze mówić zacznie/ i zapomocą których gimnastykuje swój narząd głosowy, ucząc się go używać.

Wrażenia, wywołujące głos, i wrażenia przez ten głos wywołane, kojarzą się ze sobą w nieprzeliczonych asocyacyach, stanowiących właściwą szkołę wyrażania uczuć, popędów i myśli, a przedewszystkiem nastrojów. Zatem, w tej pierwszej epoce życia, gadatliwość nigdy nie jest wadą/ i raczej brak jej byłby, jeżeli nie wadą, to oznaką choroby.

Zadanie wychowawcy w tym okresie ogranicza się też do wstrzymania nałogu zbyt głośnego krzyczenia i ułatwienia niemowlęciu skojarzeń głosowych użytecznych.

W dwóch drugich okresach gadatliwość jest zawsze nieprzyjemną dla otaczających, a może być szkodliwą/ i dla gaduły i dla otaczających. Tu zatem udział pedagoga staje się niezbędnym. Dziecko ma jeszcze więcej powodów do paplania, niż niemowlę do szczebiotania, albowiem do potrzeby czysto fizycznej *ruchu*, którego jednym z objawów jest *mowa*, jako czynność mięśni głosowych, i do

[1] Druk. w „Enc. Wych." w r. 1883.

potrzeby fizyczno-psychicznej *wyrażania uczuć*, przyłącza się tu jeszcze czysto psychiczna potrzeba *zwierzeń*.

Wogóle zaś u dzieci należy odróżnić: 1) gadatliwość ich między sobą, która rzadko potrzebuje być strofowaną i 2) gadatliwość wobec starszych, która częściej przybierając formę natręctwa, zarozumiałości, niedelikatności lub niedyskrecyi, częściej też musi być hamowaną.

Względy, jakie w tych razach pedagogiem kierować powinny, są podwójne. Z jednej strony wzgląd „dobrego wychowania" w znaczeniu powierzchownej ogłady, z drugiej, wzgląd dobrego wychowania, w znaczeniu głębszem, moralnem.

Ogłada towarzyska wymaga, żeby człowiek nie zajmował zbytecznie drugich, bądź swoją *osobą*, bądź swoją *rozmową*, a choćby tylko swoim *głosem;* wymaganie to jest zaś słusznem, nie tylko z punktu widzenia salonowego, ale i ze stanowiska utylitarnego samej jednostki: nikomu bowiem nie może wyjść na pożytek zanudzanie lub drażnienie drugich.

Ważniejszymi jednak są względy moralne, albo ściślej mówiąc względy istotnego udoskonalenia, zarówno moralnego, jak umysłowego. *Człowiek powinien być tak wychowany, żeby mógł się doskonalić całe życie.* A temu właśnie gadulstwo staje na przeszkodzie. Kto mówi za wiele, temu braknąć musi czasu na rozwagę. Z samego więc nałogu gadatliwości wyniknąć mogą najrozmaitsze wady rozumowe: takie, jak wnioskowanie ze szczegółu o ogóle, przeskakiwanie z przedmiotu na przedmiot, branie skojarzeń przypadkowych za przyczynowe, przesada w formie, płytkość lub nieścisłość sądów w treści. Nie mówiąc już o tem, że gdy do gadulstwa przyłączy się *namiętność* lub *upór*, cały szereg innych nałogów anti-pedagogicznych może się jednocześnie wkorzenić w umysł na całe życie.

Gadatliwość jest zawsze dowodem pewnej *słabości umysłu*, nawet u uczonych. Tem samem więc rozwój umy-

słu musi ją hamować, a ze swej strony, odwrotnie, rozwój gadatliwości musi szkodzić rozwojowi rozumu. Stosunek ten wynika z następujących przyczyn: jedną z głównych miar udoskonalenia umysłowego jest *abstrakcya*, to znaczy odrywanie myśli od rzeczy, od form, od znaków, a więc i od wyrazów. Idyoci nie mogą myśleć, nie mówiąc. Dziecko także musi mówić by mogło myśleć; ale zwolna powinno się nauczyć myśleć, nie mówiąc, czyli mówiąc tylko wewnętrznie. Inaczej mowa jego będzie *namyślaniem się* mówiąc a nie wypowiadaniem myśli.

Kształcenie powinno niedopuścić do takiego pomieszania dwóch dziedzin: myśli i słowa, które w odosobnieniu podtrzymują się, a w pomieszaniu szkodzą sobie. Myśl, z natuty swojej, powinna być szybszą niż mowa, a ponieważ szybkość myśli nie jest wcale tak wielką, jak się to z pozoru wydaje, więc tembardziej nie należy tolerować nadmiernego rozwoju szybkości mowy, kosztem myśli.

Wreszcie, gadatliwość jest dowodem względnej słabości umysłowej i dlatego, że im umysł bujniejszy, tem większą ma *rozmaitość* skojarzeń, a im większą jest rozmaitość skojarzeń, tem więcej rozwaga czuwać musi nad tem, żeby nie zatracić nici logicznej i nie pleść, jak to mówią, „trzy po trzy", choćby najpłynniej i najprzyjemniej.

A na to potrzeba *czasu*, potrzeba *zatrzymywania* skojarzeń wyrazowych, które zwykle są w kolizyi z rzeczowemi.

Pod względem moralnym szkody są niemniej doniosłe. Nic łatwiejszego, jak mówiąc zawiele, obmawiać; nic łatwiejszego, jak wygadać się z tajemnicą swoją lub cudzą; nic łatwiejszego, jak bez złej myśli nawet, zaszkodzić sobie lub drugim.

Jeżeli z punktu widzenia rozumowego, gadatliwość jest dowodem pewnej słabości umysłu, to z punktu widzenia moralnego jest ona dowodem *słabości woli*, dowodem niedostatecznego panowania nad sobą.

Trafia się jednak wypadek bardziej skomplikowany. Osoba gadatliwa posiada siłę woli, lecz tylko odporną. Skoro więc przez niepotrzebną gadaninę obrazi otaczających, wpada w drugą ostateczność i *przestaje mówić*. Jest to wada pensyonarska. Młodzież między sobą, dzieci względem rodziców, urządzają nieraz taką walkę, ażeby się zemścić za doznane upokorzenie. Jest to jedna z form uporu, na którą wszakże, wbrew przysłowiu, jest lekarstwo; a to lekarstwo nazywa się wyrozumiałością. Przeczekać cierpliwie i nie zwracać uwagi na kaprys, jest jedynym sposobem wykazania jego nierozsądku, i ukarania winnego własną jego bronią, bez narażania się na podtrzymywanie wady drażnieniem, lub niepotrzebne okazanie słabości prośbami.

Wogóle jednak gadatliwość i gadulstwo wynikają z niedostatecznego panowania nad sobą, i dlatego to ostatnie, wyrabiane racyonalnie, odnośnie do wszelkich czynności [1]), może i tę wadę wstrzymać w rozwoju.

Wniknijmy teraz nieco głębiej w naturę tych wad, celem wskazania szczegółowych środków zaradczych.

Gadatliwość i gadulstwo są nałogiem *psycho-nerwowym*. Niewątpliwie, jak wszelkie inne właściwości charakterów, mają one swą podstawę *dziedziczną*. Są rodziny gadatliwe, jak są rodziny muzykalne lub czułostkowe. Nie należy jednak wszystkiego składać na dziedziczność; dziecko gadatliwych rodziców, możeby wcale nie było paplą, gdyby nie słyszało naokoło siebie paplania. Naśladownictwo znaczy tu więcej niż dziedziczność. To też chcąc w tym kierunku poprawić dzieci, trzeba zacząć od siebie.

Jak papuga lub szpak krzyczą coraz głośniej, w miarę gwaru rozmowy otaczających je osób, tak też dziecko, słysząc osoby starsze jednocześnie mówiące do siebie

---

[1]) „Odnośnie do czynności" a nie „odnośnie czynności", jak mówią i piszą wychowańcy szkół rosyjskich.

z ożywieniem i hałasem, mimowoli odczuwa potrzebę wmieszania swoich trzech groszy, i przyzwyczaja się do paplania, nie proszone i nie pytane.

Nieraz już miałem sposobność zauważyć, że wychowanie dzieci zależy nie tyle od tego, co im się mówi lub czego się wymaga, ile od tego, co widzą. To zaś, co widzą, zależy nie tylko od wychowania, jakie odebrali rodzice, ale, i to główne, od tego *ciągłego wychowywania samych siebie, od tego ciągłego czuwania nad sobą, poprawiania samych siebie*, na które dziecko patrzy, a które cechować powinno ludzi pełnoletnich, mających dawać dobry przykład.

Dziecko ma zawsze szacunek dla starszych, choćby z przyczyny różnicy wzrostu, i najłatwiej zdobędzie ochotę i siłę do poprawienia się, widząc podobnież troskliwość u opiekunów. Przeciwnie, wystarczy, gdy dziecko raz złapie matkę na kłamstwie, albo ojca na gburowatości, żeby samo poczuło w sobie ochotę do podobnych licencyj. Gadatliwość zaś jeszcze łatwiej udziela się, niż inne wady, jest bowiem natury formalnej i opiera się na przyrodzonej właściwości dziecinnego umysłu. Ta zatem kwestya przykładu powinna być przedewszystkiem załatwioną.

Następnie należy przejść do środków szczegółowych. Gdyby z jednej strony przykład był zawsze dobrym, a z drugiej ogólne kształcenie i wychowanie oparte na rozumie pedagogicznym/ to o specyalnem wytępianiu tej wady nie potrzebaby mówić. Ponieważ jednak nie zawsze tak bywa, poszukajmy lekarstwa na chorobę już rozwiniętą.

Dlaczego dziecko gadatliwe jest gadatliwem? Przyczyny mogą być różne, a tem samem i środki muszą być różne.

1) Gadatliwość z podniecenia jest objawem ogólno ludzkim i koniecznym. Kto doznał niespodziewanego wzruszenia, zwłaszcza przyjemnego/ kto się zapalił w zabawie, grze lub rozmowie, ten się staje gadatliwym,

ponieważ wszelkie stany uczuciowe posiadają siłę ekspansywną, i muszą się objawiać na zewnątrz. O tem nie trzeba zapominać. Jeślibyśmy w takiej chwili podnieconemu dziecku nakazali milczenie, popełnilibyśmy gwałt przeciw naturze, gwałt bezpożyteczny, a nawet szkodliwy. Zamiast bowiem poddania, z poczucia słuszności wynikającego, obudzilibyśmy złość tłumioną/ poczucie niesprawiedliwości, upór i skłonność do nieposłuszeństwa. Największa łagodność i wyrozumiałość jest więc w takich razach konieczną, i kto, trzymając się jednej zasady, że: „dzieci nie powinny dużo gadać", karci w równej mierze objaw konieczny natury i objaw sztuczny złego nałogu, ten sobie wystawia świadectwo złego pedagoga. Na nieszczęście jest to błąd pospolity.

Inny błąd analogiczny powstaje wtedy, gdy naganę czynimy zależną od obecności pewnych osób. Pozwalamy mieszać się do rozmowy i paplać przy panu lub pani X, ale oburzamy się, gdy dziecko robi to samo przy panu lub pani Y. Mamy do tego swoje powody, ale dziecko ich nie zna i znać nie potrzebuje/ a jego dziecinna logika, bezwiedna, ale bardzo żywa, na tem cierpi; i sami sobie przeszkadzamy w wychowaniu.

2) Gadatliwość i gadulstwo z *przyczyn nieracyonalnych psychologicznie*, bądź stałe, bądź chwilowe, muszą być zawsze powstrzymywane. Zawsze, to znaczy nawet wtedy, gdy nikomu drugiemu nie szkodzą; zawsze bowiem szkodzą dziecku. Winne zaś być powstrzymywane *w porę*, to jest, nim się przyłączy podniecenie przez rozpęd umysłowy. A przytem, o ile można, nie samym nakazem, ale *ułatwieniem dziecku postanowienia wstrzymania się*. To zaś osiągnąć można, stosownie do natury wady i natury dziecka, bądź wymotywowaniem rozumowem, bądź odwołaniem się do rozsądku i uczuć takich, jak miłość lub ambicya. *Niedopuścić nałogu* — w tem cała tajemnica.

Z drugiej strony ogólny kierunek kształcenia może

bardzo sprzyjać lub szkodzić tej wadzie. Mówić zadużo, jest to mówić źle. Zatem, przyzwyczajając do mówienia *dobrego*, wstrzymujemy tem samem gadatliwość. Przez dobre zaś mówienie rozumiem wszystkie dodatnie cechy mowy, zarówno formalne, jak treściowe.

Należy zatem czuwać:

1) żeby dziecko *wymawiało dobrze* (tem samem nie tolerować mowy zaniedbanej lub zbyt pieszczotliwej);

2) żeby nie używało wyrażeń *niegramatycznych* (nieraz proste poprawienie błędu młodego retora, budząc wstyd, powstrzyma skuteczniej gadatliwość, niż wszelkie zakazy);

3) żeby nie używało wyrażeń *rubasznych lub nieprzyzwoitych;*

4) *niezrozumiałych* lub nieodpowiednich wiekowi;

5) żeby, recytując z pamięci, nie nadawało *fałszywej intonacyi* wyrazom lub zdaniom;

6) żeby rozumując *trzymało się przedmiotu,* i nie porzucało go przed dojściem do logicznej konkluzyi;

7) żeby wogóle nie kombinowało *pustych dźwięków* lub naśladowanych frazesów bez treści, w przedmiocie, którego nie zna;

8) żeby w opowiadaniu rzeczy znanych było zawsze *ścisłem i dokładnem* i, chcąc coś opowiedzieć, nie zaczynało *za daleko,* ale przystępując wprost do rzeczy.

Przy takiem czuwaniu nad mową dzieci/ bez pedanteryi, ale też i bez zaniedbania/ prosty nakaz od czasu do czasu dodany, wystarczy i gadatliwość sama przez się przestanie być nałogiem, zarówno niemiłym dla otaczających, jak niebezpiecznym dla gaduły. Nie potrzebujemy dowodzić, że gadatliwość z charakterem obmowy, lizusostwa, natręctwa, lub zarozumiałości, powinna być wykorzenianą wraz z temi wadami. Nadmienię tylko, że jak tam, tak i tutaj, najlepszem lekarstwem na rozwój złych skłonności jest rozwój dobrych. *Obmowa,* a więc rozpo-

wiadanie wad cudzych, ustąpi wobec zwrócenia większej uwagi na zalety. *Lizusostwo*, wobec rozbudzania przyjemności z dopomagania drugim, a tem samem rozszerzania swego egoizmu na dziedzinę koleżeństwa. *Natręctwo*, wobec ambicyi i psychologicznego współczucia. *Zarozumiałość* wreszcie, wobec poczucia pepełnionych błędów.

Gdy potrzeba młodocianych zwierzeń przyłączy się do gadatliwości zwykłej, nie tamować ich, ale tylko czuwać nad niemi.

Jeżeli kiedy, to w tym wieku szczerość, a nawet zwykła otwartość, ma swoje usprawiedliwienie; i trzeba z nią jak ze szkłem się obchodzić, by ten kryształ młodzieńczych uczuć nie rozbił się, lub nie zćmił skrytością i obłudą. Później doświadczenie własne, odpowiednią pomocą wychowawców poparte, nauczy tej smutnej życiowej prawdy, że *pewien stopień skrytości daje siłę.*

2. GADULSTWO WŚRÓD DORASTAJĄCYCH I DOROSŁYCH.

(1917)

Uwagi powyższe odnoszą się do postępowania z *dziećmi.*

Należałoby dodać jeszcze kilka uwag, dotyczących postępowania młodzieży między sobą i dorosłych między sobą.

Oba te względy mogą odegrać ważną rolę w polepszeniu naszych stosunków publicznych.

Co do młodzieży, to jest to okres życia najpodatniejszy dla tego rodzaju ćwiczeń. Zwłaszcza w stowarzyszeniach studenckich, przy wyrabianiu się mówców, możliwe są b. znaczne ulepszenia/ jeśli tylko interesowani wzajem-

nie czuwać będą nad sobą i przywykną do wzajemnego krytykowania się, bez złośliwości. Gdy w zebraniu młodzieży uczestniczy osoba starsza, do niej należy zwracanie uwagi na to, żeby przemawiający ściśle trzymali się przedmiotu, rozkładali go na części, nie powtarzali się i dokładnie formułowali wnioski. Wtedy gadulstwo samo się wytępi.

W zebraniach dyskusyjnych ludzi dorosłych, najważniejszą i najbardziej odpowiedzialną jest rola przewodniczącego.

Na nieszczęście u nas ustalił się zwyczaj zbyt delikatnego, a mówiąc krótko zbyt *biernego* przewodnictwa. Następstwa tego są takie, że to, co bez niczyjego uszczerbku, a nawet ku ogólnemu zadowoleniu, mogłoby trwać 2 godziny — trwa 4, 5 albo i więcej, ku ogólnemu znużeniu a częstokroć i bez pożytku.

Prawda, że umiejętne przewodniczenie nie jest rzeczą łatwą i że prezes, chcący kierować dyskusyą, rzadko utrafia odpowiednią miarę, między swoim obowiązkiem a swojem zniecierpliwieniem — albo znów między zbytnią pobłażliwością a niewłaściwą surowością. Wynika to stąd, że: albo ulega, albo karci, zamiast *zapobiegać*. Pierwszy sposób postępowania najczęściej go naraża/ jeśli nie tym, to tamtym — a tymczasem nikogoby nie uraziło postępowanie takie:

1° Przedewszystkiem należy uprzytomnić ogólnie *zakres, porządek* i *prawa* zebrania. Wtedy odrazu odpadnie wszystko to, co przeciw niemu wykracza. Cel główny będzie uprzytomniony, ilość zapisanych tematów da odrazu pojęcie o potrzebnym dla nich czasie, a dokładne wskazanie charakteru dyskusyi, zapobiegnie wszczynaniu kwestyj, przechodzących kompetencyę zebrania.

2° Przy wystąpieniach szczegółowych/ a raczej przed niemi/ przewodniczący powinien sam postawić każdy temat ściśle, podkreślając zawarte w nim wątpliwości,

co do których pożądanem jest wyjaśnienie. Na sformułowane w ten sposób pytanie, mówcy będą musieli dać odpowiedź konkretną, unikając niepotrzebnych wstępów i zboczeń.

3° W takim razie, właściwe krytyki i przywoływania do porządku, będą mogły być sprowadzone do *minimum*, jeżeli nie wprost uznane za zbyteczne — co na lepszych zebraniach, może być nawet regułą. Skoro zaś staną się koniecznemi/ przewodniczący powinien zrobić sobie autosugestyę spokoju i racyonalności, motywując łagodnie każdą swoją apostrofę. Wtedy nie będzie i urazy; a dyskusya skróci się tak dalece, że stanie się interesującą i użyteczną. W wyjątkowych wypadkach musi jednak znaleźć się i energia — byle zawsze bez pozoru stronniczości.

Wielką w tem pomocą będzie dla przewodniczącego wyrobione *współczucie psychologiczne*, pozwalające mu dokładnie odczuwać intencye mówcy i jego przekonania zasadnicze, którym czasem niedokładnie odpowiadają użyte przezeń wyrazy i zwroty.

Naturalnie, zawsze niezbędną jest wielka *uwaga* i zdolność jednoczesnego cryentowania się w całem otoczeniu, żeby np. czyjegoś żądania głosu nie pominąć, albo wyznaczyć mu niewłaściwy porządek — co tak często staje się powodem uraz i zamieszania w dyskusyi.

Umysły polskie mają swoje wady/ ale posiadają też pewną giętkość, która pozwala mieć nadzieję b. znacznej poprawy naszych stosunków publicznych/ pod warunkiem znalezienia się wśród przewodników pewnej liczby osób, któreby sprawę postępu w tym kierunku wzięły goręcej do serca.

Jeszcze jedna uwaga:

Gadulstwo, o ile nie jest wadą wrodzoną, może pochodzić z dwóch różnych przyczyn:

1) *z braku wprawy* — przyczem rozwlekłość wynika z nienasuwania się mówcy całkiem odpowiednich wyra-

zów, z zapominania niektórych szczegółów, które miały być powiedziane a zawieruszyły się w powodzi automatycznych skojarzeń/ wreszcie z zupełnego przerywania się wątku myśli, które trzeba zastępować [1]) byle jakimi ogólnikami.

2) *z chęci popisu*, po uprzedniem przygotowaniu.

Mówca wytrawny, mimo to zastosowałby się do okoliczności i opuścił rzeczy, które się okazały niepotrzebnemi. Ale mówca mniej wyrobiony — albo też zbyt żądny popisu, nie uczyni tego i wyrecytuje całą lekcyę przygotowaną.

Zauważono, że na posiedzeniach rady miejskiej/ gdzie, przy zapełnionej galeryi, gadatliwość kwitnie/ naraz wszystkie mowy uległy znacznej redukcyi, skoro urządzono posiedzenie przy drzwiach zamkniętych. Ponieważ jednak nie można tego czynić stale, trzeba poprostu w samym porządku dziennym unikać kwestyj zbyt ogólnie postawionych, jako rzadko użytecznych, dając przewagę ściśle określonym, przy których i gadulstwo z chęci popisu, rzadko znajdzie odpowiednie dla siebie pole i powściągliwość mówców jest ułatwiona — a w regulaminie ograniczyć czas przemówień i liczbę replik, jednego oponenta. Reszta zależy od przewodniczącego.

Ten ostatni może również w części zapobiedz i gadulstwu wynikającemu z pierwszej przyczyny (braku wprawy), rozkładając dyskusyę na konkretne pytania, domagające się jasnej i krótkiej odpowiedzi.

Wejście w nałóg dobrych porządków dopełni reszty.

Jest jeszcze jeden rodzaj gadulstwa — najgorszy: niektórzy mówcy mówią długo tylko dlatego, że nic nie mają do powiedzenia; a mówić chcą koniecznie. Na tych już nie ma innego lekarstwa prócz przywołania do rzeczy, względnie: zamknięcia dyskusyi.

---

[1]) „Zastępować" a nie „zamieniać", bo to rusycyzm.

3. GADULSTWO PARLAMENTARNE, OBSTRUKCYJNE.

Amerykanie posiadają b. prosty sposób skrócenia zbyt długich rozpraw, szkoda tylko, że całkiem idealny i zbyt swoisty. Oto gdy uważają, że posiedzenie będzie trwało dłużej niż na to pozwala konstytucya a regulamin przerwać go także nie pozwala, wówczas... *cofają zegar o kilka godzin...*

O ostatniem zebraniu Senatu amerykańskiego z d. 4 Marca r. b. donoszą dziennikom europejskim następujące szczegóły:

„Obstrukcyi pokojowo nastrojonych senatorów powiodło się niedopuścić do przyjęcia prawa o uzbrojeniu amerykańskich okrętów handlowych. W sobotę po południu w sali senatu przesunięto, według zwyczaju, skazówki zegara o kilka godzin wstecz, aby umożliwić przedłużenie rozpraw poza północ 4-go Marca, *przepisaną przez konstytucyę, jako termin zakończenia sesyi.* Przywódca pacyfistów, senator S t o n e, przemawiał sam 4 godziny, poczem zastąpił go senator L a f o l e t t e. Galerye sali senatu, Kapitol i okolice jego zapełniał ogromny tłum, oczekujący na wynik rozpraw".

Konstytucya była tak wyrozumiałą, że podczas cofania skazówek zamknęła oczy i uznała ten wyraz poszanowania dla siebie za dobrą monetę...

Ale trzeba dodać, że amerykanie używają tej sztuczki tylko w chwilach całkiem wyjątkowych, że nie stosują jej do terminów wekslowych, ani nawet do zwykłego gadulstwa, że zasada poszanowania tradycyi w formach, jest sama tradycyą angielską, przeniesioną na grunt nowego lądu — i nareszcie, że w tym specyalnym wypadku chodziło o tak zw. parlamentarną *obstrukcyę.* Było to więc gadulstwo *umyślne,* zmierzające do tego, żeby przed koń-

cem sesyi nie dopuścić do niepożądanej dla mniejszości uchwały.

Przybył nam tedy jeszcze jeden rodzaj gadulstwa, na który w Waszyngtonie nie miano żadnego lekarstwa, a sytuacya była tak ciekawą i pouczającą, że zasługuje na bliższe zastanowienie.

Prezydent Wilson żądał od kongresu, czyli od obu izb, upoważnienia do uzbrojenia statków *handlowych* amerykańskich, dla ich obrony przeciwko łodziom podwodnym niemieckim/ pomimo, że wojna nie jest jeszcze wypowiedziana — są tylko zerwane stosunki dyplomatyczne. Wojna nie jest wypowiedziana, ale Niemcy zapowiedziały bezwzględne topienie *wszelkich* statków, zmierzających ku brzegom państw nieprzyjacielskich i przekraczających wyznaczoną strefę morską — jako odwet za blokadę ekonomiczną, zarządzoną przez Anglię. Otóż w tej zagmatwanej sytuacyi etyczno-międzynarodowej i wojenno-pokojowej, wytworzyły się też zagmatwane reakcye charakterów narodowych i sumień parlamentarnych.

W Stanach Zjednoczonych, na ogólną liczbę 531 członków obu izb, znalazło się przeszło 500, gotowych poprzeć prezydenta w jego usiłowaniach obrony swobody, a względnie i życia, obywateli amerykańskich na drogach morskich. Zdawałoby się więc, że kwestya udzielenia prezydentowi odpowiednich plenipotencyj nie przedstawia żadnych trudności. Tymczasem nic z tego. Większość 500 głosów na 531, okazała się bez znaczenie, wobec kilku (podobno 12) mówców, którzy dali sobie słowo, że przegadają ostatnie godziny sesyi i nie dopuszczą większości do głosowania.

W izbie niższej uchwała przeszła; ale w senacie przepadła/ a bez jego zatwierdzenia nie ma mocy prawnej. Przepadła, nie dlatego, żeby nie było większości/ tylko dlatego, że senat amerykański nie posiada dotychczas żadnych środków, ani konstytucyjnych, ani regulaminowych,

ograniczających gadulstwo. Panuje w nim nieograniczona swoboda. A natomiast istnieje przepis wyraźny, konstytucyjny, że sesya musi się kończyć w danym terminie i o danej godzinie. Na godzinę znaleźli amerykanie sposób: cofnięcie zegara; ale nie znaleźli sposobu cofnięcia kalendarza; zamiany soboty na piątek. Sobota skończyła się — wprawdzie o kilka godzin później — ale ostatecznie skończyła się, i klamka zapadła. A przytem, niewiadomo czyby to co pomogło, gdyby cofnięto i kalendarz/ ponieważ, jak sam prezydent twierdzi, nie zdołałby usunąć trudności przez zwołanie 65-go kongresu na sesyę nadzwyczajną: obstrukcya bowiem mogłaby trwać w d. c. Dwudziestu czy trzydziestu pacyfistów zmówiłoby się ze sobą, żeby przemawiać każdy po kilka godzin, unieruchamiając i ową sesyę nadzwyczajną.

Jak się to skończy? Jeszcze nie wiadomo. Jasnem jest tylko to, że niezależnie od sprawy obecnej, regulamin powinienby być uzupełniony w ten sposób, żeby mniejszość nie mogła paraliżować pracy większości; bo w takim razie cała maszyna parlamentarna ulega zatrzymaniu. Nie tylko czas przemówień musi być ograniczony, ale i prawa większości wzmocnione/ a przedewszystkiem urozmaicony i zwolniony od przestarzałych, ciasnych formułek sposób przejawiania się jej woli — wychodząc z tej ogólnej, ale dostatecznej racyi, że wolność jednostki kończy się tam, gdzie się zaczyna wolność innych jednostek, i że w żadnym razie obrotniejszy język, i mózg wytrzymalszy, nie mogą decydować o racyi stanu, sformułowanej przez mózgi, może mniej wytrzymałe i mniej wytrawne języki, ale, bądź co bądź, stanowiące większość.

Zachodzi wszakże pytanie: co nastąpi, jeśli i zamiar ustalenia takiego regulaminu, ulegnie obstrukcyi? Oczywiście wytworzyłoby się błędne koło. Regulamin nie będzie ważny, jeśli go nie uchwali większość, a większość nie

będzie mogła go uchwalić, skoro mniejszość nie dopuści jej do głosu.

Więc może należałoby poprostu zarządzić odrazu głosowanie przez podniesienie rąk i tem sprawę zakończyć, omijając przeszkody?...

Nie można; bo i temu sprzeciwia się regulamin. Zresztą choćby się nie sprzeciwiał, mniejszość obstrukcyjna może *zagłuszyć* wszelkie niepożądane dla niej przemówienia a nawet przemocą *niedopuścić* przeciwnika do mównicy. Według zaś przyjętych formalistycznych zasad, odezwanie się z miejsca nie ma doniosłości urzędowej — musi być dokonane *z trybuny*. W dzisiejszym parlamentaryzmie „miejsce zdobi człowieka" a nie odwrotnie.

Znamy na tem tle zajścia i w stosunkach europejskich — a o owem historycznem posiedzeniu waszyngtońskiego senatu donoszą co następuje:

„Sesya senatu zakończyła się scenami, jakich jeszcze nigdy nie bywało w kongresie. Ponieważ senator Lafolette przechwalał się, że może zapewnić, iż projekt prawa o uzbrojeniu okrętów handlowych spełznie na niczem, zwolennicy tego prawa *czynili największe wysiłki, by mu uniemożliwić przemawianie. Senatorowi Stone nie pozwolono wejść na trybunę*. Pomiędzy przeciwnikami dochodziło prawie do walk na pięści. Punktualnie o północy senator Hitchecks odczytał orędzie Wilsona z żądaniem wydania prawa o *zbrojnej neutralności*[1]) i oświadczył, że obstrukcya 12 senatorów, którzy nie dopuścili do uchwały pra-

---

[1]) Wyrażenie to było naciągane. Zbrojną neutralnością można nazwać postawienie wojska na granicy w przewidywaniu jej przekroczenia, albo nawet chwilową okupacyę obcego terenu bez rozkazu strzelania. Ale uzbrojenie statków handlowych z rozkazem strzelania do każdej napotkanej łodzi podwodnej, byłoby już wojną — zresztą usprawiedliwioną wobec tego, że i niemcy wydali podobny rozkaz.

wa, jest aktem *najbardziej godnym nagany w historyi rządu cywilizowanego*".

Określenie stronnicze. Dany akt publiczny jest nagannym tylko wtedy, gdy albo nadużywa pozorów prawa dla celów nieetycznych, albo jest wykonany przy pomocy nieetycznych środków (np. przekupstwa), albo wreszcie wprost sprzeciwia się prawu. Tu tego nie było. Przeciwnicy projektu działali jako zwolennicy pokoju; w przekonaniu swojem, zasługiwali się krajowi, ochraniając go od wojny; nie ma żadnych poszlak, żeby byli przekupieni, a to co czynili, nie sprzeciwiało się ani prawu, ani regulaminowi. Wiadomo jedynie, że gra tu rolę podkład rasowy, ponieważ obstrukcyoniści pochodzą z okręgów przeważnie niemieckich — ale w tem także nie ma nic nagannego; jest tylko psychologiczne wyjaśnienie zatargu.

W szczególności zaś ci, którzy używają takich sztuczek (o których naganności, jako zwyczajowych, prezydent nie wspomina) jak cofanie zegara, nie mają prawa do potępiania tych, którzy ani prawdy, ani zasady etycznej nie naruszyli — przemawiali tylko dłużej niż zwykle, pod wpływem nastrojów rasowych.

Godnym nagany jest natomiast niewątpliwie *brak środków legalnych przeciw obstrukcyi*, która sama w sobie musi być również potępiona w zasadzie (mimo, że prawo jej nie uchyla, i że niekiedy prowadzi do wyników dodatnich), ponieważ żaden gwałt nie może być uznany za argument i ponieważ celem parlamentaryzmu jest wyjawienie i wymotywowanie opinii większości a nie kneblowanie jej ust i wiązanie rąk.

Czyż więc niema środka na obstrukcyę parlamentarną?

Hr. B a d e n i, podczas swojej prezydentury w Wiedniu, wymyślił sposób: wezwał wojsko i kazał wyprowadzić obstrukcyonistów. Ale to był gwałt jeszcze gorszy, bo na-

ruszający w zasadzie niezależność całego parlamentu/ bo poddawał prawo sile.

Wyłączywszy takie środki, przypuśćmy najprzód, że obradując w czasie spokojnym, izba niższa lub wyższa mogą same narzucić sobie przepisy, zapobiegające nadużyciom, i zapytajmy jakimiby one być powinny?

Przedewszystkiem, należy uznać za niewłaściwe wszelkie terminy, bezwzględnie i zgóry krępujące obrady. Sesya powinna trwać *zawsze* możliwie *najkrócej*, ale nie tyle a tyle dni, czy godzin, niezależnie od ważności i trudności obrad, nie dających się zgóry przewidzieć. Ograniczenia co do dni są nieracyonalne, a co do godzin wprost śmieszne. Nie tylko każdorazowy kongres powinienby trwać tak długo, jak tego wymaga potrzeba, ale i na każdem posiedzeniu, izba niższa czy wyższa, powinna mieć prawo decydowania, zarówno o przedłużeniu jak i skróceniu posiedzenia. Dobrze jest postawić sobie granice *normalne*, ale nierozwagą jest wyłączanie *anormalnych*, gdy do nich znajdą się anormalne, a dostateczne w przekonaniu większości powody. Tem samem upadłby dziecinny, ubliżający powadze posłów zwyczaj cofania zegarów.

To jedno. Lecz to nie zapobiega jeszcze obstrukcyi.

Zapobiegawcze przeciw niej środki musimy również podzielić na *zwyczajne* i *nadzwyczajne*.

Do pierwszych należałoby wprowadzenie zwyczaju, żeby zaraz na wstępie, przy składaniu przysięgi, poseł przyrzekał jednocześnie, że innych środków prócz wymowy i argumentów używać nie będzie/ a więc że nie będzie hałasował ani grał na różnych instrumentach (jak to bywało w wiedeńskiej radzie państwa), skoro delegowano go do narad a nie do robienia hałasu/ a także, że nie będzie używał siły fizycznej do krępowania kolegów, co chyba również nie zgadza się z powołaniem posła. Ze względu na różne ewentualności, jakie trafiały się w dziejach (nasz sejm grodzieński), winienby nadto poczynić zobowiązania, że

i sam nie podda swych przekonań gwałtowi. Wszystko to możnaby zebrać w jednej formule ogólnej, zabezpieczającej prawo i godność przedstawicieli ludu.

Gdyby te przyrzeczenia były dotrzymane, pozostawałoby już tylko gadulstwo, opóźniające, jeżeli nie paraliżujące uchwałę, przeciwko któremu wystarczyłyby zwykłe ograniczenia co do treści i czasu, przestrzegane pilnie przez przewodniczącego.

Należy jednak wszystko przypuszczać; a więc i to, że zobowiązania nie będą dotrzymane i że ta lub owa izba, względnie naczelnik rządu, znajdzie się w pozycyi takiej, jak obecnie prezydent Wilson.

Co w takim razie czynić?

Widzieliśmy już, jakimiby być mogły środki zwyczajne zapobiegawcze. Zobaczmy teraz, jakimby mógł być środek zapobiegawczy nadzwyczajny?

Myślę o zasadniczym, nie chwilowym tylko.

Otóż mojem zdaniem, należałoby w tym celu *rozszerzyć legalny sposób wyrażania opinii większości posłów* a mianowicie, zaraz na początku najbliższej sesyi/ a jeśli nie, to na późniejszej, odbywanej w warunkach spokojniejszych/ uchwalić dodatkowy § regulaminu, tej treści:

„W wypadkach nadzwyczajnych, gdy stanie się widocznem, że opinia izby rozdzieliła się w danej kwestyi na dwa sprzeczne obozy: większości i mniejszości, i gdy ta ostatnia przeszkadza pierwszej w powzięciu legalnej uchwały, większość jest uprawnioną do powstania z miejsc i do trwania w tej postawie dopóty, dopóki prezydyum, również przez powstanie ze swoich miejsc, nie da znaku potwierdzającego, że nastąpiło rozejrzenie się w liczbie głosów i że opinia większości może być uważana za przyjętą.

Uwaga.

Nie zmieni prawomocności uchwały fakt, jeśli i mniejszość, celem wywołania zamieszania, powstanie również ze

swoich miejsc; akt taki bowiem uważany będzie za przyłączenie się opozycyi do większości.

Tym sposobem i hałasy wszelkiego rodzaju i zagradzanie drogi do mównicy, a nawet przewlekłe mowy obstrukcyjne straciłyby racyę bytu. Podniesienie się na swoich miejscach kilku przedstawicieli większości, byłoby zrozumiałem z góry hasłem dla reszty, do uczynienia tego samego — a dla prezydyum, do zastosowania § dodatkowego.

Oczywiście mogłoby to mieć miejsce tylko w tych wypadkach, w których kwestya jest postawiona jasno i może być rozstrzygnięta przez proste „tak“ lub „nie“ — ale też o inne tu nie chodzi.

Zanim skończyłem pisanie tego rozdziału, nadeszły depesze oznajmiające, że prezydent Wilson już sobie poradził, w sposób jaki mu *na razie* pozostawał do dyspozycyi, a mianowicie:

„*Berlin 7 Marca* (przez Bazyleę). Z Waszyngtonu donoszą do pism szwajcarskich, że według informacyi „United-Press“, prezydent Wilson, natychmiast po otrzymaniu orędzia“ (właściwie oświadczenia) „podpisanego przez 83 senatorów, *wydał rozkaz uzbrojenia okrętów handlowych*“.

To znaczy, że nie widząc możności załatwienia sprawy *w sali senatu*, załatwił ją *poza salą senatu*, zaaranżował zbiorową deklaracyę (niby głosowanie) większości jego członków, i, postarawszy się jeszcze o aprobatę generalnego prokuratora, którym jest minister sprawiedliwości (o czem donoszono osobno) uczuł się dostatecznie upoważnionym, i wydał rozkaz uzbrojenia okrętów.

Czy postąpił *zgodnie z prawem?*

Nie, bo dotychczas prawo takiego wypadku nie przewidziało.

Czy postąpił *prawnie?*

Tak, bo nie rozporządził się samodzielnie, lecz za zgodą większości obu izb, którą sam miał prawo sankcyonować. A ostatecznie upoważnienie/ czy to wyrażone gło-

sowaniem w sali senatu, czy też deklaracyą poza salą senatu/ jest zawsze upoważnieniem. Deklaracya wystąpiła w tym razie jako *zastępnik* (nazywany u nas obecnie w języku okupacyjnym: *Ersatz*): Wilson zamiast wanny miedzianej użył żelaznej/ zamiast klamki mosiężnej, drewnianej/ zamiast cukru, sacharyny i — dopiął celu, przynajmniej na razie.

Nie mniej jednak, czytelnika zastanowić może powyżej zaznaczone odróżnienie rzeczy *prawnej* od rzeczy *zgodnej z prawem*. Dotychczas wyróżnialiśmy czy coś się odbywa *de jure* czy tylko *de facto*. Teraz musimy powiedzieć nadto, że coś może być *juste* (prawne, słuszne, sprawiedliwe), chociaż nie *ipso jure* (mocą prawa). W tym właśnie wypadku jest Wilson.

Logicznie, jego postąpienie da się streścić w ten sposób:

Chodziło o zgodną uchwałę obu izb. *Izba*, czyli właściwie *sala*, jest tylko wyrażeniem przenośnem. Chodzi o *ludzi*, mających prawo uchwały/ nie zaś o miejsce, w którem się te uchwały odbywają. I o *akt* równorzędny z głosowaniem — nie koniecznie o istotę głosowania. Ci ludzie spełnili akt równorzędny z głosowaniem — zatem prezydent jest w porządku.

I kraj go nie potępi. Ale nie potępi tylko dlatego, że nastrój uczuciowy znacznej jego większości uważa te fakty za *równorzędne*. Gdyby ten nastrój ożywiał tylko b. nieznaczną większość, upomnianoby się o *naruszenie prawa*.

Czyli że, jednem słowem, jest to sztuczka, poważniejsza niż cofnięcie zegara — ale zawsze sztuczka/ na której trwałego uzdrowienia stosunków parlamentarnych fundować nie można.

P. S.

Nie czekaliśmy długo na *pierwszy krok* do reformy dobrowolnej samego senatu amerykańskiego. Zaraz nazajutrz doniosły telegramy, że

„zjednoczona komisya kongresu, składająca się z republikanów i demokratów, zgodziła się na zmianę regulaminu w tym duchu, że *rozprawy będą mogły być zamknięte w każdej chwili, gdy tego zażąda większość* $^2/_3$ *głosów*".

Tym sposobem nadmierne gadulstwo już teraz może być (niekiedy, mianowicie przy $^2/_3$ głosów większości) poskromione — ale to jeszcze nie rozstrzyga całej kwestyi obstrukcyi, bo mniejszość będzie zawsze mogła paraliżować większość, środkami extra parlamentarnymi.

Jednocześnie okazuje się, że wydawszy rozkaz uzbrojenia okrętów handlowych, prezydent nie uważa się jednak za dostatecznie uprawnionego, i że celem zyskania całkiem legalnej aprobaty obu izb, zwołuje nadzwyczajną sesyę kongresu.

Zachodzi wątpliwość, czy i ta sesya uchyli *zasadniczo* trudności, związane z zagadnieniem obstrukcyi; w każdym jednak razie może ulegalizować postępowanie prezydenta.

(Przyp. z d. 11 Marca 917 r.).

XV. EGOIZM I ALTRUIZM POLITYCZNY[1]).

(1906)

W jednym ze swych artykułów wstępnych biadał niedawno „Czas" krakowski, że stara „sztuka rządzenia" upada: „ulica" wciska się do parlamentów, pod jej groźbami

[1]) Druk. w „Gaz. Pol." z 4 Lutego 1906 r.

ministrowie tracą głowy, wprowadzając reformy „przedwczesne“ i t. d.

Trzeba bowiem wiedzieć, że ile razy ktoś zażąda jakiejkolwiek reformy, organ partyi krakowskiej odpowiada zawsze: „nie śpieszcie się, macie czas!“

Tymczasem czas płynął i, jak w chwili obecnej, grozi już nie tylko reformą, ale wprost spłukaniem rządzącej dotychczas partyi z widowni politycznej. Ma więc „Czas“ więcej niż kiedykolwiek powodów do uderzania w ton melancholijny...

Nie będzie to objawem altruizmu politycznego, jeżeli powiem, że mnie ten stan rzeczy nie martwi... Ale bo też nie było rozumnym altruizmem i to stanowisko, jakie, w ostatnich zwłaszcza latach, zajmowało stronnictwo Stańczyków. Powiedziawszy raz sobie, że trzeba podtrzymywać tron, w myśl hasła: „przy tobie stoimy i stać chcemy“, stali bez przerwy, nie interesując się bardzo tem, jakie zmiany zachodzą w głębszych warstwach narodu, jakie nowe budzą się potrzeby?

A tymczasem i z góry powiał wiatr inny/ którego również, jak wszelkich rzeczy nowych, nie przeczuli; i ze zdumieniem usłyszeli naraz głos od tegoż tronu, obwieszczający, że dalsze ich trudy podtrzymywania go są zbyteczne, ponieważ znalazł już lepszą i pewniejszą podporę w szerokich warstwach ludności: murzyn spełnił swoją powinność — mógł odejść.

Otóż to był ze strony partyi konserwatywnej altruizm polityczny nierozważny, bo zapominający o egoizmie politycznym — *narodowym*, rozumie się, nie partyjnym/ bo co do tego ostatniego, to partyi krakowskiej, a przynajmniej bardzo wielu jej członkom, zapomnienia zarzucić nie można. Mojem zaś zdaniem, altruizm polityczny, podobnie zresztą jak każdy inny, powinien być wprawdzie etycznym *współczynnikiem*, ale nie prostem *zastępstwem* narodowego i n t e r e s u.

Były w tym lojaliźmie i cechy dodatnie, może nawet swoiście polskie. My, polacy, w stosunkach prywatnych, nie odznaczamy się wdzięcznością, większą niż inne narodowości; nie bywaliśmy szczególnie wdzięczni i w życiu publicznem: naszym wodzom, mężom stanu i królom/ ale gdy cudzoziemiec, choćby chwilowo tylko okaże nam serce, albo coś podobnego do serca — wówczas wdzięczność nasza nie ma granic! I na tym szlachetnym gruncie powstaje ów mazgajowaty altruizm polityczny, właściwie nikomu nie użyteczny, a charakteryzujący zarówno „trzeźwe" Koło polskie w Wiedniu, jak i bardziej romantyczne w Berlinie[1]). W jednym i drugim króluje nieśmiertelna naiwność polska, przypuszczająca zawsze pewien altruizm w przeciwniku.

Tymczasem ani na wschodzie, ani na zachodzie, nikomu się nie śniło o altruizmie w polityce, w jakiejkolwiekbądź formie.

Sztuka rządzenia, i wszystko co z nią stało w związku, opierało się wyłącznie na egoizmie: osobistym, partyjnym, państwowym.

Nie idzie za tem, żeby godła zewnętrzne tego czynnika nie brzmiały inaczej; owszem, dobro ogólne było zawsze na ustach. O interesie osobistym nie mówiło się nigdy, ale za to nie uważano nawet za potrzebne ukrywać, że w polityce państwa, jedyną zasadą godziwą był interes państwa; w życiu politycznem partyi mówiło się wprawdzie o dobru kraju, żadnej jednak partyi nikt nie brał za złe, jeśli zwalczała ślepo wszystkie inne, to znaczy resztę kraju. Żadnemu też mężowi stanu nie przyszło do głowy, żeby etykę wprowadzać do polityki, poza bardzo względną uczciwością w dotrzymywaniu zobowiązań, — a wielki mąż stanu, nazywający siebie „uczciwym maklerem", należał, jak wiadomo, do najmniej skrupulatnych.

---

[1]) Zwracam uwagę czytelnika, że było to pisane w r. 1906.

W rozprawie: „Metoda w etyce", która ukaże się wkrótce w „Przeglądzie Filozoficznym", znajduje się między innemi taki ustęp, dotyczący etyki politycznej:

„Etyka międzynarodowa jest odrębną, i, krótko mówiąc, o wiele *niższą* moralnie/ nie tylko w praktyce, ale i w powszechnie aprobowanej teoryi. Najazdy i zagrabienia cudzej własności, nazywałyby się w stosunkach prywatnych: rozbojem — w stosunkach międzynarodowych nazywają się: rozszerzaniem rynków zbytu, prawem podboju/ albo nawet: krzewieniem wyższej kultury — przyczem w dodatku, ta ostatnia bywa w rzeczywistości moralnie niższą. Kneblowanie ust jednostkom zowie się gwałtem — odbieranie narodom podbitym praw do własnego języka — obroną jedności państwowej. Fałsz, podstęp, łamanie słowa, ubliżają każdej jednostce prywatnej — dla dyplomatów są one tylko: stosowaniem „racyi stanu", prowadzącem do wielkości. Przekupywanie sług w cudzym domu, dla szpiegostwa i zdrady, potępia w stosunkach towarzyskich każdy człowiek; ale nie potępia ich w stosunkach międzynarodowych/ nawet gdy chodzi o „zaprzyjaźnione" mocarstwa. Podobnie ocenianem jest ekonomiczne rujnowanie sąsiada, zapomocą tendencyjnych przepisów granicznych i odpowiednich traktatów handlowych — a w stosunkach wojennych dzikość, podstęp, barbarzyństwo, stają się bohaterstwem..."

Czy w takiej atmosferze moralnej, panującej wśród „chrześciańskich" i niechrześciańskich ludów, może być mowa o altruizmie politycznym?...

Zdawałoby się, że nie; a jednak są pewne znaki na ziemi i na niebie, które powiadają: może. Na niebie, to znaczy w teoryi — na ziemi, to znaczy w praktyce.

Do tych ostatnich zaliczam w naszych stosunkach fakt, już niewątpliwy i aprobowany zasadniczo przez zjazd akademicki w Petersburgu 28 Stycznia r. b., fakt dobrowolnego ustąpienia profesorów i studentów rosyjskich

z wyższych szkół naszych, jedynie dlatego, by nie utrudniać ich unarodowienia.

Nie wiem jak tam kto, ale ja uważam ten czyn za objaw tak znamienny, tak *nowy* w swej wysokiej wartości etycznej, na terenie, przygotowanym raczej do wszystkiego innego, że należy mu przyznać znaczenie przełomowe/ nawet niezależnie od tego, czy naród rosyjski, w swej całkowitej reprezentacyi, przyzna nam autonomię, czy też nie.

Do tej samej kategoryi będzie należało, już zapowiedziane nadanie przez Anglię zupełnej autonomii świeżo podbitemu Transwaalowi, również bez przymusu.

Irlandya musi jeszcze poczekać, bo — jest za blisko.

* *
*

Ale oto fakt stokroć ciekawszy, z dziedziny względnie dostępniejszej dla altruizmu politycznego, bo ze stosunków wewnętrznych między stronnictwami/ a jednak, jeśli się nie mylę, bezprzykładny:

Jak wiadomo, w Anglii istnieją tylko dwa wielkie stronnictwa: liberalne i konserwatywne, *whigów* i *torysów*. Nazwa pierwszych oznacza etymologicznie „opryszków", nazwa drugich „zkwaśniałe mleko". W antagonizmie tych stronnictw, kolejno zdobywających władzę, koncentruje się cała walka parlamentarna wielkiego narodu. W chwili obecnej, konserwatyści (unioniści) stracili zaufanie kraju i przy odbywających się jeszcze wyborach, zostali na głowę pobici/ tak dalece, że przepadł nawet przywódca ich stronnictwa, B a l f o u r. I oto w takiej chwili wyczytałem w „Pracy Polskiej" następujący, mojem zdaniem historyczny telegram, który, nawiasem mówiąc, nie zwrócił niczyjej uwagi:

„*Londyn, 26 Stycznia* (Tel. wł.). — Stronnictwo liberalne, widząc zupełną klęskę unionistów, a nie chcąc pozbawiać ich tak wybitnej siły, jaką jest Artur Balfour, b. prezes gabinetu, postanowiło oddać mu jeden z własnych mandatów. W tym celu minister Gibbs, wybrany w City londyńskiem, zaproponował Balfourowi, że się zrzeknie swojego mandatu na jego korzyść. Balfour przyjął. Wybór jego w City można uważać za pewny, tembardziej, że liberalni nie wyznaczą tam swego kandydata, lecz *polecą swoim wyborcom Balfoura*".

Jak na „opryszków", którzy dotychczas „zkwaśniałe mleko" stale wylewali za okno — czyn niewątpliwie kawalerski!

Jakże nam daleko jeszcze do tej dojrzałości politycznej, do jakiej doszli egoistyczni synowie Albionu!

Redakcya „Pr. Pol." (organu Nar. Dem.), która, jeżeli się nie mylę, nie uznaje altruizmu w polityce, zaznaczywszy w nast. n-rze, że liberalni mają już znaczną większość zapewnioną, dodaje: „Wobec takiego powodzenia, *łatwo* mogą pozwolić sobie na ustąpienie choćby nawet kilku miejsc swoim przeciwnikom. Świeżo ustąpili mandatu Balfourowi, który tylko dzięki tej wspaniałomyślności liberalnych, wejdzie do parlamentu. *Niewiele to kosztuje*, a wzmacnia nadzwyczajnie powagę stronnictwa, które daje wyraźnie do zrozumienia, że nie tylko nie obawia się swych przeciwników, ale umyślnie powołuje najwybitniejsze ich siły, aby się z niemi zmierzyć".

„Pr. Pol." nie przypuszcza, żeby jedną z pobudek mogło być także poszanowanie opinii głównego przeciwnika, oraz dbałość o to, żeby opinia kraju, przynajmniej pod względem talentów parlamentarnych, nie była reprezentowaną jednostronnie. Ale o to mniejsza. I bez tych szerszych i wyższych pobudek, czyn liberałów angielskich nie przestaje być altruistycznym.

W życiu dzisiejszego parlamentaryzmu, takie czyny należą do całkiem wyjątkowych. Ja znam tylko jeden, do pewnego stopnia analogiczny; mianowicie gdy przed kilku laty, przepadły przy wyborach wiejskich, dzięki agitacyom Stańczyków, chłop B o j k o, został demonstracyjnie wybrany przez miasto Lwów, jako poseł miejski. Serdecznie się z tego faktu ucieszyłem, bo był także szlachetnym/ ale etyczność jego zmniejsza chęć dokuczenia Stańczykom. Tutaj zaś nikomu nie dokuczono, a podano rękę upadającemu przeciwnikowi.

„Pr. Pol." mówi, że było to „łatwem", ponieważ liberalni i tak mieli znaczną większość zapewnioną, i że „niewiele ich to kosztowało". Zapewne. Swoją drogą, ja nie wyobrażam sobie, żeby nasza „Narodowa Demokracya", która też ma znaczną większość w całym kraju zapewnioną, odstąpiła choćby jeden ze swoich mandatów Polskiej Partyi Socyalistycznej, celem ułatwienia wierniejszej reprezentacyi kraju, a choćby tylko dla okazania, że nie lęka się zmierzyć z głównym swoim przeciwnikiem...

Powie kto może, że altruizm w polityce mógłby doprowadzić do abnegacyi/ a tem samem do klęski. Niewątpliwie, i ja też wcale nie myślę stawiać altruizmu *na miejsce* egoizmu narodowego, którego uprawnienie nie potrzebuje być dowodzonem. Ja tylko twierdzę, że czysty egoizm narodowy jest złą zasadą, i ma coraz mniej szans powodzenia, wobec wzrastającej zawiłości stosunków i ogólno ludzkiej tolerancyjnej demokratyzacyi. Ja tylko twierdzę, że egoizm powinien być rozumnym, to znaczy przewidującym na dalszą metę; a rozumny egoizm i rozumny altruizm, to jest w większości wypadków jedno i to samo.

Dwa te pojęcia, jak to łatwo byłoby wykazać na przykładach, zlewają się ze sobą w znacznej części, a niekiedy w całości.

* * *

Tyle tylko chciałem powiedzieć — ale to już jest dużo. To jest b. dużo/ bo od takich objawów, jak powyżej przytoczone, w których rozumny altruizm przechodzi w dobrze zrozumiany interes narodowy, może się zacząć n o w a e r a, nowa era upadku dawnej „sztuki rządzenia", ciasnego egoizmu stronnictw, dzikiej walki klas i wyznań, wreszcie samolubnej pretensyi pewnych stronnictw do „opiekowania się" ludem, z wyłączeniem wszystkich innych partyj — *zamiast przyznania mu poprostu praw równych.*

Gdyby Koło polskie w Wiedniu, natychmiast po objawieniu przez rząd zamiaru wprowadzenia głosowania powszechnego, było postawiło kwestyę w ten sposób: „przyznajemy, że lud polski i ruski, oraz proletaryat miejski są pokrzywdzone przez dotychczasową ordynacyę wyborczą, i cieszymy się z możności wyrównania tej krzywdy/ stawiając tylko ten jeden warunek, żeby przy rozdziale mandatów Galicya, jako całość, nie była pokrzywdzona w stosunku do innych krajów koronnych", to by byli uniknęli wszystkich szykan, zasłużyli na szacunek wszystkich stronnictw, zapewnili sobie znaczną część mandatów, jakie obecnie posiadają, a co najważniejsze, byliby zabezpieczyli kraj od wstrząśnień socyalnych, agrarnych, a w szczególności narodowo-ruskich, jakie mu grożą w tej chwili.

Niestety, wszelkie „gdyby" w historyi, mają tylko znaczenie dyalektyczne. Partya krakowska nie mogła tak powiedzieć, bo toby było zbyt altruistyczne, bo toby było odstępstwem, w drugą stronę, od nierozumnego egoizmu narodowego i jeszcze mniej mądrego, partyjnego — ona musiała, w swojej obawie o upadek „dawnej sztuki rządzenia" i o obniżenie się poziomu parlamentarnego — czyli inaczej mówiąc, w obronie interesu wielkiej własności i również źle pojętego interesu narodowego, wystąpić tak, jak wystąpiła, przez usta hr. W o j c i e c h a D z i e d u s z y c k i e g o.

Szan. prezes Koła polskiego rozchorował się po tej mowie... Nic dziwnego — ja jej nie wypowiadałem, a już mi się niedobrze robiło przy jej czytaniu w dziennikach!...

* *
*

„Nowa Gazeta", która także jest tego zdania, że tym razem „zwyciężył interes stanowy i klasowy", nie uznaje jednak altruizmu politycznego.

W trzech artykułach p. t. „Polityka moralna", p. Albert Barbanell z takim impetem napadł w niej na altruizm w polityce, jakby chodziło co najmniej o potępienie rozboju na gładkiej drodze.

Altruizm w polityce jest, zdaniem jego, „nonsensem, samobójstwem, niemoralnością, *celową* niedorzecznością i t. d..."

Pokazuje się, że do śmierci człowiek się uczy rozumu! Byłbym przysiągł, że „celowej niedorzeczności" nie ma na świecie...

„Gdyby przypuścić — mówi p. B., — że grupy i warstwy społeczne powinny powodować się altruizmem w walce o byt swój i rozwój/ gdyby przypuścić, że powinny iść za głosem ofiarnych uczuć i idei, doszlibyśmy rychło do niedorzecznego pragnienia, że grupy te i warstwy powinny dążyć do własnej zagłady".

Jeżeli tak jest, to nie rozumiem doprawdy, dlaczego autor mówi o „filistrach, samolubach, mięczakach, ohydnych chciwcach, wilkach w pierzach puszczyków i pijawkach w jezuickiej skórze moralistów" — bo przecież oni wszyscy dążą do *woli własnego życia*, która to zasada ma być właśnie zasadą *moralną*, w przeciwstawieniu do altruizmu, jako zasady *niemoralnej*...

Jest w tem jakieś nieporozumienie logiczne, które należało załatwić przed wydrukowaniem artykułu.

Zdaniem pana B., wszelkie zakusy altruistyczne są godne potępienia; „nakaz altruistyczny jest czynem anti-altruistycznym", ponieważ zawsze pociąga za sobą czyjś uszczerbek...

A jeśli ten uszczerbek jest dobrowolnym, dla uniknienia większego?...

Natomiast, zdaniem p. B., wszelkie egoistyczne zdobycze cywilizacyjne i wolnościowe „były zawsze głęboko nieodzowne, nieodzownie niezbędne i niezbędnie potrzebne..."

Możnaby jeszcze dodać: „i nieodzownie konieczne", ażeby już nie było żadnej wątpliwości, że masło jest maślane. Ale co, mojem zdaniem, nie ulega najmniejszej wątpliwości, to to, że nie należy dolewać do pełnego — i to zarówno w formie, jak w treści. Na świecie, zwłaszcza w polityce, jest już tyle egoizmu, że doprawdy obeszłoby się bez dalszego w tym duchu apostolstwa/ a psychologowie już tak dawno wykazali egoistyczne źródła altruizmu, że odkrywanie ich na nowo, zwłaszcza z taką furyą wynalazczą, stało się już chyba zbytecznem. Tylko że psychologowie nie czynili tego, co czyni p. B., a mianowicie, z faktu, że dyament jest tylko skrystalizowanym węglem, nie wnosili o pożytku palenia brylantami w piecu. Nadto, nie mieszali, jak to czyni p. B., Psychologii z Etyką: stwierdzenia tego co jest, z zaleceniem tego co być powinno. Tymczasem p. B. zwalcza altruizm rzeczywistością; żądaniu altruizmu, „żądaniu, jak powiada, w skutkach niedorzecznemu i niemoralnemu, a jako środek uniwersalny niemożliwemu", przeciwstawia „żądanie afirmacyi i rozwoju woli życia —dla obrony i rozwoju osobowości. Taką też jest rzeczywistość".

Jeżeli rzeczywistość jest właśnie taką, jak chce p. B.—to po co się na nią gniewa?...

Zdaje się, iż gniewa go właśnie to, że w tej rzeczywistości, wyznającej zasady Nitzschego, jest jednak

jeszcze trochę altruizmu, któryby chciał wytępić do szczętu, wykazując jego niepraktyczność.

„Nigdy jeszcze — woła autor z właściwą mu pewnością siebie — żadna gromada, żadna klasa społeczna, żadna grupa, nie odniosła zwycięstwa przez to, że w uniesieniu moralnem dokonała aktu ofiary"...

A mnie się zdaje, że taki fakt miał już miejsce i że taka grupa nazywała się Chrześciaństwem.

Wprawdzie autor mówi słusznie, że w dążeniach do poprawy społecznej, poświęcającemu się nie chodzi o poświęcenie, lecz o zwycięstwo — ale czemuż jednocześnie nie dodaje, że ofiarność dla zasady może jednak doprowadzić do jej zwycięstwa — czyli, że grupa wyznawców wielkiej idei, składając dla niej ofiarę swego życia, w uniesieniu moralnem, nie tylko nie zabija swojej sprawy, ale ją podnosi.

Czyżby p. B. sądził, że chrześcianizm byłby szybciej się rozkrzewił, gdyby pierwsi jego wyznawcy walczyli nie ofiarą, lecz nożami, a umykali w razie niebezpieczeństwa?...

*

* *

Wracając do dzisiejszej prozy życia i do dzisiejszych poświęceń dla dobra większości, chciałbym uniknąć podobnego przenicowania pojęć, jakie znalazłem w „Polityce moralnej" „Nowej Gazety", i streścić swoją myśl przy pomocy utartych wyrażeń.

Otóż, mojem zdaniem, dzisiejsze stronnictwa polityczne, wraz z całym dzisiejszym gadatliwym i kłótliwym parlamentaryzmem, wyrosłe na zasadach już przestarzałego kultu walki o byt, muszą dążyć do reformy; wszędzie wogóle, a szczególnie tam, gdzie, jak u nas, nie ma i nie będzie prędko pełni swobodnego życia.

Zaznaczywszy zaś powyższą tendencyę ogólną, wynik niniejszego pobieżnego rozbioru streszczam w następujących punktach:

1) *Czysty egoizm państwowy, narodowy lub partyjny, jest zasadą polityczną na krótką metę — na dalszą jest zawsze, lub prawie zawsze szkodliwy.*

2) *Ludzie dalej patrzący dopełniają egoizm altruizmem, wiedząc, że tym sposobem, jeżeli nie zawsze, to w większości wypadków, lepiej służą własnym celom egoistycznym.*

3) *Nasze stronnictwa polskie stoją wciąż jeszcze na stanowisku czystego egoizmu narodowego lub nawet tylko partyjnego, i dlatego, mojem zdaniem, w obecnej swej formie nie mają przyszłości.*

4) *Należałoby tę kwestyę postawić na porządku dziennym, ażeby przyśpieszyć etyczną ewolucyę samej zasady stronnictw.*

Warszawa, 2 Lutego 1906.

(1917)

Od tego czasu wiele się zmieniło.

Przewrót w stosunkach, jakiego dokonała olbrzymia wojna światowa, dający się przyrównać do powszechnego trzęsienia ziemi w dziedzinie fizycznej [1]), przewrót jeszcze nieskończony i nieskrystalizowany, musiał się odbić i na naszych stosunkach wewnętrznych.

---

[1]) Według najnowszych obliczeń „Tow. dla studyowania społecznych następstw wojny" w Kopenhadze (Bul. Nr. 2 z 1 Sierpnia 1916 r.) w dwóch latach wojny (od 1 Sierp. 1914 do Lip. 1916) padło: zabitych 4,631,500; rannych 11,245,300; pozostało inwalidów, czyli niezdolnych do pracy 3,373,700.

Nie skorzystaliśmy ze wskazówek, jakie już w r. 1906 dawały nam wypadki; ale te ostatnie same wzięły na siebie zadanie takiego przegrupowania, takiego przekształcenia naszych stronnictw i takiego przeobrażenia naszych marzeń, jakiego dotychczas nigdy jeszcze nie doświadczaliśmy w tak krótkim czasie.

Zmiany te były gdzieindziej, w pewnym względzie mniej, w innych bardziej radykalne — ale chodzi o to czy,

---

Z tego przypada na:	zabitych:	rannych:	inwalidów:
Bułgaryę	25.000	60.000	18 000
Belgię	50.000	100.000	33.000
Włochy	105.000	245 000	73.500
Serbię	110.000	140.000	42.000
Turcyę	150.000	350.000	105.000
Anglię	205.000	512.000	154.000
Austro-Węgry	718.000	1.777.000	533.000
Francyę	885.000	2.115.000	634.000
Niemcy	885.500	2.116.300	649.900
Rosyę	1.498.000	3.820.000	1.146.000
	4.631.500	11.245.000	3.373.700

Razem ubyło z szeregów: 19.250.500.

W dawniejszych wojnach, według danych zaczerpniętych z dzieł: Leroy-Beaulieu, Recherches économiques sur les guèrres contemporaines, Paris 1869/ J. Bloch, La guèrre, tomes IV i V. Paris/ J. Schurmann, The Balcan Wars, London 1914/ Waste of militarism. By the World Peace Foundation. New York /Encyklopaedia Britanica/

w latach:	trwających dni:	padło zabitych:	procentowo:
1866	40	45.000	17.8
1870—71	210	184.000	13.9
1904—5	548	160.000	.5
1914—16	731	4.631.500	100.0

(W wojnach rewolucyjnych i napoleońskich 1790 — 1815, trwających 9,000 dni, padło tylko 2,100,000/ co stanowiło % 3.7. — Li-

przeciętnie rzeczy biorąc, przejawiły się one w kierunku politycznego altruizmu?

Otóż nie zupełnie. Jeszcze się ten kierunek nie wyklarował. Jeszcze mamy przed sobą zaciekłe zapasy narodowych egoizmów, w ich najdzikszej formie.

Nie mniej jednak, już sama ta zaciekłość przeciągającej się wojny, to jej niepraktykowane zaostrzenie na lądzie i morzu, ba! nawet pod wodą i w powietrzu, uwydatniło dawne spostrzeżenie francuzów o stykaniu się krańców: mamy bowiem, obok dzikiej zaciekłości, czyny niebywałego poświęcenia ze strony jednostek, partyj i całych narodów. A trzeba przyznać, że w tym względzie, najwyższe, wprost zdumiewające dowody swej ofiarności i swej, bądź co bądź, altruistycznej organizacyi, złożyli niemcy, t. j. ci właśnie, którzy i zaostrzenie samej walki doprowadzili do szczytu.

---

cząc dziennie, w poprzednich wojnach najwięcej padało poległych w latach 1912 — 13, a mianowicie 1.950 ludzi dziennie — w obecnej wojnie pada codzień średnio: 6.336 trupów).

Według obliczeń p. Stan. Kempnera, red. „Nowej Gazety", na 1.625 milionów ludności całego globu (statystyka z r. 1912) bierze udział w obecnej wojnie: 1400 milionów. Neutralnymi pozostało tylko 140 milionów, czyli mniej niż 10%.

Do koalicyi należą: Rosya 175 mil., Anglia z kol. 430 mil., Francya z kol. 90 mil., Włochy 35 mil., Belgia z kol. 27 mil., Portugalia z kol. 14 mil., Serbia z Czarnogórzem 3 mil., Rumunia 7 mil., Stany Zjed. 100 mil., Chiny 400 mil. Razem 1281 mil.

Po stronie mocarstw centralnych: Niemcy 70 mil.; Austro-Węgry 60 mil.; Turcya 25 mil.; Bulgarya 5 mil. Razem 160 mil.

Biorąc pod uwagę, że w ostatnich tygodniach zerwały stosunki z Niemcami nadto: Brazylia, Kuba i Guatemala, wypadnie iż po stronie mocarstw centralnych stoi 160 milionów wobec 1300 po stronie przeciwnej.

(Przyp. z d. 18 Kwiet. 1917 r.).

I w tem tkwi nadzieja, że ogólne wybujanie krańców, musi prędzej czy później przeważyć szalę na stronę altruizmu; że gdy się zaspokoi, lub gdy się wyczerpie Dzikość — zdobędzie prawo głosu Ludzkość. Tem więcej, że ta ostatnia już się odzywała z obu stron, więcej niż kiedykolwiek/ że względny altruizm międzynarodowy przejawił się nawet w tych narodach, w których się dotychczas nie odzywał/ że się przejawił w pomysłach i słowach — do pewnego stopnia nawet w czynach.

Nigdzie zaś jako motyw *jawny*, nie wystąpiły hasła czysto egoistyczne: zdobyczy terytoryalnych, przewagi dynastycznej, korzyści ekonomicznych, wyższości rasowych, albo wyższości wiary — wogóle te motywy, które przecież w czasach dawniejszych a nawet b. niedawnych, całkiem jawnie i bezceremonialnie stanowiły hasła większej części wojen.

A co się tyczy naszych stosunków/ w szczególności zaś naszych stronnictw z przed lat dziesięciu/ to te zostały rozbite, zdmuchnięte lub zlane ze sobą przez same wypadki.

Realiści — stracili grunt pod nogami.

Narodowa Demokracya już nie umiałaby sama powiedzieć, czy jeszcze istnieje.

Ówcześni *postępowcy* przegrupowali się i nie mają wyraźnych wspólnych haseł.

Ludowcy istnieją i mają hasła wyraźne, tylko że... nie mają za sobą ludu, nie znającego jeszcze własnej drogi.

Socyalizm wreszcie, istnieje niewątpliwie, i ma za sobą szerokie warstwy robotnicze, ale od r. 1905 uległ takim przeobrażeniom, w części narodowym, w części wojennym, w części anarchistycznym lub nawet rasowym, że jeszcze niewiadomo co z tego wyjdzie. Napewno jednakże wiadomo tyle, że gdy około r. 1906 socyaliści różnych odcieni gryźli się między sobą tak zawzięcie, iż zdawało się, że się

wzajemnie wygryzą/ teraz walki ucichły, i nawet — jeżeli się nie mylę — wszystkie frakcye razem wzięte, złagodziły swą zaciekłość wobec stronnictw mieszczańskich. Możnaby powiedzieć, że socyalizm zidealizował się i wyszlachetniał. A nie należy zapominać, że jest to, bądź co bądź, jedyne stronnictwo polityczne *międzynarodowo altruistyczne*, zmierzające do *powszechnej* łączności klas pracujących.

Jak daleko ten altruizm zajdzie, czy się już obmył z zachcianek terrorystycznych w kąpieli krwi międzynarodowej, czy stworzy coś pozytywnego a nie klasowego — to się dopiero pokaże. Dziś nie można jeszcze o tem sądzić głównie dlatego, że Socyalizm, w teoryi najbardziej altruistyczny nazewnątrz, jest jednocześnie najbardziej egoistycznym nawewnątrz. I najściślej określonym w zasadach; a więc, z pozoru, najmniej zmiennym. Mówię: „z pozoru", bo w tych rzeczach nie doktryna decyduje, lecz nastrój uczuciowy — a ten się dziś może zmienić łatwiej niż kiedykolwiek, z powodu nagromadzenia się sprzeczności.

Do najmniej określonych, należy u nas nowe stronnictwo — *Bezpartyjnych*, które powstało dopiero w ostatnich czasach i wywarło pewien wpływ (jak dotychczas jedynie zachowawczy) na układ naszych stosunków.

Pozatem, powstałe przejściowo trzy „oryentacye" obce, rozpłynęły się już niemal całkowicie w dwóch frakcyach temperamentowych: *Neutralistów* i *Aktywistów*, którym również trudno prorokować długi żywot.

Jednocześnie, zapoczątkowana przez Narodową Demokracyę walka z żydami przycichła.

O różnych bojkotach zapomniano.

Maryawici zniknęli.

Walki naukowo-ideowej nie ma żadnej.

O różnicach klasowych żaden szlachcic już nie myśli.

Różnice czysto religijne nie grają żadnej roli.

A te wszystkie osłabienia i złagodnienia oprawiła w ramki: z jednej strony wzmożona *ofiarność*, z drugiej wzmożony *wyzysk*.

Tak wygląda, w moich oczach, nasza teraźniejszość, *brzemienna odrodzeniem*.

Czy naprawdę odrodzeniem? Liczne znaki, liczne czyny, zdają się wskazywać, że tak. Nigdy bowiem jeszcze nie było u nas takiego zapału do uczenia się, takiej żądzy organizowania się — a jednocześnie takiej powściągliwości i rozwagi.

Wszystkie nasze wady żyją — ale możnaby powiedzieć, że się przyczaiły.

Korzystajmy z chwili, by je zdusić — i wytępiać systematycznie, dla przyszłości!

Na polu międzynarodowem niewątpliwe piętno politycznego altruizmu noszą na sobie następujące akty dziejowego znaczenia:

1. Platoniczna odezwa W. Ks. Mikołaja o zjednoczeniu ziem polskich.

2. Ogłoszenie niepodległości Królestwa Polskiego przez mocarstwa centralne.

3. Orędzie prezydenta Wilsona w sprawie trwałego pokoju.

4. Zapowiedź równouprawnienia stanów, płci, narodowości i wyznań, ogłoszona przez Rząd Tymczasowy rewolucyjny w Rosyi...

Kto dożyje — zobaczy więcej.

A nauka, jaką z tego wszystkiego brać mamy, jest następująca:

1) Kształcić dzieci w duchu nowej oryentacyi altruistycznej.

2) Przygotowywać samych siebie do nieuniknionych ofiar na polu polityki wewnętrznej.

3) Mając za sobą Prawo—zdobyć Siłę.

Pisałem w pierwszym dniu wiosny 1917 r. w stolicy kraju, grubo pokrytej śniegiem.

KONIEC SERYI PIERWSZEJ.

SPIS RZECZY.

Przedmowa.

I. Uwagi wstępne na tle wspomnień osobistych . . . 3
   1. Konkurs Szkoły Głównej 3
   2. Konkurs Przeglądu Filozoficznego 11
   3. Znaczenie konkursów dla sprawy naszego odrodzenia narodowego 14

I. Zastosowania psychologii 26
   1. Do nauk filozoficznych 32
   2. Do nauk pedagogicznych 41
   3. Do nauk historycznych i społecznych . . . 48
   4. Do nauk lekarskich 58
   5. Do nauk filologicznych 63
   6. Zastosowania najbliższe 68

III. Jak się uczyć psychologii? 72

IV. O kształceniu własnego charakteru 81
   1. Co nazywamy charakterem? 82
   2. Czy można kształcić własny charakter? . . 87
   3. Znajomość samego siebie 89
   4. Drogi doskonalenia się 98

V. Kształcenie woli 117
   1. Wspomnienie Młodej Prasy i późniejsze prądy ideowe 117
   2. Ruch etyczno-wychowawczy; reakcya przeciw intelektualizmowi 120

3. Kształcenie woli w związku z kształceniem charakteru 125
4. Kształcenie woli w stosunku do zagadnienia zmysłowości 130
5. Wnioski ogólne z poprzednich spostrzeżeń . 136
6. Wzmacnianie samodzielności woli 140
7. Kształcenie uczuć w związku z rozwojem woli 146
8. Samoobserwacya jako podstawa do kształcenia woli 149
9. Zabiegi lecznicze w związku z kształceniem woli 153
10. Kształcenie woli z punktu widzenia religijnego 161
11. Kształcenie woli w stowarzyszeniach młodzieży 165
12. Zasady Skautów polskich 168
13. Piętnaście prawideł Tomasza Zana . . . 172
VI. Nasze wady narodowe 177
1. Zapomniany krytyk polskiego charakteru narodowego 177
2. Zmienność i zmysłowość 181
3. Pożądliwość 186
4. Czy jesteśmy grzeczni czy niegrzeczni? . . 192
5. Nasz brak łączności 195
6. Pojęcie równości 199
7. Nasza tolerancya 207
8. Umysłowość polska i kwestya lenistwa . . 212
9. Uogólnienia 224
10. Inny krytyk zapomniany 227
11. Cudzoziemszczyzna 231
VII. Swoje i obce 241
VIII. Co robić? 245
IX. Opłakane stosunki 267
X. Nasza nieopatrzność 271
XI. Jak rozwijać przezorność a tępić nieopatrzność? . 290

XII. Nasze osobnictwo 302
1. Brak łączności w nauce polskiej 319
2. Jak rozwijać łączność duchową? 330
3. Gry i zabawy 338
4. Współczucie psychologiczne 341
5. Jak wytępiać osobnictwo w stowarzyszeniach? 344
6. Jak zapobiegać osobnictwu i sztucznej jednomyślności w zjazdach naukowych? . . . 346
7. Jaką powinna być karność w wojsku polskiem? 350
XIII Nasze mówienie na wiatr 365
1. Ogólna charakterystyka zboczeń tu należących 366
2. Jak wytępiać nasze mówienie na wiatr i naszą niepunktualność? 383
3. Przykład historyczny naszej opieszałości . . 395
XIV. Gadatliwość i gadulstwo 399
1. Uwagi psychologiczno-pedagogiczne . . . 400
2. Gadulstwo wśród dorastających i dorosłych 407
3. Gadulstwo parlamentarne obstrukcyjne . . 411
XV. Egoizm i altruizm polityczny 420

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
46876/I